# Raymond E. Feist

## ADEPT MAGII

**Opowieść o wojnie światów**
**część 1**

Przełożył Mariusz Terlak

QUALITY BOOKS

Książkę tę poświęcam
pamięci mojego ojca,
Felixa E. Feista,
który we wszystkim, co czynił,
był prawdziwym magiem.

# Podziękowania

Powieść ta powstała dzięki nieocenionej pomocy wielu osób, którym chciałbym złożyć w tym miejscu najserdeczniejsze podziękowania. Z całego serca dziękuję więc wszystkim Piątkowym Nocnym Markom, wśród których są: April i Stephen Abrams, Steve Barett, David Brin, Anita oraz Jon Everson, Dave Guinasso, Conan LaMotte, Tim LeSelle, Ethan Munson, Bob Potter, Rich Spahl, Alan Springer, a także Lori i Jeff Velten — za ich pomocną krytykę, entuzjazm, podtrzymywanie mnie na duchu, wiarę we mnie, mądre rady, wspaniałe pomysły, a przede wszystkim za ich przyjaźń.

Billie i Russ Blake oraz Lillian i Mike Fessier zawsze byli gotowi przyjść z pomocą i im również dziękuję.

Mojemu agentowi, Haroldowi Matsonowi dziękuję za to, że „zaryzykował" ze mną.

Adrianowi Zackheimowi, memu wydawcy, dziękuję za to, że raczej prosił, niż żądał, a także za wielki trud włożony w stworzenie dobrej książki.

Kate Cronin, jego asystentce, dziękuję za poczucie humoru oraz za to, że z takim wdziękiem i cierpliwością znosiła moje nonsensy.

Elaine Chubb, redaktorowi technicznemu, dziękuję za łagodne podejście i troskę o każde słowo.

Najserdeczniej dziękuję mojej matce, Barbarze A. Feist, za to wszystko co wyżej i znacznie, znacznie więcej…

Raymond E. Feist
San Diego, Kalifornia
lipiec 1982

# Podziękowania do poprawionego wydania

Chciałbym skorzystać z okazji wydania preferowanej przez autora wersji powieści i wydłużyć powyższą listę o kilka osób. Gdy składałem podziękowania do pierwszego wydania tej książki, nie znałem ich jeszcze. Jednak ich nieoceniona pomoc i wkład finansowy przyczyniły się do tego, że mogła ona ujrzeć światło dzienne.

Składam więc podziękowania:

Mary Ellen Curley, która przejęła ster od Katie i utrzymywała nas wszystkich na kursie;

Peterowi Schneiderowi, którego entuzjazm do pracy był mi nieocenionym sprzymierzeńcem w Doubleday, i który stał się moim bliskim przyjacielem w ciągu ostatnich dziesięciu lat;

Lou Aronice, który dał mi szansę powrotu do mojej pierwszej pracy i „napisania jej po raz wtóry" oraz kupił moją książkę wtedy, kiedy naprawdę nie chciał zajmować się reprintami;

Patowi Lobrutto, który pomagał, zanim stało się to jego pracą, i którego przyjaźnią cieszę się nie tylko w pracy;

Jannie Silverstein, która mimo krótkiej kadencji jako mój wydawca wykazała się niesamowitym i tajemniczym talentem i zawsze wiedziała, kiedy ma zostawić mnie w spokoju, a kiedy pozostawać ze mną w kontakcie;

Nickowi Austinowi, Johnowi Boothowi, Jonathanowi Lloydowi, Malcolmowi Edwardsowi i wszystkim w Granada, obecnie Grafton Books, którzy sprawili, że moja książka stała się międzynarodowym bestsellerem;

Abnerowi Steinowi, mojemu agentowi w Wielkiej Brytanii, za to, że to on w końcu sprzedał książkę Nickowi;

Janny Wurts, za to, że jest moim przyjacielem, oraz za to, że pracując razem ze mną nad „Empire Saga" i pomagając przekształcić Grę Rady z niejasno zarysowanej koncepcji w zabójczo realną arenę ludzkich konfliktów, ukazała mi zupełnie inną perspektywę patrzenia na Tsuranich. Kelewan i Tsuranuanni są zarówno mo-

im, jak i jej pomysłem. Ja naszkicowałem zarysy, ona zaś wypełniła je pełnymi barw detalami;

oraz Jonathanowi Matsonowi, który otrzymał pochodnię z rąk wielkiego człowieka i pewnie kontynuował dzieło, służąc mądrą radą i przyjaźnią — jabłko spadło blisko jabłoni;

a przede wszystkim mojej żonie Kathlyn S. Starbuck: to ona rozumie mój ból i radość w tym rzemiośle, ponieważ sama mozoli się w tej samej winnicy, to ona zawsze tam jest, nawet wtedy kiedy nie zasługuję na to, by ją tam mieć, i to ona poprzez swoją miłość sprawia, że wszystko nabiera sensu.

Raymond E. Feist
San Diego, Kalifornia
kwiecień 1991

# Przedmowa do poprawionego wydania

Każdy autor, przystępując do przeglądania i poprawiania wcześniejszego wydania swej powieści, jest pełen wahań i obaw. Szczególnie, jeżeli powieść ta była jego pierwszą uznaną powszechnie za sukces i ciągle, od lat dziesięciu, wznawianą książką.

„Magician" (w wersji polskiej ukazuje się w dwóch tomach: „Adept magii" i „Mistrz magii" — przyp. red.) był tym wszystkim i jeszcze czymś więcej. Pod koniec roku 1977, pracując na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, zdecydowałem się poświęcić trochę czasu i spróbować szczęścia w pisaniu. Od tamtego czasu minęło około piętnastu lat, z których czternaście poświęciłem całkowicie pisaniu, osiągając w tym rzemiośle sukces, o którym nie śmiałem nawet marzyć.

Ta pierwsza powieść w cyklu znanym później jako „The Riftwar Saga", („Opowieść o wojnie światów") stała się wkrótce książką, która zaczęła żyć własnym życiem. Waham się, czy publicznie to wyznać, ale prawdą jest, że jednym z elementów składowych powodzenia książki była moja ignorancja w odniesieniu do tego, co sprawia, że powieść odnosi sukces handlowy. Moja wola i chęć rzucenia się na oślep w nurty opowieści, która obejmuje dwa zupełnie różne światy, dwanaście lat życia kilku głównych i kilkudziesięciu pomniejszych postaci, łamanie po drodze licznych zasad prowadzenia wątku, znalazła chyba pokrewne dusze wśród czytelników na całym świecie. Po dziesięciu latach kolejnych wznowień jestem przekonany, że jej główną mocą jest odwieczna tęsknota za słuchaniem i snuciem „niestworzonych historii". Pisząc tę książkę, nie miałem zbyt wielkich ambicji. Przede wszystkim chciałem opowiedzieć ciekawą historię, która zaspokoiła moją tęsknotę za czymś czarownym, za przygodą i fantazyjnym kaprysem. Okazało się, że kilka milionów czytelników (wielu z nich przeczytało tę powieść przełożoną na inne języki, o których nie mam najmniejszego pojęcia) odkryło, że spełnia ona także ich oczekiwania, zaspokaja ich tęsknotę za „niestworzonymi historiami".

Chociaż powieść ta była rzeczywiście pierwszą moją próbą pisarską, niektóre wymogi rynku dały o sobie znać na etapie tworzenia końcowej wersji książki.

Jest to książka bardzo obszerna. Kiedy przedostatnia wersja rękopisu wylądowała na redakcyjnym biurku, powiedziano mi, że trzeba będzie ją skrócić o jakieś pięćdziesiąt tysięcy słów. Co też uczyniłem. Przeważnie wiersz po wierszu. Kilka scen jednakże zostało albo poobcinanych, albo całkowicie usuniętych z tekstu.

Chociaż mogłem zaakceptować opublikowaną wersję oryginalnego manuskryptu, jedyną, jaka ukazała się drukiem, zawsze jednak miałem wrażenie, że część usuniętego tekstu przydawała całości głębi, tworzyła pewien kontrapunkt w stosunku do zasadniczych elementów opowieści. Wzajemne stosunki pomiędzy postaciami, szczegółowe informacje o obcym świecie, krótkie chwile zadumy i radości równoważące bardziej wartkie fragmenty konfliktu i przygody — wszystko było „prawie takie, jak chciałem przekazać, ale nie do końca".

W każdym razie, aby uczcić dziesiątą rocznicę pierwszego wydania tej książki, pozwolono mi powrócić do powieści. Mogłem przebudować ją i zmienić, dodać i usunąć to, co uznam za stosowne, czy też, innymi słowy, opracować — jak to w świecie wydawniczym przyjęto nazywać — „wydanie preferowane przez autora". Tak więc, mając stale w uszach stare napomnienie „jeżeli się nie zepsuło, nie staraj się tego naprawiać", powracam do pierwszej swojej pracy, do czasów, kiedy nie miałem żadnych aspiracji w tym rzemiośle ani pozycji autora bestsellerów i właściwie zielonego pojęcia o tym, co robiłem. Chciałbym przywrócić niektóre z usuniętych fragmentów, pewne drobne szczegóły, które moim zdaniem przydawały narracji mocy, a książce wagi. Trochę przydługie dyskusje o nauce pomiędzy Tullym i Kulganem w trzecim rozdziale, jak również niektóre rzeczy ukazane Pugowi na Wieży Próby są tego przykładem. Mój wydawca nie był wtedy przekonany co do idei ciągu dalszego powieści, więc część tego materiału została opuszczona. Jego przywrócenie jest być może pobłażaniem sobie, ale ponieważ w moim odczuciu materiał ten należał do oryginalnej książki, pojawił się ponownie w tym wydaniu.

Tych czytelników, którzy odkryli już poprzednio tę powieść i zastanawiają się, czy warto kupić niniejsze wydanie, chciałbym zapewnić, że tekst nie uległ radykalnym zmianom. Żadna z postaci poprzednio uśmierconych nie ożyła, przegrane bitwy nie stały się wygranymi, a dwóch chłopców nadal czeka to samo przeznaczenie. Nie chcę, abyście czuli się zmuszeni przeczytać tę nową książkę, ponieważ wasze wspomnienie o oryginalnym wydaniu jest równie, jeżeli nie bardziej, istotne niż moje. Jeżeli jednakże pragniecie powrócić do świata Puga i Tomasa, ponownie odkryć starych przyjaciół i zapomniane przygody, uznajcie to wydanie za możliwość zobaczenia czegoś więcej niż ostatnim razem. Nowych zaś czytelników witam serdecznie. Ufam, że książka ta spełni wasze oczekiwania.

Wszystkim zaś, zarówno nowym czytelnikom, jak i starym znajomym, chciałbym z ogromną wdzięcznością bardzo podziękować, bo bez waszego poparcia i zachęty „snucie opowieści" przez dziesięć lat nie byłoby możliwe. Jeżeli mam możliwość ofiarowania wam zaledwie cząstki przyjemności, jaką sam odczuwam,

mogąc dzielić się z wami moimi fantastycznymi przygodami, spotyka nas jednakowa nagroda, bo poprzez to, jak przyjęliście moją pracę, pozwoliliście mi stworzyć więcej. Bez was bowiem nie byłoby dalszych książek. Listy, nawet jeżeli docierają do mnie po paru miesiącach, są czytane. Na niektóre odpowiadam. Wszelkie miłe uwagi, które słyszę w czasie publicznych spotkań, wzbogacają mnie w sposób nie dający się opisać. Najważniejsza jest jednak wolność praktykowania rzemiosła, które zaczęło się od kwestii „ciekawe, czy potrafię to robić", wypowiedzianej, kiedy jeszcze pracowałem w Residence Halls w John Muir College Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego.

Zatem dziękuję wam. „Udało się", jak sądzę. Mam nadzieję, że się zgodzicie, iż tym razem uczyniłem to w sposób bardziej elegancki, barwniej, mocniej i z większą werwą.

Raymond E. Feist
San Diego, Kalifornia
sierpień 1991

# Pug i Tomas

Wola chłopca jest jak wola wiatru,
A myśli młodzieńca są długie, bardzo długie.

Longfellow, „Moja stracona młodość”

# Rozdział 1

# Burza

Rozpętała się burza.

Pug balansował ostrożnie, posuwając się powoli wzdłuż krawędzi skał. Stopy z trudem wynajdywały niepewne punkty oparcia, kiedy wędrował pomiędzy rozlewiskami pozostałymi po przypływie. Ciemne oczy rzucały dookoła szybkie spojrzenia, wnikając w głąb każdego rozlewiska u podnóża skał w poszukiwaniu kolczastych stworów, zapędzonych na płycizny przez ucichły niedawno sztorm. Chłopięce muskuły prężyły się pod cienkim materiałem koszuli, kiedy przerzucał z ramienia na ramię worek z krabami, małżami i innymi stworami morskimi, zebranymi w tym morskim ogrodzie.

Popołudniowe słońce rozsiewało świetliste iskierki w wirującym wokół chłopca pyle wodnym. Zachodni wiatr rozwiewał wypłowiałe na słońcu kasztanowe włosy. Pug położył worek na ziemi. Sprawdził, czy jest mocno zawiązany, i przysiadł na skrawku czystego piasku. Worek nie był jeszcze pełen, ale Pug mógł pozwolić sobie na godzinkę rozkosznego leniuchowania. Megar, kucharz zamkowy, nie powinien narzekać na jego trochę późniejszy powrót pod warunkiem, że worek będzie pełen. Pug oparł się plecami o duży występ skalny i wkrótce zdrzemnął się w ciepłych promieniach słońca.

Chłodny i mokry prysznic piany morskiej przebudził go parę godzin później. Otworzył gwałtownie oczy, zdając sobie natychmiast sprawę, że spał stanowczo za długo. Na zachodzie, nad morzem, ponad czarnym zarysem Sześciu Sióstr, archipelagu niewielkich wysepek na horyzoncie, kłębił się wysoki wał ciemnych chmur. Rozgniewane chmurzyska pędziły szybko w jego kierunku. Dołem ciągnęły się pod nimi smoliste zasłony ulewy. Zwiastowały niechybnie nadciąganie kolejnej, nagłej burzy, typowej dla tej części wybrzeża w początkach lata. Ku południu piętrzyły się wysoko na tle nieba niebotyczne urwiska skały zwanej Boleścią Żeglarza. Fale rozbijały się z hukiem u podnóża skalistej wieżycy. Poza przybojem zaczęły się pokazywać białe grzywy fal — pewny znak, że za chwilę burza przypuści kolejny atak. Pug doskonale wiedział, że znalazł się w niebezpie-

czeństwie. Każdy, kto w czasie letniej burzy i sztormu znalazł się na plaży czy nawet na niskich terenach poza nią, mógł być z łatwością pochłonięty przez fale.

Podniósł worek i ruszył na północ, w stronę zamku. Idąc pomiędzy jeziorkami rozlewisk, czuł, jak chłodne porywy wiatru stają się coraz zimniejsze i bardziej wilgotne. Pogodny dzień został zmącony smugami cienia, kiedy pierwsze chmury zaczęły przysłaniać słońce. Jaskrawe dotychczas kolory zostały przytłumione i przechodziły stopniowo w różne odcienie szarości. Daleko nad morzem błyskawica przecięła czarną ścianę chmur, a odległy pomruk grzmotu niósł się ponad hukiem fal.

Kiedy dotarł do pierwszego pasma otwartej plaży, przyspieszył kroku. Burza nadciągała o wiele szybciej niż przypuszczał. Sztorm pędził przed sobą rosnącą falę przypływu. Kiedy docierał do następnego pasma rozlewisk, pomiędzy linią wody a krawędzią skał zostały tylko niecałe trzy metry suchego piasku.

Pug pędził pomiędzy głazami na granicy ryzyka. Dwukrotnie omal nie skręcił nogi. Dotarł wreszcie do następnej połaci piasku. Źle wyliczył zeskok z ostatniej skałki i wylądował fatalnie. Upadł na piasek, łapiąc się za kostkę. Jak gdyby specjalnie czekając na nieszczęśliwy wypadek, fala przypływu runęła do przodu, zalewając go na chwilę całkowicie. Wyciągnął na oślep ręce i w tej samej chwili poczuł, jak woda unosi worek ze sobą. Rozpaczliwie starając się go chwycić, rzucił się do przodu, lecz kostka odmówiła posłuszeństwa. Ponownie znalazł się pod wodą. Zachłysnął się. Wynurzył głowę, parskając i kaszląc gwałtownie. Już, już miał stanąć na nogi, kiedy kolejna fala, jeszcze wyższa od pierwszej, uderzyła go w pierś, wywracając do tyłu. Pug dorastał, spędzając czas na zabawach i igraszkach w morskich falach, był doświadczonym pływakiem, ale ból w kostce i ciągłe ataki fal spowodowały, że wpadł w panikę. Zwalczył narastające uczucie strachu i kiedy fala opadła, wynurzył się na powierzchnię, chwytając łapczywie powietrze. Trochę płynąc, trochę czołgając się po dnie, kierował się w stronę skalistego brzegu, gdyż wiedział, że woda ma tam tylko kilkanaście centymetrów głębokości.

Dotarł do ściany skalnej i oparł się o nią, starając się przerzucić ciężar ciała na zdrową nogę i odciążyć skręconą. Centymetr po centymetrze przesuwał się wzdłuż skały, a każda kolejna fala podnosiła poziom wody wyżej i wyżej. Kiedy wreszcie dotarł do miejsca, z którego mógł podjąć wspinaczkę na szczyt, był już po pas zanurzony w skłębionej wodzie. Aby wspiąć się na ścieżkę, musiał zmobilizować wszystkie siły. Przez chwilę leżał na ziemi, ciężko dysząc. Potem zaczął pełznąć ku górze, ponieważ na tym skalistym gruncie nie ufał swej spuchniętej kostce.

Kiedy czołgał się, raniąc na kamieniach kolana i golenie, spadły pierwsze krople deszczu. Dotarł wreszcie na porośnięty trawą szczyt urwiska. Padł na ziemię, dysząc ciężko, kompletnie wyczerpany wspinaczką. Pojedyncze krople zamieniły się w siąpiący deszczyk.

Po chwili złapał oddech. Usiadł i zbadał opuchniętą kostkę. Bolała pod dotykiem, ale poczuł się pewniej, bo mógł nią poruszać. Nie była złamana. No cóż, będzie musiał przekuśtykać całą powrotną drogę. Teraz jednak, kiedy niebezpieczeństwo utonięcia na plaży było już poza nim, patrzył na świat z większym optymizmem.

Wiedział, że kiedy dotrze do miasta, będzie przemoczony do suchej nitki i zmarznięty na kość. Będzie sobie musiał znaleźć jakiś nocleg w mieście, bo bramy zamku zostaną już zamknięte na noc, a z bolącą nogą nie zaryzykuje wspinania się na mury za stajniami. A poza tym, gdy zostanie na noc w mieście i wślizgnie się rano do zamku, czeka go tylko bura od Megara, jeżeli natomiast przyłapano by go na przełażeniu przez mur, to od zbrojmistrza Fannona i koniuszego Algona z pewnością mógł oczekiwać czegoś znacznie gorszego niż wymówki.

Odpoczywał. Deszcz przechodził w rzęsistą ulewę. Niebo pociemniało, kiedy późne, popołudniowe słońce całkiem skryło się za burzowymi chmurami. Chwilowe uczucie ulgi przeszło w złość na samego siebie za to, że stracił worek krabów. Zły nastrój pogłębił się jeszcze, kiedy przypomniał sobie własną głupotę. Nie powinien zasnąć na plaży. Gdyby nie to, bez pośpiechu odbyłby drogę powrotną, nie skręciłby kostki i miałby jeszcze czas, aby przebadać łożysko strumienia nad urwiskiem i poszukać gładkich otoczaków, które tak bardzo cenił jako amunicję do procy. No a teraz — żadnych kamieni. Minie co najmniej tydzień, zanim będzie mógł tutaj powrócić, i to pod warunkiem, że Megar nie wyśle innego chłopaka, co obecnie, kiedy wracał z pustymi rękami, było bardzo prawdopodobne.

Pug zauważył wreszcie, że na deszczu siedzi się kiepsko. Zdecydował, że czas ruszać dalej. Wstał i sprawdził kostkę. Zaprotestowała na takie traktowanie, ale stwierdził, że da radę jakoś iść. Pokuśtykał po trawie do miejsca, gdzie zostawił swoje rzeczy. Podniósł plecak, kij i procę. Zaklął szpetnie — jak żołnierze, których słyszał na zamku — kiedy spostrzegł, że plecak jest rozdarty, a chleb i ser zniknęły. Szopy albo jaszczurki z wydm, pomyślał. Odrzucił na bok bezużyteczny teraz worek i zadumał się nad swoim losem.

Wziął głęboki oddech, wsparł się na kiju i ruszył przez niskie, łagodnie falujące pagórki, oddzielające urwisko od drogi. Tu i ówdzie widać było luźno rozrzucone w krajobrazie kępy niskich drzewek. Pug żałował, że nie ma w pobliżu innego, bardziej solidnego schronienia, bo nad samym urwiskiem nie było w ogóle żadnego. Wlokąc się z trudem do miasta i tak nie przemoknie bardziej, niż gdyby poszukał osłony pod drzewem.

Wiatr wzmagał się. Poczuł na mokrych plecach pierwsze zimne ukąszenia podmuchów. Wzdrygnął się i na tyle, na ile mógł, przyspieszył kroku. Niskie drzewka zaczęły się przyginać do ziemi pod naporem wiatru. Miał wrażenie, jakby popychała go jakaś ogromna łapa. Dotarł do drogi i skierował się na północ. Z daleka, od wschodu, z wielkiej puszczy dochodziły niesamowite odgłosy. Wichura wyła w gałęziach sędziwych dębów, potęgując dodatkowo i tak złowróżbny

wygląd ostępów leśnych. Mroczne polany, ukryte w głębi lasów, nie były pewnie bardziej niebezpieczne niż Droga Królewska, ale zapamiętane z dzieciństwa opowieści o ludziach wyjętych spod prawa i innych złoczyńcach o rodowodzie zupełnie innym niż ludzki sprawiły, że włosy zjeżyły mu się na głowie.

Przeszedł na drugą stronę drogi i szedł dalej dnem ciągnącego się wzdłuż niej rowu, co dawało jaką taką osłonę. Wichura wzmagała się ciągle, bijąc w oczy kroplami ulewy. Po mokrych od deszczu policzkach spływały łzy. Gwałtowny i nagły podmuch omal go nie przewrócił. Musiał uważać na każdy krok, aby w niespodziewanie głębokich kałużach na dnie wypełniającego się wodą rowu nie stracić równowagi.

W stale narastającym huraganie i ulewie brnął prawie przez godzinę. Droga skręciła na północny zachód i wyjący wicher dął mu prosto w twarz. Pug pochylił się w kierunku wiatru. Poły koszuli trzepotały dziko za plecami. Przełknął z trudem ślinę, aby powstrzymać narastającą panikę. Wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Furia huraganu już dawno przewyższyła swą siłą zwykłe o tej porze roku wichury. Ogromne, poszarpane błyskawice rozświetlały mroczny krajobraz, wydobywając z mroku na ułamek sekundy olśniewające jasnością na tle nieprzeniknionej czerni zarysy drzew i drogi. Oślepiające, pozostające przez chwilę pod powiekami obrazy, w których czerń i biel zamieniały się miejscami, ogłupiały do reszty i tak oszołomione zmysły. Ogłuszające grzmoty piorunów nad głową odczuwał fizycznie, jak rzeczywiste uderzenia. Obawiał się teraz burzy o wiele bardziej niż wyimaginowanych zbójców czy złośliwych chochlików leśnych. Zdecydował się iść między drzewami wzdłuż drogi, gdzie dęby powinny trochę osłabiać impet wichury.

Wchodził między drzewa, kiedy dobiegł go ogłuszający trzask. Stanął jak wryty. W ciemnościach burzy ledwo mógł odróżnić kształt czarnego dzika, który z impetem wypadł z chaszczy. Zwierzę wystrzeliło z zarośli, potknęło się, lecz zdołało poderwać na nogi o parę kroków od niego. Chłopiec widział teraz dzika wyraźnie. Przyglądał mu się uważnie, kiwając głową z boku na bok. Dwie ogromne, ociekające wodą szable, wydawały się jarzyć w mrocznym świetle. Ogromne, rozszerzone strachem ślepia. Dzik nerwowo grzebał racicą w ziemi. Delikatnie mówiąc, żyjące w lasach dziki miały raczej fatalny charakter, lecz przeważnie unikały spotkań z człowiekiem. Ten jednak był przerażony burzą i Pug zdawał sobie sprawę, że jeżeli zwierzę zaatakuje, może go ciężko poranić, a nawet zabić.

Stojąc nieruchomo jak głaz, Pug szykował się do odparcia ataku kijem, mając w sercu cichą nadzieję, że dzik mimo wszystko wycofa się do lasu. Zwierzę uniosło łeb do góry i węszyło niesiony wiatrem zapach chłopca. Różowe ślepia lśniły w ciemności. Ciało dygotało w rozterce. Nagle usłyszał coś za sobą w lesie, odwrócił na moment łeb w tamtą stronę, a potem, bez ostrzeżenia, ruszył do ataku.

Pug zamachnął się i rąbnął w łeb, odwracając go na bok. Zwierzę wpadło w poślizg w błotnistym gruncie i uderzyło całym ciężarem w nogi chłopca, prze-

wracając go na ziemię. Leżąc na ziemi, patrzył, jak dzik zawraca błyskawicznie, szykując się do kolejnego ataku. Chłopiec nie zdążył wstać, dzik był tuż, tuż. Zasłonił się kijem w daremnej próbie odepchnięcia go od siebie. Zwierzę zrobiło unik. Pug próbował przewrócić się na bok, kiedy ogromny ciężar wgniótł go w ziemię. Zakrył twarz dłońmi, przyciskając ramiona do piersi, i czekał, kiedy szable rozprują mu brzuch.

Po kilku chwilach dotarło do niego, że dzik jest zupełnie nieruchomy. Odsłonił twarz. Zwierzę leżało w poprzek jego nóg. Z boku sterczała długa, zakończona czarnymi piórami strzała. Pug spojrzał w stronę lasu. Na jego skraju stał mężczyzna odziany w długą, skórzaną opończę z osłaniającym twarz kapturem. Szybkimi ruchami owijał w natłuszczony brezent długi łuk bojowy. Kiedy cenna broń była już zabezpieczona przed wilgocią, podszedł bliżej. Stanął nad chłopcem i nieżywą bestią.

Przyklęknął i przekrzykując wycie wiatru, zapytał:

— Nic ci się nie stało, chłopcze? — Bez wysiłku dźwignął martwego dzika z nóg Puga. — Kości całe?

— Chyba tak! — odkrzyknął Pug, badając swoje ciało. Otarty prawy bok szczypał niemiłosiernie. Nogi też miał poobcierane. Wszystko to w połączeniu ze zwichniętą kostką sprawiało, że czuł się całkowicie zmaltretowany. Całe szczęście, że nie było trwałych uszkodzeń czy złamań.

Ogromne, muskularne łapska uniosły go do góry i postawiły na nogi.

— Trzymaj — zakomenderował nieznajomy, wręczając mu kij i łuk. Pug wziął swoje rzeczy. Mężczyzna długim, myśliwskim nożem szybko wypatroszył dzika. Skończył i zwrócił się do Puga.

— Chodź ze mną, chłopcze. Najlepiej będzie, jak zatrzymasz się u nas, u mojego pana i u mnie. To niedaleko, ale lepiej pośpieszmy się. Burza, zanim się skończy, przybiera zwykle na sile. Możesz iść?

Pug zrobił jeden niepewny krok i przytaknął ruchem głowy. Bez słowa mężczyzna zarzucił dzika na ramię i zabrał swój łuk.

— Idziemy — powiedział, kierując się w stronę lasu. Ruszył szybkim krokiem. Pug robił, co mógł, aby za nim nadążyć.

Drzewa kniei tylko w niewielkim stopniu zmniejszyły furię huraganu, więc nie mogli rozmawiać. Błyskawica rozświetliła na moment las i chłopiec na ułamek sekundy zobaczył twarz mężczyzny. Usiłował sobie przypomnieć, czy już go kiedyś widział. Z wyglądu przypominał myśliwych i strażników leśnych, zamieszkujących puszczę Crydee. Wysoki, barczysty, mocno zbudowany. Miał ciemne włosy, brodę i ogorzały wygląd człowieka, który większość czasu spędza pod gołym niebem.

Przez moment Pugiem zawładnęła fantastyczna myśl, czy obcy nie jest aby członkiem jakieś bandy wyjętej spod prawa, ukrywającej się w sercu kniei. Ode-

pchnął tę myśl, bo przecież żaden zbój nie zaprzątałby sobie głowy jakimś chłopakiem ze służby zamkowej, bez grosza przy duszy.

Przypomniał sobie, że nieznajomy mówił coś o swoim panu. Być może, był wolnym chłopem zamieszkującym w majątku właściciela i pełniącym u niego służbę, ale nie poddanym. Ludzie ci urodzili się jako wolni i w zamian za prawo użytkowania ziemi oddawali panu część zbiorów rolnych lub zwierząt domowych. Tak, to musi być wolny człowiek, pomyślał. Przecież żaden pan nie pozwoliłby na to, aby poddany kmieć obnosił się z łukiem bojowym — były one bowiem stanowczo zbyt cenne i… niebezpieczne. Pug nadal nie mógł sobie przypomnieć, aby ktoś dzierżawił ziemię w lasach. Chociaż pytanie pozostało bez odpowiedzi, jednak nadmiar wydarzeń, które go spotkały tego dnia, szybko przepędził dalszą ciekawość.

* * *

Po pewnym czasie, który dla Puga był wiecznością, nieznajomy zagłębił się w gęstą grupę drzew. Niewiele brakowało, a chłopiec zgubiłby go w panujących ciemnościach. Słońce zaszło jakiś czas temu, zabierając ze sobą i tę odrobinę światła, którą przepuszczały czarne chmury nawałnicy. Podążał za mężczyzną, kierując się raczej odgłosem kroków i intuicją niż wzrokiem. Domyślał się, że znajdowali się na ścieżce wiodącej między drzewami, ponieważ stopy nie napotykały oporu podszycia czy leżących na ziemi gałęzi. Jeżeli ktoś nie znał tej dróżki, to odnalezienie jej w miejscu, w którym byli przed chwilą, byłoby bardzo trudne w pełnym świetle dnia, a już zupełnie niemożliwe w nocy. Po chwili znaleźli się na polanie, pośrodku której przycupnął mały, zbudowany z kamienia domek. Z jedynego okna sączyło się światło, a z komina unosił się dym. Przeszli przez otwartą przestrzeń. Pug nie mógł się nadziwić, że akurat w tym jednym miejscu w puszczy huragan był jakby przytłumiony.

Po dotarciu do drzwi mężczyzna odsunął się na bok, robiąc mu przejście.

— Wejdź do środka, chłopcze. Ja jeszcze muszę sprawić dzika.

Pug pokiwał tępo głową, pchnął drewniane drzwi i wszedł do środka.

— Zamykaj te drzwi, chłopcze! Zawieje mnie jeszcze, a potem już tylko krok do śmierci.

Pug odwrócił się i pośpiesznie wykonał polecenie, trzasnąwszy drzwiami mocniej, niż zamierzał.

Odwrócił się ponownie i przyjrzał scenie, którą miał przed oczami. Wnętrze chatki składało się z pojedynczej, niewielkiej izby. Całą jedną ścianę zajmował kominek z potężnym paleniskiem. Płonął na nim jasny, wesoły ogień, promie-

niując ciepłym światłem. Obok kominka stał stół, a przy nim, na ławie, siedziała przysadzista postać, ubrana w obszerne, żółte szaty. Grzywa siwych włosów i gęsta broda prawie całkowicie zakrywały twarz mężczyzny. Widać było jedynie parę żywych, niebieskich oczu, błyszczących w świetle płonącego ognia. Ze zmierzwionej brody sterczała fajka, z której dobywały się imponujące kłęby bladego dymu.

Pug poznał mężczyznę.

— Mistrz Kulgan… — bąknął. Był to bowiem mag i doradca Księcia, znana pośród zamkowej służby postać.

Kulgan skierował wzrok na chłopca, a potem głębokim, dudniącym głosem zapytał:

— Więc mnie znasz, co?

— Tak, panie… z zamku.

— Jak masz na imię, chłopcze z zamku?

— Pug, mistrzu Kulganie.

— Aa… przypominam sobie. — Mag bezwiednie machnął ręką. — Nie mów do mnie Mistrzu, Pug. Chociaż bezsprzecznie mam prawo, aby zwracano się do mnie w ten sposób jako do mistrza mej sztuki — powiedział, a w kącikach oczu pojawiły się wesołe zmarszczki.

— Prawdą bowiem jest, żem urodzony wyżej niż ty, ale nie tak bardzo. Chodź, tam koło ognia wisi koc. Jesteś przemoczony do suchej nitki. Powieś swoje ubranie, aby wyschło, a potem usiądź tam. — Gestem ręki wskazał na ławę po przeciwnej stronie stołu.

Pug zrobił, jak mu przykazano, ani na moment jednak nie spuszczając wzroku z maga. Chociaż Kulgan należał do dworu Księcia, był jednak magiem, obiektem podejrzeń, kimś, kto u pospólstwa nie cieszył się zbyt wysokim poważaniem. Jeżeli w zagrodzie chłopskiej przyszedł na świat cielak-potwór albo jakaś zaraza zniszczyła plony, wieśniacy byli skłonni przypisywać to działaniom jakiegoś maga czającego się gdzieś w mrocznym kącie. Jest więcej niż pewne, że w czasach nie tak znowu odległych, obrzuciliby Kulgana kamieniami i wygnali z Crydee. Ludek miejski tolerował go ze względu na stanowisko, które piastował na dworze Księcia, ale stare obawy umierały bardzo powoli.

Pug rozwiesił ubranie i usiadł. Podskoczył przestraszony, kiedy spostrzegł nagle parę czerwonych oczu, obserwujących go pilnie tuż znad stołu. Pokryta łuskami głowa uniosła się ponad blat i z uwagą przyglądała się chłopcu.

Kulgan zaśmiał się z niewyraźnej miny chłopca.

— Spokojnie, mój mały, spokojnie. Fantus cię nie pożre. — Położył dłoń na głowie siedzącego obok niego na ławce stwora i pogłaskał za wystającymi łukami brwiowymi. Bestia przymknęła oczy i zaczęła wydawać ciche, jękliwe, podobne do kocich dźwięki.

Pug zamknął otwarte ze zdumienia usta.

— Czy to prawdziwy smok, panie?

Mag roześmiał się dobrodusznie na cały głos.

— Czasem wydaje mi się, że tak, mój chłopcze. Fantus jest przedstawicielem smoków ognistych, kuzynem smoka właściwego, chociaż nie tak imponującej postury… — W tym momencie stwór otworzył jedno oko i wbił wzrok w maga. — Ale dorównuje mu duchem i odwagą — dodał pośpiesznie Kulgan i smok znowu zamknął oko. Kulgan ciągnął dalej konspiracyjnym szeptem:

— Jest bardzo mądry, więc musisz uważać, co do niego mówisz. To stworzenie o wielkiej delikatności i wrażliwości uczuć.

Pug potwierdził kiwnięciem głowy.

— Czy potrafi zionąć ogniem? — spytał. Patrzył na stwora szeroko otwartymi z ciekawości oczami. Dla każdego trzynastoletniego chłopaka nawet kuzyn smoka właściwego był godzien wielkiego podziwu.

— Kiedy jest w odpowiednim nastroju, może buchnąć ogniem dwa, trzy razy, ale zdarza się to rzadko. Chyba dlatego, że go tak dobrze karmię. Od lat nie musiał polować, więc zapomniał trochę o smoczych zwyczajach. Jeśli mam być szczery, to strasznie go rozpuszczam.

Informacja ta rozproszyła trochę obawy Puga. Mag, dbający o stwora, nawet tak przedziwnego, wydał się chłopcu bardziej ludzki i nie tak tajemniczy. Przyjrzał się uważnie Fantusowi. Patrzył z podziwem, jak płonący ogień rzuca złociste błyski na szmaragdowe łuski okrywające ciało. Był wielkości niedużego psa, miał długą szyję, wygiętą w kształcie litery „s”, którą wieńczyła głowa podobna do głowy aligatora. Na grzbiecie spoczywały złożone skrzydła. Dwoma wyciągniętymi przed siebie łapami bił bez celu powietrze, kiedy Kulgan cały czas drapał go za brwiami. Długi ogon poruszał się rytmicznie, raz w lewo, raz w prawo, parę centymetrów nad podłogą.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł wysoki łucznik. Trzymał przed sobą oprawionego i nadzianego na żelazny szpikulec dzika. Podszedł bez słowa do kominka i zawiesił go nad ogniem. Fantus uniósł głowę i wykorzystując długą szyję, spojrzał ponad stołem. Błyskawicznie wysunął rozdwojony na końcu język, zeskoczył z ławy i pomaszerował z godnością w stronę paleniska. Wybrał sobie ciepłe miejsce przed ogniem, zwinął się w kłębek i zapadł w drzemkę, aby skrócić czas oczekiwania na kolację.

Chłop zdjął kapotę i powiesił na kołku przy drzwiach.

— Widzi mi się, że przed świtem burza przejdzie.

Powrócił do ognia. Z wina i ziół przyrządził sos do polania pieczeni. Puga zaskoczył widok długiej szramy przecinającej lewy policzek. W świetle rzucanym przez płomienie blizna wyglądała na krwawą i przerażającą.

Kulgan machnął fajką w stronę mężczyzny.

— Jak znam mego milczka, to na pewno nie poznaliście się jeszcze. Meecham, ten chłopiec ma na imię Pug i jest z głównego zamku Crydee.

Meecham szybko skinął głową, po czym znowu zajął się pieczeniem dzika.

W odpowiedzi Pug także kiwnął głową, chociaż uczynił to o ułamek sekundy za późno, aby mężczyzna mógł to zauważyć.

— Na śmierć zapomniałem podziękować panu za uratowanie przed dzikiem.

— Nie ma o czym mówić, chłopcze. Gdybym nie spłoszył bestii, pewnie by cię w ogóle nie zaatakowała.

Zostawił dzika i przeszedł do drugiej części pokoju. Z wiadra przykrytego kawałkiem płótna wyjął porcję ciasta z razowej mąki i zaczął ugniatać.

— Wiesz, panie — zwrócił się Pug do Kulgana — to jego strzała zabiła dzika. Miałem prawdziwe szczęście, że tropił właśnie to zwierzę.

Kulgan wybuchnął śmiechem.

— Tak się składa, że to biedne stworzenie, które jest najmilszym i najbardziej oczekiwanym gościem na naszej kolacji, tak samo jak ty padło ofiarą zbiegu okoliczności.

— Nie rozumiem, panie… — Pug zmieszał się.

Kulgan wstał i z najwyższej półki na księgi zdjął jakiś przedmiot, owinięty w ciemnoniebieski aksamit, i postawił na stole przed chłopcem. Pug domyślił się, że musi on posiadać wielką wartość, skoro do przykrycia go użyto tak cennego materiału. Kulgan odwinął aksamit i jego oczom ukazała się, iskrząca w świetle ognia, kryształowa kula. Z gardła zachwyconego przepięknym widokiem chłopca wyrwało się przeciągłe „ach!” Kula nie miała najmniejszej skazy i była wspaniała w prostocie swej formy.

Kulgan wskazał na nią palcem.

— Otrzymałem ją w darze od Althafaina z Carse, najbieglejszego w sztuce magii mistrza. Uznał mnie za godnego tego daru, ponieważ w przeszłości wyświadczyłem mu jedną czy dwie przysługi. Ale to nie jest istotne… opuściłem dzisiaj towarzystwo Althafaina i zaraz po powrocie do domu zacząłem sprawdzać działanie daru. Wpatrz się w głąb kuli, Pug.

Chłopiec zaczął wpatrywać się w kulę, śledząc wzrokiem migotanie ognia, który zdawał się tańczyć głęboko w jej wnętrzu. Zwielokrotnione setki razy odbicia pokoju zlewały się i wirowały, kiedy starał się skupić na pojedynczych obrazach we wnętrzu kuli. Falowały, mieszały się, aby po chwili zasnuć się mgiełką w rozmazane kształty. Delikatne, białawe lśnienie w samym środku kuli wyparło czerwień płomienia. Pug miał wrażenie, jakby jasna, promieniująca przyjemnym ciepłem plamka trzymała jego wzrok na uwięzi. Zupełnie jak milutkie ciepło kuchni zamkowej, pomyślał bezwiednie.

Mleczna biel we wnętrzu kuli zniknęła niespodziewanie i oczom chłopca ukazał się obraz kuchni. Gruby kucharz Alfan przygotowywał ciasta i zlizywał właśnie z paluchów słodkie okruchy. Sprowadziło to na jego głowę wybuch gniewu kuchmistrza Megara, który uważał oblizywanie palców za odrażający zwyczaj.

Pug roześmiał się, obserwując widzianą wielokrotnie przedtem scenę. Obraz zniknął niespodziewanie i chłopiec poczuł nagły przypływ zmęczenia.

Kulgan owinął kulę aksamitem i odstawił na miejsce.

— Nieźle się spisałeś — powiedział z namysłem w głosie. Stał przez dłuższą chwilę, obserwując chłopca i zastanawiając się nad czymś. Po chwili usiadł.

— Nigdy bym cię nie podejrzewał o to, że przy pierwszej próbie uda ci się wydobyć taki klarowny obraz. Wygląda na to, że jesteś kimś więcej niż się wydaje z pozoru…

— Słucham, panie?

— Nieważne. — Zamilkł na chwilę, a potem dodał: — Bawiłem się tą zabawką pierwszy raz. Chciałem sprawdzić, jak daleko potrafię sięgnąć wzrokiem. Wtedy właśnie wytropiłem ciebie. Dokładnie w chwili, kiedy starałeś się dotrzeć do drogi. Zauważyłem, że kulejesz i że jesteś poraniony. Natychmiast zrozumiałem, że nie zdołasz dotrzeć do miasta. Wysłałem więc Meechama, aby cię tutaj sprowadził.

Pug był zakłopotany tak niezwykłą troską. Zaczerwienił się po uszy. Z typową dla trzynastolatka wysoką oceną własnych możliwości powiedział:

— To nie było konieczne, panie. Zdążyłbym dojść do miasta na czas.

Kulgan uśmiechnął się.

— Być może, masz rację, chłopcze… ale z drugiej strony, jest także możliwe, że jej nie masz. Dzisiejsza burza i huragan są wyjątkowo, jak na tę porę roku, gwałtowne i niebezpieczne dla podróżnika.

Pug przysłuchiwał się delikatnym uderzeniom kropli deszczu o dach chatki. Burza przycichła, pomyślał. Zaczął powątpiewać w prawdomówność maga. Jakby czytając w myślach chłopca, Kulgan spojrzał na niego bystro.

— Uwierz mym słowom, chłopcze. Polanę tę chronią nie tylko wielkie drzewa. Gdybyś spróbował przekroczyć krąg, zakreślony przez dęby, które wytyczają granicę mojej ziemi, od razu odczułbyś w pełni furię huraganu. Meecham, jak oceniasz siłę wiatru?

Meecham odłożył bryłę ciasta na chleb, którą ugniatał, i zastanawiał się przez chwilę.

— Prawie tak silny jak ten, który trzy lata temu wyrzucił na brzeg sześć okrętów. — Przerwał na chwilę, jakby ponownie rozważając trafność sądu. Kiwnięciem głowy utwierdził się w swej ocenie. — Tak. Prawie tak samo straszny, chociaż nie będzie wiało tak długo, jak wtedy.

Pug przypomniał sobie, jak trzy lata temu wichura cisnęła flotyllę okrętów handlowych z Queg na skaliste urwisko Boleści Żeglarza. W kulminacyjnym momencie huraganu strażnicy, patrolujący mury obronne zamku, zostali zmuszeni do pozostania w wieżach, gdyż inaczej wiatr strąciłby ich na dół. Jeżeli ten huragan jest równie potężny, to czary Kulgana rzeczywiście musiały budzić respekt,

ponieważ odgłosy dochodzące z zewnątrz nie były donośniejsze niż w czasie wiosennego deszczyku.

Kulgan usiadł wygodniej na ławie i zajął się rozpalaniem wygasłej fajki. Kiedy wypuszczał kłęby jasnego, słodko pachnącego dymu, uwagę Puga przykuła półka z księgami, stojąca za plecami maga. Wargi chłopca poruszały się bezgłośnie, kiedy próbował odcyfrować tytuły na okładkach. Nic z tego. Nie rozumiał ani słowa.

Kulgan uniósł brew do góry.

— Zatem umiesz czytać, tak?

Pug podskoczył przestraszony. Obawiał się, że mógł obrazić maga, wtykając nos w nie swoje sprawy. Kulgan wyczuł jego zakłopotanie.

— Wszystko w porządku, chłopcze. To nie zbrodnia, że znasz litery.

Pug poczuł, że chwilowe skrępowanie mija.

— Trochę czytam, panie. Kucharz Megar nauczył mnie, jak odczytywać napisy na zapasach dla kuchni zamkowej w piwnicach. Znam się też trochę na liczbach.

— Patrzcie, patrzcie! I liczby także! — wykrzyknął mag dobrodusznie. — No, no. Rzadki z ciebie ptaszek.

Sięgnął za siebie i wyciągnął z półki jeden, oprawiony w czerwonobrązową skórę tom. Otworzył. Przyglądał się przez chwilę jednej stronie, potem następnej. Znalazł w końcu tę, która zdawała się spełniać jego oczekiwania. Odwrócił otwartą księgę i położył na stole przed Pugiem. Wskazał palcem na kartę iluminowaną wspaniałym, barwnym wzorem w kształcie węży, kwiatów i pnączy winorośli, otaczającym wielką literę w lewym, górnym rogu.

— Przeczytaj to, chłopcze.

Pug nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Jego lekcje ograniczyły się do czytania prostych liter, które Megar pisał kawałkiem węgla na zwykłym pergaminie. Siedział bez słowa, zafascynowany szczegółami rysunku. Po chwili zdał sobie sprawę, że Kulgan uważnie go obserwuje. Otrząsnął się i zaczął czytać.

— A potem przyszło wez… wezwanie z… — Zatrzymał się. Przyjrzał się uważniej słowu, przedzierając się przez nieznane mu, skomplikowane konstrukcje. — …Zacara. — Znowu przerwał. Spojrzał na Kulgana, szukając potwierdzenia, że dobrze przeczytał. Kulgan kiwnięciem głowy zachęcił do dalszego czytania.

— Północ bowiem miała być… zapomnian… zapomniana, ażeby serce imperium nie uschło… usychało z tęsknoty i wszystko zostało stracone. I chociaż urodzeni w Bosanii, żołnierze ci w swej służbie nadal byli wierni Wielkiemu Keshowi. A że Kesh był w wielkiej potrzebie, wzięli swój oręż, przywdziali pancerze i opuścili Bosanię, kierując swój okręt na południe, aby uchronić wszystko przed zagładą.

— Wystarczy — powiedział Kulgan. Delikatnie zamknął księgę. — Nieźle sobie radzisz jak na chłopaka ze służby zamkowej.

— Ta księga, panie… co to za księga? — spytał, kiedy Kulgan ją zabrał. — Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego.

Kulgan obrzucił go uważnym spojrzeniem, aż chłopiec znowu poczuł się nieswojo. Po chwili mag uśmiechnął się, przełamując tym napięcie. Odłożył księgę na miejsce.

— To historia tych ziem, chłopcze. Otrzymałem ją w darze od opata klasztoru w Ishap. Tłumaczenie tekstu z Keshu. Ma ponad sto lat.

Pug pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Jest tak dziwnie napisana. O czym to jest?

Kulgan jeszcze raz przyjrzał się chłopcu, jakby chciał go przejrzeć na wylot.

— Dawno, dawno temu, wszystkie te ziemie, od Bezkresnego Morza poprzez łańcuch Szarych Wież aż do Morza Gorzkiego, stanowiły część Imperium Wielkiego Keshu. Daleko na wschodzie, na maleńkiej wysepce istniało niewielkie królestwo Rillanon. Rozrastało się ono, obejmując swoją władzą coraz to nowe, sąsiednie wysepki-królestwa, aż stało się Królestwem Wysp. A potem znowu poszerzyło swoje panowanie, rozlewając się na stały ląd i teraz, chociaż nadal jest to Królestwo Wysp, większość z nas nazywa je po prostu „Królestwem”. My, mieszkańcy Crydee, także stanowimy jego część, chociaż mieszkamy w najbardziej odległym od stolicy Rillanon zakątku naszego państwa.

Kiedyś, dawno temu, Imperium Wielkiego Keshu porzuciło te ziemie, bo zaangażowało się w długotrwały i krwawy konflikt ze swoimi sąsiadami na południu, z Konfederacją Keshu.

Pug był całkowicie pochłonięty opowieścią o wielkości i wspaniałościach zaginionych imperiów, nie na tyle jednak, żeby nie zauważyć, że Meecham wkłada do pieca przy palenisku kilka małych, ciemnych bochenków chleba. Ponownie skierował uwagę na maga.

— Co to była ta Konfe…?

— Konfederacja Keshu — dokończył za niego Kulgan. — To grupa małych narodów, które od wieków funkcjonowały jako państwa lenne Wielkiego Keshu. Na kilkanaście lat przed napisaniem tej księgi skonfederowały się i wystąpiły przeciwko swemu gnębicielowi. Każde z osobna było za małe, aby przeciwstawić się Wielkiemu Keshowi. Po zjednoczeniu jednak stały się jego godnym przeciwnikiem. Przeciwnikiem równie silnym, jak się miało wkrótce okazać, ponieważ wojna ciągnęła się całymi latami. Imperium zostało zmuszone do usunięcia swoich legionów z północnych prowincji i przemieszczenia ich na południe. Tereny na północy stanęły otworem dla prężnego, młodego Królestwa.

Najmłodszy syn króla, dziadek księcia Borrica, poprowadził armię na wschód, rozszerzając granice Zachodnich Ziem. Od tamtych czasów wszystkie obszary,

stanowiące kiedyś imperialną prowincję Bosania, poza Wolnymi Miastami z Natalu, nazywane są Księstwem Crydee.

Pug zastanawiał się przez chwilę.

— Chciałbym kiedyś odwiedzić Wielki Kesh.

Meecham parsknął nagle, co w jego wydaniu miało pewnie oznaczać śmiech.

— Jako kto? Korsarz?

Pug poczuł, że się czerwieni. Korsarze byli ludźmi bez ziemi. Najemnikami, którzy walczyli za pieniądze. W hierarchii społecznej stali tylko o szczebel wyżej niż wyjęci spod prawa.

— Być może, któregoś dnia sam się tam wyprawisz. Droga wprawdzie daleka i pełna niebezpieczeństw, ale bywało, że śmiałkom o odważnych sercach udawało się przeżyć podróż. Zdarzały się już przecież rzeczy bardziej zdumiewające.

Rozmowa skierowała się na bardziej przyziemne tematy. Mag ponad miesiąc przebywał na południu, w warowni Carse i był spragniony najświeższych plotek z Crydee. Kiedy chleb się upiekł, Meecham podał jeszcze gorący na stół. Pokroił mięso dzika i postawił na stole półmiski z serem i zieleniną. Pug jeszcze nigdy w życiu nie jadł tak dobrze. Nawet wtedy, kiedy pracował w kuchni, jego pozycja chłopaka do posług zapewniała mu tylko kiepskie posiłki. W czasie jedzenia Pug zauważył, że mag przypatruje mu się intensywnie.

Po skończonej kolacji Meecham sprzątnął ze stołu i zaczął zmywać naczynia czystym piaskiem w świeżo przyniesionej wodzie. Kulgan i Pug rozmawiali dalej. Na stole został jeszcze jeden kawałek mięsa, który Kulgan cisnął wylegującemu się przed ogniem Fantusowi. Smok otworzył jedno oko i przyjrzał się kąskowi. Zastanawiał się przez moment: czy porzucić wygodne miejsce wypoczynku, czy też ruszyć po soczysty kawał mięsiwa. Przesunął się w końcu o niezbędne kilkanaście centymetrów i jednym ruchem szczęk pochłonął nagrodę, po czym ponownie zamknął oko.

Kulgan zapalił fajkę i po chwili, kiedy ilość produkowanego przez nią dymu zadowoliła go, zapytał: — Co zamierzasz robić, kiedy dorośniesz, chłopcze?

Pug od pewnego czasu usiłował zwalczyć ogarniającą go senność. Pytanie Kulgana postawiło go na nogi. Zbliżał się czas Wyboru, kiedy chłopcy z zamku i miasta byli brani do nauki rzemiosła. Podekscytowany chłopiec odpowiedział:

— W tym roku, w dniu Przesilenia Letniego mam nadzieję być przyjętym do służby dla Księcia pod dowództwem Mistrza Miecza Fannona.

Kulgan przyjrzał się uważnie swemu szczupłemu gościowi.

— Sądziłem, że masz jeszcze rok czy dwa do terminu.

Meecham wydał jakiś dźwięk — coś pośredniego między krótkim, urywanym śmiechem a chrząknięciem.

— Trochę za mikry jesteś, żeby targać miecz i tarczę. Nieprawda, chłopcze?

Pug zaczerwienił się. Wśród swoich rówieśników na zamku był najmniejszy i najszczuplejszy.

— Kucharz Megar mówi, że podrosnę trochę później niż reszta — powiedział z lekką nutką przekory. — Ponieważ nikt nie wie, kim byli moi rodzice, nie wiadomo, czego można się po mnie spodziewać.

— Jesteś sierotą, co? — spytał Meecham, unosząc brew do góry. Był to najbardziej wyrazisty gest, na jaki się zdobył do tej pory.

Pug przytaknął ruchem głowy.

— Jakaś kobieta zostawiła mnie w górach, w klasztorze kapłanów Dala. Twierdziła, że znalazła mnie na drodze. Przywieźli mnie do zamku, bo u siebie nie mieli warunków, aby zajmować się dzieckiem.

— Tak — wszedł mu w słowo Kulgan. — Pamiętam, jak czciciele Tarczy Słabych przynieśli cię po raz pierwszy na zamek. Byłeś ledwo niemowlakiem, świeżo odstawionym od cycka. Jedynie łasce Księcia zawdzięczasz, że jesteś dziś wolnym człowiekiem. Książę uważał, że mniejszym złem będzie obdarzyć wolnością niewolnika, niż uczynić niewolnikiem kogoś, kto z urodzenia mógł być wolny. Nie posiadając żadnego dowodu, miał pełne prawo ogłosić cię niewolnikiem.

— Książę to ludzkie panisko — odezwał się bez specjalnego związku Meecham.

Pug setki razy słyszał w kuchni zamkowej historię swego pochodzenia od Magyi. Był śmiertelnie zmęczony i z najwyższym trudem bronił się przed zaśnięciem. Kulgan spostrzegł to i dał znak Meechamowi. Wysoki chłop zdjął z półki kilka koców i przygotował posłanie. Zanim skończył, Pug już spał w najlepsze z głową opartą o stół. Potężny mężczyzna podniósł go delikatnie ze stołka, położył na kocach i przykrył.

Fantus otworzył oczy i spojrzał na chłopca. Rozdziawił paszczę, ziewając potężnie, i poczłapał w jego stronę. Ułożył się wygodnie, wtulając w ciepłe ciało. Pug przewrócił się we śnie na bok i objął ramieniem szyję smoka. Z gardła stwora wydobył się głęboki pomruk zadowolenia i smok zamknął ślepia.

# Rozdział 2

# W terminie

W lesie panowała cisza.

Słaby i przyjemnie chłodny wiaterek poruszał delikatnie liśćmi wysokich dębów. Ptaki, które wypełniały las świergotliwym chórem o wschodzie i zachodzie słońca, o tej porannej godzinie zachowywały się cicho. Powiewy słonej, morskiej bryzy mieszały się ze słodkim aromatem kwiatów i ostrym zapachem gnijących liści.

Pug i Tomas szli powolutku leśną ścieżką, przystając co chwila i zaglądając w każdy kąt, jak to chłopcy, którzy nie mają żadnego konkretnego celu swojej wędrówki, za to mnóstwo czasu, aby tam dotrzeć. Pug cisnął odłamkiem skały w wyimaginowany cel. Odwrócił się i spojrzał na swego towarzysza.

— Twoja mama nie wściekała się chyba, co?

— Nie. — Tomas uśmiechnął się. — Rozumie się na rzeczy. Przecież widywała już innych chłopaków w dniu Wyboru w przeszłości. A poza tym, szczerze mówiąc, byliśmy dzisiaj dla niej większą zawadą w kuchni niż pomocą.

Pug kiwnął głową. On sam rozlał dzisiaj garniec cennego miodu, kiedy niósł go do cukiernika Alfana. A potem wywalił na ziemię całą tacę świeżo upieczonych bochenków chleba, kiedy wyjmował je z pieca.

— Chyba zrobiłem dziś z siebie głupka, Tomas.

Tomas roześmiał się. Był wysoki, miał bardzo jasne włosy koloru piasku i jasnoniebieskie oczy. Uśmiechał się często i był bardzo lubiany przez mieszkańców zamku, mimo że — jak to chłopiec — sprawiał często kłopoty. Był najbliższym przyjacielem Puga, może nawet więcej niż przyjacielem, prawie bratem. Dlatego też inni chłopcy, których nieoficjalnym przywódcą był Tomas, tolerowali Puga.

— Nie bardziej niż ja. Ty chociaż nie zapomniałeś, że mięso trzeba powiesić wysoko.

Pug wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Przynajmniej psy księcia miały uciechę — parsknął śmiechem. — Marna jest zła, prawda?

Tomas śmiał się ze swoim przyjacielem.

— Wściekła. Całe szczęście, że psy zeżarły tylko trochę, zanim wyrzuciła je z kuchni. A w ogóle to najbardziej się złości na ojca. Mówi, że Wybór to tylko przykrywka dla wszystkich Mistrzów Rzemiosł, dzięki temu mogą przez cały dzień siedzieć na tyłku, kopcić fajkę, chlać piwo i gadać, gadać i jeszcze raz gadać. Marna uważa, że każdy z nich już od dawna dobrze wie, którego chłopca wybierze.

— Z tego, co słyszałem od innych kobiet, nie jest w swojej opinii odosobniona — powiedział Pug. Uśmiechnął się szeroko i dodał: — I chyba się nie mylą.

Tomas spoważniał nagle.

— Ona naprawdę nie lubi, kiedy go nie ma w kuchni i nie panuje nad wszystkim. I chyba zdaje sobie z tego sprawę. Dlatego pozbyła się nas dziś rano, żeby nie wyładowywać na nas swego rozdrażnienia. Przynajmniej na tobie — dodał, uśmiechając się do Puga pytająco. — Głowę daję, że jesteś jej oczkiem w głowie.

Pug znowu wybuchnął śmiechem.

— Ja po prostu sprawiam mniej kłopotów.

Tomas żartobliwie trzepnął go w ramię.

— Chciałeś chyba powiedzieć, że ciebie rzadziej przyłapują na gorącym uczynku.

Pug rozchylił koszulę i wyciągnął procę.

— Jeżeli wrócimy z parką kuropatw albo przepiórek, może odzyska dobry humor.

— Niewykluczone — zgodził się Tomas, wyciągając swoją procę.

Obaj chłopcy byli wybornymi procarzami. Tomas był bez wątpienia niekwestionowanym mistrzem pośród chłopców i tylko nieznacznie wyprzedzał Puga. Mało prawdopodobne, aby któryś z nich ustrzelił ptaka w locie, ale gdyby udało im się podejść siedzącego, mieli duże szanse, że go trafią. Poza tym polowanie pozwoliłoby im jakoś zabić czas i chociaż na chwilę zapomnieć o Wyborze.

Z przesadną ostrożnością zaczęli się skradać ścieżką. Po chwili zeszli z niej i Tomas wziął na siebie rolę przewodnika. Kierowali się w stronę znanego im i niezbyt oddalonego śródleśnego jeziorka. Wytropienie dzikiego ptactwa o tej porze dnia było raczej niemożliwe, chyba że udałoby im się trafić na jakieś stadko. Najwięcej szans mieli w pobliżu wody. Lasy na północny wschód od miasta Crydee nie były tak posępne, jak wielka puszcza na południu. Prowadzona od lat wycinka drzew sprawiła, że zielone poręby i polany pełne były rozświetlonej promieniami słońca przejrzystości i lekkości, nieznanych w głębokich ostępach południowych lasów. Dla chłopców z zamku od lat był to często odwiedzany teren zabaw. Przy odrobinie wyobraźni las zamieniał się w cudowne, tajemnicze miejsce, zielony świat wielkiej przygody. Tereny te były widownią najznamienitszych wyczynów. Drzewa przypatrywały się w milczeniu śmiałym ucieczkom, przerażającym pościgom i zażartym bojom, kiedy chłopcy dawali upust marzeniom o zbliżającym się

wieku męskim. Toczono tutaj zacięte i zawsze zwycięskie bitwy z potężnymi i odrażającymi stworami, potworami i bandami rzezimieszków wyjętych spod prawa. Potyczki te często kończyły się śmiercią wielkiego bohatera, potem zaś następowała koniecznie stosowna mowa pożegnalna, wygłaszana do opłakujących go towarzyszy walki. Wszystkie te wydarzenia zajmowały zwykle akurat tyle czasu, aby wrócić w porę do zamku na kolację.

Tomas dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia, górującego nad jeziorkiem. Od strony wody był zasłonięty młodą buczyną. Rozsunął gałązki, aby móc obserwować teren przed sobą. Przejęty grozą zamarł w bezruchu.

— Pug, patrz! — szepnął.

Na brzegu jeziora stał jeleń. Uniósł wysoko głowę, nasłuchiwał i węszył, starając się określić źródło tego, co mu przerwało picie wody. Zwierzę było bardzo stare. Prawie wszystkie włosy na pysku miało siwe. Głowę zwieńczały wspaniałe rogi.

— Czternaście odnóg — szybko policzył Pug.

Tomas potwierdził ruchem głowy.

— To chyba najstarszy byk w puszczy.

Jeleń zwrócił się w stronę chłopców, nerwowo poruszając uchem. Zamarli w bezruchu, nie chcąc spłoszyć tak wspaniałego stworzenia. Przez długą chwilę, w absolutnej ciszy byk obserwował wzniesienie. Węszył intensywnie, a potem opuścił głowę i zaczął pić.

Tomas ścisnął Puga za ramię. Ruchem wskazał w bok. Wzrok Puga powędrował w kierunku wskazanym przez Tomasa. Ujrzał postać cicho wkraczającą na polanę. Był to wysoki mężczyzna, ubrany w skórzaną kurtę, ufarbowaną na zielony, leśny kolor. Na jego plecach wisiał łuk, a przy pasie myśliwski nóż. Kaptur zielonej kurty odrzucony był na plecy. Zbliżał się do jelenia równym, spokojnym krokiem.

— To Martin — szepnął Tomas.

Pug również rozpoznał wielkiego łowczego Księcia. Jak Pug, był on także sierotą, a ponieważ okazał się niedościgłym mistrzem w strzelaniu z długiego łuku bojowego, załoga zamku nazwała go Długi Łuk. I tak już pozostało. Chociaż było w nim coś tajemniczego, chłopcy go bardzo lubili. W kontaktach z dorosłymi Martin trzymał dystans, ale w stosunku do chłopaków był zawsze otwarty i przyjazny. Jako wielki łowczy, Martin był również książęcym leśniczym. Ze względu na swoje obowiązki całymi dniami, a czasem i tygodniami, przebywał poza zamkiem. Rozsyłał swoich tropicieli na wszystkie strony świata, by poszukiwali śladów kłusownictwa, miejsc grożących pożarem, wędrujących goblinów czy też leśnych obozowisk wyjętych spod prawa bandytów. Kiedy jednak był w zamku i akurat nie organizował polowania dla Księcia, zawsze znajdował czas dla chłopców. Za każdym razem, kiedy dokuczali mu, zasypując natarczywymi pytaniami o tajniki lasu lub błagając o opowieści z pogranicza Crydee, jego ciemne oczy

rozświetlały wesołe iskierki. Zdawało się, że jego cierpliwość nie zna granic. Wyróżniał się tym spośród większości innych mistrzów rzemiosł z miasta i zamku.

Martin podszedł do byka. Łagodnie wyciągnął rękę i dotknął jego karku. Ogromny łeb podniósł się do góry i jeleń wepchnął mu pysk pod ramię.

— Jeżeli wyjdziecie po cichu i nie odezwiecie się ani słowem, może pozwoli wam się zbliżyć — szepnął Martin.

Tomas i Pug wymienili zaskoczone spojrzenia, po czym wyszli na otwartą przestrzeń. Szli powoli, okrążając jeziorko. Jeleń śledził ich zbliżanie się, obracając głowę. Drżał lekko. Martin poklepał go uspokajająco i byk złagodniał. Tomas i Pug podeszli i stanęli przy myśliwym.

— Wyciągnijcie ręce i dotknijcie go. Tylko powolutku, żeby się nie przestraszył — powiedział Martin.

Tomas pierwszy wyciągnął dłoń. Zwierzę zadrżało pod dotykiem. Pug zaczął wyciągać rękę, ale byk cofnął się o krok. Martin zamruczał coś do niego w języku, którego Pug nigdy nie słyszał, i zwierzę stanęło spokojnie. Pug dotknął go i nie mógł się nadziwić miękkości i puszystości sierści. Wrażenie podobne do tego, kiedy dotykał wyprawionych skór, a jednak zupełnie inne, kiedy pod palcami czuł pulsujące życie.

Nagłym ruchem byk cofnął się i odwrócił. Potem, jednym długim susem skoczył między drzewa i zniknął. Martin Długi Łuk zachichotał.

— No i dobrze. Niech się lepiej za bardzo nie spoufala z ludźmi. W przeciwnym razie jego wieniec zawisłby wkrótce nad kominkiem jakiegoś kłusownika.

— Jaki on piękny, Martin — wyszeptał Tomas.

Długi Łuk pokiwał głową, nie spuszczając oczu z miejsca, w którym jeleń zniknął w gęstwinie.

— O tak, Tomas. O tak.

— A ja zawsze myślałem, że ty polujesz na jelenie, Martin. Jak… — zaczął Pug.

— Między mną a Starym Siwobrodym nawiązała się nić porozumienia, Pug. Rodzaj umowy. Poluję tylko na samotne byki bez łań albo na łanie, które są już zbyt stare, aby mieć młode. Jeżeli któregoś dnia jakiś młody byczek odbierze harem Siwobrodemu, być może wezmę się i za niego. Na razie każdy z nas pilnuje własnego nosa. Wiem jednak, że nadejdzie taki dzień, gdy moje oko i ręka wycelują grot strzały w jego serce. — Uśmiechnął się do chłopców. — Aż do chwili kiedy to nastąpi, nie będę wiedział, czy wypuszczę tę strzałę czy też nie. Może tak… a może nie… — Zamilkł na chwilę, jak gdyby myśl o tym, że Siwobrody zestarzeje się, zasmuciła go. Lekki wietrzyk zaszeleścił liśćmi na drzewach.

— No tak, my tu gadu, gadu, a ja nie wiem, cóż to sprowadza dwóch śmiałych myśliwych do książęcego lasu o tak wczesnej godzinie poranka? W dniu obchodów Święta Przesilenia Letniego jest chyba mnóstwo innych rzeczy do zrobienia, co?

— Moja mama wyrzuciła nas z kuchni — odpowiedział Tomas. — Tylko jej przeszkadzaliśmy. Dzisiaj dzień Wyboru, więc… — Głos mu się załamał. Poczuł się nagle zakłopotany. Duża część tajemniczej sławy, jaką cieszył się Martin, wywodziła się z czasów, kiedy po raz pierwszy pojawił się w Crydee. Podczas ceremonii Wyboru, kiedy on sam był chłopcem, zamiast stanąć, jak wszyscy inni w jego wieku przed zgromadzeniem mistrzów rzemiosł, został przydzielony osobiście przez samego Księcia pod skrzydła starego wielkiego łowczego. Złamanie jednej z najstarszych tradycji obraziło wielu mieszczan, chociaż żaden z nich nie ośmielił się otwarcie wyrazić swych odczuć wobec księcia Borrica. I jak to bywa w podobnych sytuacjach, to Martin, a nie Książę, stał się obiektem gniewu ludu. Przez te wszystkie lata Martin z nawiązką udowodnił, że decyzja Księcia była słuszna. Nadal jednak wielu było niezadowolonych, że został specjalnie wyróżniony przez ich władcę. Nawet teraz, po jedenastu latach, niektórzy uważali go za odmieńca, a więc niegodnego zaufania.

— Przepraszam, Martin — powiedział Tomas.

Martin przyjął przeprosiny kiwnięciem głowy, ale nie było mu wesoło.

— Rozumiem cię, Tomas. Chociaż ja sam nie doświadczałem waszej niepewności, widziałem wielu innych, którzy oczekiwali dnia Wyboru. A poza tym od czterech lat jestem członkiem zgromadzenia mistrzów i wierz mi, że trochę rozumiem wasz niepokój.

Przez głowę Puga przeleciała pewna myśl. Nie zastanawiając się długo, wypalił:

— Ale przecież nie jesteś teraz z innymi mistrzami.

Martin pokręcił głową, a przez spokojną dotąd twarz przebiegł cień.

— Nie sądziłem, że teraz, kiedy masz głowę zaprzątniętą innymi myślami, zauważysz ten oczywisty fakt. Bystry jesteś, Pug.

Tomas przez chwilę nie mógł się połapać, o czym mówią. W końcu go olśniło.

— Więc nie wybierzesz żadnego terminatora!

Martin podniósł palec do ust.

— Trzymaj język za zębami, bracie. Masz rację. Nie biorę nikogo. Z Garretem, wybranym w zeszłym roku, mam komplet tropicieli.

Tomas był rozczarowany. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnął służby pod Mistrzem Miecza Fannonem. Gdyby jednak miał nie być przez niego wybranym na żołnierza, chciałby wieść życie leśnika, służąc pod komendą Martina. Teraz druga z tych możliwości została mu odebrana. Po chwili ponurych rozważań rozchmurzył się. A może Martin go nie wybrał, bo uczynił to już Fannon?

Pug widząc, że jego przyjaciel, rozważając wszystkie możliwe rozwiązania, wplątał się w błędne koło ni to uniesienia, ni to depresji, zwrócił się do łowczego:

— Martin, nie było cię na zamku ponad miesiąc. — Odłożył trzymaną cały czas w ręku procę. — Gdzie się podziewałeś?

Martin spojrzał na niego. Nim skończył mówić, Pug pożałował swojego pytania. Choć bardzo dla nich przyjacielski i miły, był przecież Martin wielkim łowczym, członkiem domu książęcego i nie było przyjęte, aby chłopcy ze służby zadawali ludziom Księcia pytania o to, co ostatnio porabiali.

Martin uspokoił obawy chłopca lekkim uśmiechem.

— Byłem w Elvandar. Królowa Aglaranna zakończyła okres dwudziestoletniej żałoby po swym mężu, królu Elfów. Uczczono to wielką i wspaniałą uroczystością.

Odpowiedź zaskoczyła Puga. Dla niego, jak i dla większości mieszkańców Crydee, Elfy były czymś z pogranicza prawdy i legendy. Martin jednak spędził swą młodość w pobliżu lasów Elfów i był jedną z nielicznych istot ludzkich, które mogły do woli wędrować po tych północnych lasach. I to także, między innymi, przyczyniało się do tego, że Martin stał jakby trochę z boku, był inny niż wszyscy. Chociaż opowiadał już kiedyś chłopcom o Elfach, teraz po raz pierwszy, jak Pug sięgał pamięcią, wspomniał o swych kontaktach z nimi.

— Chcesz powiedzieć, że ucztowałeś z królową Elfów? — wyjąkał.

Martin przybrał pozę skromnej obojętności.

— Co prawda siedziałem przy stole najbardziej oddalonym od tronu, ale byłem tam. — Widząc w ich oczach nie zadane pytanie, ciągnął dalej: — Jak wam wiadomo, jako młody chłopiec byłem wychowywany przez mnichów z klasztoru Silbana, w pobliżu lasu Elfów. Bawiłem się z ich dziećmi, a zanim przybyłem tutaj, polowałem z księciem Calinem i jego kuzynem Galainem.

Tomas omal nie podskoczył do góry z wrażenia. Temat Elfów zawsze wyjątkowo go fascynował.

— Znałeś króla Aidana?

Twarz Martina zachmurzyła się nagle. Oczy zwęziły się w wąskie szparki. Zaczął zachowywać się sztywno i z dystansem.

Tomas spostrzegł jego reakcję.

— Przepraszam, Martin. Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

Martin machnął ręką, że nic nie szkodzi.

— To nie twoja wina, Tomas — powiedział i ciągnął łagodniejszym tonem. — Elfy nigdy nie wypowiadają głośno imion tych, którzy udali się na Błogosławione Wyspy, a już szczególnie tych, którzy odeszli przedwcześnie. Wierzą, że wypowiedzenie imienia odwołuje ich z podróży i pozbawia wiecznego odpoczynku. Szanuję ich wierzenia.

No tak. Ale wracając do twego pytania. Nie, nigdy go nie spotkałem. Został zabity, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Słyszałem jednak opowieści o jego czynach. To był naprawdę dobry i mądry król. — Martin rozejrzał się dookoła. — Zbliża się południe. Powinniśmy chyba już wracać na zamek.

Ruszył w stronę ścieżki. Chłopcy szli obok niego.

— Jak wyglądała uczta, Martin? — spytał Tomas.

Pug wzdychał głęboko, kiedy myśliwy zaczął opowiadać o wspaniałościach Elvandaru. Jego także bardzo ciekawiły opowieści o Elfach, lecz nigdy w takim stopniu jak Tomasa, który godzinami mógł przysłuchiwać się opowieściom o mieszkańcach puszczy Elfów, bez względu na wiarygodność opowiadającego. Przynajmniej w wielkim łowczym, myślał Pug, mieli naocznego świadka, na którym mogli polegać. Głos Martina brzęczał monotonnie i myśli chłopca zaczęły błądzić ponownie wokół Wyboru. Chociaż powtarzał sobie, że nie trzeba się martwić, ciągle to czynił. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że nadchodzącego popołudnia oczekiwał z uczuciem, które nie było wcale takie dalekie od przerażenia.

* * *

Chłopcy zgromadzili się na dziedzińcu. Był dzień Przesilenia Letniego, dzień, w którym kończył się stary rok i rozpoczynał nowy. Od dzisiaj wszyscy mieszkańcy zamku będą o rok starsi. Dla kręcących się po podwórcu chłopców był to dzień bardzo ważny: ostatni dzień ich wieku chłopięcego. Dzisiaj miał nastąpić Wybór.

Pug szarpał nerwowo kołnierz tuniki. Nie była nowa. To stara bluza Tomasa, ale najmniej używana, jaką kiedykolwiek Pug posiadał. Magya, matka Tomasa, przerobiła ją tak, żeby pasowała na mniejszego chłopca. Chciała, aby Pug prezentował się porządnie przed Księciem i całym dworem. Ze wszystkich mieszkańców zamku, Magya i jej mąż Megar, kucharz, byli najbliższymi Pugowi ludźmi. Prawie jak rodzice. Pielęgnowali go w chorobach, karmili, a kiedy zasłużył, to i wytargali za uszy. Kochali go tak, jakby był bratem Tomasa.

Pug rozejrzał się dookoła. Wszyscy chłopcy byli ubrani odświętnie w swoje najlepsze stroje. W ich krótkim życiu był to jeden z najważniejszych dni. Każdy z nich stanie przed zgromadzeniem mistrzów rzemiosł i urzędników Księcia, które będzie rozważać ich kandydatury do terminu. Był to pochodzący z zamierzchłych czasów rytuał, ponieważ rzeczywisty wybór już został dokonany. Rzemieślnicy i urzędnicy dworscy strawili długie godziny na dyskusjach i rozważaniu zalet każdego chłopca i dobrze wiedzieli, którego z nich i do jakiej służby powołają.

Praktykowanie zasady, że każdy chłopiec pomiędzy ósmym a trzynastym rokiem życia pracował lub pełnił służbę we wszystkich zawodach i dziedzinach życia społecznego, okazało się na przestrzeni lat bardzo mądrą regułą, dzięki której wyłaniano kandydata najbardziej przydatnego w każdej z nich. Praktyka ta zapewniała ponadto, w przypadku nagłej potrzeby, rezerwową kadrę wstępnie przygotowanych specjalistów w każdym fachu. Wadą było to, że niektórzy chłopcy nie

byli nigdy wybierani do żadnego zawodu czy na stanowisko przy dworze. Czasami na jedno miejsce było wielu kandydatów, a kiedy indziej z kolei uważano, że mimo potrzeby nie było ani jednego odpowiedniego, który by spełniał wymagane warunki. Nawet kiedy liczba chłopców i możliwości ich zatrudnienia były dobrze dopasowane, jak w tym roku, nie było gwarancji. Dla tych, którzy mieli wątpliwości, był to czas pełnego napięcia oczekiwania.

Pug bezmyślnie szurał nogami w kurzu dziedzińca. W przeciwieństwie do Tomasa, któremu udawało się wszystko, za co się zabrał, on starał się zawsze zbyt mocno i w rezultacie partaczył robotę. Rozejrzał się i spostrzegł, że kilku innych chłopców również okazywało zdenerwowanie. Niektórzy opowiadali sobie pieprzne kawały udając, że nie obchodzi ich, czy zostaną wybrani czy nie. Inni, podobnie jak Pug, stali zatopieni we własnych myślach, starając się nie zastanawiać się nad tym, co zrobią ze sobą, jeżeli nie zostaną wybrani.

Pug, jeżeli nie zostanie wybrany, podobnie jak inni będzie mógł swobodnie opuścić Crydee i próbować szczęścia w innym mieście. Jeżeli zdecyduje się pozostać, będzie musiał albo uprawiać ziemię książęcą jako wolny chłop, albo zostać rybakiem na jednej z miejskich łodzi. Żadna z tych perspektyw zupełnie mu nie odpowiadała, ale też nie mógł sobie wyobrazić opuszczenia Crydee.

Pug pamiętał, co poprzedniego wieczora powiedział mu Megar. Stary kucharz ostrzegł go, aby nie trapił się zbytnio Wyborem. W końcu, wskazał, wielu terminatorów nie dochodziło nigdy do stopnia czeladnika, a w ogóle, kiedy na to spojrzeć szerzej, to w Crydee było więcej ludzi bez fachu niż z fachem. Megar uwypuklił mocno fakt, że wielu synów rybaków i rolników zaniechało uczestnictwa w Wyborze, aby pójść w ślady swych ojców. Pug zastanawiał się, czy dzień Wyboru samego Megara był już tak dawno, że stary zapomniał, jak to nie wybrani chłopcy stoją pod ostrzałem spojrzeń mistrzów rzemiosł, mieszczan i świeżo wybranych terminatorów czekając, aż zostanie wywołane ostatnie imię, a oni, okryci hańbą, zostaną odprawieni z kwitkiem.

Pug usiłował ukryć zdenerwowanie. Przygryzł dolną wargę. Nie należał co prawda do tych, którzy w przypadku pominięcia przy Wyborze mieliby rzucić się w przepaść z urwiska Boleści Żeglarza, jak to zdarzyło się już kilka razy w przeszłości, nie mógł jednak znieść myśli, że będzie musiał stanąć twarzą w twarz z wybranymi chłopcami.

Stojący koło swojego niższego przyjaciela Tomas uśmiechnął się do niego. Wiedział dobrze, że Pug jest szalenie zdenerwowany, ale nie był w stanie w pełni mu współczuć, ponieważ w nim samym narastało ogromne napięcie. Ojciec powiedział mu, że mistrz miecza Fannon jego właśnie wywoła jako pierwszego. Co więcej, mistrz przyznał po cichu, że jeśli Tomas sprawi się dobrze w nauce i ćwiczeniach, może nawet zostać członkiem gwardii przybocznej Księcia. Byłby to dla niego niezwykły honor i wyróżnienie, dające mu jednocześnie szansę na

awans. Niewykluczone, że już po piętnastu, dwudziestu latach służby w gwardii mógłby się dochrapać stopnia oficerskiego.

Szturchnął Puga pod żebra. Na górującym ponad dziedzińcem krużganku pojawił się właśnie herold. Dał znak wartownikowi, a ten otworzył małą furtkę w wielkiej bramie. Weszli Mistrzowie Rzemiosł. Przecięli podwórzec i zajęli miejsce u stóp szerokich schodów, wiodących do zamku wewnętrznego. Jak kazał zwyczaj, oczekując na przybycie Księcia, stali obróceni tyłem do chłopców.

Ogromne dębowe wrota zamku głównego zaczęły się rozwierać ociężale i z godnością. Na zewnątrz wybiegło kilku wartowników w złotobrunatnych barwach Księcia. Sprawnie zajęli swoje stanowiska na schodach. Na kaftanach straży widniał herb miasta — złocista mewa Crydee, a nad nią niewielka złota korona, symbolizująca przynależność Księcia do królewskiego rodu.

— Słuchajcie mnie! — zakrzyknął herold pełnym głosem. — Słuchajcie! Jego Miłość Borric conDoin; trzeci książę Crydee; książę Królestwa; pan Crydee, Carse i Tulan; strażnik Zachodu; generał Armii Królewskich; potencjalny następca tronu w Rillanon…

Kiedy lista jego godności i funkcji skończyła się, Książę, który do tej pory stał cierpliwie w głębi wrót, wystąpił do przodu i stanął w pełnym słońcu.

Książę Crydee był już po pięćdziesiątce, lecz ciągle poruszał się z gracją i pewnością urodzonego wojownika. Gdyby nie siwizna, która przyprószyła na skroniach ciemnokasztanowe włosy, można by przypuszczać, że jest o dwadzieścia lat młodszy. Ubrany był od stóp do głów w czerń. Czcił tym żałobnym ubiorem pamięć swej ukochanej żony, Catherine, którą utracił siedem lat temu. U jego boku, w czarnej pochwie, wisiał miecz ze srebrną rękojeścią. Na palcu błyszczała jedyna ozdoba, na jaką sobie pozwalał — książęcy pierścień.

Herold podniósł głos.

— Ich Królewskie Wysokości, książęta Lyam conDoin i Arutha conDoin, następcy Domu Crydee; kapitanowie Królewskiej Armii Zachodu; książęta domu królewskiego w Rillanon.

Obydwaj synowie wysunęli się do przodu i stanęli za ojcem. Dwaj młodzieńcy byli tylko o sześć i cztery lata starsi od terminatorów, ponieważ Książę ożenił się późno. Różnica pomiędzy kandydatami do terminu, stojącymi niepewnie na środku dziedzińca, a synami Księcia nie sprowadzała się jedynie do kilkuletniej różnicy wieku. Obaj młodzi Książęta byli spokojni, opanowani i pewni siebie.

Starszy z nich, Lyam, stał po prawicy ojca. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o jasnych włosach. Szeroki uśmiech nieodparcie przywodził na pamięć jego matkę. Zawsze wyglądał tak, jakby za moment miał wybuchnąć śmiechem. Ubrany był w jasnoniebieską tunikę i żółte nogawice. Twarz okalała mu krótko przycięta, równie jasna, jak sięgające do ramion włosy, broda.

Podczas gdy Lyam był dzieckiem światła i dnia, Arutha był synem cienia i nocy. Wzrostem prawie dorównywał bratu i ojcu. Gdy oni byli jednak przy tym silnej

postury, on był smukły i długonogi, niemal chudy. Miał na sobie brunatną tunikę i nogawice rdzawego koloru. Jego włosy były ciemne, a twarz gładko ogolona. Arutha we wszystkim, co robił, był szybki. Jego siła polegała właśnie na szybkości: szybkości rapiera i bystrości umysłu. Był trochę oschły i miał cięty język. Lyam był otwarcie kochany i uwielbiany przez poddanych Księcia, Aruthę zaś darzono raczej szacunkiem i podziwiano za zdolności, nie żywiąc jednak w stosunku do niego cieplejszych uczuć.

Obaj synowie posiadali razem złożoną naturę rodzica. Bo też i Książę był jednakowo zdolny do okazywania rubasznego poczucia humoru Lyama, jak i do mrocznych nastrojów Aruthy. Temperamenty obu synów były dokładnym przeciwieństwem. Jeden i drugi wszakże byli bardzo wartościowymi ludźmi, a ich talenty miały się w przyszłości przydać Księstwu i Królestwu. Książę darzył obu jednakową wielką miłością.

Znowu dał się słyszeć głos herolda.

— Księżniczka Carline, córka domu królewskiego. — Wysmukła, pełna wdzięku dziewczyna, która wkroczyła z gracją na dziedziniec, była w tym samym wieku, co stojący niżej chłopcy. Już teraz jednak, z jej godnej postawy i gracji przebijały cechy kogoś stworzonego do władania innymi. Widać także było oznaki wielkiej piękności odziedziczonej po zmarłej matce. Delikatna, żółta suknia kontrastowała wyraźnie z prawie czarnymi włosami. Oczy miała jasnobłękitne jak Lyam i takie same, jak ich zmarła matka. Kiedy siostra podeszła do nich i stanęła przy ojcu, biorąc go pod ramię, Lyam rozpromienił się. Nawet Arutha zdobył się na jeden z rzadkich u niego uśmiechów. Carline była droga także jego sercu.

Wielu chłopców ze służby zamkowej kochało się skrycie w Księżniczce. Wykorzystywała to często w czasie kłótni czy wspólnych psot. Tym razem jednakże nawet jej obecność nie była w stanie odwieść myśli chłopców od głównego wydarzenia dnia.

Weszli dostojnicy książęcego dworu. Pug i Tomas zauważyli, że nie zabrakło żadnego z nich. Obecny był nawet Kulgan. Od tamtej burzliwej nocy Pug widział Kulgana kilka razy na zamku, raz nawet zamienił z nim parę słów. Kulgan zapytał chłopca, jak się ma i co porabia. Przeważnie jednak mag nie pokazywał się za często. Chłopiec był nawet trochę zdziwiony jego obecnością, ponieważ nie uważano go oficjalnie za członka domu Księcia. Raczej za doradcę, który pojawiał się tylko, gdy go wzywano. Przeważnie siedział w swojej wieży, skryty przed wzrokiem ludzkim, robiąc to, co magowie zwykle robią w takich miejscach.

Mag był głęboko pogrążony w rozmowie z ojcem Tullym, kapłanem Astalona Budowniczego i jednym z najstarszych doradców Księcia. Tully był doradcą ojca Księcia i już wtedy wydawał się stary. Teraz, przynajmniej z młodzieńczej perspektywy Puga, wyglądał, jakby miał za sobą całe wieki. W jego oczach jednak nie było ani śladu zgrzybiałości. Jakże wielu chłopaków z zamku odczuło na sobie przeszywające spojrzenie jasnych, szarych oczu. Jego ostry dowcip i język

były równie młode. Niejeden raz zdarzyło się, że zamkowi chłopcy woleliby odbyć posiedzenie, na którym przewodniczył skórzany pas koniuszego Algona, niż być narażonymi na chłostę językową ojca Tully'ego, siwowłosy kapłan potrafił bowiem zjadliwymi słówkami prawie obedrzeć niegodziwca ze skóry.

Nieopodal stał ktoś, kto doświadczył pewnego razu na sobie gniewu Tully'ego. Był to młody baron Roland, syn barona Tolburta z Tulan, jednego z wasali Księcia. Będąc jedynym w głównym zamku szlachetnie urodzonym chłopcem, dotrzymywał towarzystwa obu Książętom. Ojciec wysłał go przed rokiem do Crydee, by zapoznał się trochę z tajnikami zarządzania Księstwem, nabrał ogłady towarzyskiej i obycia dworskiego. Na tym pogranicznym, żyjącym prostym i surowym życiem dworze Roland, oddalony od swego własnego, odnalazł drugi dom. Już z chwilą przybycia do zamku był nielichym gałganem, lecz zaraźliwe poczucie humoru i bystry dowcip łagodziły często gniew sprowadzony jego wybrykami. To Roland właśnie był najczęściej współwinny, razem z księżniczką Carline, w różnych zapoczątkowanych przez nią psotach. Roland miał jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy i był, jak na swój wiek, bardzo wysoki. O rok starszy od zebranych chłopców bawił się często z nimi, gdyż Lyam i Arutha byli zwykle zajęci wypełnianiem obowiązków dworskich. Z początku Tomas i Roland rywalizowali między sobą. Stali się jednak szybko dobrymi kumplami, a Pug, niejako zaocznie, bo gdzie był Tomas, tam z pewnością był i on, również stał się jego przyjacielem. Roland zauważył Puga, kręcącego się nerwowo na obrzeżu grupy chłopców. Skinął lekko głową i puścił do niego oko. Pug odpowiedział krótkim uśmiechem. Choć tak samo jak inni był często obiektem żartów Rolanda, lubił jednak tego rozhukanego młodego szlachcica.

Kiedy cały dwór zebrał się w komplecie, Książę zabrał głos.

— Dzień wczorajszy był ostatnim dniem jedenastego roku panowania naszego Pana i Króla, Rodrica Czwartego. Dzisiaj obchodzimy święto Banapis. Dzień jutrzejszy zastanie zgromadzonych tutaj chłopców zaliczonych w poczet mężczyzn Crydee. Nie będą to już chłopcy, jak dziś, lecz terminatorzy lub wolni ludzie. W tym miejscu godzi się zadać pytanie, czy którykolwiek z was chciałby być zwolniony ze służby dla Księstwa. Czy są między wami tacy, którzy mają takie życzenie?

Pytanie miało charakter formalny i nikt nie oczekiwał na nie odpowiedzi. Tylko kilka osób w historii Crydee chciało opuścić miasto. Jednak tym razem wystąpił jeden chłopiec.

— Kto pragnie być zwolniony ze służby? — spytał herold.

Chłopiec patrzył w ziemię. Był zdenerwowany. Odchrząknął.

— Robert, syn Hugena.

Pug znał go, chociaż niezbyt dobrze. Był synem naprawiacza sieci, chłopcem z miasta, a chłopcy z zamku i miasta trzymali się raczej osobno. Pug bawił się z nim kilka razy i odniósł wrażenie, że chłopak ten cieszył się dobrą opinią. Od-

mawianie służby było wielką rzadkością i Pug, tak samo jak wszyscy dookoła, był ciekaw powodów.

— Wyjaśnij nam swoje powody, Robercie, synu Hugena — powiedział uprzejmie Książę.

— Wasza Wysokość, ojciec mój nie może mnie przyjąć do swego rzemiosła, bo moi czterej bracia dołączą wkrótce do niego jako czeladnicy, a potem mistrzowie jak i on. Podobnie jest z innymi synami naprawiaczy sieci. Mój nastraszy brat ożenił się i ma syna, więc w mej rodzinie nie ma dla mnie miejsca. Jeżeli nie mogę zostać z nimi i ćwiczyć się w rzemiośle ojca, chciałbym prosić Waszą Wysokość o wyrażenie zgody na to, abym mógł zostać żeglarzem.

Książę rozważał sprawę. Robert nie był pierwszym chłopakiem z wioski, który usłyszał w sercu zew morza.

— Czy znalazłeś sobie kapitana, który zgodzi się zaciągnąć cię na swój statek?

— Tak, Wasza Wysokość. Kapitan Gregson ze statku Szmaragdowa Głębia z Portu Margrave wyraził zgodę.

— Znam go — powiedział Książę. Uśmiechnął się lekko i dodał: — To dobry i przyzwoity człowiek. Niech i tak będzie. Robercie, synu Hugena, rekomenduję cię do służby pod jego rozkazami i życzę szczęścia w przyszłych rejsach. Zawsze, kiedykolwiek zawiniesz ze swoim statkiem do Crydee, będziesz tu mile widziany.

Robert ukłonił się trochę sztywno i opuścił dziedziniec. Jego uczestnictwo w Wyborze dobiegło końca. Pug zastanawiał się nad ryzykanckim wyborem. W jednej chwili chłopiec zerwał swoje więzy z rodziną i domem. Odtąd był obywatelem miasta, którego nigdy nie widział na oczy. Przyjęło się uważać, że żeglarz winien być lojalny wobec miasta, będącego macierzystym portem jego statku. Port Margrave był jednym z Wolnych Miast w Natalu nad Morzem Gorzkim, a teraz był także domem Roberta.

Książę dał znak, aby herold kontynuował.

Herold wymienił pierwszego z mistrzów rzemiosł, żaglomistrza Holma, który między innymi zajmował się szyciem żagli. Holm wywołał nazwiska trzech chłopców. Wszyscy trzej przyjęli służbę i żaden nie wyglądał na niezadowolonego. Uroczystość Wyboru przebiegała gładko i sprawnie, ponieważ żaden chłopiec nie odmawiał służby. Każdy z wybranych podchodził i zajmował miejsce koło swojego nowego pana i mistrza.

Wraz z upływającymi powoli godzinami popołudnia i malejącą liczbą chłopców stojących na dziedzińcu, Pug czuł się coraz bardziej nieswojo. Po chwili poza nim i Tomasem na środku placu zostało tylko dwóch chłopców. Już wszyscy mistrzowie wywołali swoich terminatorów. Tylko dwóch dostojników książęcych poza mistrzem miecza Fannonem nie zabrało jeszcze głosu. Pug wpatrywał się pilnie w grupę, stojącą na szczycie schodów. Serce waliło mu z emocji, jak oszalałe. Dwaj młodzi Książęta przyglądali się chłopcom: Lyam, z przyjaznym uśmiechem, a Arutha, rozważając coś w głębi duszy. Księżniczka Carline była śmiertelnie znu-

dzona całą sprawą i zupełnie się z tym nie kryła, szepcząc coś do ucha Rolanda, aż lady Marna, jej guwernantka, spojrzała na nią karcąco.

Wystąpił koniuszy Algon. Złoty i brunatny kaftan był ozdobiony małą, końską głową wyhaftowaną na wysokości serca. Koniuszy wywołał imię Rulfa, syna Dicka, i potężnie zbudowany syn książęcego stajennego podszedł i stanął za swoim mistrzem. Kiedy się odwrócił, uśmiechnął się protekcjonalnie do Puga. Ich wzajemne układy nigdy nie były dobre. Rulf, chłopak z twarzą podziobaną ospą, strawił wiele godzin na ubliżaniu Pugowi i dręczeniu go. Kiedy pracowali razem w stajniach pod nadzorem Dicka, ilekroć syn stajennego maltretował Puga, ojciec udawał, że tego nie widzi. Regułą też było, że za każdym razem, kiedy działo się coś złego, winą za to obciążano sierotę. Był to okropny okres w życiu Puga. Postanowił teraz, że raczej odmówi służby niż będzie pracował przez całe życie u boku Rulfa.

Marszałek dworu, Samuel, wywołał drugiego chłopca, Geoffry'ego. Miał on zostać członkiem służby zamkowej. Na środku placu zostali samotnie Pug i Tomas. Fannon, mistrz miecza wystąpił o krok. Pug poczuł, jak zamiera w nim serce.

— Tomas, syn Megara — zawołał stary żołnierz. Nastąpiła krótka pauza. Pug czekał na wywołanie swojego imienia. Fannon jednak powrócił do szeregu, a Tomas podszedł do niego i stanął obok. Pug, przytłoczony skierowanymi na niego spojrzeniami, poczuł się strasznie maleńki. Dziedziniec zamku stał się nagle okropnie wielki, o wiele większy niż mu się kiedykolwiek wydawało. Chłopiec czuł się potwornie niezręcznie i źle, a także kiepsko i nędznie ubrany. Serce w nim zamarło, kiedy spostrzegł, że wśród obecnych nie było już ani jednego mistrza rzemiosł czy też dostojnika dworskiego, który by nie miał terminatora. Będzie więc jedynym chłopcem, którego nie wywołają. Walcząc z cisnącymi się do oczu łzami, czekał, aż Książę rozwiąże zgromadzenie.

Książę, na którego twarzy wyraźnie malowało się współczucie dla chłopca, miał właśnie zabrać głos, kiedy ktoś mu przerwał.

— Jeżeli Wasza Wysokość pozwoli…

Wszystkie oczy zwróciły się na Kulgana. Mag wystąpił do przodu, przed zebranych.

— Potrzebuję terminatora i wzywam Puga, sierotę z zamku, do służby.

Przez zgromadzony tłum mistrzów rzemiosł przeleciała fala szeptów. Kilka głosów twierdziło wręcz, że uczestnictwo maga w Wyborze jest bezprawne. Książę, z surowym marsem na czole, potoczył po nich wzrokiem i natychmiast umilkli. Żaden z Mistrzów nie będzie występował przeciwko księciu Crydee, trzeciemu, co do rangi, arystokracie Królestwa, z powodu statusu jednego chłopca. Powoli wszystkie oczy zwróciły się na Puga.

— Kulgan jest uznanym mistrzem swej sztuki — powiedział Książę. — Jest jego prawem dokonanie wyboru. Pug, sieroto z zamku, czy przyjmujesz tę służbę?

Pug stał sztywno wyprostowany bez najmniejszego ruchu. W duchu widział się jako porucznik prowadzący do boju armię królewską. Albo wyobrażał sobie, że pewnego dnia odkrywa nagle, że jest zaginionym synem jakiegoś szlachcica. W swej chłopięcej wyobraźni widział siebie żeglującego po morzach, polującego na potwory czy wybawiającego naród z niedoli. W bardziej wyciszonych chwilach refleksji zastanawiał się, czy spędzi życie, budując statki, czy jako garncarz, czy może będzie zgłębiał tajniki handlu. Rozmyślał, jak też będzie sobie radził w każdej z tych dziedzin. Jedno, jedyne marzenie, które nigdy nie fascynowało wyobraźni, o którym nigdy nawet nie pomyślał, to marzenie, że zostanie magiem.

Otrząsnął się ze stanu chwilowego szoku, zdając sobie właśnie sprawę, że Książę cały czas cierpliwie czeka na jego odpowiedź. Spojrzał na twarze stojących przed nim ludzi. Ojciec Tully obdarzył go jednym ze swoich rzadkich uśmiechów. Nawet Arutha się uśmiechnął. Książę Lyam lekkim skinieniem głowy podpowiadał zgodę. Kulgan wpatrywał się w niego z napięciem i niepokojem. I nagle Pug zdecydował. Być może nie było to najbardziej odpowiednie powołanie, ale każde rzemiosło było lepsze niż żadne. Zrobił krok do przodu, potknął się o własną stopę i upadł jak długi twarzą w kurz dziedzińca. Pozbierał się szybko i trochę na czworakach, a trochę biegiem popędził do boku maga. Jego upadek przełamał napięcie. Dziedziniec zagrzmiał głośnym śmiechem Księcia. Pug, czerwony jak rak ze wstydu, schował się za plecami Kulgana. Wyjrzał spoza brzuchatej sylwetki swego nowego mistrza. Książę patrzył na niego. Skinął przyjaźnie głową do czerwonego aż po uszy Puga. Zwrócił się do zgromadzonych, oczekujących na zakończenie Wyboru.

— Stwierdzam i czynię wszystkim wiadomym, że każdy z obecnych tutaj chłopców znajduje się od tej chwili pod opieką swego mistrza. Jest zobowiązany do posłuszeństwa mu we wszystkich sprawach objętych prawami Królestwa. Każdy z nich jest od tej chwili uważany za dorosłego, pełnoprawnego członka społeczności Crydee. Niech terminatorzy udadzą się ze swoimi mistrzami do kwater. Życzę wszystkim miłego dnia i żegnam aż do uczty.

Obrócił się i podał lewe ramię córce. Ona wsparła na nim lekko dłoń i ruszyli do zamku, pomiędzy rozstępującymi się na boki szeregami dworzan. W ślad za nimi postąpili obaj Książęta, a dalej reszta dostojników dworskich. Pug zdążył jeszcze zauważyć, jak Tomas opuszcza dziedziniec w towarzystwie mistrza Fannona, udając się w stronę koszar gwardii.

Zerknął na Kulgana, który stał obok, zatopiony w myślach. Po chwili mag zwrócił się do niego.

— Ufam, chłopcze, że żaden z nas nie popełnił dzisiaj omyłki.

— Słucham, panie…? — powiedział Pug, nie rozumiejąc sensu jego słów.

Mag machnął ręką w roztargnieniu. Bladożółta szata zafalowała jak powierzchnia morza.

— Nieważne, chłopcze. Co się stało, to się nie odstanie. Musimy to obaj wykorzystać najlepiej, jak tylko potrafimy.

Położył rękę na ramieniu chłopca.

— Chodź. Udajmy się do wieży, w której mieszkam. Pod moją komnatą znajduje się mały pokoik, który powinien być w sam raz dla ciebie. Chciałem go co prawda wykorzystać do przeprowadzenia pewnego eksperymentu, ale jakoś nigdy nie znalazłem dość wolnego czasu.

Pug stał kompletnie zaskoczony.

— Mój własny pokój?

Dla terminatora była to rzecz niesłychana. Większość z nich sypiała w warsztatach mistrza, w nadzorowanych grupach lub w podobnych warunkach. Terminator miał prawo do zajęcia prywatnej kwatery dopiero wtedy, kiedy stawał się czeladnikiem.

Kulgan uniósł do góry krzaczastą brew.

— Oczywiście. Nie chcę, żebyś mi się pętał pod nogami cały czas. Nic bym nie mógł zrobić. A poza tym magia wymaga samotności do rozważań. Będziesz potrzebował spokoju w takim samym lub nawet większym stopniu niż ja.

Spośród fałd szaty wydobył długą, cienką fajkę. Zaczął ją nabijać tytoniem ze skórzanego kapciucha, który także wydobył z przepastnych zakamarków swego okrycia.

— Nie zaprzątajmy sobie głowy gadaniem o obowiązkach, chłopcze. Prawdę powiedziawszy, nie jestem wcale przygotowany na twoją obecność pod mym dachem, ale wkrótce poradzę sobie i jakoś to wszystko zorganizujemy. Na razie możemy wykorzystać czas, aby się lepiej poznać. Zgoda?

Pug był zaskoczony. Nie miał wielkiego pojęcia o tym, co zwykle porabiają magowie, no, może poza nocą spędzoną w chatce Kulgana, kilka tygodni temu. Doskonale jednak wiedział, jacy byli mistrzowie rzemiosł. Żadnemu z nich nie przeszłoby przez myśl pytać, czy terminator zgadza się z ich planami czy też nie. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, tylko kiwnął głową.

— No dobrze. Chodźmy do wieży. Może znajdziemy jakieś nowe ubranie, a potem resztę dnia spędzimy, weseląc się na uczcie. Będziemy jeszcze mieli mnóstwo czasu, żeby się nauczyć, jak być terminatorem i mistrzem.

Tęgi mag uśmiechnął się do chłopca, obrócił na pięcie i poprowadził za sobą.

* * *

Późne popołudnie było pogodne i jasne. Delikatna bryza wiejąca od morza łagodziła letni upał. Na całym zamku Crydee i w położonym u jego stóp mieście wrzały przygotowania do obchodów święta Banapis.

Banapis było najstarszym obchodzonym tutaj świętem. Jego pochodzenie zatarło się gdzieś w zamierzchłej przeszłości. Obchodzono je co roku w Dniu Przesilenia Letniego, dniu, który nie należał ani do roku właśnie mijającego ani do nadchodzącego. Znane u innych narodów pod inną nazwą, Banapis było świętowane, jak głosiła legenda, w całym świecie Midkemii. Niektórzy wierzyli, że zostało zapożyczone od Elfów i Krasnoludów. Mówiło się bowiem, że te dwie starożytne nacje, jak tylko sięgnąć pamięcią wstecz, zawsze obchodziły Święto Przesilenia Letniego. Większość autorytetów kwestionowała ten pogląd, nie podając jednak żadnego innego powodu jak tylko nieprawdopodobieństwo zapożyczenia czegokolwiek przez istoty ludzkie od Elfów czy Krasnoludów. Chodziły słuchy, że nawet mieszkańcy Ziem Północy, szczepy goblinów i klany Bractwa Mrocznego Szlaku także świętowali Banapis, chociaż nie istnieli naoczni świadkowie, którzy mogliby ewentualnie potwierdzić tę hipotezę.

Na dziedzińcu zamkowym wrzało jak w ulu. Ustawiano olbrzymie stoły, które miały dźwigać setki najprzeróżniejszych, przygotowywanych od przeszło tygodnia, potraw. Z piwnic wytaczano ogromne beki sprowadzonego z Gór Kamiennych, a warzonego przez Krasnoludy, piwa. Umieszczano je na uginających się pod ogromnym ciężarem i protestujących skrzypieniem drewnianych kozłach. Pracujący przy nich ludzie, zaniepokojeni kruchością podpór, pośpiesznie opróżniali zawartość beczek. Megar wyszedł z kuchni i przegonił ich na cztery wiatry.

— A niech was cholera…! Już was nie ma! W takim tempie do uczty nie zostanie ani kropelka! Wracać mi zaraz do kuchni, darmozjady jedne! Wszyscy mają pełne ręce roboty. No już! Ruszać się!

Robotnicy wymknęli się chyłkiem, narzekając pod nosem. Megar rozejrzał się, potem szybko napełnił po brzegi ogromny, cynowy kufel, tylko po to oczywiście, aby się upewnić, czy piwo ma odpowiednią temperaturę. Wysuszył go do ostatniej kropelki i zadowolony, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, powrócił do kuchni.

Uczta nie miała formalnego, oficjalnego początku. Tradycyjnie wyglądało to w ten sposób, że nagromadzenie ludzi i jedzenia, wina i piwa osiągało pewien kulminacyjny punkt nasycenia i nagle zabawa rozkręcała się całą parą.

Pug wybiegł z kuchni. Dzięki temu, że jego pokój znajdował się w najdalej na północ wysuniętej wieży — Wieży Czarnoksiężnika, jak ją nazywano — mógł korzystać ze skróconej drogi przez kuchnię i omijać główną bramę zamku. Pro-

mieniał szczęściem, kiedy w nowej bluzie i spodniach gnał przez podwórzec. Nigdy jeszcze nie nosił równie wspaniałego stroju i pędził teraz, aby się pochwalić swemu przyjacielowi, Tomasowi.

Spotkał się z Tomasem nos w nos, kiedy ten opuszczał właśnie koszary żołnierskie. Tomas śpieszył się tak samo jak Pug. Wpadli na siebie i jednocześnie zaczęli mówić.

— Tomas, zobacz, jaką mam tunikę… — krzyknął Pug,

— Pug, zobacz, jaki mam kaftan żołnierski… — krzyknął Tomas.

Obaj przerwali w pół zdania i wybuchli śmiechem. Tomas zdołał się opanować pierwszy.

— Masz naprawdę wspaniałe ubranie, Pug — powiedział, dotykając z namaszczeniem drogiego materiału czerwonej tuniki. — I do twarzy ci w tym kolorze.

Pug odwzajemnił komplement, bo Tomas również wyglądał wspaniale w złotobrązowym kaftanie. I nieważne było, że pod spodem miał swoją starą i prostą bluzę z samodziału, którą nosił na co dzień, i zwykłe spodnie. Dopóki mistrz Fannon nie przekona się i nie będzie zadowolony z jego postępów w zdobywaniu wiedzy i praktyki wojennej, nie otrzyma pełnego uniformu żołnierza.

Dwaj przyjaciele wędrowali od jednego bogato zastawionego stołu do drugiego. Od wspaniałych zapachów unoszących się ponad dziedzińcem Pugowi pociekła ślinka. Podeszli do stołu uginającego się pod ciężarem nadziewanych mięsem ciast. Chrupiące skórki, wonne sery i gorące bochenki chleba parowały. Przy stole stał na posterunku mały kuchcik z packą na muchy. Jego głównym, a zarazem jedynym zadaniem było trzymanie na bezpieczny dystans wszelkich szkodników, zarówno z gatunku owadów, jak i z wiecznie głodnego gatunku terminatorów. Jak wszystkie inne sytuacje, których uczestnikami są chłopcy, tak i stosunki pomiędzy wartownikiem jedzenia a starszymi terminatorami były ściśle określone przez tradycję. Nie należało do dobrego tonu i smaku prostackie sterroryzowanie młodszego chłopca czy też wymuszenie na nim, aby się rozstał z jedzeniem przed rozpoczęciem uczty. Do przyjętych i uważanych za uczciwe sposobów należał podstęp i ukradkowe lub błyskawiczne manewry taktyczne, w rezultacie których zdobywało się nagrodę ze stołu.

Pug i Tomas obserwowali z zainteresowaniem, jak chłopiec o imieniu Jon trzepnął ostro w dłoń młodego terminatora, próbującego podwędzić kawałek ciasta. Ruchem głowy Tomas wskazał Pugowi, by ten udał się w stronę końca stołu. Pug przedefilował ostentacyjnie przed oczyma Jona. Mały śledził jego ruchy z uwagą. Pug wykonał raptownie manewr mylący, pochylając się w kierunku stołu. Jon rzucił się w jego stronę. Wtedy Tomas błyskawicznie zwinął ze stołu kawał francuskiego ciasta i zanim packa zdążyła opaść na niego, czmychnął.

Uciekając od stołu, słyszeli pełen rozpaczy okrzyk kuchcika, któremu obrabowano stół.

Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość, Tomas dał Pugowi połowę ciasta. Pug zaśmiewał się.

— Idę o zakład, że jesteś „najszybszą ręką” na zamku.

— Albo Jon utracił szybkość w oku, śledząc twoje ruchy.

Obaj ryknęli śmiechem. Pug wsadził swoją połowę ciasta w usta. Było delikatnie przyprawione, a kontrast między słonawym nadzieniem z wieprzowiny i słodką skórką francuskiego ciasta sprawiał, że było przepyszne.

Z bocznego dziedzińca rozległ się nagle dźwięk piszczałek i bębnów. Na główny podwórzec wchodzili muzykanci Księcia. Zanim jeszcze wyszli zza rogu, przez tłum przeleciało jakby ciche, nie wypowiedziane hasło. Kuchciki i ich pomocnicy zaczęli szybko i sprawnie rozdawać drewniane talerze, które zaraz miały się zapełnić stosami jedzenia. Jednocześnie zaczęto napełniać gliniane kubki winem i piwem z beczek.

Pug i Tomas rzucili się do szeregu stojącego przy pierwszym stole. Wykorzystując wspaniale wzrost Tomasa i zwinność Puga, przeciskali się w tłumie, ściągając ze stołu wszelkie możliwe potrawy. Obaj otrzymali również po potężnym kubasie pienistego piwa.

Znaleźli w miarę spokojny kącik i z wilczym apetytem rzucili się na jedzenie. Pug spróbował pierwszego w życiu łyczka piwa. Zdziwił się jego mocą i gorzkim smakiem. Pierwszy łyk rozgrzał go. Po drugim, jeszcze na próbę, zdecydował, że piwo będzie mu smakowało.

Rozglądał się dookoła. Zobaczył, że Książę i jego rodzina mieszają się z tłumem. Widać było także innych dostojników dworskich, stojących w kolejce do stołów z jedzeniem. Tego popołudnia nie obowiązywały żadne ceremonie, rytuały, stanowiska czy tytuły. Każdy był obsługiwany w takiej kolejności, w jakiej znalazł się przy stole. W Dzień Przesilenia Letniego wszyscy mieli jednakowy i równy udział w korzystaniu z obfitości plonów ziemi.

Przez krótką chwilę Pug widział Księżniczkę. Serce zabiło mu mocniej. Poczuł lekki ucisk w dołku. Wielu na dziedzińcu prawiło jej komplementy na temat wyglądu. Dziewczyna była rozpromieniona i szczęśliwa. Miała na sobie piękną, ciemnoniebieską suknię, a na głowie prosty kapelusz tego samego koloru z szerokim rondem. Dziękowała każdemu wypowiadającemu pochlebną uwagę, wykorzystując przy tym dziewczęcy arsenał ciemnych rzęs i jasnego uśmiechu. W rezultacie ślad jej przejścia znaczył się wałem leżących pokotem i oszalałych z miłości serc chłopięcych.

Na placu pojawili się żonglerzy i klowni. Pierwsza z wielu wędrownych trup, które zawitały do miasta na obchody Święta. Artyści z innej grupy ustawili na rynku miejskim scenę, na której mieli dać tego wieczora własne przedstawienie. Zabawa miała trwać do białego rana. Pug pamiętał, że zeszłego lata wielu chłopców musiało być dnia następnego zwolnionych z pełnienia obowiązków, ponie-

waż ani stan ich głów, ani żołądków nie pozwalał na wykonywanie jakiejkolwiek uczciwej pracy. Był przekonany, że to samo będzie jutro.

Wyczekiwał nadejścia wieczoru, wtedy bowiem, jak kazał zwyczaj, nowo przyjęci terminatorzy odwiedzali liczne domy w mieście, aby przyjmować gratulacje i poczęstunek piwem. Był to również owocny czas spotkań z dziewczętami z miasta. Chociaż nie można było powiedzieć, że flirt był zjawiskiem nieznanym, przeważnie spotykał się jednak z dezaprobatą. W czasie Święta Banapis matki wykazywały jakby trochę mniejszą czujność. Teraz, kiedy chłopcy mieli już swój fach, nie traktowano ich wyłącznie jak dokuczliwe utrapienie, a bardziej jak potencjalnych zięciów. Niejednokrotnie zdarzało się, że gdy córka wykorzystywała swe naturalne wdzięki, aby usidlić przyszłego męża, jej matka udawała, że patrzy w drugą stronę. Na Puga, chłopca niskiego, drobnego i o bardzo młodzieńczym wyglądzie, dziewczęta z zamku nie zwracały specjalnej uwagi. Tomas zaś, coraz wyższy i bardziej przystojny, częściej niż inni stawał się obiektem dziewczęcych westchnień i zalotów. Pug stwierdzał ostatnio, że jego przyjaciel był przechwytywany przez coraz to inną dziewczynę z zamku. On sam, z jednej strony, był jeszcze na tyle młody, aby uważać to wszystko za głupstwo, z drugiej jednak, na tyle dojrzały, aby ulegać coraz większej fascynacji.

Pug przeżuwał wprost nieprawdopodobną porcję jedzenia i rozglądał się dookoła. Przechodzący obok mieszczanie i ludzie z zamku pozdrawiali ich, gratulowali przyjęcia do terminu i życzyli szczęścia w nowym roku. Pug miał głębokie wewnętrzne przekonanie, że wszystko jest słuszne, prawidłowe i na swoim miejscu. Był terminatorem, nawet jeśli Kulgan nie bardzo wiedział, co ma z nim począć. Był najedzony. W głowie zaczął odczuwać przyjemny szmerek. Wszystko to sprawiało, że czuł się wspaniale. A najważniejsze, że był pośród przyjaciół. Oto pełnia szczęścia w życiu, pomyślał.

# Rozdział 3

# Na zamku

Pug siedział na posłaniu. Był w fatalnym nastroju.

Smok Fantus szturchał go nosem, domagając się drapania za łukami brwiowymi. Widząc, że tym razem nic nie wskóra, poczłapał do okna wieży. Prychnął z niezadowolenia, wypuszczając kłąb smolistego dymu. Wspiął się na parapet i wzbił w powietrze. Pug był tak bardzo zaaferowany swoimi kłopotami, że nie zauważył nawet, kiedy smok go opuścił. Od chwili, kiedy czternaście miesięcy temu został terminatorem u Kulgana, wszystko szło jak po grudzie.

Wyciągnął się na wznak na posłaniu. Oczy zakrył przedramieniem. Czuł powiewy słonej morskiej bryzy i ciepło słońca na nogach. Z chwilą przyjęcia do terminu wszystko w jego życiu odmieniło się na lepsze. Wszystko, z wyjątkiem najważniejszej rzeczy — jego nauki.

Przez całe miesiące Kulgan harował jak wół, żeby nauczyć go podstaw sztuk magicznych. Ciągle jednak zdarzało się coś, co powodowało, że jego wysiłki kończyły się niepowodzeniem. Pug bardzo szybko pojmował teorię rzucania czarów. Błyskawicznie chwytał podstawowe zasady. Za każdym razem jednak, kiedy próbował wykorzystać swoją wiedzę, coś go powstrzymywało. Jakby część jego umysłu odmawiała podporządkowania się strukturze czarów. Jakby w pewnym momencie włączała się jakaś blokada, nie pozwalająca mu przekroczyć pewnego punktu krytycznego w ich rzucaniu. Przy każdej kolejnej próbie wyraźnie czuł, że zbliża się do tego punktu. Jak jeździec dosiadający narowistego wierzchowca wiedział, że nie potrafi go przymusić do skoku ponad przeszkodą.

Kulgan starał się rozwiewać jego troski tłumacząc, że z czasem wszystko się ułoży. Tęgi mag zawsze odnosił się do niego z życzliwością i zrozumieniem. Nigdy nie skarcił go za brak postępów, ponieważ widział, że chłopak naprawdę się stara.

Pug ocknął się z zadumy. Ktoś otwierał drzwi. Podniósł wzrok i zobaczył wchodzącego do pokoju ojca Tully, który pod pachą trzymał potężne tomisko. Długa, biała szata kapłana szeleściła, kiedy zamykał drzwi. Pug usiadł.

— No, Pug, pora na lekcję pisania — przerwał w pół słowa, kiedy spostrzegł, że na twarzy chłopca maluje się przygnębienie.

— Co ci jest, chłopcze?

Pug polubił stareńkiego kapłana Astalona. Był surowym, ale sprawiedliwym nauczycielem. Chwalił go za sukcesy i postępy tak samo, jak ganił za porażki i błędy. Zawsze był gotów wysłuchać pytań Puga, choćby ten uważał je za najbardziej idiotyczne pod słońcem.

Pug wstał i westchnął głęboko.

— Nie wiem, Ojcze, co się dzieje. Nic mi nie wychodzi. Nic mi się nie układa. Wszystko, za co się wezmę, zaraz spartaczę.

— Pug, nie możesz malować wszystkiego w czarnych barwach — powiedział kapłan, kładąc mu rękę na ramieniu. — Powiedz mi, co cię gryzie, a pisanie poćwiczymy sobie innym razem.

Podszedł do stołka przy oknie, przytrzymał długie szaty i usiadł. Położył wielką księgę u swych stóp i przyjrzał się uważnie chłopcu.

Pug podrósł trochę w ciągu ostatniego roku, nadal jednak był mały i drobny. Rozrósł się co prawda trochę w barkach, a na twarzy pojawiły się pierwsze oznaki męskich rysów. Ubrany w ręcznie tkaną tunikę i spodnie, równie szare jak jego nastrój, sprawiał doprawdy przygnębiające wrażenie. W pokoju, w którym zwykle panował porządek, walały się wszędzie książki i zwoje pergaminu. Bałagan odzwierciedlał chaos panujący w jego umyśle.

Pug siedział przez chwilę w milczeniu. Kiedy jednak kapłan nie odzywał się, zaczął mówić.

— Czy pamięta Ojciec, jak Kulgan próbował mnie nauczyć trzech podstawowych zaklęć na uspokojenie, wyciszenie umysłu, aby uniknąć napięcia wewnętrznego w chwili rzucania czarów? I rzeczywiście, udało mi się opanować te ćwiczenia już dawno, parę miesięcy temu. Niewielkim wysiłkiem, w ciągu zaledwie paru chwil jestem w stanie wprowadzić swój umysł w stan spokoju. Ale tylko na tyle mnie stać. Potem wszystko się rozsypuje.

— Co masz na myśli?

— Następnym krokiem do zdyscyplinowania umysłu jest takie jego opanowanie, aby robił rzeczy, które nie są dla niego naturalne. Są mu obce. Na przykład, żeby myśleć wyłącznie o jednym, wykluczając wszystkie inne myśli. Albo wykluczyć zupełnie z myśli jakąś rzecz. To bardzo trudne, kiedy się wie, co to jest. Zwykle udaje mi się tego dokonać. Od czasu do czasu jednak mam wrażenie, jakby w mojej głowie budziły się jakieś siły. Tłuką się i szaleją we wnętrzu. Żądają, abym postępował inaczej. W jakiś inny sposób. Zdaje mi się, że w mojej głowie zachodzą zupełnie inne procesy niż te, których kazał mi oczekiwać Kulgan. Za każdym razem, kiedy próbuję ćwiczyć jedno z tych prostych zaklęć, których mnie nauczył, jak na przykład przesuwanie przedmiotów lub unoszenie się w powietrzu, to coś w mojej głowie rusza do przodu jak powódź, atakuje moją kon-

centrację i wtedy tracę kontrolę nad wszystkim. Nie potrafię wypowiedzieć nawet najprostszego zaklęcia.

Pug zaczął dygotać na całym ciele. Pierwszy raz mógł to komuś poza Kulganem opowiedzieć.

— Kulgan mówi, żeby po prostu robić swoje i nie martwić się.

W oczach chłopca pojawiły się łzy.

— Mam talent. Kulgan mówi, że odkrył go od razu. Już podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy posłużyłem się kryształem. Ale po prostu nie mogę sprawić, aby zaklęcia działały tak, jak powinny. Już wszystko mi się miesza i nie wiem, co robić.

— Pug — powiedział kapłan — magia ma wiele właściwości i cech, a nawet ci z nas, którzy ją praktykują, mają niewielkie pojęcie o tym, jakie są prawdziwe mechanizmy jej działania. Uczą nas w świątyniach, że magia jest darem bogów, i przyjmujemy to na wiarę. Nie wiemy, w jaki sposób to się odbywa i dlaczego, ale nie poddajemy tego w wątpliwość. Każdy z zakonów opanował jakąś dziedzinę magii i nie istnieją dwie identyczne. Ja sam mam moc czynienia takich czarów, do jakich nie są zdolni wyznawcy innych porządków religijnych. Nikt nie wie, dlaczego tak jest. Magowie i czarnoksiężnicy zajmują się zupełnie innym rodzajem magii. Ich praktyki odbiegają bardzo od stosowanych przez nas w świątyniach. Nie potrafimy zrobić wielu rzeczy, które oni czynią. To właśnie oni studiują sztukę magii, chcąc poznać jej naturę i działanie, lecz nawet i oni nie potrafią wyjaśnić, na czym polega magia. Wiedzą jedynie, jak się nią posłużyć, i są w stanie wiedzę tę przekazać swym uczniom, tak jak to robi Kulgan w odniesieniu do ciebie.

— Próbuje robić, Ojcze. Wydaje mi się, że mógł mnie ocenić niewłaściwie.

— Nie sądzę, Pug. Mam w tej dziedzinie pewną wiedzę. Od czasu, kiedy zostałeś uczniem Kulgana, wyczuwam w tobie narastającą moc. Być może osiągniesz to później, jak wielu innych, jestem jednakże przekonany, że odnajdziesz właściwą dla siebie drogę.

Usłyszane słowa nie pocieszyły Puga. Nie kwestionował mądrości czy opinii kapłana, ale był głęboko przekonany, że i on mógł się przecież mylić.

— Mam nadzieję, że masz rację, Ojcze. Po prostu nie mogę zrozumieć, co się ze mną dzieje.

— Sądzę, że wiem, co ci dolega — rozległ się głos przy drzwiach.

Pug i ojciec Tully obrócili się przestraszeni. W drzwiach stał Kulgan. Niebieskie oczy otoczone były siecią zmarszczek, a krzaczaste, siwe brwi tworzyły nad nosem wielkie „V”. Ani Tully, ani Pug nie usłyszeli otwieranych drzwi. Kulgan podciągnął swoją długą, zieloną szatę i wszedł do pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

— Podejdź tutaj, Pug — powiedział, zachęcając go jednocześnie gestem ręki. Pug podszedł do maga, a ten położył mu obie dłonie na ramionach.

— Chłopcy, którzy całymi dniami siedzą zamknięci w pokoju i zamartwiają się, dlaczego nic im nie wychodzi, powodują właśnie to, że nic im nie wychodzi. Daję ci dzisiaj wolny dzień. A ponieważ jest to Szósty Dzień, natkniesz się z pewnością na wielu innych chłopaków, którzy z rozkoszą pomogą ci narozrabiać. — Uśmiechnął się, a Puga ogarnęło uczucie wielkiej ulgi.

— Musisz odpocząć od nauki. No, uciekaj już — powiedziawszy to, dał mu żartobliwego kuksańca w głowę i chłopak pędem zbiegł ze schodów.

Kulgan podszedł do posłania i umieścił na nim swe potężne cielsko. Spojrzał na kapłana.

— Ach, ci chłopcy — powiedział, kiwając głową. — Urządza się dla nich święto, przyjmuje do nauki rzemiosła, a oni oczekują, że z dnia na dzień staną się mężczyznami. A to przecież ciągle chłopcy i choćby nie wiem jak się starali, nadal będą zachowywać się jak chłopcy, a nie jak dorośli mężczyźni.

Wyjął fajkę i zaczął ją napychać tytoniem.

— Mag w wieku lat trzydziestu uważany jest ciągle za bardzo młodego i niedoświadczonego. W innych zawodach, mając trzydziestkę, zostaje się czeladnikiem czy nawet mistrzem, a już prawie na pewno szykuje się swego syna do dnia Wyboru..

Przytknął drzazgę do węgli tlących się w garncu z żarem i zapalił fajkę.

Tully przytaknął kiwnięciem głowy.

— Tak, Kulgan, dobrze cię rozumiem. Kapłaństwo jest również powołaniem starszych. Kiedy byłem w wieku Puga, miałem ciągle jeszcze przed sobą trzynaście lat nowicjatu.

Stary kapłan pochylił się w stronę maga.

— Kulgan, a co z problemem chłopaka?

— Widzisz, Tully, chłopak ma rację. — powiedział krótko Kulgan. — Nie ma doprawdy żadnego rozsądnego wyjaśnienia, dlaczego nie może posługiwać się technikami, których starałem się go nauczyć. To, jak ten chłopiec potrafi posługiwać się starymi zwojami czy innymi pomocami, jest doprawdy zdumiewające. Ma do tego taki talent, że gotów jestem założyć się, iż są w nim zadatki na maga potężnych mocy, wyższej sztuki magii. Z drugiej strony jednakże, ta jego nieudolność korzystania z własnych, wewnętrznych sił…

— Jak sądzisz, uda ci się znaleźć jakieś rozwiązanie?

— Mam nadzieję. Bardzo bym nie chciał, aby okoliczności zmusiły mnie do zwolnienia go z terminu. Byłoby to dla niego o wiele gorsze, niż gdybym go nigdy nie był przyjął.

Na jego twarzy malowała się prawdziwa troska.

— Gubię się w tym, Tully. Zgodzisz się chyba ze mną, że tkwi w nim zapowiedź wspaniałego talentu. Gdy tylko zobaczyłem tamtej nocy w chacie, jak wykorzystał kryształową kulę, po raz pierwszy od lat poczułem, że być może znalazłem swego terminatora. I kiedy żaden inny mistrz go nie wybrał, wiedziałem,

że los skrzyżował nasze ścieżki. Jest jednak w jego umyśle, w głowie, coś, na co nigdy jeszcze się nie natknąłem. Jakaś potęga, potężna moc. Nie mam pojęcia, co to może być, Tully, ale to coś odrzuca, nie akceptuje moich ćwiczeń, jak gdyby były one nie całkiem… prawidłowe lub… nieodpowiednie dla niego. Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć lepiej, na co się natknąłem u niego. Nie ma żadnego prostego wytłumaczenia.

— Czy zastanawiałeś się nad tym, co chłopiec powiedział? — spytał kapłan zamyślonym i zatroskanym głosem.

— O tym, że być może się pomyliłem?

Tully kiwnął głową. Kulgan machnięciem ręki oddalił pytanie.

— Tully, o naturze magii wiesz co najmniej tyle samo co ja, a być może więcej. Twój bóg nie został nazwany Bogiem Który Wprowadził Porządek ot, tak sobie. Twoi współwyznawcy odkryli wiele prawd o tym, co rządzi wszechświatem. Czy choć przez chwilę wątpiłeś, że chłopak ma talent?

— Talent? Nie. To nie ulega wątpliwości. Teraz jednak mówimy o problemie jego zdolności, możliwościach działania.

— Dobrze to ująłeś. Jak zwykle zresztą. Masz więc jakiś pomysł? Może zamiast tego powinniśmy zrobić z niego kleryka, co?

Tully wyprostował się. Na jego twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty.

— Wiesz dobrze, Kulgan, że kapłaństwo jest powołaniem — powiedział sztywno.

— Nie obrażaj się, Tully, żartowałem. — Westchnął. — Wracamy zatem do punktu wyjścia. Jeżeli nie ma powołania kapłańskiego ani drygu do sztuki magicznej, co mamy począć z jego przyrodzonymi zdolnościami?

Tully rozważał pytanie w milczeniu.

— Czy zastanawiałeś się nad zaginioną sztuką?

Kulgan spojrzał na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

— Ta stara legenda?

Tully pokiwał głową.

— Wątpię, czy którykolwiek z dzisiejszych magów nie rozmyślał w jakimś momencie swego życia nad legendą o zaginionej sztuce. Jeżeli istniała rzeczywiście, tłumaczyłoby to wiele niedoskonałości naszego rzemiosła.

Spojrzał na Tully’ego zwężonymi oczami. Wyraźnie nie akceptował pomysłu.

— Wszędzie dookoła mamy jakieś legendy. Przewróć kamień na plaży, a znajdziesz kolejną. Ja osobiście wolę szukać prawdziwych przyczyn naszych niedoskonałości, zamiast zwalać winę na starodawne zabobony.

Twarz Tully’ego przybrała surowy wyraz. W głosie słychać było naganę.

— My ze świątyni nie uważamy tego za legendę, Kulgan! Jest ona uznawana za część prawdy objawionej i przekazanej pierwszym ludziom przez bogów.

Dotknięty do żywego tonem kapłana, Kulgan wypalił:

— Tak samo jak przekonanie, że świat jest płaski aż do momentu, kiedy Rolendirk, który — pozwolisz sobie przypomnieć na marginesie — był magiem, wysłał swe magiczne spojrzenie na taką wysokość, skąd można było stwierdzić, że horyzont jest zakrzywiony, co ponad wszelką wątpliwość udowodniło, że świat jest kulą! Od początków świata ten fakt był znany prawie każdemu żeglarzowi czy rybakowi, który na horyzoncie dostrzegał najpierw żagle zbliżającego się statku, a dopiero potem całą resztę! — prawie krzyczał Kulgan.

Spostrzegł, że Tully został boleśnie dotknięty odwołaniem się do starodawnego, od dawna zarzuconego kanonu kościelnego. Złagodził swój ton.

— Nie chciałem cię urazić, Tully. Ale nie ucz starego złodzieja, jak kraść. Wiem, że twój zakon spiera się często o szczegóły z innymi, jak i to, że połowa twoich braci kleryków tarza się po ziemi ze śmiechu, kiedy słyszy tych śmiertelnie poważnych nowicjuszy debatujących nad zagadnieniami teologicznymi, których poniechano sto lat temu. Ale, ale. Skoro o tym mowa. Czy legenda o zaginionej sztuce nie jest dogmatem ishapiańskim?

Tym razem Tully spojrzał na Kulgana z przyganą. Głosem, w którym brzmiało rozbawienie i irytacja, powiedział:

— Widzę, Kulgan, że mimo bezlitosnej oceny działań mego zakonu, masz jeszcze spore braki w wiedzy religijnej. — Uśmiechnął się lekko. — Chociaż podzielam twoją opinię na temat inscenizowanych rozpraw biblijnych. Większość z nas uważa je za tak zabawne, bo doskonale pamiętamy, jak śmiertelnie poważnie sami podchodziliśmy do nich, kiedy byliśmy w nowicjacie. — Spoważniał. — Całkiem serio mówiłem, Kulgan, że masz luki w wykształceniu. To prawda, że niektóre wierzenia Ishapian są trochę dziwne i że są oni grupą insularną. Trzeba jednak pamiętać, że są najstarszym znanym zakonem i uznawanym za kościół starszy rangą, jeżeli chodzi o zagadnienia odnoszące się do różnic międzywyznaniowych.

— Wojen religijnych, chciałeś chyba powiedzieć — parsknął rozbawiony Kulgan.

Tully zignorował komentarz.

— Ishapianie mają pieczę nad najstarszą wiedzą i historią w Królestwie. Mają także najbogatszą bibliotekę w naszym kraju. Oglądałem zbiory w ich świątyni w Krondorze. To robi ogromne wrażenie.

— Tak jak i ja, Tully — powiedział lekko protekcjonalnym tonem Kulgan. — Przeglądałem też zawartość księgozbioru w klasztorze Sarth, który jest dziesięć razy większy. Do czego zmierzasz?

Tully nachylił się w jego stronę.

— Oto do czego zmierzam. Mów sobie o Ishapianach, co ci tylko ślina na język przyniesie, lecz jeżeli oni podają coś jako fakt historyczny, a nie naukę czy wiedzę, mają zazwyczaj na poparcie swego twierdzenia starożytne źródła pisane.

— To nie tak, Tully — Kulgan oddalił ruchem ręki kapłana. — Nie o to chodzi. Nie naśmiewam się z wierzeń twoich czy innych ludzi. Nie mogę tylko po prostu zaakceptować tego nonsensu o straconej sztuce. Jestem skłonny uwierzyć, że Pug jest jakoś lepiej dostrojony do pewnych obszarów magii, na których ja jestem ignorantem, być może związanych z zaklinaniem duchów czy iluzją — są to regiony magii, o których, przyznaję otwarcie, mam nikłe pojęcie — nie mogę jednakże się zgodzić, że nie opanuje swej sztuki, ponieważ dawno zaginiony bóg magii umarł w czasie Wojen Chaosu! Nie! Przyjmuję, że są obszary nieznanej wiedzy. W naszej sztuce jest zbyt wiele niedoskonałości, by nawet zacząć myśleć o tym, że przybliżamy się do całkowitego zrozumienia magii. Jeżeli jednak Pug nie może nauczyć się magii, to tylko dlatego, że zawiodłem jako nauczyciel.

Tully patrzył intensywnie na Kulgana. Zdał sobie nagle sprawę, że mag nie mówi o możliwych słabościach i niedoskonałościach Puga, lecz o swoich własnych.

— Nie gadaj głupstw. Jesteś bardzo utalentowany. I gdybym to ja odkrył talent Puga, nie mógłbym sobie wyobrazić lepszego nauczyciela dla niego niż ty. Nie może być jednak mowy o niepowodzeniu, jeżeli nie wiesz, czego trzeba go nauczyć.

Kulgan usiłował gwałtownie się sprzeciwić, lecz Tully przerwał mu.

— Nie, pozwól, że będę mówił dalej. Brakuje nam właściwego zrozumienia. Wydaje się, że zapominamy, iż przed Pugiem byli już inni, podobni do niego. Dzikie talenty, które nie potrafiły zapanować nad swymi darami. Ci, którzy nie sprawdzili się jako kapłani czy magowie.

Kulgan wypuszczał z fajki kłęby dymu. Pochłonięty myślami, zmarszczył czoło. Zachichotał nagle, a potem wybuchnął śmiechem. Tully spojrzał ostro na maga. Kulgan beztrosko machnął fajką.

— Nagle przyszła mi do głowy myśl, że jeżeli świniopas nawali i nie zdoła nauczyć swego syna rodzinnego powołania, może zwalić winę na zgon świńskich bogów.

Oczy Tully'ego rozszerzyły się gwałtownie. Prawie bluźnierstwo. Po chwili i on wybuchnął urywanym śmiechem.

— Oto zagadnienie dla inscenizowanych sądów biblijnych!

Obaj mężczyźni ryknęli niepowstrzymanym, rozluźniającym napięcie śmiechem. Tully westchnął w końcu i wstał.

— Ale nie zamykaj się zupełnie na myśl, którą podsunąłem, Kulgan. Być może Pug jest jednym z tych dziko wyrosłych talentów i będziesz musiał się pogodzić z myślą, że trzeba go zwolnić.

Kulgan potrząsnął ze smutkiem głową.

— Nie dopuszczam do siebie myśli, że te poprzednie niepowodzenia miały jakieś proste wytłumaczenie, Tully. Wina kryła się w każdym mężczyźnie czy kobiecie z osobna, a nie w naturze wszechświata. Często mam wrażenie, że źródłem

naszych niepowodzeń z Pugiem jest to, że nie wiemy, jak do niego dotrzeć. Może najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby poszukanie dla Puga nowego mistrza i oddanie chłopca komuś, kto lepiej poradzi sobie z ujarzmieniem jego zdolności.

Tully westchnął.

— Kulgan, mówiłem szczerze to, co myślę w tej materii. Nie mogę ci doradzać wbrew swym własnym przekonaniom. A poza tym, jak mówią, lepszy kiepski mistrz niż żaden. Jak by sobie chłopak teraz radził, gdyby nikt go nie wybrał do terminu?

Kulgan zerwał się błyskawicznie na równe nogi.

— Coś ty powiedział?

— Powiedziałem, jak by sobie chłopak poradził, gdyby nikt go nie wybrał do terminu?

Spojrzenie Kulgana zagubiło się gdzieś w przestrzeni. Fajka zaczęła kopcić gwałtownie, a Kulgan z furią wypuszczał kłęby dymu. Tully obserwował go przez moment. Po chwili spytał:

— O co chodzi, Kulgan?

— Nie jestem pewien, Tully, ale być może podsunąłeś mi pewien pomysł.

— Jaki pomysł?

Kulgan machnął ręką.

— Nie jestem jeszcze zupełnie pewien. Daj mi czas do namysłu. Ale zastanów się nad tym, co powiedziałeś, i zadaj sobie pytanie: jak pierwsi magowie nauczyli się wykorzystywać swoje moce?

Tully usiadł wygodniej i obaj mężczyźni zaczęli w ciszy rozważać pytanie. Zza okna dobiegał ich wypełniający dziedziniec gwar bawiących się chłopców.

* * *

Każdego Szóstego Dnia dziewczęta i chłopcy pracujący na zamku mieli wolne popołudnie, które mogli spędzić tak, jak chcieli. Chłopcy w wieku terminatorów i młodsi tworzyli hałaśliwą i niesforną zgraję. Dziewczęta usługiwały damom na zamku, sprzątały i szyły, a także pomagały w kuchni. Młodzież pracowała codziennie przez bity tydzień od świtu do zmierzchu, a czasem dłużej. Jednakże ostatniego dnia tygodnia wszyscy zbierali się na bocznym dziedzińcu zamku, w pobliżu ogrodu Księżniczki. Wśród wrzasku i krzyków, przepychania się, kopniaków, a czasem i bitki na pięści, większość chłopców zabawiała się ostrą grą w piłkę, polegającą na kopaniu i łapaniu skórzanej, wypchanej na sztywno szmatami piłki. Wszyscy nosili swoje najstarsze i najgorsze ubrania, bo w tej grze nietrudno było podrzeć coś lub pobrudzić się błotem czy krwią lejącą się z nosa.

Dziewczęta siadywały zazwyczaj wzdłuż niskiego murku, okalającego ogród Księżniczki. Zabawiały się plotkowaniem o damach dworu. Prawie zawsze ubierały się w swoje najlepsze sukienki czy bluzki. Świeżo umyte i wyszczotkowane włosy lśniły. Obie grupy wychodziły ze skóry udając, że się nawzajem nie dostrzegają, i obie wypadały równie nieprzekonywająco.

Pug pognał w stronę grających już chłopców. Tomas jak zwykle był w samym oku cyklonu. Płowe włosy rozwiane jak sztandar w boju. Jego krzyki i śmiech wzbijały się ponad ogólną wrzawę. Wśród kuksańców i kopniaków jego okrzyki brzmiały dziko i radośnie, jak gdyby ból czynił zawody tym bardziej godne zachodu. Przedarł się przez kłębowisko ciał i starając się unikać tych, którzy chcieli podstawić mu nogę, kopnął piłkę wysoko w górę. Nikt nie miał specjalnego pojęcia, jak gra powstała ani jakie były jej reguły, lecz chłopcy grali z zaangażowaniem godnym prawdziwego pola bitwy, tak samo, jak ich ojcowie przed laty.

Pug wbiegł na boisko i podstawił nogę Rulfowi, który miał właśnie rąbnąć Tomasa od tyłu. Rulf runął na ziemię w plątaninie ciał. Tomas wyrwał się wolny. Popędził w stronę bramki. Rzucił piłkę przed siebie i kopnął do środka dużej, przewróconej beczki, zdobywając punkt dla swojej drużyny. Rozległ się wrzask radości. Rulf zerwał się na równe nogi. Odepchnął innych i stanął naprzeciwko Puga. Patrzył na niego wściekłym wzrokiem. Splunął.

— Spróbuj tylko jeszcze raz, a połamię ci kości, ty śmierdzielu piaskowy! — Śmierdziel piaskowy, jak go potocznie nazywano, był ptakiem znanym powszechnie z wyjątkowo paskudnych zwyczajów. Jednym z nich, nie najgorszym, było podrzucanie jajek do gniazd innych ptaków tak, że pisklaki były przez nie wychowywane. Pug nie miał zamiaru znosić jakiejkolwiek obrazy z ust Rulfa. Ostatnie kilka miesięcy nagromadziły w nim ogromne pokłady frustracji, spoczywającej tuż, tuż pod powierzchnią. Przez cały dzisiejszy dzień był na krawędzi wybuchu.

Jednym skokiem rzucił się w stronę głowy Rulfa. Lewym ramieniem objął szyję mocniej zbudowanego przeciwnika. Prawą pięścią wymierzył cios w twarz Rulfa. Czuł, jak rozkwasza jego nos. Po chwili obaj chłopcy tarzali się po ziemi. Cięższy Rulf wkrótce zdobył przewagę. Usiadł okrakiem na piersi Puga i zaczął go walić pięściami w twarz.

Tomas stał obok bezradny. Chociaż całym sercem chciał przyjść z pomocą swemu przyjacielowi, jednak honorowy kodeks chłopców był równie ostry, co niewzruszony jak każdy szlachecki. Gdyby teraz interweniował po stronie Puga, Pug na zawsze okryłby się hańbą. Tomas skakał dookoła walczących jak szalony. Zachęcał krzykiem Puga do walki i krzywił się strasznie, ilekroć przyjaciel oberwał, tak jakby to on sam otrzymał cios.

Pug wiercił się i skręcał, próbując wyślizgnąć się spod większego chłopaka. Dzięki temu wiele jego ciosów nie trafiało w twarz, ale w ziemię obok. Jednak wystarczająco duża liczba trafiła w cel i wkrótce Pug poczuł się jakoś oderwany od całej zabawy. Jakie to dziwne, myślał, że wszystkie odgłosy dochodzą jakby

z oddali, a uderzenia Rulfa nie bolą już tak mocno. Przed oczami pojawiły się żółte i czerwone plamy. I wtedy poczuł, że ciężar unosi się z jego piersi.

Po chwili odzyskał ostrość widzenia. Stał nad nim książę Arutha. Jedną ręką trzymał mocno za kołnierz Rulfa. Chociaż nie miał tak potężnej postury jak brat czy ojciec, Książę był jednak wystarczająco silny, żeby utrzymać chłopaka w górze. Stopy stajennego ledwo, ledwo dotykały ziemi. Książę uśmiechnął się, ale nie było mu wcale do śmiechu.

— Myślę, że on ma już dość — powiedział spokojnie, a oczy ciskały gromy. — Nie sądzisz? — Lodowaty ton głosu wyraźnie mówił, że Książę wcale nie pyta o opinię w tej sprawie. Z twarzy Rulfa nadal ściekała krew po pierwszym ciosie Puga. Wydobył z siebie jakiś dźwięk, który Książę uznał za wyrażenie zgody. Arutha puścił jego kołnierz i stajenny poleciał do tyłu i wyciągnął się jak długi na ziemi. Patrzący wybuchli śmiechem. Książę pochylił się i pomógł Pugowi dźwignąć się na nogi.

Trzymał mocno słaniającego się na nogach chłopca.

— Podziwiam twoją odwagę, młodzieńcze, ale chyba nie możemy dopuścić do tego, aby najwspanialszemu młodemu magowi Księstwa wybito cały rozum z głowy, prawda?

W jego głosie wyczuwało się tylko lekką nutkę kpiny. Pug był tak ogłupiały i oszołomiony, że stał tylko i gapił się na młodszego syna Księcia. Arutha uśmiechnął się lekko do niego i oddał pod opiekę Tomasa, który podszedł właśnie do Puga z wilgotną szmatką w ręku.

Kiedy Tomas wytarł mu twarz, Pug doszedł trochę do siebie. Rozejrzał się dookoła i znowu poczuł się gorzej, kiedy ujrzał oddalonych o kilka zaledwie kroków Księżniczkę i Rolanda. Arutha podszedł do nich i stanął z boku. Dostać lanie na oczach dziewczyn — to już wystarczająco fatalne, ale oberwać tak strasznie w obecności Księżniczki od takiego prymitywa jak Rulf, to była katastrofa.

Z gardła wydarł mu się straszny jęk, nie mający nic wspólnego z fizycznym bólem. Pug ze wszystkich sił starał się wyglądać jak wszyscy inni.

Tomas przytrzymał go szorstko.

— Nie wierć się tak. Nie jest aż tak źle. Prawie cała krew to krew Rulfa. Do jutra jego nos będzie wyglądał, jak główka wściekłej czerwonej kapusty.

— Jak i moja głowa.

— Nie będzie tak źle. Podbite oko, no… może i drugie, a do kompletu spuchnięty policzek. W sumie nawet nieźle ci poszło. Ale następnym razem, jak będziesz się chciał brać z Rulfem za łeb, upewnij się, że przybrałeś trochę na wadze, jasne?

Pug obserwował, jak Książę odprowadza siostrę z pola bitwy. Na odchodnym Roland posłał Pugowi szeroki uśmiech. Pug omal się nie zapadł pod ziemię.

* * *

Pug i Tomas wyszli z kuchni, trzymając w rękach talerze z kolacją. Wieczór był ciepły i chłopcy woleli przyjemny chłód oceanicznej bryzy od upału panującego w pomywalni naczyń. Usiedli na ganku. Pug wykonał parę ruchów szczęką czując, jak lekko się porusza. Spróbował odgryźć kęs cielęciny i odsunął talerz na bok.

Tomas obserwował go.

— Nie możesz jeść?

Pug kiwnął głową.

— Za bardzo boli. — Pochylił się i oparł łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach.

— Gdybym trzymał nerwy na wodzy, poszłoby mi lepiej.

— Mistrz Fannon mówi zawsze, że żołnierz musi zachować zimną krew, jeżeli nie chce stracić głowy — powiedział Tomas z pełnymi ustami.

Pug westchnął.

— Kulgan też powiedział coś podobnego. Znam kilka ćwiczeń, które pomagają mi się zrelaksować. Powinienem był je zastosować.

Tomas przełknął ogromną porcję jedzenia.

— Ćwiczenie w pokoju to jedna sprawa, a wprowadzenie tego w czyn, kiedy ktoś ci ubliża prosto w twarz, to zupełnie coś innego. Ja bym pewno zachował się tak samo.

— No, ale ty byś zwyciężył.

— Pewnie tak i dlatego Rulf nigdy by na mnie nie naskoczył — mówił to w sposób zupełnie naturalny. Nie przechwalał się. Stwierdzał po prostu fakt. — Mówię poważnie, poszło ci całkiem nieźle. Stary kapuściany nos zastanowi się teraz dwa razy, zanim zacznie się znowu czepiać. Jestem tego pewien. A w ogóle, to o co wam poszło?

— Nie rozumiem?

Tomas odstawił talerz i czknął. Dźwięk najwyraźniej go usatysfakcjonował.

— Z takimi tyranami jak Rulf jest zawsze tak samo. Nie ma znaczenia, czy jesteś w stanie ich pokonać czy nie. Ważne jest, czy potrafisz stawić im czoło. Może i Rulf jest duży, ale pod tymi przechwałkami kryje się tchórz. Założę się, że teraz skieruje swoją uwagę na młodszych chłopców, aby nimi pomiatać. Nie wydaje mi się, żeby chciał mieć znowu z tobą do czynienia. Cena mu się nie spodobała.

Tomas uśmiechnął się szeroko i ciepło do Puga.

— Ten pierwszy cios był ekstra. Prosto w dziób.

Pug poczuł się troszkę lepiej.

Tomas zezował w stronę nietkniętej kolacji Puga.

— Będziesz to jadł?

Pug spojrzał na talerz z piętrzącą się na nim górą gorącej cielęciny, sałaty i ziemniaków. Chociaż jedzenie pachniało smakowicie, Pug nie miał apetytu.

— Nie, możesz zjeść.

Tomas złapał talerz i zaczął wrzucać jedzenie do ust. Pug uśmiechnął się. Powszechnie było wiadomo, że Tomas nie żałował sobie jedzenia.

Pug zwrócił spojrzenie na mur zamkowy.

— Czułem się jak kretyn.

Tomas przerwał jedzenie. Ogromny kawał mięsa zawisł w połowie drogi między talerzem a ustami. Patrzył przez chwilę na Puga.

— Ty też?

— Co, też ja?

Tomas roześmiał się.

— Głupio ci było, bo dostałeś baty od Rulfa na oczach Księżniczki.

Pug żachnął się.

— Żadne baty. On też nieźle oberwał!

Tomas zawył z radości.

— O rany! Wiedziałem, że chodziło o Księżniczkę.

Zrezygnowany Pug przyznał się cicho.

— Tak… chyba tak.

Tomas nic nie odpowiedział. Pug spojrzał na niego. Był całkowicie pochłonięty wykańczaniem jego kolacji.

— A ty pewnie jej nie lubisz, co? — spytał po chwili Pug. Tomas wzruszył ramionami. Pomiędzy jednym kęsem a drugim powiedział: — Nasza pani, Carline, jest bardzo ładna, przyznaję. Ale ja znam swoje miejsce. A poza tym mam oko na kogoś innego.

Pug wyprostował się gwałtownie.

— Która to? — spytał z wielkim zaciekawieniem.

— Nie powiem — odpowiedział Tomas z szelmowskim uśmiechem.

Pug roześmiał się.

— To Neala, prawda?

Tomasowi opadła szczęka.

— Skąd wiesz?

Pug starał się przybrać tajemniczy wyraz twarzy.

— My, magowie, mamy swoje sposoby.

Tomas prychnął.

— Też mi mag. Jak ty jesteś mag, to ja jestem Kapitan Armii Królewskiej. Gadaj. Skąd wiesz?

Pug roześmiał się.

— To żadna tajemnica. Ile razy ją zobaczysz, ten twój kaftan wydyma się jak balon, a ty puszysz się jak mały kogut.

Tomas poczuł się nieswojo.

— Jak myślisz, czy ona… coś czuje do mnie?

Pug uśmiechnął się szeroko jak dobrze odkarmiony kocur.

— Nic a nic. Jestem pewien — zawiesił głos na chwilę — no, chyba że jest ślepa i nie słyszała o tobie ze sto razy od wszystkich dziewczyn z zamku.

Tomas zasmucił się.

— Co też ona myśli?

— Któż może wiedzieć, o czym myślą dziewczyny? Na ile mogę powiedzieć, pewnie to jej się podoba.

Tomas spojrzał z namysłem na swój talerz.

— Myślałeś kiedyś, żeby się ożenić?

Pug zamrugał oczami, jak sowa schwytana w jasny strumień światła.

— Ja… ja nigdy nie zastanawiałem się nad tym. Nie mam pojęcia, czy magowie się żenią. Chyba nie.

— Ani żołnierze… przeważnie. Mistrz Fannon mówi, że żołnierz, który myśli o swojej rodzinie, nie myśli o swoich obowiązkach.

Tomas milczał przez chwilę.

— Nie wydaje się, aby to przeszkadzało sierżantowi Gardanowi i kilku innym żołnierzom.

Tomas prychnął tak, jakby te wyjątki jedynie potwierdzały jego stanowisko.

— Czasem próbuję sobie wyobrazić, jak to jest mieć rodzinę.

— Ty masz rodzinę, głupku. To ja jestem sierotą.

— Chodzi mi o żonę, zakuta pało. — Tomas obdarzył Puga najlepszym wydaniem spojrzenia pod tytułem „Jesteś po prostu zbyt głupi, aby żyć”. — I pewnego dnia dzieci, a nie matka i ojciec.

Pug wzruszył ramionami. Rozmowa zaczęła wkraczać w regiony, w których czuł się nieswojo. Nigdy nie zależało mu tak bardzo jak Tomasowi, aby być dorosłym, i nigdy nie zastanawiał się nad tymi tematami.

— Moim zdaniem ożenimy się i będziemy mieli dzieci, jeżeli będzie to naszym przeznaczeniem.

Tomas zastanawiał się, czy Pug się wygłupia, i spojrzał na niego poważnie.

— Wyobrażałem sobie jakiś maleńki pokoik w zamku i… nie mam pojęcia, która to będzie dziewczyna. — Dalej przeżuwał jedzenie. — Coś tu chyba nie gra.

— Nie gra?

— Tak jakby było coś jeszcze… coś, czego nie rozumiem… nie wiem.

— Jeżeli ty nie wiesz, skąd ja mam wiedzieć?

Tomas nagle zmienił temat rozmowy.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Pug, prawda?

Pug był kompletnie zaskoczony.

— Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi. Jesteś dla mnie jak rodzony brat, a twoi rodzice zawsze traktowali mnie jak swego syna. Dlaczego o to pytasz, Tomas?

Tomas odstawił talerz. Był zdenerwowany.

— Sam nie wiem. Czasem wydaje mi się, że wszystko się zmieni. Ty zostaniesz magiem. Może będziesz podróżował po całym świecie, odwiedzając w dalekich zakątkach innych magów. Ja zostanę żołnierzem i będę musiał wykonywać rozkazy mego pana. I pewnie nigdzie poza tę część Królestwa się nie ruszę, a i to tylko wtedy, kiedy będę miał szczęście i zostanę członkiem gwardii przybocznej Księcia.

Pug zaniepokoił się. Jeszcze nigdy nie widział, aby Tomas mówił o czymś z taką powagą. Starszy chłopiec zawsze był pierwszy do śmiechu i radości i chyba nigdy się niczym nie martwił ani nie kłopotał.

— Gadaj, co chcesz, mnie to nie obchodzi — powiedział Pug. — Nic się nie zmieni. Bez względu na to, co nam się przydarzy, zostaniemy przyjaciółmi.

Tomas uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że masz rację.

Usiedli wygodniej i obserwowali gwiazdy nad morzem i światełka miasta ujęte, jak obraz, w ciemny kontur bramy.

* * *

Następnego ranka Pug usiłował umyć twarz, lecz zadanie okazało się zbyt trudne, wręcz niewykonalne. Lewe oko miał tak zapuchnięte, że w ogóle nic nim nie widział, a prawe w połowie tylko otwarte. Twarz pokrywały wielkie siniaki, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. Kiedy poruszył szczęką, niewiele brakowało, aby wyskoczyła z zawiasów. Fantus leżał na posłaniu Puga. Jego czerwone oczy lśniły w promieniach porannego słońca, zaglądających do środka przez okno w wieży.

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i Kulgan przyodziany w zieloną szatę przekroczył jego próg. Zatrzymał się przy drzwiach i przez chwilę przyglądał chłopcu. Przysiadł w końcu na posłaniu i podrapał smoka po głowie. Z głębin gardzieli rozanielonego stwora wydobył się głęboki pomruk.

— Widzę, że wczorajszego popołudnia nie spędziłeś bezczynnie.

— Miałem mały kłopot, panie.

— No cóż. Walka jest domeną zarówno chłopców, jak i dorosłych mężczyzn. Mam jedynie nadzieję, że ten drugi chłopak wygląda równie fatalnie. Nie byłoby

dobrze, gdyby człowiek tylko otrzymywał, a był pozbawiony przyjemności dawania.

— Panie, nabijacie się ze mnie.

— Tylko troszkę, Pug. Prawdą jest bowiem, że w młodości i ja odebrałem swój przydział zadrapań i guzów. Wszelako teraz czas chłopięcych bijatyk mam już poza sobą. Musisz wykorzystywać swoją energię w lepszy sposób, Pug.

— Wiem, Kulgan, ale ostatnio byłem taki zdenerwowany, że kiedy ten prostak Rulf powiedział o mnie to, co powiedział, że jestem sierotą i w ogóle, zagotowało się we mnie.

— Ha! Fakt, że zdajesz sobie sprawę, jaka była twoja rola w tej całej sprawie, świadczy o tym, że powoli stajesz się mężczyzną. Większość chłopców na twoim miejscu starałaby się usprawiedliwić, zrzucić winę na kogoś innego albo wymyślić jakiś szlachetny powód bijatyki.

Pug przysunął sobie stołek i usiadł naprzeciwko maga. Kulgan wydobył fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem.

— Pug, nie jest wykluczone, że w twoim przypadku mogliśmy wybrać niewłaściwy system nauczania. — Rozejrzał się za jakąś drzazgą w garncu z żarem, żeby zapalić fajkę. Nic nie znalazł. Koncentrował się przez chwilę, aż twarz mu się zachmurzyła, po czym ze wskazującego palca prawej dłoni wytrysnął mały płomyczek. Przytknął go do fajki i wkrótce ogromne kłęby białego dymu wypełniły pół pokoju. Pomachał ręką i płomyk zniknął.

— Przydatna umiejętność, jeżeli lubisz palić fajkę.

— Wszystko bym dał, żeby umieć chociaż tyle — powiedział Pug z rozgoryczeniem.

— Jak już wspomniałem, sądzę, że zabraliśmy się do tego od niewłaściwego końca. Powinniśmy, jak myślę, rozważyć inne podejście do twojej nauki.

— Co to znaczy?

— Pug, pierwsi magowie dawno, dawno temu nie mieli żadnych nauczycieli sztuki magicznej. To oni właśnie rozwijali i wypracowywali umiejętności, których dzisiaj się uczymy. Niektóre z bardziej starodawnych, jak na przykład wyczuwanie węchem, kiedy zanosi się na zmianę pogody, lub odnajdywanie pod ziemią wody za pomocą kijka, pochodzą z samych początków naszego istnienia. Przemyślałem sobie to wszystko, chłopcze, i doszedłem do wniosku, że na pewien czas pozostawię cię samemu sobie. Czytaj i studiuj wszystkie moje księgi, na jakie masz ochotę. Nie zaniedbuj innych nauk. Będziesz się uczył sztuki pisania od ojca Tully'ego, ale ja osobiście nie będę ci zaprzątał czasu moimi lekcjami. Oczywiście, gdybyś miał jakieś pytania, chętnie na wszystkie odpowiem. Wydaje mi się, że na razie będzie lepiej, jeżeli sam spróbujesz dojść do ładu ze sobą.

— Czy to oznacza, że nie ma już żadnej nadziei? — zapytał Pug przygnębionym głosem.

Kulgan uśmiechnął się uspokajająco.

— Wprost przeciwnie, Pug. W przeszłości bywali już tacy magowie, którzy późno zaczynali. Pamiętaj, że okres twego terminowania ma trwać jeszcze dziewięć długich lat. Nie zniechęcaj się niepowodzeniami kilku ostatnich miesięcy. A przy okazji, chciałbyś się nauczyć jazdy konnej?

Nastrój Puga zmienił się gwałtownie.

— Och tak! Mogę?

— Książę zdecydował, żeby od czasu do czasu jakiś chłopiec towarzyszył Księżniczce w przejażdżkach konnych. Jego synowie są już dorośli i mają rozliczne obowiązki. Książę wybrał ciebie, abyś jej towarzyszył, kiedy oni będą zbyt zajęci.

Pug był tak oszołomiony, że aż kręciło mu się w głowie. Nie dość, że miał się uczyć jeździć konno, co było umiejętnością w zasadzie zarezerwowaną dla szlachty, to na dodatek przebywać w towarzystwie Księżniczki!

— Kiedy zaczynam?

— Jeszcze dzisiaj. Poranne nabożeństwo w kaplicy dobiega już końca.

Był akurat Dzień Pierwszy i wszyscy praktykujący religię uczęszczali na nabożeństwa w kaplicy zamkowej lub małej świątyni w mieście. Resztę dnia poświęcano na lżejszą pracę, tylko tyle, ile było potrzeba, aby na stole Księcia mogło się pojawić coś do jedzenia. Chłopcy i dziewczęta mogli otrzymać dodatkowo pół dnia wolnego w Dniu Szóstym, starsi jednak odpoczywali tylko Dnia Pierwszego.

— Idź do Koniuszego Algona. Otrzymał już polecenie od Księcia i od razu zacznie lekcje z tobą.

Pug zerwał się bez słowa i pognał do stajni.

# Rozdział 4

# Potyczka

Pug jechał w milczeniu.

Koń kłusował spokojnie po stromych zboczach, wznoszących się nad morzem. Ciepłe podmuchy wiatru przynosiły zapach kwiatów. Na wschodzie drzewa puszczańskie kołysały się majestatycznie. Słońce prażyło mocno. Nad oceanem drgało rozgrzane powietrze. Mewy zawisały na chwilę nieruchomo ponad falami, aby zaraz zanurkować po rybę. Nad głową żeglowały wielkie białe obłoki.

Pug będzie długo pamiętał ten poranek. Jechał, wpatrując się w plecy Księżniczki dosiadającej pięknego, białego rumaka. Musiał czekać w stajni przez ponad dwie godziny, zanim ukazała się w towarzystwie ojca. Książę przez dłuższy czas pouczał Puga o jego odpowiedzialności za panią z zamku. Pug stał, nie odzywając się ani słowem, kiedy Książę powtarzał słowa instrukcji, te same, których chłopiec musiał wysłuchać wczoraj wieczorem od koniuszego Algona. Główny stajenny uczył chłopca od ponad tygodnia i uważał, że Pug jest gotowy, aby odbywać przejażdżki z Księżniczką, chociaż daleko mu jeszcze do dobrej jazdy.

Pug wyjechał za nią przez bramę. Ciągle nie mógł się nacieszyć nieoczekiwanym szczęściem. Choć całą noc rzucał się z boku na bok i nie zjadł śniadania, rozpierała go radość.

Teraz jednak, powoli jego nastrój ulegał zmianie od młodzieńczego schlebiania Księżniczce do otwartej irytacji. Dziewczyna nie reagowała bowiem na żadne uprzejme próby nawiązania rozmowy. No, może poza ciągłym wydawaniem mu poleceń, a robiła to tonem władczym i niegrzecznym. Uparła się przy tym, aby zwracać się do niego „chłopcze”, ignorując zupełnie uprzejme przypomnienia, że ma na imię Pug. Jej zachowanie bardzo się teraz różniło od zachowania dystyngowanej, młodej damy z dworu. Przypominała raczej rozpuszczonego i rozkapryszonego dzieciaka.

Z początku, siedząc na grzbiecie posiwiałego ze starości konia pociągowego, którego, biorąc pod uwagę jego umiejętności jeździeckie, uznano za odpowied-

niego rumaka, czuł się niezręcznie. Kobyła była obdarzona spokojną naturą i nie miała najmniejszej ochoty poruszać się szybciej, niż było to absolutnie konieczne.

Chociaż był ubrany w jasnoczerwoną tunikę, którą dostał od Kulgana w prezencie, w porównaniu ze wspaniałym ubiorem Księżniczki wyglądał niepozornie. Carline miała na sobie prosty, jaskrawożółty, wykończony czarną lamówką ubiór do konnej jazdy, a na głowie, dobrany do całości stroju, kapelusz. Nawet siedząc w siodle po damsku, bokiem, wyglądała jak urodzony jeździec. Pug zaś czuł, że bardziej by mu pasowało, gdyby kroczył za swoją kobyłą, trzymając w dłoniach uchwyty pługa. Jego wierzchowiec miał irytującą skłonność do zatrzymywania się co kilkanaście metrów, aby urwać parę źdźbeł trawy czy szczypnąć gałązkę krzaka. Kobyła zupełnie ignorowała desperackie wysiłki Puga, który uderzając piętą w bok, usiłował ruszyć ją z miejsca. Za to wspaniale ułożony rumak Księżniczki reagował natychmiast na najmniejsze dotknięcie szpicruty. Jechała w milczeniu, nie zwracając uwagi na stękania zmęczonego chłopca, który usiłował przymusić krnąbrne zwierzę zarówno siłą woli, jak i skromnymi umiejętnościami jeździeckimi.

Zaczęło mu burczeć w brzuchu. Romantyczne marzenia musiały ustąpić pola przed potężnym głodem piętnastolatka. Kiedy tak jechali i jechali, jego myśli coraz częściej błądziły wokół wiszącego na łęku siodła koszyka z obiadem.

Po pewnym czasie, który Pugowi wydawał się wiecznością, Księżniczka zwróciła się do niego:

— Jakie jest twoje rzemiosło, chłopcze?

Pytanie rzucone nagle po długiej ciszy zaskoczyło go kompletnie.

— Ja… terminuję u mistrza Kulgana — wyjąkał.

Popatrzyła na niego, jakby zobaczyła pełznącego po talerzu robaka.

— Ach… więc to ty jesteś tym chłopcem.

Jeżeli nawet przez ułamek sekundy tliła się w niej iskierka zainteresowania, to teraz zgasła błyskawicznie. Odwróciła się do niego plecami i przez chwilę znowu jechali w milczeniu. Po pewnym czasie Księżniczka, nie odwracając głowy, rzuciła polecenie:

— Zatrzymamy się tutaj, chłopcze.

Ściągnął wodze klaczy, lecz zanim zdążył podbiec do Księżniczki, ta zeskoczyła już zwinnie z konia, nie czekając wcale na podanie ramienia, chociaż mistrz Algon instruował go, że tak właśnie się zachowa. Rzuciła mu wodze i podeszła do krawędzi skał.

Przez chwilę spoglądała w morską dal. Nie odwracając głowy, spytała:

— Czy myślisz, że jestem piękna?

Pug stał w milczeniu nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Odwróciła się.

— No?

— Tak, Wasza Wysokość.

— Bardzo piękna?

— Tak, Wasza Wysokość. Bardzo piękna.

Przez chwilę rozważała jego słowa, a potem znowu się odwróciła, by podziwiać rozciągający się u ich stóp widok.

— To bardzo ważne dla mnie, żeby być piękną, chłopcze. Lady Marna mówi, że muszę być najpiękniejszą damą w całym Królestwie, żeby w przyszłości znaleźć potężnego i znacznego męża, a tylko najpiękniejsze damy w Królestwie mogą sobie pozwolić na przebieranie. Brzydkie muszą brać tego, kto poprosi o ich rękę. Mówi też, że będę miała wielu konkurentów starających się o rękę, bo ojciec jest bardzo ważną osobą.

Odwróciła się w jego stronę. Pugowi wydawało się przez sekundę, że przez jej piękne rysy przemknął jakby lęk czy obawa.

— Dużo masz przyjaciół, chłopcze?

— Kilku, Wasza Wysokość. — Pug wzruszył ramionami.

Przyglądała mu się uważnie przez chwilę.

— To musi być miłe.

Bezwiednym ruchem odgarnęła kosmyk włosów, który wysunął się spod szerokoskrzydłego kapelusza do konnej jazdy. Przez moment wyglądała tak samotnie i zdawała się tak skrzywdzona przez los, że Pug poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Najwidoczniej jego twarz zdradziła go, bo Księżniczka przymrużyła oczy, a nastrój raptownie odmienił się: z zamyślenia do królewskiej wyniosłości.

— Zjemy teraz obiad — zarządziła swym najbardziej rozkazującym tonem.

Pug błyskawicznie przywiązał konie do palika wbitego w ziemię i zdjął koszyk. Postawił na ziemi i otworzył.

Carline podeszła bliżej.

— Ja się zajmę przygotowaniem posiłku, chłopcze. Nie pozwolę, żeby jakieś niezgrabne łapy przewracały mi naczynia i rozlewały wino.

Pug cofnął się o krok, a ona uklękła na ziemi i zaczęła wyjmować wiktuały. Aromatyczna woń sera i chleba drażniły nos Puga. Poczuł, jak cieknie mu ślinka.

Księżniczka podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Zaprowadź konie na drugą stronę pagórka, do strumienia. Trzeba je napoić. Możesz zjeść w drodze powrotnej. Zawołam cię, kiedy skończę.

Pug zdusił w sobie jęk rozpaczy. Wziął wodze w rękę i ruszył. Prowadził konie, kopiąc po drodze kamienie. W jego wnętrzu ścierały się sprzeczne uczucia. Wiedział, że nie powinien oddalać się od dziewczyny na krok, ale z drugiej strony nie bardzo mógł jej nie posłuchać. Dookoła nie było żywej duszy, a w takim oddaleniu od puszczy nie groziło im raczej żadne niebezpieczeństwo. Poza tym cieszył się, że choć przez chwilę nie będzie w jej towarzystwie.

Dotarł do strumienia i rozsiodłał wierzchowce. Wytarł wilgotne, odciśnięte ślady pod siodłem i popręgiem. Wodze położył luźno na ziemi. Rumak Księżniczki był dobrze ułożony, a jego pociągowa chabeta nie przejawiała chęci oddalania

się. Zaczęły paść się na łące. Pug znalazł sobie wygodne miejsce i usiadł. Zastanowił się nad sytuacją i stwierdził, że jest w kłopocie. To prawda, że Carline nadal była najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkał, ale jej zachowanie szybko odzierało z blasku zauroczenie nią. W tej chwili natomiast znacznie większą uwagę przywiązywał do żołądka niż do dziewczyny swoich marzeń. Doszedł do wniosku, że w tej całej miłości musi chodzić o coś znacznie więcej, niż sobie wyobrażał.

Przez jakiś czas rozmyślał o tym. Znudził się w końcu i poszedł poszukać kamieni w wodzie. Nie miał ostatnio zbyt wiele czasu, aby ćwiczyć strzelanie z procy, a teraz nadarzała się dogodna ku temu okazja. Znalazł kilka gładkich otoczaków i wyjął procę. Ćwiczył strzelanie, wybierając cele pomiędzy małymi drzewkami w oddali, płosząc przy okazji zamieszkujące je ptaki. Trafił w kilka gronek gorzkich jagód. Tylko raz, na sześć prób, spudłował. Zadowolony, że nadal strzela celnie, wetknął procę za pas. Wyszukał jeszcze kilka wyjątkowo obiecujących kamieni i schował je do skórzanego woreczka. Pomyślał, że dziewczyna pewnie kończy już jedzenie, ruszył więc, żeby osiodłać konie, tak aby kiedy Księżniczka zawoła, być gotowym do drogi.

Podszedł właśnie do konia Księżniczki, kiedy spoza pagórka rozległ się krzyk. Cisnął na ziemię jej siodło i popędził na szczyt. Kiedy tam dotarł i spojrzał w dół, zamarł z przerażenia.

Księżniczka pędziła co tchu, a tuż za nią goniły dwa trolle. Trolle zwykle nie zapuszczały się tak daleko od puszczy i Pug był kompletnie zaskoczony ich widokiem. Swoją budową przypominały ludzi, były jednak nieco niższe, a za to o wiele potężniej zbudowane. Długie, silne ramiona sięgały do ziemi. Prawie przez cały czas biegły na czworakach i swym komicznym wyglądem przypominały do złudzenia małpy. Ciała miały pokryte grubą, szarą skórą. Za rozciągniętymi w grymasie wściekłości wargami szczerzyły się długie kły. Rzadko zdarzało się, aby te potworne stworzenia niepokoiły ludzi w grupach, ale bywało, że czasami atakowały samotnego wędrowca.

Pug zawahał się przez moment. Potem wyszarpnął zza pasa procę, założył kamień i runął pędem w dół wzgórza, wywijając procą ponad głową. Obie bestie zrównały się już prawie z Księżniczką, kiedy wypuścił pierwszy kamień. Pocisk trafił w skroń biegnącego na przedzie trolla. Stwór wywinął kozła w powietrzu i upadł na ziemię. Drugi wpadł na niego, potknął się i potoczył razem z tamtym w plątaninie ramion i nóg. Pug zatrzymał się. Oba trolle zerwały się na równe nogi i zwróciły w stronę napastnika, zapominając o Carline. Ryknęły i rzuciły się do ataku. Chłopiec popędził z powrotem na szczyt wzgórza. Wiedział, że jeżeli uda mu się dotrzeć do koni przed trollami, prześcignie je, zatoczy koło, wróci po dziewczynę, a potem bezpiecznie uciekną. Obejrzał się przez ramię. Pędziły za nim. Wyszczerzone, ogromne psie zęby, długie pazury przednich kończyn darły ziemię. Doleciał do niego, pędzony wiatrem, cuchnący odór podobny do smrodu gnijącego mięsa.

Dobiegł do szczytu pagórka. Dyszał ciężko, z trudem łapiąc oddech. Serce zamarło mu na chwilę w piersi, kiedy spostrzegł, że konie przeszły przez strumień i oddaliły się o kilkanaście metrów od miejsca, gdzie je zostawił. Popędził w dół po stoku. Miał nadzieję, że nie okaże się to fatalne w skutkach.

Pełnym pędem wpadł do strumienia. Tuż za sobą słyszał pościg. Strumień był w tym miejscu płytki, ale i tak spowolnił bieg.

Pędził przed siebie, rozbryzgując fontanny wody. Potknął się nagle o kamień i przewrócił. Wyrzucił ramiona i padł na ręce, trzymając głowę ponad wodą. Poczuł gwałtowny, przeszywający ból w rękach. Próbował stanąć na nogi. Znów się potknął. Odwrócił się. Trolle dobiegały do brzegu strumienia. Na widok swego chwiejącego się na nogach prześladowcy zawyły z radości. Stały przez chwilę na brzegu. Paniczny strach owładnął Pugiem. Zdrętwiałymi palcami usiłował założyć kamień do procy. Szło mu bardzo niezdarnie. W końcu proca wyleciała mu z ręki, wpadła do wody i odpłynęła niesiona nurtem strumienia. Chłopiec poczuł, jak w gardle zaczyna mu narastać potworny krzyk przerażenia.

W chwili, kiedy trolle wkroczyły do wody, gdzieś w głębi czaszki Puga eksplodował rozbłysk światła. Rozdzierający ból przeszył czoło, kiedy szare litery pojawiły się w umyśle. Nie były mu obce… to litery ze zwoju, który kilka razy pokazywał mu Kulgan. Bez zastanowienia zaczął recytować zaklęcie, a wypowiedziane już słowa znikały z mózgu jedno po drugim.

Kiedy wypowiedział ostatnie, ból nagle ustał, a przed nim rozległ się potworny ryk. Otworzył oczy. Oba trolle skręcały się i wiły w wodzie. Oczy wychodziły im z orbit w przedśmiertnych męczarniach. Biły bezradnie rękami w wodę, krzycząc i zawodząc.

Pug wygramolił się na brzeg. Patrzył, jak bestie walczą o życie. Tłukły się w wodzie, dusiły i prychały. Po chwili ciałem jednego wstrząsnął dreszcz i troll znieruchomiał, leżąc twarzą w wodzie. Śmierć przyszła do drugiego w parę chwil potem. Utonął jak jego towarzysz, nie mogąc utrzymać głowy ponad powierzchnią płytkiej wody.

Pug był osłabiony i czuł w głowie dziwną lekkość. Powrócił na drugi brzeg strumienia. Umysł miał odrętwiały. Wszystko dookoła wydawało się jakby za mgłą, niewyraźne i niespójne. Przypomniał sobie o koniach. Zatrzymał się i rozejrzał. Nigdzie ich nie zauważył. Pewnie uciekły, kiedy wyczuły zapach trolli, i są teraz w drodze na bardziej bezpieczne pastwiska.

Pug znowu ruszył w stronę, gdzie ostatnio widział Księżniczkę. Doszedł do szczytu pagórka i rozejrzał się dookoła. Ani śladu. Skierował się w stronę przewróconego koszyka z jedzeniem. Myślenie przychodziło z trudem. Umierał wprost z głodu. Wiedział, że powinien coś zrobić, nad czymś się zastanowić, lecz wszystko, co potrafił wydobyć z szaleńczego wiru myśli, dotyczyło jedzenia.

Opadł ciężko na kolana. Porwał kawałek sera i wpakował do ust. Obok leżała przewrócona butelka wina. Połowa wyciekła i wsiąkła w ziemię. Popił ser. Tłu-

sty posiłek i ostry smak białego, wytrawnego wina przywróciły mu siły. Oderwał potężny kawał chleba i zaczął go jeść, próbując uporządkować myśli. Jeśli był w stanie przypomnieć sobie wydarzenia, jeden fakt wyraźnie odcinał się od reszty. W jakiś sposób udało mu się rzucić magiczne zaklęcie, co więcej, dokonał tego bez pomocy żadnej księgi, zwoju czy przyrządu. Nie był zupełnie pewien, ale wydało mu się to dziwne. Myśli znowu ogarnęła mgiełka niejasności. W tej chwili marzył tylko o jednym — położyć się i spać, spać, spać… Nagle, kiedy przeżuwał powoli kęsy chleba, przez plątaninę szaleńczych wizji przedarła się jedna: Księżniczka!

Zerwał się na równe nogi, aż mu się zakręciło w głowie. Wziął się w garść. Porwał kawał chleba, butelkę z winem i ruszył w stronę, w którą uciekała. Szedł mozolnie do przodu, powłócząc nogami. Po paru chwilach poczuł, jak wraca mu zdolność myślenia, a zmęczenie ustępuje. Zaczął wołać Księżniczkę po imieniu. Z kępy krzaków doszło go stłumione łkanie. Przedarł się przez gąszcz. Carline siedziała zwinięta w kłębek z piąstkami wciśniętymi w żołądek. Oczy miała szeroko rozwarte z przerażenia. Jej strój był podarty i pobrudzony ziemią. Zobaczyła go i przestraszyła się w pierwszej chwili. Zaraz jednak zerwała się i rzuciła mu w ramiona, tuląc głowę do piersi. Ciałem wstrząsało rozdzierające łkanie. Chwyciła się kurczowo tuniki Puga. Trzymając w jednej ręce chleb, a w drugiej wino, chłopiec stał bezradnie z rozwartymi ramionami. Zupełnie stracił głowę i nie wiedział, co zrobić. Nieporadnym gestem objął przerażoną dziewczynę.

— Już wszystko w porządku. Już ich nie ma. Jesteś bezpieczna.

Stała jeszcze przez chwilę przytulona do niego. Przestała szlochać i odsunęła się o krok. Pociągała nosem.

— Myślałam, że cię zabiły i… i zaraz przyjdą po mnie.

Pug stwierdził, że jeszcze nigdy nie znajdował się w sytuacji, która by go wprawiała w tak potworne zakłopotanie. Właśnie teraz, kiedy doświadczył najbardziej wstrząsającego wydarzenia w swym krótkim życiu, stanął wobec następnego doświadczenia, które powodowało zawrót głowy. Tym razem jednak przyczyna była zupełnie innej natury.

Nie zastanawiając się, wziął Księżniczkę w ramiona. Po paru chwilach zaczął zdawać sobie sprawę z bliskości kontaktu, jej ciepła i delikatnego, pociągającego uroku. Wezbrało w nim poczucie męskiego instynktu obrony i opieki. Objął ją mocniej. Carline wyczuła zmianę nastroju. Cofnęła się. Mimo dworskiego wychowania i wykształcenia była przecież nadal piętnastoletnią dziewczyną, zmieszaną na skutek nagłego przypływu uczuć, kiedy Pug trzymał ją w ramionach. Znalazła schronienie w tym, na czym znała się dobrze — w roli Księżniczki z zamku. Zebrała siły, aby przybrać rozkazujący ton.

— Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, chłopcze.

Twarz Puga wykrzywił grymas bólu. Dziewczyna ze wszystkich sił starała się odzyskać arystokratyczny wygląd, lecz jej czerwony nos i zapłakane oblicze skutecznie torpedowały te wysiłki.

— Znajdź mojego konia. Wracamy do zamku.

Pug poczuł się tak, jakby ktoś żywcem rozdrapywał mu rany. Ze wszystkich sił starał się zapanować nad głosem.

— Przykro mi Wasza Wysokość, ale konie uciekły. Obawiam się, że będziemy musieli iść na piechotę.

Carline zmaltretowana ostatnimi przejściami poczuła się urażona. Co prawda żadne z wydarzeń tego popołudnia nie nastąpiło z winy Puga, lecz jej gorący temperament, któremu często folgowała, skupił się na obiekcie, który był pod ręką.

— Iść! Nie dam rady przejść całej drogi do zamku — powiedziała sucho i zwięźle, patrząc przy tym na Puga, jakby oczekiwała, że powinien coś z tym fantem zrobić. Natychmiast i bez zadawania zbędnych pytań.

Pug poczuł, jak wzbierają w nim, nagromadzone przez cały dzień, gniew, ból i zawiedzione nadzieje.

— No to siedź tu, do licha, aż zauważą, że nie wróciłaś i wyślą kogoś — krzyczał na cały głos. — Czyli nie wcześniej niż ze dwie, trzy godziny po zachodzie słońca.

Carline zrobiła się biała jak papier. Cofnęła się o krok, jakby dostała prosto w twarz. Dolna warga zaczęła drżeć. Znowu zanosiło się na wielki płacz.

Oczy Puga niemal wyskoczyły z orbit. Postąpił o krok w jej stronę, wymachując butelką wina.

— Omal nie straciłem życia, broniąc twojego! — wrzeszczał na cały głos. — Czy usłyszałem chociaż jedno słowo podziękowania? A skądże! Wszystko, co słyszę, to tylko płaczliwe skamlanie, że nie dam rady iść, nie dam rady dojść do zamku, i tak w kółko. Być może my, którzy mieszkamy poza głównym zamkiem, jesteśmy nisko urodzeni, ale przynajmniej na tyle dobrze wychowani, aby podziękować temu, kto na to zasłużył.

Wrzeszczał i czuł, jak stopniowo gniew go opuszcza.

— Jak chcesz, możesz tu zostać. Ja idę… — Zorientował się nagle, że stoi w dziwacznej pozie, z wysoko wzniesioną ponad głową butelką. Księżniczka wpatrywała się w bochenek chleba, który miał przyczepiony przy pasie, co potęgowało ten śmieszny widok. Bełkotał coś jeszcze przez chwilę i poczuł, że gniew uleciał. Opuścił butelkę. Księżniczka zerkała tymi swoimi ogromnymi oczami spoza pięści przyciśniętych do twarzy. Chłopiec pomyślał, że się go boi, i chciał coś powiedzieć, kiedy spostrzegł, że Carline się śmieje. Spoza rąk dochodził ciepły i melodyjny dźwięk i… i wcale nie przedrzeźniała go.

— Przepraszam, Pug, ale wyglądałeś zupełnie idiotycznie, kiedy tak stałeś. Jak jeden z tych koszmarnych posągów, które wznoszą w Krondorze. Tylko że zamiast wzniesionego miecza trzymałeś butelkę.

Pug pokręcił głową.

— To ja powinienem przeprosić, Wasza Wysokość. Nie miałem prawa tak się wydzierać. Proszę o wybaczenie.

Wyraz jej twarzy uległ gwałtownej przemianie. Spoważniała.

— Nie, Pug. Miałeś pełne prawo, aby powiedzieć to, co powiedziałeś. Naprawdę zawdzięczam ci życie. Zachowałam się okropnie.

Podeszła bliżej do niego i położyła rękę na ramieniu.

— Dziękuję ci.

Wyraz jej twarzy całkowicie zawojował chłopaka. Wszelkie postanowienia, aby uwolnić się od chłopięcych fantazji dotyczących Carline, uleciały gdzieś i zostały jak gdyby zmiecione przez morską bryzę. Cudowne zdarzenie (przecież w końcu udało mu się posłużyć magią) zostało wyparte przez pilniejsze i bardziej przyziemne okoliczności. Już zaczął wyciągać rękę, kiedy przypomniał sobie o jej pozycji, i zamiast ją objąć, podał jej butelkę.

— Wina?

Odgadła raptowną zmianę nastroju i roześmiała się. Chociaż oboje byli zmęczeni i nieprzytomni po strasznych przejściach, ona jednak nie straciła głowy i dobrze zdawała sobie sprawę, jakie wywiera na nim wrażenie. Skinęła głową i wzięła butelkę. Upiła łyczek. Pug odzyskiwał powolutku równowagę ducha.

— Lepiej pośpieszmy się. Jak się postaramy, może dotrzemy do zamku przed zapadnięciem nocy.

Skinęła głową, nie odrywając od niego oczu. Uśmiechnęła się. Poczuł się nieswojo pod jej wzrokiem. Zwrócił się w stronę drogi do zamku.

— No co? Idziemy?

Ruszyła i szła koło niego.

— Pug, czy mogę też dostać kawałek chleba?

* * *

Pug wielokrotnie w przeszłości przebiegał drogę między urwiskami a zamkiem. Księżniczka jednakże nie była przyzwyczajona do długich marszów, a jej miękkie buty do konnej jazdy nie za bardzo się nadawały do takiej eskapady. Kiedy ich oczom ukazał się wreszcie zamek, szła, kulejąc bardzo i obejmując Puga za szyję.

Gdy się pojawili, z wieży przy bramie rozległ się krzyk. Wartownicy puścili się do nich pędem. Tuż za nimi pojawiła się lady Marna, guwernantka dziewczyny. Pędziła do Carline, podtrzymując obu rękoma fałdy długiej, czerwonej sukni. Chociaż tuszą biła na głowę wszystkie damy dworu, a i paru wartowników tak-

że, wysforowała się przed wszystkich. Nadciągała w ich stronę jak rozwścieczona niedźwiedzica, której młodemu zagraża niebezpieczeństwo. Wielka pierś wznosiła się spazmatycznie z ogromnego wysiłku. Dopadła szczupłej dziewczyny. Objęła ją swymi potężnymi ramionami i Carline nieomal zginęła im z oczu. Po chwili dziewczyna została otoczona damami dworu, zasypującymi ją setkami pytań. Zanim harmider przycichł, lady Marna rzuciła się na Puga jak niedźwiedzica, którą bardzo przypominała.

— Jak śmiałeś dopuścić, żeby Księżniczka wróciła w takim stanie! Kulejąc i w podartym ubraniu! Już ja dopilnuję, ażeby cię przegnano batami z jednego końca zamku na drugi. I zanim z tobą skończę, będziesz żałował, że w ogóle ujrzałeś światło dzienne.

Pug cofał się przed napierającą kobietą. Był tak oszołomiony całym zamieszaniem, że nie mógł z siebie wydusić ani jednego słowa. Któremuś z wartowników przyszło do głowy, że być może Pug jest jakoś odpowiedzialny za stan Księżniczki. Złapał go za rękę.

— Zostawcie go w spokoju!

Zapadła nagła cisza. Carline wepchnęła się na siłę pomiędzy Puga a guwernantkę. Małymi piąstkami zaczęła okładać wartownika, aż ten puścił Puga i cofnął się o krok z osłupiałym wyrazem twarzy.

— On ocalił mi życie! I omal nie stracił swojego, ratując mnie. — Po twarzy leciały jej ciurkiem łzy. — Nie zrobił nic złego. Nie pozwolę, abyście się nad nim znęcali.

Otoczył ich tłum. Ludzie patrzyli na Puga — jak nigdy dotąd — z respektem. Zewsząd było słychać przyciszone głosy. Jeden z wartowników pobiegł zanieść wieści na zamek. Księżniczka objęła Puga za ramię i ruszyli w stronę domu. Tłum rozstępował się przed nimi, robiąc przejście, a umęczeni podróżnicy ujrzeli zapalające się na murach latarnie i pochodnie.

Kiedy dotarli do bramy dziedzińca, Księżniczka zgodziła się, ku wielkiej uldze Puga, na pomoc dwóch dam. Od ładnych paru minut zastanawiał się, jak taka drobna dziewczyna może tyle ważyć. Książę dowiedział się już o powrocie córki i pośpieszył do niej. Wziął ją w ramiona. Zaczęli rozmawiać. Pug, otoczony ciekawskimi, pytającymi o wszystko gapiami, stracił oboje z oczu. Próbował przepchnąć się w stronę wieży maga, ale napór gapiów powstrzymywał go.

— Co to? Nie macie nic do roboty? — ryknął nagle jakiś głos.

Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę. Nadchodził właśnie mistrz miecza Fannon, a tuż za nim Tomas. Ludek z zamku szybko rozpierzchł się, zostawiając Puga sam na sam z Fannonem, Tomasem i tymi dworzanami, którzy ze względu na rangę mogli zignorować uwagę mistrza. Pug spostrzegł, że Księżniczka rozmawia z ojcem, Lyamem, Aruthą i Rolandem.

— Co się stało, chłopcze? — spytał Fannon.

Pug chciał odpowiedzieć, lecz powstrzymał się, kiedy spostrzegł, że nadchodzi Książę. Tuż za nim nadbiegał w wielkim pośpiechu Kulgan, zaalarmowany powszechnym poruszeniem na podwórcu zamkowym.

Wszyscy skłonili się Księciu. Pug zauważył, że Carline odrywa się od tokującego u jej boku Rolanda, idzie za ojcem i staje u jego boku. Lady Marna wzniosła ku niebiosom przerażone i bezradne spojrzenie. Roland zbliżył się do nich. Na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie. Kiedy zaś Księżniczka wzięła Puga za rękę, zdumienie przerodziło się w śmiertelną zazdrość.

Książę zabrał głos.

— Córka opowiadała mi o tobie rzeczy godne wielkiej uwagi, chłopcze. Chciałbym teraz usłyszeć twoją relację.

Pug odzyskał raptownie pewność siebie. Delikatnie uwolnił dłoń z ręki Carline. Opowiedział wydarzenia dnia, a Carline z entuzjazmem wtrącała barwne szczegóły. Relacja obojga dała Księciu prawie dokładny obraz przebiegu wydarzeń. Kiedy Pug zakończył swą opowieść, książę Borric zapytał:

— Jak to się stało, że trolle utonęły w strumieniu?

Chłopiec wyglądał nieswojo.

— Rzuciłem na nie zaklęcie i nie mogły już dotrzeć do brzegu. — powiedział cicho. Ciągle jeszcze był zmieszany swym wyczynem i nie zastanawiał się nad tym głębiej, ponieważ Księżniczka zepchnęła wszystkie inne myśli na bok. Spostrzegł, że na twarzy Kulgana odmalowało się wielkie zdumienie. Zaczął coś mówić, lecz Książę przerwał mu w pół słowa.

— Pug, nigdy nie będę w stanie odwdzięczyć ci się za to, co uczyniłeś dla mojej rodziny. Znajdę jednakże sposób, aby wynagrodzić twoją odwagę.

W eksplozji niepowstrzymanej radości Carline zarzuciła Pugowi ręce na szyję i przytuliła się mocno. Stał sztywno, zażenowany, rzucając dookoła rozpaczliwe spojrzenia, jak gdyby chcąc powiedzieć wszystkim, że nie on jest winien temu nagłemu wybuchowi poufałości.

Lady Marna wyglądała, jakby za sekundę miała paść na ziemię zemdlona. Książę zakaszlał znacząco i ruchem głowy dał córce znak, aby ich opuściła. Kiedy odeszła w towarzystwie lady Mamy, Kulgan i Fannon nie wstrzymywali się już dłużej i dali upust rozbawieniu. Podobnie Lyam i Arutha. Roland rzucił Pugowi wściekłe, podszyte zazdrością spojrzenie i pomaszerował w stronę własnej kwatery. Książę Borric zwrócił się do Kulgana.

— Zaprowadź chłopca do jego pokoju. Jest zupełnie wykończony. Rozkażę, aby przyniesiono mu coś do jedzenia. Dopilnuj, aby jutro po porannym posiłku zjawił się w wielkiej sali.

Spojrzał na Puga.

— Jeszcze raz ci dziękuję.

Książę dał synom znak ręką i cała trójka oddaliła się. Fannon zauważył, że Tomas zaczął rozmawiać ze swoim przyjacielem. Chwycił go mocno pod ramię

i ruchem głowy nakazał, aby chłopak poszedł za nim i zostawił Puga w spokoju. Tomas kiwnął głową, chociaż aż kipiał z ciekawości i chciał zarzucić Puga tysiącem pytań.

Kiedy wszyscy odeszli, Kulgan objął chłopca ramieniem.

— Chodź, Pug. Jesteś zmęczony, a wiele jeszcze trzeba obgadać.

* * *

Pug spoczywał na wznak na posłaniu. Obok, na tacy walały się resztki jedzenia. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem był tak strasznie zmęczony. Kulgan przechadzał się tam i z powrotem po pokoju.

— To po prostu nieprawdopodobne.

Gwałtownie wymachiwał ręką. Czerwona szata owijała się przy każdym ruchu wokół potężnej sylwetki, jak woda przepływająca ponad wielkim głazem w nurcie.

— Zamykasz oczy i ukazuje ci się obraz zwoju, który oglądałeś kilka tygodni temu. Wypowiadasz zaklęcie, jak gdybyś trzymał przed sobą zwój, i trolle padają. Absolutnie nie do wiary!

Usiadł na stołku koło okna. Ciągnął dalej.

— Pug, nigdy, przenigdy do tej pory nikt nie dokonał czegoś podobnego. Ale, ale, czy ty w ogóle sobie zdajesz sprawę z tego, czego dokonałeś?

Pug wyrwany z granicy przyjemnej i delikatnej drzemki drgnął gwałtownie i spojrzał na maga.

— Jedynie to, o czym opowiedziałem, Kulgan.

— Tak, tak. Ale czy masz pojęcie, co to oznacza?

— Nie.

— Ani ja.

We wnętrzu maga jakby coś się zapadło. Podniecenie minęło, a w jego miejsce pojawiła się niepewność i bezradność.

— Nie mam zielonego pojęcia, co to wszystko oznacza. Magowie nie rzucają zaklęć ot tak po prostu, z głowy. Kapłani to potrafią, ale oni mają inny ośrodek działania i dysponują innym rodzajem sztuki magicznej. Pamiętasz Pug, czego cię uczyłem o ośrodkach?

Pug skrzywił się. Nie był w nastroju, aby recytować z pamięci zadane lekcje. Zmobilizował się i usiadł na posłaniu.

— Każdy, kto posługuje się magią, musi mieć jakiś ośrodek działania, jakąś ogniskową, poprzez którą działają moce, którymi się posługuje. Kapłani posiadają

moc ześrodkowania swojej magii poprzez modlitwę. Ich zaklęcia są jakby formą modlitwy. Magowie zaś wykorzystują swe ciała i przyrządy albo księgi i zwoje.

— Zgadza się. Ty jednak naruszyłeś właśnie te oczywiste prawdy.

Wyjął długą fajkę i zaczął ją bezwiednie nabijać tytoniem. — Zaklęcie, które rzuciłeś, nie może wykorzystywać ciała jako ośrodka. Zostało ono opracowane, aby zadawać innym wielki ból. Może być ono straszliwą bronią. Jedynym sposobem rzucenia tego zaklęcia jest odczytywanie go ze zwoju, na którym zostało zapisane dokładnie w chwili jego rzucania. Dlaczego tak się dzieje?

Pug zmusił się do podniesienia ciężkich jak ołów powiek.

— . . . sam zwój jest magią.

— Zgadza się. Niektóre rodzaje magii są niejako uwewnętrznione w magu, na przykład przybieranie zwierzęcych kształtów czy też wyczuwanie zmiany pogody węchem. Wszelako rzucanie zaklęcia poza ciałem i na inny obiekt wymaga istnienia zewnętrznego ośrodka. Usiłowanie rzucenia zaklęcia, którym się posłużyłeś z pamięci, powinno było zrodzić straszliwy ból w tobie, a nie w trollach. Jeżeli w ogóle by zadziałało! I po to właśnie magowie opracowali zwoje, pisali księgi czy wymyślali specjalne urządzenia, aby ześrodkować ten rodzaj magii i oddalić niebezpieczeństwo od samego zaklinacza. Aż do dzisiaj gotów byłem przysiąc, że nikt z żyjących nie byłby w stanie sprawić, aby zaklęcie zadziałało, gdyby nie trzymał właśnie w rękach odpowiedniego zwoju.

Kulgan oparł się o parapet okna i pykając fajkę, przez parę chwil wpatrywał się w przestrzeń.

— Wygląda na to, Pug, że odkryłeś zupełnie nową formę magii — powiedział miękko. Nie słysząc odpowiedzi, spojrzał w dół na chłopca. Pug spał kamiennym snem. Kiwając głową w zadziwieniu, mag przykrył wyczerpanego chłopca kocem. Zgasił wiszącą na ścianie latarnię i wyszedł z pokoju. Idąc schodami na górę do swojego pokoju, kręcił ciągle głową, powtarzając w kółko:

— Nie do wiary, nie do wiary. . .

* * *

Pug czekał. Książę w wielkiej sali przyjmował poddanych. Kto tylko, z zamku czy miasta, zdołał wymyślić sposób, aby dostać się na generalną audiencję, był tutaj obecny. Wystrojeni w bogate stroje mistrzowie rzemiosł, kupcy i pomniejsza szlachta asystowali Księciu. Stali teraz, przyglądając się chłopcu. Na twarzach można był odczytać wyraz zdziwienia albo niedowierzania. Pogłoski o jego wyczynie rozeszły się już po całym mieście i wraz z upływem czasu obrastały w nowe szczegóły.

Pug ubrany był we wspaniały, nowy strój, który znalazł rano po przebudzeniu przy swoim posłaniu. W bogatym stroju, jasnożółtej tunice uszytej z najdroższego jedwabiu i nogawicach w kolorze delikatnego, pastelowego błękitu, czuł się niezręcznie i był zażenowany. Spróbował poruszyć palcami w nowych, wysokich butach. Pierwszych nowych butach w życiu. Chodzenie w nich było trochę niewygodne i czuł się dziwnie. U boku, na czarnym skórzanym pasie ze złotą klamrą w kształcie lecącej mewy, wisiał wysadzany drogimi kamieniami sztylet. Pug podejrzewał, że ubranie musiało kiedyś należeć do jednego z synów Księcia. Potem, kiedy z niego wyrósł, zostało schowane do szaty. Nadal jednak było piękne i wyglądało jak nowe.

Książę kończył swe poranne urzędowanie — rozpatrywał petycję jednego z cieśli okrętowych o przydzielenie straży dla wyprawy po drewno do wielkiej puszczy. Borric jak zwykle ubrany był w czerń. Jednak obaj synowie i córka mieli na sobie dzisiaj najwspanialsze dworskie stroje i insygnia książęce. Lyam wysłuchiwał uważnie próśb, zanim były one przedstawione ojcu. Za nim, jak to było w zwyczaju, stał Roland. Arutha był w rzadkim u niego dobrym humorze. Zasłaniając ręką usta, śmiał się właśnie z jakiegoś ciętego żartu, którym uraczył go ojciec Tully. Carline siedziała spokojnie z ciepłym uśmiechem na ustach. Patrzyła przez cały czas prosto na Puga, co tylko zwiększało jeszcze jego skrępowanie i… złość Rolanda.

Książę udzielił pozwolenia na przydzielenie straży. Mistrz rzemiosła ciesielskiego skłonił się, złożył podziękowanie i dołączył do reszty zgromadzonych. Pug został sam przed Księciem. Chłopiec podszedł naprzód tak, jak poinstruował go Kulgan, i prawidłowo, aczkolwiek trochę sztywno pokłonił się przed władcą Crydee. Borric uśmiechnął się do chłopca i dał znak ojcu Tully’emu. Kapłan wyjął z rękawa swej pojemnej szaty jakiś dokument i wręczył go heroldowi. Ten postąpił krok do przodu i rozwinął zwój.

Donośnym głosem zaczął czytać.

— Do wszystkich zamieszkujących nasze posiadłości: Zważywszy, że młodzieniec Pug z zamku Crydee wykazał się godną naśladowania odwagą, narażając życie i członki swego ciała w obronie rodziny królewskiej w osobie księżniczki Carline; a ponadto, zważywszy, że po wsze czasy pozostaniemy dłużnikiem młodzieńca Puga z Crydee, życzeniem naszym jest, aby wszyscy w dobrach moich zamieszkujący poznali go jako naszego ukochanego i lojalnego sługę. Pozostaje także naszym życzeniem, aby otrzymał on miejsce na dworze Crydee oraz tytuł szlachecki pierwszego stopnia wraz ze wszystkimi prawami i przywilejami temu tytułowi przysługującymi. Czynimy również wiadomym, że prawo własności do terenów zwanych Głębią Leśną oraz znajdujących się tam posiadłości i służby zostają niniejszym przekazane jemu i jego potomkom, aby korzystali z dóbr tych wedle swojej woli tak długo, jak żyć będą. Tytuł własności tych ziem zostanie zatrzymany przez Koronę aż do dnia, w którym młodzieniec osiągnie pełnię lat.

Podpisano dnia dzisiejszego naszą własną ręką i opatrzono pieczęcią: Borric con-Doin; trzeci książę Crydee; książę Królestwa; pan Crydee, Carse i Tulan; strażnik Zachodu; generał Armii Królewskich; potencjalny następca tronu w Rillanon.

Pug poczuł, jak miękną pod nim kolana. Zebrał się w garść i udało mu się utrzymać na nogach. Cała sala wybuchnęła okrzykami radości. Ludzie zaczęli się cisnąć dookoła niego, gratulując i poklepując po plecach. Był teraz szlachcicem i właścicielem ziemskim, panem miejscowych chłopów, panem domu i inwentarza. Był bogaty. A przynajmniej będzie, za trzy lata, kiedy osiągnie pełnoletność. Chociaż kończąc lat czternaście, został uznany za obywatela Królestwa, nie mógł jednak wejść w posiadanie tytułów i nadań ziemskich przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Tłum cofnął się, kiedy Książę, w towarzystwie rodziny i Rolanda, podszedł do niego. Obaj młodzi Książęta uśmiechali się, a Księżniczka wprost promieniała ze szczęścia. Roland obdarzył Puga ponurym uśmiechem, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało.

— Jestem zaszczycony, Wasza Miłość — wyjąkał Pug. — Nie wiem, co powiedzieć.

— Nie mów więc nic, Pug. Czyni cię to mądrym i rozważnym, kiedy wszyscy inni dookoła paplają jak najęci. Chodź, porozmawiamy trochę na osobności.

Książę ruchem ręki nakazał, aby do tronu przystawiono fotel. Objął Puga ramieniem i poprowadził przez tłum. Usiadł i spojrzał na zebranych.

— Możecie nas już teraz opuścić. Będę rozmawiał ze szlachcicem Pugiem.

Cisnący się dookoła tłum zaszemrał rozczarowany, począł jednak opuszczać salę.

— Z wyjątkiem was dwóch — dodał Książę, wskazując na Tully'ego i Kulgana.

Carline stała przy tronie ojca, a u jej boku wahający się Roland.

— Ty też, moje dziecko — powiedział Książę.

Carline zaczęła już protestować, ale ojciec przerwał jej ostrym napomnieniem.

— Będziesz mogła mu się naprzykrzać później.

Obaj stojący przy drzwiach Książęta byli najwyraźniej rozbawieni jej wybuchem gniewu. Roland próbował podać dziewczynie ramię, lecz ona odskoczyła od niego jak oparzona i przemknęła obok chichoczących braci. Kiedy zażenowany Roland dołączył do nich, Lyam klepnął go w ramię. Chłopak obrzucił Puga wściekłym wzrokiem. Pug odczuł to jak fizyczne uderzenie.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi i sala była pusta, Książę zwrócił się do Puga.

— Nie zwracaj uwagi na Rolanda, Pug. Jest całkowicie owładnięty urokiem mojej córki. Wydaje mi się, że jest w niej zakochany, i zechce pewnego dnia prosić o jej rękę.

Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w zamknięte drzwi.

— Jeżeli jednak chce mieć kiedykolwiek nadzieję na moją zgodę, musi udowodnić, że jest kimś więcej niż hulaką, na jakiego wyrasta… — dodał prawie bezwiednie.

Książę machnął ręką i zakończył temat.

— Przystąpmy do rzeczy. Pug, mam dla ciebie jeszcze jeden dar. Zanim powiem, o co chodzi, chciałbym najpierw coś ci wyjaśnić. Moja rodzina należy do najstarszych w Królestwie. Ja sam jestem potomkiem królewskim, ponieważ mój dziad, pierwszy książę Crydee, był trzecim synem Króla. W naszych żyłach płynie królewska krew, dlatego też przywiązujemy wielką wagę do spraw obowiązku i honoru. Jesteś teraz zarówno członkiem dworu, jak i terminatorem u Kulgana. W sprawach obowiązku jesteś odpowiedzialny przed nim. W sprawach honoru jesteś odpowiedzialny przede mną. Na ścianach tej sali zawieszono proporce i trofea naszych triumfów i zwycięstw. Kiedy trzeba było stawić czoło Mrocznemu Bractwu w jego nieustających wysiłkach, aby nas zniszczyć, czy też przepędzić piratów, zawsze walczyliśmy dzielnie. Naszą dumą jest dziedzictwo, którego nigdy nie splamił dyshonor. Żaden z członków naszego dworu nigdy nie przyniósł wstydu i hańby tej sali i tego samego będę oczekiwał od ciebie.

Pug przytaknął ruchem głowy, a przez myśl przemknęły mu zapamiętane z dzieciństwa opowieści o chwalebnych czynach i honorze.

Książę uśmiechnął się.

— No, a teraz o tym drugim podarunku. Ojciec Tully ma przy sobie pewien dokument. Wczoraj wieczorem poprosiłem, aby go sporządził. Chcę go również prosić, aby zatrzymał go aż do czasu, kiedy uzna, że można ci go wręczyć. Nic więcej na ten temat nie powiem. Może tylko to, że kiedy go otrzymasz, mam nadzieję, że będziesz pamiętał dzisiejszy dzień i dobrze się zastanowisz nad treścią dokumentu.

— Uczynię to, Wasza Miłość.

Pug zdawał sobie dobrze sprawę, że Książę mówił o czymś bardzo ważnym i istotnym, jednak natłok wydarzeń w ostatniej półgodzinie sprawił, że jego słowa nie wryły się za mocno w pamięć.

— Pug, oczekuję cię na wieczerzy. Jako członek dworu nie będziesz już jadał posiłków w kuchni.

Książę uśmiechnął się.

— Zrobimy z ciebie dobrze wychowanego, młodego człowieka, chłopcze. I kiedyś, kiedy udasz się w podróż do królewskiego miasta Rillanon, nikt nie będzie mógł zganić dobrych manier tych, którzy przybywają z dworu Crydee.

# Rozdział 5

# Wrak

Wiał chłodny wietrzyk.

Minęły ostatnie dni lata i wkrótce miały nadejść jesienne słoty, a w kilka tygodni po nich pierwsze, zwiastujące nadciągającą zimę śniegi. Pug siedział w swoim pokoju, studiując księgę starodawnych ćwiczeń, przygotowujących umysł do rzucania czarów. Kiedy opadło podniecenie po wyniesieniu go do godności szlacheckiej i otrzymaniu tytułu dworzanina Księcia, Pug powrócił do zwykłych zajęć.

Jego wspaniały wyczyn z trollami ciągle był przedmiotem spekulacji Kulgana i Tully'ego. Pug stwierdził, że nadal nie potrafi wykonywać wielu rzeczy, których oczekuje się od terminatora, ale stopniowo zaczęły się pojawiać inne, drobne sukcesy. Niektóre zwoje były teraz dużo łatwiejsze do wykorzystania. Kiedyś, w tajemnicy przed wszystkimi próbował nawet powtórzyć swój wyczyn.

Nauczył się na pamięć z księgi zaklęcia pozwalającego na uniesienie przedmiotów w powietrze. Kiedy próbował rzucić zaklęcie z pamięci, doświadczył w umyśle tej samej, znanej z przeszłości blokady. Co prawda nie udało mu się poruszyć przedmiotu, świecznika, wibrował on jednak przez parę sekund, a on sam doznał przez moment wrażenia, jakby dotknął go cząstką umysłu. Zadowolony, że czyni niewielkie postępy, otrząsnął się z przygnębienia i zabrał ze zdwojonym zapałem do nauki.

Kulgan ciągle pozwalał mu, aby sam określał rytm i tempo pracy. Odbywali co prawda długie dyskusje poświęcone naturze magii, ale przeważnie Pug pracował w samotności.

Z dołu, z dziedzińca dały się słyszeć jakieś okrzyki. Podszedł do okna. Zobaczył znajomą postać. Wychylił się na zewnątrz.

— Hej, Tomas! Co się dzieje?

Tomas spojrzał w górę.

— Cześć, Pug! Dzisiaj w nocy zatonął jakiś statek. Morze wyrzuciło wrak na plażę koło Boleści Żeglarza. Złaź na dół. Pójdziemy go obejrzeć.

— Już lecę.

Pug popędził do drzwi, zarzucając na siebie cieplejsze okrycie. Dzień był pogodny, ale nad wodą mogło być zimno. Szybko zbiegł ze schodów. Przeleciał na skróty przez kuchnię, nieomal przewracając na ziemię cukiernika Alfana. Wypadając na zewnątrz, usłyszał jeszcze przy drzwiach, jak potężnej postury piekarz wrzeszczy za nim.

— Możesz sobie być panem i szlachcicem, ale jak nie będziesz patrzył pod nogi, gamoniu, to cię wytargam za uszy!

Służba kuchenna, chociaż czuła się dumna z jego osiągnięć i awansu, nie zmieniła stosunku do niego i nadal wszyscy traktowali go jak swego.

— Przyjmij moje przeprosiny, mistrzu placka! — śmiejąc się odkrzyknął Pug.

Alfan pomachał dobrodusznie do znikającego w drzwiach chłopca. Pug skręcił za róg, gdzie czekał na niego Tomas. Ten, gdy tylko ujrzał przyjaciela, natychmiast ruszył w stronę bramy. Pug złapał go za ramię.

— Czekaj. Czy zawiadomiono kogoś z dworu?

— Nie mam pojęcia. Przed chwilą ktoś z wioski rybackiej przyniósł wiadomość — odpowiedział Tomas zniecierpliwionym głosem. — Rusz się wreszcie, bo wieśniacy rozkradną wrak do gołych desek.

Zgodnie z powszechnie przyjętym zwyczajem można było legalnie zajmować dobra z rozbitych statków aż do momentu przybycia przedstawiciela książęcego dworu. Oczywiście, w związku z tym wieśniacy i ludek miejski nie śpieszyli się zbytnio z informowaniem władz o takich przypadkach. Istniało także ryzyko rozlewu krwi, gdyby na wyrzuconym na plażę statku znajdowała się jeszcze jego załoga. Żeglarze broniący dóbr swego pana przed grabieżą, co łączyło się z sowitą nagrodą, byli gotowi na wszystko. Rezultatem takich dysput była często gwałtowna konfrontacja, a nawet wypadki śmiertelne. Jedynie obecność zbrojnych gwarantowała, że nikt z ludu nie padnie ofiarą pozostających na pokładzie żeglarzy.

— O nie — sprzeciwił się Pug. — Jeżeli będą jakieś kłopoty, a Książę odkryje, że nikogo nie powiadomiłem, oberwę za to.

— Słuchaj, Pug. Czy sądzisz, że Książę długo będzie żył w nieświadomości, jeżeli zaczną zbiegać się tłumy ludzi?

Tomas nerwowo przeczesał palcami włosy.

— Pewnie właśnie w tej chwili ktoś informuje go o tym w wielkiej sali. Mistrz Fannon wyjechał. Jest na patrolu. Kulgana też nie ma i nieprędko wróci.

Kulgan miał tego dnia później wrócić ze swej chatki w puszczy, gdzie spędził ostatni tydzień z Meechamem.

— To może być jedyna okazja w życiu, aby zobaczyć wrak statku. — Olśniła go nagła myśl. Rozpromienił się.

— Pug, już wiem! Jesteś teraz członkiem dworu. Rusz się! Lecimy. Ty przejmiesz statek w imieniu Księcia! — Przez moment na jego twarzy zagościł chytry

uśmieszek. — A jeżeli by się zdarzyło, że znajdziemy jedną czy dwie drogocenne błahostki… kto wie?

— Ja wiem. — Pug zastanowił się przez moment. — Nie mogę oficjalnie zająć dóbr w imieniu Księcia, a potem zabierać czegoś dla siebie… — spojrzał na Tomasa z dezaprobatą — albo pozwolić, aby zrobił to jeden z jego żołnierzy.

Tomas zawstydził się.

— Ale przecież wrak możemy sobie obejrzeć! Ruszaj się! — krzyknął Pug.

Pomysł wykorzystania nowego urzędu przemówił nagle do wyobraźni Puga. Jeżeli uda mu się dotrzeć na miejsce, zanim zbyt wiele rzeczy zostanie rozkradzionych albo komuś stanie się krzywda, Książę będzie z niego zadowolony.

— Zgoda. Osiodłam konia i pojedziemy, zanim wszystko rozgrabią.

Pug odwrócił się na pięcie i popędził do stajni. Tomas dogonił go, kiedy otwierał ogromne, drewniane wrota.

— Ale… ja nigdy w życiu nie siedziałem na koniu, Pug. Nie wiem, jak…

— To proste — odpowiedział Pug, biorąc siodło i uprząż z siodłami. Wypatrzył potężnego siwka, na którym jechał w dniu pamiętnej dla Księżniczki i niego przygody.

— Ja będę jechał, a ty usiądziesz za mną. Jak obejmiesz mnie mocno w pasie, to nie spadniesz.

— Co, ja mam polegać na tobie? — Tomas miał wątpliwości. — A kto przez te wszystkie lata opiekował się tobą?

— Twoja mama. — Pug rzucił mu figlarny uśmieszek. — Weź na wszelki wypadek, gdyby były jakieś kłopoty, miecz ze zbrojowni. Może będziesz miał okazję pobawić się w żołnierzyka.

Zadowolony z takiej perspektywy Tomas wybiegł ze stajni. Po paru minutach ogromny siwek z dwoma chłopcami na grzbiecie przegalopował ciężko przez główną bramę, kierując się w stronę Boleści Żeglarza.

* * *

Fale przyboju uderzały z hukiem o brzeg, kiedy oczom chłopców ukazał się wrak statku. Tylko paru wieśniaków zbliżało się do tego miejsca, ale i oni rozpierzchli się natychmiast, kiedy ukazał się w oddali jeździec na koniu. Mógł to być bowiem tylko jakiś szlachcic z dworu przybywający, aby w imieniu Księcia przejąć dobra statku. Zanim Pug ściągnął wodze i zatrzymał konia, w pobliżu nie było żywej duszy.

— Chodź, Tomas. Zanim ktokolwiek tu się pojawi, mamy kilka minut, aby się rozejrzeć.

Chłopcy zsiedli z konia i zostawili klacz na spłachetku trawy kilkadziesiąt metrów od skał. Biegnąc przez piasek, śmiali się głośno. Tomas wymachiwał mieczem jak opętany i usiłował wznosić groźnym głosem stare zawołania bitewne, których nauczył się z zasłyszanych sag. Nie miał żadnych złudzeń, że potrafiłby prawidłowo posłużyć się mieczem, ale robił to, aby ktoś, kto chciałby na nich ewentualnie napaść, zastanowił się przez moment, co dałoby im czas konieczny na dotarcie straży z zamku.

Zbliżyli się do wraku. Tomas gwizdnął po cichu.

— Pug, ten statek nie rozbił się po prostu na skałach. Wygląda na to, że został tutaj przygnany przez sztorm.

— Niewiele z niego zostało, co?

Tomas podrapał się za prawym uchem.

— Nie. Tylko fragment części dziobowej. Nie rozumiem. Przecież wczoraj w nocy nie było żadnego sztormu. Silny wiatr, i tyle. Jak to możliwe, żeby statek był tak straszliwie pogruchotany?

— Nie mam pojęcia. — Coś nagle przykuło uwagę Puga. — Spójrz na dziób. Widzisz, jak jest pomalowany?

Dziób spoczywał na skałach i na razie był poza zasięgiem fal przypływu. W dół od linii pokładu cały kadłub był pomalowany na jasnozielony kolor. Odbijające się na jego powierzchni promienie słońca sprawiały wrażenie, jakby kadłub był pokryty szkliwem. Zamiast figury dziobowej cały przód statku aż do linii wodnej, zaznaczonej czarną, matową farbą, pokrywał skomplikowany wzór jaskrawożółtych linii. Na burcie, jakiś metr od dziobu, wymalowane było ogromne niebiesko-białe oko. Wszystkie widoczne na pokładzie poręcze i balustrady pomalowane były na biało.

Pug chwycił Tomasa za ramię.

— Patrz!

Ręką wskazywał na wodę za dziobem, gdzie między spienionymi falami sterczał na kilka metrów w górę pogruchotany biały maszt.

Tomas podszedł bliżej.

— To nie jest statek Królestwa. Na pewno. — Odwrócił się do Puga. — Może z Queg?

— Nie — odpowiedział Pug. — Widziałeś tyle samo statków z Queg, co i ja. Ten z pewnością nie pochodzi ani z Queg, ani z Wolnych Miast. Nie wydaje mi się, aby okręt taki jak ten kiedykolwiek wpłynął na nasze wody. Trzeba się rozejrzeć.

Tomas stał się nagle bardzo ostrożny.

— Uważaj, Pug. Tu jest coś dziwnego. Mam złe przeczucia. Ktoś tu jeszcze może być…

Obaj chłopcy przez chwilę rozglądali się dookoła. W końcu Pug zdecydował.

— Nie wydaje mi się. Cokolwiek złamało ten maszt i zepchnęło statek na skały, rozbijając go do szczętu, na pewno zabiło każdego, kto chciałby na nim żeglować.

Odważyli się podejść o parę kroków bliżej. Pomiędzy głazami znaleźli kilka rozrzuconych przez fale przedmiotów. Parę skorup kuchennych, jakieś deski, kawałki podartego płótna żaglowego i takielunku. Pug zatrzymał się i podniósł dziwnie wyglądający sztylet, wykonany z jakiegoś nieznanego mu materiału. Ciemnoszary, lżejszy od stali, ale dość ostry.

Tomas próbował wdrapać się na reling, ale na śliskich skałach nie mógł znaleźć odpowiedniego oparcia dla stóp. Pug posuwał się wzdłuż kadłuba, aż doszedł do miejsca, gdzie sięgała już woda. Mogliby się dostać do wnętrza wraku, gdyby weszli w morze, ale Pug nie miał ochoty moczyć ubrania. Powrócił do oglądającego kadłub Tomasa.

Tomas wskazał palcem coś za plecami Puga.

— Jeżeli uda nam się wspiąć na tę półkę skalną, moglibyśmy opuścić się na dół, wprost na pokład.

Pug zobaczył półkę, o której mówił Tomas. Był to pojedynczy, sterczący w górę i zwisający nad pokładem skalny występ, jakieś dziesięć metrów w lewo od nich. Wyglądało na to, że wspinaczka nie powinna być trudna, więc Pug się zgodził. Wdrapali się na górę, a potem, przyklejeni plecami do skalnej ściany, posuwali się cal po calu. Było bardzo wąsko, ale oni nie ryzykowali i ostrożnie stawiali każdy następny krok. Doszli do miejsca ponad kadłubem. Tomas wskazał palcem.

— Patrz! Ciała!

Na pokładzie leżało dwóch mężczyzn odzianych w jasnoniebieskie zbroje o nieznanym kształcie. Głowa jednego z nich została zmiażdżona spadającą reją. Na absolutnie nieruchomym ciele drugiego, leżącego twarzą do pokładu, nie było widać żadnych ran. Na plecach przytroczony był obco wyglądający szeroki miecz o dziwnej, ząbkowanej klindze. Głowa była okryta równie dziwnie wyglądającym błękitnym hełmem, który kształtem przypominał garnek. Tył i boki hełmu rozszerzały się skośnie na boki, tworząc jakby okap.

Tomas, przekrzykując grzmot fal, zwrócił się w stronę Puga.

— Opuszczę się na dół. Kiedy już będę na pokładzie, podaj mi miecz, a potem ty się opuścisz, tak żebym cię mógł złapać.

Tomas podał Pugowi miecz, a potem powoli i ostrożnie odwrócił się. Przyciskając policzek do skały, ukląkł. Zsuwał nogi w tył, aż zawisł na rękach. Odepchnął się od skały, zostało mu półtora metra, zeskoczył. Wylądował bezpiecznie na pokładzie. Pug odwrócił miecz rękojeścią do przodu i podał Tomasowi, a potem sam poszedł w jego ślady. Po chwili obaj stali na deskach. Pokład dziobowy był niebezpiecznie nachylony w stronę wody. Czuli, jak statek porusza się pod nogami.

— Przypływ rośnie — krzyknął Tomas. — Woda wkrótce uniesie to, co pozostało ze statku, i roztrzaska o skały. Wszystko przepadnie.

— Rozejrzyj się dookoła — odkrzyknął Pug. — Jeżeli znajdziemy coś, co warte będzie ocalenia, postaramy się to wrzucić na występ skalny.

Tomas kiwnął głową i obaj chłopcy rozpoczęli przeszukiwanie pokładu. Przechodząc obok ciał, Pug starał się je omijać jak największym łukiem. Rozrzucone po pokładzie szczątki tworzyły dla patrzącego jedną wielką gmatwaninę. Trudno było ocenić, co mogło być wartościowe. W tylnej części strzaskany reling przy schodni wiodącej w dół, oto co pozostało z głównego pokładu — jakieś dwa metry desek, reszta była schowana pod wodą, ale Pug był pewien, że nie mogło być tego dużo, jakieś dwa, trzy metry. W przeciwnym razie statek osiadłby wyżej na skałach. Część rufową musiał już porwać przypływ.

Pug położył się na pokładzie, wystawił głowę poza krawędź i spojrzał w dół. Po prawej stronie schodni zobaczył drzwi. Krzyknął do Tomasa, żeby do niego dołączył, i ostrożnie zszedł na dół. Pokład na dole zapadał się, ponieważ podtrzymujące go belki wiązania zostały nadwerężone uderzeniami fal. Chwycił się barierki przy schodni, aby utrzymać równowagę. Po chwili stanął przy nim Tomas. Obszedł Puga i ruszył w stronę drzwi, które wisiały, na wpół otwarte, na zawiasach. W kabinie było ciemnawo. Światło przedostawało się do wnętrza przez pojedynczy iluminator w ściance przy drzwiach. W mrocznym pomieszczeniu widać było wiele drogocennych materiałów i potrzaskane szczątki stołu. W rogu do góry nogami leżało coś, co przypominało kojęalbo niskie łóżko. Zawartość kilku niewielkich skrzyń rozrzucona była po całej kabinie jakby gigantyczną ręką. Tomas próbował przeszukać zwały rzeczy, ale nic ważnego czy cennego nie wpadło mu w oko. Znalazł małą miseczkę o dziwnym kształcie. Jej pokryte szkliwem ścianki zdobiły rysunki postaci w jasnych kolorach. Schował naczynie za pazuchę.

Pug stał bez ruchu. Coś, co było w kabinie, przykuwało jego uwagę. Kiedy tylko przekroczył próg pomieszczenia, owładnęło nim przedziwne i jakby naglące do czegoś uczucie.

Nastąpił gwałtowny przechył wraku. Tomas stracił równowagę. Chwycił się szafki, upuszczając miecz.

— Statek się podnosi. Lepiej już chodźmy.

Pug nie odpowiedział ani słowem. Cała jego uwaga skoncentrowała się na dziwnym wrażeniu. Tomas złapał go za ramię.

— Rusz się! Za chwilę statek się przełamie.

Pug strząsnął jego dłoń.

— Chwileczkę. Tu jest coś… — Głos mu zamarł. Przeszedł gwałtownie przez zawaloną gratami kabinę i wyciągnął szufladę z zamkniętej na zasuwkę szafki. Była pusta. Gwałtownym szarpnięciem otworzył następną i w końcu trzecią. Znalazł przedmiot swoich poszukiwań. Wyciągnął z szuflady zwój pergaminu przewiązany czarną wstążką i opatrzony czarną pieczęcią. Wepchnął go za bluzę.

— Uciekamy! — krzyknął, mijając Tomasa. Pognali schodkami na górę i przedarli się przez zawalony pokład. Fale przypływu uniosły statek na tyle, że z łatwością mogli się teraz wspiąć na występ skalny. Odwrócili się i usiedli.

Statek kołysał się na fali przypływu, miotany w przód i w tył. Każda następna fala, rozbryzgując się o skały, moczyła twarze chłopców. Patrzyli, jak dziób ześlizguje się z głazów. Belki wiązania i poszycie kadłuba pękały z potwornym, rozdzierającym uszy, śmiertelnym jękiem. Dziób uniósł się wysoko w górę, a chłopcy zostali spryskani od stóp do głów falą, która uderzyła teraz bezpośrednio w skalną ścianę pod ich stopami.

Kadłub dryfował na pełne morze. Powoli przechylał się na lewą burtę. Po pewnym czasie wznosząca się fala przyboju jakby zamarła na chwilę w bezruchu, po czym powoli, majestatycznie ruszyła z powrotem w stronę skał. Tomas złapał Puga za ramię, dając znak, aby ten szedł za nim. Wstali i zaczęli schodzić w kierunku plaży. Dotarli do miejsca, w którym występ skały zwieszał się nad piaskiem. Zeskoczyli w dół.

Ogłuszający zgrzyt za plecami kazał im odwrócić głowy. Właśnie w tej chwili fale przygnały kadłub na skały. Drewno rozpadało się z przeraźliwym trzaskiem i jękiem. Kadłub uniósł się prawą burtą w górę i szczątki, pokrywające pokład, zaczęły spadać do morza.

Nagle Tomas pochylił się do przodu i złapał Puga za rękę.

— Patrz. — Wskazywał na wrak ześlizgujący się w tył po grzbiecie fali.

Pug nie mógł się zorientować, co mu Tomas wskazuje.

— O co chodzi?

— Przez chwilę wydawało mi się, że na pokładzie jest tylko jedno ciało.

Pug przyjrzał mu się uważnie. Na twarzy Tomasa malował się wyraz niepokoju, który nagle zmienił się w złość.

— A niech to szlag trafi!

— Co się stało?

— Kiedy upadłem w kabinie, upuściłem miecz. Cholera! Fannon oberwie mi uszy.

Potworny huk, jak grzmot pioruna, oznajmił wreszcie ostateczną zagładę wraku, kiedy rozpędzony falą uderzył z całą siłą w skalisty brzeg. Szczątki tego pięknego, choć obcego statku niesione prądami będą teraz codziennie wyrzucane przez fale na plaże południowego wybrzeża.

Głuchy jęk zakończony ostrym krzykiem zmusił chłopców do odwrócenia się. Tuż przed nimi stał człowiek, którego przed chwilą brakowało na pokładzie statku. W lewej dłoni trzymał bezwładnie szeroki miecz, który ciągnął się za nim po piachu. Prawe ramię przyciskał mocno do boku. Spod pancerza zbroi i hełmu wypływały strumyczki krwi. Chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Twarz miał trupiobladą, oczy rozszerzone bólem. Był w stanie szoku. Wykrzykiwał do nich

jakieś niezrozumiałe słowa. Cofali się powoli, krok za krokiem. Podnieśli do góry ręce, aby pokazać mu, że nie są uzbrojeni.

Zrobił jeszcze jeden krok w ich stronę. Kolana ugięły się pod nim. Z ogromnym wysiłkiem wyprostował się i odzyskał równowagę. Przymknął na chwilę oczy. Był krępy i niski. Nogi i ramiona miał silnie umięśnione. Poniżej pancerza nosił coś, co sprawiało wrażenie krótkiej spódniczki z niebieskiego materiału. Na przedramionach przypasane były ochraniacze, a na nogach, powyżej rzemiennych sandałów, nagolenniki z materiału, który wyglądał na skórę. Uniósł rękę do twarzy i kilka razy potrząsnął głową. Otworzył oczy i przyglądał się chłopcom. Ponownie przemówił w nieznanym języku. Kiedy chłopcy nie reagowali, zaczął się złościć. Wykrzyczał kilkanaście dziwnych wyrazów. Z tonu wynikało, że chyba o coś ich pytał.

Pug ocenił dystans potrzebny, aby przemknąć koło mężczyzny blokującego wąski pasek plaży. Zdecydował, że nie warto ryzykować i sprawdzać, czy obcy był w stanie posłużyć się groźnie wyglądającym mieczem. Jak gdyby odgadując myśli chłopca, mężczyzna, słaniając się na nogach, przesunął się o parę kroków w prawo, odcinając im w ten sposób ostatnią drogę ucieczki. Znowu przymknął oczy. Cała krew uciekła mu z twarzy. Wzrok zaczął błądzić dookoła. Miecz wypadł z bezwładnych palców. Pug chciał do niego podejść. Jasne było, że nie mógł wyrządzić im krzywdy.

Kiedy się do niego zbliżył, na plaży, za plecami rozległy się okrzyki. Pug i Tomas spostrzegli galopującego na czele oddziału konnych księcia Aruthę. Ranny mężczyzna, słysząc tętent kopyt, z widocznym na twarzy cierpieniem zwrócił się w ich stronę. Oczy wyszły mu nagle z orbit. Przez twarz przemknął wyraz potwornego przerażenia. Próbował rzucić się do ucieczki. Słaniając się na wszystkie strony, zrobił trzy niepewne kroki w stronę wody i runął twarzą na piasek.

* * *

Pug stał przy drzwiach komnaty rady książęcej. W pobliżu niego, przy okrągłym stole księcia Borrica siedziała grupka zaniepokojonych członków rady. Poza Księciem i jego synami w posiedzeniu brali udział ojciec Tully, Kulgan, który dopiero godzinę temu powrócił do zamku, mistrz miecza Fannon i koniuszy Algon. Ponieważ pojawienie się obcego statku uznano za potencjalne zagrożenie Królestwa, ton rozmów był poważny.

Pug szybko rzucił okiem na stojącego po drugiej stronie drzwi Tomasa. Tomas, poza okazjami, kiedy usługiwał do stołu, jeszcze nigdy nie przebywał w obecności szlachetnie urodzonych. Obecność w komnacie rady książęcej wprawiała go

w nerwowy nastrój. Mistrz Fannon zabrał właśnie głos i Pug skierował uwagę w stronę stołu.

— Podsumowując to, co wiemy — mówił stary Mistrz Miecza — oczywistym jest, że ci ludzie są nam zupełnie nieznani.

Wziął do ręki miseczkę zabraną ze statku przez Tomasa.

— To naczynie został wykonane w sposób absolutnie nieznany naszemu Mistrzowi Garncarstwa. Z początku wydawało mu się, że to tylko wypalona i pokryta szkliwem glina. Po szczegółowym badaniu okazało się jednak, że miseczka została wykonana z jakiejś skóry. Jej wąskie paski były owinięte wokół formy, być może z drewna, a następnie zostały pokryte masą z żywicy i utwardzone. Naczynie jest o wiele mocniejsze niż wszystkie nam znane.

Aby to zademonstrować, uderzył silnie o blat stołu. Zamiast się rozprysnąć na drobne kawałki, jak by to się stało z glinianą miseczką, naczynie wydało tylko głuchy dźwięk.

— A teraz dalej. Broń i pancerz są jeszcze bardziej zdumiewające. — Palcem wskazywał po kolei na błękitny napierśnik, hełm, miecz i sztylet.

— Wydaje się, że zostały wykonane tą samą metodą. Podniósł i upuścił sztylet.

Rozległ się ten sam głuchy odgłos.

— Przy całej swej lekkości jest prawie równie mocny jak nasza stal.

Borric pokiwał głową.

— Tully, wędrujesz po tym świecie dłużej niż którykolwiek z nas. Czy słyszałeś kiedyś o statku, który był skonstruowany w podobny sposób?

— Nie. — Tully bezwiednym ruchem gładził wygoloną brodę. — Nigdy nie słyszałem o podobnym statku ani z Morza Gorzkiego ani z Morza Królestwa czy nawet z Wielkiego Keshu. Mogę przesłać wiadomość do świątyni Ishap w Krondorze. Przechowują tam najstarsze w kraju archiwa. Może oni będą coś wiedzieli o tych ludziach.

Książę skinął głową.

— Tak. Zapytaj ich, proszę. Musimy także zawiadomić Elfy i Krasnoludy. Zamieszkują te ziemie o całe wieki dłużej niż my i warto odwołać się do ich wiedzy i mądrości.

Tully zgodził się z sugestią Księcia.

— Jeżeli przybyli spoza Bezkresnego Morza, może coś o nich wiedzieć królowa Aglaranna. Być może kiedyś w przeszłości nawiedzili już te brzegi.

— To niedorzeczne — prychnął koniuszy Algon. — Po drugiej stronie Bezkresnego Morza nie żyją żadne narody. Przecież gdyby żyły, nie byłoby ono bezkresne.

Kulgan przybrał pobłażliwy wyraz twarzy.

— Znane są teorie, że za wodami Bezkresnego Morza rozciągają się inne lądy. Problem polega tylko na tym, że nie dysponujemy odpowiednimi statkami, które byłyby w stanie odbyć tak długą podróż.

— Ach, te twoje teorie, teorie… — skomentował Algon.

Do rozmowy wtrącił się Arutha.

— Kimkolwiek są obcy, my lepiej zadbajmy o to, abyśmy dowiedzieli się o nich jak najwięcej i jak najszybciej.

Algon i Lyam spojrzeli na niego pytającym wzrokiem. Twarze Tully'ego i Kulgana pozostały bez wyrazu. Borric i Fannon przytaknęli ruchem głowy i Arutha mówił dalej:

— Z opisu podanego przez chłopców wynika jasno, że był to statek wojenny. Masywny dziób bez bukszprytu miał służyć do taranowania, a wysoko podniesiony przedni pokład stanowił idealne miejsce dla łuczników. Podobnie zresztą jak nisko umieszczony środkowy pokład, który po spięciu z innym statkiem, stanowił bazę wypadową do abordażu. Przypuszczam, że pokład rufowy był także wzniesiony wysoko. Sądzę też, że gdyby ocalała większa część kadłuba, odnaleźlibyśmy również ławki wioślarzy.

— Galera wojenna? — spytał Algon.

Fannon zniecierpliwił się.

— Oczywiście, ty prostaku.

Pomiędzy dwoma mistrzami już od dawna trwała przyjacielska rywalizacja, która czasem jednak obniżała loty i przeradzała się w mało przyjacielskie dogadywanie.

— Rzuć tylko okiem na broń naszego gościa — powiedział, wskazując na szeroki miecz. — Miałbyś może ochotę zaatakować konno zdeterminowanego faceta wywijającego tą zabaweczką, co? W okamgnieniu wyciąłby ci rumaka spod tyłka. A ten pancerz? Spójrz tylko. Chociaż pomalowano go na takie krzykliwe kolory, jest bardzo lekki i ma perfekcyjnie przemyślaną konstrukcję. Moim zdaniem obcy służył w piechocie. Był tak potężnie zbudowany, że pewnie mógł biec przez pół dnia, a potem iść z marszu w bój.

Zamyślił się, gładząc wąsa.

— Lud ten ma pośród siebie wspaniałych wojowników.

Algon powoli pokiwał głową.

Arutha przechylił się na oparcie krzesła. Splótł dłonie ponad głową i przebierał powoli palcami.

— Jednego nie mogę zrozumieć — przemówił młodszy syn Księcia. — Dlaczego próbował uciekać? Przecież nie atakowaliśmy. Nawet nie dobyliśmy broni. Nie miał powodu uciekać.

Borric spojrzał na starego kapłana.

— Dowiemy się?

Tully zmarszczył brwi. Mówił powoli i z wielką powagą.

— W prawym boku, pod pancerzem tkwił kawał drzewca. Otrzymał także bardzo silne uderzenie w głowę. Hełm ocalił czaszkę. Ma wysoką gorączkę i stracił mnóstwo krwi. Nie wiem, czy przeżyje. Mogę być zmuszony odwołać się do

bezpośredniego kontaktu umysłowego. Pod warunkiem że na tyle odzyska świadomość, aby go nawiązać.

Pug słyszał już o kontakcie umysłowym. Tully objaśnił mu jego istotę. Była to metoda, którą potrafiło zastosować tylko kilku duchownych. Sposób ten był wyjątkowo niebezpieczny zarówno dla obiektu seansu, jak i osoby narzucającej kontakt. Stary kapłan musiał odczuwać palącą potrzebę zdobycia informacji od rannego człowieka, skoro decydował się podjąć ryzyko bezpośredniego kontaktu. Borric zwrócił się do Kulgana.

— A co z pergaminowym zwojem odnalezionym przez chłopców?

Kulgan wykonał niezdecydowany ruch ręką.

— Poddałem go krótkiemu wstępnemu badaniu. Nie ma wątpliwości, że jest obdarzony magicznymi właściwościami. To dlatego właśnie, jak sądzę, Pug odczuł wewnętrzny przymus, aby dokładnie zbadać kabinę i przeszukać tę konkretną szafkę. Każdy, kto byłby równie wrażliwy na magię jak on, odczułby to samo.

Spojrzał Księciu prosto w oczy.

— Na razie jednak, zanim nie przeprowadzę dokładniejszego i bardziej dogłębnego badania, aby stwierdzić, w jakim celu zwój został napisany, wolałbym nie łamać pieczęci, którą został opatrzony. Złamanie zaklętej pieczęci bywa niebezpieczne, jeżeli nie dokona się tego we właściwy sposób. Jeżeli ktoś będzie majstrował przy pieczęci, zwój może ulec samounicestwieniu albo, co gorsza, może unicestwić tego, kto próbował ją naruszyć. Widziałem już kilka zwojów o wielkiej mocy, opatrzonych taką pułapką.

Borric przez chwilę bębnił palcami o blat stołu.

— No dobrze. Odroczymy na razie naradę. Zbierzemy się ponownie, kiedy tylko pojawi się coś nowego. Albo coś ze zwojem, albo od rannego. — Zwrócił się do Tully'ego. — Zobacz, jak on się czuje. Gdyby się ocknął, użyj całego kunsztu swej sztuki, aby wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji. — Wstał. Inni poszli w jego ślady. — Lyam, wyślij wiadomość o tym, co zaszło, do królowej Elfów i do Krasnoludów z Kamiennych Gór i Szarych Wież. Poproś o radę.

Pug otworzył drzwi. Książę opuścił salę, a za nim reszta zebranych. Tomas i Pug wyszli ostatni. Szli korytarzem. Tomas nachylił się do Puga.

— Ale rozpętaliśmy burzę.

Pug potrząsnął przecząco głową.

— Po prostu my pierwsi odnaleźliśmy tego człowieka. Jeżeli nie my, ktoś inny by to zrobił.

Tomasowi najwyraźniej ulżyło, kiedy wreszcie wyszedł z komnaty i znalazł się poza zasięgiem badawczego wzroku Księcia.

— Jeżeli coś pójdzie nie tak, mam nadzieję, że będą o tym pamiętali.

Kulgan poszedł na górę do pokoju w wieży. Tully ruszył do siebie, gdzie jego pomocnicy czuwali przy rannym. Książę z synami udał się do swych komnat. Chłopcy zostali sami w korytarzu.

Przeszli do kuchni skrótem przez spiżarnię. Megar nadzorował krzątającą się służbę. Kilka osób pomachało do nich na powitanie. Na widok syna i wychowanka Megar uśmiechnął się.

— No i co tym razem zbroiliście, chłopaki? Co?

Megar poruszał się zawsze swobodnym i rozkołysanym krokiem. Miał płowe włosy i był przyjaźnie nastawiony do całego świata. Przypominał Tomasa tak, jak roboczy szkic przypomina gotowy rysunek. Był dobrze wyglądającym mężczyzną w średnim wieku, lecz nie posiadał klasycznych rysów, które wyróżniały Tomasa. Zaśmiał się.

— Ten człowiek u Tully'ego, wszyscy cicho-sza, cicho-sza. Posłańcy latają jak opętani na wszystkie strony. Nie widziałem podobnego zamieszania od czasów wizyty księcia Krondoru, siedem lat temu!

Tomas porwał jabłko z tacy. Podskoczył i z rozmachem usiadł na stole. Pomiędzy kolejnymi kęsami opowiedział wszystko ojcu.

Pug oparł się o blat i słuchał. Opowieść Tomasa była zwięzła, sucha i pozbawiona wszelkich ozdobników. Kiedy skończył, Megar pokręcił głową.

— No, no… Obcy, co? Mam nadzieję, że to nie piraci maruderzy. Mieliśmy ostatnio dość spokojne czasy. Już dziesięć lat minęło, odkąd to Bractwo Mrocznego Szlaku… — udał, że spluwa z obrzydzeniem na podłogę — niech piekło pochłonie dusze tych morderców, rozpętało zamieszki z goblinami. Nie mogę powiedzieć, abym oczekiwał z radością podobnego zamieszania. Ekspediowanie zaopatrzenia do odległych wiosek… Musieliśmy pichcić z tego, co najszybciej się psuło, a jednocześnie najdłużej nadawało do jedzenia. Czy uwierzycie, że przez miesiąc nie mogłem przygotować ani jednego przyzwoitego posiłku?

Pug uśmiechnął się. Megar posiadał zdolność rozpatrywania najbardziej skomplikowanych okoliczności poprzez sprowadzanie ich do podstawowych elementów, to znaczy — jak dalece mogą one utrudnić mu pracę w kuchni.

Tomas zeskoczył ze stołu.

— Chyba będzie lepiej, jak wrócę do koszar i poczekam tam na mistrza Fannona. Do zobaczenia. Wybiegł z kuchni.

— Czy to coś poważnego, Pug?

Chłopiec pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Naprawdę. Wiem tylko jedno. Tully i Kulgan są zaniepokojeni. A Książę przejął się na tyle, że chce rozmawiać z Elfami i Krasnoludami. Więc może tak…

Megar wyjrzał przez drzwi, przez które wyszedł Tomas.

— Zły to czas na wojowanie i zabijanie…

Pug spostrzegł na jego twarzy z trudem skrywaną troskę. Nie miał pojęcia, co się mówi ojcu, którego syn właśnie w takiej chwili został żołnierzem. Odsunął się od stołu.

— No, na mnie też już czas.

Pomachał ręką na do widzenia do krzątającej się po kuchni służby i wyszedł na dziedziniec. Był zaniepokojony poważnym tonem obrad w komnatach Księcia i nie miał nastroju do nauki. Co prawda nikt nie wystąpił z tym oficjalnie i nie powiedział tego głośno, jednak było oczywiste, że obradujący dopuszczali w duchu możliwość, że to część przedniej straży floty inwazyjnej.

Pug ruszył przed siebie wolnym krokiem. Po trzech schodkach wszedł do małego ogródka Księżniczki. Usiadł na kamiennej ławie. Żywopłoty i rzędy krzewów różanych zasłaniały go przed widokiem z dziedzińca. Widział jedynie straże patrolujące wysoko na murach. Może mu się tylko wydawało, ale wartownicy sprawiali wrażenie, jakby byli dzisiaj wyjątkowo czujni.

Zwrócił się w stronę, z której dobiegł go odgłos delikatnego pokasływania. Po przeciwnej stronie ogródka stała księżniczka Carline w towarzystwie szlachcica Rolanda i dwóch młodszych dam do towarzystwa. Ponieważ Pug nadal uchodził wśród mieszkańców zamku za pewnego rodzaju znakomitość, dziewczęta powstrzymywały uśmiechy. Carline odprawiła je ruchem ręki.

— Chciałabym porozmawiać na osobności ze szlachcicem Pugiem.

Roland zawahał się przez moment, a potem skłonił sztywno przed Księżniczką. Puga zirytowało mroczne spojrzenie, jakim go chłopak obdarzył, odchodząc z dziewczętami.

Młode damy chichocząc obejrzały się przez ramię na Puga i Carline, co jeszcze bardziej rozdrażniło Rolanda.

Carline zbliżyła się. Pug wstał i ukłonił się niezgrabnie. Zwróciła się do niego ostrym głosem.

— Och, siadaj! Mam powyżej uszu tych bzdur. Od Rolanda otrzymuję codziennie wystarczającą porcję.

Pug usiadł. Dziewczyna zajęła miejsce koło niego i przez chwilę milczeli oboje. W końcu Carline odezwała się:

— Nie widziałam cię przeszło tydzień. Byłeś zajęty?

Pug poczuł się nieswojo. Był ciągle zmieszany jej obecnością i zmiennymi nastrojami. Dopiero od trzech tygodni, to jest od dnia, kiedy uratował ją przed trollami, miała do niego cieplejszy stosunek, co oczywiście spowodowało falę plotek pośród zamkowej służby. Dla innych była oschła. Szczególnie dla Rolanda.

— Byłem zajęty nauką.

— Spędzasz w tej koszmarnej wieży zbyt wiele czasu — prychnęła.

Pug nie uważał swego pokoju w wieży za okropny. No, może z wyjątkiem niewielkich przeciągów. Był to jego pokój i czuł się w nim dobrze.

— Możemy pojechać na konną przejażdżkę, jeżeli Wasza Wysokość zechce.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Chciałabym. Obawiam się jednak, że lady Marna się nie zgodzi.

Pug zdziwił się. Sądził, że po tym, jak ocalił Księżniczkę, nawet jej przybrana matka przyzna, że był dla Carline właściwym towarzystwem.

— Dlaczego nie?

Westchnęła głośno.

— Twierdzi, że kiedy należałeś do pospólstwa, znałeś swoje miejsce. Teraz, gdy zostałeś szlachcicem i członkiem dworu, możesz mieć pewne aspiracje.

Przez jej usta przemknął ledwo widoczny uśmieszek.

— Aspiracje? — powtórzył na głos Pug, nic a nic nie rozumiejąc.

— Uważa, że masz ambicje, aby osiągnąć wyższą pozycję. Sądzi, że chcesz na mnie wpływać… w pewien sposób… no wiesz — odpowiedziała, nagle onieśmielona.

Popatrzył na nią. Rozjaśniło mu się raptownie w głowie.

— O! — Po chwili powtórzył: — O! Wasza Wysokość.

Wstał z ławki.

— Nigdy bym się nie ośmielił… To znaczy… nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby… To jest…

Carline zerwała się na równe nogi. Obrzuciła go rozdrażnionym spojrzeniem.

— Chłopcy! Idioci! Wszyscy. Każdy taki sam…

Uniosła palcami skraj długiej, zielonej sukni i wybiegła pędem z ogrodu.

Pug, jeszcze bardziej zmieszany niż poprzednio, opadł na ławkę. Zupełnie jakby… Pozwolił, aby nie dokończona myśl uleciała. Im bardziej było prawdopodobne, że zależało jej na nim, tym bardziej niepokoił się taką perspektywą. Carline była kimś znacznie więcej niż księżniczką z bajki, jak ją sobie jakiś czas temu wyobrażał. Jednym tupnięciem małej stopki mogła wywołać burzę w szklance wody, burzę, która wstrząśnie posadami zamku. Była osóbką o bardzo skomplikowanym umyśle i, jakby tego jeszcze było mało, o szarpanej sprzecznościami naturze.

Dalsze rozmyślania zostały przerwane przez przebiegającego obok Tomasa. Kątem oka zauważył przyjaciela. Jednym susem pokonał trzy stopnie i zatrzymał przed nim bez tchu.

— Książę chce nas widzieć. Człowiek ze statku umarł.

* * *

Zgromadzili się pośpiesznie w książęcej sali obrad. Oczekiwali przybycia Kulgana, który nie odpowiedział na pukanie posłańca do drzwi. Pewnie był zbytnio pochłonięty problemem magicznego zwoju.

Ojciec Tully był zdenerwowany i blady. Jego wygląd przeraził Puga. Minęło niewiele ponad godzinę, a duchowny wyglądał, jakby miał za sobą kilka nie przespanych nocy. Podkrążone i zaczerwienione oczy zapadły się w głąb, twarz poszarzała, a na czole lśniły kropelki potu.

Borric wziął z podręcznego stolika karafkę z winem. Napełnił kielich i podał kapłanowi. Tully, człowiek niepijący, zawahał się przez moment, po czym pociągnął tęgi łyk. Reszta zebranych zajmowała swoje poprzednie miejsca wokół stołu.

Borric popatrzył na Tully'ego i zapytał po prostu:

— I co?

— Żołnierz z plaży odzyskał przytomność tylko na parę chwil. Ostatni zryw życia przed definitywnym końcem. Udało mi się w tym czasie wejść z nim w bezpośredni kontakt umysłowy. Towarzyszyłem mu w ostatnich, gorączkowych snach, starając się dowiedzieć o nim najwięcej, jak to było możliwe. Niewiele brakowało, a bym nie zdążył wycofać się z kontaktu na czas…

Pug pobladł. W czasie kontaktu bezpośredniego umysł kapłana i umysł badanego stawały się jednością. Gdyby Tully nie zdążył zerwać kontaktu z tym człowiekiem, nim ten umarł, sam mógłby umrzeć lub postradać zmysły. W czasie trwania seansu obaj dzielili te same uczucia, niepokoje, wszelkie doznania i myśli. Rozumiał wyczerpanie Tully'ego. Stary kapłan, podtrzymując więź z nie ułatwiającym mu tego obiektem, zużył ogromne zasoby energii oraz czynnie i bezpośrednio doświadczył bólu i przerażenia umierającego człowieka.

Tully napił się wina i kontynuował.

— Jeżeli przedśmiertne koszmary nie były wytworem rozpalonej gorączką wyobraźni, to obawiam się, że jego pojawienie zwiastuje bardzo poważną sytuację.

Kapłan przerwał i napił się znowu wina. Odsunął kielich od siebie.

— Nazywał się Xomich. Był prostym żołnierzem z narodu Honshoni, zamieszkującego tereny o nazwie Imperium Tsuranuanni.

— Nigdy nie słyszałem o takim narodzie czy imperium — przerwał mu Borric.

Tully kiwnął głową.

— Zdziwiłbym się, gdybyś słyszał, Książę. Jego statek nie przybył z żadnego z mórz Midkemii.

Pug i Tomas spojrzeli na siebie. Pug poczuł, jak przeszywa go lodowaty dreszcz. Tomas wyraźnie pobladł.

Tully ciągnął dalej.

— Jak to się stało… możemy jedynie przypuszczać. Jestem jednak przekonany, że statek przybył do nas z innego świata… świata, który nie ma kontaktu z naszym zarówno w czasie, jak i w przestrzeni.

Zanim ktokolwiek zdążył zadać pytanie, powiedział:

— Pozwólcie, że to wytłumaczę. Zmarły człowiek był chory. Gorączkował. Jego myśli błąkały się chaotycznie.

Twarz Tully'ego przebiegł skurcz, kiedy przypomniał sobie doznany ból.

— Był członkiem straży honorowej kogoś, kto w jego myślach nosił miano „Wielki". Pojawiały się często sprzeczne ze sobą obrazy i nie jestem do końca pewien. Wydaje się jednak, że podróż, którą odbywali, uważano ogólnie za dość

dziwną. Zarówno ze względu na obecność „Wielkiego”, jak i na cel misji. Jedyną konkretną myślą, którą zdołałem przechwycić, była ta, że Wielki nie musiał wcale podróżować statkiem. Poza tym jedynie króciutkie i nie powiązane ze sobą obrazy. Pojawiło się jakieś miasto o nazwie Yankora. Potem straszliwy sztorm i nagła, oślepiająca jasność. Może piorun uderzający w statek? Ale nie wydaje mi się. Wreszcie myśl o kapitanie statku i towarzyszach, których fale zmyły z pokładu. I uderzenie w skały.

Zawiesił na chwilę głos.

— Nie mam pewności, czy obrazy te pojawiały się we właściwym, chronologicznym porządku. Jest prawdopodobne, jak sądzę, że załoga zginęła, zanim pojawiło się oślepiające światło.

— Dlaczego? — spytał Borric.

— No tak, sam wyprzedzam fakty. Wróćmy do początku. Chciałbym przede wszystkim wyjaśnić, dlaczego uważam, że człowiek ten pochodził z innego świata. Xomich dorastał do wieku męskiego na ziemiach rządzonych przez wielkie armie. To rasa wojowników, a ich statki kontrolują morza… ale jakie? O ile wiem, nigdzie nie istnieją nawet najdrobniejsze wzmianki o kontakcie z tym ludem. Były jeszcze inne wizje. Bardziej przekonywające. Ogromne miasta. O wiele większe od największych nam znanych, tych w sercu Keshu. Armie defilujące przed trybuną honorową w czasie wielkich świąt. Garnizony liczniejsze niż Królewska Armia Zachodu.

Algon przerwał.

— To wszystko ciekawe, ale nadal nie ma nic, co by dawało podstawę do twierdzenia, że pochodzą… — zawiesił głos, jakby przyznanie tego sprawiało mu trudność — z drugiej strony Bezkresnego Morza!

Ta perspektywa była dla niego łatwiejsza do przyjęcia niż wyobrażenie sobie miejsca nie z tego świata.

Tully zdenerwował się, że mu przerwano.

— Jest jeszcze więcej, o wiele więcej. Towarzyszyłem mu w majakach. Wiele z nich mówiło o jego ziemi ojczystej. Wspominał stworzenia niepodobne do żadnych, o których słyszałem czy które widziałem. Stwory o sześciu nogach, które jak woły ciągnęły wozy. I inne. Jedne z nich wyglądają jak owady czy gady, ale mówią ludzkim głosem. Na jego ziemi panuje gorący klimat. Słońce jest większe od naszego i bardziej zielone. Jestem pewien, że ten człowiek nie pochodził z naszego świata.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane dobitnie i stanowczo. Jeżeli ktoś w sali miał jeszcze jakieś wątpliwości, teraz zostały one rozwiane. Kto jak kto, ale Tully nigdy by nie złożył podobnego oświadczenia, gdyby nie był całkowicie przekonany.

Zapanowała cisza. Każdy rozważał w milczeniu usłyszane słowa. Chłopcy, świadomi powszechnego odczucia, obserwowali zebranych. Sprawiali wrażenie,

jakby nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu, bo mogło to przypieczętować informacje kapłana na zawsze. Milczenie pozwalało je uznać za jakiś zły sen, który za chwilę przeminie. Borric wstał i podszedł w zamyśleniu do okna wychodzącego na nagi, zewnętrzny mur zamku. Spoglądał przed siebie, jakby starał się coś dostrzec. Coś, co dałoby odpowiedź na kłębiące się w myślach pytania. Odwrócił się gwałtownie do zebranych.

— Jak się tutaj dostali, Tully?

Kapłan wzruszył ramionami.

— Być może Kulgan podsunie jakąś teorię. Według mnie najbardziej prawdopodobne jest, że odbyło się to w ten sposób: statek tonął podczas sztormu, a kapitan i większość załogi zginęli. Chwytając się ostatniej szansy ratunku, Wielki, kimkolwiek on jest, wzbudził zaklęcie, aby usunąć statek z obszaru sztormu lub odmienić pogodę… albo dokonał czegoś równie wielkiego. Na skutek tego statek rzuciło z ich własnego świata do naszego i okręt ukazał się niedaleko naszego wybrzeża na wysokości Boleści Żeglarza. W tamtym świecie niesiony huraganem statek żeglował z wielką prędkością. Być może nie wytracił jej odpowiednio, przemieszczając się do nas. To z kolei, w połączeniu z silnym zachodnim wiatrem i ze zdziesiątkowaną załogą, jeżeli w ogóle któryś z marynarzy ocalał, doprowadziło do tego, że statek został skierowany prosto na skały. Albo po prostu ukazał się właśnie na skałach, rozbijając się o nie w tej samej sekundzie, w której zaistniał w naszym świecie.

Fannon pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Z innego świata? Jak to możliwe?

Stary kapłan rozłożył ręce.

— Możemy jedynie się domyślać. Ishapianie przechowują w swoich świątyniach starodawne zwoje. Mówi się o niektórych, że są kopiami jeszcze starszych dzieł, a i te z kolei miały być kopiami prac jeszcze odleglejszych w czasie. Twierdzą, że oryginały można datować na czasy Wojen Chaosu. Między innymi wspomina się w nich o „innych poziomach” oraz „innych wymiarach”. Mówi się również o pojęciach, których sens i znaczenie nie przetrwały do naszych czasów. Jedno wszelako pozostaje pewne i jasne, mowa jest tam o nieznanych ziemiach i ludach. Twierdzi się, że dawno temu ludzkość podróżowała do innych światów i odwrotnie, że przybywano z nich do Midkemii. Pojęcia te od wieków stanowiły centralny punkt debat religijnych i nikt nie jest w stanie stwierdzić z całkowitą pewnością, ile prawdy kryje się w każdym z nich. Przerwał i po chwili mówił dalej:

— Aż do dzisiejszego dnia. Gdybym nie ujrzał wnętrza umysłu Xomicha, nigdy bym nie zaakceptował tej teorii jako wyjaśnienia dzisiejszych wydarzeń. Teraz jednak…

Borric podszedł do swojego krzesła. Stanął za nim i obiema rękoma oparł się mocno na wysokim oparciu.

— Wydaje się to tak absolutnie niemożliwe…

— Ojcze, nie ulega wątpliwości, że statek i człowiek znaleźli się tutaj — powiedział Lyam.

W ślad za komentarzem brata Arutha pośpieszył ze swym własnym.

— I trzeba ocenić, jakie są szanse, że może się to powtórzyć.

Borric zwrócił się do Tully'ego.

— Miałeś rację, Tully. To rzeczywiście może zwiastować bardzo poważną sytuację. Bo gdyby miało się okazać, że wielkie imperium skierowało swą uwagę na Crydee i na Królestwo w ogóle…

Tully pokręcił przecząco głową.

— Borric, czy już tak dawno wyszedłeś spod mojej opieki, że to, co najważniejsze, umyka całkowicie twej uwagi?

Książę zaczął protestować. Kapłan uciszył go wzniesieniem ku górze kościstej ręki.

— Przebacz mi, mój Panie. Jestem już stary i zmęczony. Zapominam o dobrych manierach. Lecz prawda pozostaje nadal prawdą. To potężny naród lub raczej imperium złożone z wielu narodów. Jeżeli dysponują środkami, aby do nas dotrzeć, skutki mogą okazać się straszliwe. Najważniejsze jednak, że ów Wielki może być magiem lub kapłanem wysokiego kunsztu. I jeżeli Imperium posiada więcej takich jak on i rzeczywiście próbują oni dosięgnąć tego świata mocą swej magii, to zaprawdę nadchodzą dla nas prawdziwie gorzkie i bolesne czasy.

Tully popatrzył na zebranych. Pomyślał, że chyba niewiele zrozumieli, i jak cierpliwy nauczyciel, wykładający grupie obiecujących, aczkolwiek czasem spowolnionych umysłowo studentów, ciągnął dalej:

— Statek mógł się pojawić przez przypadek. Jeśli tak było w istocie, to jest to tylko ciekawostka. Jeżeli jednak jego przybycie stanowiło wynik celowego działania, możemy być w niebezpieczeństwie. Przeniesienie całego statku do innego świata jest sztuką magii na poziomie, którego nie jestem nawet w stanie objąć wyobraźnią. Jeśli lud Tsurani — jak sami siebie nazywają — wie o naszym istnieniu oraz posiada środki, aby do nas dotrzeć, to nie tylko musimy się obawiać armii, która śmiało mogłaby rywalizować z Wielkim Keshem w szczytowym okresie jego potęgi, kiedy to dotarł aż do tego zapadłego kąta świata, lecz musimy także stanąć twarzą w twarz z magią potężniejszą niż jakakolwiek inna, znana nam do tej pory.

Borric pokiwał głową. Teraz, kiedy problem został nazwany po imieniu, konkluzja wydawała się prosta i oczywista.

— Musimy natychmiast zasięgnąć rady Kulgana.

— I jeszcze jedno, Arutha… — Młody Książę, zatopiony w myślach, podniósł wzrok. — Wiem, dlaczego Xomich próbował uciekać przed tobą i twymi ludźmi. Wziął was za stwory, które znał w swoim świecie. To stworzenia podobne do centaurów. Tsurani nazywają je Thun i panicznie się ich boją.

— Dlaczego miałby tak myśleć? — spytał zdziwiony Lyam.

— Nigdy w życiu nie widział konia lub innego zwierzęcia, które by go choć trochę przypominało. U nich nie ma koni.

Stary Książę znowu usiadł przy stole i zabębnił po nim palcami.

— Jeżeli to, co mówi ojciec Tully, jest prawdą, musimy podjąć konkretne decyzje. I to szybko. Skoro jedynie przypadek przyprowadził obcych do naszych brzegów, nie ma się czego obawiać. Jeżeli natomiast kryje się za tym jakiś plan, musimy być przygotowani na poważne zagrożenie. Nasz garnizon jest najmniej liczny ze wszystkich w Królestwie. Gdyby tu właśnie mieli się pojawić w dużej liczbie… będzie bardzo ciężko.

Wszyscy zebrani półgłosem wyrazili zgodę.

— Wskazane byłoby, abyśmy wszyscy tu zebrani zechcieli zrozumieć, że wszystko, co zostało wypowiedziane w tej sali, to jedynie spekulacje. Przynajmniej na razie, chociaż osobiście skłonny jestem zgodzić się z większością poruszonych przez Tully'ego zagadnień. Trzeba się dowiedzieć, co o tym wszystkim myśli Kulgan.

Zwrócił się do Puga.

— Chłopcze, idź i zobacz, czy twój pan może się już do nas przyłączyć.

Pug skinął głową. Otworzył drzwi i pędem ruszył przez dziedziniec. Dobiegł do schodów wiodących na wieżę i przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę. Już unosił rękę, aby zapukać, kiedy nagle doznał przedziwnego wrażenia. Jakby się znalazł w pobliżu miejsca, w które dopiero co uderzył piorun. Włosy zjeżyły mu się na rękach i głowie. Przeszyło go nagłe przeczucie czegoś złego. Zabębnił pięściami w drzwi.

— Kulgan! Kulgan! Czy nic ci się nie stało. Panie? — krzyczał.

Żadnej odpowiedzi. Chwycił za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Naparł na nie barkiem, starając się wyłamać zamek. Trzymał mocno. Dziwne wrażenie przeminęło. Ciągłe milczenie Kulgana zrodziło strach. Pug rozejrzał się dookoła, szukając czegoś, czym mógłby wyważyć drzwi. Nic nie znalazł. Zbiegł po schodach.

Pobiegł do długiej sali, gdzie stali ubrani w liberie Crydee wartownicy. Podbiegł do dwóch stojących najbliżej.

— Hej, wy dwaj, za mną. Mój pan jest w tarapatach. Bez wahania, dudniąc ciężkimi buciorami po schodach, ruszyli za chłopcem.

Gdy dotarli do drzwi, Pug krzyknął:

— Wyważcie drzwi!

Odłożyli szybko na bok włócznie i tarcze i naparli barkami na drzwi. Pchnęli raz, drugi. Za trzecim razem drewno przy zamku, protestując jękliwie, puściło. Strażnicy niemal wpadli do środka. Cofnęli się zdumieni i zmieszani. Pug przepchnął się pomiędzy nimi i zajrzał do pokoju.

Kulgan leżał na podłodze. Był nieprzytomny, a jego niebieskie szaty w nieładzie. Jednym ramieniem osłaniał twarz jakby obronnym gestem. Jakieś pół metra od niego, w miejscu, gdzie powinien znajdować się stół do pracy, wisiała migotliwa pustka. Pug przyjrzał się jej dokładniej. Była to ogromna szara kula przetykana tu i ówdzie migoczącym blaskiem. Choć niematerialna, nie była też przezroczysta, bo nie mógł dostrzec, co znajdowało się za nią. Z szarości obszaru wyłaniała się para ludzkich ramion, które wyciągały się w stronę maga. Dłonie dotknęły ubrania. Zatrzymały się. Palce powoli badały materiał. Po chwili, jakby podjęto jakąś decyzję, dłonie zaczęły się posuwać wzdłuż leżącego ciała. Dotarły do ręki, chwyciły i próbowały dźwignąć ramię maga do wnętrza pustki. Pug stał bez ruchu, sparaliżowany strachem. Ktoś lub coś usiłowało dźwignąć ciężkiego maga i wciągnąć do środka pustki! Druga para rąk przecisnęła się do wnętrza pokoju i chwyciła za ramię koło pierwszej. Obie zaczęły ciągnąć Kulgana w stronę próżni.

Pug odwrócił się błyskawicznie i chwycił jedną z włóczni, które przerażeni żołnierze oparli o ścianę. Zanim któryś z nich zdążył zareagować, skierował ją w szarą dziurę i cisnął z całej siły.

Włócznia pokonała trzy oddzielające ich od Kulgana metry i zniknęła w pustce. Chwilę później ręce puściły maga i wycofały się, a szara kula zniknęła. Dało się słyszeć szum powietrza wypełniającego zajęte przed chwilą miejsce. Pug podbiegł do Kulgana i ukląkł przy jego boku.

Mag oddychał, ale twarz miał białą jak papier i zlaną potem. Skóra była lodowata i lepka. Chłopiec ściągnął koc z posłania. Przykrył nim swego mistrza i odwrócił się do strażników.

— Sprowadźcie ojca Tully’ego! — krzyknął.

* * *

Pug i Tomas nie mogli zasnąć i przesiedzieli całą noc. Tully zajął się Kulganem. Rokowania były pomyślne. Co prawda był w stanie szoku, ale za dzień czy dwa powinien dojść do siebie.

Książę przesłuchał Puga i obu strażników, pytając szczegółowo o to, co widzieli. Cały zamek huczał. Wszystkie oddziały straży powołano pod broń. Podwojono patrole wysyłane do oddalonych zakątków Księstwa. Co prawda Książę nadal nie był pewny, czy między pojawieniem się statku a tajemniczym zjawiskiem w mieszkaniu Kulgana istniał jakiś związek, nie ryzykował jednak, gdy chodziło o bezpieczeństwo Królestwa. Wzdłuż wszystkich obwarowań zamku zapłonęły

pochodnie. Wysłano straże do latarni morskiej na Długim Cyplu i do miasta pod zamkiem.

Tomas siedział wraz z Pugiem na ławce w ogródku Księżniczki, który był w tej chwili jednym z nielicznych spokojnych miejsc w zamku. Tomas spojrzał z namysłem na przyjaciela.

— Coś mi się wydaje, że Tsurani już nadchodzą.

Pug przeczesał włosy palcami.

— No, nie wiadomo.

— Po prostu mam przeczucie — powiedział Tomas znużonym głosem.

Pug pokiwał głową.

— Dowiemy się już jutro, kiedy Kulgan będzie mógł opowiedzieć, co się wydarzyło.

Tomas spojrzał w kierunku murów.

— Jeszcze nigdy, odkąd pamiętam, nie było tutaj tak dziwnie. Nawet wtedy, kiedy zaatakowały nas gobliny i Mroczne Bractwo. Pamiętasz? Byliśmy jeszcze mali.

Pug kiwnął głową. Milczał przez chwilę.

— Wtedy przynajmniej wiedzieliśmy, przeciwko komu walczymy. Czarne elfy zawsze, jak tylko sięga ludzka pamięć, atakowały zamki. A gobliny… No cóż, gobliny to gobliny… każdy wie.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Usłyszeli odgłos ciężkich kroków na kamieniach. Ktoś się zbliżał. Stanął przed nimi Mistrz Miecza odziany w kolczugę i kaftan.

— A cóż to znaczy? Tak późno, a wy jeszcze nie śpicie? Już dawno powinniście być obaj w łóżkach.

Stary wojak odwrócił się, aby przyjrzeć się murom.

— Jak widać, tej nocy wielu z nas nie może zmrużyć oka. Ponownie zwrócił się do chłopców:

— Tomas, żołnierz powinien nauczyć się sztuki wykorzystywania każdej wolnej chwili na sen, bo są całe długie dni i noce, kiedy nie ma na to czasu. I ty także, panie, powinieneś już spać. No już, ruszcie się. Spróbujcie trochę wypocząć.

Chłopcy przytaknęli, życzyli mistrzowi dobrej nocy i poszli do siebie. Siwowłosy komendant straży książęcej spoglądał za nimi, a potem długo jeszcze stał w ogródku, sam na sam z niewesołymi myślami.

* * *

Odgłos kroków za drzwiami obudził Puga. Błyskawicznie wciągnął spodnie i bluzę i wbiegł na schody prowadzące do pokoju Kulgana. Przeszedł przez prowizorycznie wstawione drzwi. Nad posłaniem stali Książę i ojciec Tully. Usłyszał słaby głos swego pana. Mag narzekał, że musi leżeć.

— Przecież wam mówię, że czuję się dobrze — nalegał. — Pozwólcie mi tylko na krótki spacer, a natychmiast dojdę do siebie.

W głosie ojca Tully'ego wciąż pobrzmiewało zmęczenie.

— Akurat, dojdziesz, ale plecami na podłogę, chciałeś raczej powiedzieć. Kulgan, doznałeś ogromnego wstrząsu. Czymkolwiek było to, co zwaliło cię z nóg… dało ci srogiego łupnia. I tak miałeś szczęście. Mogło być znacznie gorzej.

Kulgan zauważył nagle Puga, który nie chcąc nikomu przeszkadzać, stał cichutko przy drzwiach.

— Ha! Pug! — krzyknął. Głos zaczął mu wracać. — Wejdź, wejdź, chłopcze. Domyślam się, że winny ci jestem podziękowanie za to, że nie zostałem zmuszony do udania się w niespodziewaną podróż w nieznanym towarzystwie, co?

Pug uśmiechnął się. Chociaż mag wyglądał dosyć mizernie, zdawał się powracać do swej zwykłej jowialności.

— Naprawdę nic nie zrobiłem, panie. Wyczułem po prostu, że coś jest nie tak, i zareagowałem.

— Zareagowałeś szybko i prawidłowo — dodał z uśmiechem Książę. — Kolejny domownik książęcego domu został twoim dłużnikiem, bo uratowałeś mu życie. Jak tak dalej pójdzie, będę zmuszony nadać ci tytuł Obrońcy Domu Książęcego.

Ucieszony pochwałą Księcia, chłopiec uśmiechnął się.

Borric odwrócił się do maga.

— No cóż, widzę, że jesteś pełen zapału i ognia. Czy czujesz się na tyle silny, abyśmy mogli porozmawiać o dniu wczorajszym?

Pytanie to wyraźnie zirytowało Kulgana.

— Oczywiście, że się dobrze czuję. Przecież od dziesięciu minut usiłuję wam to powiedzieć.

Kulgan zaczął dźwigać się z posłania. Zakręciło mu się w głowie. Tully położył mu rękę na ramieniu i delikatnie popchnął z powrotem na wysoki stos poduszek, na którym spoczywał.

— Stamtąd możesz mówić równie dobrze. Doceniamy twoje wysiłki i dziękujemy, ale masz zostać w łóżku.

Kulgan nie zaprotestował. Po chwili poczuł się lepiej.

— Zgoda, ale dacie mi fajkę?

Pug podał mu fajkę i kapciuch z tytoniem. Potem, kiedy Kulgan ubijał tytoń, przyniósł długą, płonącą drzazgę z garnka z węglami. Chory zapalił fajkę. Po chwili, kiedy tytoń tlił się na dobre, rozparł się wygodnie na poduszkach z wyrazem błogości na twarzy.

— Dobrze, od czego więc zaczynamy?

Książę zwięźle poinformował go o wszystkim, co usłyszeli od Tully'ego. Kapłan dorzucił kilka szczegółów, o których Borric zapomniał. Kiedy skończyli, Kulgan pokiwał głową.

— Wasza hipoteza co do pochodzenia tych ludzi wydaje się prawdopodobna. Ja sam podejrzewałem taką możliwość, kiedy obejrzałem sobie dokładnie te cudeńka przyniesione ze statku. Wczorajsze wydarzenia w tym pokoju stanowiły niejako potwierdzenie.

Przerwał i przez moment zbierał myśli.

— Zwój był osobistym listem maga ludu Tsurani do żony. Ale nie tylko. Był czymś więcej. Pieczęć była zaopatrzona w magiczną formułę, która miała zmusić czytającego do wypowiedzenia zaklęcia zamieszczonego na końcu pisma. Zaklęcia zupełnie wyjątkowego. Umożliwiało ono każdemu, bez względu na to, czy potrafił czytać czy też nie, odczytanie i zrozumienie zwoju.

— Przedziwne — powiedział Książę.

— Zdumiewające — szepnął Tully.

— Pewne koncepcje w nim zawarte były dla mnie absolutną nowością — przyznał Kulgan. — No tak… ale do rzeczy. Zneutralizowałem zaklęcie, aby móc odczytać treść pisma bez obawy, że wpadnę w pułapki powszechnie stosowane w prywatnej korespondencji magów. Było ono oczywiście napisane w zupełnie nieznanym mi języku. Przetłumaczyłem treść, posługując się zaklęciem z innego zwoju, i chociaż zrozumiałem język, nadal jednak nie jestem w stanie pojąć wszystkiego, o czym mowa w piśmie. Pewien mag o imieniu Fanatha podróżował statkiem do miasta w swym świecie. Po kilku dniach od wyjścia w morze dopadł ich straszny sztorm. Statek utracił maszt, a wielu członków załogi zmyło za burtę. Mag znalazł chwilę, aby napisać list, ale widać, że czynił to w wielkim pośpiechu. Skończył i wyposażył go w zaklęcie. Wydaje się, że człowiek ten mógł praktycznie w każdej chwili opuścić statek i powrócić do domu czy innego bezpiecznego miejsca. Nie uczynił tego jednak. Powstrzymywała go troska o statek i jego ładunek. Nie jest to zupełnie jasne, ale ton listu wydaje się sugerować, że ryzykowanie własnego życia dla innych było raczej postawą nietypową i niezwykłą. Inną zadziwiającą rzeczą jest wzmianka o zobowiązaniach w stosunku do kogoś, kogo nazwał głównodowodzącym na czas wojny. Opieram się na przypuszczeniach, ale znowu wymowa pisma zdaje się wskazywać, że była to raczej sprawa honoru lub złożonej obietnicy, a nie obowiązek. W każdym razie napisał list, zapieczętował go, a potem miał zamiar przenieść statek, posługując się magią.

Tully pokręcił głową w zadziwieniu.

— Nie do wiary.

— Tak, a poza tym według naszego pojmowania magii jest to niemożliwe — dodał Kulgan podnieconym głosem.

Pug zauważył, że Książę nie podzielał zawodowego zainteresowania maga. Borric nie ukrywał swego niepokoju. Chłopiec przypomniał sobie słowa Tully'ego o tym, co oznacza magia tej miary, jeżeli obcy lud planował inwazję na Królestwo. Kulgan kontynuował swoją wypowiedź.

— Ludzie ci mają w swoim władaniu siły, co do których możemy jedynie snuć przypuszczenia. Mag formułował swe myśli w odniesieniu do kilku punktów bardzo jasno i zdecydowanie. Jego zdolność zawarcia tylu idei w tak zwięzłym piśmie dowodzi niezwykle zorganizowanego umysłu. Włożył on wiele wysiłku, aby upewnić żonę, iż zrobi wszystko, co w jego mocy, aby powrócić. Wspomniał między innymi o otwarciu przejścia czy przetoki, nie wiem dokładnie, co miał na myśli, do „innego świata", ponieważ — i tego też nie rozumiem do końca — „pomost został już skonstruowany", a jakieś urządzenie, które było w jego posiadaniu, nie miało pewnych właściwości czy możliwości, aby przemieścić statek w jego własnym świecie. Wszystko wskazuje na bardzo desperacki krok, na postawienie na jedną kartę. Opatrzył zwój drugim zaklęciem… i przez to wpadłem. Mniemałem błędnie, że przez zneutralizowanie pierwszego zlikwidowałem automatycznie i drugie. Drugi czar był skonstruowany w ten sposób, że uaktywniał się z chwilą, kiedy ktoś skończył czytać pismo na głos. Jeszcze jedna niesłychana sztuczka magiczna… Zaklęcie na końcu pisma powodowało bowiem otwarcie jeszcze jednej „śluzy", tak żeby wiadomość można było przekazać do — jak to nazwał — „Zgromadzenia", a stamtąd do jego żony. O mały włos nie zostałem pochwycony przez to „przejście" razem z listem.

Pug podszedł bliżej. Nie zastanawiając się, wybąkał:

— Te ręce… mogły więc należeć do starających się go odnaleźć przyjaciół?

Kulgan spojrzał na swego ucznia i przytaknął ruchem głowy.

— Tak, to możliwe. Z ostatnich wydarzeń możemy w każdym razie wyciągnąć wiele wniosków. Tsurani mają zdolność kontrolowania magii, nad którą my możemy się jedynie zastanawiać. Niewiele wiemy o występowaniu tych przetok czy śluz w czasie i przestrzeni, a już na pewno nic o ich naturze.

— Wytłumacz jaśniej, proszę — odezwał się zdziwiony Książę.

Kulgan pyknął z fajki.

— Magia z samej swojej natury jest niestabilna. Czasami się zdarza, chociaż nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, że zaklęcie zostaje wypaczone do tego stopnia, że narusza jakby materiał, tkaninę świata. Na króciutką chwilę formuje się przesmyk, coś w rodzaju śluzy, prowadzącej do… dokądś. Poza tym, że zjawiska te wymagają uwolnienia straszliwych wprost ilości energii, nie wiemy wiele więcej.

Tully włączył się do rozmowy.

— Tak, znamy teorię. Nikt jednak nie wie, dlaczego zdarza się często, że zaklęcie czy jakieś inne magiczne działanie eksploduje nagle w takiej właśnie formie, i dlaczego wytwarza strukturalną niestabilność w istniejącej rzeczywistości. Kilka podobnych wypadków miało już miejsce, ale możemy się opierać jedynie na przekazach z drugiej ręki. Wszyscy naoczni świadkowie powstawania takich przejść albo zmarli, albo po prostu zniknęli bez śladu.

Kulgan podjął przerwaną relację.

— Przyjęto jako aksjomat, że zostali unicestwieni tak, jak wszystko inne, co znalazło się w najbliższym sąsiedztwie śluzy.

Zamyślił się na chwilę.

— Zgodnie ze wszystkimi prawami, kiedy to „coś" pojawiło się moim pokoju, powinienem był zginąć.

Książę przerwał mu.

— Z tego, co mówisz, wynika, że te, jak je nazywasz, przetoki czy śluzy są niebezpieczne.

Kulgan potaknął ruchem głowy.

— Jak również nieprzewidywalne. Ze wszystkich do tej pory odkrytych mocy są jedną z najmniej poddających się kontroli. Jeżeli obcym udało się opanować sztukę inicjowania i kontrolowania tak, że działają na podobieństwo bram pomiędzy dwoma światami, umożliwiając im bezpieczne przemieszczanie się, to musimy mieć świadomość, że dysponują oni sztuką najwyższych lotów.

Tully znowu zabrał głos.

— Już przedtem mieliśmy podejrzenia co do pewnych elementów ich natury, ale po raz pierwszy mamy do czynienia jakby z dowodem rzeczowym.

— Skądże! Dziwni ludzie i nieznane przedmioty ukazywały się znienacka już od ładnych paru lat, Tully. Natomiast teraz uzyskaliśmy niezbity dowód, skąd się to wszystko brało.

Tully nie chciał się zgodzić z takim przedstawieniem sprawy.

— Teoria. To tylko teoria, Kulgan. Nie ma żadnego dowodu. Świadkowie pomarli, a co do przedmiotów, które się zachowały… są tylko dwa albo trzy, które nie spłonęły lub nie uległy całkowitemu zniszczeniu. I tak nie mamy jednak zielonego pojęcia, do czego mogłyby służyć.

Kulgan uśmiechnął się.

— Och, doprawdy? A co powiesz o mężczyźnie, który się pojawił w Saladorze jakieś dwadzieścia lat temu? — Popatrzył na Księcia. — Człowiek ten, panie, posługiwał się nieznanym nikomu językiem i był cudacznie ubrany.

Tully spojrzał koso na Kulgana.

— Był także beznadziejnie szurnięty. Nie zdołał wydobyć z siebie choćby jednego zrozumiałego słowa. Świątynie zmarnowały na niego sporo czasu…

Borric pobladł.

— Bogowie! Naród wojowników. Armie wielokrotnie przewyższające nas liczbą. Wojska, które kiedy tylko zechcą, mogą przedostać się do naszego świata… no cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko żywić nadzieję, że nie skierowali wzroku na nasze Królestwo.

Kulgan kiwnął głową i wypuścił z ust kłąb dymu.

— Jak dotąd nie ma żadnych sygnałów o pojawieniu się obcych w innych miejscach i może wcale nie musimy się obawiać… chociaż coś mi mówi, że…

Nie dokończona myśl zawisła w powietrzu. Obrócił się lekko na bok i ułożył wygodniej.

— Może to nic nie znaczy, ale wzmianka o pomoście, czy jak tam się to nazywa, nie daje mi spokoju. Coś mi tu pachnie istniejącym już i ustabilizowanym połączeniem dwóch światów. Bardzo bym chciał się mylić…

Tupot stóp na schodach kazał im się odwrócić w stronę drzwi. Do pokoju wpadł żołnierz straży. Stanął wyprężony na baczność przed Księciem i wręczył mu niewielką kartkę papieru. Książę odprawił go i rozwinął papier. Szybko przebiegł treść oczami i podał Tully’emu.

— Pchnąłem posłańców z gołębiami do Elfów i Krasnoludów, żeby ptaki przyniosły szybko odpowiedź. Królowa Elfów przysyła wiadomość, że jest już w drodze do Crydee i będzie tutaj za dwa dni.

Tully pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Jak żyję, nie słyszałem, aby pani Aglaranna opuściła kiedykolwiek Elvandar. Ciarki przechodzą mi po grzbiecie…

Kulgan przerwał mu.

— No, no. Sprawy musiały przybrać poważny obrót, skoro postanowiła tutaj przybyć. Bardzo chciałbym się mylić, ale znowu coś mi mówi, że nie tylko my jedni mamy wieści o Tsuranich.

W pokoju zapadła głęboka cisza. Poczucie beznadziejności owładnęło nagle Pugiem. Otrząsnął się jakoś z przygnębienia, ale pozostawał w takim nastroju jeszcze przez kilka następnych dni.

# Rozdział 6

# Rada elfów

Pug wychylił się przez okno.

Mimo że od wczesnych godzin porannych lał deszcz, dziedziniec zamkowy był pełen gwaru i zamieszania. Poza koniecznymi przygotowaniami towarzyszącymi każdej ważnej wizycie, w tym wypadku dochodził dodatkowy element oryginalności, ponieważ gośćmi miały być Elfy. Bardzo rzadko zapuszczały się one na południe od rzeki Crydee, a więc nawet posłańcy od królowej Aglaranny, nieczęsto zaglądający w progi zamkowe, zawsze byli obiektem zainteresowania. Elfy trzymały się z daleka od społeczności ludzkiej. Ich życie uważano powszechnie za dziwne i magiczne. Zamieszkiwały te ziemie na długo przed tym, zanim na zachodzie pojawił się człowiek. Istniała nie pisana i nigdy głośno nie wypowiedziana umowa, że bez względu na roszczenia Królestwa Elfy miały zawsze pozostać wolnym narodem.

Pug usłyszał kaszel. Odwrócił się. Kulgan siedział nad potężnym tomiskiem. Mag dał mu znać spojrzeniem, że pora powrócić do nauki. Chłopiec zamknął okiennice i usiadł na posłaniu.

— Za kilka godzin będziesz miał mnóstwo czasu, aby gapić się na Elfy. Na naukę nie pozostanie go wiele. Musisz się nauczyć, jak najlepiej wykorzystywać czas, który jest ci dany.

Fantus przyczłapał do Puga i położył mu głowę na kolanach. Chłopak wziął książkę i zaczął czytać, a jednocześnie drapał smoka za sterczącymi łukami brwiowymi. Kulgan polecił mu opracować na podstawie dzieł różnych magów wspólne cechy zaklęć, mając nadzieję, że pogłębi to jego zrozumienie natury magii.

Kulgan był zdania, że zaklęcia, którymi Pug posłużył się przeciwko trollom, były wynikiem ogromnego napięcia chwili. Miał nadzieję, że lektura dociekań innych magów pomoże chłopcu przełamać bariery przeszkadzające w nauce. Praca z książką okazała się również fascynująca dla Puga, który przy okazji podkształcił się bardzo w czytaniu.

Chłopiec rzucił okiem na swego pana, który pogrążony w lekturze wypuszczał z długiej fajki ogromne kłęby dymu. Po wczorajszej słabości nie został żaden ślad i Kulgan bardzo nalegał, aby chłopiec, zamiast siedzieć bezczynnie, czekając na przybycie królowej Elfów i jej dworzan, wykorzystał te godziny na naukę.

Po kilku minutach Puga zaczęły szczypać oczy od gryzącego dymu. Odwrócił się w stronę okna i popchnął okiennice.

— Kulgan?

— Tak, Pug?

— Byłoby o wiele przyjemniej pracować z tobą, gdyby jakoś udało się utrzymać ogień i ciepło, ale jednocześnie pozbyć się dymu.

W powietrzu, pomiędzy dymiącym garnkiem z węglami a fajką maga, unosiła się błękitno-biała mgiełka.

Mag roześmiał się głośno.

— Masz rację, chłopcze.

Zamknął na moment oczy. Zaczął gwałtownie machać rękami. Wypowiedział po cichu kilka zaklęć i po chwili trzymał w rękach ogromną kulę biało-szarego dymu. Zaniósł ją do okna i wyrzucił. W pokoju zrobiło się przejrzyście i świeżo.

Pug śmiejąc się pokręcił głową.

— Ach, dzięki, Kulgan, ale miałem na myśli bardziej przyziemne rozwiązanie. Co byś powiedział, gdyby tak dorobić komin ponad żarem?

— To niemożliwe — odpowiedział Kulgan siadając. Palcem wskazał na mur. — Gdyby komin został zainstalowany, kiedy budowano wieżę, to w porządku. Teraz usunięcie kamieni z tego miejsca, koło mego pokoju i wyżej, aż pod dach byłoby bardzo trudne, że nie wspomnę już o kosztach.

— Nie myślałem o kominie wewnątrz ściany, Kulgan. Widziałeś w kuźni ten kamienny okap nad paleniskiem? Ściąga ciepło i dym, które uciekają przez dach.

Kulgan kiwnął głową.

— Gdyby kowal mógł nam zrobić metalowy okap i wychodzący z niego komin do odprowadzania dymu… to by przecież działało identycznie, no nie?

Kulgan zastanawiał się przez chwilę.

— Nie znajduję powodu, dlaczego nie miałoby działać. Ale gdzie chciałbyś umieścić komin?

— Tam. — Pug wskazał dwa kamienie nad oknem z lewej strony. W czasie budowy wieży zostały źle dopasowane i teraz w zostawionej między nimi szczelinie z wyciem hulał wiatr.

— Ten kamień można by usunąć — powiedział — ten skrajny z lewej strony. Sprawdzałem. Rusza się. Komin można poprowadzić znad garnka, tu skręcić… — wskazał na przestrzeń ponad paleniskiem na wysokości kamienia — i tam wyprowadzić na zewnątrz. Jeżeli dobrze uszczelnimy szpary wokół wylotu komina, nie będzie już tamtędy wiało.

Kulgan był pod wrażeniem.

— Ha! To całkiem nowy pomysł. Może rzeczywiście zadziałać… Porozmawiam rano z kowalem i zasięgnę jego rady. Ha! Zastanawia mnie tylko, dlaczego nikt przedtem nie wpadł na to?

Pug, zadowolony z wynalazku, powrócił do nauki. Jeszcze raz przeczytał fragment, który poprzednio zwrócił jego uwagę. Zastanawiała go pewna dwuznaczność. W końcu zerknął na maga.

— Kulgan…

— Tak, Pug? — Mag popatrzył znad księgi.

— Znowu to samo. Mag Lewton stosuje tutaj tę samą magiczną sztuczkę, której użył Marsus, aby odwrócić działanie zaklęcia od tego, kto je rzucił, i skierować niejako jego działanie na obiekt zewnętrzny.

Położył otwartą księgę na podłodze, aby nie zgubić fragmentu, o którym mówił, i wziął do ręki drugą.

— Tutaj z kolei Dorcas pisze, że zastosowanie tej sztuczki osłabia, przytępia zaklęcie i zwiększa prawdopodobieństwo, że w ogóle nie zadziała. Jak to możliwe, że istnieje podstawowa niezgodność w odniesieniu do natury tej samej konstrukcji?

Kulgan popatrzył z uwagą na swego ucznia. Usiadł wygodniej i pyknął z fajki, wypuszczając kłąb niebieskiego dymu.

— To potwierdzenie tego, o czym mówiłem już poprzednio. Bez względu na pychę i próżność, jaką my, magowie, możemy odczuwać ze względu na praktykowane przez nas rzemiosło, tak naprawdę nie ma w nim ani żadnej wielkiej nauki, ani specjalnego porządku. Magia jest zbiorem sztuki i pewnych umiejętności ludowych przekazywanych uczniom przez mistrzów od początku dziejów. Jedyną istniejącą w rzeczywistości metodą są próby i błędy i jeszcze raz próby i błędy. Nigdy nie starano się stworzyć z magii jakiegoś spójnego systemu. Systemu z rządzącymi nim prawami, regułami czy aksjomatami, które byłyby dobrze zrozumiane i powszechnie akceptowane.

Spojrzał z namysłem na Puga.

— Każdy z nich jest jak stolarz robiący stół. Niby robimy to samo, ale każdy z nas wybiera inny rodzaj drewna, inne piły, niektórzy do łączenia elementów stosują drewniane kołki, inni gwoździe. Jeszcze inni robią połączenia na wpust na jaskółczy ogon. Niektórzy bejcują drewno, a inni nie… w końcowym zaś efekcie powstaje stół. Jednak środki, których użyto do jego zrobienia, w każdym przypadku były inne. Mamy tutaj prawdopodobnie raczej do czynienia z pewnego rodzaju wglądem w ograniczenia tych czcigodnych mądrości, które studiujesz, niż z jakąś receptą na magię. Dla Lewtona i Marsusa ta magiczna sztuczka wspomagała zaklęcie, dla Dorcasa była zaś przeszkodą.

— Przykład rozumiem, ale nigdy nie będę w stanie pojąć, jak ci magowie mogli osiągnąć dokładnie to samo, choć na tak wiele różnych sposobów. Rozumiem, że każdy z nich starał się osiągnąć swój własny cel i odnajdywał wiodące ku nie-

mu różne drogi, jednakże w sposobach, dzięki którym dotarli do celu, czegoś mi brak.

— Czego według ciebie brak?

Chłopak zamyślił się.

— Nie… nie wiem. To tak jakbym oczekiwał, że odnajdę coś, co mi powie: „Oto sposób, w jaki należy to robić. Jedyny sposób", albo coś w tym rodzaju. Czy to, co powiedziałem, ma w ogóle jakiś sens?

Kulgan przytaknął.

— Znam cię już prawdopodobnie na tyle dobrze, że chyba rozumiem. Masz bardzo ścisły i uporządkowany umysł. Rozumiesz logikę o niebo lepiej niż większość, nawet tych znacznie od ciebie starszych. Postrzegasz rzeczy jako pewnego rodzaju system, a nie przypadkowy zbiór wydarzeń. Możliwe, że to właśnie jest przyczyną części twoich kłopotów i niepowodzeń.

Pug słuchał słów maga z wielkim zainteresowaniem i uwagą.

Kulgan ciągnął dalej swój wywód.

— Znaczna część tego, czego nauczam, zasadza się na systemie logicznym, to znaczy opiera się na przyczynach i skutkach. Ale nie wszystko. To trochę tak, jakby próbować nauczyć kogoś grać na lutni. Możesz oczywiście pokazać, jak przebierać palcami po strunach, ale sama wiedza teoretyczna nie uczyni z ucznia wielkiego trubadura. Problem, który cię nęka, to nie nauka, lecz sztuka, Pug.

— Chyba rozumiem, Kulgan — powiedział chłopiec zniechęconym głosem.

Kulgan wstał.

— Nie zaprzątaj sobie tym głowy. Młody jeszcze jesteś i wszystko przed tobą… — powiedział żartobliwie lekkim tonem.

— To co, nie zostałem jeszcze spisany na straty? — zapytał z uśmiechem.

— Na pewno nie. — Kulgan spojrzał na swego ucznia uważnym wzrokiem. — Mówiąc między nami, Pug, mam jakieś przeczucie, że któregoś dnia użyjesz swego ścisłego umysłu dla ulepszenia magii.

Pug zdziwił się. Nigdy nie myślał o sobie jako o kimś, kto dokonuje wielkich rzeczy.

Z dziedzińca dobiegły okrzyki. Chłopiec zbliżył się do okna i wyjrzał. Oddział warty biegł w stronę bramy. Pug odwrócił się do Kulgana.

— Chyba Elfy przyjechały. Straż wybiegła im na spotkanie.

— Bardzo dobrze. Skończyliśmy z nauką na dzisiaj. I tak nie ma żadnej siły na świecie, która by cię mogła powstrzymać przed ich obejrzeniem. No, zmykaj już!

Pug wypadł przez drzwi i zbiegł po schodach, skacząc po dwa stopnie. Ostatnie cztery pokonał jednym susem, lądując w pełnym biegu na dolnym podeście. Przemknął przez kuchnię i wybiegł na dwór. Wyskoczył zza zakrętu i spostrzegł Tomasa, który stał na szczycie fury z sianem. Wdrapał się na górę i stanął obok

niego, aby ponad głowami tłumu zaciekawionych mieszkańców zamku lepiej widzieć wjazd gości.

— Już myślałem, że nie przyjdziesz — powiedział Tomas — że zakopiesz się na cały dzień w tych twoich książkach.

— Takiej okazji nie mogłem przepuścić. Przecież to Elfy!

Tomas szturchnął go żartobliwie pod żebra.

— Co, mało ci ekscytujących wydarzeń? Jak na jeden tydzień miałeś ich chyba sporo, prawda?

Pug obrzucił go ponurym spojrzeniem.

— Jeżeli jest ci to obojętne, dlaczego sterczysz na wozie w deszcz?

Tomas nic nie odpowiedział. Zamiast tego wskazał przed siebie.

— Patrz!

Pug odwrócił się. Jeźdźcy w zielonych ubiorach wjeżdżali właśnie przez bramę. Kompania wartownicza stanęła na baczność. Podjechali do głównego wejścia do zamku, gdzie na progu oczekiwał ich Książę. Pug i Tomas patrzyli z rozdziawionymi z zachwytu gębami, bo też i goście dosiadali najwspanialszych białych wierzchowców, jakie widzieli w życiu. Konie nie miały siodeł i uzd. Nie było też widać na nich ani kropelki potu. Czy działo się tak na skutek magii, czy też popołudniowe światło płatało figle, Pug nie potrafił odgadnąć, dość, że ich skóra jakby promieniowała delikatnym blaskiem. Dowódca jechał na wyjątkowo ogromnym wierzchowcu — pełne siedemnaście dłoni w kłębie, długa powiewająca grzywa i ogon jak pióropusz. Na sygnał dany przez jeźdźców konie stanęły dęba w salucie dla gospodarzy. Przez tłum przebiegł stłumiony okrzyk zachwytu.

— Rumaki Elfów — powiedział Tomas przyciszonym głosem.

Były to legendarne wierzchowce. Martin Długi Łuk opowiadał kiedyś chłopcom, że zamieszkiwały one ukryte śródleśne polany niedaleko Elvandaru. Mówiono, że były inteligentne, miały magiczne cechy i że żaden człowiek nie mógł ich dosiąść. Mówiło się także, że jedynie ktoś, w czyich żyłach płynie królewska krew Elfów, mógł im rozkazać, aby poniosły jeźdźca na grzbiecie.

Podbiegli stajenni, aby zająć się końmi. Powstrzymał ich melodyjny głos.

— Nie, nie trzeba.

Słowa te wypowiedział pierwszy jeździec, kobieta, dosiadająca największego rumaka. Zeskoczyła zwinnie, lądując lekko na ziemi. Jednym ruchem zrzuciła z głowy kaptur, spod którego wysypała się grzywa gęstych, rudych włosów. Nawet w ponurym świetle deszczowego popołudnia migotały w nich złociste rozbłyski. Była wysoka. Wzrostem prawie dorównywała Borricowi. Zaczęła wchodzić na schody. Książę ruszył jej na spotkanie.

Borric wyciągnął ręce na przywitanie. Wziął jej dłonie w swoje.

— Witam, moja pani. Czynisz mnie i memu domowi wielki honor i zaszczyt.

Królowa Elfów zabrała głos.

— Bardzo jesteś łaskawy, Książę. — Miała głęboki, zadziwiająco czysty głos. Rozległ się ponad dziedzińcem tak, że wszyscy słyszeli.

Pug poczuł na ramieniu dotyk ręki Tomasa. Zwrócił się w jego stronę. Tomas patrzył w zachwycie.

— Ależ ona piękna.

Pug ponownie skierował uwagę na gościa. Musiał przyznać, że królowa Elfów była rzeczywiście piękna, chociaż może niekoniecznie była to piękność w ludzkim rozumieniu. Ogromne, bladobłękitne i świetliste w szarości popołudnia oczy. Delikatne rysy twarzy. Wystające kości policzkowe i mocno, chociaż po kobiecemu, zarysowana szczęka. Szeroki uśmiech ukazywał błyszczące, białe zęby pomiędzy czerwonymi wargami. Wokół czoła prosta, złota opaska podtrzymująca włosy, co pozwalało dostrzec wygięte ku górze i pozbawione płatków uszy, znamię jej rasy.

Towarzyszący władczyni, odziani w bogate stroje konni zsiedli z koni. Wszyscy byli ubrani w jasne tuniki, a na nogach mieli obcisłe, kontrastujące kolorystycznie, nogawice. Jeden przyodziany był w rdzawobrunatną, inny w bladożółtą bluzę oraz jaskrawozieloną wierzchnią opończę. Część przepasana była purpurowymi szarfami, inni nosili z kolei szkarłatne trykoty. Ubiory były bardzo dobrze skrojone i uszyte, i mimo jaskrawych kolorów eleganckie. Nie miały w sobie nic wyzywającego czy pompatycznego. W sumie Królowej towarzyszyło jedenastu konnych. Podobni do siebie, wysocy i młodzi poruszali się zwinnie i lekko.

Królowa odwróciła się na chwilę od Księcia i powiedziała coś swym melodyjnym głosem. Rumaki pozdrowiły zebranych, stając dęba, a potem przegalopowały koło zadziwionych widzów i wybiegły przez bramę. Książę wprowadził gościa na zamek i po chwili tłum się rozszedł. Tomas i Pug siedzieli w milczeniu, moknąc na deszczu.

Pierwszy odezwał się Tomas.

— Gdybym nawet dożył setki i tak nie zobaczę nigdy innej, która by jej dorównała.

Pug zdumiał się. Jego przyjaciel rzadko kiedy okazywał podobne uczucia. Korciło go przez chwilę, aby zbesztać Tomasa za chłopięce zauroczenie, ale coś w wyrazie twarzy przyjaciela sprawiło, że uznał to za mało stosowne.

— Ruszmy się. Przemokniemy do suchej nitki.

Tomas zszedł za nim z wozu.

— Przebierz się lepiej w coś suchego — poradził Pug — i postaraj się pożyczyć jakiś kaftan.

— Kaftan? Po co?

— Och! Nie powiedziałem ci? — zdziwił się Pug z figlarnym uśmieszkiem. — Książę życzy sobie, abyś uczestniczył w uczcie razem z dworem. Pragnie, abyś opowiedział królowej Elfów, co zobaczyłeś na statku.

Tomas wyglądał przez moment, jakby zaraz miał się załamać nerwowo i zwiać, gdzie pieprz rośnie.

— Ja? Uczta w wielkiej sali? — Pobladł jak płótno. — Mówić? Do Królowej?

Pug wybuchnął gromkim śmiechem.

— Tomas, to bardzo proste. Otwierasz usta, a słowa już same wychodzą.

Tomas zamierzył się na niego sierpowym. Pug uchylił się i złapał przyjaciela od tyłu, kiedy ten, pociągnięty impetem swego ciosu, obrócił się do niego plecami. Chociaż nie był wzrostu Tomasa, miał jednak bardzo silne ręce i z łatwością podniósł wyższego chłopca do góry. Tomas szamotał się na wszystkie strony, próbując się uwolnić. Po chwili obaj śmiali się jak szaleni.

— Pug, postaw mnie na ziemi!

— Nie. Dopóki się nie uspokoisz.

— Już jestem spokojny.

Pug postawił go na ziemi.

— Co cię napadło?

— Byłeś taki pewny i zadowolony z siebie… i zwlekałeś z tą wiadomością aż do ostatniej chwili.

— W porządku. Masz rację. Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej. Ale to nie wszystko, Tomas. Mów, o co chodzi?

Tomas wyglądał jak siedem nieszczęść. O wiele gorzej, niż mógłby to usprawiedliwić padający deszcz.

— Nie wiem, jak się zachować przy stole… jak jeść z ludźmi z wyższych sfer. Obawiam się, że palnę jakieś głupstwo.

— Nie martw się. Po prostu obserwuj mnie i rób dokładnie to samo. Widelec trzymaj w lewym ręku, a krój nożem. Nie pij wody z miseczki, bo służy do obmywania rąk. Pamiętaj, żeby jej często używać, bo palce będziesz miał tłuste od trzymania kości. Aha, i rzucaj kości psom za siebie, a nie do przodu, pod nos Księciu. Nie wycieraj ust rękawem, bo od tego są serwetki… i rób z nich użytek.

Szli w stronę koszar. Pug przez całą drogę instruował przyjaciela o bardziej wyrafinowanych aspektach dworskich manier. Tomas był najwyraźniej pod wrażeniem wiedzy Puga.

* * *

Tomas wyglądał na zbolałego albo chorego. Za każdym razem, kiedy ktoś na niego spojrzał, czuł się winny pogwałcenia najbardziej elementarnych zasad etykiety i wyglądał wtedy, jakby miał się za moment ciężko rozchorować. Ilekroć

z kolei jego wzrok powędrował do głównego stołu i spoczął na królowej Elfów, żołądek skręcał mu się w twarde węzły, a twarz wyrażała ból.

Pug zorganizował wszystko tak, że Tomas siedział koło niego przy jednym z najbardziej oddalonych od Księcia stołów. Pug zwykle siadywał przy stole Borrica koło Księżniczki. Ucieszył się z nadarzającej się okazji, aby nie przebywać w jej pobliżu, ponieważ nadal okazywała mu swoje niezadowolenie. Zazwyczaj gadała jak najęta o tysiącach drobnych ploteczek tak interesujących dla panien dworskich. Poprzedniego wieczoru jednakże niedwuznacznie zignorowała go, skupiając uwagę na zdumionym i najwyraźniej wniebowziętym Rolandzie. Pug nie mógł się nadziwić swej reakcji — uldze pomieszanej ze znaczną dawką irytacji. Chociaż ulżyło mu, że się uwolnił od jej gniewu, z drugiej strony jednak odkrył, że przymilanie się Rolanda irytuje go jak swędzące miejsce, którego nie można dosięgnąć, żeby się podrapać.

Niepokoiła go ostatnio kiepsko skrywana za sztywnymi manierami wrogość Rolanda do niego. Co prawda nigdy nie był z nim tak blisko jak Tomas, ale też nie było między nimi powodu do wrogości. Roland był po prostu jednym z tłumu otaczających go rówieśników. Ilekroć znalazł się w konflikcie ze zwykłymi chłopakami, nie zasłaniał się swoją pozycją i był gotów załatwiać porachunki w sposób, jaki w danej sytuacji był konieczny. Kiedy przybył do Crydee, umiał się już dobrze bić, ale bardzo często różnicę zdań załatwiał pokojowo. Teraz, kiedy powstało między nimi mroczne napięcie, Pug żałował, że nie dorównuje Tomasowi w sztuce walki. Jego przyjaciel był jedynym chłopakiem, którego Roland nie potrafił pokonać w walce na pięści. Ich pierwsze i zarazem ostatnie spotkanie skończyło się dla Rolanda tęgim laniem. Nadciągająca szybko i nieuchronnie konfrontacja z zapalczywym szlachcicem była dla Puga tak pewna jak wschód słońca o poranku. Chociaż obawiał się jej trochę, wiedział jednocześnie, że kiedy to wreszcie nastąpi, poczuje ulgę.

Pug spojrzał na Tomasa pogrążonego w swym własnym, fatalnym samopoczuciu. Zerknął ukradkiem na Carline. Czuł się zdominowany przez Księżniczkę, lecz jej uwodzicielska moc była nieco przytępiona niepokojem, który odczuwał, ilekroć znalazł się w jej pobliżu. Była równie piękna jak wtedy, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Kruczoczarne loki i błękitne oczy rozpalały w nim bardzo niepokojące płomienie wyobraźni. Wizje te były jednakże jakieś puste w środku, bezbarwne. Brakowało im bursztynowo-różowego żaru snów na jawie, kiedy Carline była daleką, nieosiągalną i nieznaną istotą. Obserwowanie jej nawet przez krótki moment, jak przed chwilą, sprawiało, że wyidealizowane rozmyślanie nie było możliwe. Okazywało się, że była postacią zbyt złożoną i skomplikowaną, aby pasować do prostych snów na jawie. Ogólnie rzecz biorąc, problem Księżniczki sprawiał mu kłopot. Jednak w tej chwili, kiedy obserwował ją i Rolanda, zapominał o swym wewnętrznym rozdarciu, a do głosu dochodziły mniej intelektualne, a bardziej przyziemne emocje. Był po prostu zazdrosny.

Pug westchnął. Pokiwał ciężko głową, litując się nad swym własnym losem i ignorując strapienia Tomasa. Przynajmniej nie jestem osamotniony, myślał, obserwując wyraźnie widoczne przygnębienie Rolanda, zlekceważonego przez Carline pogrążoną w rozmowie z księciem Calinem z Elvandaru, synem Aglaranny. Książę wyglądał na rówieśnika Aruthy czy Lyama, chociaż z drugiej strony, to samo można by powiedzieć o jego matce. Królowej nie dałoby się więcej niż dwadzieścia lat. W ogóle wszystkie Elfy, może z wyjątkiem najstarszego doradcy Królowej, Tathara, wyglądały bardzo młodo, a i on sam zdawał się w wieku księcia Borrica.

Po skończonej uczcie większość dworzan oddaliła się. Książę powstał, podał ramię Aglarannie i razem poszli, prowadząc za sobą gości zaproszonych do udziału w rozmowach w wielkiej sali narad.

Po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku dni chłopcy znaleźli się w sali obrad Księcia. Tym razem Pug był bardziej odprężony niż poprzednio, co zawdzięczał po części solidnemu posiłkowi. Tomas odwrotnie, był bardziej niespokojny niż kiedykolwiek. Jeżeli przez całą godzinę poprzedzającą ucztę wpatrywał się w królową Elfów jak w obraz, to teraz, znajdując się tak blisko, patrzył wszędzie, tylko nie w jej stronę. Pugowi zdawało się, że Aglaranna spostrzegła zachowanie Tomasa i uśmiechnęła się lekko, ale mógł się przecież mylić.

Calin i Tathar, dwa Elfy przybyłe razem z Królową, podeszły natychmiast do stolika przy ścianie, na którym stała miseczka i leżały przedmioty zabrane żołnierzowi Tsuranich. Obejrzeli je bardzo dokładnie, zafascynowani każdym drobnym szczegółem.

Książę przywołał zebranych do porządku, rozpoczynając spotkanie. Elfy zajęły miejsca po obu stronach Królowej. Pug i Tomas jak zwykle stali przy drzwiach.

— Zdaliśmy relację z ostatnich wydarzeń i przekazaliśmy wszystkie znane nam fakty. Teraz zobaczyliście na własne oczy dowody rzeczowe. Jeżeli zechcecie i uznacie to za pomocne, chłopcy są gotowi przypomnieć własnymi słowami wydarzenia na statku.

Królowa skłoniła lekko głowę, lecz głos zabrał Tathar.

— Chciałbym usłyszeć relację z pierwszej ręki, Wasza Wysokość.

Borric nakazał gestem, aby chłopcy przybliżyli się. Podeszli zatem do stołu i stanęli przed Tatharem.

— Który z was pierwszy odnalazł człowieka z obcego świata?

Tomas rzucił Pugowi błagalne spojrzenie, aby to on mówił.

— My obaj, razem… panie — odpowiedział Pug nie wiedząc, jak właściwie powinien zwracać się do Elfa. Tathar wydawał się zadowolony z ogólnie przyjętej formy. Pug przypomniał wydarzenia tamtego dnia, starając się niczego nie przeoczyć. Kiedy skończył, Tathar zadał mu całą serię pytań, mobilizując w ten sposób pamięć chłopca, co pozwoliło wydobyć na światło dzienne drobne szczegóły, o których zapomniał w swej relacji.

Gdy Tathar skończył rozmowę, Pug cofnął się na swoje miejsce, a to samo powtórzyło się z Tomasem. Chłopak, najwyraźniej zmieszany, zaczął odpowiadać, zacinając się co chwila. Królowa Elfów, aby dodać mu odwagi, obdarzyła go ciepłym uśmiechem, co przyniosło jedynie taki skutek, że poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Wkrótce odesłali go na miejsce.

Pytania Tathara wydobyły na jaw kolejne drobne i zapomniane przez chłopców szczegóły dotyczące statku: wiadra pożarnicze wypełnione piaskiem, porozrzucane po całym pokładzie, pusty stojak na włócznie, co potwierdziło domniemanie Aruthy, że musiał być to okręt wojenny.

Tathar usiadł wygodniej.

— Nigdy nie słyszeliśmy o istnieniu podobnego statku. Chociaż w wielu szczegółach przypomina inne, ale nie we wszystkich. Tak, przekonaliście nas.

Jakby na skutek jakiegoś bezgłośnego sygnału, Calin zabrał głos.

— Od śmierci mego Króla Ojca jestem komendantem wojennym Elvandaru. Do moich obowiązków należy między innymi nadzorowanie zwiadowców i patroli strzegących bezpieczeństwa naszych puszcz i łąk. Od pewnego czasu donoszą mi o dziwnych zdarzeniach, mających miejsce w wielkiej puszczy, na południe od rzeki Crydee. Moi zwiadowcy już kilka razy natknęli się na ślady ludzkiej obecności w odległych od głównych szlaków częściach lasów. Znajdowali je zarówno w niewielkiej od nas odległości, bo na samej granicy Elvandaru, jak i w odległych rejonach, koło Północnej Przełęczy niedaleko od Kamiennej Góry. Od tygodni starali się wytropić przybyszów, lecz ciągle napotykali tylko ich ślady. Nie przypominały one w niczym tych, które zwykle zostawiają grupy zwiadowcze czy najeźdźcy. Ludzie ci dołożyli wszelkich starań, aby dokładnie zatrzeć ślady swojej obecności i gdyby nie przeszli tak blisko od Elvandaru, ich bytność mogłaby pozostać nie zauważona. Nikt jednak, kto pojawia się w bezpośredniej bliskości naszego domu, nie może być nie zauważony. Kilka dni temu jeden ze zwiadowców natknął się na grupę obcych, przekraczających rzekę niedaleko granicy naszych lasów. Kierowali się w stronę Północnej Przełęczy. Przez pół dnia szedł tropem, lecz potem ich zgubił.

Fannon uniósł brwi w zdziwieniu.

— Tropiciel Elfów zgubił śledzonych?

Calin skłonił nieznacznie głowę.

— Nie przez swój brak umiejętności. Weszli po prostu w gęsty odcinek lasu i nigdy nie pojawili się z drugiej strony. Dotarł po ich śladach aż do miejsca, gdzie po prostu zniknęli.

— Teraz chyba już wiemy, gdzie się udali — powiedział Lyam. Był w posępnym nastroju i jeszcze bardziej niż zwykle przypominał swego ojca.

Calin mówił dalej.

— Na cztery dni przed otrzymaniem od was wiadomości dowodziłem patrolem, który zauważył kolejny oddział niedaleko miejsca, gdzie widziano ich ostat-

nio. Byli raczej niskiego wzrostu i silnie zbudowani. Nie mieli bród. Jedni mieli jasne włosy, inni ciemne. Oddział składał się z dziesięciu ludzi. Posuwali się przez las bardzo ostrożnie i najmniejszy dźwięk stawiał ich na baczność. Mimo podjętych środków, nie zdawali sobie sprawy, że są śledzeni. Wszyscy nosili zbroje w jasnych kolorach, czerwone i niebieskie. Niektórzy mieli zielone pancerze, a jeszcze inni żółte, z wyjątkiem jednego, który był ubrany w długą, czarną szatę. Wszyscy też byli uzbrojeni w takie miecze, jak ten leżący na stole, albo podobne, lecz bez nacięć, oraz inną broń: okrągłe tarcze i dziwaczne łuki, krótkie i wyprofilowane w niezwykły sposób, jakby podwójnie wygięte.

Algon pochylił się gwałtownie do przodu na krześle.

— To były łuki refleksyjne, jak te, których używa lekka konnica w Keshu.

Calin rozłożył ręce.

— Kesh już dawno temu zniknął z tych ziem, a w czasach, kiedy mieliśmy kontakt z Imperium, używali jeszcze prostych łuków z jesionu albo cisu…

Rozgorączkowany Algon przerwał mu w połowie zdania.

— Odkryli jakiś sposób. To ich tajemnica. Wykonują te łuki z drewna i rogów zwierzęcych. Nie są duże, ale posiadają wielką siłę, chociaż nie taką, jak prawdziwy długi łuk bojowy. Ich zasięg jest zadziwiająco…

Borric chrząknął znacząco nie chcąc, aby Koniuszy zagłębiał się teraz w pochłaniający go całkowicie temat uzbrojenia.

— Czy Wasza Wysokość zechciałby kontynuować?

Algon wyprostował się i oblał szkarłatnym rumieńcem.

Calin mówił dalej:

— Śledziłem ich przez dwa dni. Zatrzymali się na noc, nie rozpalając ognisk, i bardzo zadbali, aby nie pozostał najmniejszy ślad ich przejścia. Wszystkie resztki jedzenia i ekskrementy zostały zebrane do jednego worka, który potem niósł jeden z nich. Posuwali się z wielką ostrożnością, ale śledziliśmy ich bez trudu.

Kiedy doszli do skraju lasu niedaleko wylotu Północnej Przełęczy, tak jak kilka razy wcześniej w czasie swojej wędrówki, rysowali znaki na pergaminie. Potem ten w czerni uruchomił jakieś urządzenie i zniknęli.

Pośród towarzyszy Księcia nastąpiło poruszenie. Szczególnie wzburzony był Kulgan.

Calin przerwał na chwilę.

— Jednak najdziwniejszy ze wszystkiego był ich język. Posługiwali się mową, której żaden z nas nigdy nie słyszał. Co prawda porozumiewali się przyciszonymi głosami, ale dobrze ich słyszeliśmy. Nikt nie zrozumiał ani słowa.

Zabrała głos Królowa.

— Kiedy wieści te dotarły do mnie, bardzo się zaniepokoiłam. Najwyraźniej obcy z innego świata poruszają się swobodnie po wielkiej puszczy, wzgórzach Gór Kamiennych, a teraz i po wybrzeżu Królestwa, sporządzając mapę Zachodu. Kiedy mieliśmy wysłać wiadomość do was, pojawiło się coraz więcej raportów

o ukazywaniu się obcych. Widziano kilka kolejnych oddziałów w okolicach Północnej Przełęczy.

Arutha pochylił się do przodu i oparł rękami o stół.

— Jeżeli przekroczą Przełęcz, odkryją drogę do Yabon i Wolnych Miast. W górach wkrótce spadnie śnieg i mogą się domyślić, że w czasie zimy będziemy właściwie odcięci od wszelkiej pomocy!

Stoicki spokój opuścił na chwilę Księcia i na jego twarzy zagościł strach. Opanował się i zwrócił do zebranych:

— Jest przecież Południowa Przełęcz, może nie dotarli ze swoimi mapami tak daleko. Gdyby zapuścili się w tamten rejon, Krasnoludy z pewnością odkryłyby ich obecność. Wioski Szarych Wież są bardziej rozproszone niż w Kamiennej Górze.

— Książę — powiedziała Aglaranna — gdybym nie uważała sytuacji za krytyczną, nigdy bym nie opuściła granic Elvandaru. Jeżeli, jak wynika z waszej relacji, obce Imperium jest tak potężne, to obawiam się o bezpieczeństwo wszystkich wolnych ludów Zachodu. Chociaż my. Elfy, nie pałamy wielką miłością do Królestwa, to jednak wy, mieszkańcy Crydee, cieszycie się naszym szacunkiem. Zawsze byliście prawi i nigdy nie usiłowaliście rozciągnąć swego panowania na nasze ziemie. Jeżeli się okaże, że rzeczywiście obcy szykują się do podboju, połączymy nasze siły z waszymi.

Borric siedział przez chwilę pogrążony w myślach.

— Chciałbym podziękować ci, pani Elvandaru, za ofiarowanie pomocy ze strony narodu Elfów na wypadek wybuchu wojny. Pozostajemy również twoimi dłużnikami za udzielone rady. Teraz możemy działać. Gdybyśmy nie dowiedzieli się o wydarzeniach w głębi waszych puszcz, z pewnością dalibyśmy obcym więcej czasu, aby w spokoju mogli snuć swoje niecne plany.

Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiając się nad następnymi słowami.

— Jestem przekonany, że Tsurani nie życzą nam dobrze. Mogę jeszcze zrozumieć wysyłanie zwiadowców w obcy i nieznany teren, choćby dla zdobycia wiedzy o charakterze i naturze jego mieszkańców, jednak intensywne opracowywanie map przez wojowników może w praktyce oznaczać tylko jedno — przygotowanie do inwazji.

— I najprawdopodobniej przybędą w wielkiej liczbie — powiedział Kulgan znużonym głosem.

Tully pokręcił głową.

— Niekoniecznie.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

— Nie byłbym wcale taki pewien. Jak wiecie, znaczna część informacji, które uzyskałem, wchodząc w umysł Xomicha, była bardzo chaotyczna. W Imperium Tsuranuanni jest jednak coś, co czyni je zupełnie niepodobnym do narodów, które znamy. W ich podejściu do zagadnień obowiązku i przymierzy jest coś zupełnie

obcego. Co prawda nie potrafię w tej chwili tego uzasadnić, ale podejrzewam, że najpierw mogą chcieć nas sprawdzić, posługując się jedynie niewielką częścią swoich sił. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że swoją główną uwagę kierują zupełnie gdzie indziej, a my to tylko… jakby… refleksja.

Pokręcił głową, zdając sobie sprawę, jak niekonkretnie i dziwnie to zabrzmiało.

— Mam po prostu takie przeczucie, nic więcej.

Książę wyprostował się. W jego wypowiedzi zabrzmiał rozkazujący ton.

— Pora działać. Wyślę natychmiast wiadomości do księcia Brucala z Yabonu i ponownie do Kamiennej Góry i Szarych Wież.

— Dobrze by też było dowiedzieć się, czy i co wie o tej sprawie naród Krasnoludów — wtrąciła Aglaranna.

— Czekam na wieści. Powinny nadejść lada chwila. Właściwie już powinny być… Ani posłańcy, ani gołębie, z którymi pojechali, jeszcze nie wrócili.

— Może jastrzębie…? — zasugerował Lyam. — Na gołębiach nie zawsze można polegać. A może naszym wysłańcom nie udało się dotrzeć do Krasnoludów?

Borric zwrócił się do Calina.

— Od oblężenia Carse minęło już czterdzieści lat i od tego czasu mamy z nimi jedynie sporadyczne kontakty. Kto jest teraz wodzem klanu Krasnoludów?

— Tak jak i wtedy — odpowiedział książę Elfów. — Kamienna Góra jest pod sztandarem Harthorna, z rodu Hogara, we wsi Delmoria. Ci z Szarych Wież skupiają się pod sztandarem Dolgana, z linii Tholina w Caldara.

— Znam obu. Chociaż wtedy, kiedy uwolnili Carse oblegane przez Mroczne Bractwo, byłem jeszcze małym chłopcem. Potrafią być bardzo walecznym sprzymierzeńcem w potrzebie.

— A co z Wolnymi Miastami i księciem z Krondoru? — spytał Arutha.

— Muszę to jeszcze przemyśleć. Dochodzą mnie wieści, że na wschodzie też są problemy. Zastanowię się dziś wieczorem.

Książę powstał.

— Dziękuję wszystkim za radę. Powróćcie teraz do waszych komnat, aby posilić się i wypocząć. Chciałbym też was prosić, abyście zastanowili się, jaką należałoby przyjąć strategię, jeżeli obcy zaatakują. Spotkamy się ponownie jutro.

Królowa Elfów wstała. Książę podał jej ramię i poprowadził w stronę drzwi otwartych przez Tomasa i Puga. Chłopcy wyszli ostatni. Fannon od razu zabrał Tomasa do koszar. Kulgan czekał na Puga przy wyjściu razem z Tullym i dwoma doradcami Elfów.

Mag zwrócił się do ucznia.

— Pug, książę Calin wyraził zainteresowanie twoją skromną biblioteką ksiąg magicznych. Czy nie zechciałbyś mu jej pokazać?

Pug zgodził się i poprowadził Księcia schodami na górę do swego pokoju. Otworzył przed nim drzwi. Calin wszedł, a Pug za nim. Fantus spał i teraz poderwał się gwałtownie. Obrzucił Elfa nieufnym spojrzeniem.

Calin podszedł do niego i w języku, którego Pug nie zrozumiał, wypowiedział kilka miękko brzmiących stów. Fantus uspokoił się od razu. Wyciągnął do przodu szyję i pozwolił Księciu podrapać się po głowie.

Po chwili smok spojrzał wyczekująco na Puga.

— Zgadza się, Fantus, uczta zakończona. W kuchni będzie pełno resztek.

Fantus, z wilczym uśmiechem na pysku, poczłapał w stronę okna. Pchnął nosem połówki okiennic i z głośnym klaśnięciem skrzydeł wyleciał na zewnątrz, szybując lotem nurkowym w stronę kuchni.

Pug podsunął stołek i zaproponował, aby Książę usiadł.

— Dziękuję ci, ale dla mojej rasy wasze krzesła i stołki nie są zbyt wygodne. Jeżeli pozwolisz, usiądę raczej po prostu na podłodze. Masz bardzo niezwykłego domownika, panie.

Uśmiechnął się do niego lekko. Pug, goszcząc w swoich skromnych progach księcia Elfów, czuł się trochę nieswojo. Elf jednak zachowywał się swobodnie i chłopiec stopniowo odprężał się.

— Fantus to bardziej stały gość niż domownik. Chadza własnymi ścieżkami. Co jakiś czas znika na parę tygodni. To u niego normalne. Przeważnie jednak mieszka tutaj. Teraz, kiedy nie ma Meechama, nie wolno mu jeść w kuchni.

Calin zapytał, kim jest Meecham. Pug wyjaśnił i dodał:

— Kulgan wysłał go razem z oddziałem żołnierzy Księcia przez góry do Bordon, zanim śniegi zasypią Północną Przełęcz. Nie mówił, po co tam jedzie Wasza Wysokość.

Calin spojrzał na jedną z książek Puga.

— Wolałbym Pug, abyś do mnie mówił: Calin.

Pug, zadowolony z propozycji, kiwnął głową.

— Calin, jakie są plany Księcia?

Elf uśmiechnął się do niego tajemniczo.

— Książę sam je wyjawi, jak sądzę. Domyślam się jednak, że Meecham przygotowuje drogę, gdyby Książę zdecydował się na podróż na wschód. Najpewniej jutro dowiemy się wszystkiego. — Podniósł wyżej książkę, której przyglądał się przed chwilą. — Co o niej sądzisz? Interesująca?

Pug nachylił się nad nim i przeczytał tytuł:

— „Traktat o Animacji Przedmiotów" Dorcasa? Ogólnie tak, chociaż miejscami trochę niejasna.

— Trafny osąd. Sam Dorcas był też trochę jakby mglisty… Przynajmniej ja odniosłem takie wrażenie.

— Ale przecież Dorcas zmarł trzydzieści lat temu! — wykrzyknął zaskoczony Pug.

Calin uśmiechnął się szeroko, pokazując równe, białe zęby. Jego blade oczy lśniły w świetle lampy.

— Jak widzę, nie za wiele wiesz o tradycji i wiedzy Elfów, prawda?

— Mało — zgodził się Pug. — Jesteś pierwszym Elfem, z którym rozmawiam, chociaż… kiedy byłem mały, widziałem kiedyś jednego. Chyba. Nie jestem pewien.

Calin odłożył książkę na bok.

— Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Martin Długi Łuk, że potraficie jakoś rozmawiać ze zwierzętami i niektórymi duchami, że mieszkacie w Elvandarze i przyległych puszczach należących do Elfów oraz że przeważnie trzymacie się razem.

Calin zaśmiał się miękko i melodyjnie.

— Prawie wszystko się zgadza. Znając mojego przyjaciela Martina, założę się, że niektóre z tych opowieści były bardzo barwne. Chociaż wiem, że nie zwodzi naumyślnie ludzi, ma on takie samo poczucie humoru jak Elfy.

Z wyrazu twarzy Puga zorientował się, że chłopiec nie zrozumiał, o czym mówi.

— Według ludzkiej miary Elfy żyją bardzo długo. Nauczyliśmy się cenić humor w świecie. Często znajdujemy powody do śmiechu w sytuacjach, w których człowiek jest daleki od tego. Jak chcesz, możesz to nazwać innym sposobem patrzenia na życie. Martin, jak mi się zdaje, nauczył się tego od nas.

Pug pokiwał głową ze zrozumieniem.

— „Kpiący i szyderczy wzrok…”

Calin uniósł brwi w niemym pytaniu i Pug pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Dla wielu towarzystwo Martina jest trudne do zniesienia. Jest jakiś inny. Słyszałem kiedyś, jak pewien żołnierz powiedział o nim, że ma kpiące oczy albo szyderczy wzrok.

Calin westchnął.

— Martin nie miał łatwego życia. Został sam jak palec, jeszcze kiedy był bardzo mały. Zakonnicy z Silban to wspaniali ludzie, ale nie bardzo nadają się do wychowywania małego chłopaka. Kiedy udało mu się zwiać wychowawcom, mieszkał w lasach jak dzikie zwierzę. Znalazłem go, jak się tłukł z naszymi dzieciakami, nie różnimy się, jak widzisz, w tym wieku od ludzi. W ciągu tych lat Martin stał się jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy mogą przychodzić do Elvandaru, kiedy tylko zechcą. Bardzo sobie cenimy jego przyjaźń. Wydaje mi się, że dźwiga on na barkach jakiś wielki ciężar. Może ciężar samotności? Martin nie żyje w pełni ani w świecie ludzi, ani Elfów. Trochę tu, trochę tam.

Pug ujrzał nagle Martina w innym świetle i postanowił poznać łowczego lepiej. Powracając do głównego tematu rozmowy, zapytał:

— Czy to, co opowiadał, jest prawdą?

Calin kiwnął głową.

— W pewnym sensie. Możemy mówić do zwierząt, aby je uspokoić, tak samo jak ludzie, posługując się brzmieniem głosu. Chociaż wychodzi nam to o wiele lepiej niż większości z was, bo umiemy lepiej odczytać nastroje dzikiej zwierzyny. Martin po części opanował tę sztukę. Nieprawdą jest natomiast, że porozumiewamy się z duchami. Znamy co prawda stworzenia, które ludzie zwykli uważać za duchy, takie jak driady, skrzaty czy chochliki, ale to przecież zupełnie zwykłe istoty zamieszkujące w sąsiedztwie naszej magii.

Odpowiedź pobudziła ciekawość Puga.

— Waszej magii?

— Nasza magia stanowi część naszego bytu. W Elvandarze jest ona najsilniejsza. To spuścizna wieków, która pozwala nam żyć w pokoju w głębi naszych puszcz. Pracujemy jak inni polując, uprawiając ogrody, świętując, wychowując młode pokolenia. Czas płynie nam powoli, ponieważ Elvandar jest ponadczasowy. I dlatego właśnie pamiętam swoją rozmowę z Dorcasem, Pug, mimo młodego wyglądu mam ponad sto lat.

— Sto… — Pug pokręcił z niedowierzaniem głową. — Biedny Tomas. Zmartwił się strasznie, kiedy usłyszał, że jesteś synem Królowej, a to… to załamie go ostatecznie.

Calin przechylił lekko głowę. Przez jego usta przemknął półuśmieszek.

— To ten młodzieniec, który towarzyszył nam w sali obrad?

Pug przytaknął. Calin mówił dalej.

— Nie pierwszy raz moja Królowa Matka wywiera podobny wpływ na człowieka, chociaż oczywiście starszym łatwiej przychodzi zamaskowanie uczuć.

— Nie masz nic przeciwko temu? — spytał Pug, bo czuł się odpowiedzialny za przyjaciela.

— Ależ nie, Pug. Oczywiście, że nie. Cały Elvandar kocha Królową. Jej uroda jest powszechnie uznawana za niedościgłą. Nie dziwi mnie wcale, że twój przyjaciel zakochał się po uszy. Niejeden śmiałek z twojej rasy ubiegał się po śmierci Króla Ojca o rękę Aglaranny. Okres żałoby dobiega już końca i będzie mogła pojąć za męża kogoś innego, jeżeli tylko zechce. Mało prawdopodobne, aby wybrała człowieka, chociaż zdarzały się już takie małżeństwa, ale jak mówię, były to bardzo nieliczne przypadki. Dla twoich pobratymców, Pug, kończyły się zwykle bardzo smutno. Jeśli bogowie pozwolą, jej życie będzie wielokrotnie dłuższe niż ludzkie.

Calin rozejrzał się po pokoju i dodał:

— Najpewniej nasz przyjaciel Tomas wyrośnie ze swego uczucia do wielkiej pani Elvandaru. Tak jak i twoja Księżniczka, jak sądzę, odmieni swoje w stosunku do ciebie.

Pug poczuł się zażenowany. Ciekaw był bardzo, o czym Carline i książę Elfów rozmawiali podczas uczty, ale nie wypadało mu pytać.

— Zauważyłem, że dużo z nią rozmawiałeś.

— Tak, i po tym, jak usłyszałem, że jednym ruchem ręki uśmierciłeś całe tuziny trolli, oczekiwałem, że ujrzę herosa ogromnego wzrostu z błyskawicami tańczącymi wokół ramion.

Pug poczerwieniał.

— Tylko dwa i właściwie przez przypadek.

Calin uniósł brwi.

— Nawet dwa to duże osiągniecie, Pug. Słusznie, jak widać, podejrzewałem, że Księżniczka puściła wodze fantazji. Chciałbym usłyszeć, jak było naprawdę.

Pug opowiedział o pamiętnym zdarzeniu. Kiedy skończył, Calin rzekł:

— Pug, to bardzo niezwykła opowieść. Niewiele wiem o ludzkiej magii, ale wystarczająco dużo, aby potwierdzić słowa Kulgana, że to, czego dokonałeś, było naprawdę przedziwne. Magia Elfów w sposób zasadniczy różni się od waszej, lecz my rozumiemy ją o wiele lepiej i głębiej niż ludzie swoją. Co prawda nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku, ale jedno mogę ci powiedzieć: czasami, w chwili ogromnej potrzeby, można, posługując się wewnętrznym głosem, wydobyć na powierzchnię uśpione głęboko w nas moce.

— To samo pomyślałem — powiedział Pug. — Chociaż z drugiej strony, dobrze byłoby zrozumieć lepiej mechanizm tego, co zaszło.

— To może przyjść z czasem, Pug.

Pug spojrzał na swego gościa i westchnął głęboko.

— Chciałbym także móc zrozumieć Carline.

Calin wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Któż może pojąć myśli innego człowieka? Wydaje mi się, że jeszcze przez jakiś czas będziesz obiektem jej zainteresowania. Być może później ktoś inny zajmie twoje miejsce. Któż to wie? Może młody szlachcic Roland? Wydaje się, że został przez nią zakuty w kajdany.

— Roland?! Ten…? Utrapienie! — prychnął pogardliwie Pug.

Calin uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Zależy ci na Księżniczce?

Pug wzniósł oczy w górę, jakby szukał pomocy w wyższych sferach.

— Bardzo ją lubię — powiedział z głębokim westchnieniem. — Ale nie jestem pewien, czy zależy mi na niej w ten jeden, szczególny sposób. Czasem wydaje mi się, że tak… na przykład, kiedy widzę, jak Roland przymila się do niej, ale potem… chyba nie. Carline sprawia, że nie potrafię myśleć jasno i niemal zawsze, ilekroć otworzę do niej usta, powiem coś niewłaściwego.

— Odwrotnie niż Roland, co? — podsunął Calin.

Pug przytaknął kiwnięciem głowy.

— On jakby się urodził na dworze i dobrze wie, kiedy, co i jak powiedzieć. — Pug oparł się na łokciach i westchnął tęsknie. — Złości mnie ten Roland. Nie tylko dlatego, że jestem zazdrosny… ale w ogóle. Sprawia, że czuję się przy nim jak…

jakiś źle wychowany gbur, grubo ociosany kloc z ciężkimi kamieniami zamiast rąk i drewnianymi klocami zamiast stóp.

Calin pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Nie uważam się za eksperta obeznanego ze wszystkimi ludzkimi zwyczajami, ale spędziłem z twoją rasą, Pug, wystarczająco dużo czasu, aby wiedzieć, że od twojego wyboru zależy to, jak się czujesz. Roland sprawia, że czujesz się niezdarny, bo mu na to pozwalasz. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że młody Roland mógłby się czuć identycznie jak ty, gdyby zamieniono was miejscami. Słabości i przywary, które widzimy u innych, nigdy nie wydają się tak straszne jak te, które spostrzegamy w nas samych. Roland mógłby ci na przykład zazdrościć twojego bezpośredniego sposobu wyrażania myśli i uczciwości. W każdym razie cokolwiek ty czy Roland zrobicie, będzie miało znikomy wpływ na Księżniczkę, dopóki będzie pragnąć, aby wszystko działo się po jej myśli. Uczyniła z ciebie jakąś nierealną, romantyczną postać. Podobnie zresztą, jak twój przyjaciel zrobił z naszą Królową. Musiałbyś się nagle stać beznadziejnym gburem, żeby mogła otrząsnąć się z tego wyobrażenia o tobie. Trzeba czekać, aż sama będzie gotowa. Wszystko wskazuje, że teraz upatrzyła sobie ciebie na przyszłego współmałżonka.

Pug siedział przez moment z otwartymi ustami.

— Współmałżonka…?

Calin uśmiechnął się.

— Młodzi często nadmiernie przejmują się dziś sprawami, które przyjdzie im załatwiać dopiero za kilka lat. Podejrzewam, Pug, że jej determinacja w tej sprawie wynika zarówno z twojego do niej dystansu, jak i z tego, że naprawdę ceni cię wysoko. Carline, jak wszystkie dzieciaki, chce po prostu mieć to, czego mieć nie może. — Na koniec dodał przyjacielskim tonem: — Czas sam rozwiąże te problemy, Pug.

Pug zaniepokoił się. Pochylił do przodu i powiedział:

— A niech to! Niezły bigos. Połowa chłopaków kocha się w Księżniczce na zabój. Gdyby tylko sobie zdali sprawę, jak przerażająca może być rzeczywistość… — Zamknął na chwilę oczy, zaciskając mocno powieki. — Głowa mnie boli. Wydawało mi się, że ona i Roland…

— Mogła się nim posłużyć jedynie jako narzędziem, które miało pobudzić twoje zainteresowanie — przerwał mu Calin. — Szkoda tylko, że przez to zrodziła się między wami nienawiść.

Pug pokiwał z namysłem głową.

— No właśnie. Tak w ogóle to Roland jest w porządku. Od dawna byliśmy kumplami, ale od kiedy zostałem wyniesiony w wyższe sfery, stał się otwarcie wrogi. Starałem się tego nie zauważać, ale powoli zaczyna mi załazić za skórę. Może powinienem z nim pogadać? Sam już nie wiem.

— To roztropne posunięcie. Ale nie bądź zdziwiony, jeżeli nie będzie wrażliwy na twoje słowa. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że jest nią oczarowany.

Już za długo o tym mówili i Puga coraz bardziej bolała głowa. Wzmianka o oczarowaniu sprawiła, że zapytał:

— Opowiesz mi coś więcej o magii Elfów?

— Nasza magia, Pug, jest bardzo stara. Stanowi cząstkę tego, czym jesteśmy i w czym tworzymy. Na przykład buty Elfów mogą sprawić, że nawet idącego w nich człowieka nie będzie w ogóle słychać. Nasze łuki łatwiej trafiają w cel, bo taka jest natura naszej magii. Stanowi część nas samych. Naszych puszcz, przedmiotów, które wytwarzamy. Można nią czasem pokierować, ale bardzo, bardzo delikatnie i mogą to uczynić jedynie ci, którzy w pełni ją rozumieją… czarodzieje. Na przykład Tathar. Nie przychodzi to łatwo, bo nasza magia opiera się wszelkiej manipulacji. Najbardziej przypomina powietrze. Zawsze jest wokół ciebie, a jednak jej nie dostrzegasz. I podobnie jak powietrze, którego obecność wyraźnie odczuwasz, kiedy zawieje wiatr, posiada swoją treść, namacalną rzeczywistość. Ludzie mówią o naszych puszczach, że są zaczarowane. Elfy żyją w nich już tak długo, że magia zdążyła przydać Elvandarowi tajemniczości. Wszyscy, którzy go zamieszkują, żyją w pokoju i nikt nie proszony nie może wejść w jego granice. Chyba że włada wielką sztuką. Nawet najbardziej odległe granice puszcz Elfów sprawiają, że ci, którzy przekraczają je w złych zamiarach, czują się nieswojo i niepewnie. Nie zawsze jednak tak było. W dawnych wiekach dzieliliśmy naszą ziemię pospołu z moredhelami, których obecnie nazywacie Bractwem Mrocznego Szlaku. Po wielkim przełomie, kiedy to przepędziliśmy ich z naszych lasów, Elvandar zaczął się stopniowo przemieniać i stawać coraz bardziej naszym miejscem, naszym domem, istotą nas samych.

— Czy Bracia Mrocznego Szlaku są naprawdę spokrewnieni z Elfami?

Calin spochmurniał. Milczał przez dłuższy czas.

— Staramy się o tym nie mówić, bo jest wiele rzeczy, o których chcielibyśmy myśleć, że nie są prawdziwe. Jedno mogę ci powiedzieć, pomiędzy moredhelami, zwanymi przez was Bractwem, a moim narodem istnieje rzeczywiście więź, chociaż sięga ona zamierzchłych czasów i od dawna już jest bardzo osłabiona. Żałujemy, że tak jest, ale rzeczywiście są oni naszymi kuzynami. Co jakiś czas… co jakiś bardzo długi czas ten i ów powraca do nas. Nazywamy to Powrotem. — Temat najwyraźniej sprawiał mu wielki ból.

— Calin, przepraszam, jeżeli…

Calin ruchem dłoni oddalił przeprosiny chłopca.

— Student nigdy nie powinien przepraszać za swoją ciekawość, Pug, ale rzeczywiście nie chciałbym już o tym więcej rozmawiać.

Przegadali potem wiele godzin aż do późnej nocy. Pug był zafascynowany księciem Elfów, a jednocześnie pochlebiało mu, że wiele z tego, co sam mówił, naprawdę interesowało Calina.

W końcu Calin rzekł:

— No, pora spać. Chociaż zwykle niewiele mi trzeba odpoczynku, teraz jestem już zmęczony. Ty chyba też?

Chłopiec wstał.

— Dziękuję, że opowiedziałeś mi tak wiele… — a po chwili, lekko zażenowany, dorzucił — i że powiedziałeś mi o Księżniczce.

— Ta rozmowa była ci potrzebna.

Pug zaprowadził Calina do długiego korytarza, a czekający tam sługa wskazał Księciu jego pokoje. Pug wrócił do siebie i położył się. Dołączył do niego przemoknięty i prychający z oburzenia, że musiał lecieć w deszczu, Fantus. Smok wkrótce zasnął. Pug długo jeszcze leżał wpatrzony w tańczące po suficie migotliwe rozbłyski żarzących się węgli. Próbował ze wszystkich sił wyrzucić z wyobraźni opowieści o obcych wojownikach, jednak obrazy jaskrawo odzianych wojów skradających się przez puszcze ziem zachodnich sprawiały, że sen długo nie nadchodził.

* * *

Następny ranek zastał wszystkich mieszkańców zamku Crydee w poważnym nastroju. Plotkująca jak zwykle służba rozniosła wieści o Tsuranich, chociaż nie były one dokładne. Niby każdy zajmował się swoimi sprawami, ale jedno ucho miał szeroko otwarte na co smakowitsze kąski spekulacji co do planów Księcia. Wszyscy byli zgodni co do jednego — Borric conDoin, książę Crydee nie należał do tych, co czekają bezczynnie z założonymi rękami. Coś musiało się wkrótce wydarzyć.

Pug siedział na stercie siana, przyglądając się Tomasowi ćwiczącemu walkę mieczem. Chłopak siekł zaciekle ćwiczebny słupek, ciął to z przodu, to z tyłu. I znowu. I jeszcze raz. Widać jednak było, że robił to bez przekonania. W końcu cisnął z obrzydzeniem miecz na ziemię.

— Nic mi dzisiaj nie wychodzi.

Podszedł i usiadł koło Puga.

— Ciekawe, o czym oni rozmawiają?

Pug wzruszył ramionami. „Oni” odnosiło się do członków rady książęcej. Dzisiaj nie poproszono już chłopców o uczestnictwo w spotkaniu. Ostatnie cztery godziny wlokły się niemiłosiernie długo.

Dziedziniec zapełnił się nagle służbą biegnącą w kierunku głównego wejścia.

— Chodź — powiedział Tomas.

Pug błyskawicznie ześlizgnął się z siana i pobiegł za przyjacielem.

Wypadli zza rogu akurat w chwili, kiedy straże zajmowały swoje posterunki. Było chłodniej niż wczoraj, ale nie padało. Chłopcy wdrapali się na ten sam wóz. Tomas trząsł się z zimna.

— Śniegi w tym roku przyjdą wcześniej. Może już jutro?

— Jeżeli tak, to będzie to najwcześniejszy śnieg, jaki pamiętam. Powinieneś założyć ciepłą kurtę. Spociłeś się cały w czasie ćwiczeń. Tylko patrzeć, jak cię zawieje…

Tomas spojrzał na niego z wyrzutem.

— O bogowie! Gadasz zupełnie jak moja matka.

Pug zaczął udawać, że jest strasznie zdenerwowany. Wysokim i nosowym głosem zaczął wykrzykiwać:

— I nie przylatuj do mnie po pociechę, kiedy zsiniejesz z zimna, kiedy będziesz kaszlał i kichał, bo jej u mnie nie znajdziesz, Tomasie, synu Megara.

Tomas roześmiał się od ucha do ucha.

— Wypisz, wymaluj moja matka.

Usłyszeli skrzyp otwieranych wielkich podwoi zamkowych. Zwrócili się w tamtą stronę. Książę i królowa Elfów szli na czele orszaku wychodzącego z głównego zamku. Książę w pożegnalnym przyjacielskim geście trzymał dłoń Królowej. Po chwili Aglaranna przyłożyła dłonie do ust i melodyjnym głosem wypowiedziała kilka słów. Mimo że uczyniła to dosyć cicho, poniosły się ponad wrzawą tłumu. Wśród zebranych na dziedzińcu zapadła natychmiast cisza. Po chwili zza murów obronnych doszedł do ich uszu tętent kopyt końskich.

Dwanaście białych rumaków przegalopowało przez główną bramę i stanęło dęba przed królową Elfów, witając swoją panią. Elfy szybko dosiadły koni, wskakując zwinnie, bez niczyjej pomocy na ich grzbiety. Wzniosły ręce, pozdrawiając Księcia, zawróciły w miejscu wierzchowce i galopem wypadły z zamku.

Tłum nie rozchodził się jeszcze przez kilka minut po ich wyjeździe, jakby nie chcąc dopuścić do siebie myśli, że prawdopodobnie wielu z nich widziało Elfy po raz ostatni w życiu. Powoli, z ociąganiem zaczęli się w końcu udawać do swojej pracy.

Tomas stał wpatrzony w pustą przestrzeń za bramą. Pug popatrzył na niego.

— Co ci jest?

— Chciałbym kiedyś ujrzeć Elvandar — odpowiedział cicho Tomas.

Pug rozumiał przyjaciela.

— Może kiedyś zobaczysz — powiedział, a po chwili dorzucił beztrosko — ale wątpię, bo ja będę magiem, a ty żołnierzem, Królowa zaś będzie władała Elvandarem jeszcze długo, długo po naszej śmierci.

Rozbawiony Tomas wskoczył Pugowi na plecy. Opasał ramionami i przewrócił na siano.

— Och? Czyżby? No to poczekaj tylko. Któregoś dnia na pewno pojadę do Elvandaru. — Przygniótł Puga ciężarem swego ciała i usiadł mu na klatce pier-

siowej. — A kiedy już tam pojadę, będę wielkim bohaterem uwieńczonym chwałą wielu zwycięstw nad Tsurani. Powita mnie jako honorowego gościa. No, i co ty na to?

Pug wybuchnął śmiechem. Próbował zepchnąć z siebie przyjaciela.

— A ja będę największym magiem tych ziem.

Obaj się roześmiali. Przez wrzawę zabawy usłyszeli nagle czyjś głos.

— Pug! A, tu jesteś!

Tomas zeskoczył z niego i Pug usiadł. Zbliżał się do nich barczysty kowal Gardell. Potężnie zbudowany, miał klatkę piersiową jak beczka, był prawie łysy, ale za to miał gęstą, czarną brodę. Ramiona miał okopcone sadzą i dymem i był opasany przepalonym na wylot w wielu miejscach, skórzanym fartuchem. Podszedł do wozu i podparł się pięściami pod boki.

— Wszędzie cię szukam. Mam ten okap do twojego garnka na węgle, o który prosił Kulgan.

Pug zlazł z wozu, a za nim uczynił to Tomas. Poszli za Gardellem do kuźni z tyłu, za głównym zamkiem. Barczysty kowal odwrócił się przez ramię.

— Cholernie sprytny pomysł z tym okapem. Pracuję przy palenisku przez trzydzieści lat z okładem i ani mi do głowy nie przyszło, żeby użyć okapu do garnka z żarem. Jak tylko Kulgan powiedział mi o tym planie, od razu żem się zabrał do roboty.

Weszli do kuźni, która była dużą szopą z dwoma paleniskami, dużym i małym, i kilkoma różnych rozmiarów kowadłami. Dookoła walały się stosy wszelakiego, czekającego na naprawę, żelastwa: zbroje, metalowe części strzemion i różne sprzęty kuchenne. Gardell podszedł do dużego paleniska i podniósł okap. Był to metalowy stożek o mniej więcej metrowej średnicy i takiej samej wysokości. U jego szczytu była dziura. Obok leżały kawałki rur o wyjątkowo cienkich ścianach.

Gardell uniósł do góry swoje dzieło, aby mogli się przypatrzyć.

— Blacha jest stosunkowo cienka, ale żeby była jeszcze lżejsza, użyłem dużo cyny. Gdyby okap był zbyt ciężki, mógłby się zawalić.

Stopą wskazał kilka metalowych prętów.

— Wybijemy w podłodze kilka małych dziur na te podtrzymujące całość pręty. Dopasowanie i zamocowanie całej konstrukcji może nam zająć małą chwilkę, ale myślę sobie, że powinno działać.

Pug uśmiechnął się szeroko. Jego pomysł przybierający teraz konkretne kształty sprawiał mu ogromną satysfakcję. Było to dla niego uczucie nowe i bardzo miłe.

— Kiedy możemy to zamontować?

— Jeśli chcesz, nawet zaraz. Muszę przyznać, że sam jestem ciekaw, jak to będzie działało.

Pug wziął naręcze rurek, Tomas pręty i resztę. Walcząc po drodze z niewygodnym ciężarem, ruszyli w stronę wieży maga, a chichoczący radośnie kowal podążył za nimi.

* * *

Kulgan pogrążony w myślach wchodził wolno po schodach do swojego pokoju. Nagle gdzieś ponad głową usłyszał krzyk.

— Uważaj!

Spojrzał w górę. Obijając się po schodach, jak w napadzie delirium, leciał w dół ogromny kamień. Kulgan w ostatniej chwili zdołał odskoczyć na bok. Głaz wyrżnął w ścianę, gdzie stał przed sekundą, odbił się i spadł wreszcie na dolny podest. Pył zaprawy murarskiej unosił się w powietrzu. Kulgan kichnął potężnie.

Przerażeni Tomas i Pug zbiegali po schodach. Ulżyło im wyraźnie, kiedy zobaczyli, że nic się nikomu nie stało. Kulgan spojrzał na nich znękanym wzrokiem.

— Może się jednak dowiem, o co tu chodzi, co?

Pug patrzył na niego ogłupiałym wzrokiem, a Tomas omal nie wcisnął się w ścianę, starając się zniknąć z pola widzenia maga. W końcu zebrał się na odwagę.

— Próbowaliśmy znieść ten kamień na podwórze i… chyba nam wypadł z rąk…

— Wypadł z rąk? To raczej wyglądało na szaloną ucieczkę na wolność. No dobra. Gadać mi tu zaraz, po co nieśliście kamień i skąd żeście go wzięli, co?

— To ten obluzowany ze ściany — opowiedział Pug. — Wyjęliśmy go, żeby Gardell mógł zamontować ostatni odcinek rury. — Kiedy zauważył, że mimo udzielonej odpowiedzi Kulgan nadal nic nie rozumie, dodał: — To do mojego okapu nad garnkiem z żarem, pamiętasz?

— Aaa…. Tak. Pamiętam oczywiście.

Zwabiony hałasem pojawił się sługa, aby sprawdzić, co się stało. Kulgan poprosił go o zawołanie kilku robotników z dziedzińca, by wynieśli głaz. Sługa wyszedł, a Kulgan odwrócił się do chłopców.

— Wydaje mi się, że rozsądniej było poprosić kogoś nieco silniejszego od was, żeby wyniósł ten kamień. No dobrze, pokażcie mi teraz to cudo.

Weszli na górę do pokoju chłopca. Gardell kończył właśnie instalowanie ostatniego odcinka rury. Usłyszał, że wchodzą, i odwrócił się.

— No? I co o tym sądzicie?

Garnek z żarem został przysunięty trochę bliżej do ściany, a nad nim, na czterech równej wysokości prętach rozsiadł się okap. Cały dym zasysany był przez

metalowy stożek, potem zaś odprowadzany na zewnątrz lekką rurą. Niestety, dziura w miejscu, skąd usunięto kamień, była znacznie większa niż rura i wiatr nawiewał prawie cały dym z powrotem do środka.

— No, i jak ci się podoba, Kulgan? — spytał Pug.

— No, no. Wygląda imponująco, chłopcze, chociaż nie zauważyłem, aby powietrze w pokoju bardzo się oczyściło.

Gardell rąbnął silnie dłonią w okap. W pokoju rozległ się metaliczny dźwięk. Zgrubiała skóra na dłoniach kowala uchroniła go przed poparzeniem, gdy dotykał gorącego metalu.

— Nie bój nic. Wszystko gra, magu. Jak tylko zaklajstruję tę dziurę na górze, wezmę kawałek skóry wołowej, z której robią tarcze dla jazdy, wytnę dziurę w środku, przepchnę przez nią koniec rury, a potem przybiję skórę do ściany. Chlapnę ździebko garbnika. Ciepło wysuszy skórę, aż będzie twarda, sztywna jak blacha i odporna na temperaturę. Zatrzyma deszcz, wiatr i dym. — Kowal był najwyraźniej zadowolony ze swojego dzieła. — No dobra, skoczę po skórę, i zaraz wracam.

Pug patrzył na swój wynalazek i pękał z dumy. Tomas podzielał jego uczucia. Kulgan zachichotał pod nosem i Pug przypomniał sobie nagle, gdzie mag spędził cały dzień.

— Jakie wieści z rady?

— Książę wysyła wici do wszystkich szlachetnie urodzonych na całym Zachodzie. Wyjaśnia dokładnie, co się stało. Żąda, aby wszystkie armie Zachodu zostały postawione w stan gotowości bojowej. Obawiam się, że skryby Tully'ego mają przed sobą kilka ciężkich dni. Książę chce, aby wszystko było gotowe jak najszybciej. Tully otrzymał polecenie zostania i pełnienia roli doradcy Lyama w czasie nieobecności Księcia. Tak samo Algon i Fannon.

— Doradca Lyama? Nieobecność? — pytał bezładnie Pug, nic nie rozumiejąc.

— Tak. Książę, Arutha i ja wyruszamy w podróż do Wolnych Miast, a potem dalej do Krondoru, aby odbyć rozmowy z księciem Erlandem. Dzisiaj wieczorem, jeśli mi się uda, postaram się porozumieć podczas snu z moim kolegą. Belgan mieszka na północ od Bordonu. On z kolei wyśle wiadomość do Meechama, który już powinien był tam dotrzeć, aby znalazł dla nas jakiś statek. Książę uważa, że będzie najlepiej, jeżeli przekaże wieści osobiście.

Puga i Tomasa aż skręcało z ciekawości. Kulgan oczywiście dobrze wiedział, że obaj strasznie chcieliby pojechać. Wizyta w Krondorze z pewnością byłaby największą przygodą ich młodego życia. Mag pogładził się po siwej brodzie.

— Trochę to utrudnia kontynuowanie twojej nauki, Pug, ale jestem przekonany, że Tully mógłby cię trochę podciągnąć i nauczyć jednej czy drugiej sztuczki.

Kulgan myślał, że Pug zaraz pęknie z niecierpliwości.

— Kulgan, proszę cię… czy mogę pojechać?

Kulgan udał zdumienie.

— Ty miałbyś jechać? Ani przez myśl mi to nie przeszło… — zawiesił na chwilę głos, aby zwiększyć jeszcze napięcie — no cóż…

W oczach Puga zagościło jedno wielkie błaganie.

— …niech i tak będzie.

Pug wydał przeraźliwy, świdrujący w uszach okrzyk radości i skoczył do góry.

Tomas usiłował ukryć swoje rozczarowanie. Z trudem zdobył się na wątły uśmiech, próbując cieszyć się szczęściem Puga.

Kulgan podszedł do drzwi. Tomas wyglądał jak siedem nieszczęść.

— Kulgan? — zawołał Pug.

Mag odwrócił się. Na wargach igrał mu lekki uśmieszek.

— Tak, Pug?

— Tomas też?

Tomas, ponieważ ani nie należał do dworu, ani nie podlegał Kulganowi, potrząsnął przecząco głową. Nie spuszczał jednak ani na chwilę błagalnego wzroku z Kulgana.

Kulgan roześmiał się od ucha do ucha.

— Coś mi się wydaje, że najlepiej dla nas wszystkich będzie trzymać was razem. Tak, Tomas też. Załatwię to z Fannonem.

Tomas wrzasnął na całe gardło. Chłopcy z radości zaczęli się walić po plecach.

— Kiedy wyruszamy? — spytał Pug.

Kulgan zaśmiał się.

— Za pięć dni lub nawet wcześniej, jeżeli wieści od Krasnoludów dotrą do Księcia. Wysłano już przodem szybkobiegaczy, żeby sprawdzili, czy da się przejechać Północną Przełęczą. Jeżeli nie, przejdziemy przez Południową.

Powiedziawszy to, Kulgan wyszedł, zostawiając chłopców tańczących z radości i pokrzykujących wesoło.

# Rozdział 7

# Porozumienie

Pug pośpiesznie przeszedł przez dziedziniec.

Księżniczka Carline przesłała mu wiadomość, prosząc o spotkanie w ogródku. Pug był trochę zdenerwowany. Dziewczyna odezwała się do niego po raz pierwszy od dramatycznego i gwałtownego zakończenia ich ostatniego spotkania. Niezależnie od swego wewnętrznego rozdarcia Pug chciał pozostawać z nią w dobrych stosunkach. Po krótkiej rozmowie z Calinem Pug rozmawiał długo z ojcem Tullym.

Stary kapłan, pomimo ogromnych obowiązków nałożonych na niego przez Księcia, znalazł czas, aby spotkać się z chłopcem i wysłuchać go. Była to bardzo dobra i potrzebna Pugowi rozmowa i czuł się po niej znacznie lepiej. Ostatnia wskazówka kapłana brzmiała: przestań się martwić tym, co czuje i myśli Księżniczka, a zacznij odkrywać, co czuje i myśli Pug.

Posłuchał rady. W rezultacie miał teraz absolutną jasność, co powinien powiedzieć Carline, gdyby napomknęła o jakimś „porozumieniu" między nimi. Po raz pierwszy od wielu tygodni miał poczucie kierunku, nawet jeżeli nie był pewien, ku jakiemu przeznaczeniu doprowadzi go obrany kurs.

Zbliżył się do ogródka Księżniczki. Wyszedł zza rogu i stanął jak wryty. Na schodkach zamiast Carline stał Roland. Uśmiechnął się do niego słabo, skinął głową i przywitał się.

— Dzień dobry, Pug. Czekasz na kogoś? — Chociaż widać było, że starał się, aby zabrzmiało to lekko i zdawkowo, nie potrafił do końca stłumić wojowniczego tonu. Bezwiednym ruchem oparł lewą dłoń na rękojeści miecza. Ubrany był zwyczajnie — kolorowe nogawice, zielono-złocista bluza i wysokie buty do konnej jazdy.

— Taa… tak się składa, że spodziewałem się tutaj zastać Księżniczkę — odpowiedział Pug lekko wyzywającym tonem.

Roland udał zdziwienie.

— Naprawdę? Lady Glynis wspominała coś o liściku… zdawało mi się jednak, że stosunki między wami były ostatnio raczej napięte…

Przez kilka ostatnich dni Pug starał się wykrzesać w sobie współczucie dla Rolanda ze względu na sytuację chłopaka. Teraz jednak owa mieszanina bezceremonialnego stosunku do niego i okazywanej wyższości oraz chorobliwa prawie wrogość zdenerwowały Puga. Nie wytrzymał i dał się ponieść emocjom.

— Jak równy z równym, Rolandzie — wypalił bez namysłu — pozwolisz, że przedstawię to w ten sposób: to, czy się układa, czy nie układa między Carline a mną, to nie twój zakichany interes!

Twarz Rolanda oblał rumieniec gniewu. Podszedł o krok bliżej. Spojrzał z góry na niższego chłopca.

— Niech mnie szlag trafi, jeżeli to nie mój interes! Nie mam pojęcia, co ty kręcisz, Pug, ale jeżeli ją skrzywdzisz, to ja…

— Ja miałbym ją skrzywdzić! — wpadł mu w słowo Pug. Gwałtowność wzburzenia Rolanda zupełnie go zaskoczyła, a pogróżki rozwścieczyły.

— To ona kręci i wykorzystuje nas obu dla swych celów…

Pug poczuł niespodziewanie, że ziemia zachwiała się pod nim, uniosła do góry i rąbnęła od tyłu w głowę. Przed oczami eksplodowało tysiące gwiazd, a w uszach rozległ się donośny dźwięk dzwonów. Minęła spora chwila, zanim dotarło do niego, że to Roland go rąbnął. Potrząsnął kilka razy głową. Powoli wracała mu ostrość widzenia. Zerknął w górę. Starszy i wyższy chłopak stał nad nim z zaciśniętymi pięściami.

— Jeżeli jeszcze raz źle się o niej wyrazisz, to tak cię spiorę, że się nie pozbierasz — wycedził przez zaciśnięte zęby.

W Pugu rozgorzał nagle niepohamowany gniew. Narastał z każdą chwilą. Podniósł się ostrożnie z ziemi, nie spuszczając oka z gotowego do walki Rolanda.

— Rolandzie, miałeś ponad dwa lata, żeby ją zdobyć dla siebie. Zostaw ją teraz w spokoju — powiedział z goryczą.

Twarz Rolanda skurczyła się w grymasie wściekłości. Ruszył do ataku. Zwalił Puga z nóg. W plątaninie ramion i nóg obaj padli na ziemię. Roland okładał nieszkodliwie Puga po rękach i plecach. Przewracając się i zmagając na ziemi, żaden nie mógł wyrządzić drugiemu wielkiej krzywdy. Pugowi udało się objąć ramieniem szyję Rolanda. Trzymał go mocno, a przeciwnik tłukł na oślep rękami. W pewnej chwili Roland zdołał wepchnąć kolano między siebie a pierś Puga. Pchnął mocno, odrzucając przeciwnika daleko. Pug przekoziołkował i poderwał się z ziemi. Roland uczynił to tuż po nim. Odskoczyli od siebie. Z twarzy Rolanda znikła wściekłość, a w jej miejsce pojawił się zimny, wyrachowany gniew. Ocenił odległość między nimi. Zbliżał się ostrożnie. Jego lewe ramię było wyciągnięte przed siebie i lekko zgięte, a prawa pięść w gotowości na wysokości twarzy. Pug nie miał żadnego doświadczenia w tej formie walki zwanej boksem, chociaż już kilka razy miał okazję oglądać walki za pieniądze w wykonaniu trupy objazdowej.

Roland z kolei, wielokrotnie wykazywał w przeszłości, że ten sport to nie nowość dla niego.

Pug chciał wykorzystać okazję. Zamachnął się nagłym sierpowym w głowę Rolanda. Ten odchylił się do tyłu, a impet ciosu okręcił Puga dookoła osi. Roland ruszył do ataku. Lewe ramię wyskoczyło w przód i silny cios dosięgnął policzka Puga, odrzucając mu głowę do tyłu. Pug zatoczył się i cios prawej pięści Rolanda minął się z jego szczęką o parę milimetrów.

Pug zasłonił twarz przed następnym uderzeniem. Przed oczami tańczyły świetliste kropki. Potrząsnął głową. W ostatniej chwili schylił się, unikając kolejnego ataku Rolanda. Nie zmieniając pozycji, rzucił się do przodu. Przeszedł pod gardą Rolanda i uderzył bykiem w żołądek. Roland znowu upadł na ziemię. Pug rzucił się na niego. Przygniótł swoim ciężarem, starając się unieruchomić ramiona przeciwnika. Roland zamachnął się i trafił łokciem w skroń Puga. Chłopiec na ułamek sekundy stracił przytomność i padł na ziemię.

Ledwo zdołał dźwignąć się na nogi, kiedy potworny ból przeszył mu twarz. Świat znowu zawirował. Powoli tracił orientację i zdolność jakiejkolwiek obrony. Przyjmował ciosy Rolanda jak jakieś odległe wydarzenia. Ból był przytłumiony i nie do końca rozpoznawalny przez wirujące zmysły. Gdzieś głęboko, w zakamarkach umysłu Puga rozległ się cichutki alarmujący dźwięk. Zupełnie bez ostrzeżenia, głęboko pod przytłumioną bólem świadomością zaczynało się coś dziać. Dochodziły do głosu prymitywne, bardziej zwierzęce niż ludzkie, instynkty. Z głębin pokawałkowanej i niezrozumiałej podświadomości poczęła się wyłaniać nowa siła. Tak samo jak podczas spotkania z trollami, w umyśle Puga pojawiły się płonące oślepiającym blaskiem litery i chłopak zaczął bezgłośnie wypowiadać zaklęcie.

Powracał nieubłaganie do stanu prymitywnego. W ocalałych strzępach świadomości widział siebie jako pierwotne stworzenie walczące z morderczą zaciekłością o przetrwanie. Wszystko zogniskowało się w jednym tylko obrazie: zadławić przeciwnika na śmierć.

Niespodziewanie, gdzieś w umyśle zadźwięczał przeraźliwie ostrzegawczy sygnał. Przeszyło go na wskroś głębokie poczucie jakiegoś zła czy winy. Miesiące nauki i ćwiczeń dały wreszcie znać o sobie. Miał wrażenie, że słyszy krzyk Kulgana: „Nie wolno korzystać z mocy w ten sposób!” Pug rozerwał gwałtownie okrywający go całun podświadomości i otworzył oczy.

Poprzez nakładające się na siebie zamazane obrazy i migoczące światełka zobaczył Rolanda. Klęczał na ziemi tuż przed nim i z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami walczył daremnie z niewidzialnymi palcami, zaciskającymi się wokół jego szyi. Pug już tego nie kontrolował. Gdy powróciła jasność myślenia, zorientował się natychmiast w sytuacji, pochylił nad Rolandem i chwycił mocno jego nadgarstki.

— Przestań! Rolandzie, przestań! To się nie dzieje naprawdę. Tylko ci się wydaje. Nikt cię nie dusi. To twoje własne ręce!

Oślepiony paniką Roland nie słyszał krzyku. Pug zmobilizował ostatnie resztki sił i oderwał ręce Rolanda od szyi. Otwartą dłonią uderzył go na odlew w twarz. W oczach Rolanda zaszkliły się łzy, a z gardła wydobył się spazmatyczny, zduszony okrzyk. Roland gwałtownie wciągnął powietrze w płuca.

Pug dyszał ciężko.

— To złudzenie, Rolandzie. Sam się dusiłeś, własnymi rękami…

Roland oddychał chrapliwie. Gwałtownie odskoczył od Puga. Twarz skurczyła się w grymasie przerażenia. Niezdarnym i słabym ruchem usiłował wydobyć miecz. Pug pochylił się do przodu i mocno schwycił go za ręce. Kręcił głową, a słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

— Rolandzie… nie ma żadnego… powodu…

Roland spojrzał mu w oczy i po chwili paniczny strach w jego własnych zaczął powoli przygasać. Po chwili coś w nim jakby pękło, załamało się i oto przed Pugiem siedział na ziemi kompletnie wyczerpany i śmiertelnie zmęczony młody człowiek. Oparł się na wyciągniętych do tyłu rękach. Oddychał z trudem. W oczach pojawiły się łzy.

— Dlaczego…?

Pug był także zupełnie wyczerpany. Oparł się ciężko na rękach. Wpatrywał się uważnie w przystojną i rozdzieraną wątpliwościami młodą twarz.

— Dlatego, Rolandzie, że jesteś pod wpływem zaklęcia przerastającego wszystkie, którymi ja mogę władać.

Spojrzał mu prosto w oczy.

— Ty naprawdę ją kochasz… tak?

Resztki gniewu ulatywały powoli. Z oczu Rolanda zniknął strach. Pozostały głęboki ból i udręka. Po policzku spływała łza. Schował głowę między ramiona i pokiwał nią. Oddech miał nierówny i urywany. Próbował coś powiedzieć. Walczył z wzbierającym płaczem. Opanował się. Wziął głęboki oddech i otarł łzę. Jeszcze jeden głęboki oddech. Spojrzał prosto w oczy Puga.

— A ty? — spytał ostrożnie.

Pug wyciągnął się na ziemi. Powoli wracały mu siły.

— Nie… nie jestem pewien. Tak na mnie działa, że sam już nie wiem, co o tym sądzić. Nie wiem. Czasem myślę tylko o niej. A czasami chciałbym być daleko, daleko, gdzieś na końcu świata.

Roland pokiwał ze zrozumieniem głową. Strach zniknął zupełnie.

— Kiedy idzie o nią, nie ma we mnie za grosz rozsądku.

Pug zaśmiał się krótko. Roland poderwał głowę i po chwili sam też się zaśmiał.

— Nie wiem dlaczego — powiedział Pug — ale z jakiegoś powodu to, co powiedziałeś, wydało mi się strasznie śmieszne.

Roland skinął głową i znowu wybuchnął śmiechem. Po twarzach obu chłopców ciurkiem leciały łzy. Emocjonalna próżnia, pozostawiona przez ulatujący gniew, wypełniała się gwałtownie wesołością i trzpiotowatym śmiechem.

Roland opanował się na moment, kiedy Pug spojrzał na niego i powiedział:

— Za grosz rozsądku! — Po czym obu poniosła kolejna fala trudnego do powstrzymania śmiechu.

— A to co! — przerwał im nagle ostry głos.

Odwrócili się.

— Cóż to ma znaczyć?

Przed nimi stała Carline w towarzystwie dwóch dam. Przypatrywała im się uważnie. Zamilkli natychmiast. Dziewczyna obrzuciła leżących na ziemi chłopców potępiającym wzrokiem.

— Widzę, że doskonale się bawicie we własnym towarzystwie. Nie będę wam przeszkadzała.

Pug i Roland spojrzeli na siebie i jednocześnie wybuchli gromkim śmiechem. Roland przewrócił się na plecy. Pug, rozciągnięty jak długi na ziemi, zakrywając twarz rękami, zanosił się śmiechem. Obrzuciła ich strasznym wzrokiem.

— Przepraszam — wyrzuciła z siebie lodowatym i wściekłym głosem.

Odwróciła się na pięcie, minęła dworki i odeszła szybkim krokiem.

— Chłopcy! — rzuciła głośno przez ramię na odchodnym.

Pug i Roland siedzieli na ziemi, aż minął napad histerycznego śmiechu. W końcu Roland podniósł się i wyciągnął rękę do Puga. Pug chwycił ją mocno i Roland pomógł mu wstać.

— Przepraszam, Pug. Nie miałem prawa wściekać się na ciebie. — Po chwili dodał łagodniejszym tonem: — Całe noce nie mogę zmrużyć oka, bo ciągle o niej myślę. Wyczekuję tych kilku chwil w ciągu dnia, kiedy jesteśmy razem, ale od czasu, jak ją uratowałeś, nie usłyszałem od niej nic poza twoim imieniem.

Dotknął ostrożnie bolącej szyi.

— Byłem na ciebie tak wściekły, że chciałem cię zatłuc na śmierć. Cholera! Zamiast tego omal sam nie zginąłem.

Pug spojrzał w stronę narożnika, za którym zniknęła Księżniczka. Kiwnął głową.

— Ja też przepraszam, Rolandzie. Kontrolowanie magii nie bardzo mi jeszcze wychodzi, a kiedy tracę nad sobą panowanie, dzieją się rzeczy straszne. Jak wtedy z trollami.

Pug pragnął, aby Roland zrozumiał, że chociaż terminuje teraz u maga, nie przestał być sobą, Pugiem.

— Nigdy bym nie zrobił czegoś takiego naumyślnie. Szczególnie przyjacielowi.

Roland przypatrywał mu się uważnie przez dłuższą chwilę. Na twarzy pojawił się trochę jeszcze wymuszony, ale przepraszający uśmiech.

— Rozumiem, Pug. Zachowywałem się fatalnie. Miałeś rację. Carline wykorzystuje nas, napuszczając jednego na drugiego. Głupi jestem. Zależy jej tylko na tobie.

Pug spoważniał.

— Rolandzie, wierz mi, nie jestem wcale taki pewien, czy jest mi czego zazdrościć.

Roland uśmiechnął się szeroko.

— To dziewczyna z mocnym charakterem, nie ma dwóch zdań. — Schwytany w pułapkę pomiędzy otwartym użalaniem się nad sobą a udawaną zuchwałością wybrał to ostatnie.

Pug pokręcił głową.

— Rolandzie, co możemy zrobić?

Roland zdziwił się, a po chwili roześmiał.

— Pug, nie szukaj u mnie rady. Ja tańczę tak, jak mi zagra, i nic na to nie mogę poradzić, ale jak mówi stare przysłowie, młode serce niewieście zmienne jest jak pogoda w kwietniu. Nie będę cię obwiniał za uczynki Carline.

Puścił do niego konspiracyjnie oko.

— Ale nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym wyglądał, czy pogoda się nie zmienia, dobrze?

Pug pomimo zmęczenia roześmiał się.

— Tak mi się wydawało, że coś za bardzo jesteś łaskawy w tej naszej ugodzie.

Zamyślił się.

— Wiesz co? Byłoby o wiele prościej, nie lepiej, ale właśnie prościej, gdyby w ogóle przestała na mnie zwracać uwagę. Na zawsze. Już sam nie wiem, co o tym myśleć. Przecież muszę ukończyć kurs terminatorski, a któregoś dnia będę musiał pomyśleć o zajęciu się moimi dobrami. A do tego wszystkiego jeszcze to całe zamieszanie z Tsuranimi. Tyle rzeczy zwaliło się nagle na głowę… nie mogę się połapać.

Roland popatrzył na Puga ze współczuciem. Położył mu dłoń na ramieniu.

— Zapominam ciągle, że doświadczenie bycia i terminatorem, i szlachcicem w jednej osobie jest dla ciebie bardzo świeże i nowe. Przyznaję jednak, że nie poświęcałem zbyt wiele czasu na tak poważne rozmyślania, chociaż w moim przypadku los zdecydował jakby sam, zanim przyszedłem na świat. Zamartwianie się o przyszłość to strasznie jałowa robota, Pug. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że najlepszym lekarstwem byłby kufel mocnego piwa.

Pug obmacywał bolące miejsca i zadrapania. Skinął głową.

— Byłby, gdyby był. Obawiam się, że Megar będzie innego zdania.

Roland przyłożył palec do nosa.

— No cóż, nie pozwolimy przecież, aby Mistrz Kuchni wyniuchał nasze lekarstwa. Chodź, wiem, gdzie deski do szopy z piwem są luźne. Możemy sobie strzelić jedno czy dwa piweńka, ciesząc się komfortem samotności.

Roland ruszył w stronę szopy. Pug zatrzymał go na chwilę.

— Rolandzie, przepraszam za… to wszystko.

Roland zatrzymał się. Patrzył przez kilka chwil z uwagą na Puga. Uśmiechnął się.

— Ja też.

Wyciągnął rękę.

— Zgoda?

Pug chwycił ją mocno, po męsku.

— Zgoda.

Wyszli z ogródka Księżniczki. Skręcili za róg muru na dziedziniec i stanęli jak wryci. Ich oczom ukazał się godny pożałowania widok. Przez środek dziedzińca, od strony koszar w kierunku bocznej bramy, maszerował Tomas. Był w pełnej zbroi. Kolczuga na ciężkim, sięgającym kolan, skórzanym kaftanie, kompletny szyszak, a na wysokich, sięgających pod kolana butach metalowe nagolenniki. Na jednym ramieniu dźwigał ogromną tarczę, a w prawym ręku dzierżył ciężką włócznię. Miała prawie cztery metry długości i wielki, żelazny grot. Tomas uginał się pod jej ciężarem. Wyglądał przekomicznie, włócznia była tak ciężka, że chłopak przechylał się lekko na prawą stronę i kiedy próbował w czasie marszu złapać równowagę, szedł zygzakiem.

Na środku placu stał sierżant Gwardii Książęcej. Skandował głośno rytm marszu. Pug go znał. Miał na imię Gardan. Był wysoki i miał przyjacielskie usposobienie. Pochodził z Keshu, o czym świadczyła niezbicie jego ciemna skóra. Na widok Puga i Rolanda uśmiechnął się. Czarna, gęsta broda rozchyliła się pośrodku, ukazując błyszczące, białe zęby. Gardan był prawie tak barczysty jak Meecham i poruszał się z charakterystyczną dla myśliwego czy wojownika zwinnością. Chociaż ciemne włosy przyprószone były miejscami siwizną, twarz, mimo trzydziestoletniej służby, miał bardzo młodą i bez zmarszczek. Mrugnął do Puga i Rolanda.

— Stać! — wydał rozkaz.

Tomas zatrzymał się w pół kroku.

Pug i Roland podeszli bliżej.

— W prawo zwrot! — warknął Gardan.

Tomas wykonał rozkaz.

— Zbliżają się członkowie dworu. Prezentuj broń!

Tomas wyciągnął prawe ramię. Pochylił włócznię w salucie, lecz trochę za głęboko i omal nie złamał postawy na baczność, kiedy usiłował unieść ją z powrotem do góry.

Pug i Roland stanęli przy Gardanie. Wielki żołnierz zasalutował im od niechcenia i ciepło uśmiechnął się do nich.

— Dzień dobry, panowie.

Odwrócił się na chwilę w stronę Tomasa.

— Na ramię broń! Na stanowisko… marsz!

Tomas ruszył przed siebie. Stanowiskiem był w tym wypadku przeciwległy bok dziedzińca.

Roland roześmiał się.

— Co to jest? Specjalna musztra?

Gardan stał wsparty jedną ręką na rękojeści miecza. Drugą wskazywał na Tomasa.

— Mistrz miecza Fannon uznał, że naszemu młodemu wojakowi może się przydać obecność kogoś, kto by dopilnował, aby jakość musztry nie ucierpiała za bardzo na skutek zmęczenia czy innych drobnych przeciwności losu. Ściszył głos.

— To twardy zawodnik. Da sobie radę. Najwyżej poobciera trochę stopy.

— Ale po co specjalna musztra? — spytał Roland.

Pug kręcił z powątpiewaniem głową, kiedy Gardan wyjaśniał.

— Nasz młody bohater stracił już dwa miecze. Pierwszy przypadek można zrozumieć. Sprawa statku była pierwszorzędnej wagi, nie ma dwóch zdań. Zważywszy na okoliczności, podniecenie, zdenerwowanie, można tamto przeoczenie wybaczyć. Gorzej z drugim. Miecz znaleziono. Leżał na mokrej ziemi koło ćwiczebnego słupa. Było to tego popołudnia, kiedy królowa Elfów i jej towarzysze opuścili zamek. Tomas wyparował gdzieś jak kamfora.

Pug wiedział, że Tomas zapomniał na śmierć o ćwiczeniach, kiedy Gardell przyniósł okap nad jego garnek z żarem.

Tomas dotarł do końca wyznaczonej marszruty. Wykonał w tył zwrot i rozpoczął powrót. Gardan przyjrzał się uważniej dwom pokiereszowanym i uwalanym ziemią chłopcom.

— A wy coście znowu nabroili, młodzi i szlachetni panowie, co?

Roland odchrząknął jak wytrawny aktor na scenie.

— Ach… drobnostka, dawałem Pugowi lekcję walki na pięści.

Gardan wyciągnął rękę i ujął Puga pod brodę. Odwrócił jego głowę kilka razy, aby się lepiej przypatrzeć. Ocenił zakres szkód.

— Rolandzie, przypomnij mi, abym cię nigdy nie prosił o szkolenie moich ludzi w walce mieczem, ilość ofiar byłaby dla nas niewspółmiernie wysoka.

Puścił Puga.

— Coś mi mówi, że jutro rano będziesz pięknie wyglądał, szlachetny panie.

Pug zmienił temat rozmowy.

— Co słychać u twoich synów, Gardan?

— Wszystko w porządku, Pug. Uczą się swojego rzemiosła i marzą, z wyjątkiem najmłodszego, Faxona, który w przyszłorocznym Wyborze chce zostać żołnierzem, jak zdobyć bogactwo. Reszta doskonali swoje umiejętności w kołodziejstwie pod czujnym okiem mego brata, Jeheila.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Teraz, kiedy jest z nami tylko Faxon, dom wydaje się bardzo pusty, chociaż moja żona cieszy się, że jest nareszcie spokój.

Uśmiechnął się owym zaraźliwym uśmiechem, na który nie można odpowiedzieć inaczej jak tym samym.

— Nic to. Już niedługo starsze chłopaki ożenią się i dom znowu się zaroi od wesoło dokazujących wnuków.

Tomas zbliżał się do nich.

— Czy mogę porozmawiać ze skazanym? — spytał Pug.

Gardan parsknął śmiechem. Pogładził się po brodzie.

— Chyba mógłbym przez chwilę popatrzeć w drugą stronę. Tylko krótko, panie.

Pug zostawił Gardana rozmawiającego z Rolandem, zrównał krok z Tomasem i maszerował koło niego, kierując się w przeciwległy koniec dziedzińca.

— Jak leci?

— Och, wszystko w najlepszym porządku. Jeszcze dwie godziny tej zabawy i będę gotów do pogrzebu — odpowiedział Tomas półgębkiem.

— Nie możesz odpocząć?

— Co pół godziny mogę stanąć na pięć minut na baczność.

Dotarł do końca wyznaczonej marszruty, wykonał w miarę poprawny w tył zwrot i ruszył z powrotem w kierunku Gardana i Rolanda.

— Po zamontowaniu okapu u ciebie wróciłem do słupa ćwiczeń, ale miecza już nie było. Serce mi zamarło. Szukałem wszędzie. Omal nie sprałem Rulfa, bo myślałem, że schował miecz, żeby zrobić mi na złość. Kiedy wróciłem do koszar, Fannon siedział na mojej pryczy i nacierał klingę olejem. Myślałem, że trzeba będzie wzywać lekarza do innych żołnierzy, tak się ze mnie śmiali, kiedy Fannon powiedział: „Jeżeli uważasz, że osiągnąłeś wystarczającą sprawność w posługiwaniu się mieczem, być może zechciałbyś poświęcić trochę twego cennego czasu, aby nauczyć się prawidłowo obsadzać posterunek z długą bronią. Całodniowa karna musztra”. — A po chwili dodał żałośnie: — Chyba umrę.

Przechodzili koło Gardana i Rolanda. Pug usiłował wykrzesać w sobie współczucie dla Tomasa, ale jak wszyscy, uważał, że sytuacja jest komiczna. Zdusił w sobie śmiech. Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

— Lepiej już pójdę. Gdyby teraz nadszedł mistrz Fannon, mógłby ci jeszcze wpakować kolejny dzień musztry.

Tomas na samą myśl o tym jęknął.

— Niech bogowie bronią. Zjeżdżaj, Pug!

— Kiedy skończysz — powiedział szeptem — doszlusuj do nas. Będziemy w szopie z piwem… oczywiście, jeżeli dasz radę.

Pug opuścił towarzystwo Tomasa i podszedł do Rolanda i Gardana.

— Dziękuję, Gardanie — powiedział do sierżanta.

— Bardzo proszę, Pug. Nasz młody przyszły rycerz doskonale sobie ze wszystkim poradzi, chociaż być może teraz myśli inaczej, a poza tym… wścieka się, że ma widownię.

Roland kiwnął głową.

— Chyba tak szybko nie zgubi kolejnego miecza.

Gardan zaśmiał się.

— Co prawda, to prawda. Mistrz Fannon mógł zapomnieć i przebaczyć pierwszy raz, lecz drugiego już nie. Uznał, że rozsądniej będzie, aby Tomas nie wpadł w nawyk w tym względzie. Twój przyjaciel jest najbardziej błyskotliwym uczniem, jakiego Mistrz Miecza miał od czasów Aruthy, ale lepiej nie powtarzaj tego Tomasowi. Fannon zawsze najostrzej traktuje tych, którzy mają największe możliwości i talent. No, to chyba wszystko, życzę obu panom dobrego dnia. Aha, chłopcy… — zatrzymali się — nie bójcie się, nikomu nie powiem o „lekcji boksu”.

Podziękowali sierżantowi za dyskrecję i pomaszerowali w stronę szopy z piwem w takt komend wypełniających echem dziedziniec zamku.

* * *

Pug kończył drugi kufel, a Roland dopijał ostatnie krople czwartego, kiedy przez luźne deski przecisnął się Tomas. Był brudny i spocony jak mysz. Zdążył się już pozbyć zbroi i broni. Manifestując skrajne wyczerpanie, powiedział:

— Świat się kończy, Fannon zwolnił mnie wcześniej z kary.

— Dlaczego? — spytał Pug.

Roland siedział rozwalony wygodnie na worku jęczmienia przygotowanego do warzenia piwa. Leniwym ruchem sięgnął w stronę półki stojącej obok i wziął ze stosu kubek. Rzucił Tomasowi. Ten złapał go zręcznie i napełnił z beczki, na której Roland opierał nogi.

Tomas pociągnął tęgi łyk. Otarł usta wierzchem dłoni.

— Coś się kroi. Fannon przyleciał, powiedział, żebym odłożył swoje zabawki, i tak się śpieszył, że prawie ciągnął Gardana za kołnierz.

— Może Książę szykuje się do wyprawy na wschód? — powiedział Pug.

— Może — odrzekł Tomas.

Przyjrzał się uważnie obu przyjaciołom, studiując z uwagą świeżo podrapane fizjonomie.

— W porządku, chłopaki, walcie. Co się stało?

Pug spojrzeniem dał do zrozumienia Rolandowi, aby ten wyjaśnił żałosny widok, jaki przedstawiali. Roland rzucił Tomasowi krzywy uśmieszek.

— Ćwiczyliśmy, przygotowując się do książęcego turnieju walki na pięści — powiedział Roland ze śmiertelną powagą.

Pug prawie się zakrztusił piwem. Ryknął śmiechem. Tomas potrząsnął głową.

— Wy dwaj nie wyglądacie na wspornikow. Tłukliście się o Księżniczkę, no nie?

Pug i Roland wymienili ukradkowe spojrzenia i jednocześnie skoczyli na Tomasa, przygważdżając go do podłogi ciężarem swych ciał. Roland przycisnął mocniej, a Pug przytrzymał na miejscu. Roland sięgnął po wypełniony w połowie piwem kubek i wzniósł wysoko ponad głowę. Udając wielką powagę, powiedział powoli:

— Niniejszym namaszczam cię, Tomasie, na Pierwszego Proroka Crydee! — a następnie wylał zawartość kubka na twarz szamoczącego się chłopaka.

Pug czknął głośno i z lubością.

— Takoż i ja czynię — powiedział, wylewając na przyjaciela resztki piwa ze swojego kufla.

Tomas pluł pianą na wszystkie strony i śmiał się na całe gardło.

— Miałem rację! Wiedziałem, że mam rację! — Wył radośnie, usiłując wydobyć się spod przygniatającego go ciężaru.

— No już, zjeżdżajcie! Mam ci przypomnieć, Rolandzie, kto ci ostatnim razem rozkwasił nochal?

Roland złaził z niego bardzo powoli. Przymroczona alkoholem godność osobista kazała mu poruszać się z lodowatą precyzją.

— Masz… całkowitą… słuszność.

Zwrócił się do Puga, który też już zsunął się z Tomasa.

— Trzeba sobie jednak wyraźnie powiedzieć, że Tomasowi udało się rozkwasić mi nos w czasie tamtej walki tylko dlatego, że uzyskał nieuczciwą przewagę.

Pug spojrzał na Rolanda mętnym wzrokiem.

— Jaką… nieuczciwą przewagę?

Roland przyłożył palec do ust, nakazując zachowanie tajemnicy.

— Wygrywał.

Roland zwalił się jak długi na wór z jęczmieniem, a Tomas i Pug ryknęli śmiechem. Pug, nieźle już pijany, uznał uwagę Rolanda za tak śmieszną, że nie mógł się powstrzymać, a kiedy łapał oddech, słyszał rechot Tomasa i wpadał w kolejny paroksyzm śmiechu. Usiadł w końcu, z trudem chwytając powietrze. Od śmiechu rozbolały go boki.

Oddychał łapczywie.

— Jakoś przegapiłem tamtą bójkę. Robiłem chyba wtedy coś innego, chociaż na śmierć zapomniałem co.

— Byłeś wtedy we wsi. Kiedy Roland po raz pierwszy przyjechał z Tulan, uczyłeś się naprawiać sieci, jeżeli dobrze pamiętam.

Roland uśmiechnął się krzywo.

— Pokłóciłem się wtedy z kimś… pamiętasz może z kim?

Tomas przecząco pokręcił głową.

— Nieważne. Pokłóciłem się i Tomas próbował nas pogodzić czy rozdzielić. Nie mogłem uwierzyć, żeby taki chuderlak…

Tomas zaczął głośno protestować, ale Roland mu przerwał. Trzymał wysoko wzniesiony palec i kiwał nim powoli, z namaszczeniem.

— Tak, tak. Nie przerywaj… byłeś chudy. Bardzo chudy. Nie mogłem pojąć, że taki chudzielec, chudy chudzielec… ha ha ha… taki prosty chłopak, pozwala sobie, aby mnie mówić, mnie, dopiero co mianowanemu członkowi książęcego dworu i, muszę w tym miejscu dodać: dżentelmenowi, jak ja się mam zachowywać. No więc uczyniłem jedyną właściwą rzecz, jaką dżentelmen mógł w tych okolicznościach uczynić…

— Co? — spytał Pug.

— Dałem mu w mordę… — Cała trójka znowu ryknęła śmiechem.

Tomas, przypominając sobie tamto wydarzenie, potrząsał głową, a Roland mówił dalej:

— A potem on zabrał się do mnie i dostałem najgorsze baty od czasów, kiedy ojciec przyłapał mnie, już nie pamiętam na czym. No i wtedy właśnie zabrałem się serio za naukę boksu.

— Tak, tak, byliśmy wtedy jeszcze tacy młodzi — powiedział Tomas z udawaną powagą.

Pug napełnił kufle. Z bólem poruszał na boki szczęką.

— Tak, teraz czuję się, jakbym miał ze sto lat.

Tomas popatrzył na nich uważnie.

— No, ale teraz już serio, o co wam poszło?

— Córka naszego pana, dziewczę o niewysłowionym wdzięku… — zaczął mówić Roland żartobliwie, ale i z żalem w głosie.

— Co to jest niewysłowiony? — spytał Tomas.

Roland, zamroczony piwem, spojrzał na niego z pogardą i lekceważeniem.

— Nieopisany. Debil!

— Nie wydaje mi się, że Księżniczka to nieopisany debil… — rzekł Tomas, kręcąc głową z powątpiewaniem. Urwał nagle i schylił się gwałtownie, kiedy kufel Rolanda przeciął ze świstem powietrze w miejscu, gdzie przed sekundą znajdowała się jego głowa. Pug upadł na plecy, zanosząc się od śmiechu.

Tomas uśmiechnął się szeroko. Roland z wielkim namaszczeniem i ceremonialnie zdjął z półki następny kubek.

— No więc, jak już mówiłem uprzednio — zaczął, napełniając kubek piwem z beczki — nasza pani, dziewczę o niewysłowionych wdziękach, nawet jeżeli to trochę wątpliwy osąd, wbiła sobie do głowy, z powodów, które jedynie bogowie mogą do końca zrozumieć, że obdarzy pewnego, obecnego tutaj, młodego maga swymi względami. Dlaczego tak uczyniła, skoro przecież mogła spędzać czas ze

mną, pozostaje poza moją zdolnością pojmowania. — Przerwał, aby czknąć głośno. — Tak czy siak, dyskutowaliśmy najwłaściwszy sposób, w jaki należałoby przyjąć tak szczodry dar.

Tomas spojrzał na Puga, uśmiechając się szeroko.

— Przyjmij wyrazy współczucia, Pug. Jak widać, masz ręce pełne roboty.

Pug poczuł, że się czerwieni. Po chwili spojrzał na przyjaciela z przekornym uśmieszkiem.

— Czyżby? A co z pewnym młodzieńcem, powszechnie znanym w okolicy, terminującym w żołnierskim fachu, którego widziano ostatnio, jak się wkradał do spiżarni z pewną dziewczyną kuchenną? — Odchylił się do tyłu, a na jego twarzy pojawił się wyraz wielkiej troski. — Aż boję się myśleć, co by się mogło mu przytrafić, gdyby Neala się dowiedziała…

Tomasowi opadła szczęka.

— Nie zrobisz tego, nie możesz!

Teraz Roland leżał na plecach, trzymając się za boki, i kwiczał ze śmiechu.

— Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś, kto by bardziej przypominał rybę świeżo wyciągniętą z wody na brzeg.

Usiadł prosto. Zrobił strasznego zeza i gwałtownie zamykał i otwierał usta. Cała trójka znowu zapadła w odmęty niepowstrzymanego rechotu.

Rozlano następną kolejkę.

Roland wzniósł swój kufel.

— Panowie, wznieśmy toast!

Pug i Tomas podnieśli kufle.

Tym razem Roland mówił zupełnie poważnie.

— Nieważne, jakie nas w przeszłości dzieliły różnice, teraz, chłopaki, zaliczam was do grona moich prawdziwych przyjaciół.

Wzniósł wyżej kufel.

— Za przyjaźń!

Cała trójka wychyliła kufle do dna, po czym zostały natychmiast napełnione ponownie.

— Podajmy sobie ręce.

Trzech chłopców złączyło ręce.

— Nieważne, gdzie nas los rzuci; nieważne, ile lat przeminie, zawsze będziemy przyjaciółmi.

Uroczystość i powaga przysięgi dotarła nagle do świadomości Puga.

— Przyjaciele!

Tomas powtórzył za nim jak echo i cała trójka podała sobie znowu dłonie, pieczętując w ten sposób deklarację wiecznej przyjaźni.

Kufle znowu odwiedziły beczkę. Słońce szybko zachodziło za horyzont, ale chłopcy, otuleni różowym obłokiem przyjaźni i piwa, zupełnie zatracili poczucie czasu.

* * *

Pug obudził się i rozejrzał dookoła. Nie bardzo mógł się połapać, gdzie jest. Kręciło mu się w głowie. Pełgające ogniki z ledwie tlących się głowni w garnku z żarem obrzucały mroczny pokój migotliwym, różowym światłem. Ktoś pukał do drzwi, po cichu, lecz uporczywie. Podniósł się powoli i omal nie przewrócił. Ciągle był zamroczony po wczorajszej pijatyce. Siedzieli w szopie z Tomasem i Rolandem do późnych godzin nocnych, zapominając na śmierć o kolacji i „nadwerężając w istotny sposób", jak to określił Roland, zapasy zamkowego piwa. Nie wypili co prawda dużo, ale zważywszy na ich małe możliwości i słabe jeszcze głowy, i tak było to heroiczne przedsięwzięcie.

Pug naciągnął portki i zataczając się, poczłapał do drzwi. Język miał wyschnięty na wiór, a pod powiekami czuł piasek. Zastanawiał się, któż to chce wejść w środku nocy. Otworzył drzwi.

Coś przemknęło koło niego błyskawicznie. Odwrócił się.

W pokoju stała Carline owinięta szczelnie wielką peleryną.

— Zamknij drzwi! — syknęła. — Ktoś może przechodzić koło wieży i zobaczyć światło na schodach.

Zdezorientowany Pug posłuchał machinalnie. W odrętwiałym umyśle kołatała tylko jedna myśl, że przecież nikły poblask tlącego się drewna z pewnością nie oświetliłby schodów. Potrząsnął kilka razy głową, próbując przywrócić sobie jasność myślenia. Podszedł do garnka z żarem. Rozdmuchał ogień, wziął drzazgę i zapalił latarnię. Pokój zalał ciepły i wesoły blask.

Umysł Puga stopniowo działał coraz sprawniej. Carline rozglądała się po pokoju. Zauważyła bezładną kupę walających się przy posłaniu książek i zwojów pergaminu. Zajrzała w każdy kąt pokoju.

— Gdzie masz tego smoka?

Pug usiłował skoncentrować na niej spojrzenie. Przymusił spuchnięty język do działania.

— Fantus? Nie wiem… polazł gdzieś i pewnie robi to, co zwykle robią smoki…

Dziewczyna zdjęła pelerynę.

— To dobrze. Ilekroć go widzę, zawsze ciarki mi chodzą po plecach.

Usiadła na skotłowanym posłaniu Puga. Popatrzyła na niego ostro.

— Chcę z tobą pomówić, Pug.

Pug przyjrzał się jej uważniej, a jego oczy stawały się coraz większe i większe. Carline miała na sobie tylko cienką koszulę nocną i chociaż okrywała ona jej postać od szyi po kostki, cienki materiał przylegał do ciała z alarmującą dla jego zmysłów dokładnością. Pug zdał sobie nagle sprawę, że ma na sobie tylko

spodnie. Rzucił się w kierunku ciśniętej niedbale na podłogę bluzy i zaczął ją naciągać na grzbiet przez głowę.

Podczas szamotaniny z opornym materiałem tuniki wyparowały resztki alkoholu.

— Bogowie! — powiedział zduszonym przez strach głosem. — Jak się twój ojciec dowie, da mi popalić.

— Nie dowie się, jeżeli będziesz miał tyle rozsądku, aby się nie wydzierać na całe gardło — powiedziała, obrzucając go rozdrażnionym spojrzeniem.

Pug był tak przerażony, że zaczął chodzić prosto. Podszedł do stołka koło posłania. Carline przyjrzała się z dezaprobatą jego opłakanemu wyglądowi.

— Piłeś. — I kiedy nie zaprzeczył, dodała: — Kiedy ty i Roland nie przyszliście na kolację, zastanawiałam się, gdzieście się podziali. Całe szczęście, że ojca także nie było na wspólnej kolacji, bo kazałby was szukać.

Przerażenie Puga narastało w zatrważającym tempie. Przez głowę przelatywały niezliczone historie opowiadające o tym, co spotkało plebejskich kochanków szlachetnie urodzonych niewiast. Nie sądził, aby Książę był skłonny nadstawiać łaskawego ucha dla jego tłumaczeń, że przecież Carline była nie proszonym gościem i że nie stało się nic niestosownego. Przełknął głośno ślinę i zebrał całą odwagę.

— Carline, nie możesz tutaj zostać. Wpakujesz nas oboje w dużo większe kłopoty, niż sobie możemy wyobrazić.

Spojrzała na niego z determinacją.

— Nie wyjdę z tego pokoju, dopóki nie powiem ci tego, z czym przyszłam.

Pug wiedział, że wszelki opór będzie bezowocny. Już zbyt wiele razy w przeszłości widział ten uparty wyraz jej twarzy. Westchnął z rezygnacją.

— No dobrze, o co chodzi?

Jej oczy zrobiły się nagle wielkie jak spodki.

— No cóż, jeżeli masz zamiar zachowywać się w ten sposób, to nic ci nie powiem!

Pug zdławił jęk i usiadł prosto. Zamknął oczy. Kiwał powoli głową.

— No, już dobrze. Bardzo przepraszam. Powiedz, proszę, dlaczego do mnie przyszłaś.

Carline poklepała posłanie koło siebie.

— Chodź, usiądź przy mnie.

Posłuchał, starając się zignorować wrażenie, że jego los, nagle i niespodziewanie szybko zbliżające się do tragicznego końca życie, są w rękach tej kapryśnej dziewczyny. Usiadł z rozmachem, aż podskoczyła. Jęknął głośno. Dziewczyna zachichotała.

— Upiłeś się! Jak to jest?

— W tej chwili niezbyt zabawnie. Czuję się, jak zużyta ściera kuchenna.

Usiłowała mu współczuć, lecz jej niebieskie oczy skrzyły się wesołością. Wydęła teatralnym ruchem usta.

— Wszystkie interesujące rzeczy, strzelanie z łuku czy walka mieczem, przypadają w udziale chłopcom. Bycie prawdziwą damą to taka straszna nuda. Ojciec dostałby chyba ataku serca, gdybym do kolacji wypiła więcej niż kieliszek rozwodnionego wina.

Pug był coraz bardziej zdesperowany i zdenerwowany.

— Taki atak to pryszcz. Gdyby cię tutaj nakrył, dopiero wtedy miałby prawdziwy atak. Carline, po co tu przyszłaś?

Zignorowała pytanie.

— Co robiliście dziś po południu z Rolandem? Biliście się? O mnie?

Jej oczy błyszczały podnieceniem.

Pug westchnął.

— Tak, o ciebie.

Zadowolony wyraz jej twarzy jeszcze bardziej go zirytował, co dało się słyszeć w jego głosie.

— Carline, wykorzystałaś go, postąpiłaś bardzo niełądnie.

— To idiota bez ikry! — odpaliła. — Gdybym mu powiedziała, żeby skoczył z murów, to by skoczył.

Pug znieruchomiał.

— Carline — wydusił z siebie — dlaczego…

Nie dane mu było dokończyć. Carline pochyliła się do przodu i zamknęła mu usta swoimi. Pocałunek był jednostronny, ponieważ Puga tak zamurowało, że w ogóle nie zareagował. Cofnęła się błyskawicznie i usiadła prosto, a on siedział z otwartymi ustami.

— No i co?

Nie potrafił wykrzesać z siebie żadnej sensownej odpowiedzi.

— Co, no i co?

Oczy jej rozbłysły.

— Pocałunek, prostaku.

Pug był ciągle w szoku.

— Och! Było… miło.

Zerwała się na równe nogi. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których czaiła się mieszanina gniewu i zakłopotania. Skrzyżowała ramiona na piersi i stukała stopą w podłogę w rytmie letniego gradu uderzającego w okiennice.

— Miłe! Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? — spytała niskim i ochrypłym głosem.

Pug przypatrywał się jej, a w jego wnętrzu kłębiły się sprzeczne uczucia. Panika walczyła o lepsze z prawie bolesną świadomością tego, jak pięknie w tej chwili

wyglądała. Stała przed nim w przyćmionym świetle lampy, rozrzucone w nieładzie włosy częściowo zakrywały ożywioną wzburzeniem twarz. Cienki materiał ciasno opinał ciało pod skrzyżowanymi ramionami. Pug był tak zmieszany, że sprawiał wrażenie, jakby go to wszystko nic nie obchodziło, co tylko dolało oliwy do ognia.

— Jesteś pierwszym mężczyzną, którego — nie licząc ojca i braci — pocałowałam, a wszystko, co możesz powiedzieć to, że było „miło".

Pug nie mógł się pozbierać. Targany gwałtownymi uczuciami wypalił bez zastanowienia:

— Bardzo miło.

Podparła się pod boki. Materiał koszuli ułożył się inaczej, jeszcze bardziej niepokojąco. Stała nad nim z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzy.

— Przyszłam tutaj do ciebie — powiedziała dziwnie spokojnym głosem — i rzuciłam się w twoje ramiona ryzykując, że na całe życie zostanę odesłana do klasztoru!

Pug zauważył, że jakoś nie wspomniała o jego własnym losie.

— Wszyscy chłopcy z Zachodu, że nie wspomnę o niemałej liczbie znacznie starszych mężczyzn szlachetnego rodu, wyłażą ze skóry, żebym tylko na nich spojrzała. A ty traktujesz mnie jak jakąś głupią wywłokę z kuchni, jak przelotną rozrywkę młodego paniczyka!

Pug odzyskał wreszcie zdolność jasnego myślenia. Nie przyszło to samo z siebie, lecz wzięło się stąd, że spostrzegł wreszcie, iż Carline wyraźnie przesadziła w swojej reakcji. Pojął, że jest oto świadkiem małego przedstawienia teatralnego, pomieszania rzeczywistej irytacji z wyreżyserowaną grą.

— Carline, poczekaj chwilę. Daj mi dojść do słowa.

— Chwilę! Dałam ci całe tygodnie. Myślałam, że jest między nami coś… że się rozumiemy.

Pug próbował przybrać współczujący wyraz twarzy, podczas gdy jego umysł pracował jak szalony.

— Carline, usiądź. Proszę. Pozwól, że ci wytłumaczę.

Zawahała się przez moment, a potem usiadła przy nim. Niezdarnie ujął jej dłonie. Owładnęło nim natychmiast poczucie jej bliskości, ciepła, zapachu włosów i skóry. Pożądanie, które odczuwał na skałach, powróciło z całą gwałtownością. Zmobilizował wszystkie siły, aby skupić się na tym, co chciał jej powiedzieć. Zmusił się do oddalenia gorączkowych myśli.

— Carline, naprawdę mi na tobie zależy. Bardzo, wierz mi. Czasem myślę nawet, że kocham cię tak samo mocno, jak Roland. Ale najczęściej, kiedy jesteś koło mnie, nie wiem, co myśleć. To największy problem, Carline. Tyle jest we mnie sprzecznych uczuć. Nie wiem, co naprawdę do ciebie czuję, po prostu nie wiem.

Spojrzała na niego chłodnym wzrokiem. Nie takiej przecież oczekiwała odpowiedzi.

— Nie rozumiem, o czym mówisz, Pug — powiedziała ostrym tonem. — Jeszcze nigdy nie spotkałam chłopaka, który by chciał wszystko przeanalizować i zrozumieć.

Pug zmusił się do uśmiechu.

— Magowie między innymi po to się uczą, aby wyjaśniać wiele rzeczy, Carline. Dokładne przeanalizowanie i zrozumienie jest dla nas bardzo ważne.

Zauważył w jej spojrzeniu, że słucha go i rozumie, co do niej mówi.

— Jak wiesz — ciągnął dalej — występuję teraz jakby w podwójnej roli. I jedno, i drugie to dla mnie całkowicie nowe doświadczenie. Mam tyle problemów z nauką i pracą, że pomimo wysiłków Kulgana nie jest wykluczone, że nigdy nie zostanę magiem. Nie staram się ciebie unikać, Carline, naprawdę, ale te kłopoty zmuszają mnie, abym poświęcał nauce jak najwięcej czasu.

Widząc, że wyjaśnienia nie wywołują u niej prawdziwego współczucia i zrozumienia, spróbował inaczej.

— Nie zostaje mi zbyt wiele czasu, aby zajmować się drugim wcieleniem. Być może skończy się to tak, że zostanę po prostu jeszcze jednym szlachcicem na dworze twego ojca. Będę się zajmował moimi dobrami, chociaż nie są wielkie, dbał o poddanych, służył Księciu w wojennej potrzebie i tak dalej. Nie mogę jednak nawet zacząć myśleć o tej ewentualności, dopóki nie rozwiążę jakoś pierwszego dylematu, mojej nauki i magii. Muszę próbować, ciągle próbować, aż, być może, przekonam się ponad wszelką wątpliwość, że dokonałem fałszywego wyboru… albo Kulgan mnie odprawi — dodał cicho.

Przerwał i spojrzał na nią poważnym wzrokiem. Niebieskie oczy wpatrywały się w jego twarz z uwagą.

— W Królestwie nie liczą się za bardzo z magami. Pomyśl, gdybym został mistrzem magii, czy… czy możesz sobie wyobrazić siebie jako żonę maga, bez względu na jego stanowisko?

Przestraszyła się lekko. Pochyliła się szybko i pocałowała go znowu, rujnując i tak nadwerężone opanowanie i spokój.

— Biedny Pug.

Odsunęła się troszkę. Jej miękki głos brzmiał słodko w uszach.

— Nie musisz, Pug. To znaczy, nie musisz być przecież magiem. Masz teraz ziemię i tytuł. Wiem też, że Ojciec postara się o więcej, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

— Tu nie chodzi o to, czego chcę. Nie rozumiesz? Tu chodzi o to, kim jestem. Być może część problemów wzięła się stąd, że nie wkładałem w pracę całego serca. Jak wiesz, Kulgan wziął mnie do siebie na terminatora zarówno z prawdziwej potrzeby, jak i z litości. I bez względu na to, co on i Tully mówią, naprawdę nie

byłem nigdy przekonany, że jestem jakoś specjalnie utalentowany w tym kierunku. Być może powinienem poświęcić się, oddać całkowicie nauce magii.

Wziął głęboki oddech.

— A jak mam tego dokonać, zajmując się moimi posiadłościami i urzędami? Lub zdobywając nowe?

Przerwał na moment.

— Lub ciebie?

Carline przygryzła lekko dolną wargę. Pug ostatkiem sił zwalczył pokusę, aby chwycić ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko się jakoś ułoży. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że gdyby to zrobił, wszystko wymknęłoby się błyskawicznie spod kontroli. Żadna z dziewczyn w jego skromnych doświadczeniach w tej materii, nawet te najpiękniejsze z miasta, nie wzbudzała w nim równie silnych uczuć.

Zakryła oczy rzęsami.

— Zrobię wszystko, co zechcesz, Pug — powiedziała miękko.

Pug poczuł ulgę. Dopiero po chwili jak grom uderzyło w niego prawdziwe znaczenie jej słów. O bogowie!, pomyślał. Żadna magiczna sztuczka czy wybieg nie są w stanie utrzymać jego opanowania i wybronić w obliczu młodzieńczego pożądania. Rozpaczliwie szukał jakiegoś sposobu, aby się od tego uwolnić. Pomyślał niespodziewanie o jej ojcu. Obraz księcia Crydee, stojącego u stóp szubienicy i patrzącego na niego z wściekłością, sprawił, że myśli o amorach pierzchły natychmiast jak sen.

Wziął głęboki oddech.

— Carline, na swój sposób naprawdę cię kocham.

Jej twarz rozpromieniła się. Zwietrzył nadciągającą katastrofę.

— Myślę jednak — dorzucił błyskawicznie — że zanim zabiorę się do rozplątywania wszelkich innych zagadnień, powinienem przede wszystkim najpierw dojść do ładu z samym sobą.

Jego koncentracja i opanowanie, uzyskane tak wielkim kosztem, zostały poddane srogiej próbie, bo oto Carline, pochłonięta bez reszty całowaniem jego twarzy, zignorowała całkowicie ostatnią uwagę.

Nagle przestała. Usiadła sztywno. Rozanielony wyraz twarzy ustępował stopniowo zadumie, kiedy wrodzona inteligencja zwyciężyła dziecinną chęć posiadania wszystkiego, czego tylko zapragnie. W spojrzeniu pojawił się rozsądek.

— Gdybym teraz dokonał wyboru, nigdy bym nie miał pewności, że był on słuszny. Czy naprawdę chciałabyś stanąć twarzą w twarz z możliwością, że kiedyś w przyszłości nie będę mógł na ciebie patrzeć z powodu dzisiaj podjętej decyzji?

Milczała przez dłuższą chwilę.

— Nie, Pug — powiedziała cichutko. — Nie zniosłabym tego.

Poczuł, jak napięcie przygasa. Odetchnął z ulgą. Pokój wydał się nagle obojgu strasznie zimny. Wzdrygnęli się. Carline chwyciła go za rękę z zadziwiającą siłą. Uśmiechnęła się z trudem.

— Rozumiem, Pug — powiedziała z wymuszonym spokojem. Westchnęła głęboko i dodała miękko: — I chyba dlatego cię kocham... bo nie ma w tobie obłudy, zakłamania i... szczególnie w stosunku do ciebie samego.

— I ciebie, Carline.

W jej oczach pojawiły się łzy. Nie poddała się i uśmiechnęła dzielnie.

— To nie jest łatwe — powiedział owładnięty przypływem nagłego uczucia do dziewczyny. — Proszę, uwierz mi, Carline, uwierz mi, że to naprawdę nie jest dla mnie łatwe.

Napięcie pękło nagle jak bańka mydlana. Carline roześmiała się. Pug wiedział już, że wszystko będzie dobrze.

— Biedny Pug. Sprawiłam ci przykrość — powiedziała, śmiejąc się przez łzy.

Na twarzy Puga malowała się wyraźna ulga. Od przepełniających go uczuć do dziewczyny kręciło mu się w głowie. Kiwał powoli na boki głową i uśmiechał bez sensu. Kryzys minął.

— Nie masz pojęcia, Carline jak ja cię... nie masz pojęcia. — Wyciągnął rękę i dotknął czule jej twarzy. — Mamy czas. Nigdzie nie jadę.

Spod długich rzęs spojrzały na niego oczy przepełnione troską.

— Wkrótce wyjeżdżasz z ojcem.

— Miałem na myśli, że kiedy wrócę, będę tu siedział przez całe lata.

Pocałował ją delikatnie w policzek. Zmienił z wysiłkiem ton na lżejszy.

— Prawo mówi, że jeszcze przez trzy lata nie mogę objąć w posiadanie majątku, a nie sądzę, żeby w tym czasie ojciec chciał cię wypuścić spod swych skrzydeł.

Uśmiechnął się krzywo.

— Za trzy lata, być może, nie będziesz mogła znieść mego widoku.

Podeszła powoli i objęła go mocno, kładąc mu głowę na ramieniu.

— Nigdy, Pug. Nigdy nie będzie mi zależało na kimś innym, tylko na tobie.

Pug nie mógł się nacieszyć jej bliskością. Carline drżała lekko.

— Nie potrafię znaleźć właściwych słów, Pug... jesteś jedynym, który starał się mnie zrozumieć. Ty potrafisz zobaczyć i zrozumieć znacznie więcej niż inni.

Odsunął się delikatnie. Uniósł jej twarz ku górze i pocałował, czując na ustach słony smak łez. Odpowiedziała nagle. Objęła go mocniej i zaczęła namiętnie całować. Poprzez cienki materiał jej koszuli czuł żar ciała dziewczyny, w uszach słyszał ciche westchnienia. Jego własne ciało zaczęło reagować, ogarniała go nie zważająca na nic namiętność. Przywołał na pomoc całą siłę woli. Delikatnie wysunął się z jej objęć.

— Carline, chyba powinnaś już pójść do siebie — powiedział z żalem w głosie.

Spojrzała na niego. Twarz miała zarumienioną, usta lekko rozchylone. Oddychała szybko. Pug musiał zmobilizować wszystkie siły, aby kontrolować siebie i sytuację.

— Najlepiej będzie, jeżeli pójdziesz do swojego pokoju, Carline. Teraz.

Podnieśli się powoli z posłania, świadomi swej bliskości. Pug przez chwilę trzymał jeszcze jej dłoń. Schylił się w końcu, podniósł jej pelerynę i pomógł się okryć. Podprowadził do drzwi, uchylił je po cichu i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Ani śladu nikogo. Otworzył drzwi szerzej. Przeszła przez próg i odwróciła się.

— Pug, ja wiem, że uważasz mnie czasem za głupią i próżną dziewczynę, bo też i jestem taka czasami, ale chciałabym, żebyś wiedział, że cię naprawdę kocham.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zniknęła, a z ciemności dobiegł go tylko oddalający się szelest materiału. Delikatnie zamknął drzwi i zgasił lampę. Położył się i wpatrywał w ciemność. W powietrzu unosił się jej świeży zapach. Przypomniał sobie ciepły i delikatny dotyk jej ciała. Ciarki przeszły mu po plecach. Teraz, kiedy odeszła i nie musiał dłużej panować nad sobą, dał się ponieść marzeniom i tęsknocie. Przed oczami stanęła jej twarz rozogniona namiętnością ku niemu. Zakrył oczy ramieniem i jęknął cichutko.

— Jutro będę nienawidził samego siebie.

* * *

Obudziło go łomotanie do drzwi. Jego pierwszą myślą, kiedy wlókł się do drzwi, było, że Książę dowiedział się o nocnej wizycie Carline. Przyszli, żeby mnie powiesić!, kołatało mu się w głowie. Na dworze było jeszcze ciemno. Oczekiwał najgorszego. Otworzył drzwi. Zamiast rozwścieczonego ojca dziewczyny na czele oddziału straży zamkowej, za progiem stał zamkowy goniec.

— Przepraszam, że budzę cię, panie, ale mistrz Kulgan życzy sobie, abyś natychmiast się do niego udał — powiedział, wskazując ku górze na drzwi Kulgana. — Natychmiast — powtórzył, biorąc wyraz ulgi, jaki się pojawił się na twarzy Puga, za nieprzytomne spojrzenie wyrwanego z głębokiego snu. Pug kiwnął głową i zamknął drzwi.

Stał jak wmurowany. Usnął w ubraniu, więc nie musiał nic na siebie wkładać. Stał bez ruchu czekając, aż serce przestanie walić jak młotem. Oczy szczypały go, jakby ktoś sypnął w nie piaskiem. Bolał go brzuch, a w ustach czuł nieprzyjemny smak. Podszedł do małego stolika i spryskał twarz lodowatą wodą, mrucząc pod nosem, że już nigdy, przenigdy nie weźmie do ust piwa.

Dowlókł się do pokoju Kulgana. Mag stał nad stosem swoich osobistych rzeczy i książek. Na stołku, przy posłaniu Kulgana siedział ojciec Tully. Kapłan obserwował, jak Kulgan dokłada do stale rosnącej kupy następne przedmioty.

— Kulgan, przecież nie możesz zabrać ze sobą tych wszystkich książek. Nie zapakujesz tego nawet na dwa juczne muły, a już zupełnie nie mam pojęcia, gdzie je poupychasz na statku, zresztą, po co ci one, co?

Kulgan spojrzał na dwie książki, które trzymał w rękach, jak matka patrząca na dziecko.

— Muszę je zabrać, żeby chłopak miał się z czego uczyć w podróży.

— Akurat! Już raczej, żebyś ty miał co wertować i przeglądać przy obozowych ogniskach i na statku. Oszczędź mi swoich tłumaczeń. Będziecie musieli jechać bardzo szybko, żeby przejść przez Południową Przełęcz, zanim zasypie ją śnieg. A potem, na morzu? Czy znasz kogoś, kto byłby w stanie oddawać się lekturze w czasie zimowego rejsu po Morzu Gorzkim? Chłopak straci najwyżej miesiąc albo dwa. Potem czeka go jeszcze ponad osiem lat studiów. Daj mu spokój. Niech odpocznie trochę.

Pug stał w drzwiach zafascynowany rozmową. Próbował zadać jakieś pytanie, ale został całkowicie zignorowany przez dogadujących sobie nieustannie starych przyjaciół. Po kilku kolejnych protestach i napomnieniach Tully'ego Kulgan w końcu poddał się.

— Chyba masz rację.

Cisnął książki na posłanie. Zauważył czekającego w drzwiach Puga.

— A cóż to? Jeszcze tu sterczysz?

— Jeszcze mi nie powiedziałeś, dlaczego posłałeś po mnie, Kulgan.

— Aaa? — wydusił z siebie Kulgan. Stał, mrugając oczami, jak sowa schwytana w jasny promień światła. — Nie powiedziałem?

Pug kiwnął głową.

— No cóż, przyszły rozkazy Księcia. Mamy wyruszyć o świcie. Krasnoludy nie dały znaku życia, ale on już nie będzie czekał. Północna Przełęcz prawie na pewno nie jest przejezdna. Obawia się śniegu na Południowej — po chwili dorzucił swój komentarz — i ma rację. Mój pogodowy nos mówi mi, że lada chwila nadejdą śniegi. Będziemy mieli wczesną i ciężką zimę.

Tully wstał i potrząsnął głową.

— Że też musimy wysłuchiwać tego od człowieka, który siedem lat temu przepowiedział suszę, po czym mieliśmy nie notowaną w najstarszych kronikach falę powodzi. Magowie! Banda szarlatanów i darmozjadów!

Podszedł powoli do drzwi. Zatrzymał się i popatrzył na Kulgana. Udawana irytacja ustąpiła na jego twarzy prawdziwej trosce.

— Chociaż tym razem, Kulgan, masz całkowitą rację. Mnie też łamie w gnatach. Zima tuż, tuż.

Tully wyszedł.

— Wyjeżdżamy? — spytał chłopiec.

Kulgan rozzłościł się.

— Tak! Chyba już ci raz powiedziałem, prawda? Zbieraj swoje rzeczy, i to na jednej nodze. Za niecałą godzinę zacznie świtać.

Pug odwrócił się, aby wyjść.

— Chwileczkę, Pug.

Mag podszedł do drzwi i wyjrzał, chcąc upewnić się, czy Tully schodzi po schodach i jest poza zasięgiem głosu. Odwrócił się do Puga.

— Nie mam nic do zarzucenia twemu zachowaniu, ale gdybyś w przyszłości miał jakiegoś nocnego gościa, sugeruję, abyś nie poddawał się dalszym… próbom. Nie jestem przekonany, czy za drugim razem poszłoby ci równie gładko.

Pug pobladł jak ściana.

— Słyszałeś?

Kulgan wskazał palcem miejsce, gdzie ściana stykała się z podłogą.

— Rura od twojego wynalazku wychodzi na zewnątrz jakieś trzydzieści centymetrów poniżej tego miejsca i chyba doskonale przewodzi dźwięk. — Zamyślił się na moment i dorzucił: — Swoją drogą, jak wrócimy, muszę zbadać, dlaczego tak dobrze przewodzi dźwięk, ciekawe…

Popatrzył na Puga.

— Po prostu pracowałem do późna. Nie chciałem podsłuchiwać, ale słyszałem każde słowo.

Pug zaczerwienił się po uszy.

— Nie chciałem cię wprawić w zakłopotanie, Pug. Postąpiłeś bardzo dobrze i wykazałeś się zadziwiającym rozsądkiem.

Położył mu rękę na ramieniu.

— Obawiam się, że w tych sprawach nie potrafię ci służyć radą, chłopcze. Moje doświadczenie z kobietami jest bardzo skromne, dotyczy to kobiet w różnym wieku, że nie wspomnę już o takich upartych dzierlatkach.

Spojrzał mu prosto w oczy.

— Jedno wszakże wiem, w chwilach pełnych żaru i namiętności trudno jest myśleć jasno o tym, co będzie później. Dumny jestem z ciebie, że potrafiłeś tego dokonać.

Pug uśmiechnął się z zażenowaniem.

— To było bardzo proste, Kulgan. Skoncentrowałem się na jednej myśli.

— Na jakiej?

— O karze śmierci.

Kulgan ryknął gromkim śmiechem.

— I bardzo dobrze. Musisz jednak pamiętać, że potencjalne niebezpieczeństwo, jakie groziło Księżniczce, było równie wielkie. Szlachetnie urodzone niewiasty z wschodniego dworu wychowane w miastach mogą się do woli wplątywać

w każdy romans, jaki im się nawinie, ale jedyna córka Księcia z pogranicza, blisko spokrewnionego z Królem, nie może sobie pozwolić na taki luksus. Przede wszystkim musi być poza wszelkim podejrzeniem. Nawet jego cień może bardzo skrzywdzić Carline. Ten, komu na niej zależy, powinien brać to pod uwagę. Rozumiesz?

Pug kiwnął głową. Docenił teraz w pełni to, że poprzedniego wieczora oparł się pokusie.

— To dobrze. Wiem, że w przyszłości zachowasz ostrożność.

Kulgan uśmiechnął się wesoło.

— I nie przejmuj się Tullym. Zły jest, ponieważ Książę rozkazał mu zostać w zamku. Ciągle mu się wydaje, że jest taki, jak jego młodzi akolici. No, zbieraj się i przygotuj. Niedługo zacznie świtać.

Pug kiwnął głową i wyszedł, zostawiając Kulgana wpatrującego się w stos książek. Podniósł z żalem najbliższą i odstawił na półkę. Po chwili chwycił następną i wepchnął do podróżnego worka.

— Jedna nikomu nie zaszkodzi — powiedział do niewidzialnego widma Tully'ego, potrząsającego głową z dezaprobatą. Resztę książek odłożył na półkę, z wyjątkiem ostatniego tomu, który również powędrował do wora.

— No dobrze — powiedział buntowniczym tonem — dwie!

# Rozdział 8

# Podróż

Prószył lekki śnieżek.

Pug siedział na koniu i chociaż był okryty ogromną kapotą, trząsł się z zimna. Już od dziesięciu minut czekał w siodle, aż reszta grupy towarzyszącej Księciu będzie gotowa do wyruszenia w drogę.

Dziedziniec wypełniały krzyki służby, która w pośpiechu przywiązywała pakunki na grzbietach spasionych mułów. Czernie i szarości, które powitały go, kiedy zszedł na dziedziniec, ustępowały powoli miejsca delikatnym kolorom nadchodzącego świtu. Bagaże Puga zniesiono już na dół i teraz troczono do mułów razem z innymi.

Usłyszał za plecami okrzyk strachu. Odwrócił się. Tomas, dosiadający żwawego i rzucającego łbem gniadosza, rozpaczliwie ściągał wodze. Jego rumak, podobnie jak wierzchowiec Puga, o całe niebo różnił się od starej pociągowej szkapy, na której grzbiecie dotarli do wraku statku. Obaj dosiadali teraz wysmukłych i lekkich koni bojowych.

— Nie ciągnij tak mocno — krzyknął Pug. — Rozrywasz mu pysk i dlatego się wścieka. Ściągnij wodze delikatnie i popuść kilka razy.

Tomas posłuchał i gdy koń uspokoił się, podjechał do boku Puga. Siedział w siodle, jakby sterczały z niego gwoździe. Usilnie próbował odgadnąć, co też jego koń uczyni za chwilę, i jego twarz mogłaby z powodzeniem posłużyć artyście jako model najwyższej koncentracji.

— Gdybyś wczoraj nie miał tej swojej musztry, mógłbyś trochę poćwiczyć jazdę konną, a teraz będę cię musiał uczyć w drodze.

Tomas podziękował spojrzeniem za obietnicę pomocy. Pug uśmiechnął się do niego.

— Zanim dotrzemy do Bordon, będziesz już cwałował jak Królewscy Lansjerzy.

— I chodził, jak stara panna z rupturą. — Tomas przekręcił się trochę w siodle. — Już teraz, po przejechaniu tych kilku metrów od stajni, tak się czuję, jakbym od kilku godzin siedział okrakiem na kamieniu.

Pug zeskoczył z konia i obejrzał z bliska siodło Tomasa. Odsunął jego nogę i zajrzał pod spód.

— Kto ci siodłał konia, Tomas?

— Rulf. A co?

— Tak myślałem. Zemścił się za to, że go postraszyłeś, kiedy zgubiłeś miecz, albo za to, że jesteśmy przyjaciółmi. Teraz, kiedy jestem szlachcicem, nie ośmiela się grozić mi, ale przypadkiem zapomniał o prawidłowym zamocowaniu puśliska. Po kilku godzinach jazdy, w najlepszym razie przez najbliższy miesiąc musiałbyś na postojach stać cały czas, jeżeli wcześniej nie zabiłbyś się, spadając na łeb z konia. No, złaź na dół, pokażę ci coś.

Tomas zsiadł z konia, wykonując coś pośredniego między zeskokiem a upadkiem na głowę. Pug pokazał mu węzły.

— Pod koniec dnia wewnętrzną stronę ud miałbyś startą do żywego mięsa. O, zobacz, oprócz tego są za krótkie.

Pug rozwiązał puśliska i odpowiednio dopasował ich długość.

— Na początku będziesz się czuł trochę dziwnie, ale pięty musisz mieć ściągnięte w dół. Będę ci o tym przypominał aż do znudzenia, ale wierz mi, że kiedy będziesz to już robił podświadomie, może ci się przydać w jakiejś trudniejszej sytuacji. I nie próbuj ściskać konia kolanami, to nic nie daje, a poza tym nogi będą cię tak bolały, że jutro rano nie zrobisz kroku.

Udzielił mu jeszcze kilku podstawowych rad i sprawdził popręg. Był luźny. Próbował go dociągnąć i zwierzę nabrało powietrza w płuca. Pug szturchnął ostro wałacha pod żebra i koń gwałtownie wypuścił powietrze. Chłopiec szybko dociągnął rzemień.

— Założę się, że po kilku godzinach jazdy wisiałbyś z boku konia jak dojrzała gruszka. Zaręczam ci, że to bardzo niewygodna pozycja.

— A to gnojek! — Tomas ruszył w stronę stajni. — Rulf! Jak cię dopadnę, zatłukę na śmierć!

Pug złapał go za ramię.

— Zostań. Nie ma czasu na rozróby.

Tomas stał z zaciśniętymi pięściami. Po chwili uspokoił się i odetchnął głęboko.

— I tak nie jestem w nastroju do bitki.

Odwrócił się do Puga oglądającego konia ze wszystkich stron.

— Ani ja.

Pug kończył przegląd siodła i uzdy. Koń spłoszył się niespodziewanie, ale klepnięcie po szyi uspokoiło go.

— Rulf dał ci także nerwowego konika. Głowę daję, że nie minęłoby południe, a zrzuciłby cię i zanim wylądowałbyś na ziemi, on by już był w połowie drogi powrotnej do stajni. Nie miałbyś żadnych szans z obtartymi nogami i skróconymi puśliskami. Zamienimy się.

Tomas poczuł się raźniej. Wgramolił się na siodło drugiego wierzchowca. Pug ponownie dopasował puśliska dla nich obu.

— Zamienimy się derkami w czasie południowego popasu.

Pug uspokoił podenerwowanego bojowego wierzchowca i zwinnie wskoczył na siodło. Wałach, poczuwszy wodze w pewniejszych rękach i mocne nogi na bokach, uspokoił się.

— Hej! Martin! — krzyknął Tomas, kiedy zobaczył nagle książęcego Łowczego. — Jedziesz z nami?

Martin na skórzanym leśnym uniformie nosił ciężką zieloną kapotę. Uśmiechnął się krzywo.

— Tylko kawałek, Tomas. Dowodzę grupą tropicieli. Mamy obejść granice Crydee. Kiedy dotrzemy do południowej odnogi rzeki, odbijemy na wschód. Dwóch moich ludzi wyruszyło już przed godziną. Przecierają szlak dla Księcia.

— Martin, co sądzisz o tej sprawie z Tsuranimi? — spytał Pug.

Młode oblicze Wielkiego Łowczego zachmurzyło się.

— Jeżeli nawet Elfy się niepokoją, to na pewno są ku temu powody. Wierz mi, Pug.

Odwrócił się w stronę czoła formującego się szeregu.

— Przepraszam was, muszę wydać rozkazy moim ludziom.

Chłopcy zostali sami.

— Jak dziś twoja głowa? — spytał Pug Tomasa.

Tomas zrobił głupią minę.

— Jakieś dwa rozmiary mniejsza niż rano, kiedy się obudziłem.

Twarz rozjaśniła mu się trochę.

— To całe zamieszanie z wyjazdem pomogło. Łomot w środku ustał. Prawie w porządku.

Pug patrzył na zamek. Wspomnienie spotkania, które odbyło się ostatniej nocy, nie dawało mu spokoju. Odczuł nagły żal, że musi podróżować z Księciem.

Tomas zauważył jego zamyślenie i powagę.

— Co cię gryzie? Nie cieszysz się, że wyruszamy?

— Nie, nic. Po prostu zamyśliłem się.

Tomas wpatrywał się w niego z uwagą.

— Chyba rozumiem.

Westchnął głęboko i usiadł wygodniej w siodle. Jego koń stuknął kopytem i głośno zarżał.

— Jeżeli chodzi o mnie, to cieszę się, że wyjeżdżamy. Coś mi się wydaje, że Neala wpadła jakoś na to, o czym mówiliśmy wczoraj.

Pug roześmiał się.

— Będziesz miał nauczkę, aby w przyszłości bardziej uważać, kogo odprowadzasz do schowka na bieliznę.

Tomas uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Wrota zamku otworzyły się i wyszedł Książę i Arutha w towarzystwie Kulgana, Tully'ego, Lyama i Rolanda. Za nimi podążała Carline, a tuż za nią lady Marna. Książę i jego towarzysze skierowali się w stronę czoła kolumny, lecz Carline pośpiesznie ruszyła wzdłuż szeregu konnych w stronę Puga i Tomasa. Kiedy przechodziła, gwardziści salutowali jej, lecz ona nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Stanęła przy boku wierzchowca Puga. Chłopiec skłonił się uprzejmie.

— Och, zejdź z tego głupiego konia.

Pug zeskoczył, a Carline zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła mocno.

— Uważaj na siebie. Nie pozwól, aby ci się coś stało.

Oderwała się od niego i szybko pocałowała.

— I wracaj do domu.

Powstrzymując łzy, popędziła na początek kolumny, gdzie czekali ojciec i brat, aby się z nią pożegnać.

Tomas krzyknął radośnie i zaśmiał się. Stojący obok żołnierze usiłowali ukryć rozbawienie.

— Wydaje się, że Księżniczka ma jakieś plany wobec ciebie, mój panie — naigrawał się Tomas.

Uchylił się, kiedy Pug zamierzył się, aby go trzepnąć. Gwałtowny ruch przestraszył konia, który skoczył do przodu. Nagle Tomas znalazł się w samym centrum walki, starając się utrzymać konia i cofnąć go do szeregu. Wyglądało jednak, że jego rumak powziął mocne postanowienie udania się w każdym kierunku z wyjątkiem tego, do którego przymuszał go jeździec. Teraz Pug zawył z radości. Pchnął w końcu swego wierzchowca w kierunku konia Tomasa i zmusił krnąbrne zwierzę do powrotu do szyku. Klacz Tomasa położyła uszy po sobie i zaczęła kąsać konia Puga.

— Obaj mamy rachunek do wyrównania z Rulfem. — powiedział Pug. — Do tego wszystkiego dał nam konie, które się nie znoszą. Tomas, zamień się koniem z którymś z żołnierzy.

Tomas z ulgą ni to zsiadł, ni to zleciał z konia. Pug załatwił wymianę z jednym z żołnierzy stojących za nimi. Tomas wrócił na swoje miejsce. Roland podjechał do nich i podał obu rękę.

— Hej, wy dwaj, nie rozrabiać teraz. Przed nami wystarczająco dużo kłopotów, abyście mieli je sami sprawiać.

Powiedzieli, że się postarają, po czym Roland zwrócił się do Puga.

— Zajmę się wszystkim w twoim imieniu, Pug.

Pug zauważył jego uśmieszek i obejrzał się do tyłu, gdzie stała Carline z ojcem.

— Nie wątpię. Rolandzie, cokolwiek się stanie, życzę ci powodzenia.

— Dziękuję. Szczerze. Tak jak i ty powiedziałeś.

Popatrzył na Tomasa.

— Bez was dwóch z pewnością zanudzimy się na śmierć.

— Wziąwszy pod uwagę to, co się dzieje, nuda byłaby mile widziana.

— Pod warunkiem że nie będzie zbyt wielka, prawda? No, uważajcie na siebie. Potraficie zaleźć człowiekowi za skórę, ale mimo wszystko nie chciałbym was utracić.

Pug roześmiał się głośno. Roland pokiwał im przyjaźnie i odszedł.

Pug obserwował, jak dołącza do grupy Księcia, obok którego stała Carline.

— To przesądza sprawę — powiedział do Tomasa. — Cieszę się, że jadę. Potrzebuję odpoczynku.

Sierżant Gardan przecwałował wzdłuż kolumny z rozkazem wymarszu. Ruszyli. Książę i Arutha jechali na czele kolumny, a Kulgan i Gardan tuż za nimi. Martin Długi Łuk i jego tropiciele ruszyli truchtem przy koniu Księcia. Za pierwszą czwórką i tropicielami jechało dwójkami czterdziestu gwardzistów z Pugiem i Tomasem w ostatniej parze. Tył kolumny zamykały tabory pod strażą dziesięciu gwardzistów. Z początku z wolna, a potem coraz szybciej przejechali przez bramę zamku i ruszyli na południe.

* * *

Jechali trzy dni, z czego dwa ostatnie przez gęste lasy. Któregoś poranka, po przekroczeniu południowej odnogi rzeki Crydee, zwanej Rzeką Graniczną, Martin Długi Łuk i jego ludzie odłączyli się od reszty i ruszyli na wschód. Rzeka Graniczna oddzielała Crydee od ziemi Carse, prowincji należącej do wasala księcia Borrica.

Nagłe opady śniegu wczesną zimą okryły bielą jesienny krajobraz. Niespodziewany atak zaskoczył wielu mieszkańców puszczy. Turzyca zajęcy ciągle jeszcze była bardziej brązowa niż biała, kaczki i gęsi odpoczywające podczas wędrówki na południe kręciły się niespokojnie w na wpół zamarzniętych stawach leśnych. Śnieg sypał gęsto ciężkimi, mokrymi płatami. W ciągu dnia topniał trochę, ale nocami zamarzał, a na jego powierzchni tworzyła się cieniutka warstewka lodu. Kopyta koni i mułów łamały z chrzęstem cienką pokrywę i kruszyły zmarznięte liście. Monotonny dźwięk rozlegał się daleko w spokojnym, zimowym powietrzu.

Po południu Kulgan spostrzegł w oddali, ledwo widoczny między drzewami, klucz małych smoków ognistych. Barwne bestie, czerwone, złociste, zielone

i błękitne śmigały nad wierzchołkami drzew, pokrzykując i buchając co chwila niewielkimi językami ognia. Znikały w oddali, aby za chwilę pojawić się znowu i wzbić ostrą spiralą ku górze. Kulgan ściągnął wodze i zatrzymał konia, przepuszczając obok całą kolumnę i czekając, aż Pug i Tomas dojadą do niego. Kiedy zrównali się z nim, wskazał palcem na niebo.

— To chyba lot godowy. Zauważcie, że im bardziej samiec jest agresywny, tym bardziej ona uległa. Żałuję bardzo, że nie mamy czasu, aby się temu przyjrzeć dokładnie.

Przecinali właśnie polankę w lesie i Pug śledził krążące ponad nimi stwory. Poderwał nagle głowę.

— Kulgan, patrz! Czy to nie Fantus, tam na skraju?

Mag wybałuszył oczy.

— Bogowie! Tak! To on.

— Mam go zawołać?

Kulgan zachichotał głośno.

— Hm, biorąc pod uwagę atencję, jaką się cieszy wśród płci niewieściej, nie wydaje mi się, aby miało to odnieść jakikolwiek skutek.

Ruszyli w ślad za kolumną i wkrótce stracili z oczu stadko smoków.

— Inaczej niż wszystkie inne zwierzęta, odbywają gody zaraz po pierwszym śniegu. Samice składają jaja do gniazd i przesypiają całą zimę, ogrzewając je własnym ciałem. Młode wykluwają się wczesną wiosną i pozostają pod opieką matek. Fantus najprawdopodobniej spędzi kilka następnych dni… stając się ojcem pokaźnego stadka przyszłych małych smoków. Potem powróci na zamek, aby przez resztę zimy grać na nerwach Megarowi i służbie kuchennej.

Tomas i Pug wybuchli śmiechem. Ojciec Tomasa robił wiele hałasu o to, że psotny smok jest plagą zesłaną przez bogów na jego kuchnię, która zawsze była we wzorowym porządku, ale już kilka razy obaj chłopcy nakryli go, jak w tajemnicy przed wszystkimi podrzucał bestii najlepsze kąski z obiadu. W ciągu ostatnich piętnastu miesięcy, kiedy Pug terminował u Kulgana, Fantus stał się dla większości mieszkańców zamku uskrzydloną i pokrytą łuskami maskotką, chociaż trzeba stwierdzić, że kilka osób, jak na przykład Księżniczka, reagowało raczej nerwowo na jego smoczy wygląd.

Posuwali się forsownym marszem na południowy wschód tak szybko, jak tylko pozwalał na to teren. Książę za wszelką cenę chciał przekroczyć Przełęcz Południową, zanim śnieg zasypie ją i odetnie ich od reszty kraju aż do wiosny. Magiczne wyczucie pogody Kulgana mówiło, że mieli spore szanse znalezienia się po drugiej stronie przed pierwszymi burzami śnieżnymi. Dotarli wkrótce do najdalszych części wielkiej południowej puszczy — do Zielonego Serca.

We wcześniej umówionych miejscach na leśnych polanach czekały na nich ze zmianą nowych koni dwa oddziały gwardii. Książę Borric wysłał na południe gołębie pocztowe z instrukcjami dla barona Bellamy’ego, który tą samą drogą

odpowiedział, że konie będą czekały. Baron wysłał pośpiesznie w miejsce spotkania zapasowe konie i gwardię z garnizonu Jonril w pobliżu granicy wielkich lasów, wspólnie utrzymywanego przez Bellamy'ego i Tolburta z Tulan. Zmieniając konie, Książę skracał podróż do Bordon o dwa lub trzy dni. Tropiciele Martina wyraźnie oznaczyli trasę, zostawiając na drzewach wyraźne znaki. Książę spodziewał się, że do pierwszego miejsca spotkania dotrą jeszcze dziś po południu.

Pug spojrzał na Tomasa. Jego przyjaciel radził sobie coraz lepiej i coraz pewniej siedział na koniu, chociaż kiedy musieli przejechać jakiś odcinek szybkim kłusem, trzepał ramionami, jak kurczak usiłujący wzbić się w powietrze. Gardan skierował się na tyły kolumny i podjechał do chłopców jadących tuż przed taborami.

— Miejcie się na baczności, chłopaki! — krzyknął. — Wkraczamy teraz w najciemniejsze ostępy Zielonego Serca. Aż do Szarych Wież. Przez te tereny nawet Elfy przemykają szybko i tylko dużymi oddziałami.

Sierżant Gwardii Książęcej obrócił konia i pogalopował na czoło kolumny.

Jechali przez resztę dnia ostrożnie i wszystkie oczy przeszukiwały gęstwinę, wypatrując niebezpieczeństwa. Tomas i Pug rozmawiali beztrosko, a ten pierwszy robił nawet uwagi o nadarzającej się okazji do bitki. Jadący obok żołnierze nie zwracali uwagi na chłopięce przechwałki. Jechali w absolutnej ciszy i pełnej gotowości. Dotarli do miejsca spotkania tuż przed zachodem słońca. Była to olbrzymia, stara poręba. Spod śniegu sterczały gdzieniegdzie kępki zarośli obrastających stare pniaki.

Zapasowe konie stały w grupie, przywiązane na długich linkach do palików. Pilnowało ich sześciu strażników czujnie obserwujących okolicę. Kiedy oddział Księcia wyjechał z lasu, czekali przygotowani do obrony, jednak ujrzawszy znajomy sztandar Crydee, opuścili broń. Byli to ludzie z Carse. Ich szkarłatne kaftany przecięte złotym krzyżem i złocisty gryf wyhaftowany nad sercem wskazywały, że służyli pod baronem Bellamym. Ten sam znak widniał na tarczach.

Sierżant z oddziału oddał honory wojskowe.

— Witam, panie.

Borric zasalutował.

— Konie? — spytał po prostu.

— Gotowe i zniecierpliwione czekaniem, panie. Tak samo jak ludzie.

Borric zsiadł z konia i podał wodze jednemu z żołnierzy z Carse.

— Macie kłopoty?

— Żadnych, ale nie jest to miejsce dla uczciwych ludzi. Przez ostatnią noc trzymaliśmy wartę dwójkami i cały czas czuliśmy na sobie czyjś wzrok.

Sierżant był starym weteranem, który za młodu walczył z goblinami i bandytami. Blizny na jego ciele przypominały te walki. Z pewnością nie należał do tych, którzy puszczają wodze wyobraźni. Książę wiedział o tym i wydał rozkaz.

— Podwoić straże dzisiejszej nocy. Odprowadzicie konie do garnizonu jutro. Wolałbym co prawda, aby wypoczęły jeden dzień, ale to niepewne miejsce.

Podjechał do nich książę Arutha.

— Ojcze, przez ostatnich kilka godzin ja też czułem wpatrujące się w nas oczy.

Książę zwrócił się do sierżanta.

— Niewykluczone, że byliśmy śledzeni przez bandę rzezimieszków, którzy chcieli się dowiedzieć, co jest celem naszej wyprawy. Dodam ci dwóch swoich ludzi. Pięćdziesięciu czy czterdziestu ośmiu to już niewielka różnica, ale ośmiu to znacznie więcej niż sześciu.

Nawet jeżeli sierżant poczuł ulgę, to nie pokazał tego po sobie.

— Dziękuję, panie — powiedział po prostu.

Borric odprawił go i poszedł z Aruthą do środka obozu, gdzie płonęło duże ognisko. Żołnierze, jak każdej nocy podczas podróży, zaczęli wznosić naprędce prymitywne osłony przed nocnym wiatrem. Borric zauważył wśród koni dwa muły i dwie bele siana. Arutha podążył za jego wzrokiem.

— Bellamy to roztropny człowiek. Dobrze służy Waszej Wysokości.

Kulgan, Gardan i chłopcy podeszli do grzejących się przy ogniu Książąt. Zmrok zapadał szybko, chociaż nawet w południe w zasypanej śniegiem puszczy nie było wiele światła. Borric rozejrzał się dookoła i wzdrygnął się, nie tylko z zimna.

— To złowróżbne miejsce. Trzeba się wynosić stąd szybko… jak najszybciej.

Zjedli szybki posiłek i udali się na spoczynek. Tomas i Pug leżeli blisko siebie, wzdrygając się na każdy dziwny dźwięk, aż w końcu zmęczenie utuliło ich do snu.

* * *

Oddział Księcia coraz bardziej zagłębiał się w puszczę. Przedzierali się przez ostępy tak dzikie, że nawet tropiciele znaczący przed nimi trasę marszu musieli zmieniać kierunek, wracając po swoich własnych śladach, aby odnaleźć inne przejście dla koni. Knieja była mroczna, a zwalone drzewa i gęste poszycie zwalniały tempo jazdy.

Pug spojrzał na Tomasa.

— Tu chyba nigdy nie dochodzi słońce — powiedział przyciszonym głosem.

Tomas pokiwał powoli głową, nie spuszczając wzroku z okolicznych drzew. Od momentu, kiedy trzy dni temu pożegnali się z ludźmi z Carse, z każdym mijającym dniem czuli wyraźnie narastające napięcie.

Wraz z zagłębianiem się w gęstwinę, odgłosy lasu zanikały stopniowo i teraz jechali w absolutnej ciszy, tak jakby nawet zwierzęta i ptaki unikały tej części

puszczy. Pug zdawał sobie wprawdzie sprawę, że tylko nieliczne leśne stworzenia nie udały się na południe lub nie zapadły w zimowy sen, ale świadomość ta nie pomniejszała ich obaw.

Tomas zwolnił.

— Czuję, że za chwilę wydarzy się coś strasznego.

— Mówisz to już od dwóch dni — powiedział Pug. Po dłuższej chwili dodał: — Mam nadzieję, że nie będziemy musieli walczyć. Chociaż próbowałeś mnie nauczyć, nadal nie mam bladego pojęcia, jak posługiwać się tym mieczem.

— Masz — powiedział Tomas, podając mu coś. Pug wyciągnął rękę i wziął niewielki skórzany woreczek z małymi, gładkimi kamieniami i procą. — Sądziłem, że pewniej się będziesz czuł z procą. Dla siebie też wziąłem.

Minęła kolejna godzina jazdy, nim zatrzymali się na krótki popas, aby dać odpocząć koniom i zjeść suchy prowiant. Było wczesne przedpołudnie. Gardan osobiście oglądał każdego konia sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Żaden żołnierz nie miał szansy, by nawet najmniejsze zadrapanie czy dolegliwość wierzchowca zostały przeoczone. Gdyby jakiś koń osłabł, jego jeździec przesiadłby się na innego konia i ta dwójka musiałaby jakoś wrócić sama do zamku, ponieważ Książę nie mógł sobie pozwolić na opóźnienie marszu. W tak wielkim oddaleniu od bezpiecznego schronienia nikt nie śmiał głośno nazwać takiej możliwości ani nawet o niej pomyśleć.

Na spotkanie z drugim oddziałem z końmi na wymianę byli umówieni wczesnym popołudniem. Nie pędzili teraz na łeb, na szyję, jak przez pierwsze cztery dni podróży. Posuwali się ostrożnie i powoli. Zbyt szybka jazda przez las mogła być niebezpieczna. Tempo, w jakim się przemieszczali, pozwalało przypuszczać, że dotrą na miejsce na czas, lecz Książę i tak niecierpliwił się z powodu zbyt ślamazarnego marszu.

Jechali i jechali bez końca. Co jakiś czas byli zmuszeni do zatrzymywania się, bo straż przednia musiała wycinać blokujące przejazd krzaki. Uderzenia mieczy niosły się echem poprzez pogrążoną w bezruchu knieję, kiedy żołnierze podążali szlakiem wytyczonym przez tropicieli.

Pug był całkowicie pochłonięty rozmyślaniem o Carline, kiedy od strony niewidocznego dla nich czoła kolumny doszedł ich okrzyk. Jeźdźcy jadący koło Puga i Tomasa runęli do przodu, nie zważając na zagradzające im drogę zarośla i instynktownie przywierając do karku konia podczas przemykania pod niskimi gałęziami.

Chłopcy spięli wierzchowce ostrogami i popędzili w ślad za resztą. Gnali na oślep. Okryte czapami śniegu drzewa pozostawały w tyle. Las po bokach zmienił się w rozmazane pędem smugi brązu i bieli. Przywarli do końskich karków, unikając gałęzi i starając się za wszelką cenę utrzymać na grzbietach rumaków. Pug odwrócił się i zauważył, że Tomas zostaje w tyle. Gałęzie, cienkie i grube, szarpały go z boków za kapotę. Z trzaskiem łamanego poszycia wypadł na po-

lanę. W uszy wdarł się odgłos toczącej się przed nim walki. Czekające na nich wierzchowce przerażone bitwą, która rozgorzała dookoła, szarpały się, próbując wyrwać z ziemi paliki, do których były przywiązane. Pug ledwo mógł odróżnić w kłębowisku przed sobą sylwetki walczących, ciemne, zakapturzone kształty siekące mieczami od dołu w konnych Księcia.

Z tej gromady oderwała się jedna postać i biegiem ruszyła w jego stronę, unikając po drodze uderzenia gwardzisty. Dziwaczny wojownik uśmiechnął się okrutnie do niego, kiedy zauważył, że ma przed sobą tylko chłopca. Wzniósł miecz do ciosu. Nagle wrzasnął przeraźliwie i złapał się rękami za twarz. Pomiędzy palcami pociekła krew. Tomas gwałtownie ściągnął wodze swego konia tuż za Pugiem i z głośnym okrzykiem wyrzucił z procy kolejny kamień.

— Wiedziałem, że się wpakujesz w kłopoty!

Spiął konia i przecwałował po rozciągniętej w śniegu postaci. Pug stał przez chwilę jak skamieniały, po czym również spiął ostro konia. Wyciągnął procę i wyrzucił kilka pocisków, ale nie był pewien, czy trafiły do celu.

Pug znalazł się niespodziewanie w spokojniejszym miejscu. Wszędzie dookoła widział wylewające się z głębin kniei postacie w ciemnoszarych kapotach i skórzanych pancerzach. Wyglądem przypominały Elfy, tyle że miały ciemniejsze włosy i wrzeszczały w języku, który nieprzyjemnie brzmiał w uszach. Spomiędzy gałęzi wylatywały chmary strzał. Siodła jeźdźców z Crydee coraz częściej świeciły pustkami.

Dookoła leżały ciała zarówno napastników, jak i żołnierzy. Pug spostrzegł nagle martwe ciała kilkunastu ludzi z Carse i dwóch tropicieli Martina przywiązane w naturalnych pozycjach do palików dookoła obozowego ogniska. Śnieg koło nich czerwienił się plamami krwi. Przynęta zadziałała. Książę wjechał na sam środek polany i wtedy pułapka zatrzasnęła się.

Ponad bitewną wrzawą rozległ się okrzyk księcia Borrica.

— Do mnie! Do mnie! Jesteśmy otoczeni.

Pug rozejrzał się za Tomasem. Gwałtownym kopnięciem w boki zmusił konia do rzucenia się w stronę Księcia i gromadzących się dookoła niego ludzi. Strzały wypełniły powietrze, a krzyki umierających poniosły się echem po lesie.

— Tędy! — krzyknął Borric i ci, którzy ocaleli, ruszyli jego śladem. Runęli w dzikim pędzie w las, tratując po drodze atakujących łuczników. Jeszcze długo po tym, jak wyrwali się z zasadzki i galopowali nisko pochyleni nad końskimi karkami, aby uniknąć strzał i wiszących gałęzi, ścigały ich dzikie wrzaski napastników.

Pug rozpaczliwie ściągnął wodze i skierował konia w bok, chcąc uniknąć wpadnięcia na ogromne drzewo. Rozejrzał się gorączkowo. Nigdzie nie widział Tomasa. Wpatrzył się w plecy jadącego przed nim żołnierza. Postanowił skoncentrować się tylko na jednym — nie stracić z oczu jego pleców. Gdzieś z tyłu

rozległy się dziwne głośne okrzyki i inne głosy odpowiedziały im z boku. Język miał wyschnięty na wiór, dłonie w grubych rękawicach zlane potem.

Gnali galopem przez puszczę, otoczeni niesionymi echem wrzaskami i okrzykami. Chłopiec zupełnie stracił rachubę, nie wiedział, ile przejechali, ale wydawało mu się, że około dwóch kilometrów, a może więcej. Dookoła nich ciągle rozbrzmiewały nawołujące się głosy, informujące innych o kierunku ucieczki Księcia.

Przed Pugiem wyrósł nagle niewielki, lecz stromy pagórek. Zmusił pokrytego pianą konia do wysiłku i przedarł się przez zarośla. Dookoła panował szarozielony półmrok przetykany gdzieniegdzie bielą spłachci śniegu. Na szczycie wzniesienia czekał Książę z wyciągniętym mieczem. Wokół niego gromadzili się inni. Arutha, z twarzą zlaną potem mimo zimna, stał koło ojca. Dyszące ciężko konie i wyczerpani żołnierze nieopodal. Pugowi ulżyło, kiedy koło Kulgana i Gardana spostrzegł Tomasa.

Przycwałował w końcu ostatni jeździec.

— Ilu? — spytał Borric.

Gardan przebiegł szybko wzrokiem ocalałych z walki.

— Zginęło osiemnastu ludzi, mamy sześciu rannych i straciliśmy wszystkie muły i bagaże.

Borric skinął głową.

— Dajmy wypocząć koniom przez chwilę. Oni zaraz nadejdą.

— Stawimy im czoło? — spytał Arutha.

Borric potrząsnął przecząco głową.

— Są zbyt liczni. Na polanę dotarła przynajmniej setka. — Splunął. — Wjechaliśmy w zasadzkę gładko jak królik w sidła. — Rozejrzał się dookoła. — Straciliśmy prawie połowę oddziału.

Pug zwrócił się do stojącego obok żołnierza.

— Kto to był?

Gwardzista spojrzał na niego.

— Bractwo Mrocznego Szlaku, panie, i żeby tak Ka-hooli zesłał na każdego sukinsyna hemoroidy — odpowiedział, przyzywając boga zemsty. Zatoczył ręką dookoła. — Niewielkie bandy przemieszczają się przez gęstwiny Zielonego Serca, chociaż żyją głównie w górach, na wschód od tego miejsca i daleko na Ziemiach Północy. Było ich więcej, niż sądziłem. Co za parszywe szczęście!

Usłyszeli przed sobą donośne okrzyki.

— Nadchodzą. W drogę!

Oddział obrócił konie i ruszył galopem pomiędzy drzewami, uciekając przed ścigającymi. Czas jakby zatrzymał się dla Puga pochłoniętego całkowicie wyszukiwaniem bezpiecznej drogi w gęstym lesie. Dwukrotnie usłyszał okrzyk w pobliżu. Nie wiedział, czy to ktoś uderzył o gałąź, czy też dosięgła go strzała.

Znowu dojechali do polany i Książę zatrzymał ich ruchem ręki.

— Wasza Wysokość, konie nie wytrzymają długo takiego tempa — powiedział Gardan.

Borric z wściekłością uderzył pięścią w siodło, twarz poczerwieniała mu z gniewu.

— Niech to szlag trafi! A w ogóle, gdzie my, do cholery, jesteśmy?

Pug rozejrzał się dookoła. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie się w tej chwili znajdowali i jak to miejsce jest położone w stosunku do miejsca ataku. Z wyrazu twarzy stojących obok wynikało, iż nie wiedzą.

— Musimy kierować się na wschód, ojcze, w stronę gór — powiedział Arutha.

Borric potwierdził ruchem głowy.

— Ale gdzie jest wschód?

Wysokie drzewa i zachmurzone niebo rozpraszające światło słoneczne jakby się zmówiły, aby nie dać im żadnego punktu odniesienia.

— Chwileczkę, Wasza Wysokość — powiedział Kulgan i przymknął oczy. Za nimi ponownie rozległy się wśród drzew powtarzane echem okrzyki. Kulgan otworzył oczy i wskazał ręką. — Tam. Wschód jest tam.

Książę bez zbędnych pytań czy komentarzy spiął ostrogami konia i pchnął go we wskazanym kierunku, dając znak reszcie, aby podążała za nim. Pug poczuł silne pragnienie znalezienia się w towarzystwie kogoś, kogo zna, i próbował dołączyć do boku Tomasa, ale nie mógł się przecisnąć przez galopujących blisko siebie żołnierzy. Przełknął z trudem ślinę i przyznał sam przed sobą, że się strasznie boi. Wykrzywiona grymasem twarz jadącego obok gwardzisty powiedziała mu, że w tym odczuciu nie był osamotniony.

Pędzili przez mroczne leśne korytarze Zielonego Serca. Mimo że posuwali się naprzód, ciągle towarzyszyły im rozbrzmiewające echem okrzyki Mrocznych Braci informujące resztę o trasie ich ucieczki. Co jakiś czas Pugowi udawało się wyśledzić przemykającą w oddali, równolegle do ich trasy sylwetkę, którą szybko pochłaniał mrok panujący pod drzewami. Towarzyszący im biegacze nie próbowali ich powstrzymywać, ale ciągle byli w pobliżu.

Książę ponownie zarządził postój.

— Gardan! Wyślij kogoś na zwiady. Sprawdź, jak daleko są za nami. Musimy odpocząć.

Gardan wskazał trzech ludzi. Zeskoczyli szybko z koni i biegiem ruszyli z powrotem po śladach ich przejazdu. Krótki, pojedynczy szczęk stali i zdławiony krzyk oznajmił: natrafili na tropiciela Mrocznego Bractwa.

— A niech to! — krzyknął Książę. — Spychają nas po kole, z powrotem ku swym głównym siłom. Już teraz jedziemy bardziej na północ niż na wschód.

Pug wykorzystał okazję i podjechał do Tomasa. Zlane potem konie, otoczone kłębami pary, dyszały ciężko, drżąc na zimnie. Tomas zdobył się na nikły uśmiech, ale nie powiedział ani słowa.

Żołnierze pośpiesznie doglądali wierzchowców sprawdzając, czy nie są ranne. Po kilku minutach wysłani na tyły zwiadowcy wrócili biegiem, zdyszani.

— Panie, są niedaleko za nami, przynajmniej pięćdziesięciu, sześćdziesięciu — zameldował jeden z nich.

— Ile mamy czasu?

— Pięć minut, panie — odpowiedział zwiadowca z twarzą zlaną potem. Po chwili dodał jeszcze z ponurym uśmiechem. — Tych dwóch, których zabiliśmy, zatrzyma ich na chwilę, ale i tak mamy pięć minut, nie więcej.

Książę odwrócił się do reszty oddziału.

— Odpoczniemy przez chwilę i zaraz ruszamy dalej.

— Przez chwilę czy przez godzinę, co za różnica? Konie są wykończone. Powinniśmy stawić im czoło, zanim przybędzie na wezwanie więcej Braci.

Borric potrząsnął głową.

— Muszę się przedrzeć do Erlanda. Muszę go powiadomić o nadejściu Tsuranich.

Spomiędzy pobliskich drzew wyleciała strzała, a tuż za nią druga. Padł następny żołnierz.

— Jazda! — krzyknął Borric.

Wyczerpane konie pocwałowały głębiej w las. Po chwili szli stępa, rozglądając się czujnie dookoła, w oczekiwaniu ataku. Posługując się gestami rąk. Książę przeformował kolumnę tak, aby w każdej chwili mogli przerzucić się na prawą czy lewą flankę i na komendę zaatakować. Z rozdętych chrap końskich wylatywały płaty piany. Jeszcze trochę i padną, pomyślał Pug.

— Dlaczego nie atakują? — wyszeptał Tomas.

— Nie wiem — odpowiedział Pug. — Zaganiają nas tylko z obu stron i od tyłu.

Książę wzniósł ramię i kolumna zatrzymała się. Nie słyszeli odgłosów pościgu. Borric odwrócił się do reszty i powiedział przyciszonym głosem:

— Może nas zgubili. Przekażcie do tyłu, aby sprawdzić konie. — Tuż koło jego głowy, mijając ją zaledwie o kilka centymetrów, przeleciała ze świstem strzała.

— Naprzód! — krzyknął Książę i ruszyli nierównym kłusem.

— Panie? — krzyknął Gardan. — Oni chyba chcą, żebyśmy jechali!

Borric zaklął siarczyście chrapliwym szeptem.

— Kulgan, gdzie jest wschód?

Mag znowu przymknął oczy. Pug wiedział, że wypowiada w tym czasie konieczne zaklęcie, które samo w sobie nie było trudne, jeżeli stało się spokojnie, jednak w tych warunkach musiało być bardzo męczące. Oczy Kulgana otworzyły się i pokazał ręką w prawo. Kolumna kierowała się ku północy.

— Ojcze — powiedział Arutha — znowu nas zawrócili w stronę ich głównych sił.

— Tylko głupiec albo dzieciak trzymałby się dalej tej drogi — powiedział, podnosząc głos, Borric. — Na moją komendę w prawo zwrot i atakujemy.

Odczekał chwilę, aż wszyscy przygotowali broń i odmówili w myślach krótką modlitwę do swych bogów błagając, aby konie wytrzymały jeszcze jeden galop.

— Teraz! — krzyknął Książę.

Jak jeden mąż cała kolumna wykonała zwrot w prawo, jeźdźcy dali ostrogę śmiertelnie wyczerpanym koniom. Spośród drzew sypnął się deszcz strzał. Krzykom ludzi towarzyszyło rżenie trafionych koni.

Pug schylił się przed konarem i trzymając kurczowo wodze, próbował niezdarnie poradzić sobie z mieczem i tarczą. Poczuł, że tarcza wyślizguje mu się z ręki. Walcząc z nią, zauważył, że jego wierzchowiec zwalnia. Nie potrafił opanować swej broni i jednocześnie kontrolować konia.

Ściągnął wodze. Wolał zaryzykować chwilowe zatrzymanie i zająć się tarczą i mieczem. Usłyszał jakiś dźwięk. Obrócił się w prawo. Niecałe pięć metrów od niego stał łucznik Bractwa Mrocznego Szlaku. Obaj na chwilę zamarli w bezruchu. Puga uderzyło jego podobieństwo do księcia Elfów, Calina. Obie rasy różniło bardzo niewiele, byli prawie tego samego wzrostu i budowy, tylko oczy i włosy mieli inne. Cięciwa łuku zsunęła się z jednego końca. Łucznik spokojnie zajmował się jej naprawianiem, nie odrywając ciemnych oczu od Puga.

Chłopiec był tak zdumiony spotkaniem i stanięciem oko w oko z Mrocznym Bratem, że na chwilę zapomniał zupełnie, po co się zatrzymał. Siedział odrętwiały w siodle i patrzył zafascynowany jak ciemny Elf sprawnymi, opanowanymi ruchami naprawia broń.

Obserwował, jak łucznik płynnym ruchem wyciąga z kołczanu strzałę, zakłada na cięciwę i napina łuk. Przeszył go paniczny strach. Chwiejący się na nogach koń zareagował na jego rozpaczliwe kopanie w żebra i znowu ruszył. Nie widział strzały, lecz ją usłyszał i poczuł, kiedy bzyknęła mu koło ucha. Wierzchowiec przeszedł w cwał i łucznik zniknął za drzewami. Pug gonił oddział Księcia.

Usłyszał na przedzie jakiś hałas. Przynaglił konia, chociaż wszelkie oznaki świadczyły, że biedne zwierzę dawało z siebie wszystko. Pug przemykał między drzewami, z trudem znajdując drogę w mroku.

Znalazł się nagle tuż za jeźdźcem w barwach Księcia. Koń Puga niosący lżejszy ciężar nie był tak zmęczony jak tamten i chłopiec wyprzedził go. Wjeżdżali w pofałdowany teren i Pug pomyślał, że zbliżają się już do podnóża Szarych Wież.

Przeraźliwy koński kwik kazał mu się odwrócić. Zobaczył, jak żołnierz, którego przed chwilą wyprzedził, wylatuje z siodła, a jego koń pada, puszczając nozdrzami spienioną krew. Pug i jeszcze jeden jeździec zatrzymali się i zawrócili. Żołnierz wyciągnął rękę, aby pomóc tamtemu wskoczyć na konia. Pozbawiony wierzchowca gwardzista potrząsnął tylko głową i klepnął mocno stojącego przy nim konia, posyłając go w galop. Pug widział, że wierzchowiec drugiego żołnierza z ledwością może udźwignąć jednego jeźdźca, ale nigdy dwóch. Żołnierz wycią-

gnął miecz i dobił rannego konia, a potem odwrócił się i czekał na ścigających ich Mrocznych Braci. Pug podziwiał jego odwagę. Oczy mu się zaszkliły. Drugi żołnierz krzyknął przez ramię coś, czego chłopiec nie zrozumiał. Po chwili był przy nim znowu.

— Jedziemy, panie! Szybko! — krzyknął.

Pug dał koniowi ostrogę i zwierzę ruszyło chwiejnym kłusem. Uciekający, skrajnie wyczerpany oddział parł uporczywie przed siebie. Pug przesuwał się coraz bliżej czoła kolumny, w pobliże Księcia. Po kilku minutach, kiedy wjechali na kolejną polanę, Borric dał znak, aby zwolnić. Książę obrzucił wzrokiem swój oddział. Na jego twarzy pojawiła się bezsilna wściekłość, która po chwili ustąpiła miejsca zdziwieniu. Wzniósł dłoń do góry i jeźdźcy umilkli. Z głębi puszczy dobiegały ich okrzyki, lecz były dalej niż poprzednio.

Arutha popatrzył na ojca rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

— Zgubiliśmy ich?

Książę powoli pokiwał głową. Nasłuchiwał z napięciem odległych krzyków.

— Na razie tak. Kiedy przedarliśmy się przez linię łuczników, musieliśmy wymknąć się na tyły pogoni. Zorientują się szybko. Wrócą i pójdą znowu naszym tropem. W najlepszym wypadku mamy dziesięć, piętnaście minut.

Popatrzył na zmordowanych ludzi.

— Gdybyśmy tylko mogli znaleźć jakąś kryjówkę… Kulgan podjechał na chwiejącym się na nogach koniu do boku Księcia.

— Panie, chyba znalazłem wyjście z sytuacji, chociaż jest ono ryzykowne i może źle się skończyć.

— Nie gorzej niż bierne czekanie, aż przyjdą po nas. Co wymyśliłeś?

— Posiadam amulet, za pomocą którego mogę kontrolować pogodę. Zamierzałem go zachować przeciwko ewentualnym sztormom na morzu, ponieważ można go użyć tylko kilka razy. Mógłbym za jego pomocą ukryć naszą obecność. Rozkaż, panie, aby wszyscy zaprowadzili swoje konie w odległy kraniec polany, w pobliże nawisu skalnego. I niech je uciszą.

Książę wydał rozkazy i zaprowadzono zwierzęta na przeciwległy skraj polany. Gwardziści, poklepując i głaszcząc delikatnie wierzchowce, uspokoili podekscytowane i wyczerpane długą ucieczką zwierzęta.

Zbili się w gromadę w najwyższym punkcie wąskiej polany, stojąc tyłem do zwieszającej się ponad ich głowami granitowej skały w kształcie ogromnej pięści. Teren opadał łagodnie we wszystkich trzech kierunkach. Kulgan ruszył wzdłuż zbitej ciasno grupki ludzi i koni.

Cichym głosem zaintonował zaklęcie, zakreślając amuletem w powietrzu skomplikowane linie. Szarawe popołudniowe światło powoli zaczęło przygasać. Wokół nich pojawiły się pierwsze strzępy mgły. Z początku bardzo delikatne, ledwie widoczne smugi, które z czasem poczęły gęstnieć i tworzyć równomierny woal.

Nie minęło wiele czasu, a powietrze nad całą polaną, między oddziałem a odległą linią drzew, również się zamgliło. Kulgan wykonywał coraz szybsze ruchy. Mgła gęstniała, snując się w powietrzu od maga na boki pomiędzy drzewa i wypełniając szczelnie całą przestrzeń polany. Po paru minutach widoczność była ograniczona do kilku zaledwie metrów.

Kulgan niezmordowanie krążył wokół oddziału, wysyłając coraz to gęstsze mgielne zasłony, przyćmiewając i tak już mroczne światło pomiędzy drzewami. Z każdym słowem zaklęcia maga na polanie robiło się coraz ciemniej i ciemniej.

Kulgan przerwał i podszedł do Księcia.

— Wszyscy muszą zachować absolutną ciszę — szepnął. — Gdyby tu przypadkiem zbłądzili po omacku, mam nadzieję, że teren wznoszący się wokół skały sprawi, iż okrążą ją z jednej albo drugiej strony i nie będą wchodzili wyżej. Nikt nie śmie nawet drgnąć. Każdy, nawet najmniejszy hałas może nas zdradzić.

Wszyscy potwierdzili skinieniem głowy, że rozumieją. Niebezpieczeństwo nadciągało szybko. Mieli stać w samym środku gęstej mgły w nadziei, że Mroczni Bracia przejdą obok, a oni jeszcze raz znajdą się na ich tyłach. Stawka była bardzo wysoka. Wszystko albo nic. Gdyby im się udało, istniały duże szanse, że zanim Bractwo powróci do ostatniego punktu wyjścia i zacznie tropić ich od nowa, oni będą już daleko.

Pug nachylił się do Tomasa.

— Całe szczęście, że teren jest skalisty, w przeciwnym razie zostawilibyśmy pełno śladów.

Tomas zbyt przestraszony, aby mówić, kiwnął głową. Stojący obok gwardzista dał im znak, żeby byli cicho, i Pug potwierdził kiwnięciem głowy.

Gardan, kilku żołnierzy. Książę i Arutha zajęli stanowiska na pierwszej linii i stali z dobytą bronią na wypadek, gdyby podstęp miał się nie udać. Głośne okrzyki idącego ich tropem Mrocznego Bractwa nasiliły się. Kulgan stał koło Księcia i powtarzając cały czas zaklęcie, zbierał wokół nich kolejne fale mgły, po czym wysyłał je przed oddział. Pug zdawał sobie sprawę, że mgła będzie się rozchodziła szybko na wszystkie strony, okrywając swoim całunem coraz to większy teren, tak długo, jak długo Kulgan będzie intonował zaklęcie. Każda dodatkowa minuta sprawiała, że coraz większy obszar Zielonego Serca pogrążać się będzie we mgle, czyniąc ich odnalezienie przez napastników o wiele trudniejszym.

Pug poczuł na policzku mokre dotknięcie. Spojrzał w górę. Zaczynał padać śnieg. Z niepokojem spojrzał na mgłę zastanawiając się, czy nadchodzący śnieg nie zniweczy wysiłków maga. Patrzył z napiętą uwagą przez dobrą minutę i w końcu po cichu westchnął z ulgą, ponieważ białe płatki wzmacniały jeszcze maskujący efekt.

Usłyszał w pobliżu cichy odgłos kroków. Pug i wszyscy dookoła zamarli. Usłyszeli słowa wypowiedziane w dziwnym języku Bractwa.

Puga zaswędziało między łopatkami. Nawet nie drgnął, próbując zignorować dokuczliwe odczucie. Nie ruszając głową, zerknął w bok na Tomasa. Przyjaciel stał jak wmurowany. Dłoń trzymał na pysku swego konia i przypominał posąg stojący we mgle. Wszystkie wierzchowce zostały nauczone, że położenie dłoni na pysku oznacza nakaz zachowania absolutnej ciszy.

Pug prawie podskoczył, kiedy z mlecznej szarości odezwał się drugi głos. Zabrzmiał tak blisko, że wydawało się, iż Mroczny Brat stoi tuż przed nim. Z dalszej odległości usłyszeli odpowiedź.

Gardan stał tuż przed Pugiem. Chłopiec zauważył, jak plecami sierżanta wstrząsnął dreszcz. Gardan ukląkł powolutku. Bezgłośnie położył miecz i tarczę na ziemi. Wstał powoli i równie powolutku wyciągnął nóż zza pasa. Błyskawicznie zrobił krok w przód i zniknął we mgle. Jego ruchy były tak szybkie i płynne, jak ruchy kota znikającego w mroku. Usłyszeli cichy dźwięk i Gardan pojawił się znowu.

Przed Gardanem szamotał się Mroczny Brat. Jedna ogromna, ciemna łapa Gardana zakrywała jego usta. Drugim przedramieniem dusił go za gardło. Nawet na ułamek sekundy nie mógł puścić Elfa, aby zakłuć go nożem. Gardan zgrzytnął z bólu zębami. Ciemny stwór rozdarł mu ostrymi i podobnymi do pazurów paznokciami rękę. Oczy walczącego rozpaczliwie o powietrze i uwolnienie się Elfa wychodziły z orbit. Gardan trzymał go wysoko uniesionego w powietrzu. Krew z rozdzieranego przez stwora przedramienia płynęła strumyczkiem, lecz potężny sierżant nawet nie drgnął. Po chwili ręce i nogi Elfa zwiotczały i zwisł bezwładnie. Gardan błyskawicznym ruchem ramienia skręcił mu kark i ciemny Elf osunął się bezgłośnie na ziemię.

Sierżant był potwornie zmęczony. Z trudem łapał powietrze. Obrócił się powolutku, ukląkł i wepchnął nóż za pas. Podniósł tarczę i miecz i stanął, podejmując czuwanie.

Pug był przejęty jednocześnie i grozą, i podziwem dla sierżanta, jednak podobnie jak reszta mógł tylko obserwować w milczeniu. Czas mijał powoli. Rozgniewane głosy szukających kryjówki uciekinierów oddalały się i cichły. W końcu, jak długie westchnienie ulgi stojących na polanie, zapadła martwa cisza.

— Minęli nas — szepnął Książę. — Poprowadźcie konie. Ruszamy na wschód.

* * *

Pug rozejrzał się w mroku. Książę Borric i Arutha prowadzili pochód. Gardan został przy boku wyczerpanego magicznym działaniem Kulgana. Tomas masze-

rował bez słowa obok przyjaciela. Spośród pięćdziesięciu gwardzistów, którzy wyruszyli z Księciem z Crydee, pozostało trzynastu. Tylko sześć koni przeżyło ten dzień. Kiedy poczynały się chwiać się na nogach, jeźdźcy, zaciskając usta, szybko skracali zwierzętom męczarnie.

Posuwali się z trudem, wspinając się coraz wyżej na wzgórza. Chociaż słońce już zaszło, Książę, obawiając się powrotu ścigających, nakazał kontynuowanie marszu. Szli ostrożnie w trudnym, okrytym mrokiem terenie. Co jakiś czas czerń nocy przerywało rzucone z cicha przekleństwo, kiedy ktoś z idących poślizgnął się na oblodzonych skałach.

Zziębnięty Pug parł odrętwiały do przodu. Dzień był długi jak wieczność. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz zatrzymali się czy jedli. Jakiś czas temu jeden z żołnierzy podał mu bukłak z wodą, lecz pojedynczy łyk nie wystarczył na długo. Nabrał w garść śniegu i włożył do ust, lecz roztapiająca się lodowata breja przyniosła niewielką ulgę. Śnieżyca była coraz większa, lub przynajmniej tak się Pugowi wydawało. Nie widział w ciemności, jak pada, ale płatki uderzały go w twarz częściej i z większą siłą. Robiło się przeraźliwie zimno i mimo że miał na sobie grubą kapotę, drżał na całym ciele.

W mroku rozległ się wyraźny szept Księcia.

— Zatrzymać się. Wątpię, żeby szukali nas po nocy. Odpoczniemy tutaj.

— Śnieg zasypie nasze ślady do rana. — Usłyszeli gdzieś z przodu szept Aruthy.

Pug opadł na kolana i opatulił się mocniej kapotą. Usłyszał w pobliżu głos Tomasa.

— Pug?

— Jestem tutaj — odpowiedział po cichu.

Tomas opadł ciężko na ziemię koło niego.

— Chyba już nigdy… — powiedział, przerywając i dysząc ciężko — nie ruszę ani ręką… ani nogą.

Pug jedynie kiwnął głową.

— Żadnego ognia. — Usłyszeli z ciemności głos Księcia.

— To za zimna noc na obóz bez ogniska, Wasza Wysokość — powiedział Gardan.

— Wiem o tym, ale jeżeli ten diabelski pomiot kręci się gdzieś w pobliżu, ogień zwabi ich i ani się obejrzymy, jak z wyciem spadną na nas. Zbijcie się ciasno razem, to nikt nie zamarznie. Wystaw warty i każ reszcie spać. Kiedy tylko zaświta, chciałbym oderwać się od nich jak najdalej.

Pug poczuł, jak dookoła cisną się ludzie. Zrobiło się od razu cieplej i chłopiec nie zwracał uwagi na niewygodę. Zapadł wkrótce w nerwową, przerywaną często drzemkę, a potem był już świt.

* * *

W nocy padły trzy kolejne konie. Ich zamarznięte na sztywno ciała wystawały spod śniegu. Pug wstał. Kręciło mu się w głowie i był cały obolały i sztywny. Trząsł się nieprzytomnie. Przytupywał nogami, próbując pobudzić przemarznięte ciało do życia. Tomas poruszył się przez sen, po czym gwałtownie przebudził. Rozglądał się nieprzytomnie dookoła obserwując, co się dzieje. Podniósł się niezgrabnie na nogi i też zaczął przytupywać i wymachiwać ramionami.

— Jeszcze nigdy tak nie zmarzłem — powiedział, szczękając zębami.

Pug rozejrzał się. Znajdowali się w zagłębieniu, wciśniętym w podnóże wysokiej, granitowej skały. Tylko gdzieniegdzie leżały spłachetki śniegu. Naga, szara skała wznosiła się nad nimi na dziesięć metrów i łączyła w górze ze skalną granią. Teren opadał po obu stronach ich drogi. Drzewa, jak zauważył Pug, były tu cieńsze i rosło ich niewiele.

— Chodź ze mną — powiedział do Tomasa i począł się wspinać po głazach.

— A niech to! — rozległo się za nimi.

Chłopcy odwrócili się. Gardan klęczał nad nieruchomym gwardzistą. Sierżant spojrzał na Księcia.

— Umarł w nocy, Wasza Wysokość. — Potrząsnął głową. — Był ranny i nie wspomniał o tym ani słowem.

Pug policzył wszystkich. Poza nim samym, Tomasem, Kulganem, Księciem i jego synem zostało tylko dwunastu żołnierzy. Tomas spojrzał w górę na Puga.

— Gdzie idziesz?

Pug zauważył, że Tomas mówił szeptem. Wskazał głową ku górze.

— Chcę zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Tomas kiwnął głową i kontynuowali wspinaczkę. Co prawda zesztywniałe palce reagowały bólem na mocne chwytanie się ostrych występów, ale wysiłek sprawił, że Pugowi zrobiło się ciepło. Wspiął się pod sam szczyt, uchwycił mocno skalnej krawędzi i podciągnął do góry. Poczekał na Tomasa.

Przyjaciel dotarł do niego, ciężko dysząc, i wyjrzał na drugą stronę.

— Bogowie!

Przed nimi wznosiły się majestatycznie ku niebu wysokie szczyty Szarych Wież. Poza nimi, na horyzoncie wstawało właśnie słońce, rzucając na południowe stoki różową i złocistą poświatę. Zachodnie granie pogrążone były jeszcze w błękitno-fioletowym półmroku. Śnieg przestał padać i niebo było krystalicznie czyste. Gdziekolwiek skierowali wzrok, wszystko pokrywał śnieg.

Pug pomachał do Gardana. Sierżant podszedł do podnóża skały i wspiął się kawałek.

— O co chodzi?

— Szare Wieże! Nie dalej niż dziesięć kilometrów.

Gardan machnął na nich ręką, aby zeszli na dół. Zaczęli schodzić ostrożnie, a ostatnie dwa metry pokonali, skacząc z hałasem. Teraz, kiedy mieli cel swej podróży w zasięgu wzroku, wszystkim ulżyło. Podeszli do naradzających się Księcia, Aruthy i Kulgana. Borric mówił spokojnie, a jego słowa niosły się wyraźnie w ostrym powietrzu.

— Zabrać wszystko z padłych zwierząt i rozdzielić pomiędzy ludzi. Pozostałe konie idą z nami, ale nikt na nich nie jedzie. Nie chować martwych, bo i tak zostawiamy szeroki ślad.

Gardan zasalutował i zaczął krążyć między żołnierzami stojącymi pojedynczo lub dwójkami i obserwującymi pilnie, czy nie nadciąga pogoń.

Borric popatrzył na Kulgana.

— Czy wiesz, gdzie leży Południowa Przełęcz?

— Spróbuję posłużyć się magicznym widzeniem, panie.

Kulgan skoncentrował się, a Pug obserwował go pilnie. Widzenie za pomocą zmysłów było jeszcze jedną sztuką, której nie udało mu się opanować w czasie nauki. Było to podobne do posługiwania się kryształową kulą, lecz mniej spektakularne i obrazowe. Polegało raczej na odbieraniu ogólnego wrażenia tego, gdzie poszukiwana rzecz się znajdowała w stosunku do rzucającego zaklęcie. Po kilku minutach absolutnej ciszy Kulgan zwrócił się do Księcia.

— Nie potrafię tego określić, panie. Gdybym tam był poprzednio, to być może, ale nie rejestruję żadnego wrażenia, w którym kierunku może znajdować się przełęcz.

Borric kiwnął głową.

— Szkoda, że nie ma z nami Martina. Zna dobrze punkty orientacyjne tych okolic. — Zwrócił się na wschód, jakby widział Szare Wieże poprzez odgradzające ich zbocze. — Wszystkie szczyty wydają mi się identyczne.

— Ojcze, może na północ? — spytał Arutha.

Borric skwitował uśmiechem sposób rozumowania Aruthy.

— Tak. Jeżeli przełęcz leży na północ od nas, mamy jeszcze szansę, aby ją przekroczyć, zanim zostanie zupełnie zasypana. Gdy znajdziemy się po drugiej stronie gór, pogoda na wschodzie powinna być nieco łagodniejsza. Tak przynajmniej bywało do tej pory. Będziemy w stanie dojść do Bordon. Jeżeli natomiast jesteśmy już po północnej stronie przełęczy, to w końcu dojdziemy do Krasnoludów. Na pewno udzielą nam schronienia i może znają drogę na wschód.

Przyjrzał się uważnie zmęczonym ludziom.

— Mając trzy konie i śnieg zamiast wody, powinniśmy przetrwać kolejny tydzień. — Spojrzał z uwagą w niebo. — Jeżeli pogoda się utrzyma.

— Przez najbliższe dwa, trzy dni pogoda powinna nam dopisywać — powiedział Kulgan. — Niestety, nie jestem w stanie wejrzeć dalej w przyszłość.

Z głębi lasów, gdzieś daleko pod nimi rozległ się okrzyk niesiony echem ponad koronami drzew. Wszyscy zamarli. Borric spojrzał na Gardana.

— Sierżancie, jak daleko są?

Gardan nasłuchiwał.

— Trudno ocenić, panie. Może dwa, może trzy kilometry. Może więcej? Głosy dziwnie rozchodzą się w lesie, szczególnie gdy jest mroźno.

Borric skinął głową.

— Zbieraj ludzi. Wyruszamy natychmiast.

* * *

Palce Puga krwawiły przez podarte rękawice. Przy każdej nadarzającej się w czasie dnia okazji Książę prowadził swój oddział po skałach, aby uniemożliwić tropicielom Mrocznego Bractwa śledzenie ich. Co godzina wysyłano na tyły jednego żołnierza, aby markował fałszywe ślady i zacierał, najlepiej jak mógł, ich własne ciągniętym po ziemi kocem, zdjętym z martwego konia.

Zatrzymali się na skraju otwartej, pokrytej skałami przestrzeni, otoczonej dookoła rozrzuconymi gdzieniegdzie karłowatymi sosenkami i osikami. Wchodzili w coraz wyższe partie gór. Woleli zaryzykować marsz po trudniejszym, skalistym terenie niż dać się wyśledzić czarnym Elfom. Od świtu posuwali się poszarpaną granią w kierunku północno-wschodnim, w stronę Szarych Wież. Ku rozpaczy Puga góry wcale się nie przybliżały.

Było samo południe. Słońce stało wprost nad głowami, jednak chłopiec, z powodu zimnego wiatru wiejącego ze szczytów Szarych Wież, nie odczuwał zupełnie jego ciepła. Usłyszał dochodzący z tyłu głos Kulgana.

— Póki będzie wiało z północnego wschodu, nie grozi nam śnieg. Wierzchołki zatrzymują całą wilgoć. Gdyby jednak wiatr zmienił kierunek i powiało z zachodu albo z północnego zachodu znad Bezkresnego Morza, śniegi na pewno przyjdą.

Pug wspinał się między skałami, dysząc ciężko i z trudem łapiąc równowagę na oblodzonej powierzchni.

— Kulgan, czy my też musimy słuchać twoich wykładów? — spytał jeden z żołnierzy.

Reszta roześmiała się i na chwilę ponure napięcie ostatnich dwóch dni zelżało. Doszli do sporego płaskowyżu przed kolejnym, ostrym wzniesieniem i Książę zarządził postój.

— Rozpalcie ognisko i zabijcie jednego konia. Poczekamy tu na ostatnią tylną straż.

Gardan szybko rozesłał ludzi, aby nazbierali drewna. Jeden z nich otrzymał rozkaz odprowadzenia na bok dwóch koni. Mimo ich tresury i przygotowania Gardan nie chciał, żeby przemęczone, podenerwowane, poranione i głodne wierzchowce poczuły zapach krwi.

Wybrany koń kwiknął przeraźliwe i ucichł. Kiedy zapłonęły ogniska, żołnierze umieścili nad nimi duże kawały mięsa i wkrótce w powietrzu rozszedł się zapach pieczonej koniny. Chociaż Pug spodziewał się, że nie będzie mu smakowała, poczuł, jak ślinka cieknie mu na myśl o jedzeniu. Po pewnym czasie otrzymał patyk z nadzianym kawałem pieczonej wątroby. W okamgnieniu mięso zniknęło w brzuchu. Tomas siedzący opodal, rozprawiał się z porcją skwierczącej szynki.

Po posiłku zawinięto pozostałe, dymiące jeszcze mięso w podarte na pasy koce i kaftany i rozdzielono pomiędzy wszystkich.

Żołnierze zaczęli zwijać obóz. Gaszono ogniska, zacierano ślady i przygotowywano się do wymarszu. Pug i Tomas siedzieli koło Kulgana.

Gardan podszedł do Księcia.

— Panie, tylna straż się spóźnia.

Borric skinął głową.

— Wiem. Powinni wrócić ponad pół godziny temu. — Popatrzył w dół zbocza ku wielkiej puszczy okrytej mgiełką na horyzoncie. — Poczekamy jeszcze pięć minut, a potem ruszamy.

Czekali w milczeniu, ale gwardziści nie pojawili się. W końcu Gardan zwrócił się do swych żołnierzy.

— No dobra, chłopaki, ruszamy.

Gwardziści ustawili się w kolumnę za Księciem i Kulganem. Chłopcy zamykali pochód. Pug policzył wszystkich. Zostało tylko dziesięciu żołnierzy.

* * *

Po dwóch dniach nadciągnęły z wyciem wichry. Lodowate igiełki siekły odkryte ciało. Wszyscy otulili się szczelniej, pochylili i brnęli powoli ku północy. Aby zapobiec odmrożeniom nóg, poobwiązywano buty szmatami, ale niewiele to pomagało. Pug na próżno starał się uwolnić oczy od lodu. Nie udało mu się. Na ostrym wietrze i tak łzawiły, a łzy szybko zamieniały się w kropelki lodu i utrudniały patrzenie. Przez wyjący wiatr przedarł się głos Kulgana.

— Panie, nadciąga burza śnieżna. Musimy znaleźć schronienie, bo inaczej zginiemy.

Książę przytaknął i ruchem ręki wysłał dwóch ludzi naprzód, aby szukali jakiejś osłony. Wybrana dwójka ruszyła przed siebie niezdarnym biegiem, potyka-

jąc się co chwila. Poruszali się niewiele szybciej niż reszta, lecz mężnie parli do przodu, by wykonać zadanie, spalając resztki mizernych sił.

Z północnego zachodu nadciągał wysoki wał chmur. Pociemniało.

— Ile czasu nam zostało, Kulgan? — zapytał Książę, przekrzykując wycie wiatru.

Kulgan machał ręką ponad głową. Wicher rozwiewał mu brodę i włosy, odkrywając wysokie czoło.

— Najwyżej godzina.

Książę skinął głową i przynaglił ludzi do szybszego marszu. Przejmujące, straszne rżenie konającego konia wzniosło się ponad świst wiatru. Po chwili żołnierz krzyknął, że padł ostatni koń. Borric zaklął i zatrzymał kolumnę. Rozkazał jak najszybciej dobić zwierzę i poćwiartować. Żołnierze szybko wykonali rozkaz i po chwili na śniegu leżały dymiące kawały mięsa, stygnąc przed zawinięciem w koce. Skończyli i rozdzielili równo mięso.

— Jeżeli znajdziemy jakieś schronienie, rozpalimy ognisko i upieczemy mięso — krzyknął Książę.

Pug dodał po cichu sam do siebie, że jeżeli nie znajdą, to mięso i tak na wiele im się nie przyda. Znowu ruszyli w drogę.

Po paru chwilach powrócili dwaj wysłani naprzód gwardziści z wieściami, że niecałe pięćset metrów przed nimi jest jaskinia. Książę nakazał, aby poprowadzili resztę.

Zaczynała się zamieć. Niebo było zupełnie ciemne, a widoczność ograniczona do stu, dwustu metrów. Pug czuł narastający zawrót głowy. Z ledwością wyciągał stopy z tworzących się już zasp. Obie ręce miał zgrabiałe. Zastanawiał się, czy ich nie odmroził.

Tomas, z natury bardziej odporny, trzymał się troszkę lepiej, ale i on był zbyt zmęczony, aby mówić. Brnął po prostu przez śnieg u boku przyjaciela.

Pug stwierdził nagle, że leży twarzą w śniegu. Poczuł senność i ogarniające go ciepło. Tomas ukląkł koło Puga i potrząsnął nim mocno. Na wpół przytomny chłopiec jęknął.

— Wstawaj! — krzyczał Tomas. — Już tylko parę kroków.

Przy pomocy Tomasa i jednego z żołnierzy Pug niezdarnie stanął na nogach. Tomas powiedział gwardziście, że sam już się zajmie przyjacielem. Żołnierz kiwnął głową, ale został w pobliżu. Tomas odwiązał jeden z oddanych z koca pasów, którym był obwiązany, i przymocował jego koniec do skórzanego pasa Puga. Potem na pół prowadząc się, na pół ciągnąc, ruszyli razem przed siebie.

Chłopcy szli krok w krok za jednym z gwardzistów, który w pewnym momencie odwrócił się i pomógł im przejść wokół wystającej skały. Znaleźli się u wylotu jaskini. Potykając się zrobili jeszcze kilka kroków w głąb przytulnej ciemności i padli na kamienną podłogę. W porównaniu do sytuacji na zewnątrz, gdzie wiał

wiatr, zacinając lodowatymi podmuchami, jaskinia wydawała się bardzo ciepła. Zapadli natychmiast w sen.

* * *

Pug poczuł zapach pieczonej koniny i obudził się. Podniósł się i rozejrzał. Na zewnątrz było ciemno, a w jaskini płonął ogień. W pobliżu leżał stos suchych gałęzi i chrustu. Kilku żołnierzy podsycało ostrożnie płomień. Obok stali inni i piekli nad ogniem kawałki mięsa. Pug wyprostował i zgiął palce. Piekielnie bolało. Kiedy zdjął poszarpane na strzępy rękawice, stwierdził z ulgą, że ręce nie były jednak odmrożone. Szturchnął Tomasa. Chłopak przebudził się, oparł na łokciach i zamrugał w świetle ognia.

Gardan stał po drugiej stronie ogniska i rozmawiał z gwardzistą. Nieopodal siedział Książę pogrążony w cichej rozmowie z synem i Kulganem. Za Gardanem i stojącym koło niego żołnierzem była tylko nieprzenikniona ciemność. Nie pamiętał, o której godzinie znaleźli jaskinię, ale był pewien, że on i Tomas przespali ładnych parę godzin.

Kulgan zobaczył, że się ocknęli, i podszedł.

— No i jak? Jak się czujecie? — zapytał z troską.

Powiedzieli, że zważywszy na okoliczności, czują się całkiem dobrze. Kazał im zdjąć buty i z radością stwierdził, że nie odmrozili sobie stóp, chociaż jeden z żołnierzy, jak zauważył, nie miał takiego szczęścia.

— Jak długo spaliśmy? — spytał Pug.

— Przez całą wczorajszą noc i cały dzień dzisiaj — odpowiedział mag i westchnął.

Pug zauważył, że wykonano wiele pracy. Nazbierano i przygotowano drewno na opał, które przykryto kocami. Zobaczył też złowione w sidła dwa zające, powieszone za nogi u wylotu jaskini, a przy ognisku rząd bukłaków świeżo napełnionych wodą.

— Mogłeś nas obudzić — powiedział Pug z nutką niepokoju w głosie.

Kulgan pokręcił głową.

— Książę i tak by nie ruszył przed ustaniem zamieci, a to stało się dopiero kilka godzin temu. Nie przejmuj się. Ty i Tomas nie byliście jedynymi, którzy byli zmęczeni. Wydaje mi się, że nawet niezmordowany sierżant byłby w stanie przejść zaledwie kilka kilometrów po jednej nocy wypoczynku. Książę zorientuje się w sytuacji jutro rano. Jeżeli pogoda utrzyma się, chyba ruszymy w dalszą drogę.

Kulgan powstał i dał im znak, by spali dalej, jeżeli mogą, i wrócił do Księcia. Pug nie mógł się nadziwić, że jak na kogoś, kto przespał całą dobę, był znowu wyjątkowo zmęczony. Pomyślał jednak, że dobrze by było napełnić żołądek przed udaniem się ponownie na spoczynek. Tomas odpowiedział skinieniem głowy na nie zadane pytanie i obaj przysunęli się bliżej ogniska. Jeden z żołnierzy piekących mięso dał im dwie gorące porcje.

Chłopcy zjedli je błyskawicznie, a potem usiedli, opierając się o ścianę dużej jaskini. Pug zaczął coś mówić do Tomasa, ale przerwał w pół słowa, kiedy zobaczył nagle dziwny wyraz pojawiający się na twarzy gwardzisty stojącego u wylotu jaskini. Kolana ugięły się pod nim. Gardan skoczył do przodu, chwycił go wpół i ułożył delikatnie na ziemi. Oczy Gardana rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy spostrzegł strzałę sterczącą z boku żołnierza.

Czas jakby stanął na chwilę.

— Atak! — wrzasnął Gardan.

Na zewnątrz jaskini rozległo się dzikie wycie. W krąg światła wskoczyła jakaś postać. Jednym susem przeskoczyła stos gałęzi, a potem ognisko, przewracając żołnierza piekącego mięso. Wylądowała w niewielkiej odległości od chłopców, odwróciła się na pięcie i skierowała w stronę stojących przy wyjściu. Postać była odziana w długi płaszcz i spodnie z futra. W jednym ręku dzierżyła podziobaną razami ogromną pawęż, a w drugiej wzniesiony wysoko, zakrzywiony miecz.

Pug zamarł w bezruchu. Stwór przypatrywał się ludziom w jaskini. Jego oczy błyszczały w świetle płomieni, a obnażone kły sterczały z wykrzywionych po zwierzęcemu warg. Żołnierskie wyszkolenie Tomasa dało o sobie znać. W ułamku sekundy wyciągnął z pochwy miecz, z którym się nie rozstawał ani na moment w czasie marszu. Bestia wykonała błyskawiczny półobrót i uderzyła mieczem znad głowy w Puga. Chłopiec przeturlał się na bok, unikając ciosu. Ostrze uderzyło w skałę z donośnym brzękiem. Tomas trochę niezdarnym ruchem rzucił się szczupakiem w przód i przebił pierś wroga. Napastnik padł na kolana. W wypełniających się krwią płucach zabulgotało okropnie i stwór zwalił się na twarz.

Do środka jaskini wskakiwały kolejne bestie. Żołnierze chwycili za broń i rozgorzała walka. Ciasne wnętrze jaskini wypełniło się przekleństwami i szczękiem oręża. Atakujący i obrońcy stali twarzą w twarz, nie mogąc się ruszyć na małej przestrzeni. Kilku ludzi Księcia rzuciło miecze i zza pasów wyciągnęło sztylety, bardziej skuteczne w bezpośrednim starciu.

Pug chwycił swój miecz i rozejrzał się za jakimś wrogiem. Nie mógł wypatrzyć żadnego. W migotliwym świetle ognia zauważył, że obrońcy przewyższali liczbą napastników i dwóch albo trzech żołnierzy zajmowało się jednym stworem. Wkrótce walka się skończyła i wszyscy wrogowie leżeli martwi na ziemi.

W jaskini zrobiło się nagle bardzo cicho. Słychać było tylko zdyszane oddechy gwardzistów. Tylko jeden z nich padł — ten, który na samym początku został

trafiony strzałą. Kilku innych było lekko rannych. Kulgan zaraz obszedł wszystkich, oglądając zranienia. Wrócił do Księcia.

— Nie mamy ciężko rannych, panie.

Pug spojrzał na sześć leżących na podłodze jaskini ciał bestii. Były trochę mniejsze od ludzi, ale niewiele. Miały krzaczaste brwi na wydatnych łukach brwiowych, niskie skośne czoła i gęste czarne włosy. Wszystkie miały gładką skórę twarzy o niebiesko-zielonkawym zabarwieniu, tylko policzki jednej porastał jakby młodzieńczy zarost. Ogromne, okrągłe martwe oczy błyszczały czernią źrenic na żółtym tle. Wszystkie zmarły z twarzami wykrzywionymi wściekłym grymasem i z wyszczerzonymi kłami.

Pug podszedł do Gardana i spojrzał w mrok nocy, wypatrując oznak kolejnego ataku.

— Kim… co to jest, sierżancie?

— To gobliny, Pug, chociaż nie mogę się nadziwić, co robią tak daleko od swoich terytoriów.

Podszedł do nich Książę.

— Tylko sześciu, Gardan. Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby gobliny zaatakowały oddział wojskowy, chyba że miały zdecydowaną przewagę. To było czyste samobójstwo.

— Panie! Spójrzcie tutaj — krzyknął nagle Kulgan klęczący nad ciałem goblina. Rozpiął brudny futrzany kaftan bestii i wskazywał na byle jak opatrzoną, długą ranę o poszarpanych brzegach na jego piersi.

— Tej rany nie otrzymał od nas. Została zadana jakieś dwa, trzy dni temu i fatalnie się goiła.

Gardan obejrzał dokładnie pozostałe ciała i stwierdził, że trzy inne gobliny również zostały ranne i to nie w ostatniej walce. Jeden z nich miał złamane ramię i walczył bez tarczy.

— Panie, żaden z nich nie nosił zbroi, mieli tylko broń. — Wskazał na martwego goblina z łukiem na plecach i pustym kołczanem. — Mieli już tylko jedną strzałę, tę, której użyli do zranienia Daniela.

Arutha spojrzał na leżące pokotem zwłoki.

— To było szaleństwo, beznadziejne szaleństwo.

— Tak, Wasza Wysokość, szaleństwo — powiedział Kulgan. — Byli wyczerpani potyczką, przemarznięci i wygłodniali. Zapach pieczonego mięsa doprowadził ich do szaleństwa. Po ich wyglądzie oceniam, że nie mieli nic w ustach od dłuższego czasu. Woleli postawić wszystko na jedną kartę i przypuścić szaleńczy atak, niż zamarznąć na śmierć patrząc, jak my jemy.

Borric jeszcze raz spojrzał na goblinów, a potem rozkazał ich wynieść z jaskini.

— Ale z kim oni walczyli? — rzucił pytanie bardziej do siebie niż do żołnierzy.

— Z Bractwem? — zasugerował Pug.

Borric przecząco pokręcił głową.

— Oni przeważnie trzymają z Bractwem, a kiedy nie jednoczą się przeciwko nam, nie wchodzą sobie raczej w drogę. Nie, to musiał być ktoś inny.

Tomas dołączył do grupy przy wyjściu. Rozejrzał się. Nie był tak śmiały w kontaktach z Księciem jak Pug, ale w końcu przemógł się.

— A może Krasnoludy, Panie?

Borric skinął głową.

— Jeżeli Krasnoludy napadły na pobliską wioskę goblinów, to tłumaczyłoby, dlaczego nie mieli pancerzy i prowiantu. Chwycili pewnie pierwszą lepszą broń, jaka znalazła się w zasięgu ręki, walcząc przebili się i wyrwali na wolność przy pierwszej okazji. Niewykluczone, że masz rację, może to były Krasnoludy.

Gwardziści, którzy wynieśli ciała goblinów na śnieg, wrócili biegiem do jaskini.

— Wasza Wysokość — krzyknął jeden z nich — w lesie słychać jakiś ruch.

Borric odwrócił się do reszty.

— Gotuj się!

Wszyscy wyjęli broń i przygotowali się. Po chwili usłyszeli chrzęst wielu stóp idących przez zmarznięty śnieg. Czekali. Dźwięk był coraz bliższy i głośniejszy. Pug stał w pogotowiu, trzymając kurczowo miecz. Usiłował zwalczyć narastające podniecenie i strach.

Hałas na zewnątrz ustał nagle. Maszerujący zatrzymali się. Po chwili usłyszeli odgłos pojedynczych kroków zbliżających się do jaskini. Z mroku wyłoniła się jakaś postać. Pug wspiął się na palce, aby ją zobaczyć pomiędzy żołnierzami.

— Kto nadchodzi nocą? — spytał Książę.

Przysadzista, nie mierząca więcej niż półtora metra postać ściągnęła kaptur ciężkiej kapoty, ukazując metalowy hełm na lwiej grzywie kasztanowych włosów. Para błyszczących w świetle ognia oczu zamigotała zielono. Krzaczaste, rudobrązowe brwi schodziły się nad orlim nosem. Obcy przypatrywał się oddziałowi przez moment, a potem dał znak do tyłu. Z ciemności wyłoniły się następne sylwetki.

Pug usiłował przecisnąć się na sam przód, aby lepiej widzieć. Tomas pchał się za nim. Z tyłu, za pierwszą grupą, widzieli następnych prowadzących muły. Książę i żołnierze wyraźnie odetchnęli z ulgą.

— To Krasnoludy! — zawołał Tomas. Kilku gwardzistów zaśmiało się głośno.

Stojący na przedzie Krasnolud zawtórował. Popatrzył drwiąco na Tomasa.

— A kogo oczekiwałeś, chłopcze? Przepięknej nimfy, która przyszła cię porwać?

Przywódca Krasnoludów wszedł w krąg światła. Zatrzymał się przed Księciem.

— Z twego kaftana wnioskuję, że jesteś człowiekiem z Crydee.

Uderzył się w pierś i przedstawił formalnym tonem.

— Zwą mnie Dolgan, komendant wioski Caldara i głównodowodzący narodu Krasnoludów z Szarych Wież.

Odgarnął na bok długą, sięgającą poniżej pasa brodę i wyciągnął zza pazuchy fajkę. Nabijając ją, przyglądał się uważnie zebranym w jaskini.

— No a teraz — zaczął mniej formalnym tonem — co, na bogów, sprowadza wymizerowaną kompanię wysokich braci do tego zimnego i zapadłego kąta?

# Rozdział 9

# Mac Mordain Cadal

Krasnoludy trzymały wartę.

Pug i reszta ludzi z Crydee siedzieli dookoła ogniska i zajadali z wilczym apetytem posiłek przygotowany przez towarzyszy Dolgana. Przy ogniu stał kociołek z bulgoczącym gulaszem. Gorące bochenki specjalnego chleba, wypiekanego na długie wyprawy, o grubej, twardej skórce chroniącej ciemny, słodki i przesycony miodem miąższ, znikały w mgnieniu oka. Wędzone ryby wyjęte z juków Krasnoludów stanowiły miłą odmianę po kilkudniowym spożywaniu końskiego mięsa.

Pug siedział koło Tomasa pochłoniętego bez reszty pożeraniem trzeciej porcji chleba i gulaszu i przyglądał się, jak sprawnie Krasnoludy krzątały się po obozie. Zimno nie dokuczało im tak dotkliwie jak ludziom i większość z nich została na dworze. Dwóch zajmowało się żołnierzem, rannym ciężko, lecz nie śmiertelnie. Dwóch następnych wydawało jedzenie ludziom Księcia. Jeszcze inny napełniał kubki bulgoczącym brązowym płynem z dużego bukłaka.

Razem z Dolganem było czterdziestu Krasnoludów. Dwóch synów wodza, starszy Weylin i młodszy Udell, nie odstępowało ojca na krok. Obaj bardzo przypominali ojca, chociaż Udell był raczej smaglejszy, a jego włosy nie były rudobrązowe, lecz czarne. Synowie w porównaniu z ojcem, który w rozmowie z Księciem gestykulował zamaszyście, trzymając w jednym ręku fajkę, a w drugim kubek piwa, wydawali się spokojni i opanowani.

Wszystko wskazywało na to, że Krasnoludy pełniły straż wzdłuż krawędzi lasu, chociaż Pug odniósł wrażenie, że patrol, który zapuścił się tak daleko od rodzinnej wsi, był nieco dziwny. Po drodze natknęli się na ślady goblinów, które zaatakowały niedawno i zaczęły ich śledzić. Gdyby nie to, nie zauważyliby śladów przejścia oddziału Księcia, ponieważ nocna zamieć zatarła wszelkie tropy.

— Pamiętam cię, Wasza Wysokość — mówił Dolgan, pociągając łyk piwa — chociaż kiedy po raz ostatni byłem w Crydee, ledwo co odrośliście od ziemi, panie. Ucztowałem z twym ojcem. Pięknie nas wtedy przyjął, oj, pięknie. Stół aż się uginał.

— Jeżeli przyjedziesz znowu do Crydee, Dolgan, mam nadzieję, że mój wyda ci się równie interesujący.

Potem rozmowa potoczyła się na temat misji Księcia. Przez cały czas przygotowywania posiłku Dolgan milczał zatopiony w myślach. Ocknął się nagle i spojrzał na wygasłą fajkę. Westchnął ze smutkiem i odłożył ją na bok. Zauważył, że Kulgan wyciągnął właśnie swoją i zaczął wypuszczać słusznej wielkości kłęby dymu. Krasnolud rozpromienił się.

— Mistrzu sztuki magicznej, czy byłoby wielkim uszczerbkiem dla twego kapciucha towarzystwo drugiej fajki?

Dolgan, jak wszystkie Krasnoludy posługujące się królewskim językiem, mówił gardłowo, dziwnie zniekształcając głoski, i archaizował nieco.

Kulgan wyciągnął woreczek z tytoniem i podał Krasnoludowi.

— Dzięki wyrokom opatrzności, moja fajka i kapciuch to dwa przedmioty, które zawsze mam przy sobie. Mogę pogodzić się z utratą innych dóbr ziemskich, chociaż przyznać muszę, że strata dwóch ksiąg poruszyła mnie do głębi, jednakże okoliczności, w których miałbym być pozbawiony komfortu mej fajki, nie, to przekracza moje wyobrażenie.

Dolgan zapalił z namaszczeniem świeżą fajkę.

— Dobrze prawisz, mistrzu Kulganie. Poza jesiennym piwem, towarzystwem mej kochającej małżonki czy, oczywiście, dobrą bitką, nie ma wielu rzeczy, które sprawiałyby mi równie wielką i czystą przyjemność jak fajka.

Zaciągnął się głęboko i wypuścił ogromny kłąb dymu, potwierdzając wypowiedziane wcześniej słowa. Zamyślił się. Ogorzała i pokryta głębokimi bruzdami twarz spoważniała.

— No, ale przejdźmy może do wieści, które przynieśliście. Dziwne rzeczy prawicie… wyjaśniają one wszakże kilka tajemnic, z którymi nie mogliśmy się uporać od pewnego czasu.

— Tajemnic? — spytał Borric.

Dolgan zakreślił ręką łuk, ogarniając góry u podnóża jaskini.

— Jak już mówiliśmy, musieliśmy zacząć patrolować okolice. Rzecz to dla nas zupełnie nowa, drzewiej bowiem wsze ziemie wokół kopalń naszych i ziemi rolnej wolne były od wszelkiego zamętu i kłopotu.

Uśmiechnął się.

— Czasami, bywało, jakaś banda zuchwała albo moredhele czy jak wy ich zwiecie, Mroczni Bracia, lubo też szczep goblinów głupszy niż inne, niepokoiły nasz naród. Przeważnie jednak spokój panował. Ostatnimi czasy jednakże wszystko na opak idzie. Jakiś miesiąc temu, może trochę więcej, zauważyliśmy masowe wędrówki moredheli i goblinów z ich wiosek na nasze ziemie na północy. Wysłaliśmy kilku chłopców, aby sprawdzili, w czym rzecz. I cóż, odnaleźli oni opustoszałe i porzucone wioski u jednych i drugich. Niektóre co prawda były splądrowane i zniszczone, lecz inne nie ruszone zupełnie. Po prostu porzucone. Nie trzeba chy-

ba mówić, że przemieszczanie się tych niegodziwców i łotrów zwiększyło zdecydowanie nasze własne problemy. Co prawda nie odważyli się atakować naszych wiosek położonych wysoko na płaskowyżach i górskich polanach, lecz w czasie marszu napadają stada na niżej położonych łąkach. Dlatego musimy teraz wysyłać patrole w dolne partie gór. Zimy tylko patrzeć i wszystkie stada zeszły na najniżej położone pastwiska. Musimy być czujni. Wasi posłańcy najprawdopodobniej nie dotarli do naszych wiosek — przez ogromne rzesze moredheli i goblinów opuszczających w popłochu góry, aby schronić się w lasach. Teraz przynajmniej wasze informacje rzuciły nieco światła na to, co powoduje ich wędrówkę.

Książę kiwnął głową.

— Tsurani.

Dolgan zamyślił się na moment, a Arutha rzekł:

— Musieli więc pojawić się tam w wielkiej sile.

Borric obrzucił syna pytającym spojrzeniem. Dolgan zachichotał radośnie.

— Oj, łebskiego macie chłopaka, Książę, łebskiego.

Pokiwał w zamyśleniu głową.

— Prawdę rzekłeś, Książę. Są tam w górze i siła ich. Można wiele mówić o niewybaczalnych ułomnościach charakteru moredheli, lecz nie można im odmówić kunsztu wojennego.

Dolgan pogrążył się znowu w myślach. Cisza zapadła na dłużej. Wódz Krasnoludów wysypał resztki tytoniu z fajki.

— Naród nasz nie na darmo jest znany z najlepszych na zachodzie wojowników. Jesteśmy wszelako wystarczająco liczni, aby pozbyć się kłopotliwego sąsiada. Jednak żeby wyrzucić z naszych granic tak znacznego przeciwnika, trzeba wielkiej, dobrze uzbrojonej i zaopatrzonej w zapasy siły.

— Dałbym wiele, aby się dowiedzieć, jak dostali się w góry — powiedział Kulgan.

— A ja bym raczej wolał dowiedzieć się, ilu ich jest — zauważył Książę.

Dolgan znowu napełnił fajkę tytoniem. Zapalił i zapatrzył się w ogień.

Weylin i Udell kiwnęli do siebie głowami i Weylin zabrał głos.

— Książę, ich liczba może sięgać pięciu tysięcy.

Zanim zdumiony Książę zdołał cokolwiek powiedzieć, Dolgan wyrwał się z zadumy. Zaklął szpetnie.

— Raczej dziesięć tysięcy! — Obrócił się i spojrzał na nic nie rozumiejącego Księcia. — Podejrzewaliśmy, że powodem exodusu może być wszystko z wyjątkiem inwazji. Myśleliśmy, że może to zaraza, bratobójcze walki między plemionami czy wreszcie, że szkodniki nawiedziły ich pola, powodując głód. Ale przecież nikt nie podejrzewał, że to może być inwazja obcych. Sądząc z liczby opustoszałych wiosek, domyślamy się, że z wnętrza Zielonego Serca zeszło z gór kilka tysięcy moredheli i goblinów. Co prawda niektóre ich osady to kilka krzywych chałup na krzyż i moich dwóch chłopaków poradziłoby sobie z nimi

samowtór. Trzeba mieć jednak na uwadze, że inne to posadowione w obronnych miejscach na pagórkach i otoczone wałem forty ze stu czy nawet dwustuosobową załogą. Obcy w ciągu tych kilku tygodni zmietli już z powierzchni ziemi kilkanaście takich warowni. Książę, jak sądzisz, ilu ludzi by ci trzeba było, aby dokonać czynu takiego, hę?

Po raz pierwszy w życiu Pug zobaczył, jak na twarzy Księcia Borrica maluje się strach. Wsparł rękę na kolanie i pochylił się do przodu.

— W Crydee mam pięciuset ludzi, wliczając w to obsadę wszystkich pogranicznych garnizonów. Mogę zawezwać pod broń jeszcze ośmiuset, może tysiąc żołnierzy z garnizonów w Carse i Tulan, co by jednak pozostawiło je pozbawione jakiejkolwiek obrony. Pospolite ruszenie z miasteczek i wiosek to w najlepszym wypadku kolejny tysiąc, przy czym większość to weterani pamiętający jeszcze czasy oblężenia Carse albo niedoświadczeni chłopcy.

Arutha był równie przygnębiony jak ojciec.

— Najwyżej cztery i pół tysiąca — z czego jedna trzecia właściwie bez żadnego przygotowania — przeciwko dziesięciotysięcznej armii.

Udell spojrzał na swego ojca, a potem na Borrica.

— Wasza Wysokość, mój ojciec nie chełpi się po próżnicy kunsztem wojennym jego narodu czy moredheli. Wszystko jedno, czy to pięć, czy dziesięć tysięcy, panie. Muszą to być okrutnie silni i doświadczeni wojownicy, aby tak prędko przepędzić wrogów naszej rasy.

— Tak sobie myślę, panie — powiedział stary Krasnolud — iż najlepiej uczynicie, jeżeli pchniecie czym prędzej posłańca do starszego syna i wasali, aby nie wychylali nosa poza mury zamków. Ty zaś, Książę, ruszaj nie zwlekając do Krondoru. Aby powstrzymać najeźdźców, tej wiosny przyjdzie wysłać w bój wszystkie Armie Zachodu.

— Czy jest aż tak źle? — wypalił nagle Tomas i natychmiast zawstydził się, że przerwał starszym naradę. — Przepraszam, panie.

Borric machnął ręką, że nic się nie stało.

— Być może splatamy te groźne wątki, tkając materiał szerszy niż rzeczywistość, lecz wiedz, Tomas, że dobry żołnierz jest zawsze przygotowany na najgorsze. Dolgan ma rację. Muszę zabiegać o pomoc księcia Krondoru.

Zwrócił się do Dolgana.

— By jednak postawić Armie Zachodu pod broń, muszę tam dotrzeć.

— Południowa Przełęcz jest już nie do przejścia, a wasi kapitanowie statków mają wystarczająco dużo oleju w głowie, aby nie ryzykować zimowego przejścia przez Mroczne Cieśniny. Istnieje jednakże inna, choć trudniejsza, droga. Trzeba ci wiedzieć, książę Borric, że pod Szarymi Wieżami istnieją starożytne tunele, cały system chodników po starych kopalniach rud żelaza i złota, ciągnący się pod górami. Niektóre pochodzą z czasów, kiedy góry się formowały, inne zaś zostały wykute przez mój lud. Są jeszcze i takie, które nasz naród zastał u samego

zarania, kiedy zawędrował w te góry, i które zostały wykopane nie wiedzieć przez kogo. Jest jedna kopalnia, której chodniki przechodzą pod górami na drugą stronę w miejscu oddalonym o dzień marszu od drogi do Bordon. Przejście pod górami zajmuje około dwóch dni, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, bo trzeba wiedzieć, że na wędrowca i tam mogą czyhać różne niebezpieczeństwa.

Obaj bracia spojrzeli na ojca.

— Mac Mordain Cadal, ojcze?

Dolgan pokiwał z powagą głową.

— Tak, tak… porzucona kopalnia mego dziada, a jeszcze przed nim jego ojca.

Odwrócił się do Księcia.

— Wykuliśmy w skałach wiele kilometrów tuneli, a niektóre łączą się ze starymi chodnikami, o których wcześniej wspomniałem. Ponieważ Mac Mordain Cadal łączy się z dawnymi przejściami, krążą o niej równie dziwne, co mroczne i straszne opowieści. Wielu mężów z mego narodu w poszukiwaniu legendarnych bogactw zapuściło się w otchłanie starej kopalni. Większość wróciła, lecz nie wszyscy. Niektórzy zniknęli bez wieści. Każdy Krasnolud idący swoją drogą nie zgubi nigdy drogi powrotnej, więc w swych poszukiwaniach nie zabłądzili. O nie. Musiało ich spotkać coś złego. Mówię ci o tym, panie, abyście byli świadomi niebezpieczeństwa i żeby uniknąć nieporozumień. Wszelako jeśli będziemy się trzymać chodników wykutych przez mych przodków — powinniśmy dojść cało do celu.

— „Będziemy”, mój przyjacielu? — spytał Książę.

Dolgan uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Gdybym jedynie wskazał ci drogę, z całą pewnością w ciągu godziny zatracilibyście się, panie, w labiryncie. Nie, Książę, nie podoba mi się wcale podróż do Rillanonu, aby tłumaczyć się przed Królem, jak to mi się udało utracić jednego z najświetniejszych książąt Królestwa. Poprowadzę was z ochotą, ale nie za darmo, panie. — Puścił oko do Puga i Tomasa. — Zapłatą niech będzie na przykład… kapciuch tytoniu i dobra kolacja w Crydee.

Książę rozchmurzył się nieco i uśmiechnął.

— Przyjmuję warunki. I dziękuję.

Dolgan zwrócił się do synów.

— Udell, weźmiesz połowę oddziału, jednego muła oraz rannych i chorych ludzi Księcia. Ruszaj do zamku Crydee. Gdzieś w jukach znajdziesz rożek z inkaustem i pióro zawinięte w pergamin. Przynieś to Jego Książęcej Wysokości, aby mógł nagotować pismo z rozkazami dla swych ludzi. Weylin, ty zaprowadzisz drugą połowę naszych z powrotem do Caldara. Roześlij wici do innych osad i wiosek, zanim nadejdą zamiecie i burze. Z wiosną Krasnoludy z Szarych Wież wyruszają na wojnę.

Dolgan popatrzył na Borrica.

— Jak tylko sięgnę pamięcią w historię naszego narodu, nikt jeszcze nie podbił naszych górskich szczepów. Ci, co tego spróbują, pożałują gorzko. Krasnoludy staną ramię w ramię z żołnierzami Królestwa, Wasza Wysokość. Z dawien dawna cieszyliśmy się waszą przyjaźnią, panie. Handlowałeś z nami uczciwie, a gdy było trzeba, podawałeś pomocną dłoń. Teraz nie opuścimy cię w potrzebie. Staniemy na wezwanie pod twoje rozkazy.

— A co z Kamienną Górą? — zapytał Arutha.

Dolgan zarechotał donośnie.

— Dziękuję Waszej Wysokości, że raczył pobudzić moją pamięć. Stary Harthorn i jego klany nigdy by mi nie wybaczyli, że nie zostali zaproszeni, kiedy się nadarza okazja do wspaniałej bitki. Natychmiast wyślę szybkobiegaczy do Kamiennej Góry.

Pug i Tomas przyglądali się Księciu piszącemu do Lyama i Fannona. Pełne brzuchy i zmęczenie robiły swoje i pomimo długiego wypoczynku zaczął ich morzyć sen. Krasnoludy użyczyły im ciężkich i grubych kapot, które owinęli wokół sosnowych gałęzi, przygotowując sobie wygodne materace. Kilka razy w ciągu nocy Pug budził się na chwilę i słyszał przyciszoną rozmowę. Nie raz, nie dwa doszła jego uszu dziwna nazwa Mac Mordain Cadal.

* * *

Dolgan wiódł oddział Księcia skalistymi ścieżkami u podnóża Szarych Wież. Wszyscy wyruszyli o bladym świcie. Synowie wodza i ich oddziały poszły w swoją stronę. Dolgan kroczył na czele, przed Księciem i jego synem. Za nimi szedł zdyszany Kulgan i chłopcy. Kolumnę zamykało pięciu żołnierzy z Crydee, którzy byli w stanie ruszyć w dalszą drogę. Dowodził nimi sierżant Gardan. Na samym końcu podążały dwa juczne muły.

Pug szedł tuż za idącym z trudem Kulganem.

— Kulgan, poproś o odpoczynek. Wszyscy mamy dość.

— Nie, chłopcze, nic mi nie będzie. Kiedy dotrzemy do kopalni, co jak mniemam, nastąpi wkrótce, zwolnimy tempo.

Tomas przypatrzył się uważnie krępej i potężnej sylwetce Dolgana, który prowadził pochód. Krasnolud, mimo krótkich nóg, szedł zamaszystym krokiem, nadając ostre tempo marszu.

— Czy on się nigdy nie męczy?

Kulgan potrząsnął głową.

— Krasnoludy znane są szeroko z niesamowitej wytrzymałości. Dawno temu, w czasie bitwy o zamek Carse niewiele brakowało, by Bractwo Mrocznego Szlaku

go zdobyło. Krasnoludy z Kamiennej Góry i Szarych Wież wezwane na pomoc oblężonym ruszyły w drogę. Przez posłańca dotarła do nich wieść, że wkrótce zamek padnie. Biegły bez przerwy przez cały dzień, noc i pół następnego dnia i bez chwili wytchnienia spadły nagle jak jastrzębie na tyły Bractwa, rozbijając je w puch. Długi bieg w niczym nie umniejszył ich wojennej sprawności. Po tamtej bitwie Mroczne Bractwo już nigdy nie zjednoczyło się pod komendą jednego wodza.

Kulgan zadyszał się nieco.

— Dolgan nie przechwalał się wcale, kiedy mówił o cennej pomocy swego narodu. Nie ma cienia wątpliwości, że to najświetniejsi wojownicy na zachodzie. Jedynie górale Hadati, chociaż nie tak liczni jak ludzie, mogą się prawie równać z nimi w walkach górskich.

Pug i Tomas spojrzeli z szacunkiem na maszerującego zamaszyście Krasnoluda. Chociaż tempo marszu było ostre, wieczorny posiłek i kolejny, dzisiejszego ranka, podreperowały nadwątlone siły chłopców, których nikt nie musiał poganiać.

Doszli do zarośniętego krzakami wejścia do kopalni. Żołnierze wycięli zarośla i ich oczom ukazał się szeroki, niski tunel. Dolgan odwrócił się do pozostałych.

— Czasem będziecie się musieli nieco schylić, ale przeważnie miejsca jest dosyć. Nasi górnicy prowadzali tędy karawany jucznych mułów.

Pug uśmiechnął się. Krasnoludy, mając przeciętnie około półtora metra wzrostu, okazały się wyższe, niż sądził na podstawie zasłyszanych opowieści. Poza tym, że miały krótsze nogi i były wyjątkowo barczyste, nie różniły się wiele od ludzi. Dla Księcia i Gardana może być za ciasno, pomyślał, ale dla niego, który był tylko kilka centymetrów wyższy niż Krasnolud, nie powinno być problemu.

Gardan rozkazał zapalić pochodnie. Kiedy wszystko było gotowe, Dolgan poprowadził ich do wnętrza kopalni. Po wejściu w mrok tunelu odwrócił się do nich.

— Miejcie się na baczności. Sami bogowie tylko wiedzą, co zamieszkuje te chodniki. Nie powinniśmy mieć kłopotów, ale lepiej zachować ostrożność.

Pug wkroczył w ciemność. Spojrzał przez ramię, na tle słabnącego światła z zewnątrz zobaczył sylwetkę Gardana. Przez krótką chwilę pomyślał o Carline i Rolandzie, nie mogąc się nadziwić, jak szybko stała mu się daleka i jak przestały go obchodzić starania jego rywala. Pokręcił głową w zamyśleniu, po czym zwrócił spojrzenie w ciemny tunel przed nimi.

* * *

Chodnik był wilgotny. Co jakiś czas mijali odnogi odchodzące w lewo lub w prawo. Gdy się do nich zbliżali, Pug zaglądał ciekawie do środka, lecz mrok nie pozwalał spojrzeć głębiej. Płonące pochodnie rzucały na ściany tańczące cienie, raz mniejsze, raz większe w zależności od tego, w jakiej szli od siebie odległości i jak wysoki był akurat pułap korytarza. W kilku miejscach musieli pochylać głowy mułom, ale przeważnie miejsca było wystarczająco dużo.

Pug usłyszał, jak idący przed nim Tomas mruczał pod nosem: „Nie chciałbym tu zabłądzić. Straciłem w ogóle poczucie kierunku". Pug nie powiedział ani słowa. Także na nim kopalnia robiła przygnębiające wrażenie.

Po pewnym czasie dotarli do sporej jaskini z kilkoma odchodzącymi w różne strony tunelami. Zatrzymali się i Książę kazał wystawić posterunki. Pochodnie wetknięto w pęknięcia skały. Napojono muły. Chłopcy pełnili pierwszą wartę i Pugowi wydawało się ciągle, że tuż poza granicą światła poruszają się jakieś cienie. Zostali wkrótce zmienieni przez następnych i mogli dołączyć do reszty grupy, która się posilała. Dostali po kawałku suszonego mięsa i suchary.

— Co to za miejsce? — spytał Tomas Dolgana.

Krasnolud pykał fajkę.

— To miejsce chwały, chłopcze. Kiedy lud mój zaczął dobywać metale, w tym rejonie wykuliśmy wiele podobnych podziemnych sal. Wszystko zależy od tego, jak biegną żyły złóż. Czasem pokłady rudy żelaznej, złota, srebra i innych metali przecinają się w jednym miejscu i po wyeksploatowaniu poszczególnych złóż pozostają ogromne wyrobiska. Trafiają się też równie wielkie naturalne jaskinie. Wyglądają jednak inaczej. W ich wnętrzu napotkacie ogromne stalagmity i stalaktyty, zresztą zobaczycie sami.

— Jak tu jest wysoko? — spytał Tomas, zadzierając głowę.

— Nie potrafię dokładnie określić. Może trzydzieści metrów, a może dwa, trzy razy więcej. Góry nadal obfitują w złoża metali, lecz kiedy dziad mego dziada tu fedrował, bogactwo przekraczało wszelkie wyobrażenie. Wnętrze gór jest podziurawione setkami chodników pod i nad nami. Przez ten tunel… — wskazał na jeden z tuneli wychodzących z sali — można dojść do następnego, który z kolei łączy się kolejnym, a ten z następnym, i tak dalej, i dalej. Gdy pójdziesz tamtędy, dojdziesz do Mac Bronin Alroth, jeszcze jednej opuszczonej kopalni. Ten następny doprowadzi cię z kolei do Mac Owyn Dur, gdzie kilku naszych zapyta cię zapewne, jak się dostałeś do kopalni złota. — Zaśmiał się głośno. — Chociaż nie sądzę, abyś potrafił odnaleźć drogę, chyba że w twoich żyłach płynie krew Krasnoludów.

Dolgan pykał z lubością fajkę. Kolejna zmiana wartowników przyszła się posilić. Dolgan wstał.

— No, komu w drogę, temu czas.

— Myślałem, że zostaniemy tutaj na noc — zaoponował zdumiony Tomas.

— Słońce jeszcze wysoko na niebie, smyku. Przed nami pół dnia marszu.

— A ja myślałem…

— Wiem, wiem. Jeżeli nie masz szóstego zmysłu, łatwo w podziemiach stracić poczucie czasu.

Zebrali rzeczy i ruszyli w drogę. Po jakimś czasie weszli w gąszcz krętych chodników, schodzących łagodnie w dół. Dolgan wyjaśnił, że wyjście po wschodniej stronie leży kilkaset metrów poniżej zachodniego i że przez większą część trasy będą schodzili w dół.

Po pewnym czasie znowu trafili na spore wyrobisko, nie tak imponujące i wielkie jak ostatnia sala, ale i z niego odchodziło na wszystkie strony kilka chodników. Dolgan bez sekundy wahania skierował się w głąb jednego z nich.

Po paru minutach usłyszeli przed sobą szum płynącej wody.

— Wkrótce ujrzycie coś, czego nie widział jeszcze żaden człowiek, a tylko niewielu Krasnoludów — rzucił Dolgan przez ramię.

Z każdym krokiem szum pędzącej wody narastał. Weszli do naturalnej jaskini kilka razy większej niż poprzednia. Tunel, którym podążali, przechodził stopniowo w kilkumetrowej szerokości półkę skalną ciągnącą się wzdłuż prawej ściany jaskini. Wyglądając poza krawędź, nie widzieli pod sobą nic, tylko nieprzeniknony mrok. Ścieżka okrążyła wystającą skałę. Kiedy wyszli zza zakrętu, ich oczom ukazał się zapierający dech w piersi widok. Po przeciwnej stronie podziemnej sali ogromny wodospad, spadający ponad ich głowami z ponad stumetrowej wysokości, rozbijał z hukiem swe wody o przeciwległą ścianę i znikał w mrocznych czeluściach. Spadająca woda napełniała zamkniętą przestrzeń rozedrganym rykiem. Nie słyszeli nawet, jak rozbija się o dno, gdzieś daleko w dole; nie można było ocenić wysokości wodospadu. W kaskadach wody tańczyły świetliste kolory. Czerwienie, błękity, plamy złociste, zielonkawe i żółte rozbłyskiwały pośród strzępów białej piany. Tam, gdzie woda uderzała w skalną ścianę, kolorowe plamy jarzyły się intensywnym światłem, malując w mroku bajkowe obrazy.

— Setki lat temu — przekrzykiwał ryk wody Dolgan — rzeka Wynn-Ula spływała ze stoków Szarych Wież do Morza Gorzkiego. Przyszło trzęsienie ziemi, w skalnym podłożu utworzyła się rozpadlina i woda spada teraz do ogromnego podziemnego jeziora. Spływa po skałach, rozpuszczając znajdujące się w nich minerały, co nadaje jej przepiękne, jakby gorejące barwy.

Stali przez dłuższy czas, podziwiając w milczeniu podziemne wodospady Mac Mordain Cadal.

Książę dał znak, aby ruszać dalej. Poza tym, że zobaczyli cudowne widowisko, postój przy wodospadzie odświeżył ich bardzo. Po wilgotnych i zatęchłych

korytarzach podmuchy szalejącego przy wodospadzie wiatru i rozpryski świeżej wody dodały im sił na dalszą drogę, coraz głębiej i głębiej w labirynt chodników i mrocznych przejść. Gardan spytał chłopców, jak sobie radzą. Obaj odpowiedzieli, że wszystko jest w porządku, tyle że są zmęczeni.

Po dłuższym marszu dotarli do kolejnej jaskini. Dolgan zatrzymał się i oznajmił, że spędzą tutaj noc. Zapalono dodatkowe pochodnie.

— Mam nadzieję, że wystarczy nam światła do końca podróży. Pochodnie wypalają się bardzo szybko — zauważył z niepokojem Książę.

— Daj mi kilku ludzi, panie. Przyniesiemy drewna na ogień. Pełno go wszędzie, pod warunkiem że wiesz, jak szukać, aby nie zwalić sobie stropu na głowę.

Gardan i dwóch żołnierzy podążyło za Krasnoludem w boczny tunel. Reszta grupy zdjęła juki z mułów i przywiązała zwierzęta do palików wbitych w pęknięcia skał, po czym napojono je ze skórzanych bukłaków i dano trochę ziarna z żelaznego zapasu zabranego w podziemną podróż.

Borric usiadł obok Kulgana.

— Przez ostatnich kilka godzin prześladuje mnie jakieś złe przeczucie. Czy to tylko wyobraźnia, Kulgan, czy też miejsce to zapowiada coś złego?

Kulgan pokiwał głową.

Arutha przysiadł się do nich.

— Ja też coś czuję. Przypływa i odpływa jakby falami… coś nieuchwytnego, dziwnego.

Arutha pochylił się i kreślił bezwiednie końcem sztyletu esy-floresy w pyle podłoża.

— To miejsce jest w stanie każdego przyprawić o zawał serca, a może wszyscy odczuwamy to samo — po prostu niepewność i strach z powodu przebywania tam, gdzie człowiek nie powinien się znajdować?

— Myślę, że masz rację. Kiepskie to miejsce do walki czy ucieczki.

Chociaż chłopcy pełnili właśnie wartę, słyszeli rozmowę. Reszta żołnierzy także. W jaskini panowała martwa cisza i dźwięk niósł się dobrze pośród skalnych ścian.

— Mnie też ulży, jak wyjdziemy z kopalni — powiedział Pug przyciszonym głosem.

Stojący pod zatkniętą w ścianę pochodnią Tomas wykrzywił się do niego w straszliwym grymasie.

— Cóż to, boimy się ciemności, chłopczyku?

Pug prychnął gniewnie.

— Nie bardziej niż ty, gdybyś tylko miał odwagę przyznać się do tego. Potrafisz znaleźć wyjście?

Tomas przestał się uśmiechać. Nadejście Dolgana i żołnierzy przerwało dalszą rozmowę. Przynieśli sporo drewna z połamanych stempli, którymi w zamierz-

chłych czasach zabezpieczano strop i ściany chodników. Stare, wysuszone drewno szybko chwyciło ogień i jaskinia rozświetliła się ciepłym, jasnym światłem.

Nastąpiła zmiana warty i chłopcy mogli wreszcie coś zjeść. Gdy przełknęli ostatni kęs, natychmiast rozpostarli na ziemi swoje kapoty. Co prawda twardo ubita ziemia była niewygodna, ale Pug był bardzo zmęczony i błyskawicznie zasnął.

* * *

Wchodzili coraz głębiej do wnętrza kopalni. Kopyta mułów stukały po kamieniach, a dźwięk rozchodził się echem po mrocznych korytarzach. Maszerowali przez cały dzień z krótką przerwą na południowy posiłek. Zbliżali się do jaskini, w której, jak mówił Dolgan, mieli spędzić drugą noc. W ciągu ostatnich kilku godzin Pug doznawał kilka razy dziwnego wrażenia, jakby musnęło go jakieś lodowate dotknięcie. Za każdym razem odwracał się z niepokojem za siebie.

— Ja też to czuję, chłopcze — powiedział tym razem Gardan — jakby… coś było blisko nas.

Wkroczyli do kolejnego dużego wyrobiska. Dolgan zatrzymał się nagle i podniósł rękę. Wszyscy zamarli w bezruchu. Krasnolud nasłuchiwał z napięciem. Tomas i Pug wytężali słuch, lecz niczego nie słyszeli. Po chwili Dolgan odwrócił się do reszty.

— Przez moment wydawało mi się, że coś słyszę, ale chyba nie. Tutaj spędzimy noc.

Rozpalili drewno, które zostało z poprzedniej nocy.

Tomas i Pug skończyli wartę i podeszli do milczącej grupki wokół ognia.

— Ta część Mac Mordain Cadal leży najbliżej najstarszych i najgłębszych tuneli — mówił przyciszonym głosem Dolgan. — Przed nami jest kolejna jaskinia. Kilka chodników wiedzie z niej bezpośrednio do najstarszej kopalni. Kiedy ją miniemy, droga na powierzchnię będzie już krótka. Jutro koło południa powinniśmy wyjść z kopalni.

Borric rozejrzał się dookoła.

— Być może to miejsce odpowiada twej naturze, przyjacielu, lecz ja odetchnę z ulgą, kiedy będzie to już poza nami.

Dolgan roześmiał się głośno, a soczyste dźwięki odbijały się echem od ścian jaskini.

— Mylisz się, panie. To nie miejsce odpowiada mojej naturze, lecz raczej moja natura odpowiada miejscu. Jak dobrze wiesz, Książę, mój naród od niepamiętnych czasów trudnił się górnictwem i nie sprawia mi kłopotu podróżowanie

pod górami. Lecz skoro wspominasz o wyborze, to wiedz, że ja też wolałbym pilnować stad na podniebnych pastwiskach Caldara albo siedzieć w długiej sali z mymi braćmi, popijając piwo i śpiewając ballady.

— Czy dużo czasu spędzasz, śpiewając ballady? — spytał Pug.

Dolgan popatrzył na chłopca błyszczącymi od ognia oczami i uśmiechnął się przyjaźnie.

— A tak. Zimy w górach są długie i ciężkie. Kiedy sprowadzimy już bezpiecznie stada na zimowe pastwiska, nie pozostaje nam wiele do roboty. Zabawiamy się śpiewaniem naszych pieśni i czekając na przyjście wiosny, pijemy jesienne piwo. Powiadam ci, chłopcze, dobre mamy życie.

Pug kiwnął głową.

— Chciałbym kiedyś zobaczyć twoją wioskę, Dolgan.

Krasnolud pykał swoją nieodłączną fajeczkę.

— Być może któregoś dnia tak się stanie, chłopcze.

Udali się na spoczynek. Pug zapadł w sen. W środku nocy obudził się. Znowu pojawiło się mrożące krew w żyłach uczucie przeraźliwego chłodu. Usiadł zlany zimnym potem i rozejrzał się dookoła. Ogień palił się niewielkim płomieniem. Wokół leżeli śpiący ludzie. Niedaleko, pod płonącymi pochodniami widział czuwających strażników. Uczucie lodowatego zimna zaczęło narastać, jakby zbliżało się do nich coś strasznego. Już miał obudzić Tomasa, kiedy nagle skończyło się, jakby odeszło. Zmęczony i wyczerpany opadł na posłanie i wkrótce zapadł w twardy sen.

* * *

Obudził się przemarznięty i zesztywniały. Żołnierze szykowali muły do drogi. Wkrótce mieli ruszyć dalej. Pug obudził Tomasa. Chłopak głośno protestował przeciwko wyrywaniu go ze snu.

— Właśnie byłem w domu, w kuchni. Mama nakładała ogromną porcję kiełbasy na talerz, a obok czekały ociekające miodem herbatniki kukurydziane — mamrotał sennie.

Pug rzucił mu suchara.

— To ci musi wystarczyć, aż dojdziemy do Bordon. A wtedy sprawimy sobie prawdziwą ucztę.

Pozbierali skromne zapasy, zapakowali rzeczy na muły i ruszyli w drogę. Po pewnym czasie Pug zaczął znowu odczuwać lodowate ukłucia nadchodzące i znikające falami. Po paru godzinach doszli do ostatniej jaskini. Dolgan zatrzymał raptownie kolumnę u wylotu chodnika i popatrzył w mrok przed nimi.

— Przez chwilę wydawało mi się, że… — mamrotał pod nosem.

Nagle włosy zjeżyły się Pugowi na głowie i przeszyła go straszliwa fala lodowatego przerażenia, znacznie dotkliwsza niż wszystkie poprzednie.

— Dolgan! Książę Borric! — krzyknął. — Dzieje się coś strasznego!

Dolgan stał bez ruchu. Nasłuchiwał intensywnie. Z głębi jednego z tuneli doszedł ich cichy jęk.

— Ja też coś czuję! — krzyknął Kulgan.

Dźwięk powtórzył się nagle znacznie bliżej. Mrożący krew w żyłach jęk odbijał się echem od wysokiego sklepienia, utrudniając jego rozpoznanie.

— Na bogów! — wrzasnął Krasnolud. — To widmo! Szybko! Zróbmy krąg, szybko, zanim nas dopadnie, bo wszyscy zginiemy!

Gardan popchnął chłopców do przodu. Gwardziści pognali muły do środka jaskini. Unieruchomili błyskawicznie oba oszalałe ze strachu zwierzęta i utworzyli wokół krąg. Wszyscy wyciągnęli broń. Gardan stanął przed chłopcami i zepchnął ich bliżej mułów, do środka kręgu. Oni też wyciągnęli swoje miecze, ale trzymali je raczej niepewnie. Serce Tomasa waliło jak oszalałe. Pug był zlany potem. Przerażenie, które chwyciło go w lodowate szpony, nie zwiększyło się od momentu, kiedy Dolgan je nazwał po imieniu, ale i nie zmalało.

Ktoś krzyknął zduszonym głosem. Spojrzeli w prawo. Przed jednym z żołnierzy pojawiła się nagle w mroku jakaś czarna postać. Była czarniejsza niż czarne wnętrze tunelu, a zmieniający się kształt przypominał człowieka. W miejscu, gdzie powinny być oczy, jarzyły się ciemną czerwienią dwa punkciki.

— Trzymajcie się blisko siebie i pilnujcie nawzajem — krzyknął Dolgan. — Nie można ich zabić, ale nie lubią dotyku zimnego żelaza. Nie pozwólcie, aby was nawet lekko dotknęło, bo wyssie z was całe życie. One tym się żywią…

Widmo zbliżało się do nich powolutku, bez pośpiechu. Zatrzymało się na chwilę, jakby badając możliwości obrony ofiary.

Zjawa wydała z siebie przeciągły, niski jęk, jakby w tym jednym, żałosnym wyciu skupiła się cała beznadzieja i przerażenie wszechświata. Jeden z żołnierzy ciął nagle widmo z góry. Zjawa wrzasnęła przenikliwie, a zimny, błękitny płomień tańczył przez chwilę na klindze miecza. Widmo skurczyło się w sobie i cofnęło. Niespodziewanie wyskoczył z niego cień jakby ramienia i zjawa zaatakowała żołnierza. Gwardzista krzyknął strasznie i padł na ziemię. Przerażone muły szarpały się na wszystkie strony. Wyrwały paliki wbite pośpiesznie w ziemię i usiłowały przedrzeć się przez krąg ludzi. Kilku żołnierzy padło na ziemię. Powstało ogólne zamieszanie. Pug stracił na chwilę widmo z oczu. Wyrwał się z kłębowiska ludzi i zwierząt. Ponad wrzawą usłyszał głos Kulgana, który stał obok księcia Aruthy.

— Niech wszyscy staną blisko mnie!

Pug i pozostali posłuchali wezwania i zgromadzili się wokół maga. Usłyszeli nagle rozdzierający, niesiony echem krzyk następnego żołnierza. Po chwili spowiły ich ogromne kłęby białego dymu, który zaczął się dobywać z ciała Kulgana.

— Musimy zostawić muły. „Niezmarli” nigdy nie wejdą w dym, ale nie jestem w stanie utrzymać zwartego obłoku dostatecznie długo albo iść w nim daleko. Musimy uciekać i to zaraz.

Dolgan wskazał na wylot tunelu po przeciwległej stronie jaskini.

— Tam jest wyjście.

Trzymając się blisko siebie, ruszyli w tamtą stronę. Przeraźliwy ryk rozdarł ich uszy. Na ziemi leżały ciała obu żołnierzy i zwierząt. Rzucone w panice na ziemię pochodnie paliły się przygasłym i nierównym płomieniem, oświetlając scenę niesamowitym światłem. Czarny kształt powoli zbliżał się do nich. Kiedy dotarł do krawędzi dymu, skręcił się z bólu i odskoczył. Począł krążyć dookoła obłoku, nie mogąc wejść do jego wnętrza.

Pug spojrzał w bok od widma i żołądek wywrócił mu się na drugą stronę.

Tuż za widmem, doskonale oświetlony trzymaną w ręku pochodnią, stał Tomas. Patrzył bezsilnym wzrokiem na Puga i uciekającą grupę.

— Tomas! — krzyknął Pug przeraźliwym, zduszonym głosem i załkał.

Grupa zatrzymała się na ułamek sekundy.

— Nie możemy wrócić! — krzyknął Dolgan. — Wszyscy przez niego zginiemy. Musimy iść dalej.

Pug usiłował wyrwać się w stronę przyjaciela. Ciężka dłoń chwyciła go za ramię. Obejrzał się. Gardan trzymał go mocno.

— Pug, musimy go zostawić — powiedział. Czarną twarz skurczył wyraz bólu. — Tomas jest żołnierzem. Zrozumie.

Zrezygnowany Pug został pociągnięty za innymi. Zauważył, że zjawa szła za nimi jeszcze przez chwilę, a potem zatrzymała się i obróciła w stronę Tomasa.

Kierowana zmysłem zła czy krzykiem Puga zaczęła się powolutku skradać ku niemu. Tomas wahał się przez sekundę, potem obrócił na pięcie i ruszył pędem ku wylotowi innego tunelu. Stwór wrzasnął jękliwie i puścił się za nim. Pug widział jeszcze przez chwilę poblask pochodni Tomasa znikającej w głębi tunelu. Potem zapadła nieprzenikniona ciemność.

* * *

Tomas widział rozdartą bólem twarz Puga, kiedy Gardan ciągnął przyjaciela za sobą. Gdy muły zerwały się z uwięzi, Tomas odskoczył w bok od reszty i teraz został sam. Chciał obejść widmo dookoła, ale stało zbyt blisko chodnika, którym chcieli uciec jego towarzysze. Kiedy Kulgan i pozostali zniknęli w jego głębi, potwór zwrócił się w stronę Tomasa. Podchodził powoli. Chłopak zawahał się przez moment, a potem skierował się w stronę innego tunelu.

Biegł jak szalony. Jego kroki odbijały się donośnym echem w mrokach kopalni. Plamy światła pochodni i cienie tańczyły wściekłym rytmem po ścianach. Pochodnię trzymał wzniesioną wysoko w lewej dłoni, w prawej ściskał obnażony miecz. Obejrzał się przez ramię. Dwoje płonących czerwienią oczu ścigało go bez wytchnienia, ale dystans był ciągle ten sam. Jeżeli mnie złapie, pomyślał z ponurą determinacją, to złapie najszybszego biegacza w całym Crydee. Wydłużył krok i przeszedł w spokojny, luźniejszy rytm, oszczędzając oddech i siły. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli odwróci się teraz, by stanąć twarzą w twarz z potworem, padnie trupem. Ogłupiający strach, który czuł na początku, minął. Powróciła zimna jasność umysłu, determinacja, wyrachowanie i przebiegłość ściganej ofiary, która wie, że walka jest beznadziejna. Skupił całą energię na ucieczce. Zrobi wszystko, aby zgubić zjawę.

Skręcił raptownie w boczny korytarz. Zerknął przez ramię, czy bestia jest za nim. Płonące czerwono punkciki oczu ukazały się u wylotu chodnika i podążały za nim. Wydawało mu się, że odległość między nimi zwiększyła się nieco. Przez umysł przemknęła mu myśl, że być może inni zginęli z ręki widma, ponieważ byli zbyt przerażeni, aby uciekać. Moc zjawy musiała polegać na emanującym z niej, obezwładniającym przerażeniu.

Kolejny chodnik i kolejny zakręt. Widmo było ciągle za nim. Zobaczył przed sobą ogromną przestrzeń jaskini. Poznał miejsce: była to ta sama jaskinia, w której zostali zaatakowani przez potwora. Zatoczył ogromny łuk i powrócił innym chodnikiem. Pędząc zauważył ciała żołnierzy i mułów. Zatrzymał się na moment. Porwał najbliżej leżącą, świeżą pochodnię i zapalił, jego własna już się kończyła.

Spojrzał w tył. „Niezmarły” zbliżał się. Ruszył biegiem. Nadzieja przez chwilę rozbłysła w sercu. Jeżeli wybierze właściwy tunel, będzie mógł dogonić pozostałych. Dolgan mówił, że z tej jaskini prosty korytarz wiedzie na zewnątrz kopalni. Wbiegł w chodnik, którym, jak mu się zdawało, uciekli przyjaciele, chociaż zdezorientowany pogonią nie miał absolutnej pewności.

Widmo zawyło wściekle, gdy spostrzegło, że ofiara znowu mu umyka. Na moment ogarnęła Tomasa kolejna fala przerażenia, po której przyszła ulga, kiedy zdołał wydłużyć krok, pokonując błyskawicznie odległość. Złapał drugi oddech i ustalił spokojne, pewne tempo biegu. Jeszcze nigdy w życiu nie biegł równie wspaniale, ale też z drugiej strony, nigdy przedtem nie miał równie silnej motywacji.

Po długim, trwającym całą wieczność biegu, dotarł do odcinka, z którego odchodziło wiele bocznych tuneli. Serce i nadzieje zamarły. To nie był prosty korytarz, o którym wspominał Krasnolud. Wybrał pierwszy z brzegu i skręcił. Natrafił na kilka poprzecznych. Skręcał błyskawicznie to w jeden, to w drugi, lawirując w labiryncie przejść. Schował się za róg i stanął na chwilę, aby złapać oddech. Nasłuchiwał, lecz poza waleniem własnego serca, nie słyszał nic. Zbyt pochłonię-

ty biegiem i kolejnymi skrętami nie oglądał się za siebie. Nie miał pojęcia, gdzie jest widmo.

Nagle gdzieś z głębi korytarzy dobiegło słabe i odległe echo wściekłego wrzasku. Kolana się pod nim ugięły i upadł na ziemię. Jeszcze jeden przeraźliwy krzyk. Cichszy niż poprzedni. Był już pewien, że widmo zgubiło ślad i oddalało się w przeciwnym kierunku.

Poczuł ogromną ulgę. Opanował wybuch niepohamowanego śmiechu. Po sekundzie uświadomił sobie swoje położenie. Usiadł prosto i zebrał myśli. Jeżeli zdoła dotrzeć do martwych mułów, będzie przynajmniej miał żywność i wodę. Wstał i w tym momencie dotarło do niego, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie jest jaskinia. Przeklinał samego siebie za to, że nie liczył kolejnych zakrętów. Próbował odtworzyć w ogólnych zarysach trasę ucieczki. Przypomniał sobie, że przeważnie skręcał w prawo, więc jeżeli teraz będzie się cofał, skręcając ciągle w lewo, powinien natrafić na jeden z wielu tuneli wiodących do dużego wyrobiska. Wyjrzał ostrożnie zza rogu i ruszył przed siebie, próbując odnaleźć w gęstwinie korytarzy właściwą drogę.

* * *

Minęło sporo czasu, chociaż nie wiedział dokładnie ile. Zatrzymał się i rozejrzał po drugiej, dużej jaskini, do której dotarł, od kiedy udało mu się uciec widmu. Tak jak w poprzedniej, i tu także nie było mułów, ludzi, żywności i wody, na które tak bardzo liczył. Wyjął z torby cudem zachowany suchar. Trochę pomogło, ale głód dokuczał coraz mocniej.

Kiedy skończył, ruszył w dalszą drogę, starając się odnaleźć jakąś wskazówkę co do kierunku wyjścia. Wiedział, że już niedługo pochodnia dopali się, ale nie mógł pogodzić się z myślą, że mógłby usiąść i czekać na bezimienną śmierć w czerni mroku.

Po pewnym czasie do jego uszu dobiegł niesiony echem szum wody. Bardzo chciało mu się pić. Przyspieszył kroku. Wkrótce znalazł się w największej — z dotąd widzianych — jaskini. Gdzieś z oddali dochodził ryk wodospadu Mac Mordain Cadal, lecz nie miał pewności, z której strony. Wysoko w mroku znajdowała się droga, którą przeszli dwa dni temu. Serce w nim zamarło. Wszedł znacznie dalej w głąb ziemi, niż przypuszczał.

Tunel rozszerzył się w coś, co przypominało przystań, a jego koniec znikał pod wodami sporego jeziora. Fale chlupotały o ściany jaskini, wypełniając ją przytłumionym echem. Opadł błyskawicznie na kolana i zaczął pić. Woda miała żelazisty, mineralny smak, ale była czysta i świeża.

Usiadł na piętach i rozejrzał się. Wyglądało na to, że przystań nie była naturalna, lecz sztucznie zbudowana. Jej podłoże stanowiła ubita ziemia i piasek. Tomas domyślał się, że Krasnoludy przepływały stąd łodziami na drugą stronę podziemnego jeziora. Zastanawiał się, co jest na drugim brzegu. Uderzyła go nagle myśl, że może ktoś inny, a nie Krasnoludy, używał łodzi, aby przepływać jezioro. Strach wrócił.

Po lewej stronie, przy ścianie jaskini wypatrzył stos drewna. Wybrał kilka kawałków i rozpalił małe ognisko. Leżały tam głównie połamane stemple górnicze, ale było też kilka grubszych konarów i gałęzi. Pomyślał, że pewnie zostały przyniesione przez wodospad z miejsca, gdzie rzeka znika we wnętrzu góry. Pod drewnem rosło jakieś włókniste zielsko. Zastanawiał się, jak rośliny przetrwały bez światła słonecznego. Ucieszył się mimo wszystko, że je znalazł. Pociął mieczem i za pomocą łodyg i gałązek ze stosu przygotował kilka prymitywnych pochodni, które obwiązał pasem od miecza, żegnając się w ten sposób z konieczności z jego pochwą. Myśl, że przynajmniej będzie miał trochę więcej światła i trochę więcej czasu na szukanie drogi, dodała mu otuchy.

Dorzucił do ognia kilka grubszych kawałków i po chwili ogień rozgorzał wesołym blaskiem. Niespodziewanie cała jaskinia rozjarzyła się światłem. Tomas obrócił się gwałtownie. Całe wnętrze rozbłysło migotliwym światłem. Drobiny minerałów i kryształki iskrzyły się oślepiającym blaskiem, odbijając płomienie. Mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy poświata spływająca po ścianach i stropie uczyniła z jaskini bajkową, niknącą w mroku komnatę.

Tomas patrzył zachwycony, chłonąc oczami wspaniały widok. Wiedział, że nigdy nie będzie w stanie oddać słowami tego, co zobaczył. Przeszło mu także przez myśl, że być może jest jedyną ludzką istotą, która widziała taki piękny pokaz natury.

Z trudem oderwał oczy od cudownego spektaklu. Wykorzystując dodatkowe światło, zbadał otoczenie. W okolicy przystani nie było nic poza pustką wody jeziora, ale po lewej stronie, tuż nad piaszczystym brzegiem wypatrzył wylot następnego tunelu.

Zarzucił na ramię pęk pochodni i ruszył w tamtą stronę. W momencie, gdy dochodził do wylotu chodnika, suche szczapy dopaliły się i ogień zgasł. Jego oczom ukazała się następna cudowna wizja. Błyszczące jak drogocenne kamienie ściany jaskini iskrzyły się i jarzyły jakby wewnętrznym światłem. Stał w ciszy, podziwiając widowisko. Światło stopniowo przygasało, kolory matowiały i po chwili w jaskini zapadły ciemności. Pozostał jedynie blask pochodni i czerwony żar dogasającego ogniska.

Musiał się trochę nagimnastykować, zanim zdołał wejść do położonego wyżej tunelu. W końcu udało się to zrobić bez zamoczenia butów, upuszczenia miecza czy pochodni. Ruszył w dalszą drogę, pozostawiając jaskinię za sobą.

Wędrował wiele godzin. Stara pochodnia dogasała. Zapalił jedną z nowych i z ulgą stwierdził, że daje niezłe światło. Ciągle czuł lęk, ale myśl, że przecież nie poddał się i że mistrz miecza Fannon pochwaliłby go, dodawała mu otuchy.

Po jakimś czasie doszedł do skrzyżowania chodników. W pyle podłoża dostrzegł kości jakiegoś zwierzaka. W innym miejscu dostrzegł prowadzące dalej stare ślady innego małego zwierzęcia. Nie mając specjalnego wyboru, Tomas podążył za nimi. Wkrótce rozmyły się w pyle.

Nie miał sposobu, aby dokładnie określić godzinę, ale wydawało mu się, że była późna noc. Wędrówka przez niezliczone korytarze wprowadziła go w ponadczasowy wymiar. Był kompletnie zagubiony. Zdusił narastającą znowu panikę i szedł dalej. Starał się myśleć o przyszłości i przyjemnych wspomnieniach z domu rodzinnego. Odnajdzie wyjście i w nadciągającej wojnie zostanie wielkim bohaterem. Najwspanialszym, powracającym stale marzeniem była jednak myśl o podróży do Elvandaru, aby ponownie zobaczyć piękną panią Elfów.

Tunel schodził w dół. Wkraczał w rejon chodników i jaskiń, które sposobem wykonania różniły się od poprzednich. Pomyślał, że pewnie Dolgan powiedziałby mu, czy ma rację i kto tu pracował.

Wszedł do następnej jaskini i rozejrzał wokół. Niektóre z wychodzących z niej tuneli ledwo przekraczały wysokością wzrost człowieka. Inne zaś, swobodnie mogły pomieścić dziesięcioosobowy szereg żołnierzy z długimi włóczniami na plecach. Miał nadzieję, że mniejsze tunele zostały wykute przez Krasnoludy i jeżeli podąży jednym z nich, wyjdzie na powierzchnię ziemi.

Rozejrzał się. Zauważył niedaleko wystającą ze ściany półkę skalną, na którą można by wskoczyć. Wrzucił na górę miecz i pęk pochodni. Potem łagodnym ruchem, żeby nie zgasić ognia, cisnął płonącą pochodnię. Wspiął się na górę. Półka była wystarczająco szeroka, aby wygodnie się położyć bez obawy spadnięcia. Na wysokości mniej więcej półtora metra w ścianie był niewielki, około metrowej średnicy otwór. Tomas zajrzał do środka. Otwór gwałtownie się powiększał, przechodząc w korytarz o wysokości jego wzrostu, i nikł w ciemnościach.

Usatysfakcjonowany, że ani z góry, ani z dołu nie czeka go żadna nieprzyjemna niespodzianka, owinął się kapotą, wsparł głowę na dłoni i zgasił pochodnię. Chociaż się bał, zmęczenie szybko ukołysało go do snu. Rzucał się całą noc nękany koszmarami sennymi, w których gorejące, szkarłatne oczy goniły go przerażonego, po ciągnących się bez końca czarnych korytarzach. Pędził i pędził, aż dobiegł do zielonego miejsca, gdzie mógł bezpiecznie odpocząć pod łagodnym spojrzeniem pięknej kobiety o złocisto-rudych włosach i jasnobłękitnych oczach.

Obudził się, mając wrażenie, że ktoś go wołał. Nie miał pojęcia, jak długo spał. Czuł się jednak wypoczęty i gdyby zaszła potrzeba, gotów był do następnego długiego biegu. Pomacał ręką dookoła i znalazł pochodnię. Wyjął z torby krzesiwo. Po paru uderzeniach stalą w krzemień pochodnia zaczęła się tlić. Pochylił się szybko i rozdmuchał ogień, który buchnął jasnym płomieniem. Rozejrzał się

dookoła. W jaskini nic się nie zmieniło. Wszystko, co słyszał, to delikatny pogłos jego własnych ruchów.

Zdał sobie sprawę, że jedyną szansą przeżycia jest dalsze poszukiwanie drogi wyjścia. Wstał. Już miał zejść ze skalnej półki, kiedy z dziury w ścianie doszedł go jakiś cichy dźwięk.

Zajrzał do środka, ale nic tam nie zobaczył. Hałas powtórzył się. Wytężył słuch, próbując odgadnąć, co to jest. Jakby cichutki odgłos kroków, ale nie był pewien. Chciał zawołać. W ostatniej chwili powstrzymał się. Nie miał przecież pewności, że to jego przyjaciele powrócili i szukają go. Wyobraźnia podsunęła mu kilka innych możliwości, z których żadna nie była przyjemna.

Zastanawiał się przez chwilę i podjął decyzję. Ktokolwiek czy cokolwiek było źródłem dźwięku, mogło go wyprowadzić z kopalni na powierzchnię ziemi. Nawet jeżeli tylko przez pozostawienie śladów, za którymi pójdzie. Z braku innych, bardziej interesujących rozwiązań przecisnął się przez dziurę i wszedł do nowego tunelu.

# Rozdział 10

# Ocalenie

Wyszli z kopalni przygnębieni, ze zwieszonymi głowami.

Padli na ziemię bez sił. Przez ostatnie kilka godzin po ucieczce Tomasa Pug zmagał się z płaczem. Leżał teraz odrętwiały na mokrej ziemi i wpatrywał się tępo w zasnute szarymi obłokami niebo. Kulgan był w najgorszym z nich wszystkich stanie. Zaklęcie, które odrzuciło zjawę, wyczerpało do cna jego energię oraz siły i przez większość drogi musieli go nieść na plecach. Dało im się to bardzo we znaki. Wszyscy, z wyjątkiem Dolgana, który rozpalił ognisko i trzymał straż, zapadli w twardy sen.

Puga obudziły jakieś głosy. Otworzył oczy. Była ciemna noc, a na niebie świeciły gwiazdy. Powitał go zapach pieczonego mięsa. Kiedy tylko Gardan i pozostali trzej żołnierze przebudzili się, Dolgan zostawił ich na warcie, a sam złapał w sidła kilka królików. Piekły się teraz nad ogniem. Wszyscy, oprócz Kulgana, który spał, głośno chrapiąc, przebudzili się i wstali.

Arutha i Książę zauważyli, że chłopiec budzi się, i młody Książę podszedł do niego. Nie zważając na śnieg, usiadł na ziemi koło Puga owiniętego w ciepłą kurtę.

— Jak się czujesz, Pug? — spytał Arutha z troską w oczach. Po raz pierwszy chłopiec miał okazję zetknąć się z delikatniejszą stroną natury Aruthy. Spróbował odpowiedzieć, lecz poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Odkąd pamiętał, Tomas był jego najbliższym przyjacielem, a nawet więcej, bratem prawie. Zebrał się w sobie, aby odpowiedzieć Księciu, ale zamiast słów z piersi dobyło się przejmujące łkanie, a z oczu trysnęły strumienie łez.

Arutha objął Puga ramieniem i pozwolił chłopcu wypłakać się do woli. Kiedy pierwsza fala żałości przeminęła, Pug uspokoił się nieco.

— Opłakiwanie straty przyjaciela nie przynosi nikomu wstydu. Wiedz, że ja i mój ojciec łączymy się z tobą w bólu.

Dolgan podszedł do nich i stanął koło Aruthy.

— Ja także, Pug. Dobry i miły był z niego chłopak. Wszyscy boleją razem z tobą, chłopcze.

Krasnolud rozważał coś przez chwilę, a potem zaczął rozmawiać z Borricem.

Kulgan budził się ze snu jak niedźwiedź po zimie. Ogarnął się pośpiesznie, a widząc Aruthę siedzącego z Pugiem, zapomniał szybko o bolących stawach i dołączył do nich.

Nie byli w stanie pomóc mu słowami, ale Pug czerpał ulgę z ich obecności i bliskości. Doszedł po chwili do siebie i odsunął się od Aruthy.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — powiedział, pociągając nosem. — Już mi lepiej.

Podeszli razem do Dolgana, Gardana i Księcia siedzących wokół ognia. Borric kręcił właśnie głową, nie zgadzając się z czymś, co przed chwilą powiedział Krasnolud.

— Dziękuję i doceniam twoją odwagę, Dolgan, ale nie mogę na to pozwolić.

Dolgan pykał swą nieodłączną fajkę. Przyjazny uśmiech przedarł się przez zarośniętą twarz.

— A jak Wasza Wysokość chciałby mnie powstrzymać? Chyba nie siłą, co?

Borric pokręcił głową.

— Nie. Oczywiście, że nie, ale iść tam to czyste szaleństwo.

Kulgan i Arutha wymienili pytające spojrzenia. Pug, pogrążony w zimnym, odrętwiałym świecie nie zwracał uwagi na to, co się działo dookoła niego. Dopiero co się obudził, ale teraz, kiedy się wypłakał, poczuł ciepłe, miłe znużenie i zachciało mu się znowu spać.

— Ten szalony Krasnolud chce wrócić do kopalni — oznajmił wszystkim Borric.

Zanim Kulgan i Arutha zdążyli zaprotestować, Dolgan uciszył ich ręką.

— Wiem, że szanse są bardzo nikłe, ale jeśli chłopiec zdołał umknąć złemu duchowi, błąka się teraz zagubiony po kopalni. Trzeba wam wiedzieć, że są tam w dole tunele, których nie tknęła nigdy stopa Krasnoludów, nie mówiąc o chłopcach. Kiedy jestem w kopalni, nigdy nie mam kłopotów z drogą powrotną. Tomas nie został obdarzony naturalnym zmysłem orientacji w terenie. Jeśli tylko zdołam natrafić na jego ślady, znajdę i jego. Nie chcemy mu przecież odbierać ostatniej szansy ucieczki z kopalni, muszę więc zejść na dół — będzie potrzebował bowiem mego przewodnictwa. Jeżeli chłopak żyje, przyprowadzę go do domu. Macie na to słowo Dolgana Tagarsona, wodza wioski Caldara. Wierzcie mi, że gdybym chociaż nie spróbował tego zrobić, nie mógłbym spokojnie spędzać długich zimowych wieczorów w wielkiej sali.

Słowa Krasnoluda wyrwały Puga z letargu.

— Czy sądzisz, że możesz go znaleźć, Dolgan?

— Jeżeli ktokolwiek może, to tylko ja, chłopcze.

Nachylił się w jego stronę.

— Nie chciałbym, abyś żywił zbyt wielkie nadzieje, Pug. Szanse, że udało mu się ujść widmu, są bardzo nikłe. Wyrządziłbym ci wielką szkodę, gdybym twierdził inaczej. — Widząc, jak oczy chłopca napełniają się łzami, dodał pośpiesznie: — Ale jeżeli jest jakiś sposób, aby go wydostać, ja go odnajdę, bądź pewien.

Pug, szarpany sprzecznymi uczuciami, rozdarty między nieutulonym żalem a na nowo zrodzoną nadzieją, pokiwał głową. Pojął dobrze znaczenie przestrogi Dolgana, ale nie mógł przecież zrezygnować z drobnej iskierki nadziei i ulgi, jaką przyniosło postanowienie Krasnoluda.

Dolgan podniósł z ziemi swoją tarczę i topór.

— Kiedy nadejdzie świt, podążajcie rychło szlakiem w dół, przez wzgórza i lasy. Chociaż nie jest to Zielone Serce, jednak dla tak nielicznej grupki jak wasza niebezpieczeństw tu aż nadto. Gdybyście się zgubili, zmierzajcie prosto na wschód, aż traficie na drogę do Bordon. Od tamtego miejsca są już tylko trzy dni marszu. Niech bogowie mają was w swej opiece.

Borric skinął głową. Kulgan podszedł do szykującego się do drogi Krasnoluda. Wręczył Dolganowi kapciuch z tytoniem.

— Ja sobie kupię tytoń w mieście, mój przyjacielu. Proszę, weź to.

Dolgan przyjął podarunek i uśmiechnął się.

— Dziękuję, magu. Jestem twoim dłużnikiem.

Borric stanął przed Krasnoludem i położył mu rękę na ramieniu.

— To my jesteśmy twoimi dłużnikami, Dolgan. Kiedy przyjedziesz do Crydee, wyprawimy wspaniałą ucztę, jak obiecałem. To, i znacznie więcej. Niech ci się szczęści.

— Dziękuję, Wasza Wysokość. Będę tego oczekiwał z wielką niecierpliwością.

Bez zbędnych słów Dolgan odwrócił się i zniknął w mrocznych czeluściach Mac Mordain Cadal.

* * *

Dolgan zatrzymał się na chwilę przy martwych mułach, aby zabrać żywność, wodę i latarnię. Krasnolud nie potrzebował światła, aby poruszać się pod ziemią, ponieważ jego naród już dawno rozwinął zmysły przystosowujące go do ciemności. Mniejsza o niebezpieczeństwo ściągnięcia niepożądanej uwagi, pomyślał, jeżeli Tomas będzie mógł zauważyć z daleka światło, zwiększy to szanse jego odnalezienia. Pod warunkiem, że jeszcze żyje, pomyślał ponuro.

Wszedł do tunelu, w którym po raz ostatni widział Tomasa. Zaczął szukać śladów jego pobytu. Co prawda warstewka pyłu na ziemi była bardzo cienka,

ale tu i ówdzie były jakieś ślady, może stóp? Krasnolud poszedł ich tropem. Po pewnym czasie dotarł do korytarza, gdzie warstwa kurzu i pyłu była znacznie grubsza, a ślady stóp chłopca wyraźnie odciśnięte w podłożu. Przyspieszył kroku.

Po kilku minutach powrócił do tej samej jaskini. Zaklął szpetnie.

Nie miał wielkiej nadziei na odnalezienie śladów na zrytej walką z widmem powierzchni. Zatrzymując się na krótko przy każdym wylocie tunelu, badał pierwszych kilka metrów, szukając tropu. Po godzinie w tunelu na prawo od chodnika, którym wszedł, odkrył pojedynczy odcisk buta oddalający się od jaskini. Ruszył tym tropem. Ślady pozostawały w dużej odległości od siebie. Chłopiec musiał biec, pomyślał. Pośpieszył naprzód. W coraz bardziej pylistym podłożu widział więcej śladów.

Dolgan dotarł do jaskini nad jeziorem i niewiele brakowało, a zgubiłby ślad. Dopiero po chwili zauważył wylot chodnika tuż nad wodą. Brodząc dotarł tam, podciągnął się do góry i wszedł do środka — znalazł następne ślady chłopca. Nikłe światło latarni było za słabe, aby rozświetlić kryształy w ścianach jaskini. Nawet gdyby było inaczej i tak nie zatrzymałby się, aby podziwiać widoki. Za wszelką cenę chciał znaleźć Tomasa.

Szedł niezmordowanie bez chwili wytchnienia. Wiedział już, że Tomas dawno uciekł zjawie. Ślady, które teraz oglądał, świadczyły, że chłopiec szedł spokojnie, a wygasłe resztki ogniska oznaczały, że zatrzymał się na dłuższy postój. Dolgan wiedział jednak dobrze, że w podziemiach kopalni czyhały inne, równie przerażające jak widmo, niebezpieczeństwa.

W ostatniej jaskini znowu omal nie zgubił tropu. Odnalazł go dopiero, kiedy zauważył skalną półkę nad miejscem, gdzie ślad się urywał. Z niejakim trudem wspiął się na górę. Zauważył osmalone miejsce, gdzie chłopiec zgasił pochodnię. Tutaj musiał odpoczywać. Rozejrzał się po pustej jaskini. Na tej głębokości powietrze stało bez ruchu. Nawet on, Krasnolud, który przecież był z kopalnią za pan brat, musiał przyznać w duchu, że w tym miejscu czuł się nieswojo. Spojrzał na czarną plamę na skale. Jak długo Tomas został tutaj? I gdzie poszedł?

Zauważył niewielką dziurę w ścianie, a ponieważ nie znalazł żadnych śladów oddalających się od półki, zdecydował, że właśnie tamtędy chłopiec poszedł dalej. Wdrapał się do środka i poszedł chodnikiem. Ciągle schodził w dół, w głąb góry.

W pyle widział teraz wiele śladów, jakby przechodziła tędy grupa ludzi. Ślady Tomasa były przemieszane z tamtymi. Dolgan zaniepokoił się. Chłopiec mógł tędy przechodzić później, przed nimi lub szedł razem z grupą. Jeżeli dostał się do niewoli, Dolgan wiedział, że każda chwila może być na wagę życia.

Tunel wijąc się schodził coraz niżej i niżej, aby wkrótce przejść w obszerną salę ze ścianami wykonanymi z ciasno osadzonych i wypolerowanych, ogromnych bloków kamiennych. Dolgan, choć żył już dość długo, jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego. Poziom podłoża wyrównał się. Krasnolud szedł ostrożnie dalej. Na kamiennej i wolnej od pyłu posadzce nie było widać żadnych śladów. Wysoko

ponad głową zobaczył pierwszy z kilku kryształowych żyrandoli, zwieszających się z sufitu na długich łańcuchach. Zauważył, że system kołowrotów umożliwiał ich opuszczanie, aby zapalić świece. Odgłos kroków odbijał się pustym echem od wysokiego sufitu.

Na końcu hallu zobaczył ogromne, drewniane drzwi wzmocnione żelaznymi sztabami i opatrzone potężnym zamkiem. Spoza uchylonego skrzydła sączyło się światło.

Podszedł na palcach, zajrzał do środka i aż otworzył usta ze zdumienia. Instynktownie podniósł tarczę i topór.

Na stosie złotych monet i drogocennych kamieni o rozmiarach męskiej pięści siedział Tomas i spokojnie jadł rybę. Obok niego leżało czy też siedziało coś, co sprawiło, że Dolgan po raz pierwszy w życiu zaczął powątpiewać w sprawność swego wzroku.

Na podłodze spoczywała głowa wielkości niewielkiego drabiniastego wozu. Pokrywały ją ogromne łuski rozmiarów tarczy wojennej o ciemnym, głęboko złocistym zabarwieniu. Niesamowity łeb osadzony był na długiej, szczupłej szyi wyrastającej z ogromnego, niknącego gdzieś w mrocznych głębiach sali cielska. Potężne skrzydła skrzyżowane na grzbiecie bestii zwieszały się ciężko, dotykając końcami podłogi. Na czubku głowy, pomiędzy spiczastymi uszami sterczał delikatnie wyglądający i błyszczący srebrzyście grzebień. Z długiego, rozciągniętego w wilczym uśmiechu pyska wystawały długie prawie na metr kły, spomiędzy których wysuwał się co chwila rozdwojony na końcu język.

Dolgan musiał zmobilizować całą siłę woli, aby zwalczyć w sobie rzadką u niego, nieprzepartą chęć wzięcia nóg za pas. Tomas siedział spokojnie i najwyraźniej spożywał posiłek w towarzystwie największego, odwiecznego wroga narodu Krasnoludów, wielkiego smoka. Otworzył szerzej drzwi i głośno stukając butami po kamiennej posadzce, wszedł do środka.

Tomas odwrócił się, a smok podniósł głowę. Ogromne, rubinowe oczy wpatrywały się z uwagą w małego intruza. Rozradowany Tomas zerwał się na równe nogi.

— Dolgan!

Zeskoczył ze stosu nieprzebranego bogactwa i podbiegł do Krasnoluda.

Głos smoka przetoczył się echem przez salę jak grzmot w górskiej dolinie.

— Witaj, Krasnoludzie. Twój przyjaciel powiedział, że z pewnością o nim nie zapomnisz.

Tomas stał przed Dolganem i zasypywał go tysiącem pytań naraz. Krasnolud usiłował zatrzymać kołowrót wirujących w głowie myśli. Za chłopcem siedział Książę wszystkich smoków, obserwując ich spotkanie z kamiennym spokojem. Krasnolud z trudem usiłował zachować zwykłą dla niego zimną krew. Niewiele mógł zrozumieć z potoku wylewających się z Tomasa słów. Odsunął go delikatnie na bok, aby lepiej widzieć smoka.

— Przyszedłem sam — powiedział do niego spokojnym głosem. — Twoi towarzysze, Tomas, z najwyższą niechęcią pozostawili mi trud poszukiwań, ale jak wiesz, musieli się bardzo spieszyć. Ich misja jest niesłychanie ważna.

— Rozumiem.

— Co to za sztuczki? — zapytał Dolgan po cichu.

Smok zachichotał radośnie, aż ściany zatrzęsły się w posadach.

— Wnijdź do mego domostwa, Krasnoludzie, a wszystko ci opowiem.

Smok ułożył wygodnie łeb na podłodze, lecz jego oczy i tak górowały ponad głową Dolgana. Krasnolud podszedł ostrożnie, nieświadomie trzymając cały czas tarczę i topór w gotowości. Smok ryknął śmiechem, a przez salę przetoczyła się kolejna fala grzmotu, jakby wodospadu w wąwozie.

— Powstrzymaj twe ramię, mały wojowniku. Nie ukrzywdzę ni ciebie, ni twego przyjaciela.

Dolgan opuścił pawęż i wepchnął trzonek topora za pas. Rozejrzał się z zainteresowaniem dookoła. Znajdowali się w ogromnej sali wykutej w litej skale góry. Wszystkie ściany były obwieszone wielkimi, poszarpanymi i wyblakłymi sztandarami i gobelinami. Dolgan wybałuszał oczy ze zdumienia, bo były one równie starodawne, co zupełnie mu nieznane. Żaden z żyjących ludów czy narodów, ani ludzie, ani Elfy czy gobliny, nie uszył tych chorągwi i proporców. Z belek pod stropem zwieszały się gigantyczne kryształowe żyrandole. W drugim końcu sali, na podwyższeniu, stał tron, a przed nim długie stoły i krzesła dla wielu biesiadników. Na stołach stały kryształowe karafki i złote talerze. Wszystkie te wspaniałości pokrywał grubą warstwą pył wielu stuleci.

W kilku miejscach walały się ogromne stosy wszelakiego dobra: złoto, szlachetne kamienie, korony, srebro, kunsztownie zdobione zbroje, bele drogocennych materiałów, cudownie rzeźbione, inkrustowane skrzynie ze szlachetnych gatunków drewna.

Dolgan usiadł na stosie nieopisanej wartości i niedbałym ruchem odsuwał na bok drogocenne przedmioty, moszcząc sobie wygodne miejsce. Tomas siedział koło niego. Krasnolud wyciągnął fajkę. Nie chciało mu się palić, ale czuł potrzebę uspokojenia nerwów, a już dawno zauważył, że fajka kojąco działała na jego samopoczucie. Przytknął drzazgę do płomyka latarni i zapalił fajkę. Smok obserwował go z wielkim zainteresowaniem i uwagą.

— Czy Krasnoludy w dzisiejszych czasach opanowały sztukę zionięcia ogniem i dymem? Czyżbyś był nowym gatunkiem smoka? Nie, chyba jednak nie, bo czy widział kto kiedy tak małego smoka?

Dolgan pokręcił głową.

— To tylko moja fajka — powiedział i wyjaśnił smokowi użycie tytoniu.

— Dziwna to zaiste rzecz, ale po prawdzie to i cały lud twój dziwny jest przecie.

Dolgan uniósł brew, ale nic nie odpowiedział. Obrócił się do Tomasa.

— Jak się tutaj znalazłeś?

Tomas zdawał się nie zwracać na smoka najmniejszej uwagi i Dolgan poczuł się trochę pewniej. Gdyby wielka bestia chciała im zrobić krzywdę, mogłaby to uczynić w każdej chwili i bez większego wysiłku. Wszyscy wiedzieli, że smoki były na całej Midkemii najbardziej potężnymi stworzeniami. Ten tutaj był największym, o jakim Dolgan słyszał, chociaż o połowę mniejszym od tych, z którymi walczył w swojej młodości.

Tomas skończył jeść rybę.

— Bardzo długo błądziłem po korytarzach, aż natrafiłem na miejsce, gdzie mogłem się przespać.

— Wiem, znalazłem je.

— Obudził mnie jakiś dźwięk. Znalazłem ślady, a one przyprowadziły mnie tutaj.

— Ślady też zauważyłem. Myślałem, że może dostałeś się do niewoli.

— Nie. To był niewielki oddział goblinów i kilku Mrocznych Braci, którzy szli w tym kierunku. Byli tak skupieni na tym, co przed nimi, że nie oglądali się do tyłu. Mogłem ich śledzić z bliskiej odległości.

— To nie było bezpieczne, Tomas.

— Wiem, ale za wszelką cenę chciałem się wydostać na zewnątrz. Pomyślałem, że zaprowadzą mnie do wyjścia. Chciałem potem przeczekać, aż się oddalą, i wymknąć na powierzchnię. Po wydostaniu się z kopalni chciałem ruszyć na północ, do twojej wioski.

Dolgan spojrzał na niego z uznaniem.

— Odważny to plan, chłopcze.

— Przyszli do tego miejsca, a ja za nimi.

— Co się z nimi stało?

Smok uniósł lekko głowę.

— Wysłałem ich daleko, Krasnoludzie. To nie było towarzystwo, które by mi odpowiadało.

— Wysłałeś ich? Jak?

Smok podniósł wyżej głowę. Dolgan zauważył, że gdzieniegdzie jego łuski były zmatowiałe i wyblakłe. Czerwone oczy zasnuwała jakby mgła. Nagle pojął: smok był ślepy!

— Smoki od dawna dysponowały magią, chociaż zupełnie innego rodzaju niż ta, którą wy znacie. Wiedz, Krasnoludzie, iż jedynie mocą mej sztuki magicznej mogę cię widzieć, bo światło oczu zostało mi dawno już zabrane. Wziąłem te odrażające stwory i wysłałem daleko na północ. Nie wiedzą i nigdy nie będą wiedzieli, jak się tam dostali, tak samo, jak nie będą pamiętali tego miejsca.

Dolgan pykał fajkę, rozważając zasłyszane słowa.

— W opowieściach mego narodu mamy legendy o smokach magach czy smokach czarnoksiężnikach. Jesteś pierwszym, którego spotkałem.

Smok opuścił powoli łeb na posadzkę, jakby się zmęczył.

— Wiedz przeto, Krasnoludzie, żem jest jednym z ostatnich smoków złocistych. Żaden z pośledniejszych gatunków smoków nie jest wyposażony w sztukę czarnoksięską. Zaprzysiągłem, że nigdy nie pozbawię nikogo życia, ale nie pozwolę też, aby takie odrażające stwory nachodziły dom mój, miejsce mego spoczynku.

— Rhuagh był dla mnie dobry, Dolgan. Pozwolił, abym poczekał u niego, aż mnie znajdziesz. Od dawna już wiedział, że ktoś nadchodzi.

Dolgan spojrzał na smoka, zastanawiając się nad jego zdolnościami.

— Dał mi wędzoną rybę do jedzenia i miejsce do spania.

— Wędzoną rybę?

— Koboldy — odezwał się smok — czy jak wy je nazywacie, gnomy, oddają mi boską cześć i składają ofiary. Najczęściej przynoszą mi wędzone ryby, które łowią w głębokim jeziorze, i skarby wydobyte z podziemnych jaskiń i chodników.

— Oj tak, tak. Od dawna wiadomo, że gnomy nie grzeszą nadmiarem rozsądku.

Smok zachichotał.

— To prawda. Koboldy są raczej nieśmiałe i dobierają się do skóry tylko tym, którzy niepokoją je pod ziemią. To prosty ludek. Posiadanie własnego boga sprawia im wielką przyjemność, a że ja nie jestem już w stanie polować, układ ten wydaje się ze wszech miar interesujący dla obu stron.

Dolgan zastanawiał się przez dłuższą chwilę nad następnym pytaniem.

— Rhuagh, nie chciałbym, abyś poczytał to za brak szacunku, ale doświadczenie uczy, że smoki nie przejawiają specjalnej miłości do istot spoza swojego gatunku. Dlaczego pomogłeś chłopcu?

Smok przymknął oczy. Otworzył je po chwili i wpatrywał się nie widzącym wzrokiem w Krasnoluda.

— Wiedz, Dolganie, że nie zawsze tak było. Ród ludzki jest stary, lecz my, poza jednym wyjątkiem, stanowimy najstarsze plemię. Byliśmy tutaj, zanim nastały Elfy i moredhele. Służyliśmy tym, których imienia nie wolno wypowiadać, stanowiąc jedną, szczęśliwą rodziną.

— Władcy Smoków?

— Tak się nazywają w waszych legendach. Byli naszymi panami, a my, Elfy i moredhele służyliśmy im. Kiedy opuścili te ziemie i udali się w podróż wykraczającą poza wszelkie wyobrażenie, staliśmy się najpotężniejszym wolnym ludem do czasów przybycia na te tereny ludzi czy Krasnoludów. Mieliśmy władzę nad wszelkim stworzeniem. Władaliśmy ziemią i niebem. Moc nasza nie miała granic. Krasnoludy i ludzie przybyli w nasze góry całe wieki temu. Przez czas jakiś żyliśmy obok siebie w pokoju. Nic wszelako nie trwa wiecznie, zaczęły się niesnaski i konflikty. Elfy wygnały moredheli z lasów zwanych teraz Elvandar, a ludzie i Krasnoludy zaczęli walczyć ze smokami. Byliśmy potężni, lecz ludzie są jak

drzewa w lesie, nikt ich nie zliczy. Smoki zostały powoli wyparte na południe. Ja jestem już ostatni w tych górach. Zamieszkuję to miejsce od wieków. Nigdy nie porzucę swego domu… Posługując się sztuką magii, mogę odpędzić poszukiwaczy tego oto skarbu lub zabić tych, których wrodzone zdolności uniemożliwiają mi zawładnięcie ich umysłami i pamięcią. Lecz miałem już dość zabijania i poprzysiągłem, że nie pozbawię już nikogo życia. Nawet odrażających i znienawidzonych moredheli. Oto dlaczego odesłałem ich daleko, a pomogłem chłopcu, który nie zasłużył na żadną karę.

Dolgan przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

— Dziękuję ci, Rhuagh.

— Z wdzięcznością przyjmuję twe podziękowanie, Dolganie z Szarych Wież. Swym przyjściem sprawiłeś mi dużą radość. Już niedługo będę mógł udzielać Tomasowi gościny i schronienia. Przyznaję, że wykorzystałem swoją magiczną moc, aby go tu wezwać, by czuwał przy umierającym.

— Co? — krzyknął Tomas.

— Wiedzcie, że smoki znają godzinę swej śmierci. Moja wybije już wkrótce, Tomas. Jestem stary, nawet według miary czasu naszej rasy. Żyłem pełnią życia. Cieszę się, że tak było. No cóż, taki nasz los…

Dolgan zastanawiał się nad czymś głęboko.

— Niby rozumiem, ale wciąż nie mogę pojąć, że tak po prostu siedzimy sobie razem, a ty mówisz… a ty prawisz rzeczy tak niezwykłe…

— Dlaczego? Co cię gryzie? Czyż także w twoim narodzie nie jest tak, że kiedy ktoś umiera, nie liczy się, jak długo żył, lecz czy żył dobrze?

— Prawdę rzekłeś.

— Jakie ma więc znaczenie, czy ktoś zna godzinę swego odejścia czy też nie? Nic to nie zmienia. Miałem w swym życiu wszystko, na co moja rasa może liczyć: zdrowie, liczne partnerki, dzieci, bogactwo i całą resztę. Wszystko, czegokolwiek pragnąłem w życiu, było mi dane.

— Zaiste, mądrą jest rzeczą wiedzieć, czego się chce, lecz jeszcze mędrszą wiedzieć, kiedy to się już osiągnęło.

— Prawdę mówisz, Dolgan. Lecz najmądrzejszą ze wszystkich rzeczy jest wiedzieć, że coś nie jest osiągalne, bo w przeciwnym razie w głupocie swojej dążymy ku temu za wszelką cenę. Zwyczajem mej rasy jest czuwać przy łożu umierającego, nie ma jednakże w pobliżu żadnego innego smoka, by go przywołać. Chciałbym przeto prosić cię, abyś wstrzymał się nieco z ruszeniem w dalszą drogę i poczekał, aż ja sam pierwej odejdę na zawsze. Czy uczynisz to?

Dolgan spojrzał na Tomasa, który w milczeniu skinął głową.

— Tak, smoku. Niech i tak będzie, chociaż nie uweseli to serc naszych.

Smok przymknął oczy. Obaj zauważyli, że koniec zbliżał się szybko.

— Dzięki ci składam, Dolgan, i tobie dzięki, Tomas.

Smok leżał spokojnie i opowiadał im o swoim życiu. O tym, jak szybował pod niebem Midkemii, o dalekich lądach, gdzie w miastach żyły tygrysy, i górach, gdzie orły potrafiły mówić. Opowieść o dziwach i cudach tego świata ciągnęła się do późnych godzin nocnych.

Mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem, głos drżał i zamierał co chwila.

— Przywędrował kiedyś w to miejsce pewien człowiek, mag wielkiego kunsztu. Moja magia okazała się zbyt słaba, aby go przepędzić. Zabić go też nie mogłem. Przez trzy dni trwały zmagania jego magii z moją, i to on w końcu zwyciężył. Myślałem, że mnie zgładzi i odejdzie z bogactwami. Lecz nie, on pragnął jedynie nauczyć się mej sztuki, aby gdy mnie zabraknie, nie zginęła bezpowrotnie razem ze mną.

Tomas siedział zdziwiony. Niewiele wiedział o magii, tyle tylko, ile usłyszał od Puga, lecz to, co usłyszał, wydało mu się wspaniałe. Oczami wyobraźni zobaczył tytaniczną walkę, zmaganie się przepotężnych mocy magicznych w mrocznych podziemiach gór.

— Towarzyszył mu, pamiętam, pewien stwór. Podobny bardzo do goblina, lecz trzymający się prosto na nogach i o delikatniejszych rysach. Mag pozostał ze mną przez trzy lata, a jego sługa odchodził i wracał. Nauczył się wszystkiego, czego byłem w stanie go nauczyć. Niczego nie mogłem odmówić. Lecz i on uczył mnie, a jego mądrość była mi wielką pociechą. To dzięki niemu właśnie nauczyłem się szanować życie, bez względu na to, czy dobre czy złe, i jemu poprzysiągłem uroczyście, że nikt, kto tu trafi, nie zginie. On także wycierpiał wiele z rąk innych. Podobnie jak ja w czasach wojen z człowiekiem, kiedy utraciłem wielu drogich memu sercu przyjaciół i wiele rzeczy. Człowiek ten posiadł był sztukę leczenia poranionych serc i umysłów i kiedy odszedł, czułem się zwyciężcą, a nie pokonanym. Przerwał na chwilę i przełknął z trudem ślinę. Mówił z coraz większym trudem.

— Gdyby smok nie mógł czuwać przy mojej śmierci, równie dobrze mógłbym jego o to poprosić, chłopcze, bo był pierwszym z twej rasy, którego zaliczam do grona mych prawdziwych przyjaciół.

— Kto to był, Rhuagh? — spytał Tomas.

— Nazywano go Macros.

Dolgan zamyślił się głęboko.

— Słyszałem to imię. Mag najwyższego kunsztu. To prawie legenda, mit. Żył ponoć gdzieś na wschodzie.

— To nie mit, Dolgan — powiedział chrapliwie smok. — Chociaż, być może, rzeczywiście nie ma go pośród żywych, bo przebywał u mnie dawno, dawno temu.

Smok zamilkł na dłuższą chwilę.

— Nadchodzi moja godzina. Muszę więc kończyć. Mój mały przyjacielu, czy wyświadczysz mi pewną łaskę? — poruszył lekko głową. — W tamtej skrzyni

znajdziesz podarunek od maga. Dar, którego miałem użyć w takiej chwili właśnie… jest to różdżka z zaklętą w niej magiczną mocą. Macros zostawił mi ją, żeby kiedy umrę, nie pozostały po mnie żadne szczątki… padlinożercy… no, wiecie. Czy nie zechciałbyś jej tu przynieść?

Dolgan podszedł do wskazanej przez smoka skrzyni. Otworzył ją. W środku, na błękitnym atłasie leżał czarny, metalowy pręt. Wziął go do ręki. Jak na swoje rozmiary był wyjątkowo ciężki. Przyniósł różdżkę smokowi.

Smok ledwo mówił. Miał spuchnięty język i trudno było go zrozumieć.

— Dotkniesz mnie za chwilę różdżką, Dolgan. Życie moje dobiegło końca.

— Uczynię, jak każesz, smoku, chociaż twa śmierć przepełnia mnie wielkim smutkiem i żalem.

— Zanim to nastąpi, mam wam jeszcze jedno do powiedzenia. W skrzyni stojącej obok tej pierwszej znajdziesz dar dla siebie, Dolgan. Możesz zabrać z tej sali wszystko, co ci sprawi przyjemność, ja już tego nie potrzebuję, wszelako pragnieniem moim jest, abyś zatrzymał szczególnie to, co znajdziesz w skrzyni.

Spróbował zwrócić głowę w stronę Tomasa, lecz zabrakło mu sił.

— Tomasie, przyjmij moją podziękę, żeś zechciał towarzyszyć mi w ostatnich chwilach życia. W skrzyni z darem dla Krasnoluda znajdziesz też jeden dla siebie. Możesz ponadto zabrać, co tylko zechcesz, bo serce twoje jest dobre.

Westchnął przeciągle, a z gardzieli dobył się chrapliwy dźwięk.

— Teraz, Dolgan.

Krasnolud wyciągnął różdżkę przed siebie i lekko dotknął głowy smoka. Z początku nic się nie stało.

— To ostatni podarunek Macrosa — szepnął Rhuagh ledwo słyszalnym głosem.

Nagle wokół smoka pojawiła się delikatna, złocista poświata, a w komnacie dał się słyszeć cichutki pomruk, jakby ściany promieniowały jakąś nieziemską muzyką. Dźwięk narastał. Poświata stawała się coraz bardziej intensywna i zaczęła pulsować energią. Dolgan i Tomas patrzyli urzeczeni, jak wyblakłe i zmatowiałe plamy na łuskach smoka zaczynają znikać. Ogromne ciało zaczęło lśnić nieskazitelnym złocistym blaskiem, a z oczu zniknęło matowe bielmo. Uniósł powoli łeb. Spostrzegli, że smok znowu widzi swą komnatę. Grzebień na czubku głowy stał sztywno wyprostowany. Skrzydła uniosły się do góry, ukazując srebrzystą dolną powierzchnię. Pożółkłe kły zaczęły iskrzyć się śnieżną bielą. Matowe, czarne szpony błyszczały głębokim, hebanowym blaskiem. Rhuagh dźwigał się powoli i majestatycznie na proste nogi, unosząc wysoko głowę.

— To najwspanialszy widok, jaki widziałem w swym życiu — szepnął oniemiały z wrażenia Dolgan.

Smok powracał do młodzieńczego wyglądu i potężnej mocy. Złota poświata gorzała niesamowitym blaskiem. Stanął wyprostowany. Grzebień na czubku głowy skrzył się srebrzyście i mienił wszystkimi kolorami tęczy. Smok rzucił w górę

głową młodzieńczym, pełnym energii ruchem. Ryknął radośnie. Z pyska wystrzelił ku wysokiemu sklepieniu ogromny jęzor ognia.

Wnętrze sali rozdarł donośny ryk jakby tysiąca trąb.

— Macros, dzięki ci. Zaiste, królewski otrzymuję dar.

Dziwny, spokojny i jednostajny dźwięk przybierał na sile. Przez chwilę Tomasowi i Dolganowi wydawało się, że gdzieś w tle, pod pulsującą monotonnie muzyką dał się słyszeć donośny, jakby niesiony echem głos.

— Mój przyjacielu, cieszę się, że mogłem ci pomóc.

Tomas poczuł wilgoć na policzkach. Dotknął palcem. Smok był tak piękny, że chłopak zaczął płakać ze szczęścia. Ogromne, złote skrzydła smoka rozwinęły się na całą długość, jakby za chwilę miał się wzbić do lotu. Migotliwa poświata stała się tak intensywna, że z trudem mogli na nią patrzeć, lecz ani na chwilę nie oderwali urzeczonego wzroku. Nieziemska muzyka sięgnęła zenitu. Z sufitu posypały się obłoczki pyłu, posadzka drżała pod stopami. Smok z rozpostartymi skrzydłami wzniósł się w górę i zniknął w oślepiającym, nagłym rozbłysku zimnego, białego światła. Komnata powróciła do pierwotnego stanu. Zapadła martwa cisza.

Pustka po odejściu smoka była przygnębiająca. Tomas spojrzał na Krasnoluda.

— Chodźmy już, Dolgan. Nie chcę tu zostać ani chwili dłużej.

Dolgan zamyślił się.

— Tak, Tomas. Masz rację. Ja również nie mam ochoty zostawać tutaj. Ale są jeszcze dary smoka.

Podszedł do skrzyni wskazanej przez smoka i podniósł wieko. Oczy Krasnoluda zrobiły się nagle okrągłe jak spodki. Sięgnął w głąb i wyciągnął ogromny młot, symbol swego narodu. Trzymał go przed sobą w wyciągniętym ręku i oglądał roziskrzonym wzrokiem z szacunkiem i powagą. Głowica została wykonana ze srebrzystego metalu, połyskującego w świetle latarni niebieskawymi refleksami. Na boku wyryto tradycyjne symbole jego ludu. Wzdłuż całej długości trzonu z rzeźbionego dębu pętliły się esy-floresy starodawnego pisma. Drewno było cudownie wypolerowane, a spod lustrzanego połysku przebijały piękne, bogate słoje.

— To młot Tholina… — wyszeptał z nabożeństwem Dolgan. — Dawno, dawno temu mój naród go utracił. Jego powrót napełni wszystkie serca niezmierną radością, jak ziemia zachodu długa i szeroka. To oznaka, symbol naszego ostatniego, zaginionego Króla.

Tomas podszedł, aby przyjrzeć się z bliska, i zobaczył na dnie skrzyni coś jeszcze. Sięgnął do środka i wydobył ogromny zwój białego materiału. Rozwinął go. Był to wspaniały kaftan ze złocistym smokiem wyhaftowanym na piersi. Wewnątrz ukryta była tarcza z tym samym symbolem i złocisty hełm. A najwspanialszy ze wszystkiego był szczerozłoty miecz z białą rękojeścią. Pochwa została wykonana z gładkiego, białego, przypominającego kość słoniową materiału, lecz

był on znacznie mocniejszy niż metal. Pod zawiniątkiem, na dnie skrzyni leżała złota kolczuga, którą wyjął z okrzykiem zachwytu.

Dolgan obserwował go z uwagą.

— Weź to, chłopcze. Smok powiedział, że to dar dla ciebie.

— Dolgan, to dla mnie zbyt wspaniałe. Należało chyba do Księcia albo Króla.

— Wydaje mi się, Tomas, że poprzedni właściciel nie potrzebuje już tego. Otrzymałeś to dobrowolnie, w darze. Zrobisz, jak zechcesz. Myślę jednak, że musi być to specjalny pancerz, w przeciwnym bowiem razie nie zostałby umieszczony w jednej skrzyni z młotem Krasnoludów. Młot Tholina jest bronią wielkiej mocy, wykutą w starożytnych paleniskach Mac Cadman Alair, najstarszej kopalni tych gór. Zaklęta jest w nim magiczna moc, największa, jaka kiedykolwiek dana była Krasnoludom. Być może ta złocista zbroja i miecz też są podobne, kto wie? A może nie trafiły one do ciebie przypadkiem i zrządzenie losu było celowe?

Tomas zastanawiał się przez chwilę, potem błyskawicznym ruchem ściągnął swoją obszerną kapotę. Co prawda nie miał na sobie odpowiedniego, skórzanego kaftana pod zbroję, tylko zwykłą bluzę, ale złota kolczuga zrobiona na kogoś bardziej postawnego, zmieściła się na nim bez żadnego trudu. Na wierzch założył kaftan, a na koniec wsadził na głowę hełm. Podniósł tarczę i miecz i stanął przed Dolganem.

— Bardzo głupio wyglądam?

Krasnolud przyjrzał mu się z uwagą.

— Wszystko jest trochę dla ciebie za duże, ale przecież zmężniejesz i będzie pasowało jak ulał.

Dolgan zauważył coś w postawie chłopca. Zastanawiał się przez chwilę. Tak, sposób, w jaki stał, jak trzymał w jednym ręku tarczę, a w drugim miecz… tak, nie mylił się.

— Nie, Tomas. Na pewno nie wyglądasz głupio. Może troszeczkę sztywno, ale z pewnością nie głupio. To wspaniałe rzeczy i stopniowo nauczysz się je nosić tak, jak trzeba.

Tomas podziękował kiwnięciem głowy. Odwrócił się, zabrał kurtę i miecz i ruszył do drzwi. Kolczuga wydała mu się zdumiewająco lekka, o wiele lżejsza od tej, którą nosił w Crydee.

Obrócił się przez ramię do Dolgana.

— Nie chcę zabierać stąd już nic więcej, Dolgan. To chyba trochę dziwne, prawda?

Krasnolud podszedł bliżej do chłopca.

— Wcale nie, Tomas, bo i ja nie chcę żadnych bogactw smoka. — Odwrócił się i jeszcze raz obrzucił spojrzeniem salę. — Chociaż pewnie przyjdą jeszcze noce, kiedy będę się dręczył myślami, czym rozsądnie uczynił. Może wrócę tu jeszcze kiedyś, ale wątpię. No, a teraz postarajmy się odszukać drogę do domu.

Ruszyli i wkrótce dotarli do dobrze znanych Dolganowi tuneli, które miały wyprowadzić ich na powierzchnię ziemi.

* * *

Dolgan chwycił Tomasa za ramię, ostrzegając go w ten sposób. Chłopak był już na tyle rozsądny i doświadczony, że nie odezwał się ani słowem. On sam zresztą doznał przed chwilą tego samego poczucia przerażenia, jak tuż przed atakiem zjawy poprzedniego dnia. Tym razem odczucie było o wiele silniejsze, prawie fizycznie odczuwalne. Niezmarła zjawa była blisko, bardzo blisko. Postawił bezgłośnie lampę na ziemi i zasunął jej drzwiczki. Zamurowało go ze zdumienia, bo zamiast spodziewanej całkowitej ciemności widział ciągle niewyraźną sylwetkę podążającego przed nim Dolgana.

— Dolgan… — powiedział bez zastanowienia.

Krasnolud obrócił się ku niemu i wtedy chłopak zobaczył wznoszącą się tuż za nim czarną postać.

— Za tobą! — wrzasnął przeraźliwie.

Dolgan obrócił się błyskawicznie, wznosząc instynktownie tarczę i młot Tholina. Niezmarła bestia uderzyła w Krasnoluda. Ocalił Dolgana wyćwiczony w wojennych potyczkach refleks i charakterystyczny dla jego narodu zmysł wyczuwania ruchu, którego nie zatracił nawet w atramentowych ciemnościach kopalni. Przyjął uderzenie na pokrytą metalem tarczę. Sparzony dotknięciem stwór zawył wściekle. Wtedy Dolgan zamachnął się z całej siły legendarnym orężem swych starożytnych przodków. Trafiona metalowym obuchem zjawa wrzasnęła przeraźliwie. Wokół głowicy młota rozbłysła oślepiającym światłem zielonkawobłękitna poświata. Widmo odskoczyło w tył, zawodząc z bólu.

— Trzymaj się za mną! — krzyknął Dolgan. — Żelazo ją tylko parzyło i jeszcze bardziej rozwścieczało. Ale jak oberwała młotem Tholina, zawyła z bólu. Może uda mi się ją przegnać.

Tomas zrobił krok do przodu, aby schować się za plecami Dolgana, lecz nagle zdał sobie sprawę, że jego ramię samo wędruje do lewego biodra, a dłoń wyciąga z pochwy złoty miecz. Poczuł, że niedopasowana zbroja przestała uwierać i przylega do pleców, a tarcza wisi u ramienia, jakby walczył z nią przez całe życie. Bezwiednie zrobił krok w stronę Dolgana, a potem zdecydowanie wyszedł przed niego, gotując miecz.

Bestia zawahała się przez moment, a potem ruszyła na niego. Chłopiec wzniósł miecz, szykując się do ciosu. Z okrzykiem śmiertelnego przerażenia widmo odwróciło się i uciekło. Dolgan rzucił na niego szybkie spojrzenie i zauważył

coś, co sprawiło, że zawahał się przez moment. Tomas powoli wracał do siebie. Opuścił miecz.

Dolgan wrócił do latarni.

— Dlaczego to zrobiłeś, chłopcze?

— Ja… nie wiem — poczuł się nieswojo, że nie posłuchał rozkazu Krasnoluda, i dodał pośpiesznie — ale poskutkowało. Stwór zwiał.

— Tak, rzeczywiście poskutkowało.

Dolgan pochylił się, odsłonił światło lampy i przyjrzał się z uwagą chłopcu.

— Młot twych przodków chyba przesądził sprawę.

Dolgan nie odpowiedział ani słowem, chociaż wiedział dobrze, że chłopiec nie ma racji. Stwór uciekł na widok Tomasa w złocisto-białej zbroi. Przyszła mu nagle do głowy pewna myśl.

— A skąd wiedziałeś, że trzeba mnie ostrzec przed stworem za moimi plecami?

— Zobaczyłem go.

Dolgan spojrzał na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

— Zobaczyłeś go? Jak? Przecież latarnia była zasłonięta.

— Nie mam pojęcia jak. Po prostu widziałem, i tyle.

Dolgan zasłonił światło lampy jeszcze raz i odsunął się kawałek.

— Gdzie teraz jestem, chłopcze?

Bez chwili wahania Tomas podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Tutaj.

— Co…?

Tomas dotknął delikatnie swej tarczy i hełmu.

— Przecież mówiłeś, że są wyjątkowe czy specjalne.

— No tak. Mówiłem. Ale nie przypuszczałem, że są aż tak specjalne.

— Czy powinienem to zdjąć? — spytał zaniepokojony chłopiec.

— Ależ nie, nie.

Dolgan zostawił latarnię na ziemi.

— Teraz, kiedy nie muszę się zastanawiać, co widzisz, a czego nie widzisz, będziemy mogli iść szybciej. — Zdobył się na wesoły i pogodny ton. — A poza tym, chociaż nie ulega wątpliwości, że na całej ziemi nie ma wspanialszej pary wojowników od nas, lepiej jednak będzie, jeżeli nie będziemy zdradzali swojej obecności światłem latarni. Nie daje mi spokoju opowieść smoka o moredhelach, którzy zapuścili się do naszych kopalń. Jeżeli jedna banda była na tyle odważna, aby ryzykować gniew mojego narodu, może być i druga. Nie przeczę, że widmo przeraziło się śmiertelnie twego złotego miecza i mojego starożytnego młota, ale wywarcie podobnego wrażenia na dwóch tuzinach moredheli może być trudniejsze do osiągnięcia.

Tomas nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc po krótkiej chwili ruszyli w ciemność.

* * *

W czasie wędrówki trzy razy musieli zatrzymywać się i chować przed przechodzącymi blisko bandami goblinów i Mrocznych Braci. Z mroku swych kryjówek mogli swobodnie ich obserwować i zauważyli, że wielu było rannych albo kuśtykało z trudem przy pomocy towarzyszy. Minęła ich ostatnia grupa.

— Jeszcze nigdy w historii tak wielkie bandy goblinów i moredheli nie odważyły się zapuścić do naszych podziemi. Zbyt obawiają się mojego ludu, aby podejmować tak wielkie ryzyko.

— Wygląda na to, że nieźle od kogoś oberwali. Zauważyłeś, były z nimi dzieci i kobiety, a wielu niosło sporo dobytku. Uciekają przed czymś.

Krasnolud kiwnął głową.

— Tak, masz rację. Wszystkie grupy idą w tym samym kierunku, z północnej doliny w Szarych Wieżach w stronę Zielonego Serca. Ciągle przed czymś uciekają na południe.

— Tsurani?

Krasnolud przytaknął ruchem głowy.

— I ja tak myślę. Chodź. Trzeba jak najszybciej wracać do Caldara.

Wyszli z ukrycia i pospiesznym krokiem ruszyli przed siebie. Po niedługim czasie dotarli do dobrze znanych Dolganowi tuneli, które wywiodły ich na powierzchnię.

* * *

Po pięciu dniach wędrówki dotarli zmęczeni do Caldara. Kopne śniegi w górach bardzo utrudniały marsz. Kiedy zbliżali się do wioski, zostali zauważeni przez wartowników i wkrótce otoczyli ich mieszkańcy osady, którzy wylegli tłumnie, aby powitać swego wodza.

Zostali zaprowadzeni do długiej sali posiedzeń. Po krótkim powitaniu Tomas dostał pokój. Obaj byli śmiertelnie zmęczeni. Nawet potężnie zbudowany i silny jak tur Krasnolud ledwo trzymał się na nogach. Chłopiec padł na posłanie i natychmiast zasnął. Przed udaniem się na spoczynek Krasnoludy uzgodniły tylko jeszcze, że na następny dzień zostanie zwołana narada starszych wioski, aby omówić ostatnie wieści, które dotarły do nich.

Tomas obudził się głodny jak wilk. Wstał i przeciągnął się. Ze zdumieniem stwierdził, że nic go nie boli i nie jest zesztywniały. Padł wieczorem na posłanie jak kłoda, nie zdejmując złotej kolczugi, i właściwie powinien wstać dzisiaj

z obolałymi mięśniami i sztywnymi stawami. Zamiast tego czuł się doskonale wypoczęty. Otworzył drzwi pokoiku i wyszedł na korytarz. Po drodze do długiej sali posiedzeń nikogo nie spotkał. Za stołem, u którego szczytu zasiadał Dolgan, zajęło miejsce kilku Krasnoludów. Jednym z nich, jak zdążył zauważyć Tomas, był Weylin, syn Dolgana. Wódz wskazał chłopcu krzesło i przedstawił go reszcie zebranych.

Krasnoludy przywitały Tomasa, który odpowiadał uprzejmie każdemu, chociaż jego uwaga skupiała się głównie na wspaniałym jedzeniu na stole.

— Ależ proszę bardzo, chłopcze. — Dolgan zaśmiał się donośnym głosem. — Nie krępuj się. Nie ma sensu, abyś siedział głodny, kiedy zbierze się na posiedzenie cała rada.

Tomas nałożył na drewniany talerz ogromny stos wołowiny, serów i chleba i przysunął sobie dzban piwa, chociaż nie miał za mocnej głowy i było jeszcze za wcześnie. W okamgnieniu talerz opustoszał i Tomas wziął dokładkę, spoglądając ukradkiem, czy nikt nie patrzy na to krzywym okiem. Z ulgą zauważył, że większość zebranych była całkowicie pochłonięta rozważaniem skomplikowanego zagadnienia rozmieszczenia zimowych magazynów żywności po wioskach i osadach, z czego niewiele zrozumiał.

Dolgan zarządził przerwanie rozmów.

— Teraz, kiedy Tomas jest z nami, pora, abyśmy porozmawiali o Tsuranich.

Chłopiec nadstawił uszu i skoncentrował całą uwagę na przedmiocie rozmowy.

— Po tym, jak wyszedłem z oddziałem na patrol, dotarli do nas posłańcy z Elvandaru i Kamiennej Góry. Powiadomiono nas, że w pobliżu Północnej Przełęczy wielokrotnie widziano obcych. Rozbili obóz na wzgórzach na południe od Kamiennej Góry.

— W takim razie jest to sprawa naszych pobratymców z Kamiennej Góry, chyba że i nas powołają pod broń — zauważył jeden z Krasnoludów.

— Słusznie powiedziałeś, Orwin, ale pamiętajmy, że dotarły do nas wieści, iż zaobserwowano ruchy wroga także na południe od przełęczy. Weszli zatem na ziemie tradycyjnie pozostające we władaniu naszego klanu, a to już sprawa dla nas samych, dla Szarych Wież.

Krasnolud nazwany Orwinem skinął poważnie głową.

— Prawdę rzekłeś, lecz i tak nic uczynić nie możemy aż do wiosny.

Dolgan położył nogi na stole i zapalił fajkę.

— I to jest prawdą. Wierzcie mi jednak, iż mamy wielkie szczęście, że i Tsurani do wiosny właśnie nic uczynić nie mogą.

Tomas odłożył kawał wołowiny, który trzymał w ręku.

— Czy nadeszły już śnieżyce?

— Tak, chłopcze. Pierwszy śnieg tej zimy spadł zeszłej nocy. Zasypało przełęcze. Nikt ani nic tamtędy nie przejdzie, nie mówiąc już o dużej armii.

Tomas spojrzał na Krasnoluda pytająco.

— Zatem…

— Tak, chłopcze. Przez całą zimę pozostaniesz naszym gościem. Nawet nasi najwytrawniejsi biegacze nie są w stanie wydostać się z gór i dotrzeć do Crydee.

Tomas oparł się ciężko łokciami o stół, bo chociaż było u Krasnoludów przytulnie i wygodnie, wolałby być u siebie. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Pogodził się w myślach z nową sytuacją i znowu skupił całą uwagę na jedzeniu.

# Rozdział 11

# Wyspa Czarnoksiężnika

Zmęczona grupka podążała z trudem do Bordon.

Wraz z nimi jechał konny oddział Strażników Natalskich ubranych w tradycyjne, szare bluzy, spodnie i długie kurty. Patrolowali okolicę i około dwóch kilometrów przed miastem natknęli się na podróżników, a teraz eskortowali ich do Bordon. Borric rozgniewał się, że strażnicy nie zaproponowali, aby zmęczeni wędrowcy dosiedli się na ich konie, ale nie okazywał tego na zewnątrz. W końcu nie musieli wcale wiedzieć, że grupka obdartusów spotkana gdzieś na drodze to książę Crydee i jego towarzysze. A zresztą, gdyby nawet pojawił się w pełnym majestacie, to i tak mieszkańcy Wolnych Miast Natalu nie żywili zbyt wielkiej miłości do Królestwa.

Pug patrzył na Bordon z szeroko otwartymi ustami. Chociaż według miary Królestwa Bordon było małym miastem, praktycznie niczym więcej niż miasteczkiem portowym, to jednak w porównaniu z Crydee wydawało mu się ogromne. Gdziekolwiek zwrócił wzrok, tłumy ludzi śpieszyły w tylko sobie wiadomym kierunku i celu. Właściwie nikt nie zwracał uwagi na grupę podróżników, czasami tylko zerknął na nich jakiś sklepikarz czy przekupka na rynku. Jeszcze nigdy w życiu Pug nie widział w jednym miejscu tylu ludzi, koni, mułów i wozów. Od kolorów i hałasu aż kręciło się w głowie. Psy, szczekając, goniły za końmi strażników, zręcznie unikając kopyt podenerwowanych rumaków. Ponieważ ich wygląd sugerował, że mogą być obcokrajowcami, a eskorta wskazywała, że być może są więźniami, kilku uliczników obrzuciło ich wyzwiskami. Pug zdenerwował się trochę ich niegrzecznym zachowaniem, ale wkrótce kolejne widoki sprawiły, że jego uwagę pochłonęło całkowicie nowe otoczenie.

Bordon, podobnie jak inne miasta regionu, nie posiadało stałej armii. Zamiast tego utrzymywano w mieście garnizon Strażników Natalskich, potomków legendarnych Przewodników Imperium Keshu, których uważano za najlepszą jazdę i tropicieli na zachodzie. Ich patrolujące okolicę oddziały dawały miastu w razie zagrożenia wystarczająco dużo czasu, aby powołać pod broń straż miejską.

Teoretycznie Strażnicy byli niezależni i mieli pełną swobodę działania. Mogli na przykład na miejscu likwidować wyjętych spod prawa czy renegatów. Tym razem jednakże dowódca oddziału po wysłuchaniu Księcia, a szczególnie, kiedy wymienione zostało imię Martina Długi Łuk, którego dobrze tutaj znano, zdecydował się przekazać sprawę miejscowemu prefektowi.

Jego siedziba mieściła się w małym budyneczku przy rynku. Strażnicy przekazali wędrowców lokalnej władzy i zadowoleni, że pozbyli się kłopotu, wrócili na patrol.

Prefekt był niskim, ogorzałym mężczyzną, który lubował się w noszeniu ogromnych złotych pierścieni na palcach i kolorowych szarf opasujących potężny brzuch. Kiedy kapitan Strażników zdawał mu relację z przebiegu spotkania z oddziałem Księcia, stał, gładząc czarną, błyszczącą od olejków brodę. Dowódca odjechał w końcu, a prefekt powitał chłodno Księcia. Gdy jednak Borric wyraźnie dał do zrozumienia, że są oczekiwani przez Talbotta Kilrane'a, najznamienitszego w mieście maklera okrętowego, a zarazem agenta handlowego Księcia w Wolnych Miastach, jego zachowanie zmieniło się raptownie. Zostali poproszeni o przejście do prywatnej kwatery prefekta, gdzie poczęstował ich gorącą, czarną kawą. Gospodarz wysłał natychmiast służącego do domu Kilrane'a a potem, gawędząc z Księciem o nieistotnych sprawach, spokojnie czekał.

Kulgan nachylił się do Puga.

— Nasz gospodarz należy do tych, którzy zanim podejmą jakąkolwiek decyzję, sprawdzają najpierw, skąd wieje wiatr. Czeka na wiadomość od kupca, zanim zdecyduje, czy jesteśmy więźniami czy gośćmi. — Zachichotał po cichu. — Jak podrośniesz, to zobaczysz, że co pomniejsi urzędnicy są tacy sami na całym świecie.

Przy drzwiach zakotłowało się nagle i do środka wpadł jak burza Meecham, a tuż za nim jeden z wyższych rangą urzędników Kilrane'a. Nie zwlekając wyjaśnił on, że jest to rzeczywiście książę Crydee i że naprawdę on i jego towarzysze są oczekiwani przez Talbotta Kilrane'a. Prefekt teraz już płaszczył się przed Księciem i z obłudnym uśmiechem przepraszał uniżenie za kłopot, ale w tych okolicznościach, kiedy czasy takie niespokojne, Książę z pewnością zrozumie i wybaczy?

Książę potwierdził, że rozumie. Nie tracąc więcej czasu, opuścili dom prefekta. Na zewnątrz czekało kilku parobków z końmi. Wsiedli na nie szybko, a Meecham i urzędnik poprowadzili ich przez miasto w kierunku imponujących domów, rozsiadłych dostojnie na zboczach pagórków.

Dom Talbotta Kilrane'a stał na samym szczycie najwyższego z nich, skąd rozpościerał się wspaniały widok na miasto i stojące w porcie statki. Z kilkunastu, jak zauważył Pug, ze względu na fatalne warunki pogodowe usunięto maszty. Kilka niewielkich stateczków żeglugi przybrzeżnej wchodziło ciężko do portu lub wychodziło ostrożnie na pełne morze, kierując się w stronę Ylith na północy lub innych Wolnych Miast. Poza tym w porcie działo się niewiele.

Dotarli na miejsce i wjechali przez bramę w niskim murze. Służba wybiegła, aby zaopiekować się końmi. Kiedy zsiadali, przez ogromne drzwi wejściowe wyszedł na powitanie gospodarz domu.

— Witaj, książę Borric. Witaj w mych progach.

Ascetyczną, posępną twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. Z łysiejącą głową, ostrymi rysami i małymi, ciemnymi oczami, Talbott Kilrane przypominał wyglądem sępa, który przybrał ludzką postać. Obszerne, drogocenne szaty nie potrafiły skryć szczupłości jego sylwetki. W obejściu był jednak swobodny i miły, a niekłamana troska w oczach łagodziła pierwsze nieprzyjemne wrażenie.

Nie zważając na jego wygląd, Pug polubił go od razu. Kilrane pogonił ostro służbę, aby zajęła się przygotowaniem komnat i gorącego posiłku dla gości. Książę usiłował wyjaśnić cel swojej misji, ale gospodarz za nic nie chciał słuchać. Przerwał Borricowi, unosząc rękę do góry.

— Później, Wasza Wysokość. Później. Będziemy mieli wiele czasu na rozmowę po tym, jak wypoczniecie i posilicie się. Zapraszam wszystkich wieczorem na kolację, a teraz czeka na was gorąca kąpiel i czysta pościel. Przyślę gorący posiłek do każdego pokoju. Dobre jedzenie, odpoczynek i czyste, świeże ubrania — poczujecie się jak nowo narodzeni. Porozmawiamy potem.

Klasnął w dłonie. Po chwili pojawił się majordomus i wskazał im pokoje. Książę i jego syn otrzymali osobne komnaty, a Kulgan i Pug mieli dzielić jedną. Gardana zaprowadzono do pokoju Meechama, a żołnierzy do pomieszczeń dla służby.

Kulgan powiedział Pugowi, aby pierwszy wziął kąpiel, a on w tym czasie porozmawia ze swoim służącym. Meecham i mag poszli do pokoju służącego. Pug ściągnął z siebie brudne ubranie i wszedł do stojącej na środku pokoju metalowej wanny, wypełnionej gorącą wodą i parującej wonnościami, po czym jeszcze szybciej wyskoczył z powrotem. Po trzech dniach wędrówki przez śniegi woda parzyła jak wrzątek. Powolutku wsunął stopę do wody, odczekał, aż skóra oswoi się z temperaturą, i dopiero po chwili wszedł ponownie do wanny.

Siedział wygodnie oparty o nachyloną pod łagodnym kątem ścianę wanny. Wanna była emaliowana i Pug, przyzwyczajony do kąpieli w drewnianej balii w domu, czuł się trochę dziwnie na gładkiej i śliskiej powierzchni. Namydlił się pachnącym mydłem, umył zlepione brudem włosy, a potem stanął i spłukał mydliny wiadrem zimnej wody.

Wytarł się do sucha i założył zostawioną dla niego czystą koszulę nocną. Chociaż było jeszcze wcześnie, padł jak nieżywy na ciepłe łóżko. Nim zapadł w kamienny sen, zobaczył jeszcze twarz płowowłosego, zawsze uśmiechniętego przyjaciela i pomyślał, czy Dolganowi udało się go odnaleźć.

Obudziło go na chwilę w ciągu dnia ciche nucenie i wielki chlupot wody, kiedy Kulgan namydlał swe ogromne ciało. Pug zamknął oczy i natychmiast zasnął znowu.

Kulgan wyrwał go z kamiennego snu, budząc na kolację. Bluzę i spodnie miał wyprane, rozdartą koszulę zaszytą, a pod łóżkiem stały wypolerowane do połysku czarne buty. Stanął przed lustrem i przejrzał się. Zauważył na policzkach jakiś delikatny cień. Zbliżył się do lustra i stwierdził, że zaczyna mu rosnąć broda.

Kulgan przyglądał mu się spod oka.

— No cóż, chłopcze. Czy mam zawołać służbę i poprosić o brzytwę, abyś miał skórę gładką jak książę Arutha, czy też pragniesz wyhodować długą, wspaniałą brodę? — spytał mag, gładząc się teatralnym gestem po swoim siwym zaroście.

Po raz pierwszy od wyjścia z Mac Mordain Cadal Pug uśmiechnął się.

— Myślę, że na razie nie muszę sobie tym zaprzątać głowy.

Kulgan zaśmiał się głośno ciesząc się, że chłopiec znów jest taki jak dawniej. Niepokoił się bardzo straszną rozpaczą Puga po stracie przyjaciela, a teraz widząc, że odporna natura chłopca wzięła górę, odetchnął z ulgą. Otworzył przed nim drzwi.

— Pan pozwoli?

Pug skłonił głowę, naśladując dworski ukłon.

— Ależ oczywiście, Mistrzu Magii. Pan przodem — powiedział i wybuchnął śmiechem.

Poszli do wielkiej i rzęsiście oświetlonej jadalni, nie była ona jednak tak ogromna, jak na zamku Crydee. Książę i Arutha siedzieli już za stołem. Kulgan i Pug szybko zajęli swoje miejsca. Kiedy zasiedli, Borric kończył właśnie opowieść o wydarzeniach w Crydee i wielkiej puszczy.

— Uznałem więc, że wieści te są tak ważne, że najlepiej będzie, jeżeli przedstawię je osobiście.

Kupiec oparł się wygodnie o krzesło. Słudzy wnosili właśnie ogromne ilości różnego rodzaju potraw.

— Książę Borric, kiedy twój człowiek, Meecham, zgłosił się do mnie po raz pierwszy, prośba, którą przedstawił w twym imieniu, nie była zbyt jasna. Wynikało to, jak mniemam, ze sposobu, w jaki została mu ona przekazana — powiedział, nawiązując do magii użytej przez Kulgana, aby skontaktować się z Belganem, który z kolei wysłał informację w podobny sposób do Meechama.

— Nigdy nie sądziłem, że twoja chęć dotarcia do Krondoru okaże się tak istotna również dla moich ziomków. — Przerwał i po chwili namysłu mówił dalej. — Wieści, które przyniosłeś, Książę, bardzo mnie oczywiście zaniepokoiły. Chciałem ci służyć jako makler okrętowy i znaleźć odpowiedni statek, teraz jednak zdecydowałem, że użyczę ci, panie, jednego z mych własnych statków.

Wziął ze stołu mały dzwoneczek i zadzwonił. Po sekundzie stanął za nim sługa.

— Wyślij wiadomość do kapitana Abrama, aby szykował Królową Burzy do wyjścia w morze. Wypłynie do Krondoru z jutrzejszym popołudniowym przypływem. Wkrótce przekażę bardziej szczegółowe instrukcje.

Służący skłonił się i wyszedł.

— Dzięki ci, Mistrzu Kilrane. Miałem nadzieję, że zrozumiesz; nie oczekiwałem jednak, że znajdę statek tak szybko.

Kupiec spojrzał mu prosto w oczy.

— Pozwól, Książę, że będę z tobą szczery. Nie ma zbyt wielkiej miłości między Wolnymi Miastami a Królestwem, a jeszcze mniejsza jest miłość — jeżeli pozwolisz, powiem zupełnie otwarcie — do imienia conDoin. Nie kto inny jak twój własny dziad, Książę, zrównał z ziemią Walinor i oblegał Natal. Został zatrzymany o kilkanaście kilometrów na północ od miejsca, w którym teraz się znajdujemy. Pamięć o tym jest ciągle żywa w wielu z nas. Pochodzimy z Keshu, ale z urodzenia jesteśmy wolnymi ludźmi i nie darzymy najeźdźców wielką miłością.

Książę siedział sztywno, a Kilrane mówił dalej.

— Musimy jednakże przyznać, że twój ojciec, a teraz i ty sam byliście dobrymi sąsiadami, handlując z Wolnymi Miastami uczciwie, a czasem nawet bardziej niż hojnie płacąc za towar. Uważam cię, Książę, za człowieka honoru i wierzę, że Tsurani są tacy, jak ich byłeś łaskaw przedstawić. Jak mniemam, nie należysz do ludzi, którzy przesadzają, wyolbrzymiając fakty.

Książę odprężył się nieco, słysząc te słowa.

Talbott wypił łyk wina z kielicha.

— Byłoby nierozsądnie i krótkowzrocznie z naszej strony nie dostrzegać, że współpraca z Królestwem leży w naszym dobrze pojętym interesie. Zdani sami na siebie, jesteśmy zupełnie bezradni. Bezpośrednio po twym wyjeździe zwołam posiedzenie Rady Cechów i Kupców i będę optował za udzieleniem wsparcia Królestwu.

Uśmiechnął się i wszyscy zasiadający przy stole dostrzegli w nim człowieka równie pewnego swej władzy i autorytetu jak Książę.

— Nie spodziewam się, abym miał wiele trudności w przekonaniu rady do tego rozsądnego kroku. Krótka wzmianka o wojennej galerze Tsuranich oraz równie krótkie rozważanie o tym, jak nasze własne statki poradzą sobie z całą flotą podobnych okrętów, powinny ich przekonać, jak sądzę.

Borric roześmiał się głośno i aż uderzył ręką w stół z radości.

— Widzę, Mistrzu handlu, że twoje bogactwo nie przypadło ci jedynie na skutek szczęśliwego układu gwiazd. Przebiegłością i mądrością dorównujesz naszemu ojcu Tully'emu. Przyjmij moje wyrazy wdzięczności.

Książę i kupiec rozprawiali do późnych godzin nocnych. Pug był bardzo zmęczony i poszedł spać. Kiedy po paru godzinach Kulgan powrócił do pokoju, zastał chłopca śpiącego spokojnie.

* * *

Królowa Burzy pędziła przed wiatrem przez spienione bałwany z wydętymi żaglami. Zacinająca lodowatym deszczem morka czyniła noc jeszcze czarniejszą. Stojący na pokładzie nie widzieli nawet niknących w zapłakanej czerni szczytów masztów.

Za nadbudówką schroniła się przed zacinającym lodowatymi i mokrymi podmuchami grupka ludzi. Owinięci ciasno w długie, nieprzemakalne i podbite futrem płaszcze usiłowali zatrzymać odrobinę ciepła. Już dwa razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni trafili na sztorm, ale dzisiejsza pogoda była z pewnością najgorsza. Gdzieś z góry, spomiędzy olinowania doszedł ich krzyk. Po chwili kapitan otrzymał wiadomość, że dwóch majtków spadło z rei. Książę Borric nachylił się do ucha kapitana Abrama.

— Czy nic nie można zrobić? — spytał, przekrzykując wycie wiatru.

— Nic, panie. Już ich nie ma. Poszukiwanie, nawet gdyby było możliwe, byłoby lekkomyślnością i głupotą.

Cała wachta wisiała wysoko nad pokładem, balansując niebezpiecznie na wietrze i obtłukując gromadzący się na rejach i masztach lód, zagrażający ich połamaniem i unieruchomieniem statku. Kapitan Abram stał, trzymając się relingu. Uważnie obserwował statek i wypatrywał nawet najmniejszego sygnału zagrożenia. Jego ciało poruszało się harmonijnie, zgodnie a ruchami walczącego z falą statku. Obok niego stali Książę i Kulgan, ale oni nie trzymali się tak pewnie na poruszającym się pod nogami pokładzie. Gdzieś z dołu, z głębi statku usłyszeli głośny, przeciągły trzask. Kapitan zaklął szpetnie.

Po chwili na pokładzie pojawił się jeden z marynarzy i podbiegł do nich.

— Kapitanie, pękła wręga. Nabieramy wody.

Abram przywołał ruchem ręki mata stojącego nieopodal na głównym pokładzie.

— Weź kilku ludzi i biegiem na dół. Naprawić szkodę, a potem zameldować.

Mat błyskawicznie dobrał czterech majtków i zbiegli pod pokład.

Kulgan zapadł w krótki trans, po czym zwrócił się do Abrama.

— Kapitanie, sztorm będzie trwał jeszcze trzy dni.

Abram przeklął zły los zgotowany przez bogów i spojrzał na Księcia.

— Nie dam rady żeglować, uciekając przed burzą, kiedy statek bierze wodę. Nie mam wyjścia, musimy znaleźć jakieś spokojne miejsce i naprawić kadłub.

Książę skinął głową.

— Skręcamy do Queg? — krzyknął.

Kapitan potrząsnął energicznie głową, rozsiewając przy okazji dookoła kropelki wody i sopelki lodu z brody.

— Nie, nie mogę pójść pod wiatr do Queg. Będziemy musieli stanąć na kotwicy u brzegów Wyspy Czarnoksiężnika.

Kulgan potrząsnął gwałtownie głową, chociaż w ciemności nikt tego nie zauważył.

— Czy nie ma w pobliżu innego miejsca, dokąd moglibyśmy zawinąć?

Kapitan spojrzał najpierw na niego, a potem na Księcia.

— Nie, żadne nie jest wystarczająco blisko. Ryzykujemy, że zniszczymy maszt, a w rezultacie, w najlepszym wypadku, jeżeli nie zaleje ładowni i nie pójdziemy na dno, stracimy sześć, a nie trzy dni. Fale są coraz wyższe. Sztorm się wzmaga. Nie chcę stracić więcej ludzi.

Krzyknął rozkazy w górę i do sternika. Po chwili wzięli kurs na południe, kierując się w stronę Wyspy Czarnoksiężnika.

Kulgan zszedł pod pokład z Księciem. Statkiem rzucało i szarpało na wszystkie strony. Pokonanie wąskiej schodni i korytarza okazało się trudniejsze, niż to się mogło wydawać, i w drodze do kabiny ciskało potężnym magiem od ściany do ściany. Książę wszedł do kabiny, którą dzielił z synem, a Kulgan udał się do swojej.

Gardan, Meecham i Pug próbowali przeczekać kołysanie, leżąc na kojach. Chłopiec przechodził ciężkie chwile, cierpiąc przez pierwsze dwa dni na morską chorobę. Opanował jako tako żeglarską sztukę poruszania się po pokładzie podczas sztormu, ale ciągle nie mógł się przyzwyczaić do solonej wieprzowiny i sucharów, które musieli jeść na okrągło. Z powodu sztormu kucharz okrętowy nie był w stanie pełnić swoich zwykłych obowiązków.

Wiązania statku trzeszczały pod naporem kolejnych ataków żywiołu morskiego. Od dziobu, spod pokładu, gdzie mała grupka pod dowództwem mata usiłowała prowizorycznie naprawić pękniętą wręgę, dochodził głuchy stukot młotków.

Pug obrócił się na bok i spojrzał na Kulgana.

— Co z tym sztormem?

Meecham podniósł się na łokciu i też spojrzał na swego pana. Gardan uczynił to samo.

— Będzie wiało jeszcze przez trzy dni. Staniemy na kotwicy po zawietrznej wyspy i poczekamy, aż się trochę uspokoi.

— Jakiej wyspy?

— Wyspy Czarnoksiężnika.

Meecham usiadł na posłaniu tak gwałtownie, że aż uderzył głową w niski sufit. Siedział przez chwilę oszołomiony, przeklinając na czym świat stoi i masując obolałą głowę. Gardan, zakrywając usta, zdusił wybuch śmiechu i zwrócił się do Kulgana.

— Wyspa Czarnego Macrosa?

Kulgan kiwnął głową, po czym w ostatniej chwili złapał się koi, żeby nie upaść, kiedy dziób statku wzniósł się najpierw w górę na wysokiej fali, aby po chwili opaść gwałtownie.

— Otóż właśnie. Pomysł nie bardzo mi się podoba, ale kapitan boi się o bezpieczeństwo statku.

Jakby na potwierdzenie jego słów kadłub zatrzeszczał przeraźliwie.

— Kto to jest Macros? — spytał Pug.

Kulgan zamyślił się na chwilę, przysłuchując się odgłosom pracy dochodzącym od dziobu i rozważając pytanie Puga.

— Macros jest wielkim czarnoksiężnikiem, Pug. Może nawet największym, jakiego świat znał kiedykolwiek.

— Oj tak, tak… — dodał Meecham — a także czarcim pomiotem z najgłębszych otchłani piekielnych. Praktykuje on magię najczarniejszą z czarnych i nawet krwawi kapłani Lims-Kragmy boją się postawić stopę na tej jego wyspie.

Gardan zaśmiał się.

— Jeszcze nie spotkałem czarodzieja, który byłby w stanie zastraszyć kapłanów bogini śmierci. Zaiste, musi to być mag wielkiej siły.

— To tylko plotki i pogłoski, Pug — powiedział Kulgan.

— Wiadomo o nim z pewnością tylko jedno. Kiedy prześladowania magów w Królestwie osiągnęły apogeum, Macros uciekł i schronił się na tej wyspie. Od tamtego czasu nikt nie zawitał na tę ziemię ani jej nie opuścił.

Pug, pochłonięty bez reszty opowieścią o czarnoksiężniku, zapomniał na śmierć o sztormie. Usiadł na koi. Patrzył zafascynowany na tańczące po twarzy Kulgana cienie i plamy światła, rzucane przez kołyszącą się w zwariowanym rytmie statku lampę.

— Macros jest już bardzo stary — ciągnął dalej Kulgan. — Nie wiadomo, dzięki jakim sztukom utrzymuje się przy życiu, ale ma już dobrze ponad trzysta lat.

Gardan parsknął szyderczo.

— Albo też mieszkało tutaj kilku ludzi o tym samym imieniu.

Kulgan kiwnął głową.

— Być może. Jak mówiłem, nie wiemy o nim nic pewnego, z wyjątkiem straszliwych historii opowiadanych przez żeglarzy. Mam pewne podejrzenia, że nawet jeśli istotnie Macros praktykuje ciemniejszą stronę magii, to jego zła reputacja jest mocno przesadzona. Być może chciał w ten sposób zapewnić sobie niezakłóconą prywatność.

Uciszył ich kolejny przeraźliwy trzask, jakby pękła następna wręga kadłuba statku. Kabina zawirowała w upiornym tańcu.

— Mimo wszystko mam nadzieję, że uda nam się postawić stopę na Wyspie Czarnoksiężnika — wyraził Meecham głośno wspólną dla wszystkich myśl.

* * *

Statek dopłynął z trudem do południowej zatoki wyspy. Musieli przeczekać sztorm i dopiero kiedy morze się uciszyło, nurkowie mogli zbadać dno.

Kulgan, Pug, Gardan i Meecham wyszli na pokład. W tym miejscu wysokie, skaliste brzegi zatoki hamowały furię huraganu. Pug podszedł do kapitana i Kulgana wpatrzonych w szczyt skalistego brzegu.

Wysoko ponad głowami wznosiła się majestatycznie, czarna na tle szarego nieba, sylweta zamku. Wszystko wyglądało dziwnie i tajemniczo. Strzelające w niebo wyniosłe wieżyce i blanki wyglądały jak rozczapierzone szponiaste palce. Zamek był zupełnie ciemny. Tylko jedno okno w wieży świeciło niebieskawym pulsującym światłem, jakby ktoś z mieszkańców uwięził w wieży i zmusił do pracy błyskawicę.

— Tam, na szczycie urwiska… Macros. — Pug usłyszał, jak Meecham mówi po cichu.

* * *

Trzy dni później wyprężone w locie ciała nurków przecięły powierzchnię wody. Po pewnym czasie, krzycząc głośno, przekazali na pokład informację o poniesionych szkodach. Pug stał na głównym pokładzie z Meechamem, Gardanem i Kulganem. Książę Arutha i jego ojciec wraz z kapitanem oczekiwali werdyktu o stanie statku. Ponad masztami krążyły uparcie chmury ptactwa zwabione pojawieniem się statku na tych wodach i wypatrujące odpadków. Zimowe sztormy nie przyczyniały się do wzbogacenia ubogiego pożywienia ptaków i pojawienie się statku zostało powitane z radością jako potencjalne jego źródło.

Arutha zszedł na dół, na główny pokład, gdzie czekali inni. — Naprawa uszkodzeń zajmie cały dzisiejszy dzień i pół jutrzejszego. Kapitan jest jednak zdania, że powinien wytrzymać podróż do Krondoru. Na trasie z wyspy do Krondoru nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów.

Meecham i Gardan wymienili znaczące spojrzenia.

Kulgan nie chciał dopuścić, aby uciekła mu sprzed nosa nadarzająca się okazja.

— Czy będziemy mogli zejść na brzeg, Wasza Wysokość?

Arutha potarł dłonią gładko wygoloną brodę.

— Tak, chociaż żaden z żeglarzy nie ruszy palcem, aby nas tam dowieźć.

— Nas? — spytał mag.

Arutha uśmiechnął się swym charakterystycznym lekko skrzywionym uśmiechem.

— Mam powyżej uszu kabiny na statku, Kulgan. Chcę rozprostować nogi na stałym lądzie. A poza tym, nie mając stosownego nadzoru, spędzisz cały czas, włócząc się po miejscach, w które nie powinieneś wtykać swego wielkiego nochala.

Pug zerknął w górę na zamek, co nie uszło uwagi Kulgana.

— Będziemy się na pewno trzymali z daleka od zamku i drogi z plaży na górę. Niejedna opowieść o tej wyspie wspomina, jak fatalnie skończyli ci, którzy próbowali dostać się do komnat czarnoksiężnika.

Arutha dał znak jednemu z marynarzy. Przygotowano łódź, w której zajęli miejsca czterej mężczyźni oraz chłopiec. Po chwili majtkowie, spoceni mimo ciągle wiejącego po sztormie zimnego wiatru, spuścili łódź na wodę. Z ukradkowych spojrzeń rzucanych bez przerwy na urwiste wybrzeże Pug domyślił się, że nie pocili się wcale z wysiłku czy temperatury.

— Być może na Midkemii są ludzie, którzy są bardziej przesądni od żeglarzy, ale choćbyś mnie krajał na kawałki, nie byłbym w stanie podać jakiegoś przykładu — powiedział Arutha, jakby odczytując myśli chłopca.

Kiedy łódź kołysała się już na fali, Meecham i Gardan zwolnili liny zwieszające się z wyciągu. Obaj mężczyźni ujęli niezgrabnie wiosła i łódź ruszyła ku brzegowi. Z początku wiosłowali nierówno, rwanym rytmem, jednak po kilku kosych spojrzeniach Księcia oraz uszczypliwych komentarzach, jak to ludzie mogą przeżyć całe życie w mieście położonym nad morzem, a mimo to nie mieć pojęcia o wiosłowaniu, udało im się wyrównać kurs i rytm pracy wioseł.

Wylądowali na piaszczystym odcinku plaży, za niewielkim cyplem, który chronił ich przed falami z zatoki. Stroma ścieżka wznosiła się z plaży ku zamkowi. W pewnej odległości łączyła się z inną, przecinającą całą wyspę.

Pug wyskoczył z łodzi i pomógł wciągnąć ją na brzeg. Kiedy osiadła mocno na piasku, wszyscy wyszli, aby rozprostować nogi.

Pug cały czas miał wrażenie, jakby byli obserwowani, jednak ilekroć rozglądał się dookoła, nie widział niczego z wyjątkiem skał i kilku ptaków morskich, które spędzały zimę w szczelinach urwiska.

Kulgan i Książę przyglądali się uważnie obu ścieżkom prowadzącym z plaży. Kulgan skierował wzrok na tę, która wiodła w kierunku przeciwnym do zamku.

— Chyba nam nie zaszkodzi, jeżeli pójdziemy tym szlakiem, co?

Długie dni nudy i zamknięcia na pokładzie statku przeważyły nad obawą ukrytą w głębi serca. Arutha skinął energicznie głową i poprowadził ich ścieżką w górę.

Pug szedł ostatni, za Meechamem. Dłoń barczystego sługi Kulgana spoczywała na rękojeści szerokiego miecza. Pug, który nadal, mimo udzielanych mu przez Gardana w każdej wolnej chwili lekcji szermierki, nie czuł się zbyt pewnie z mie-

czem, trzymał pod ręką procę. Bezwiednie bawił się jej rzemieniem i wpatrywał pilnie przed siebie.

Posuwając się ku górze wąską ścieżynką, spłoszyli kilka kolonii siewek i kamuszników, które zrywały się nagle do lotu tuż spod ich stóp. Ptaki protestowały głośnym krzykiem i zataczały nad ich głowami niskie kręgi czekając, aż ludzie przejdą, aby powrócić na swe zaciszne zbocze.

Wspięli się na szczyt pierwszego z całego łańcucha pagórków. Z jego wysokości stwierdzili, że ścieżka, którą podążali, znika za szczytem następnego wzniesienia.

— Ona musi dokądś prowadzić — powiedział Kulgan. — Idziemy dalej?

Arutha skinął głową. Reszta grupki milczała. Podążali ścieżką, aż dotarli do niewielkiej doliny, właściwie kotliny, pomiędzy dwoma łańcuchami wzgórz. Na jej dnie przycupnęło kilka domów.

— Jak myślisz, Kulgan, mieszka tam ktoś? — spytał cicho Arutha.

Mag przyglądał się zabudowaniom uważnie przez kilka chwil, a potem odwrócił do Meechama. Sługa podszedł bliżej i obrzucił badawczym wzrokiem całą okolicę, od dna kotliny aż do wierzchołków otaczających ją pagórków.

— Nie wydaje mi się. Ani śladu dymu z kominów. Nie słychać żadnych odgłosów pracy ani ludzi.

Arutha ruszył przed siebie w dół zbocza. Reszta poszła za nim. Meecham odwrócił się na moment i spojrzał na Puga. Zauważył, że z wyjątkiem procy chłopiec nie miał żadnej broni. Wyjął zza pasa długi myśliwski nóż i podał bez słowa Pugowi. Ten kiwnął głową w podzięce i nic nie mówiąc, wziął nóż.

Doszli do niewielkiego płaskowyżu wznoszącego się ponad budynkami. Pug zauważył dziwnie wyglądający dom, stojący centralnie na dużym podwórcu w otoczeniu innych zabudowań. Całość była obwiedziona niskim murkiem około metrowej wysokości.

Zeszli na dno kotliny i podeszli do bramy w murze. Na podwórzu rosło kilka bezlistnych drzew owocowych. Ogród był zarośnięty chwastami. Przed frontonem centralnego domu stała fontanna zwieńczona rzeźbą przedstawiającą trzy delfiny. Podeszli bliżej. Niewielki basenik otaczający fontannę wyłożony był zmatowiałymi i wyblakłymi niebieskimi kafelkami. Kulgan obejrzał uważnie konstrukcję fontanny.

— Bardzo sprytne rozwiązanie. Woda wydobywała się chyba delfinom z pysków.

— Tak, masz rację. Widziałem fontanny królewskie w Rillanonie. Są bardzo podobne, chociaż nie mają takiego wdzięku i gracji jak te.

Na ziemi leżało trochę śniegu. Najwyraźniej osłoniętą ze wszystkich stron kotlinę, jak i chyba całą wyspę, nawet w najsroższe zimy omijały śnieżyce. Było jednak zimno. Pug odszedł trochę na bok i przyglądał się z uwagą budynkowi. W ścianach parterowego domu co trzy metry umieszczono okna. Oprócz nich

w ścianie, przed którą stał, znajdował się tylko jeden otwór, który kiedyś wypełniały podwójne drzwi, jednak już dawno wyleciały z zawiasów.

— Ktokolwiek tu kiedyś mieszkał, najwyraźniej nie spodziewał się kłopotów.

Pug odwrócił się. Tuż za nim stał Gardan i też przyglądał się budynkowi.

— Nie ma żadnej wieży strażniczej, a ten niski murek wzniesiono raczej po to, aby zwierzęta domowe nie wchodziły do ogrodu, a nie ku obronie.

Meecham usłyszał ostatnią uwagę sierżanta i podszedł do nich.

— Tak. Nikt tu się nie przejmował obroną. Poza niewielkim strumyczkiem za domem jest to najniżej położone miejsce na wyspie.

Odwrócił się i spojrzał ku zamkowi, na najwyższe wieże wznoszące się ponad otaczające dolinkę wzgórza.

— Tak budują ci, którzy szukają kłopotów. Te zaś zabudowania — zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując otaczające domy — zostały z pewnością wzniesione przez ludzi, którzy nie mieli nigdy do czynienia z wojenną zawieruchą.

Pug pokiwał w zamyśleniu głową i odszedł na bok. Gardan i Meecham skierowali się w stronę opuszczonej stajni.

Pug udał się na tyły domu. Tu też stało kilka innych, mniejszych budynków. Ścisnął mocno nóż w dłoni i wszedł do najbliższego. Dach się zapadł i górą przeświecało niebo. Na podłodze walały się wszędzie potrzaskane i wyblakłe czerwone dachówki. Wokół ścian pomieszczenia, które było kiedyś magazynem czy spiżarnią, stały jeszcze wielkie drewniane półki. Pug zbadał resztę pomieszczeń w domu. Wszystkie były podobne. Cały budynek pełnił kiedyś funkcję jakiegoś magazynu.

Przeszedł do następnego domu i natknął się na ogromną kuchnię. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się kamienny piec, wystarczająco duży, aby jednocześnie mogło stać na ogniu kilka kotłów czy czajników. Ponad tylnym otwartym paleniskiem wisiał ogromny rożen, na którym swobodnie można było piec połówkę wołu czy całe jagnię. Środek kuchni zajmował gigantyczny drewniany kloc rzeźnicki, poznaczony niezliczonymi bliznami od uderzeń tasaka czy noża.

Pug zbadał uważnie leżące w kącie dziwacznie wyglądające naczynie z brązu oplecione pajęczynami i pokryte kurzem. Odwrócił je. W środku była drewniana łyżka. Podniósł wzrok. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że na zewnątrz dostrzegł czyjąś sylwetkę.

— Meecham? Gardan? — zawołał, zbliżając się powoli do drzwi. Wyszedł na zewnątrz. Nikogo nie zauważył. Spojrzał w bok i wydało mu się, że dostrzegł jakiś ruch przy tylnym wyjściu z głównego budynku.

Pośpieszył w tym kierunku zakładając, że jego towarzysze weszli już do domu. Wszedł do środka. W głębi bocznego korytarza coś mignęło. Zatrzymał się na chwilę, aby przyjrzeć się dziwnemu domostwu.

Odsuwane drzwi, przed którymi stał, spadły z szyn i leżały od dawna na ziemi. Na wprost widział duży wewnętrzny dziedziniec. Dom był właściwie pustą

w środku, kwadratową bryłą. Częściowo przykrywający ją dach podtrzymywały filary. W środku patio stała jeszcze jedna fontanna otoczona niewielkim ogródkiem, lecz i ona była zniszczona, a ogród dusił się pod dywanem chwastów.

Pug skręcił w stronę korytarza, w głębi którego, jak mu się wydawało, dostrzegł jakiś ruch. Przeszedł przez niskie boczne drzwi i znalazł się w mrocznym korytarzu. W kilku miejscach z dachu wyleciały dachówki i było dostatecznie jasno, aby swobodnie posuwać się do przodu. Przeszedł obok dwóch pustych pokoi, które jak sądził po wystroju, służyły kiedyś jako sypialnie.

Skręcił za róg i znalazł się przed drzwiami do dziwnie wyglądającego pokoju. Wszedł do środka. Ściany były pokryte od podłogi do sufitu mozaiką, przedstawiającą dziwne stwory morskie, brykające radośnie w pienistych falach ze skąpo odzianymi mężczyznami i kobietami. Był to dla Puga zupełnie nieznany styl sztuki. Kilka wiszących na zamkowych ścianach tkanin czy obrazów przedstawiało sceny jakby wyjęte z realnego życia. Kolory były stonowane, a każdy detal dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Pokrywająca ściany tego pomieszczenia mozaika pokazywała tylko zarysy kształtów postaci ludzkich i zwierząt, nie wchodząc w szczegóły rysunku.

W podłodze znajdowało się spore zagłębienie z prowadzącymi w dół kilkoma schodkami. Z przeciwnej ściany sterczał, zwieszając się nad basenem, wielki rybi łeb z brązu. Pug nie miał zielonego pojęcia, jakie mogło być przeznaczenie tego pomieszczenia.

Tak jakby ktoś odczytał jego myśli, usłyszał tuż za sobą głos.

— To tepidarium.

Pug odwrócił się gwałtownie. Tuż za nim stał mężczyzna średniego wzrostu. Miał wysokie czoło i głęboko osadzone czarne oczy. Jego skronie były przyprószone siwizną, ale broda czarna jak noc. Odziany był w brązową szatę z prostego materiału, przepasaną sznurem. W lewej dłoni trzymał potężny dębowy kij. Pug odskoczył do tyłu, wyciągając przed siebie nóż.

— Ależ to niepotrzebne, chłopcze. Odłóż swój kozik. Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy.

Uśmiechnął się do niego ciepło i Pug odprężył się i opuścił nóż.

— Jak nazwałeś ten pokój?

Nieznajomy wszedł do środka.

— Tepidarium. Ciepłą wodę doprowadzano rurami do basenu. Korzystający z kąpieli składali ubrania na tamtych półkach. — Wskazał ręką na drewnianą konstrukcję wzdłuż ściany po drugiej stronie pomieszczenia.

— Służba zabierała je, prała i suszyła, podczas gdy przybyli na kolację goście zażywali kąpieli.

Pugowi wydało się, że pomysł wspólnego kąpania się gości w obcym domu jest raczej dziwny, ale nie powiedział ani słowa.

— Za tamtymi drzwiami — nieznajomy mężczyzna wskazał na drzwi przy basenie — znajdował się następny basen z bardzo gorącą wodą. Pomieszczenie to nazywano caldarium. A jeszcze dalej jest kolejne pomieszczenie z basenem z zimną wodą, które nazywano frigidarium. W tamtym pokoju, zwanym unctuarium, służba namaszczała gości wonnymi olejkami. W owych czasach nie używano do kąpieli mydła, a zamiast niego nacierano skórę drewnianymi pałeczkami.

Pugowi pokręciło się zupełnie w głowie od tych różnych pokoi kąpielowych.

— Wygląda na to, że bardzo wiele czasu poświęcali, aby utrzymać ciało w czystości. To wszystko jest bardzo dziwne.

Mężczyzna wsparł się na swojej lasce.

— Tak ci się może wydawać, Pug. Z drugiej strony jednakże ci, którzy wznieśli ten budynek, pewnie nie mogliby się nadziwić komnatom w waszym zamku.

Pug spojrzał na niego zaskoczony.

— Skąd wiesz, panie, jak mam na imię?

Mężczyzna znowu uśmiechnął się przyjaźnie.

— Kiedy zbliżaliście się do domu, usłyszałem, że tak się do ciebie zwracał wysoki żołnierz. Obserwowałem was z ukrycia. Chciałem się upewnić, czy nie jesteście piratami rabującymi antyczne dzieła sztuki. Niewielu piratów jest tak młodych, sądziłem więc, że będę mógł z tobą bezpiecznie porozmawiać.

Pug przyjrzał się uważnie obcemu. W tym, co i jak mówił, wyczuwało się jakby podwójne, ukryte znaczenie słów.

— Dlaczego chciałeś ze mną mówić?

Nieznajomy usiadł na krawędzi pustego basenu. Podwinął trochę dolny brzeg szaty i chłopiec zauważył na jego nogach mocne sandały przypasane do stóp skrzyżowanymi rzemieniami.

— Jestem przeważnie sam. Rzadko zdarza się okazja, by porozmawiać z kimś nieznajomym. Chciałem się dowiedzieć, czy nie zechciałbyś złożyć mi krótkiej wizyty, tylko kilka chwil zaledwie, zanim powrócisz na statek.

Pug także przysiadł na brzegu basenu, zachowując jednak przyzwoity dystans pomiędzy sobą a nieznajomym.

— Mieszkasz tu, panie?

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju.

— Nie. Chociaż kiedyś, dawno temu, mieszkałem tutaj.

Powiedział to zadumanym tonem, jakby odpowiedź na to proste pytanie wydobyła na powierzchnię dawno pogrzebane wspomnienia.

— Kim jesteś?

Mężczyzna uśmiechnął się do niego. Pug poczuł, że nerwowe napięcie znika zupełnie. W obcym mężczyźnie było coś, co dodawało pewności i uspokajało. Chłopiec był już zupełnie pewien, że nic mu nie grozi ze strony nieznajomego.

— Często nazywają mnie wędrowcem, bo przemierzyłem wiele lądów i ziem. W najbliższej okolicy uważany jestem za pustelnika, a to z powodu życia, jakie wiodę. Możesz mnie nazywać, jak chcesz, nie robi mi to żadnej różnicy.

Pug spojrzał na niego z uwagą.

— Czy nie masz swojego własnego imienia?

— Mam ich wiele. Tak wiele, że kilka z nich uleciało już z mej pamięci. W godzinie mych narodzin zostałem obdarzony tak jak i ty imieniem, lecz u mojego ludu imię jest znane tylko ojcu i kapłanowi-magowi.

Pug rozważał przez chwilę jego odpowiedź.

— Wszystko to jest takie dziwne. Zupełnie jak ten dom. Z jakiego narodu pochodzisz?

Mężczyzna, nazwany przez siebie wędrowcem, roześmiał się głośno i szczerze.

— Masz bardzo dociekliwy umysł, Pug, i wiele, bardzo wiele pytań. To dobrze.

Zamilkł na chwilę.

— Skąd przybywacie ty i twoi towarzysze? Na statku w zatoce powiewa natalska flaga z Bordon, lecz twój akcent zdradza, że pochodzisz raczej z Królestwa.

— Jesteśmy z Crydee — odpowiedział Pug i przedstawił nieznajomemu pokrótce historię podróży. Mężczyzna zadał mu kilka prostych pytań i zanim chłopiec się zorientował, opowiedział mu wszystkie wydarzenia, które sprowadziły ich w pobliże wyspy, jak również plany na resztę podróży.

— To naprawdę wspaniała i cudowna historia. Pewien jestem, że zanim to dziwne spotkanie dwóch światów zakończy się, wydarzy się jeszcze wiele przedziwnych rzeczy.

Pug spojrzał na niego pytająco.

— Nie rozumiem.

Wędrowiec potrząsnął głową.

— Nie oczekiwałem tego, chłopcze. Przyjmijmy na razie, że mają teraz miejsce wydarzenia, które będzie można ocenić i zrozumieć dopiero po ich zbadaniu, po fakcie, kiedy to odpowiednio długi czas oddzieli uczestników od tych wydarzeń.

Pug podrapał się w kolano.

— Mówisz zupełnie jak Kulgan, kiedy próbuje wytłumaczyć działanie magii.

Wędrowiec pokiwał głową.

— Trafne porównanie. Chociaż czasem jedynym sposobem zrozumienia działania magii jest posługiwanie się nią.

Twarz Puga rozjaśniła się.

— Czy też jesteś magiem?

Wędrowiec pogładził powoli długą, czarną brodę.

— Niektórzy tak sądzili, chociaż wątpię, abyśmy z Kulganem podobnie pojmowali te rzeczy.

Po twarzy Puga było wyraźnie widać, że chociaż nie powiedział ani słowa, nie uznał tej odpowiedzi za wystarczającą. Wędrowiec pochylił się do przodu.

— Potrafię rzucić jedno czy dwa zaklęcia, jeżeli o to ci chodziło, młody człowieku.

Pug usłyszał, jak na dziedzińcu ktoś wykrzykuje jego imię.

— Chodź — powiedział nieznajomy — Przyjaciele cię wołają. Najlepiej będzie, jak wyjdziemy do nich, żeby się nie niepokoili o twój los.

Wyszli z pokoju kąpielowego i przeszli przez wewnętrzny dziedziniec. Pomiędzy ogrodem w patio a frontonem budynku znajdował się duży przedpokój. Wyszli na zewnątrz. Kiedy reszta towarzyszy Puga ujrzała go idącego w towarzystwie wędrowca, rozejrzeli się błyskawicznie dookoła i wyciągnęli broń. Kulgan i Książę przeszli przez dziedziniec i stanęli przed nimi. Obcy wzniósł w górę obie ręce w rozumianym wszędzie geście, oznaczającym, że nie jest uzbrojony.

Książę zwrócił się do Puga.

— Kim jest twój towarzysz, Pug?

Chłopiec przedstawił wędrowca.

— Nie knuje nic złego. Kiedy nas zobaczył, ukrył się, bo chciał się upewnić, czy nie jesteśmy piratami.

Oddał nóż Meechamowi.

Jeżeli nawet jego wyjaśnienie nie zadowoliło ich, Arutha nie okazał tego po sobie.

— Co tu robisz?

Nieznajomy rozłożył szeroko ramiona, trzymając laskę w zagięciu lewego łokcia.

— Mieszkam tutaj, książę Crydee. Mam wrażenie, że to pytanie raczej ja powinienem był wam zadać.

Usłyszawszy słowa skierowane do siebie, Książę zesztywniał, po chwili jednak napięcie zniknęło.

— Jeżeli istotnie jest tak, jak mówisz, to racja jest po twojej stronie. To my jesteśmy nieproszonymi gośćmi. Chcieliśmy tylko trochę rozprostować kości po długim zamknięciu w kabinie statku. Nic więcej.

Wędrowiec skinął głową.

— W takim razie witajcie w Villa Beata.

— Co to jest Villa Beata? — spytał Kulgan.

Obcy zakreślił prawą ręką szeroki łuk w powietrzu.

— Dom ten to właśnie Villa Beata. W języku tych, którzy go wznieśli, oznacza to „błogosławione domostwo”, bo też i takim domem był przez długie lata. Jak widzicie, miejsce to pamięta lepsze czasy.

Napięcie powoli znikało. Jego przyjazny uśmiech oraz spokojne i naturalne zachowanie się sprawiły, że wszyscy poczuli się pewniej.

— A co z tymi, którzy zbudowali to dziwne miejsce? — spytał Kulgan.

— Pomarli albo odeszli. Kiedy przybyli tutaj po raz pierwszy, sądzili, że to Insula Beata, czyli Błogosławiona Wyspa. Uciekli tutaj przed straszliwą wojną, która zmieniła historię świata, który znali i w którym żyli.

Jego ciemne oczy zaszkliły się łzami, kiedy przywołał na pamięć bolesne wspomnienia.

— Wielki król umarł… przynajmniej tak sądzono, niektórzy nadal twierdzą, że pewnego dnia może jeszcze powrócić. To były straszne i przygnębiające czasy. Uciekinierzy chcieli tutaj żyć w pokoju.

— Co się z nimi stało? — zapytał Pug.

Wędrowiec wzruszył ramionami.

— Może piraci? Gobliny? Może choroba czy szaleństwo? Któż to może wiedzieć? Zastałem ten dom po przybyciu na wyspę w stanie, w jakim go dzisiaj widzicie. Nie został ani jeden z mieszkańców.

— Opowiadacie o dziwnych rzeczach, przyjacielu wędrowcze. Nie znam się na tym zbyt dobrze, ale wydaje mi się, że to miejsce jest opuszczone od wieków. Jak to możliwe, że znałeś ludzi, którzy tu mieszkali?

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Nie było to wcale tak dawno, jak się może wydawać, książę Crydee, a ja jestem znacznie starszy, niż wyglądam. Jest to możliwe dzięki dobremu odżywianiu się i regularnemu zażywaniu kąpieli.

Meecham, który ze wszystkich, co zeszli na ląd, miał najbardziej podejrzliwą naturę, przez cały czas przypatrywał się uważnie obcemu.

— A co z Czarnym? Czy cię niepokoi?

Wędrowiec obejrzał się przez ramię na szczyty zamku.

— Czarny Macros? Niewiele mam z nim wspólnego. Na pewno nie tyle, aby wchodzić z nim w jakieś konflikty. Pozwala mi zajmować się wyspą pod warunkiem, że nie wtykam nosa w jego sprawy.

Pug nabrał nagle pewnych podejrzeń, ale nie odezwał się ani słowem.

— Chyba się zgodzicie, że taki straszny i potężny czarnoksiężnik nie musi się za bardzo obawiać prostego pustelnika. — Nachylił się ku nim i dodał konspiracyjnym szeptem. — A poza tym myślę, że reputacja, jaką się powszechnie cieszy, jest bardzo rozdmuchana i przesadzona, pewnie po to, aby trzymać nieproszonych gości na dystans. Bardzo wątpię, czy jest w stanie dokonywać rzeczy, które mu się przypisuje.

— Może zatem powinniśmy złożyć wizytę temu czarnoksiężnikowi — powiedział Arutha.

Pustelnik spojrzał na Księcia.

— Nie sądzę, aby was powitano na zamku z radością. Czarnoksiężnik jest często zajęty swoją pracą i źle znosi, kiedy ktoś mu ją przerywa. Być może rzeczywiście nie jest on mitycznym sprawcą wszelkiego zła na tym świecie, co niektórzy są mu skłonni przypisywać, ale nie ulega wątpliwości, że jest w stanie sprawić masę kłopotów, znacznie więcej niż są tego warte odwiedziny na zamku. Najczęściej jego osoba to bardzo kiepskie towarzystwo.

W tym, co mówił, wyczuwało się delikatne i trochę złośliwe poczucie humoru.

Arutha rozejrzał się dookoła.

— Myślę, że zobaczyliśmy już wszystkie interesujące miejsca, jakie są do obejrzenia na wyspie. Powinniśmy chyba wracać na statek?

Kiedy nikt nie zgłosił sprzeciwu, Książę zwrócił się do obcego.

— A co z tobą, przyjacielu wędrowcze?

Nieznajomy rozłożył szeroko ramiona.

— Ja nadal będę kultywował me przyzwyczajenie do samotności, Wasza Wysokość. Wasze krótkie odwiedziny sprawiły mi wiele radości, tak jak i informacje chłopca o tym, co się dzieje w szerokim świecie. Nie sądzę jednak, abyście mnie mieli jutro odnaleźć w tym miejscu, gdyby wam przyszło do głowy, aby mnie poszukać.

Wyraźnie było widać, że nie zamierza im udzielić więcej informacji i Arutha zaczął się irytować jego zdawkowymi odpowiedziami.

— Zatem pozwolisz, że pożegnamy się, wędrowcze. Niech bogowie mają nad tobą pieczę.

— I nad tobą, książę Crydee.

Odwrócili się, aby odejść. Pug nagle potknął się o coś i poleciał całym ciężarem na Kulgana. Obaj próbowali bezradnie złapać równowagę i w rezultacie upadli na ziemię. Wędrowiec pomógł chłopcu podnieść się. Meecham i Gardan pomogli wstać ciężkiemu magowi. Kulgan stanął na nogi, syknął nagle głośno z bólu i gdyby Arutha i Meecham nie chwycili go w porę, upadłby znowu.

— Chyba skręciłeś nogę w kostce, przyjacielu magu — powiedział wędrowiec. — Masz. Trzymaj. — Wyciągnął ku niemu swą laskę. — Moja laska jest z mocnego dębu. Z pewnością wytrzyma ciężar twojego ciała w drodze na statek.

Kulgan przyjął zaofiarowany kij i wsparł się na nim mocno. Zrobił kilka kroków na próbę i stwierdził, że za pomocą laski uda mu się dojść na miejsce.

— Dziękuję, ale jak ty sobie poradzisz?

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— To tylko prosty kij. Znajdę łatwo drugi. Być może kiedyś, przy okazji zgłoszę się po jego odbiór.

— Będę czekał, a kij zatrzymam do tego dnia.

Wędrowiec odwrócił się, mówiąc na odchodnym:

— Dobrze. Zatem do zobaczenia kiedyś. Jeszcze raz żegnam. Patrzyli za nim, jak znika we wnętrzu budynku, potem odwrócili się i spojrzeli po sobie.

— Dziwny człowiek z tego wędrowca — pierwszy odezwał się Arutha.

Kulgan skinął głową.

— O wiele dziwniejszy niż ci się wydaje, Książę. Z chwilą, kiedy odszedł, poczułem, jak opuszcza nas jakiś czar. Tak jakby był on otoczony zaklęciem, które sprawia, że wszyscy, którzy się znajdą w jego otoczeniu, ufają mu.

Pug zwrócił się do Kulgana.

— Chciałem mu zadać tyle pytań, ale jakoś nie mogłem się zdecydować.

— Tak, ja miałem identyczne odczucie — potwierdził Meecham.

— Mam wrażenie — odezwał się Gardan — że mówiliśmy z samym czarnoksiężnikiem.

— To samo pomyślałem — powiedział Pug.

Kulgan wsparł się ciężko na lasce.

— Być może, ale jeżeli tak, to musiał mieć swoje powody, aby skrywać tożsamość.

Wspinając się powoli ścieżką oddalającą ich od Villi, rozmawiali cały czas o spotkaniu.

Dotarli do zatoczki, w której zacumował statek. Pug poczuł nagle, że coś uwiera go pod ubraniem. Sięgnął pod bluzę i wyciągnął niewielki, złożony kawałek pergaminu. Zdziwił się, bo zupełnie nie pamiętał, aby go gdzieś podniósł. Pewnie wędrowiec włożył mu to niepostrzeżenie za bluzę, kiedy pomagał stanąć na nogi.

Idący w stronę łodzi Kulgan obejrzał się na chłopca. Zobaczył jego zdziwiony wyraz twarzy i zatrzymał się.

— Co tam masz?

Pug podał mu pergamin. Otoczyli Kulgana ciasnym kręgiem. Mag rozwinął pergamin, przeczytał i również na jego twarzy pojawiło się ogromne zdziwienie. Jeszcze raz przeczytał, co było napisane na zwitku, tym razem głośno, aby wszyscy usłyszeli.

> „Witam przybyszów, w których sercach nie zagościło zło. Dowiecie się w przyszłości, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Proszę, zatrzymajcie kij pustelniczy jako znak naszej przyjaźni i dobrej woli aż do dnia, kiedy zobaczymy się ponownie. Nie starajcie się spotkać ze mną aż do wyznaczonego dnia, bo i tym kieruje przeznaczenie."
>
> Macros

Kulgan oddał kartę Pugowi, który przeczytał ją jeszcze raz.

— Zatem ten pustelnik to był Macros!

Meecham potarł palcami brodę.

— Nic z tego nie rozumiem.

Kulgan spojrzał w górę, ku zamkowi, gdzie w jednym oknie ciągle pulsowało światło.

— Ja też, stary przyjacielu. Cokolwiek to jednak znaczy, myślę, że czarnoksiężnik dobrze nam życzy, a to uważam za dobry znak.

Powrócili na statek i udali się na odpoczynek do swoich kabin. Następnego dnia statek był gotowy do wyjścia w morze z południowym przypływem. Kiedy tylko postawili żagle, zawitała nad statek wyjątkowo delikatna i spokojna jak na tę porę roku bryza, która pchnęła ich prosto w kierunku Krondoru.

# Rozdział 12

# Narady

Pug był niespokojny.

Siedział, wyglądając przez okno pałacu książęcego w Krondorze. Za oknem od trzech dni sypał śnieg. Książę i Arutha spotykali się codziennie na rozmowach z księciem Krondoru. Pierwszego dnia poproszono Puga, aby opowiedział jeszcze raz historię odnalezienia statku Tsuranich. Potem był wolny. Dobrze zapamiętał to trudne dla niego spotkanie i swoje nieudolne odpowiedzi.

Pug bardzo się zdziwił, że Książę był taki młody. Miał on trzydzieści kilka lat, nie był jednak z pewnością człowiekiem zdrowym i tryskającym energią. Wielokrotnie w czasie rozmowy chłopiec był zaskakiwany gwałtownymi atakami kaszlu, które przerywały wywody Księcia. Blada i zlana zimnym potem twarz wyraźnie wskazywała, że Książę był o wiele ciężej chory, niż wskazywałoby na to jego zachowanie.

Jednym gestem ręki oddalił sugestię Puga, aby powrócić do rozmowy w czasie, który będzie bardziej dogodny dla Księcia. Erland z Krondoru był człowiekiem poważnym i zamyślonym. Cierpliwie i spokojnie słuchał opowieści, łagodząc w ten sposób zmieszanie i zdenerwowanie chłopca, który znalazł się nagle twarzą w twarz z dziedzicem tronu Królestwa. Patrzył na Puga ze zrozumieniem, dodając mu otuchy, tak jakby było to zwykłą rzeczą, że wysłuchuje niezdarnych i bezładnie mówiących chłopców, którzy pojawili się przed jego majestatem. Kiedy Pug skończył swoją opowieść. Książę rozmawiał z nim jeszcze przez jakiś czas o jego studiach czy cudownym wyniesieniu do stanu szlacheckiego, tak jakby były to ważne dla królestwa sprawy.

Pug doszedł do wniosku, że polubił księcia Erlanda. Drugi z potężnych ludzi Królestwa, a zarazem najpotężniejszy na ziemiach zachodu, był przyjazny, pełen ciepła i troszczył się o wygody swego najmniej ważnego gościa.

Pug, ciągle jeszcze nie przyzwyczajony do wspaniałości pałacu, rozejrzał się po komnacie. Nawet jego skromny pokój był bogato ozdobiony, a przy ścianie, zamiast zwykłego posłania, stało łoże z baldachimem. Po raz pierwszy w życiu

spał w takim łóżku i trzeba przyznać, że nie czuł się za dobrze na miękkim, grubym, puchowym materacu. W kącie pokoju stała szafa, a w niej tyle ubrań, że starczyłoby mu ich na całe życie albo i dłużej. Wszystkie były doskonale skrojone z najlepszych materiałów i uszyte jakby na jego miarę. Kulgan powiedział, że był to podarunek od Księcia.

Cisza panująca w pokoju przypomniała Pugowi, jak rzadko widywał się ostatnio z Kulganem i towarzyszami. Gardan i jego żołnierze opuścili dzisiaj pałac z całym plikiem rozkazów Borrica dla Lyama, a Meecham został zakwaterowany z gwardią pałacową. Kulgan prawie cały czas uczestniczył w rozmowach i Pug miał dla siebie mnóstwo czasu. Żałował, że nie wziął ze sobą książek, bo przynajmniej mógłby wykorzystać wolny czas. Od chwili przyjazdu do Krondoru praktycznie nie miał nic do roboty.

Wielokrotnie rozmyślał o tym, jak bardzo Tomas cieszyłby się z poznania nowego miejsca i pałacu, który, jak mu się wydawało, był zbudowany raczej ze szkła i magii niż z kamienia. Cieszyłby się także ze spotkania jego mieszkańców. Wspominał swego zaginionego przyjaciela, mając nadzieję, że Dolganowi udało się go odnaleźć, chociaż podświadomie nie bardzo w to wierzył. Ból po stracie był teraz przytłumiony, lecz ciągle żywy. Chociaż minął ponad miesiąc, ciągle miał przeświadczenie, że kiedy się odwróci, ujrzy za sobą przyjaciela.

Miał już dosyć bezczynnego siedzenia. Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz biegnący wzdłuż całego wschodniego skrzydła książęcego pałacu. Ruszył korytarzem przed siebie, mając nadzieję, że natknie się na kogoś znajomego i przerwie monotonię bezczynnego czekania.

Minął gwardzistę idącego w przeciwną stronę. Żołnierz zasalutował mu. Pug wciąż jeszcze nie mógł się przyzwyczaić, że gwardziści oddawali mu honory za każdym razem, kiedy ich mijał. Ponieważ należał do grupy osób towarzyszących Księciu i był szlachcicem, cała służba pałacowa oddawała mu honory.

Doszedł do mniejszego bocznego korytarza i postanowił zobaczyć, co tam jest. Ten korytarz był dla niego równie dobry jak każdy inny. Książę osobiście powiedział mu, że może się poruszać po całym pałacu, ale Pug nie chciał przekroczyć cienkiej granicy między gościnnością a wścibstwem. Teraz jednak przeraźliwa nuda sprawiła, że postanowił rzucić wyzwanie przygodzie, przynajmniej takiej, na jaką pozwalały okoliczności.

Po paru krokach doszedł do niewielkiego wykuszu z oknem, z którego rozciągał się piękny widok na pałacowe ogrody. Usiadł na drewnianej ławie przy oknie. Poza murami mógł zobaczyć port Krondor, który wyglądał teraz jak pomalowany na biało miniaturowy model wioski dla dzieci. Z wielu kominów snuł się dym, jedyna oznaka życia w mieście. Zakotwiczone w porcie statki wyglądały z daleka jak miniaturowe zabawki, czekające na bardziej sprzyjające warunki, aby postawić żagle i ruszyć na pełne morze.

Cichy głos wyrwał go z zamyślenia.

— Czy to ty jesteś księciem Aruthą?

Stała za nim mała, sześcio- czy siedmioletnia dziewczynka o ogromnych jasnozielonych oczach i kasztanowych włosach schowanych pod srebrną siateczką. Miała na sobie prostą, lecz uszytą z dobrego materiału czerwoną sukienkę z białymi falbankami przy mankietach rękawów. Jej ładna twarzyczka, teraz skoncentrowana na jednej myśli, sprawiała trochę komiczne wrażenie.

Zawahał się przez moment.

— Nie, mam na imię Pug. Przyjechałem z Księciem.

Dziewczynka nawet nie próbowała ukryć swego rozczarowania. Wzruszyła ramionami i usiadła obok niego. Spojrzała tym samym śmiertelnie poważnym wzrokiem.

— Miałam nadzieję, że może jesteś Księciem, bo chciałam go koniecznie zobaczyć. Chociaż przez chwilę, zanim wyjedziecie do Saladoru.

— Salador — powiedział Pug bezbarwnym głosem. Żywił cichą nadzieję, że ich podróż skończy się na wizycie u Księcia. Myślał ostatnio często o Carline.

— Tak. Ojciec mówi, że macie natychmiast wyruszyć do Saladoru, a potem popłynąć statkiem do Rillanonu, aby zobaczyć się z Królem.

— Kim jest twój ojciec?

— Księciem, głupcze. Dlaczego ty nic nie wiesz?

— Chyba masz rację. — Pug spojrzał na dziewczynkę, wyobrażając sobie, że tak zapewne wyglądała Carline, gdy była dzieckiem. — A ty pewnie jesteś księżniczką Anitą?

— Oczywiście. I to prawdziwą księżniczką. Córką najprawdziwszego Księcia. Mój ojciec mógł zostać Królem, ale mu się nie chciało. Jakby kiedyś zechciał, to zostanę prawdziwą Królową. Ale chyba nie będę. A ty co robisz?

Rzucone nagle i bez ogródek pytanie zaskoczyło Puga zupełnie. Trajkotanie małej trochę go irytowało i nie słuchał jej z uwagą, skupiony na widoku rozciągającym się za oknem.

Zastanawiał się przez moment.

— Jestem terminatorem u książęcego maga.

Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Prawdziwego maga?

— Wystarczająco prawdziwego.

Jej twarzyczka rozpromieniła się.

— Czy może zmieniać ludzi w ropuchy? Mama mówi, że magowie zmieniają złych ludzi w ropuchy.

— Nie wiem. Zapytam, kiedy się z nim zobaczę… jeżeli się zobaczę… — dodał na końcu cicho.

— Zapytasz? Na pewno? Bardzo bym chciała to wiedzieć.

Wyglądało na to, że perspektywa potwierdzenia, czy opowieść matki była prawdziwa, zupełnie ją pochłonęła i zafascynowała.

— Czy możesz mi powiedzieć, gdzie mogłabym zobaczyć księcia Aruthę?

— Nie wiem. Sam go nie widziałem od dwóch dni. Po co go chcesz zobaczyć?

— Mama mówi, że pewnego dnia wyjdę za niego za mąż. Chcę zobaczyć, czy jest miły.

Perspektywa, że to małe dziecko miałoby wyjść za młodszego syna Księcia, zbiła Puga na chwilę z tropu. Co prawda, podejmowanie zobowiązań przez rodziców wyżej urodzonych dzieci na długo przed osiągnięciem przez nie pełnoletności było dosyć powszechne, ale mimo wszystko brzmiało to dziwnie. Za dziesięć lat ta mała stanie się kobietą, a Książę — ciągle jeszcze młody — będzie zapewne władał jednym z pomniejszych zamków. Pug był zafascynowany i zdumiony zarazem.

— Myślisz, że spodoba ci się życie u boku pana zamku?

Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że zadał bardzo idiotyczne pytanie.

Księżniczka potwierdziła to, obdarzając go spojrzeniem, którego nie powstydziłby się ojciec Tully.

— Głupi! Skąd niby mam to wiedzieć, jeżeli teraz nie wiem, za kogo każą mi wyjść mama i tata?

Dziewczynka zeskoczyła z ławy.

— Muszę wracać. Nie wolno mi tu przychodzić. Jeżeli odkryją, że wyszłam z mojego pokoju, zostanę ukarana. Mam nadzieję, że będziecie mieli udaną podróż do Saladoru i Rillanonu.

— Dziękuję.

Mała nagle zatroskała się.

— Nie powiesz nikomu, że tu byłam, dobrze?

Pug uśmiechnął się do niej konspiracyjnie.

— Ani mru mru. Nikt się nie dowie.

Uśmiechnęła się z ulgą. Wyjrzała ostrożnie za róg, patrząc w lewo i prawo.

— To bardzo miły człowiek — powiedział Pug, kiedy ruszyła przed siebie.

Księżniczka zatrzymała się w pół kroku.

— Kto?

— Książę. Książę to miły i dobry człowiek. Jest poważny i często zamyślony, ale w ogóle bardzo miły.

Mała zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Po chwili uśmiechnęła się radośnie.

— To dobrze. Nie chciałabym wyjść za kogoś niemiłego.

Zachichotała, skręciła za róg i zniknęła w głębi korytarza.

Pug siedział jeszcze przez jakiś czas przy oknie, patrząc na padający śnieg i zastanawiając się nad dziećmi, które rozważają sprawy wagi państwowej, i nad tym konkretnym dzieckiem, z wielkimi i poważnie patrzącymi na świat zielonymi oczami.

* * *

Tego wieczoru Książę podejmował swych gości ucztą. Zaproszeni zostali wszyscy szlachetnie urodzeni przebywający na zamku i większość bogaczy z niższych warstw Krondoru. Do stołów zasiadło ponad czterysta osób i Pug znalazł się w towarzystwie zupełnie nieznanych mu ludzi, którzy nie zważając na jego drogi ubiór oraz fakt, że w ogóle znalazł się wśród zaproszonych, uprzejmie go lekceważyli. Książę Borric i Arutha zasiedli u szczytu stołu razem z księciem Erlandem i jego małżonką, księżniczką Alicją, z księciem Dulanicem, kanclerzem księstwa oraz marszałkiem Krondoru. Ze względu na stan zdrowia Erlanda dowodzenie armią Krondoru przypadło Dulanicowi, który pogrążony był teraz w rozmowie z Barrym, Admirałem Książęcej Floty. W ich pobliżu zasiadła reszta urzędników księcia Krondoru. Pozostali goście zajęli miejsca przy mniejszych stołach. Pug siedział przy jednym z najbardziej oddalonych od głównego stołu książęcego.

Całe rzesze służby wbiegały do sali i wybiegały z niej, wnosząc ogromne tace z jedzeniem i karafki z winem. Wokół stołów chodzili bardowie śpiewający ballady i najnowsze pieśni oraz kuglarze, akrobaci i błaźni przedstawiający swoje sztuczki. Niewielu gości zwracało na nich uwagę. Starali się mimo to jak mogli, bo gdyby Mistrz Ceremonii zauważył, że się lenią, w przyszłości nie zostaliby już zaproszeni do pałacu.

Na ścianach zawieszono ogromne sztandary i bogate tkaniny. Na sztandarach przedstawiono herby i znaki wszystkich wielkich rodów i domów Królestwa, od złocisto-brązowych Crydee na samym zachodzie, do biało-zielonych dalekiego Ran, na wschodzie. Za królewskim stołem zwieszał się sztandar Królestwa, przedstawiający na purpurowym tle złocistego lwa z koroną na głowie, stojącego na tylnych łapach i trzymającego w przednich miecz, starodawny znak królów con-Doin. Obok wisiał sztandar Krondoru; srebrzysty orzeł na purpurowym tle, lecący ponad wierzchołkiem góry. Jedynie Książę i król Rillanonu mieli prawo nosić królewskie kolory. Borric i Arutha narzucili na ramiona czerwone płaszcze, co oznaczało, że są Książętami Królestwa, spokrewnionymi z rodziną królewską. Pug po raz pierwszy widział, że nosili formalne oznaki swej pozycji w państwie.

Sala była przepełniona radosnym gwarem i miłymi dla oka widokami. Jednak nawet z przeciwległego końca sali Pug mógł dostrzec, że rozmowa przy głównym stole była przyciszona i poważna. Większą część posiłku Borric i Erland spędzili nachyleni ku sobie i pogrążeni w prywatnej rozmowie.

Ktoś lekko dotknął ramienia Puga, który odwrócił się przestraszony. Tuż za sobą, w szparce między zasłonami dostrzegł małą, przypominającą lalkę twarz. Księżniczka Anita przyłożyła paluszek do warg i kiwała na niego palcem, aby do niej podszedł. Pug rozejrzał się dookoła i stwierdził, że biesiadnicy przy jego stole

przyglądają się wielkim lub prawie wielkim tego świata, zgromadzonym w sali, i z pewnością nie zauważą nieobecności nieznanego im chłopca. Wstał i przeszedł na drugą stronę zasłony do niewielkiego pomieszczenia wydzielonego dla służby. Przed sobą miał następną zasłonę, za którą, jak się domyślał, musiało być wejście do kuchni. Spoza zasłony kiwała na niego palcem maleńka uciekinierka z łóżka. Pug przeszedł na drugą stronę. Znalazł się w długim korytarzu wiodącym z kuchni do wielkiej sali biesiadnej. Wzdłuż ściany stał długi stół, na którym piętrzyły się stosy zastawy stołowej, kielichy i inne naczynia.

— Co ty tu robisz?

— Ciiicho! — powiedziała głośnym szeptem. — Nie wolno mi tu być.

Pug uśmiechnął się do dziecka.

— Nie musisz się obawiać, że ktoś usłyszy. Straszny tu hałas.

— Przyszłam zobaczyć Księcia. Który to?

Pug skinął ręką, żeby poszła za nim w stronę sali. Rozchylił ostrożnie zasłony. Wskazał w stronę głównego stołu.

— To ten drugi za twoim ojcem. W czarno-srebrnym ubraniu i czerwonym płaszczu.

Dziewczynka wspięła się na palce.

— Nie widzę.

Pug podniósł ją na moment.

Uśmiechnęła się do niego.

— Jestem twoją dłużniczką.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedział z udawaną powagą w głosie.

Oboje zachichotali.

Tuż za kotarą usłyszeli jakiś głos. Księżniczka przestraszyła się.

— Muszę uciekać!

Przemknęła pomiędzy zasłonami i zniknęła mu z oczu, biegnąc w stronę kuchni.

Zasłona oddzielająca go od sali odsunęła się na bok i ujrzał przed sobą przestraszonego sługę, który nie wiedząc, co powiedzieć, skłonił się tylko. Co prawda chłopiec nie miał prawa tu się znajdować, ale sądząc po ubiorze, nie był byle kim.

Pug rozejrzał się dookoła i bez specjalnego przekonania powiedział:

— Szukałem drogi do mojego pokoju. Chyba pomyliłem wyjścia.

— Do skrzydła dla gości prowadzą z sali biesiadnej pierwsze drzwi po lewej stronie, młody panie. A tu jest kuchnia. Czy chcesz, panie, abym wskazał ci drogę? — Najwyraźniej sługa nie miał na to najmniejszej ochoty, podobnie jak i Pug, który nie potrzebował przecież przewodnika. — Nie, dziękuję bardzo. Poradzę sobie sam.

Pug, nie zauważony przez innych gości, powrócił na swoje miejsce przy stole. Dalsza część uczty minęła bez specjalnych wydarzeń, jeżeli nie liczyć kilku zdziwionych spojrzeń rzucanych w jego stronę przez służącego.

* * *

Pug spędził czas po kolacji na rozmowie z synem jednego z kupców. Obaj młodzi ludzie natknęli się na siebie w zatłoczonej sali, gdzie odbywała się druga część przyjęcia po kolacji. Spędzili ze sobą koszmarną godzinę, trawiąc czas na prawieniu sobie wzajemnie uprzejmości, aż do chwili, kiedy pojawił się ojciec chłopca i zabrał go ze sobą. Pug stał przez jakiś czas ignorowany przez innych gości Księcia, aż w końcu doszedł do wniosku, że w tej sytuacji, nie obrażając nikogo, może się wymknąć do swojego pokoju. Poza tym od czasu, gdy odeszli od stołu po kolacji, nie widział ani Księcia, ani Borrica, ani Kulgana. Nad wszystkim czuwało kilku przełożonych służby, a honory domu pełniła księżna Alicja, czarująca kobieta, która zamieniła nawet z Pugiem kilka słów, gdy na niego przyszła kolej prezentacji.

Kiedy wrócił do siebie, zastał tam czekającego na niego Kulgana.

— Pug, wyruszamy o świcie — powiedział Kulgan, nie tracąc czasu na niepotrzebne wstępy. — Książę Erland wysyła nas do Rillanonu, abyśmy spotkali się z Królem.

— Dlaczego Książę wysyła nas? — spytał Pug rozdrażnionym tonem, bo już bardzo tęsknił za domem.

Kulgan nie zdążył udzielić mu odpowiedzi, bo nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł książę Arutha. Pug zdumiał się, bo na twarzy Księcia malowała się nie ukrywana wściekłość.

— Kulgan! Tu jesteś! — krzyknął Książę, zatrzaskując drzwi. — Czy wiesz, co nasz królewski kuzynek postanowił w sprawie inwazji Tsuranich?

Zanim Kulgan zdążył odpowiedzieć, Arutha sam to uczynił.

— Nic! Nie ruszy palcem, aby wysłać posiłki do Crydee, zanim ojciec nie zobaczy się z Królem. To zaś zajmie nam co najmniej dwa następne miesiące.

Kulgan podniósł rękę do góry i Arutha ujrzał nagle przed sobą zamiast doradcy Księcia — nauczyciela z lat dziecinnych. Kulgan, podobnie jak i Tully, potrafił nadal, kiedy zachodziła taka potrzeba, zapanować nad synami Borrica.

— Arutha, spokojnie.

Książę potrząsnął gwałtownie głową i przysunął sobie krzesło.

— Przepraszam, Kulgan. Powinienem panować nad nerwami. — Zauważył zmieszanie Puga. — Ciebie też przepraszam, Pug. Dużo się tu dzieje i o wielu rzeczach nie masz pojęcia. Być może… — spojrzał pytająco na Kulgana.

Kulgan wyjął fajkę.

— Możesz mu powiedzieć. I tak rusza z nami w podróż, więc dowie się prędzej czy później.

Arutha przez moment bębnił palcami po oparciu krzesła. Wyprostował się.

— Mój ojciec i Erland konferowali przez te wszystkie dni, jak najskuteczniej przeciwstawić się obcym, jeżeli nadejdą. Książę nawet podzielał nasz pogląd, że prawdopodobnie nadejdą… — przerwał na chwilę — ale nie zrobi ani jednego kroku, aby zwołać Armie Zachodu, dopóki nie otrzyma pozwolenia Króla.

— Nie rozumiem. Czy Armie Zachodu nie pozostają pod wyłącznym dowództwem Księcia? Czy nie może nimi rozporządzać wedle swego uznania?

— Już nie. Niecały rok temu Król powiadomił go, że nie może ich powołać pod broń bez jego zgody.

Arutha siedział oparty sztywno o oparcie krzesła, a Kulgan wypuszczał z fajki kłęby dymu.

— To naruszenie tradycji. Armie Zachodu nigdy nie miały innego dowódcy niż książę Krondoru, tak jak i Armie Wschodu zawsze były królewskie.

Pug ciągle jeszcze nie mógł się połapać w znaczeniu przedstawionych faktów.

— Książę jest Marszałkiem Zachodu, jedynym człowiekiem, poza Królem, który może wydawać rozkazy księciu Borricowi i innym generałom. Na jego wezwanie każdy książę od Krzyża Malaka po Crydee ma się stawić pod jego rozkazy ze swymi garnizonami i oddziałami pospolitego ruszenia. Król Rodric z sobie tylko znanych powodów zdecydował, że nikt nie może postawić armii pod broń bez jego upoważnienia — powiedział Kulgan.

— Mój ojciec — wtrącił Arutha — i tak by się stawił na wezwanie Księcia, podobnie jak i inni książęta.

Kulgan pokiwał głową.

— I być może właśnie tego obawia się Król. Już dawno Armie Zachodu były bardziej książęce niż królewskie. Nawet gdyby twój ojciec wezwał armie pod broń, też by się stawiły na jego żądanie, ponieważ cieszy się on prawie takim samym szacunkiem i autorytetem jak Erland. I gdyby w tej sytuacji Król powiedział nie… — Nie dokończone zdanie zawisło w powietrzu.

Arutha pokiwał powoli głową.

— Konflikt w Królestwie.

Kulgan zaczął z uwagą oglądać fajkę.

— A nawet, być może, wojna domowa.

Pug czuł się trochę zagubiony. Mimo że został wyniesiony do warstw wyższych, był przecież wciąż tylko chłopcem z zamku.

— Nawet jeżeli będzie to w obronie Królestwa?

Kulgan pokręcił głową.

— Nawet wtedy. Dla niektórych ludzi, także dla królów, równie ważny jest sposób działania, jak i ono samo. Książę Borric nie mówi o tym, ale pomiędzy nim a niektórymi książętami na wschodzie, szczególnie jego kuzynem Guy du Bas-Tyra, istnieje zadawniony konflikt. Ten konflikt pomiędzy księciem Erlandem a Królem może się przyczynić do zwiększenia napięcia pomiędzy zachodem a wschodem.

Pug zdawał sobie sprawę, że było to o wiele bardziej istotne, niż sobie wyobrażał czy rozumiał. Mimo wszystko w obrazie wydarzeń i obecnej sytuacji widział ciągle białe plamy. Jak Król może się sprzeciwiać zwołaniu armii przez Księcia w obronie Królestwa? Pomimo wyjaśnień Kulgana nadal wydawało mu się to bez sensu. I o jakich kłopotach na wschodzie książę Borric nie chciał mówić?

Mag wstał z krzesła.

— Jutro wcześnie zaczynamy dzień. Musimy trochę wypocząć. Czeka nas długa konna jazda do Saladoru, a potem jeszcze długi rejs do Rillanonu. Zanim dotrzemy do Króla, w Crydee pojawią się już pierwsze odwilże.

* * *

Książę Borric i jego towarzysze wsiadali na konie na dziedzińcu pałacu. Książę Erland życzył wszystkim szczęśliwej podróży. Chociaż starał się uśmiechać, był bardzo blady i zatroskany.

Mała Księżniczka stała w oknie na piętrze i machała do Puga maleńką chusteczką. Pugowi przypomniała się inna Księżniczka i chłopiec zastanawiał się, czy Anita, kiedy wyrośnie, będzie taka sama jak Carline, czy bardziej zrównoważona.

Wyjechali z dziedzińca. Po drugiej stronie bramy czekała na nich, w gotowości, honorowa eskorta Królewskich Lansjerów Krondorskich, która miała im towarzyszyć w drodze do Saladoru. Przed nimi były długie trzy tygodnie jazdy przez góry, obok bagien Czarnego Torfowiska, potem obok Krzyża Malaka, który stanowił granicę pomiędzy zachodem a wschodem, i wreszcie do Saladoru. Mieli się tam przesiąść na statek i po dwóch tygodniach morskiej podróży dotrzeć wreszcie do Rillanonu.

Lansjerzy byli mocno opatuleni w grube szare płaszcze, lecz spod spodu wystawały purpurowo-srebrne kaftany księcia Krondoru, a na tarczach widniał herb królewskiego domu krondorskiego. Książę Borric został uhonorowany eskortą składającą się z żołnierzy osobistej gwardii pałacowej księcia Erlanda, a nie zwykłym pododdziałem z garnizonu miejskiego.

Kiedy wyjeżdżali z granic miasta, znowu zaczął sypać śnieg. Pug zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ujrzy wiosnę w Crydee. Siedział spokojnie na koniu brnącym powoli na wschód przez śnieg gościńca. Starał się uporządkować wrażenia z ostatnich kilku tygodni. Po chwili zrezygnował, mówiąc sobie, że co ma być, to będzie.

* * *

Podróż do Saladoru zajęła im cztery tygodnie zamiast trzech, ponieważ w górach na zachód od Czarnego Torfowiska dopadła ich straszna burza śnieżna. Zostali zmuszeni do zatrzymania się na jakiś czas w gospodzie koło wsi, która wzięła swą nazwę od bagien. Karczma była maleńka i musieli się tłoczyć przez kilka dni wspólnie w kilku pokoikach bez względu na pochodzenie i stanowisko. Jedzenie było bardzo proste, a piwo marne, więc gdy tylko zawieja ucichła, bez żalu pożegnali Czarne Torfowisko.

Stracili kolejny dzień, kiedy natknęli się na wioskę niepokojoną przez bandytów. Co prawda, na widok nadciągającej kawalerii zbójcy rozpierzchli się, ale żeby nie powrócili zaraz po ich odjeździe, Książę rozkazał żołnierzom przeczesać okolicę. Wdzięczni wieśniacy otworzyli przed nimi szeroko drzwi swoich domostw, podając najlepsze jedzenie i proponując odpoczynek w najcieplejszych i najwygodniejszych łóżkach. Mimo że dla księcia były to dary bardzo ubogie, jednak przyjął on ich gościnność z wdzięcznością, ponieważ dobrze zdawał sobie sprawę, że ofiarowali wszystko, co posiadali. Pug bardzo się cieszył prostymi posiłkami i bezpośredniością gościnnych gospodarzy i po raz pierwszy od opuszczenia Crydee czuł się prawie jak w domu.

O pół dnia drogi od Saladoru spotkali na drodze patrol straży miejskiej. Kapitan, dowódca oddziału podjechał bliżej. Ściągnął wodze konia i stanął przed nimi.

— Co sprowadza straż książęcą na ziemie Saladoru? — krzyknął.

Oba miasta nie darzyły się zbyt wielką przyjaźnią, a Krondorianie jechali bez książęcego proporca. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że uważał ich obecność w tym miejscu za naruszenie terytorium swego miasta.

Borric odrzucił na bok poły płaszcza, spod którego wyłonił się kaftan.

— Zanieś swemu panu wiadomość, że Borric, książę Crydee zbliża się do miasta i będzie chciał skorzystać z gościnności pana Kerusa.

Kapitan gwardii zapomniał nagle języka w gębie.

— Prze… przepraszam, Wasza Wysokość — wyjąkał. — Nie miałem pojęcia… nie ma sztandaru… i…

— Zapodział się gdzieś w lesie — powiedział sucho Arutha.

Kapitan nie zrozumiał. Spojrzał na młodego Księcia zmieszany.

— Słucham, panie…?

— Nieważne, kapitanie — przerwał Borric. — Po prostu zawiadom twego pana.

Dowódca oddziału zasalutował.

— Natychmiast, Wasza Wysokość.

Zawrócił konia i dał znak, aby któryś z jego żołnierzy podjechał do nich. Przekazał mu swoje rozkazy, gwardzista spiął konia ostrogą, pogalopował w stronę miasta i po chwili zniknął im z oczu.

Kapitan zwrócił się do Księcia.

— Jeżeli Wasza Wysokość pozwoli, moi ludzie są na Wasze rozkazy.

Książę przyjrzał się zmęczonym drogą Krondorianom. Wyglądało na to, że niezręczna sytuacja, w jakiej znalazł się dowódca gwardzistów miejskich, sprawia im wiele radości.

— Kapitanie, wydaje mi się, że trzydziestu zbrojnych to wystarczająca liczba. Straż miejska Saladoru jest dobrze znana z tego, że dba, by okolice Saladoru były wolne od rzezimieszków.

Kapitan, nie zdając sobie sprawy z tego, że się z niego nabijają, napuszył się w siodle.

— Dziękuję, Wasza Wysokość.

— Kapitanie, niech pan i pańscy ludzie kontynuują patrol.

Dowódca zasalutował znowu i powrócił do oddziału. Dał rozkaz wymarszu i kolumna straży przejechała koło oddziału Księcia. Kiedy go mijali, pochylili na rozkaz swego kapitana lance w salucie. Borric oddał honory leniwym ruchem ręki. Kiedy ostatni z gwardii miejskiej minął ich, zwrócił się do swego oddziału.

— Dość tych bzdur. Ruszajmy do Saladoru.

Arutha zaśmiał się głośno.

— Ojcze, brakuje nam takich ludzi na zachodzie.

Borric odwrócił się do syna.

— Tak? Dlaczego?

— Żeby polerowali nam tarcze i buty.

Książę uśmiechnął się, a Krondorianie ryknęli gromkim śmiechem. Żołnierze wschodu nie cieszyli się na zachodzie wielkim poważaniem. Wschód od dawna żył w pokoju, na długo przed otwarciem zachodnich ziem na ekspansję Królestwa. W jego wschodniej części niewiele było kłopotów i zagrożeń wymagających prawdziwego kunsztu wojennego. Gwardziści księcia Krondoru byli otrzaskanymi w licznych bojach weteranami, którzy uważali, że ci ze wschodu najlepiej się sprawdzają jako żołnierze na placu defilad, paradując przed zachodnimi oddziałami.

Po niedługim czasie pojawiły się pierwsze oznaki, że zbliżają się do miasta. Uprawne ziemie, wioski, przydrożne karczmy i wozy obciążone towarami na sprzedaż. Pod wieczór ujrzeli w oddali mury obronne Saladoru.

Przejechali przez bramę miasta. Wzdłuż głównej ulicy wiodącej do pałacu księcia Kerusa stali szpalerem żołnierze z jego osobistej gwardii. Podobnie jak i w Krondorze, nie było tu zamku, ponieważ wraz z ucywilizowaniem się kraju dookoła, nie istniała już potrzeba posiadania niewielkiego i łatwego do obrony miejsca.

Kiedy jechali przez miasto, Pug zdał sobie sprawę, jak dalece Crydee było jeszcze osadą pogranicza. Chociaż książę Borric posiadał znaczną władzę polityczną, nie ulegało wątpliwości, że nadal był panem pogranicznej prowincji.

Wzdłuż trasy przejazdu zgromadzili się liczni obywatele Saladoru, gapiący się z otwartymi ustami na Księcia z dzikiego pogranicza Dalekiego Wybrzeża. Ci, którym przejazd kolumny kojarzył się ze świąteczną paradą, wznosili głośne okrzyki, lecz większość stała w milczeniu, jakby zawiedziona, że Książę i jego ludzie wyglądali zwyczajnie i w niczym nie przypominali zlanych krwią barbarzyńców.

Wjechali na dziedziniec pałacowy. Służba wybiegła im naprzeciw, aby zająć się końmi. Gwardzista pałacowy zaprowadził żołnierzy z Krondoru do koszar, gdzie mieli wypocząć przed drogą powrotną do swego pana. Inny, w randze kapitana, sądząc z oznak na jego kaftanie, poprowadził Borrica i jego towarzyszy schodami do pałacu.

Pug rozglądał się z podziwem. Budynek był jeszcze większy niż pałac księcia Krondoru. Przeszli przez kilka zewnętrznych komnat, aż dotarli do wewnętrznego dziedzińca, którego centralną część zdobił ogród urozmaicony fontannami i drzewami. Po drugiej stronie stał główny budynek pałacowy. Pug stwierdził ze zdumieniem, że pomieszczenia, przez które przechodzili przed chwilą, należały do zabudowań jedynie otaczających właściwy pałac, w którym mieszkał Książę. Zastanawiał się, po co Księciu tyle domów i służby.

Przeszli przez ogród i weszli na kolejne schody, które zaprowadziły ich przed oblicze komitetu powitalnego, stojącego w progu głównego wejścia do pałacu. Niewykluczone, że kiedyś budynek mógł być cytadelą broniącą otaczającego ją miasta. Pug nie mógł sobie zupełnie wyobrazić, jak to mogło wyglądać kilka wieków temu, ponieważ po wielu — na przestrzeni lat — przeróbkach i renowacjach stary zamek przekształcił się w błyszczącą marmurami i szkłem budowlę.

Szambelan księcia Kerusa był wysokim staruszkiem, wyschniętym na wiór, z bystrymi oczami, który znał z twarzy każdego, wartego zapamiętania szlachetnie urodzonego od granic Keshu na południu aż do Tyr-Sog na północy. Jego pamięć do twarzy i znajomość faktów niejeden raz wybawiła księcia Kerusa z niezręcznej sytuacji. Zanim Borric zdążył wejść po szerokich schodach z dziedzińca, szam-

belan szepnął Kerusowi do ucha kilka podstawowych informacji o nim, a także podpowiedział odpowiedni dla jego osoby zakres pochlebstw.

Książę Kerus ujął w dłonie rękę Borrica.

— Ach, Książę, wielki czynisz mi zaszczyt tą niespodziewaną wizytą. Gdybyś tylko powiadomił mnie nieco wcześniej, przygotowałbym powitanie, które bardziej przystoi twojej osobie.

Wszyscy weszli do wielkiego hallu. Obaj arystokraci kroczyli na przedzie.

— Przepraszam, Książę, że sprawiłem ci kłopot, ale obawiam się, że ze względu na naturę naszej misji, wymaga ona wielkiego pośpiechu. Będziemy chyba musieli zrezygnować z wszelkich formalnych grzeczności, właściwych takim spotkaniom. Mam dla Króla niezwykle ważne wieści i muszę najszybciej, jak się tylko da, ruszyć w rejs do Rillanonu.

— Oczywiście, książę Borric. Rozumiem. Lecz z pewnością będziesz mógł zabawić u mnie trochę, jakiś tydzień czy dwa?

— Obawiam się, że nie. Chciałbym wejść na pokład statku jeszcze dziś wieczorem, jeżeli to możliwe.

— To rzeczywiście smutna wiadomość. Liczyłem bardzo na to, że spędzimy jakiś czas razem.

Weszli do sali audiencyjnej. Szambelan dawał wskazówki wielu sługom, którzy po chwili rozbiegli się, aby przygotować pokoje dla gości. Pug poczuł się bardzo maleńki, kiedy weszli do ogromnej, wysoko sklepionej sali z gigantycznymi żyrandolami i wielkimi, ostrołukowymi szklanymi oknami. Była to największa sala, jaką widział w życiu, o wiele większa niż komnata przyjęć księcia Krondoru.

Ogromny stół uginał się pod stosami owoców i wina. Wygłodniali podróżnicy rzucili się z zapałem na jedzenie. Pug, cały obolały, usiadł ciężko i niezgrabnie. Przez długie przebywanie w siodle stawał się doświadczonym jeźdźcem, co jednak nie umniejszało bólu nadwerężonych jazdą mięśni.

Książę Kerus naciskał Borrica, aby wyjawił cel tej pośpiesznej podróży i Książę między kęsami jedzenia i łykami wina przedstawił mu pokrótce wydarzenia ostatnich trzech miesięcy. Kiedy skończył, Kerus zafrasował się.

— To rzeczywiście przygnębiające i ważne wieści, Książę. W Królestwie nie dzieje się dobrze. Z pewnością książę Erland opowiedział ci o pewnych kłopotach, które do nas zawitały od czasu, kiedy ostatni raz byłeś na wschodzie?

— Tak, lecz mówił bardzo niechętnie i oględnie. Trzeba pamiętać, że minęło już trzynaście lat od mojej ostatniej podróży do stolicy, na koronację Rodrica, kiedy to przybyłem w celu odnowienia naszego układu wasalnego. Wydawał się wtedy wystarczająco inteligentnym młodym człowiekiem, aby nauczyć się rządzić. Jednakże z tego, co usłyszałem w Krondorze, wydaje się, że nastąpiła zmiana.

Kerus rozejrzał się po sali, a następnie ruchem ręki oddalił służących. Spojrzał znacząco w stronę towarzyszy Księcia, wznosząc przy tym pytająco brew ku górze.

— Cieszą się moim całkowitym zaufaniem. Z pewnością nie zawiodą.

Kerus kiwnął głową.

— Może przed udaniem się na spoczynek — powiedział głośno — zechciałbyś, panie, rozprostować nieco nogi i obejrzeć przy okazji mój ogród?

Borric zmarszczył brwi i już chciał coś powiedzieć, kiedy Arutha położył mu rękę na ramieniu i skinął głową do Kerusa.

— To brzmi zachęcająco — Odpowiedział Borric. — Chociaż jest trochę zimno, z przyjemnością udam się na krótki spacer.

Książę dał znak Kulganowi, Meechamowi i Gardanowi, aby pozostali przy stole. Książę Kerus poprosił, by Pug poszedł z nimi. Borric spojrzał na niego zdziwiony, ale wyraził zgodę skinięciem głowy. Przez niewielkie boczne drzwi wyszli z sali bezpośrednio do ogrodu. Natychmiast, kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz, Kerus zwrócił się do Borrica.

— Jeżeli chłopiec pójdzie z nami, nie będzie to tak podejrzanie wyglądało. Nie mogę już ufać nawet własnej służbie. Agenci Króla są dosłownie wszędzie.

Borric poczerwieniał ze złości.

— Król umieścił agentów w twoim domu?

— O tak, Książę. Nasz Król bardzo się zmienił. Wiem, że Erland nie opowiedział ci wszystkiego, ale ty o tym musisz wiedzieć.

Książę Borric i jego towarzysze patrzyli na księcia Kerusa, który najwyraźniej nie czuł się dobrze w tej sytuacji. Odchrząknął. Rozglądał się nerwowo po zasypanym śniegiem ogrodzie. Cała przestrzeń między nimi a pałacem była zalana delikatnym światłem księżyca i blaskiem padającym z ogromnych okien. Nietknięty stopą ludzką śnieg skrzył się niebieskawo.

Kerus wskazał na kilka śladów koło miejsca, w którym stali.

— To moje ślady. Przechadzałem się tu dzisiaj po południu zastanawiając się, co mogę wam powiedzieć bez narażania własnej głowy.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła sprawdzając, czy nikt nie będzie mógł podsłuchać ich rozmowy.

— Kiedy zmarł Rodric III, wszyscy oczekiwali, że koronę po nim obejmie Erland. Po zakończeniu oficjalnego okresu żałoby kapłani Ishap wezwali wszystkich, którzy mieli prawo ubiegać się o tron, aby zgłosili swoje roszczenia. Oczekiwano, Książę, że będziesz jednym z nich.

Borric skinął głową.

— Wiem, jakie są zwyczaje. Dotarłem do miasta później niż przewidywałem, ale moja nieobecność i tak nie miała znaczenia, ponieważ postanowiłem zrzec się prawa do tronu.

Kerus pokiwał powoli głową.

— Historia mogła się potoczyć innym torem, gdybyś tu wtedy był, Borric. — Zniżył głos. — Mówiąc to, ryzykuję własną szyją, ale wiedz, że wielu z nas, nawet tu na wschodzie, namawiałoby cię wtedy do wzięcia korony.

Z twarzy Borrica widać było, że nie chce tego słuchać, lecz Kerus ciągnął dalej.

— Kiedy tu dotarłeś, cała zakulisowa polityka była już za nami. Większość panów zgodziła się przyznać koronę Erlandowi, lecz mówię ci, Książę, poprzednie półtora dnia, kiedy sprawa była otwarta, było bardzo, bardzo napięte. Nie mam pojęcia, dlaczego stary Rodric nie mianował swego następcy. Kiedy kapłani przegnali na cztery wiatry wszystkich dalekich krewnych, których roszczenia do korony były bardzo słabiutkie, zostało przed nimi trzech kandydatów, Erland, młody Rodric i Guy du Bas-Tyra. Kapłani poprosili o złożenie wstępnych deklaracji i wysłuchali ich. Zarówno Erland, jak i Rodric mieli solidne podstawy, aby ubiegać się o tron. Guy pretendował pro forma, podobnie jak by to miało miejsce z tobą, gdybyś zjawił się wtedy na czas.

Arutha przerwał mu kwaśno.

— Oficjalny czas żałoby zapewnia, że żaden z panów zachodu nie może zostać królem.

Borric spojrzał na syna z dezaprobatą.

Kerus ciągnął dalej swoją wypowiedź.

— Niezupełnie. Gdyby były jakiekolwiek wątpliwości co do prawa do sukcesji, kapłani wstrzymaliby ceremonię aż do przyjazdu twego ojca, Arutha. Nie po raz pierwszy zresztą.

Spojrzał na Borrica i jeszcze bardziej zniżył głos.

— Jak mówiłem, wszyscy oczekiwali, że Erland weźmie koronę. Kiedy jednak mu ją wręczano, on odmówił jej przyjęcia, cedując prawo do niej na Rodrica. Nikt wtedy nie wiedział o złym stanie zdrowia Erlanda, więc panowie uznali, że był to szlachetny wyraz uznania praw Rodrica jako jedynego syna Króla. Mając do tego jeszcze poparcie dla chłopca ze strony Guy du Bas-Tyra, zgromadzeni członkowie Kongresu ratyfikowali dokonanie się sukcesji. No a potem… potem zaczęły się prawdziwe wojny podjazdowe i trwały aż do chwili, kiedy w końcu wuj twej zmarłej żony został mianowany regentem.

Borric skinął głową. Doskonale pamiętał walkę o to, kto miał być mianowany regentem młodocianego Króla. Niewiele brakowało, a jego powszechnie pogardzany kuzyn Guy otrzymałby tytuł, jednak przybył na czas i poparł Caldrica z Rillanonu, który otrzymał także głosy księcia Brucala z Yabonu oraz księcia Erlanda, co przechyliło szalę zwycięstwa i Guy nie otrzymał większości głosów w Kongresie.

— Przez następnych pięć lat wszystko układało się pomyślnie, jeżeli nie liczyć kilku potyczek granicznych z Keshem. Osiem lat temu — Kerus zawiesił głos i znowu rozejrzał się z uwagą dookoła — Rodric ogłosił tak zwany program publicznych usprawnień i rozpoczął jego realizację. Naprawiono drogi i mosty, budowano tamy i tak dalej. Z początku obciążenie finansowe dla ludzi nie było tak odczuwalne. Co roku jednak podwyższano podatki, dlatego też dzisiaj wol-

ni i niewolni chłopi, a nawet pomniejsza szlachta nie mają co do garnka włożyć. Król rozwinął swój program i teraz zabrał się za przebudowę całej stolicy, aby uczynić z niej, jak sam mówi, najwspanialsze miasto w historii świata. Dwa lata temu niewielka delegacja szlachty przybyła do Króla prosząc go, aby zrezygnował z nadmiernych wydatków i zmniejszył nieco obciążenie ludu. Król dostał ataku szału, oskarżył przybyłych w delegacji panów o zdradę, skazał ich natychmiast na śmierć i wyrok wykonano.

Oczy Borrica rozszerzyły się ze zdumienia. Odwrócił się gwałtownie, aż śnieg pod nogami zaskrzypiał głośno.

— Nic o tym nie słyszeliśmy na zachodzie!

— Kiedy Erland usłyszał o tym, udał się niezwłocznie do Króla i zażądał wypłacenia odszkodowania dla rodzin tych, których stracono, i obniżenia podatków. Mówiono, że Król był już gotów dobrać się do swego stryja, lecz w ostatniej chwili został powstrzymany przez grupę doradców, którym jeszcze ufał. Wyraźnie powiedzieli oni Królowi, że taki czyn, który nigdy się nie zdarzył w historii Królestwa, z pewnością spowoduje powstanie panów zachodu przeciwko niemu.

Twarz Borrica zachmurzyła się.

— Mieli rację. Gdyby ten chłoptaś kazał wtedy powiesić Erlanda, Królestwo rozpadłoby się na zawsze na dwie części.

— Od tamtego czasu Książę nie postawił stopy w Rillanonie, a wszystkie sprawy państwowe są załatwiane za pośrednictwem doradców. Ani Książę, ani Król nie rozmawiają ze sobą.

Borric spojrzał w niebo. W jego głosie słychać było troskę.

— Jest znacznie gorzej niż słyszałem. Erland opowiadał mi o podatkach i swojej odmowie narzucenia ich również na ziemie zachodu. Król wyraził podobno na to zgodę, ponieważ rozumie potrzebę utrzymywania garnizonów na zachodzie i północy.

Kerus powoli kręcił przecząco głową.

— Król wyraził zgodę dopiero wtedy, kiedy jego doradcy przedstawili mu obraz hord goblinów z Ziem Północnych, zalewających i plądrujących miasta jego Królestwa.

— Erland wspominał co prawda o napiętych stosunkach między nim a bratankiem, ale chociaż usłyszał, z jakimi przyjechałem wieściami, nie wspomniał ani słowem o wybrykach Jego Wysokości.

Kerus westchnął głęboko i znowu zaczął spacerować.

— Borric, tak wiele czasu spędzam na co dzień z różnej maści pochlebcami z dworu królewskiego, że zapomniałem już, że wy, z zachodu, wolicie prostą i jasną mowę. — Podniósł do ust trzymany w ręku kielich i napił się wina. — Nasz Król już nie jest tym samym człowiekiem, którym był kiedyś. Są co prawda chwile, że jest jak kiedyś otwarty, śmieje się i żartuje, a w głowie kłębią mu się wspaniałe plany rozwoju Królestwa, lecz po chwili staje się kimś zupełnie innym,

jakby jego sercem i duszą zawładnął jakiś mroczny duch. Borric, miej się na baczności, bo tylko Erland jest bliżej tronu niż ty. Nasz władca doskonale zdaje sobie z tego sprawę, nawet jeżeli tobie nie przychodzi to do głowy, i nawet tam, gdzie nic nie ma, widzi sztylety i truciznę.

Wszyscy zamilkli nagle. Pug spostrzegł, że Borric był naprawdę zdenerwowany i poważnie zaniepokojony. Kerus przerwał ciszę.

— Rodric obawia się, że inni pożądają jego korony. Niewykluczone, że tak jest naprawdę, ale nie są to ci, których Król podejrzewa. Poza nim samym jest tylko czterech męskich członków rodu conDoin i wiadomo, że wszyscy są ludźmi honoru. — Pochylił z szacunkiem głowę przed Borricem. — Jest jednak z tuzin innych, którzy poprzez więzy krwi z matką Króla i jej rodziną mogą powoływać się na swe prawa do tronu. Wszyscy oni są panami ze wschodu i wielu z nich, zaręczam ci, nie zawahałoby się ani przez ułamek sekundy, by wykorzystać nadarzającą się okazję i doprowadzić do realizacji swoich żądań przez Kongres.

Borric spojrzał na niego twardo.

— Kerus, mówisz o zdradzie.

— Zdradzie w sercach ludzkich, jeżeli nie w uczynkach… jeszcze.

— Jak to się mogło stać, że sprawy na wschodzie zaszły tak daleko, a nikt z nas na zachodzie nie miał o niczym pojęcia?

Doszli do krańca ogrodu.

Kerus pokiwał głową.

— Erland jest honorowym człowiekiem i jako taki nie będzie rozpowiadał nie potwierdzonych plotek swoim poddanym, nawet tobie. Jak sam zauważyłeś, od twojego ostatniego pobytu w Rillanonie minęło trzynaście lat. Wszelkie nakazy, pisma i wieści nadal przychodzą do ciebie poprzez dwór Księcia. Skąd mogłeś wiedzieć? Obawiam się, że jest już tylko kwestią czasu, kiedy jeden z doradców Króla stanie triumfalnie na szczycie stosu głów tych z nas, którzy nadal wierzą, że na straży bezpieczeństwa i powodzenia narodu stoją warstwy wyższe.

— Zatem mówiąc z nami tak szczerze, wiele ryzykujesz — zauważył Borric.

Kerus wzruszył ramionami i dał znak, że powinni już wracać do pałacu.

— Nie zawsze byłem człowiekiem, który otwarcie mówi to, co mu leży na sercu, książę Borric, ale żyjemy teraz w trudnych czasach. Gdyby to ktoś inny mnie nawiedził w podróży na wschód, skończyłoby się na uprzejmej rozmowie. Ty, Książę, jesteś w wyjątkowej sytuacji. Teraz, kiedy zostały zerwane wszelkie więzy pomiędzy bratankiem a stryjem, ty jesteś jedynym człowiekiem w Królestwie, który ma odpowiednio wysoką pozycję i kontakty, aby próbować wpłynąć na Króla. Muszę szczerze przyznać, mój przyjacielu, że wcale ci nie zazdroszczę tego wysokiego stanowiska. Za panowania Rodrica III byłem jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych panów na wschodzie, teraz jednak, mając takie wpływy na dworze Rodrica IV, jakie mam, równie dobrze mógłbym być piratem czy rozbójnikiem na drodze. Teraz najbliżej Króla jest twój nikczemny

kuzyn Guy, a ja i książę Bas-Tyra nie pałamy do siebie zbyt wielką miłością. Chociaż powody naszej wzajemnej niechęci nie są tak osobiste jak twoje — kiedy jego gwiazda wzbija się w górę, moja tym bardziej spada w dół.

Zaczęło dokuczać im zimno. Kerus zatarł ręce.

— Ale może chociaż jedna dobra wiadomość na koniec. Guy spędza zimę w swoich posiadłościach w pobliżu Drogowskazu, więc przynajmniej na razie Król jest wolny od jego knowań. — Kerus chwycił mocno Borrica za ramię. — Zmobilizuj wszystkie swoje siły, Książę, aby wpłynąć na Króla i zapanować nad jego wybuchową naturą. Teraz, wobec nadciągającej inwazji, o której przynosisz wieści, musimy się wszyscy zjednoczyć. Przedłużająca się wojna pochłonie nawet te niewielkie rezerwy, które jeszcze mamy. A potem kiedy na Królestwo przyjdzie czas prawdziwej próby… nie wiem, czy wytrzymamy.

Borric nie odezwał się ani słowem. Najgorsze obawy, które zawitały do jego serca po rozmowie z Erlandem, były niczym wobec informacji wyjawionych przez Kerusa.

— Jeszcze jedno, Borric — powiedział książę Saladoru. — Wobec faktu, że trzynaście lat temu Erland zrzekł się korony, a także wobec nasilających się plotek o tym, że ciągle podupada na zdrowiu, wielu członków Kongresu będzie u ciebie szukało rady. Wielu pójdzie za tobą, nawet niektórzy z nas ze wschodu. Pamiętaj o tym.

Borric spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

— Czy mówisz o wojnie domowej?

Twarz Kerusa przeszył skurcz bólu. Bezwiednie machnął ręką. Oczy zaszkliły się łzami.

— Zawsze byłem wierny koronie. Borric, jednak kiedy przychodzi czas życiowego wyboru, interes Królestwa jest najważniejszy. Żaden człowiek nie jest i nie może być ważniejszy niż Królestwo.

— Król jest Królestwem — powiedział Borric przez zaciśnięte zęby.

— Nie byłbyś tym, kim jesteś, gdybyś odpowiedział inaczej. Mam nadzieję, że będziesz w stanie ukierunkować energię Króla na zagrożenie na zachodzie, bo zaręczam ci, że jeżeli Królestwo stanie w obliczu niebezpieczeństwa, inni nie będą hołdowali tak szlachetnym zasadom.

Wchodzili po schodach prowadzących z ogrodu do sali.

Borric zwrócił się do Kerusa.

— Wiem, że masz dobre intencje — powiedział nieco łagodniejszym tonem. — Wiem też, że w twym sercu gości jedynie miłość do Królestwa. Musisz wierzyć i modlić się, bo ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby Królestwo przetrwało.

Kerus zatrzymał się na chwilę przed drzwiami do pałacu.

— Obawiam się, Książę, że wkrótce zostaniemy rzuceni na głębokie wody. Modlę się gorąco o to, by inwazja, o której mówiłeś, nie stała się falą, która nas

na zawsze pogrąży w odmętach. Pamiętaj, Borric, że zawsze i wszędzie jestem ci gotów służyć swoją pomocą i wsparciem.

Odwrócił się do drzwi, które właśnie otworzył przed nimi służący.

— Życzę wam, panowie, dobrej nocy — powiedział głośno — bo widzę, że jesteście już bardzo znużeni.

W sali, po wejściu księcia Borrica z marsem na twarzy, Aruthy i Puga, zapanowała napięta atmosfera. Szybko nadeszli służący, aby wskazać gościom ich pokoje. Pug poszedł za chłopakiem mniej więcej w swoim wieku, ubranym w liberię w kolorach księcia Kerusa. Na odchodnym Pug obejrzał się przez ramię. Książę stał blisko Kulgana i mówił coś cicho do niego.

Służący zaprowadził Puga do niewielkiego, lecz elegancko urządzonego pokoju. Nie zważając na bogate posłanie, zwalił się w ubraniu na łóżko.

— Czy potrzebujesz, panie, pomocy przy rozbieraniu się?

Pug usiadł gwałtownie na łóżku i spojrzał na chłopca z tak niekłamanym zdziwieniem, że ten cofnął się o kilka kroków.

— Czy nie będziesz mnie już potrzebował, panie? — spytał ponownie, niepewnym tonem, zbity z tropu.

Pug wybuchnął śmiechem. Służący stał niezdecydowany przez kilka chwil, potem ukłonił się i wyszedł pośpiesznie z pokoju. Pug szybko ściągnął ubranie, zastanawiając się nad panami ze wschodu, którzy aby się rozebrać, potrzebowali asysty służby. Był zbyt zmęczony, aby poskładać ubranie. Rzucił wszystko na podłogę.

Zdmuchnął stojącą przy łóżku świecę i przez kilka chwil leżał w ciemnościach, nie mogąc zasnąć, zaniepokojony wieczorną dyskusją. Niewiele co prawda wiedział o intrygach dworskich, ale jedno zrozumiał. Kerus musiał być naprawdę zaniepokojony rozwojem wydarzeń, skoro mówił w ten sposób do nieznajomych ludzi, nawet jeżeli uwzględni się reputację Borrica, jako człowieka honoru.

Pug rozpamiętywał wszystko, co wydarzyło się na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy, i zrozumiał, że jego sen — marzenie o Królu śpieszącym na pomoc Crydee na czele armii, pod łopoczącymi na wietrze sztandarami — był jeszcze jedną chłopięcą mrzonką, która właśnie roztrzaskała się o twardą skałę rzeczywistości.

# Rozdział 13

# Rillanon

Statek zawinął do portu.

Morze Królestwa miało znacznie łagodniejszy klimat niż Morze Gorzkie i rejs z Saladoru minął bez większych wrażeń. Strawili jednak na ten odcinek podróży kolejne trzy tygodnie, zamiast planowanych dwóch, ponieważ prawie przez cały czas musieli halsować, mając przeciwny wiatr z północnego wschodu.

Pug stał na przednim pokładzie ciasno owinięty długim i ciepłym płaszczem. Lodowate podmuchy zimowego wiatru niepostrzeżenie przeszły w chłodny wietrzyk, jakby wiosna była tuż, tuż.

Rillanon był powszechnie nazywany Klejnotem Królestwa i Pug mógł się teraz naocznie przekonać, że miasto aż nadto zasłużyło na to miano. Stolica wyglądała zupełnie inaczej niż przysadziste miasta zachodu ze swą zwartą zabudową. Przed Pugiem rozciągał się aż po horyzont wspaniały „galimatias" strzelających w niebo wież, z gracją wypiętrzonych łuków mostów i ulic łagodnie wijących się pośród niewysokich pagórków, na których rozsiadło się miasto. Na szczytach bohatersko sięgających nieba wieżyc powiewały sztandary i proporce, jakby miasto świętowało sam fakt swego istnienia. Nawet przewoźnicy, pływający na małych promach pomiędzy stojącymi na kotwicy statkami a portem, wydawali się Pugowi o wiele barwniejsi niż gdzie indziej, może dlatego że przebywali w zaczarowanym kręgu Rillanonu.

Książę Saladoru zlecił, aby uszyto dla księcia Borrica jego sztandar, który teraz powiewał dumnie na głównym maszcie, anonsując urzędnikom królewskiego miasta przybycie księcia Crydee. Kapitanat portu wysłał bezzwłocznie na pokład statku pilota, który wprowadził go do portu; po chwili przycumowali do nabrzeża królewskiego. Zeszli z pokładu. Na brzegu przywitał ich oddział Gwardii Królewskiej. Przed szeregiem wyprężonych na baczność żołnierzy czekał starszy, siwowłosy, lecz wyprostowany jak struna mężczyzna, który ciepło przywitał Księcia.

Objęli się obaj mocno. Starszy mężczyzna ubrany był w królewskie barwy, purpurę i złoto, na jego piersi widniał książęcy herb.

— Borric, jak dobrze zobaczyć cię znowu. Ile to już lat minęło? Dziesięć… jedenaście?

— Caldric, stary przyjacielu. To już prawie trzynaście lat. — Borric spojrzał na niego z czułością.

Starzec miał stalowoniebieskie oczy, a twarz okalała mu mocno przyprószona siwizną broda.

Stary człowiek pokręcił z niedowierzaniem głową i uśmiechnął się.

— Stanowczo za długo. — Spojrzał na resztę przybyłych i zauważył Puga. — Czy to twój młodszy syn?

Borric roześmiał się.

— Nie, chociaż nie przyniósłby mi wstydu, gdyby nim był. — Wskazał na szczupłą sylwetkę Aruthy. — To jest mój syn. Arutha, podejdź do nas i przywitaj się ze swoim ciotecznym dziadkiem.

Arutha podszedł i padli sobie w ramiona. Książę Caldric, pan Rillanonu, generał Gwardii Królewskiej i kanclerz Królestwa odsunął Aruthę na odległość ramienia i przyglądał mu się uważnie.

— Kiedy cię widziałem po raz ostatni, byłeś dzieckiem. Powinienem cię był poznać, chłopcze, bo chociaż odziedziczyłeś rysy po ojcu, bardzo jesteś podobny do mego drogiego brata, ojca twojej matki. Przynosisz zaszczyt mojej rodzinie.

— No i cóż tam słychać w twoim mieście, stary koniu? — spytał Borric.

— Jest wiele do opowiadania, lecz nie tutaj. Zamieszkacie w pałacu królewskim. Powinno wam być wygodnie. Będziemy mieli dużo czasu, aby się wzajemnie odwiedzać. Co cię sprowadza do Rillanonu?

— Mam nie cierpiącą zwłoki sprawę do Jego Wysokości, lecz nie jest to coś, o czym można by mówić na ulicy. Chodźmy lepiej do pałacu.

Książę i jego towarzysze dostali wierzchowce, a jadąca przodem eskorta torowała przejazd przez zatłoczone ulice. Jeżeli Krondor i Salador wywarły na Pugu ogromne wrażenie, to teraz widok stolicy sprawił, że oniemiał z zachwytu.

Ulokowane na wyspie miasto rozłożyło się na licznych pagórkach, pomiędzy którymi spływało do morza kilka rzek. Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że to miasto mostów i kanałów, jak również baszt i wież. Wiele budynków było zupełnie nowych i pewnie stanowiły one, jak pomyślał Pug, cząstkę realizacji królewskiego planu przebudowy miasta. W kilku miejscach dostrzegł po drodze robotników rozbierających stare domy lub wznoszących nowe ściany i dachy. Liczne fasady nowych gmachów były wyłożone kolorowym kamieniem, marmurem lub kwarcem, co przydawało ich ścianom barw w odcieniach delikatnej bieli, błękitu czy różu. Kocie łby na ulicy były czyste, a rynsztoki wolne od wszelkich odpadków i brudu, co było częstym widokiem w miastach, które odwiedził wcześniej. Bez względu na to, co Król wyczyniał, pomyślał Pug, rozbudował tutaj wspaniałe miasto.

Pałac stał nad brzegiem rzeki i podjazd prowadził przez most przerzucony wysokim łukiem nad wodą wprost na główny dziedziniec. Zabudowania pałacowe składały się z wielu wspaniałych gmachów rozrzuconych wokół szczytu pagórka w samym sercu miasta i połączonych długimi, krytymi przejściami. Ich ściany były wyłożone różnokolorowymi kamieniami, co dawało tęczowy, dominujący nad całością, efekt.

Wjechali na dziedziniec. W tym momencie trąby na murach zagrzmiały donośnie. Gwardia stanęła wyprężona na baczność. Kilku służących podbiegło, aby zająć się końmi przybyłych. Przy głównej bramie zgromadziła się grupa witających notabli i urzędników dworskich.

Pug, zbliżając się do nich, zauważył, że powitanie było formalne i suche, brakowało w nim osobistego ciepła towarzyszącego powitaniu przez księcia Caldrica. Stojąc za plecami Kulgana i Meechama, słyszał przed sobą głos Caldrica.

— Książę Borric, pozwolisz Wasza Wysokość, że ci przedstawię wysokiego rządcę Domu Królewskiego.

Caldric wskazał na niskiego i pulchnego mężczyznę w ciasno opiętej tunice z czerwonego jedwabiu i jasnoszarych nogawicach z wypchniętymi kolanami.

— Hrabia Selvec, pierwszy admirał Marynarki Królewskiej. Wysoki, szczupły człowiek z delikatnie wymodelowanym wąsikiem ukłonił się sztywno. Caldric przedstawiał po kolei pozostałych członków grupy powitalnej. Każdy wyrażał krótko swoje zadowolenie z przybycia księcia Borrica, lecz dla Puga ich słowa brzmiały zdawkowo i nieszczerze.

Zaprowadzono ich do kwater. Kulgan musiał zrobić trochę zamieszania, aby mieć Meechama przy sobie, ponieważ baron Gray chciał go odesłać do odległego skrzydła pałacu przeznaczonego dla służby, lecz ustąpił w końcu, kiedy Caldric postawił się mocno jako królewski kanclerz.

Pokój przydzielony Pugowi przerastał wspaniałością wszystko, co chłopiec kiedykolwiek widział. Posadzka była wyłożona wypolerowanym do połysku marmurem. Ściany również, tyle że kamień na nich był nakrapiany złotymi drobinkami. W niewielkim pomieszczeniu sąsiadującym z sypialnią stała ogromna, pozłacana wanna. Nad nią wisiało wielkie lustro. Nieliczne rzeczy, które Pug miał przy sobie — główny bagaż stracili w lesie — zostały umieszczone przez służącego w gigantycznej szafie, która mogła pomieścić kilkanaście razy więcej dobytku. Sługa zrobił, co do niego należało, i zwrócił się do Puga.

— Czy mam przygotować kąpiel, panie?

Pug skwapliwie przytaknął ruchem głowy. Po trzech tygodniach spędzonych na pokładzie statku miał wrażenie, że ubranie przyrosło mu do ciała. Kiedy sługa przygotował kąpiel, poinformował chłopca:

— Książę Caldric oczekuje Księcia i jego towarzyszy na kolacji za godzinę, panie. Czy życzysz sobie, abym przyszedł?

Pug odpowiedział, że tak. Zaimponowała mu dyplomacja służącego, który wiedział jedynie, że Pug przybył razem z księciem Borricem, i chłopcu zostawił decyzję, czy był objęty tym zaproszeniem na kolację czy nie.

Rozebrał się i wślizgnął do ciepłej wody, wydając przeciągłe westchnienie ulgi. Gdy był chłopcem na zamku, nigdy nie lubił kąpać się w wannie, wolał mycie w morzu czy strumieniach przy zamku. Teraz zaczynał doceniać walory wanny. Zastanawiał się w rozleniwieniu, co też by Tomas o tym powiedział. Po chwili odpłynął w ciepły półsen wypełniony wspomnieniami, jednym bardzo miłym, o ciemnowłosej pięknej Księżniczce, i drugim, smutnym, o płowowłosym przyjacielu.

* * *

Kolacja wydana przez księcia Caldrica na cześć Borrica i jego towarzyszy była nieformalnym posiłkiem w kameralnej atmosferze. Teraz zaś stali w wielkiej sali tronowej czekając, aż zostaną przedstawieni Królowi. Sala była naprawdę wielka i wysoko sklepiona, a całą południową ścianę zajmowały ogromne okna sięgające od sufitu do podłogi, za którymi rozciągała się wspaniała panorama miasta. Szli szpalerem pośród setek zgromadzonych dworzan i notabli.

Pugowi nigdy nie przeszłoby przez myśl, aby uznać księcia Borrica za źle i biednie ubranego, ponieważ zarówno on, jak i jego dzieci zawsze mieli na sobie najwspanialsze w Crydee ubiory. Teraz jednak, w otoczeniu tego przepychu, Książę wyglądał jak kruk pośród stada pawi. Pug rozglądał się dyskretnie dookoła. Tu dostrzegł wysadzany perłami drogocenny kubrak, tam haftowaną złotą nicią tunikę. Wszyscy zebrani wprost prześcigali się we wspaniałościach swoich ubiorów. Damy miały suknie uszyte z jedwabiu czy brokatu, lecz tylko w niewielkim stopniu przewyższały one wspaniałością stroje mężczyzn.

Zatrzymali się przed tronem i Caldric oznajmił oficjalnie przybycie księcia Borrica. Król uśmiechnął się lekko. W tym momencie Pug zauważył przez mgnienie oka niewielkie podobieństwo między nim a Aruthą, chociaż z pewnością Król zachowywał się o wiele swobodniej. Pochylił się ku nim.

— Witaj w naszym mieście, kuzynie. Jak to dobrze ujrzeć Crydee w tej sali po tylu latach.

Borric postąpił krok do przodu i ukląkł przed Rodriciem, Królem i władcą Królestwa Wysp.

— Cieszę się, że zastaję Waszą Wysokość w dobrym zdrowiu.

Przez twarz monarchy przemknął cień. Po chwili rozchmurzył się.

— Przedstaw nam swoich towarzyszy.

Borric zaprezentował najpierw swojego syna.

— Ach, więc prawdą jest, jak widzę, że jeszcze ktoś z linii conDoin poza mną ma w sobie również krew ze strony naszej matki.

Arutha ukłonił się i cofnął do szeregu. Następnie przedstawiono Kulgana jako doradcę Księcia. Meecham, który nie posiadał żadnego stanowiska ani rangi na dworze Księcia, został na czas ceremonii w swoim pokoju. Król skwitował to jakąś uprzejmą uwagą i przyszła kolej na Puga.

— Szlachcic Pug z Crydee, Wasza Wysokość, Pan Głębokiego Lasu i członek mego dworu.

Król klasnął w ręce i wybuchnął śmiechem.

— Chłopiec, który zabija trolle. To wspaniałe. Jacyś wędrowcy przynieśli tę opowieść z dalekich brzegów Crydee. Będziemy chcieli jej wysłuchać z ust samego autora bohaterskiego czynu. Spotkamy się później i opowiesz mi, chłopcze, o tym cudownym wydarzeniu.

Pug czuł na sobie spojrzenia setek oczu. Ukłonił się niezgrabnie. Bywało już w przeszłości, że nie chciał, aby rozpowiadano historię o spotkaniu z trollami, lecz jeszcze nigdy nie pragnął tego tak bardzo, jak w tej chwili.

Cofnął się o krok.

— Dziś wieczorem wydajemy bal na cześć naszego drogiego kuzyna Borrica.

Król wstał. Ułożył poły swej szaty, zdjął z szyi złoty łańcuch, który nosił w czasie pełnienia urzędu, i podał paziowi, by ten umieścił go na purpurowej, atłasowej poduszce. Następnie Król zdjął z głowy koronę i podał innemu paziowi.

Zszedł po stopniach z tronu. Zgromadzony tłum pokłonił się nisko.

— Chodź, kuzynie — powiedział do Borrica — usiądziemy na mym prywatnym tarasie, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać, mam już dosyć tej dworskiej etykiety.

Borric skinął głową i stanął u boku Króla, dając jednocześnie znak Kulganowi, Pugowi i innym, aby poczekali. Książę Caldric oznajmił wszystkim, że audiencja tego dnia dobiegła końca, a ci, którzy chcieli złożyć Królowi jakieś petycje, powinni przyjść następnego dnia.

Tłum powoli opuszczał salę przez wysokie drzwi. Kulgan, Pug i Arutha zostali na miejscu. Podszedł do nich Caldric.

— Pokażę wam pokój, gdzie będziecie mogli poczekać. Wypadałoby, żebyście byli w pobliżu, gdyby Jego Wysokość zechciał was wezwać do siebie.

Służący poprowadził ich ku niewielkim drzwiom obok tych, przez które wyszli przed chwilą Król i Borric. Weszli do sporej, wygodnie umeblowanej komnaty. Na środku stał długi stół uginający się pod ciężarem owoców, serów, chleba i wina. Wokół stołu ustawiono kilkanaście krzeseł, a przy ścianach liczne sofy z piętrzącymi się puchatymi poduchami.

Arutha podszedł do szklanych drzwi i zerknął na zewnątrz.

— Widzę ojca i Rodrica na królewskim tarasie.

Kulgan i Pug podeszli bliżej i spojrzeli w kierunku wskazanym przez Aruthę. Rozmówcy siedzieli przy stole na tarasie, z którego rozciągał się wspaniały widok na miasto i morze. Król gestykulował żywo. Borric słuchał uważnie i potakiwał ruchem głowy.

— Nie sądziłem, że Jego Wysokość będzie tak do was podobny, Książę.

Arutha odpowiedział ze swoim zwykłym krzywym uśmieszkiem.

— Przestanie to być tak dziwne, kiedy uwzględnisz, że mój ojciec był kuzynem jego ojca, tak jak i moja matka była spokrewniona z jego matką.

Kulgan położył rękę na ramieniu Puga.

— Musisz wiedzieć, Pug, że wiele rodzin arystokratycznych jest ze sobą spokrewnionych wieloma więzami. Zdarza się często, że kuzyni w czwartym czy piątym pokoleniu zawierają związki małżeńskie z powodów politycznych, ponownie zacieśniając więzy rodzinne. Wątpię, aby na wschodzie była choć jedna szlachecka rodzina, która by nie mogła się pochwalić jakimiś związkami z koroną, chociaż mogłyby one być bardzo odległe i zawiłe.

Odeszli od drzwi i usiedli przy stole.

Pug zaczął skubać kawałek sera.

— Wydaje się, że Król jest w dobrym humorze — powiedział, ostrożnie poruszając temat, o którym wszyscy myśleli.

Kulgan spojrzał na chłopca z zadowoleniem. Spodobał mu się wyważony i roztropny komentarz chłopca. Po rozmowie z Kerusem i jego uwagach dotyczących Króla, Borric ostrzegł ich, aby trzymali język za zębami. Swoje upomnienie zakończył starym jak świat powiedzeniem: na dworach możnowładców nie ma sekretów, ściany mają uszy i nawet głusi słyszą.

— Nasz władca jest człowiekiem o zmiennych nastrojach. Miejmy nadzieję, że pozostanie w dobrym, kiedy wysłucha wieści, z którymi przyjechał ojciec.

Popołudnie upływało powoli. Cały czas czekali na jakąś wiadomość czy wezwanie od Księcia. Cienie wydłużały się już za oknem, gdy w drzwiach stanął nagle Borric. Gdy podszedł do nich, zobaczyli, że na jego twarzy maluje się troska.

— Jego Wysokość spędził większą część popołudnia, objaśniając mi swoje plany odrodzenia Królestwa.

— Czy powiedziałeś mu o Tsuranich? — spytał Arutha.

Książę kiwnął głową.

— Wysłuchał, a potem spokojnie poinformował mnie, że rozważy to zagadnienie i że za dzień lub dwa porozmawia ze mną znowu.

— Przynajmniej był w dobrym humorze — zauważył Kulgan.

Borric spojrzał na swego starego doradcę.

— Obawiam się, że w zbyt dobrym. Oczekiwałem, że zauważę u niego przynajmniej jakieś oznaki niepokoju. Przecież nie przejechałem przez całe Królestwo

z powodu byle głupstwa. On jednak wydawał się zupełnie nie poruszony tym, co miałem do przekazania.

Kulgan zaniepokoił się nie na żarty.

— I tak już jesteśmy za długo w podróży. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że decyzja co do kierunku dalszych działań nie zabierze Jego Wysokości zbyt wiele czasu.

Borric usiadł ciężko na krześle i sięgnął po kielich z winem.

— Miejmy nadzieję.

* * *

Pug przekroczył próg drzwi prowadzących do prywatnych apartamentów Króla. Z przejęcia wyschło mu w gardle. Za kilka minut miał odbyć z monarchą rozmowę w cztery oczy. Perspektywa przebywania sam na sam z władcą sprawiła, że czuł się bardzo nieswojo. Poprzednio, ilekroć przebywał w towarzystwie potężnych panów królestwa, zawsze mógł się skryć w cieniu Księcia czy jego syna. Wychodził zza ich pleców, w skrócie przedstawiał to, co mu było wiadomo o Tsuranich, i szybko znikał znowu w cieniu. Za chwilę miał być jedynym gościem najpotężniejszego człowieka na północ od Imperium Wielkiego Keshu.

Sługa wprowadził go przez drzwi wiodące na prywatny taras Króla. Wokół otwartego balkonu stało kilku służących. Król siedział samotnie przy niewielkim marmurowym stole pod ogromnym baldachimem.

Dzień był pogodny. Wiosna tego roku przychodziła wcześniej niż zwykle, podobnie jak i ubiegłoroczna zima. W powietrzu czuło się już ciepłe podmuchy wiatru. U stóp tarasu rozciągały się, jak okiem sięgnąć, żywopłoty ogrodu okolonego murem, poza którym widniała panorama miasta Rillanon na tle morskiej dali. W ciągu ostatnich czterech dni śniegi stopniały zupełnie i teraz południowe słońce oświetlało jasnymi promieniami kolorowe dachy. Liczne statki wpływały do portu lub wychodziły w morze. Na ulicach przelewały się tłumy ludzi. Nawet z tej odległości do jedzącego południowy posiłek Króla docierały cichym brzęczeniem dalekie głosy kupców i straganiarzy przekrzykujących się ponad gwarem ulicy.

Pug podszedł do stołu. Służący podsunął mu krzesło.

Król zwrócił się do niego.

— Ach! Szlachcic Pug, proszę usiąść.

Chłopiec chciał złożyć ukłon, lecz Król powstrzymał go.

— Dość. Nie wymagam formalności, kiedy spożywam posiłek z przyjacielem.

Pug zawahał się przez moment.

— Wasza Wysokość czyni mi zaszczyt — powiedział i usiadł przy stole.

Rodric machnął niedbale ręką.

— Pamiętam jeszcze, jak czuje się chłopiec w towarzystwie dorosłych. Byłem niewiele starszy od ciebie, kiedy otrzymałem koronę. Zanim to jednak nastąpiło, byłem cały czas „synem" mego ojca.

Przez chwilę zapatrzył się w dal niewidzącym wzrokiem.

— Księciem, to prawda, lecz cały czas chłopcem. Nikt nie brał pod uwagę moich opinii i nigdy jakoś nie mogłem zadowolić oczekiwań ojca; ani podczas polowania, ani w konnej jeździe, ani w żeglowaniu czy szermierce. Nieraz oberwałem od mych nauczycieli i wychowawców, między innymi od Caldrica. Wszyscy oni zmienili się bardzo, kiedy zostałem Królem, lecz do tej pory pamiętam, jak to było.

Spojrzał na Puga przytomniejszym wzrokiem i uśmiechnął się.

— Chciałbym, abyśmy zostali przyjaciółmi.

Znowu się odwrócił i zapatrzył w dal.

— Nie można mieć teraz zbyt wielu przyjaciół, prawda? A odkąd jestem Królem, tak wielu ludzi twierdzi, że są moimi przyjaciółmi, a to nieprawda. — Milczał przez kilka chwil. Jeszcze raz wyrwał się ze swojego rozmyślania. — Co sądzisz o moim mieście?

— Jest cudowne, Wasza Wysokość. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego i wspaniałego.

Rodric spojrzał na rozciągającą się przed nimi panoramę.

— Tak, jest naprawdę piękne, nieprawdaż?

Skinął dłonią i służący napełnił winem kryształowe puchary. Pug spróbował łyk i chociaż ciągle jakoś nie mógł się przekonać do wina, stwierdził, że to było bardzo smaczne, delikatne, o lekkim owocowym posmaku z dodatkiem ziół.

— Starałem się ze wszystkich sił czynić Rillanon wspaniałym miejscem dla jego mieszkańców. Pragnę z całego serca, aby nadszedł taki dzień, kiedy wszystkie miasta w Królestwie będą równie wspaniałe jak to: gdziekolwiek rzucisz okiem, tam dostrzeżesz piękno. Wiem jednak, że zajmie to setki pokoleń, mogę więc jedynie ustanowić pewien wzorzec, dając przykład, na którym będą się mogli wzorować ci, którzy zechcą pójść w moje ślady. Gdzie zastałem cegłę, zostawiam marmur. Ci, którzy nadejdą po nas, będą dobrze wiedzieli i rozumieli, że to spuścizna po mnie.

Pug zauważył, że Król mówi chaotycznie i bez związku. Chłopiec zaczął się w tym wszystkim gubić. Król mówił dalej o budynkach i ogrodach, i walce z brzydotą. Niespodziewanie monarcha zmienił temat.

— Opowiedz mi, jak zabiłeś trolle.

Pug opowiedział mu całą historię i Król zdawał się chłonąć każde jego słowo.

— To była wspaniała opowieść — powiedział Król, kiedy Pug skończył. — Jest o wiele lepsza niż te, które dotarły wcześniej na dwór, bo chociaż nie tak

bohaterska, robi jednak podwójne wrażenie przez to, że jest prawdziwa. Mężne masz serce, panie Pug.

— Dziękuję, Wasza Wysokość.

— Wspomniałeś w opowiadaniu o księżniczce Carline.

— Tak, Wasza Wysokość?

— Nie widziałem jej od czasów, kiedy była maleńkim dzieckiem w ramionach matki. Teraz jest już pewnie dorosła? Jak wygląda?

Kolejna zmiana tematu wydała się Pugowi trochę dziwna.

— To piękna kobieta, jak jej matka, Jaśnie Panie. Jest bardzo inteligentna i bystra, chociaż czasem ma zmienne nastroje.

Król skinął głową.

— Tak, jej matka była piękną kobietą. Jeżeli córka choć w połowie jest tak piękna jak ona, musi być śliczna. Czy ma bystry umysł?

Pug zmieszał się.

— Wasza Wysokość?

— Czy ma dobrą głowę do argumentowania i przekonywania? Do logicznego myślenia? Czy potrafi spierać się i dowodzić swoich racji?

Pug pokiwał gwałtownie głową.

— O tak, Wasza Wysokość. Księżniczka jest w tym bardzo dobra.

Król zatarł ręce.

— To dobrze. Muszę przekonać Borrica, aby przysłał ją tu z wizytą. Większość kobiet ze wschodu jest jakaś nudna, pozbawiona wyrazu. Miałem nadzieję, że Borric zapewni jej właściwe wykształcenie. Bardzo bym chciał spotkać w swoim życiu młodą kobietę, która zna logikę i filozofię i która potrafi argumentować i przeprowadzać wywody.

Pug zdał sobie nagle sprawę, że Król, mówiąc o argumentowaniu, miał na myśli zupełnie coś innego niż chłopiec zrozumiał. Uznał, że najlepiej będzie to przemilczeć.

— Moi ministrowie napominają mnie bez ustanku, abym poszukał sobie żony i dał Królestwu potomka i dziedzica. Ja jednak jestem ciągle zajęty, a jeżeli chodzi o damy dworu, to nie interesują mnie one za bardzo. Można pójść z nimi na romantyczną przechadzkę przy świetle księżyca i… robić inne rzeczy, ale żeby któraś z nich miała być matką mojego potomka i dziedzica? Mowy nie ma, to nie wchodzi w rachubę. Muszę się poważnie zająć szukaniem kandydatki na królową. Być może powinienem zacząć od jedynej córki conDoina?

Pug chciał już wspomnieć o jeszcze jednej córce conDoinów, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, bo przypomniał sobie o napiętych stosunkach pomiędzy Królem a ojcem Anity. A poza tym dziewczynka miała dopiero siedem lat.

Król znowu zmienił temat.

— Od czterech dni mój kuzyn Borric raczy mnie opowieściami o obcych, nazywają się Tsurani czy jakoś tak. Co ty o tym wszystkim sądzisz?

Pug spojrzał na władcę zaskoczony. Ani mu przez myśl nie przeszło, że Król może pytać o jego opinię na jakiś temat, nie mówiąc już o sprawie tak ważnej jak bezpieczeństwo Królestwa. Milczał długą chwilę zastanawiając się, jak najlepiej sformułować odpowiedź.

— Z tego, co widziałem i słyszałem, wnioskuję, Wasza Wysokość, że Tsurani nie tylko planują inwazję, ale już tu są.

Król uniósł brew do góry.

— O? Chciałbym usłyszeć, jak doszedłeś do tego wniosku.

Pug zastanawiał się przez moment nad właściwym doborem słów.

— Jeżeli pomimo wielkiej ostrożności i wprawy w zacieraniu śladów widziano ich już tyle razy, a takie są przecież fakty, czy nie jest wobec tego słuszne założenie, Wasza Wysokość, że przychodzili do nas i wracali do siebie o wiele częściej, niż o tym wiemy?

Król skinął głową.

— Sensowne założenie. Mów dalej.

— Czyż nie jest więc także prawdą, że teraz, kiedy spadły śniegi, rzadziej natrafiamy na ich ślady, ponieważ trzymają się mniej uczęszczanych i oddalonych miejsc?

Rodric skinął głową i Pug mówił dalej.

— Jeżeli więc reprezentują tak wysoki kunszt wojenny, jak mówi Książę, myślę, że już opracowali mapę zachodu i wybrali najlepsze miejsce, do którego sprowadzili w czasie zimy swoje wojska, aby wraz z nadejściem wiosny rozpocząć ofensywę.

Król uderzył otwartą dłonią w blat stołu.

— Wspaniałe ćwiczenie z logiki, Pug. — Dał znaki, aby służba wniosła jedzenie. — No, a teraz pora coś przekąsić.

Podano ogromną ilość zadziwiająco różnorodnych dań, jeśli się zważy, że przy stole siedziały tylko dwie osoby. Pug próbował po trochu każdej potrawy, aby nie okazać obojętności dla hojności i gościnności Króla. W czasie posiłku Król pytał o to i owo, a Pug starał się odpowiadać najlepiej, jak umiał.

Chłopiec już kończył obiad, kiedy Król oparł łokcie na stole i potarł w zamyśleniu gładko wygoloną brodę. Przez długi czas wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, aż Pug poczuł się nieswojo, ponieważ nie wiedział, jak należy się właściwie zachować w obecności władcy zatopionego w myślach. Postanowił, że będzie siedział w milczeniu.

Po chwili Rodric powrócił do rzeczywistości. Spojrzał z niepokojem na niego.

— Dlaczego ci ludzie prześladują nas właśnie teraz? Jest przecież tyle do zrobienia, mam tyle planów. Nie może w tym przeszkodzić wojna.

Wstał i zaczął się przechadzać po tarasie. Pug też powstał i czekał stojąc. Rodric popatrzył na niego.

— Trzeba posłać po Księcia Guya. On się zna na takich rzeczach.

Król znowu począł spacerować po tarasie, przyglądając się panoramie miasta. Pug stał spokojnie przy swoim krześle. Słyszał, jak monarcha mamrocze coś pod nosem o wielkich pracach, których nie wolno przerywać. Ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się. U jego boku stał w milczeniu sługa. Uśmiechnął się i gestem ręki wskazał na drzwi, dając znak, że posłuchanie dobiegło końca. Pug poszedł za nim ku wyjściu, nie mogąc się nadziwić umiejętnościom służby, która tak dobrze rozpoznawała nastroje Króla.

Pug został zaprowadzony do swojego pokoju. Poprosił służącego, aby udał się do Borrica i powiadomił go, że Pug chciałby prosić o rozmowę z nim, jeżeli nie jest zbyt zajęty. Wszedł do pokoju, usiadł i zaczął się zastanawiać. Po paru chwilach pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Pug zawołał, że można wejść. Był to ten sam służący z wiadomością, że książę Borric zobaczy się z nim natychmiast.

Pug podziękował słudze i odesłał go mówiąc, że sam trafi do pokoju Borrica. Szedł powoli, zastanawiając się, co ma powiedzieć Księciu. Bez wątpienia dwie rzeczy były najistotniejsze: po pierwsze Król nie był zadowolony, kiedy usłyszał, że Tsurani stanowią potencjalne zagrożenie dla jego Królestwa; po drugie książę Borric będzie równie niezadowolony, kiedy usłyszy, że posłano po Guya du Bas-Tyra, aby przybył do Rillanonu.

* * *

Podobnie jak w ciągu ostatnich kilku dni, teraz też przy stole panowała cisza. Pięciu gości z Crydee jadło posiłek w pokoju Księcia. W pobliżu czuwała służba pałacowa, ubrana w czarne bluzy z purpurowo-złotym herbem królewskim.

Książę był poirytowany, bo chciał już wracać na zachód. Od wyjazdu z Crydee minęły prawie cztery miesiące, właściwie cała zima. Zbliżała się wiosna i jeżeli, jak wszyscy wierzyli, Tsurani planowali napaść, było to już tylko kwestią dni. Arutha też, podobnie jak ojciec, nie mógł usiedzieć na miejscu. Nawet po Kulganie było widać, że bezczynne czekanie bardzo mu doskwiera. Jedynie Meecham, który nigdy nie pokazywał swych uczuć, wydawał się całkowicie zadowolony.

Pug bardzo tęsknił za domem. Pałac go znudził i chciał już powrócić do swojej wieży i zabrać się za naukę. Pragnął również, chociaż nie pisnął o tym nikomu ani słówka, zobaczyć się z Carline. Zauważył, że ostatnio coraz częściej pojawia się w jego wspomnieniach w jaśniejszych barwach i że wybacza jej cechy, które kiedyś go denerwowały. Wiedział również, chociaż oczekiwał tego z mieszanymi uczuciami, iż po powrocie dowie się czegoś pewnego o losie Tomasa. Dolgan po-

winien już niedługo wysłać wiadomości do Crydee, oczywiście pod warunkiem, że odwilż szybko dotrze w wyższe partie gór.

Borric przebrnął jakoś przez kilka kolejnych spotkań z Królem, chociaż żadne z nich nie skończyło się po jego myśli. Ostatnia rozmowa odbyła się kilka godzin temu, lecz na razie nie powiedział o jej przebiegu ani słowa czekając, aż służba wreszcie ich opuści.

Posprzątano ze stołu ostatnie naczynia, a służba nalewała najświetniejszą królewską brandy z Keshu, kiedy zapukano do drzwi i wszedł Caldric. Jednym ruchem ręki oddalił służbę. Kiedy zostali sami, zwrócił się do Księcia.

— Borric, przykro mi bardzo, że przeszkadzam w posiłku, ale mam ważne wieści.

Borric wstał od stołu. Inni uczynili to samo.

— Dołącz do nas, proszę. Może się napijesz?

Caldric wziął kielich brandy i usiadł na krześle zajmowanym do tej pory przez Puga. Chłopiec przysunął sobie drugie.

Książę Rillanonu spróbował łyk alkoholu.

— Niecałą godzinę temu przybyli posłańcy od księcia Bas-Tyra. Guy jest zaniepokojony, że martwimy „niepotrzebnie" Króla „pogłoskami" o kłopotach na zachodzie.

Borric zerwał się na równe nogi i cisnął kielichem, rozbijając go na drobne kawałki o przeciwległą ścianę pokoju. Bursztynowy płyn ściekał powoli po murze. Niewiele brakowało, a Borric z gniewu ryknąłby na całe gardło.

— W co się bawi ten Guy? Co to za idiotyczna gadanina o pogłoskach i niepotrzebnych zmartwieniach!?

Caldric podniósł dłoń i Borric uspokoił się trochę. Usiadł przy stole. Stary Książę spojrzał poważnie na Borrica.

— Ja sam pisałem wezwanie Króla do Guya. W liście podałem wszystkie, nawet najdrobniejsze informacje, wszelkie przypuszczenia i domysły. Jedyne, co mi przychodzi na myśl to, że Guy pragnie zyskać na czasie nie chcąc, aby Król podjął jakąkolwiek decyzję, zanim on nie dotrze do pałacu.

Borric bębnił palcami po blacie stołu i patrzył na Caldrica. W oczach migotały błyski gniewu.

— Co Bas-Tyra wyprawia? Jeżeli wojna wybuchnie, tak samo dotrze do Crydee, jak i do Yabon. Moi ludzie będą cierpieli, a ziemie zostaną splądrowane.

Caldric powoli pokręcił głową.

— Stary przyjacielu, pozwól, że będę mówił otwarcie. Od kiedy stosunki między Królem a jego wujem, Erlandem są napięte, Guy robi wszystko, aby to jego sztandar odgrywał w Królestwie pierwsze skrzypce. Może się mylę, ale wydaje mi się, że gdyby zdrowie zupełnie zawiodło Erlanda, Guy widziałby siebie w purpurze Krondoru.

Borric zacisnął zęby.

— Pozwól, Caldric, że teraz ja wyrażę się równie jasno. Wierz mi, że nie brałbym tego ciężaru na siebie czy na barki moich ludzi, ale chodzi o rzeczy najważniejsze. Jeżeli Erland jest rzeczywiście tak chory, jak myślę, to bez względu na to, co twierdzi, dopilnuję, aby na tronie Krondoru zasiadła Anita, a nie Czarny Guy. Nawet gdybym miał postawić pod broń Armie Zachodu i ruszyć na Krondor samemu przejąć regencję, zrobię tak, nawet wbrew woli Rodrica. Kto inny zajmie zachodni tron jedynie wtedy, kiedy Król będzie miał własne potomstwo.

Caldric spojrzał spokojnie na Borrica.

— Czy chcesz, aby przylgnął do ciebie przydomek zdrajcy korony?

Borric uderzył ręką w blat stołu.

— Niech będzie przeklęty dzień, w którym urodził się ten łobuz. Serdecznie żałuję, że nie mogę się wyprzeć pokrewieństwa z nim.

Caldric odczekał, aż Książę się nieco uspokoi.

— Znam cię lepiej, Borric, niż ty sam siebie. Jestem pewien, że chociaż z radością udusiłbyś własnymi rękami twego kuzyna, to na pewno nie wzniesiesz wojennego sztandaru zachodu przeciwko Królestwu. Zawsze smuciło mnie bardzo, że dwóch najwspanialszych generałów Królestwa tak bardzo się nienawidzi.

— Nie bez powodu, Caldric. Za każdym razem, kiedy trzeba wspomóc zachód, kuzyn Guy sprzeciwia się temu. Za każdym razem, kiedy pojawia się nowa intryga i ktoś traci tytuł i stanowisko, dziwnym trafem przypadają one w udziale jednemu z popleczników Guya. Przecież nie możesz tego nie widzieć? Tylko dzięki temu, że ty, Brucal z Yabon, i ja trzymaliśmy się twardo, Kongres nie wyznaczył go regentem Rodrica na trzy pierwsze lata jego panowania. Pofatygował się osobiście do wszystkich książąt w Królestwie, by nazwać cię zmęczonym życiem starcem, który nie jest w stanie rządzić w imieniu Króla. Jak możesz o tym zapominać?

Caldric rzeczywiście wyglądał teraz na bardzo zmęczonego życiem, starego człowieka. Jedną dłonią zakrywał oczy, jakby światło w komnacie było zbyt ostre.

— Widzę i nie zapomniałem — powiedział cicho — lecz pamiętaj, że przez małżeństwo jest również moim krewnym. A poza tym, czy pomyślałeś, że gdyby mnie tu nie było, jego wpływ na Rodrica byłby o wiele większy? Król ubóstwiał Guya, kiedy był jeszcze dzieckiem, widząc w nim wspaniałego bohatera, najwyższej miary wojownika i obrońcę Królestwa.

Borric oparł się ciężko o krzesło.

— Przepraszam, Caldric — powiedział nieco łagodniejszym tonem. — Wiem, że działasz dla dobra nas wszystkich, a Guy rzeczywiście był bohaterem, kiedy dawno temu odparł atak Keshu w Taunton. Nie powinienem mówić o czymś, czego nie widziałem na własne oczy.

Arutha przez cały czas nie odezwał się ani słowem, jednak jego oczy mówiły wszystko. Jak u ojca wrzał w nich gniew. Pochylił się i obaj Książęta spojrzeli na niego.

— Czy chcesz coś powiedzieć, mój synu? — spytał Borric.

Arutha rozłożył szeroko ręce.

— W tym wszystkim jedna myśl nie daje mi spokoju. Gdyby Tsurani nadeszli, co Guy zyskuje przez to, że Król się waha?

Borric zabębnił palcami po stole.

— Dla mnie to też zagadka, bo przecież bez względu na swoje intrygi Guy nie narażałby Królestwa na niebezpieczeństwo, nawet gdyby chciał mi zrobić na złość.

— A czy nie byłoby mu na rękę — powiedział Arutha — gdyby tak pozwolić, aby zachód trochę pocierpiał, to znaczy do pojawienia się głosów sprzeciwu. Wtedy Guy nadszedłby z odsieczą na czele Armii Wschodu w glorii wyzwoliciela i bohatera, tak jak pod Taunton?

Caldric rozważał przez chwilę zaproponowane rozwiązanie.

— Mam nadzieję, że nawet Guy nie jest zdolny do tak niskiego oceniania obcych.

Arutha zaczął przechadzać się po pokoju.

— Zastanówmy się, o czym wie. Majaczenie umierającego człowieka. Przypuszczenia co do przeznaczenia i pochodzenia statku, ale z obecnych tutaj widział go tylko Pug. Domniemania kapłana i maga w sytuacji, kiedy Guy raczej lekceważy oba powołania. Jakieś wędrówki Mrocznego Bractwa. Ma prawo nie uznawać tego za solidną podstawę.

— Ale przecież wystarczy pojechać tam i przekonać się na własne oczy — zaprotestował Borric.

Caldric przyglądał się młodemu Księciu chodzącemu tam i z powrotem po pokoju.

— Być może masz rację. Nie miał przecież możliwości posłuchać ciebie, twoich naglących słów, dotarła do niego jedynie sucha relacja zapisana atramentem na pergaminie. Musimy go przekonać, kiedy przyjedzie.

— Przecież to Król ma zdecydować, a nie Guy! — wycedził przez zęby Borric.

— Jednak Król przykłada wielką wagę do jego rady. Jeżeli chcesz dostać dowództwo Armii Zachodu, osobą, którą należy przekonać przede wszystkim, jest Guy.

Borric spojrzał na niego zaszokowany.

— Ja? Nie chcę żadnego dowództwa nad wojskiem. Pragnę jedynie, aby Erland miał wolną rękę i mógł przyjść mi z pomocą, gdyby zaszła taka konieczność.

Caldric położył obie dłonie na stole.

— Borric, przy całej swojej wiedzy i rozsądku myślisz jak jakiś nieokrzesany wiejski panek. Erland nie może poprowadzić armii. Nie jest zdrowy. Nawet gdyby mógł, Król i tak by na to nie pozwolił. To samo odnosi się zresztą do Dulanica, marszałka Erlanda. Widziałeś Rodrica w jego najlepszym stanie. Kiedy jednak nachodzi go przygnębienie, zaczyna bać się o swoje życie. Chociaż nikt

nie ośmielił się tego wypowiedzieć na głos, wiadomo, że Król podejrzewa wuja o knucie spisku w celu zabrania mu korony.

— Idiotyzm! — krzyknął Borric. — Erland mógł dostać koronę trzynaście lat temu, gdyby tylko wyraził na to zgodę. Linia sukcesji nie była wówczas klarowna. Przecież ojciec Rodrica nie mianował go wtedy swym oficjalnym następcą, a prawo Erlanda do korony było równie zasadne, jak i Króla, może nawet bardziej. Tylko Guy i ci, którzy chcieli posłużyć się chłopcem w przyszłości, forsowali prawa Rodrica. Większość członków Kongresu udzieliłaby Erlandowi jako Królowi swego poparcia.

— Wiem o tym. Ale czasy się zmieniły, a chłopiec już nie jest małym chłopcem. Teraz to przestraszony młody człowiek, chory z przerażenia. Nie wiem, czy przyczyną jest wpływ Guya i innych, czy też mamy do czynienia z jakąś chorobą umysłową. Król nie myśli jak inni ludzie, zresztą żaden Król tak nie myśli, ale Rodric szczególnie. Może się to wydawać dziwaczne czy idiotyczne, ale nie odda on Armii Zachodu pod dowództwo swego wuja. Obawiam się bardzo, Borric, że kiedy Guy dotrze tutaj i porozmawia z Królem, nie odda ich także tobie.

Borric otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale przerwał mu Kulgan.

— Przepraszam, Wasze Wysokości, ale czy mógłbym coś zaproponować?

Caldric spojrzał na Borrica, który kiwnął głową.

Kulgan odchrząknął.

— Czy Król byłby skłonny oddać Armie Zachodu pod dowództwo księcia Brucala z Yabon?

Znaczenie słów wypowiedzianych przez maga powoli docierało do Borrica i Caldrica. Po chwili książę Crydee odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Uderzył pięścią w stół.

— Kulgan! — krzyknął Borric. — Nawet gdybyś nie służył mi wiernie przez te wszystkie lata, to i tak by się to nie liczyło wobec tej jednej rady.

Zwrócił się do Caldrica.

— Co ty na to?

Po raz pierwszy od wejścia do pokoju Caldric uśmiechnął się.

— Brucal? Ten stary wiarus? Nie ma drugiego uczciwszego człowieka w Królestwie. I nie stoi w ogonku do korony. Guy nie ma szans, aby nawet próbować zdyskredytować go w oczach Rodrica. No cóż, gdyby on objął dowództwo nad armiami…

Arutha dokończył za niego.

— Powołałby ojca na swego głównego doradcę. Dobrze wie, że ojciec jest najlepszym dowódcą na zachodzie.

Caldric wyprostował się w krześle. Policzki zaróżowiły mu się z podniecenia.

— Dostałbyś nawet dowództwo nad armiami Yabonu.

— Tak — powiedział Arutha — i LaMut, Zun, Ylith i całej reszty.

Caldric wstał.

— Powinno się udać, jak sądzę. Nic nie mówcie jutro Królowi. Postaram się wybrać odpowiedni moment, aby mu to zasugerować. Módlcie się, aby Król się zgodził.

Caldric pożegnał się i wyszedł. Po raz pierwszy od paru miesięcy Pug poczuł, że ich podróż może się zakończyć szczęśliwie. Nawet Arutha, który przez cały tydzień chodził jak chmura gradowa, wyglądał na szczęśliwego.

* * *

Łomotanie do drzwi obudziło Puga. Zawołał sennym głosem, żeby ktokolwiek był po drugiej stronie, wszedł. Do środka zajrzał królewski służący.

— Panie, Król rozkazał, aby wszyscy, którzy przyjechali z księciem Borricem, stawili się natychmiast w sali tronowej.

Podniósł wyżej lampę, aby lepiej oświetlić pokój. Pug odpowiedział, że zaraz przyjdzie, i ubrał się błyskawicznie. Na dworze było jeszcze ciemno. Był ciekaw, co jest przyczyną nagłego wezwania. Nadzieja, która wstąpiła w serce wczoraj wieczorem, po odejściu Caldrica, ustąpiła dręczącej obawie, że niezrównoważony i nieprzewidywalny w postępowaniu Król dowiedział się jakoś o planie podejścia go przed przybyciem Guya.

Wybiegł z pokoju, dopinając po drodze pas. Szedł pośpiesznie korytarzem. Obok podążał sługa, trzymając latarnię. W korytarzu było zupełnie ciemno. Wszystkie świece i pochodnie oświetlające wnętrza pałacowe gaszono na noc.

Książę Arutha, Borric i Kulgan dotarli na miejsce prawie równocześnie z nim. Na twarzach wszystkich malował się niepokój i spoglądali wyczekująco w stronę Rodrica, który spacerował po sali tronowej ubrany w koszulę nocną. W pobliżu stał książę Caldric z bardzo poważnym wyrazem twarzy. W sali panował zupełny mrok. Paliły się tylko przyniesione przez służbę latarnie.

Gdy tylko wszyscy zgromadzili się wokół tronu, Król wpadł w szał.

— Kuzynie! Czy wiesz, co tu mam? — krzyczał, wymachując zwojem pergaminu.

Borric odpowiedział, że nie wie.

Rodric odrobinę ściszył głos.

— Wiadomość z Yabon! Ten stary dureń Brucal pozwolił, aby Tsurani zaatakowali i zniszczyli jeden z jego garnizonów. Spójrz na to! — wrzasnął, ciskając pergamin w stronę Borrica.

Kulgan podniósł rozsypane karty i podał Księciu.

— Nieważne — powiedział Król. Mówił już prawie normalnym głosem. — Sam powiem, co tam napisane. — Najeźdźcy zaatakowali Wolne Miasta w pobliżu

Walinoru. Zaatakowali puszcze Elfów. Zaatakowali Kamienną Górę. Zaatakowali Crydee.

— Co z Crydee? — zapytał odruchowo Borric.

Król zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na Borrica i przez ułamek sekundy Pug widział w jego oczach szaleństwo. Rodric zamknął je na moment i znowu otworzył. Chłopiec z ulgą zauważył, że Król był znowu sobą. Potrząsnął lekko głową i uniósł dłoń ku skroni.

— Mam tylko wiadomości z drugiej ręki, od Brucala. Kiedy sześć tygodni temu wysłano ten pergamin, był tylko jeden atak na Crydee. Twój syn, Lyam, doniósł mu, że odnieśli całkowite zwycięstwo, spychając obcych głęboko w puszczę.

Caldric postąpił o krok do przodu.

— We wszystkich raportach jest to samo. Ciężkozbrojne oddziały piechoty zaskoczyły garnizony, atakując nocą, zanim stopniały śniegi. Nie mamy dużo wiadomości. Wiemy tylko tyle, że garnizon podległy LaMut, znajdujący się gdzieś w pobliżu Kamiennej Góry, padł. Wydaje się, że wszystkie inne ataki zostały odparte. — Spojrzał na Borrica znacząco. — Nie ma ani słowa o tym, aby Tsurani użyli kawalerii.

— Być może więc Tully miał rację. Nie mają koni.

Król był oszołomiony. Kręciło mu się w głowie. Podszedł chwiejnym krokiem do tronu i usiadł. Przycisnął skroń dłonią.

— Co z tymi końmi? O czym wy mówicie? Moje Królestwo zostało napadnięte. Te stwory miały czelność zaatakować moich żołnierzy.

Borric spojrzał na Króla.

— Co sobie Wasza Wysokość życzy, abym zrobił?

— Zrobił? — odpowiedział Rodric podniesionym głosem. — Miałem zamiar poczekać z podjęciem jakiejkolwiek decyzji na przyjazd mego lojalnego sługi, księcia Bas-Tyra. Ale wobec tej sytuacji przyszedł czas na działanie.

Przerwał na chwilę, a jego twarz przybrała chytry wyraz. Ciemne oczy błyszczały w świetle latarni.

— Planowałem oddać Armie Zachodu pod dowództwo Brucalowi, ale ten stetryczały głupiec nie potrafi obronić nawet własnych garnizonów.

Borric chciał już zaprotestować i stanąć w obronie Brucala, lecz Arutha, znając dobrze ojca, ścisnął go mocno za ramię i Książę nie odezwał się ani słowem.

— Borric, musisz pozostawić Crydee pod opieką syna. Wygląda na to, że sobie poradzi. W końcu to on jest autorem jedynego naszego zwycięstwa. — Wzrok Króla zaczął błądzić po ścianach. Zaśmiał się do własnych myśli. Przez kilka chwil mocno potrząsał głową. Narastająca histeria ustąpiła. — Och, bogowie, te straszne bóle. Myślałem, że mi rozerwie czaszkę. — Zamknął na sekundę oczy. — Borric, zostaw Crydee pod opieką Aruthy i Lyama. Powierzam ci dowództwo Armii Zachodu aż do Yabon. Wojska Brucala są srodze naciskane, ponieważ obcy

nacierają głównie w kierunku LaMut i Zun. Kiedy dotrzesz na miejsce, zażądaj, czego ci trzeba. Musimy przegonić najeźdźców z naszej ziemi.

Twarz Króla była blada jak płótno. Na czole lśniły kropelki potu.

— Nie jest to najlepsza pora na zaczynanie podróży, ale wysłałem już wiadomość do portu, aby szykowali statek. Musicie ruszać bez chwili zwłoki. Idźcie już.

Książę Borric skłonił się i odwrócił.

— Odprowadzę Waszą Wysokość do jej komnat — powiedział Caldric. — Szykujcie się do drogi. Pojedziemy razem na przystań.

Stary Kanclerz pomógł Królowi wstać z tronu, a Borric i jego towarzysze opuścili salę tronową. Popędzili do swoich pokojów, gdzie służba pakowała ich rzeczy. Pug stał, przestępując z nogi na nogę. Nareszcie wracał do domu.

* * *

Stali na nabrzeżu, żegnając się z Caldriciem. Pug i Meecham czekali na swoją kolej.

— No cóż, chłopcze, minie jeszcze sporo czasu, zanim zobaczymy znowu dom, szczególnie teraz kiedy mamy wojnę.

Pug spojrzał w górę na pooraną bliznami twarz człowieka, który dawno temu znalazł go w czasie burzy.

— Jak to? Nie jedziemy teraz do domu?

Meecham pokręcił głową.

— Książę Arutha popłynie z Krondoru przez Mroczne Cieśniny, aby dołączyć do brata, ale książę Borric pożegluje do Ylith, a potem do obozu Brucala gdzieś w okolicach LaMut. Gdzie idzie Książę, tam i Kulgan, a gdzie mój pan, tam i ja. A ty?

Pug poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Meecham miał rację. Powinien być razem z Kulganem, a nie mieszkańcami Crydee, chociaż wiedział dobrze, że gdyby poprosił, pozwolono by mu popłynąć z Księciem do domu. Zrezygnowany przyjął w milczeniu kolejny znak, że wiek chłopięcy dobiega końca.

— Tam, gdzie Kulgan, tam i ja.

Meecham klepnął go w plecy.

— Wspaniale, chłopcze. Wreszcie będę miał okazję nauczyć cię posługiwania się porządnie mieczem, którym wymachujesz jak, nie przymierzając, baba miotłą.

Pug rozchmurzył się troszeczkę i uśmiechnął do Meechama. Po chwili byli już na pokładzie, a statek skierował się w stronę Saladoru, rozpoczynając pierwszy odcinek długiej podróży na zachód.

# Rozdział 14

# Inwazja

Tej wiosny spadły ulewne deszcze.

Wszechobecne błoto opóźniło działania wojenne. Kiedy ulewy w końcu ustąpiły, błoto zostało. Zimna, mokra breja pokrywała drogi jeszcze przez miesiąc, zanim nadeszło krótkie i gorące lato.

Książę Brucal z Yabonu i Borric stali nad stołem zawalonym mapami. Krople deszczu bębniły o płótno namiotu, służącego za kwaterę główną dowództwa armii. Po obu jego stronach rozbito dwa mniejsze, w których spali obaj panowie. Wnętrze namiotu wypełnione było dymem z oświetlających wnętrze latarni i z fajki Kulgana. Mag okazał się bardzo dobrym doradcą dla obu Książąt podczas wojny. Nie raz, nie dwa przydała się również jego magia. Wykorzystywał swoje moce, aby przewidywać pogodę czy też ruchy oddziałów Tsuranich, chociaż to drugie nie zawsze mu wychodziło. Jego zwyczaj czytania wszystkiego, co mu wpadło w ręce, włącznie z książkami o sztuce wojennej, sprawił, że przez lata stał się niezłym taktykiem i strategiem.

Brucal wskazał na najnowszą mapę leżącą na stole.

— Zdobyli ten punkt, tutaj, i jeszcze jeden tam. A w tym miejscu — wskazał palcem inny punkt mapy — bronią się jak lwy, mimo naszych wysiłków, aby ich wypędzić. Wydaje się także, że obcy wyprawiają się stąd i maszerują w tym kierunku. — Palec przesunął się wzdłuż wschodniej krawędzi Szarych Wież. — Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia ze skoordynowanym działaniem, ale niech mnie kule biją, jeżeli wiem, jaki będzie ich następny krok.

Stary Książę był bardzo zmęczony. Od ponad dwóch miesięcy wybuchały sporadyczne walki i żadna ze stron nie mogła uzyskać znaczącej przewagi.

Borric studiował uważnie mapę. Czerwone punkty oznaczały miejsca, w których umocnili się Tsurani. Były to najczęściej wysoko ufortyfikowane okopy, obsadzone przez co najmniej dwustu ludzi. Na żółto oznaczono miejsca, gdzie jak sądzono, zostały rozlokowane oddziały posiłkowe. Praktyka pokazała, że wszystkie zaatakowane przez żołnierzy Królestwa punkty umocnień błyskawicz-

nie otrzymywały posiłki, czasem w ciągu kilku minut. Niebieskie punkty na mapie oznaczały placówki wojsk królewskich, chociaż większość sił Brucala została zakwaterowana wokół wzgórza, na którym stał namiot dowództwa.

Zanim przybyła ciężkozbrojna piechota i wojska inżynieryjne z Ylith i Tyr-Sog, które wybudowały stałe fortyfikacje, wojska Królestwa prowadziły właściwie wojnę podjazdową, ponieważ większość oddziałów, które zmobilizowano na początku wojny, stanowiła kawaleria.

Książę Crydee zgodził się z oceną Brucala.

— Ich taktyka, jak się wydaje, jest ciągle jednakowa. Atakują niewielkimi siłami, okopują się i starają utrzymać pozycję za wszelką cenę. Stawiają opór naszym oddziałom, lecz kiedy się wycofujemy, nie ruszają za nami w pościg, lecz zostają na miejscu. Wyraźnie widać, że jest w tym jakaś taktyka, jakiś plan, ale zabij mnie, a nie powiem jaki. Nie rozumiem ich postępowania.

Do namiotu wszedł wartownik.

— Panowie, na zewnątrz czeka jakiś Elf. Chce wejść.

— Wprowadź go — powiedział Brucal.

Wartownik odchylił połę namiotu i Elf wszedł do środka. Był przemoczony do suchej nitki. Rudobrązowe włosy oblepiały głowę, a ciepła kurta ociekała wodą. Skłonił się lekko przed Brucalem i Borricem.

— Jakie wieści z Elvandaru? — spytał Borric.

— Moja Królowa przesyła wyrazy szacunku i pozdrowienia.

Elf odwrócił się w stronę mapy. Wskazał na przełęcz pomiędzy Szarymi Wieżami na południu a Kamienną Górą na północy, tę samą, którą zagrodziły na wschodnim krańcu oddziały Borrica.

— Obcy przeprawiają przez tę przełęcz wielu swoich żołnierzy. Podeszli już do skraju puszczy Elfów, ale na razie nie próbują wejść głębiej. Trudno się przez nich przebić. — Uśmiechnął się radośnie. — Trochę się poganialiśmy. Biegają prawie tak samo dobrze jak Krasnoludy, ale w lesie nie dotrzymują nam kroku.

Spojrzał znowu na mapę.

— Z Crydee nadeszły raporty o drobnych potyczkach wysuniętych patroli, ale w pobliżu samego zamku nic się nie dzieje. Brak informacji o jakichkolwiek ruchach z Szarych Wież, Carse czy Tulan. Wszystko wskazuje na to, że zadowolili się okopaniem i utrzymaniem zdobytych pozycji wzdłuż przełęczy. Wasze siły z zachodu nie będą się mogły z wami połączyć, bo nie przebiją się przez ich stanowiska.

— W jakiej sile są obcy? — spytał Brucal.

— Nie wiadomo dokładnie, ale wzdłuż tej trasy widziałem ich parę tysięcy. — Wskazał palcem linię wzdłuż północnej krawędzi przełęczy, od lasu Elfów do obozu wojsk królewskich. — Krasnoludy z Kamiennej Góry nie będą niepokojone, dopóki nie spróbują ruszyć na południe. Obcy zablokowali im przejście.

— Czy słyszeliście, żeby Tsurani używali kawalerii? — spytał Borric.

— Nie. Wszystkie doniesienia mówią o oddziałach piechoty.

— Podejrzenia ojca Tully'ego, że w ogóle nie mają koni, wydają się potwierdzać — zauważył Kulgan.

Brucal wziął pędzelek i tusz i naniósł informację na mapę. Kulgan stał za nim, patrząc przez ramię.

— Wypocznij teraz — powiedział Borric do Elfa. — Jak wrócisz, przekaż twojej pani pozdrowienia i życzenia dobrego zdrowia i pomyślności. Gdybyście wysyłali gońców na zachód, przekażcie to samo mym synom.

Elf ukłonił się.

— Stanie się wedle woli Waszej Wysokości. Niezwłocznie wracam do Elvandaru.

Odwrócił się i opuścił namiot.

— Chyba już wiem, o co chodzi — odezwał się niespodziewanie Kulgan. Wskazał nowe czerwone punkty na mapie, które tworzyły prawie półkole przecinające przełęcz. — Tsurani starają się utrzymać ten obszar. Dolina, która znajduje się w tym miejscu, stanowi środek ich terenu. Moim zdaniem starają się zapobiec, aby ktokolwiek tam się przedostał.

Borric i Brucal spojrzeli na siebie zdumieni.

— Ale w jakim celu? — spytał Borric. — Przecież nie ma tam absolutnie nic ważnego z militarnego punktu widzenia. Zupełnie jakby sami chcieli, abyśmy ich odcięli w tej dolinie.

Brucal krzyknął nagle:

— Przyczółek! Porównajmy to do przekraczania rzeki. Spójrzcie tylko, zdobyli przyczółek po tej stronie „przejścia", jak to nazywa mag. Mogą dysponować tylko taką ilością zapasów, jaką zdołają przenieść na naszą stronę. Nie udało im się zdobyć wystarczającej przewagi i terenu, aby zaopatrywać się w prowiant po naszej stronie. Muszą więc rozszerzyć teren pod swoją kontrolą i przed przystąpieniem do ofensywy zgromadzić odpowiednią ilość zapasów.

Brucal spojrzał na maga.

— Kulgan, co o tym myślisz? To raczej twoja domena.

Mag wpatrywał się w mapę, jakby przy pomocy tajemnych sił chciał wydobyć na światło dzienne ukryte w niej informacje.

— Nic nam nie wiadomo o zastosowaniu przez nich magii. Nie potrafimy określić, jak szybko potrafią przerzucać ludzi i zapasy do naszego świata, ponieważ nikt nie miał okazji zobaczyć tego na własne oczy. Być może potrzebują dużego obszaru, co zapewnia im ta dolina. Może są też ograniczeni czasem, w ciągu którego mogą do nas przerzucić swoje oddziały, nie wiem.

Borric rozważał to przez chwilę w milczeniu.

— Zatem nie mamy wyboru. Pozostaje do zrobienia tylko jedno. Musimy wysłać do doliny oddział zwiadowczy, aby się przekonać, co tam robią.

Kulgan uśmiechnął się.

— Ja też pójdę, jeżeli Wasza Wysokość pozwoli. Gdyby działały tam jakieś siły magiczne, wasi żołnierze mogą nie mieć pojęcia, o co chodzi, choćby nawet na to patrzyli.

Brucal krytycznie ocenił gabaryty Kulgana i zaczął protestować. Borric przerwał mu w pół słowa.

— Brucal, niech cię nie zmyli jego wygląd. Kulgan jeździ konno jak kawalerzysta. — Zwrócił się do maga: — Najlepiej będzie, jeżeli zabierzesz ze sobą Puga. Gdy jeden z was padnie, drugi przyniesie wiadomości.

Kulgan nie wyglądał w tym momencie na specjalnie szczęśliwego, ale uznał to za rozsądne posunięcie.

— Gdybyśmy zaatakowali Północną Przełęcz, a potem dolinę, związalibyśmy ich siły w walce. Wtedy niewielki, szybki oddział mógłby się przedrzeć przez ich linie w tym miejscu — powiedział książę Yabon, pokazując na mapie niewielką przełęcz, która łączyła się od wschodu z południowym krańcem doliny.

— To śmiały plan — zauważył Borric. — Bawimy się z Tsuranimi w kotka i myszkę już tak długo, trzymając stałą linię frontu, że chyba nie spodziewają się frontalnego ataku.

Kulgan zasugerował, aby wszyscy udali się na spoczynek, bo jutro czeka ich długi i ciężki dzień. Na moment przymknął oczy i po chwili poinformował obu wodzów, że deszcz wkrótce ustanie, a jutrzejszy dzień będzie słoneczny.

Kiedy Kulgan wszedł do namiotu, Pug leżał owinięty ciasno kocem, próbując zdrzemnąć się. Meecham siedział przed ogniem i gotował wieczorny posiłek, starając się ocalić go przed żarłocznością Fantusa. Tydzień temu smok odszukał swego pana. Zaczął nagle wywijać nad namiotem powietrzne łamańce, czym śmiertelnie przeraził kilku żołnierzy. Ostrzegawczy krzyk Meechama w ostatniej chwili powstrzymał łucznika, który chciał przeszyć strzałą rozradowaną bestię. Kulgan bardzo się ucieszył na widok ulubieńca, chociaż niezupełnie mógł pojąć, jak Fantus zdołał ich odszukać. Stwór wprowadził się natychmiast do namiotu maga, szczęśliwy, że może spać przy ciepłym boku Puga i podkradać jedzenie mimo czujności Meechama.

* * *

Kulgan ściągał ociekający wodą płaszcz. Pug usiadł na posłaniu.

— Planowany jest wypad na głębokie tyły Tsuranich. Trzeba się będzie przebić przez ich linie i dotrzeć do doliny, której tak skrupulatnie strzegą, aby się dowiedzieć, co tam knują. Ty i Meecham idziecie ze mną. Wolę, aby moje flanki i tyły osłaniali przyjaciele.

Wiadomość podekscytowała Puga. Meecham spędził długie godziny, ucząc go posługiwania się mieczem i tarczą. Wróciły stare sny o żołnierce.

— Pilnowałem, aby mój miecz był zawsze ostry, Kulgan.

Meecham parsknął przez nos, co pewnie miało oznaczać śmiech w jego wydaniu. Kulgan spojrzał na niego ostrym wzrokiem.

— To dobrze, Pug. Jeżeli jednak będziemy mieli odrobinę szczęścia, może uda się uniknąć walki. Podłączymy się naszym małym oddziałkiem do dużej grupy. Atakując Tsuranich, ściągnie ich uwagę na siebie, my zaś zapuścimy się błyskawicznie w głąb ich terytorium i podpatrzymy, co skrywają. Potem równie szybko powrócimy. Dziękuję bogom, że Tsurani nie mają koni. W przeciwnym razie nigdy by nam się nie udało zrealizować tego śmiałego zamiaru. Przemkniemy przez ich teren, zanim się zorientują, że w ogóle tam byliśmy.

— Może byśmy wzięli jeńca? — zapytał z nadzieją w głosie chłopiec.

— No, to byłaby miła niespodzianka — powiedział Meecham. — Tsurani udowodnili, że są zawziętymi wojownikami i że wolą raczej umrzeć, niż dostać się do niewoli.

— Może udałoby się w końcu dowiedzieć, po co w ogóle przybyli na Midkemię — ciągnął dalej swą myśl Pug.

Kulgan zamyślił się.

— Bardzo niewiele wiemy o Tsuranich i nie bardzo ich rozumiemy. Na przykład, gdzie znajduje się miejsce, z którego przybyli? Jak pokonują granicę pomiędzy swoim światem a naszym? I jak słusznie zauważyłeś, chłopcze, pozostaje oczywiście pytanie najbardziej niepokojące ze wszystkich: po co tu przybyli? Dlaczego dokonali inwazji na nasze ziemie?

— Metal!

Kulgan i Pug obejrzeli się na Meechama, który wcinał gulasz, nie spuszczając ani na chwilę czujnego wzroku z Fantusa.

— Nie posiadają żadnych metali i chcą zdobyć nasze.

Kulgan i chłopiec patrzyli nadal pustym wzrokiem.

Pokręcił głową.

— Wydawało mi się, że już dawno do tego doszliście, więc nic nie mówiłem. — Odstawił na bok miskę z mięsem, sięgnął za siebie i wyciągnął spod posłania jasnoczerwoną strzałę. — Pamiątka — powiedział, podsuwając bliżej strzałę, aby mogli się jej przyjrzeć. — Spójrzcie na grot. Jest zrobiony z tego samego materiału co ich miecze, jakiś rodzaj drewna utwardzonego prawie na stal. Przejrzałem wiele przedmiotów przyniesionych przez żołnierzy i nie znalazłem ani jednej rzeczy wykonanej przez Tsuranich, która miałaby chociaż drobinę metalu w sobie.

Kulgan zaniemówił na moment z oszołomienia. Po chwili odzyskał mowę.

— Oczywiście! Przecież to takie proste. Odkryli sposób, w jaki mogą się przemieszczać pomiędzy swoim światem a naszym, wysłali zwiadowców, którzy odkryli ziemie bogate w metale, których im brakuje. Co robią? Oczywiście wysy-

łają armię. Wyjaśnia to również, dlaczego trzymają się wysoko położonych dolin w górach, a nie schodzą niżej do lasów. Dzięki temu mają swobodny dostęp do… kopalni Krasnoludów!

Podskoczył do góry z wrażenia.

— Muszę natychmiast poinformować obu Książąt. Trzeba bezzwłocznie powiadomić Krasnoludy, aby miały się na baczności przed najazdem na kopalnie.

Kulgan zniknął po drugiej stronie zasłony przy wyjściu. Pug siedział zadumany. Po chwili spojrzał na Meechama.

— Meecham, dlaczego nie próbowali z nami handlować?

Meecham pokręcił głową.

— Tsurani? Na podstawie tego, co widziałem, głowę daję, że myśl o handlu ani na sekundę nie zaświtała im w umyśle. To bardzo wojowniczo nastawiony naród. Te bękarty biją się jak stado demonów. Gdyby mieli kawalerię, przepędziliby tę naszą zbieraninę w okamgnieniu do LaMut, a potem spalili razem z miastem. Gdyby jednak udało się nam ich wyczerpać tak, jak to robi buldog, który się wczepia zębami i nie puszcza, aż przeciwnik się zmęczy, może po pewnym czasie doprowadzilibyśmy do pomyślnego końca. Spójrz tylko, co się przydarzyło Keshowi. Stracili połowę Bosanii na północy na rzecz Królestwa jedynie dlatego, że Konfederacja po prostu wyczerpała ich siły, wzniecając na południu jedno powstanie za drugim.

Po pewnym czasie Pug przestał liczyć na wczesny powrót Kulgana, zjadł samotnie kolację i przygotował sobie posłanie. Meecham zrezygnował z pilnowania jedzenia maga przed zakusami smoka i też udał się na spoczynek.

Pug leżał w ciemności, wpatrując się w dach namiotu i wsłuchując się w miarowe bębnienie kropel deszczu oraz radosne mlaskanie smoka. Po chwili zapadł w sen i przyśnił mu się mroczny tunel i migotliwe światełko znikające w jego głębi.

* * *

Kolumna posuwała się powoli przez las. Otaczały ich wysokie, grube drzewa i mgła ciężka od wilgoci. Przednie straże przeczesywały nieustannie teren wzdłuż trasy przemarszu sprawdzając, czy Tsurani nie przygotowali zasadzki. Blade słońce z trudem przebijało się przez korony drzew. Wszystko dookoła było szarawozielone, a widoczność ograniczona do zaledwie paru kroków.

Na czele kolumny jechał młody kapitan armii LaMut, Vandros, syn starego barona LaMut. Vandros był jednym z najrozsądniejszych i najzdolniejszych oficerów w całej armii Brucala.

Tworzyli dwójki. Pug jechał obok żołnierza, tuż za Kulganem i Meechamem. Od czoła kolumny przyszedł rozkaz zatrzymania się. Pug ściągnął wodze konia i zsiadł. Na lekkim, skórzanym kaftanie miał dobrze naoliwioną kolczugę, a na wierzchu krótki płaszcz wojsk LaMut, ozdobiony na piersi szarą wilczą głową otoczoną niebieskim kręgiem. Grube, wełniane spodnie wepchnięte były w buty z wysokimi cholewami. Na lewym ramieniu wisiała tarcza, a u pasa miecz. Czuł się jak prawdziwy żołnierz. Harmonijny wygląd całości psuł trochę za duży hełm, co sprawiało, że wyglądał odrobinę komicznie.

Kapitan Vandros podjechał do stojącego Kulgana. Zsiadł z konia.

— Zwiadowcy wypatrzyli obóz niecały kilometr przed nami. Mówią, że straże ich nie spostrzegły.

Kapitan wyciągnął mapę.

— Jesteśmy mniej więcej w tym miejscu. Poprowadzę moich ludzi do ataku na pozycje wroga. Z obu flank wspomoże nas kawaleria z Zun. Wy pojedziecie z kolumną, którą będzie dowodził porucznik Garth. Przejedziecie przez obóz wroga. Nie zatrzymujcie się. Jedźcie dalej, w stronę gór. Spróbujemy dołączyć do was, jeżeli zdołamy. Gdybyśmy nie pojawili się do zachodu słońca, radźcie sobie sami. Jedźcie cały czas przed siebie, nawet powoli, ale jedźcie. Starajcie się wycisnąć z koni jak najwięcej, ale nie zagońcie ich na śmierć. Muszą przeżyć. Mając je, zawsze prześcigniecie obcych, na piechotę… nie dam za was złamanego grosza. Tsurani biegają jak wściekłe bestie. Kiedy już znajdziecie się w górach, przejedźcie przez przełęcz. Do doliny możecie wjechać godzinę po zachodzie słońca. Północna Przełęcz zostanie zaatakowana o wschodzie słońca, więc jeżeli uda wam się dotrzeć bezpiecznie do doliny, nie powinniście napotkać prawie żadnego oporu między wami a Północną Przełęczą. Kiedy już będziecie w dolinie, nie wolno wam zatrzymywać się pod żadnym pozorem. Jeżeli ktoś spadnie z konia, musicie go zostawić. Celem misji jest zdobycie i dostarczenie informacji dla dowództwa. Spróbujcie teraz trochę odpocząć. To wasza ostatnia szansa na odpoczynek w najbliższym czasie. Za godzinę atakujemy.

Odprowadził konia na czoło kolumny. Kulgan, Meecham i Pug usiedli. Nie odzywali się ani słowem. Mag nie nosił żadnej zbroi, ponieważ, jak twierdził, zakłócałoby to działanie jego magii. Pug był skłonny przypuszczać, że kłóciłoby się to raczej z jego obwodem w pasie. Meecham, jak wszyscy, miał przypasany miecz u boku, lecz oprócz tego również krótki, kawaleryjski łuk. Twierdził, że woli łucznictwo od bezpośredniego starcia, chociaż Pug wiedział dobrze z wielu godzin lekcji, których Meecham mu udzielił, że walka mieczem to dla niego nie pierwszyzna.

Godzina oczekiwania wlokła się niemiłosiernie. Pug czuł rosnące napięcie i podniecenie. Gdzieś w środku kołatały się w nim jeszcze chłopięce marzenia o bohaterskich czynach. Zapomniał już, jak był przerażony w czasie walki z Mrocznym Bractwem, zanim dotarli do Szarych Wież.

Wzdłuż kolumny nadszedł kolejny rozkaz. Dosiedli koni. Z początku jechali bardzo powoli, aż do chwili, kiedy ujrzeli przed sobą Tsuranich. Drzewa przerzedziły się. Konie nabierały coraz większej szybkości, a kiedy dotarli do wolnej przestrzeni, przeszły w wyciągnięty galop. Wysokie okopy Tsuranich miały służyć jako obrona przeciwko jeździe. Pug zobaczył z oddali kolorowe hełmy Tsuranich biegnących na pozycje. W chwili ich ataku na sąsiednie obozy natarła równocześnie jazda z Zun. Pośród drzew poniósł się szczęk broni i wrzawa bitewna.

Galopowali prosto na obóz wroga. Ziemia drżała pod kopytami rumaków, tętniąc jak przeciągły grzmot zbliżającej się burzy. Żołnierze Tsuranich pozostali ukryci za wałem ziemnym, szyjąc z łuków, jednak większość strzał nie docierała do celu, opadając wcześniej na ziemię. Kiedy pierwsza część kolumny dotarła do okopów, jej druga, tylna część gwałtownie skręciła w lewo, galopując pod kątem wzdłuż obozu. Kilku żołnierzy wroga znajdowało się w tym miejscu po drugiej stronie okopów i ci zostali rozniesieni na kopytach, padając na ziemię jak zboże pod ostrzem kosy. Dwaj Tsurani dotarli na tyle blisko, aby zadać cios ogromnymi, dwuręcznymi mieczami, którymi wywijali nad głową. Nie trafili. Meecham, kierując konia kolanami, zwalił obu na ziemię błyskawicznymi strzałami z łuku.

Ponad wrzawą bitwy Pug usłyszał za plecami przeraźliwy kwik konia. Jego własny wierzchowiec wpadł w tym momencie w gęste poszycie. Znaleźli się w lesie. Gnali najszybciej, jak mogli, łamiąc po drodze krzaki i mniejsze drzewa, schylając się ustawicznie, aby przemknąć pod nisko zwieszonymi gałęziami. Otoczenie zlało się w tym pędzie w rozmazany pas brązów i zieleni.

Galopowali, nie zmniejszając tempa przez prawie pół godziny. Potem zwolnili trochę, aby dać wytchnienie wierzchowcom. Kulgan krzyknął do porucznika Gartha. Zatrzymali się, aby sprawdzić swoją pozycję na mapie. Stwierdzili, że jeżeli będą szli powoli przez pozostałą część dnia i noc, powinni znaleźć się u wylotu przełęczy tuż przed świtem.

Klęczeli nad mapą rozłożoną na ziemi. Meecham rozejrzał się ponad głowami Kulgana i porucznika.

— Znam to miejsce. Polowałem w tych okolicach jako chłopiec, kiedy mieszkałem koło Hush.

Pug spojrzał na niego zaskoczony. Po raz pierwszy Meecham wspomniał cokolwiek o swojej przeszłości. Pug zawsze sądził, że Meecham pochodził z Crydee, i zdziwił się, kiedy usłyszał, że młodość spędził w Wolnych Miastach, chociaż z drugiej strony, z trudnością mu przychodziło wyobrażenie sobie Meechama jako chłopca.

— Wzdłuż grani, tam w górze — mówił dalej Meecham — jest ścieżka, która wiedzie między dwoma niższymi szczytami. Właściwie nawet nie ścieżka, tylko szlak kozic, jeżeli jednak poprowadzimy tamtędy konie przez całą noc, to przed świtem powinniśmy być w dolinie. Trudno odnaleźć to przejście z tej strony, jeżeli

się nie wie, gdzie szukać. Od strony doliny to prawie niemożliwe. Założę się, że Tsurani nic o tym szlaku nie wiedzą.

Porucznik spojrzał pytająco na Kulgana, a ten z kolei na Meechama.

— Warto spróbować. Możemy oznakować nasz szlak dla Vandrosa. Jeżeli będziemy szli powoli, może uda mu się nas dogonić, zanim dotrzemy do doliny.

— W porządku — powiedział porucznik. — Naszą największą przewagą jest ruchliwość, więc ruszajmy dalej. Meecham, w którym miejscu wyjdziemy?

Meecham pochylił się nad porucznikiem i wskazał miejsce na mapie w pobliżu południowego wylotu doliny.

— Tutaj. Jeżeli pojedziemy przez jakieś pół mili prosto na zachód i ostro skręcimy na północ, przejedziemy przez samo serce doliny. — Mówiąc wodził palcem po mapie. — Dolina jest porośnięta lasami głównie na północy i południowym krańcu. W środku jest ogromna łąka. Jeżeli rozbili duży obóz, to na pewno właśnie tam. To prawie zupełnie otwarta przestrzeń, więc jeżeli obcy nie wymyślą czegoś niespodziewanego, powinno nam się udać przejechać tuż koło ich obozu, zanim zorganizują obronę, aby nas zatrzymać. Cała sztuczka polega na tym, aby przedrzeć się przez lasy w północnej części, jeżeli mają tam jakieś placówki. Gdy to się uda, dalej jest już otwarta i prosta droga do Północnej Przełęczy.

— Wszystko ustalone? — spytał porucznik.

Kiedy nikt się nie odezwał, rozkazał poprowadzić konie za wodze. Meecham szedł na przedzie, wskazując drogę.

Dotarli do wylotu niewielkiej przełęczy czy też, jak mówił Meecham, szlaku kozic, na godzinę przed zachodem słońca. Porucznik wystawił posterunki i rozkazał rozsiodłać konie. Pug wytarł swego wierzchowca pękiem wysokiej, górskiej trawy, a potem przywiązał na długiej lince do palika wbitego w ziemię. Trzydziestu żołnierzy kręciło się po obozie, zajmując się końmi i uzbrojeniem. Pug wyczuwał napięcie. Galop wokół obozu Tsuranich wprowadził żołnierzy w stan najwyższej gotowości. Z niecierpliwością wyczekiwali walki.

Meecham pokazał Pugowi, jak należy owinąć pasami oddartymi z żołnierskiego koca miecz i tarczę, żeby nie obijały się o skały.

— Koce i tak nie będą nam potrzebne dzisiejszej nocy, chłopcze, a żaden dźwięk nie niesie się w górach lepiej niż metal uderzający o metal. Może z wyjątkiem stukotu kopyt na kamieniach.

Pug przyglądał się z uwagą, jak Meecham zakłada na końskie kopyta, specjalnie przygotowane na taką okazję i niesione w torbach, skórzane „buty". Słońce zaczęło chować się za horyzont. Pug odpoczywał czekając, aż krótki, wiosenny zmierzch przejdzie w noc i padnie rozkaz, aby ponownie osiodłać konie.

Osiodłali konie i ustawili się w długim szeregu. Meecham i porucznik szli wzdłuż linii, powtarzając jeszcze raz rozkazy i instrukcje. Mieli iść jeden za drugim. Pochód otwierał Meecham, za nim szedł porucznik. Przez lewe strzemiona wszystkich wierzchowców przeciągnęli kilka długich linek związanych razem.

Każdy, prowadząc swego konia za uzdę, trzymał się mocno liny. Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca, Meecham ruszył.

Ścieżka wznosiła się stromo i w kilku miejscach konie wspinały się z trudem. Szli w ciemności bardzo powoli, starając się nie zboczyć ze szlaku. Meecham zatrzymywał kilkakrotnie pochód, aby sprawdzić teren przed nimi. Po kilku takich postojach ścieżka poprowadziła ich wąskim kanionem pomiędzy stromymi zboczami, aby po chwili opaść w dół. Po kolejnej godzinie rozszerzyła się. Zatrzymali się na odpoczynek. Dwóch żołnierzy pod przewodnictwem Meechama ruszyło do przodu na zwiad. Reszta, wyczerpana długim marszem, rzuciła się na ziemię, aby dać odpocząć nogom. Pug zdał sobie po chwili sprawę, że zmęczenie było spowodowane zarówno wspinaczką, jak i napięciem towarzyszącym cichemu, nocnemu marszowi, chociaż oczywiście nie przyniosło to ulgi jego obolałym nogom.

Po bardzo krótkim wypoczynku znowu ruszyli. Pug brnął przed siebie. Zmęczenie przytępiło jego umysł do tego stopnia, że świat skurczył się do nie mającego końca podnoszenia jednej stopy i stawiania jej przed drugą. Cały czas trzymał się kurczowo linki przywiązanej do strzemienia. Kilka razy wyczuł, że jest po prostu ciągnięty przez idącego przed nim konia.

Nagle zdał sobie sprawę, że kolumna zatrzymała się. Stali u wylotu niewielkiego wąwozu pomiędzy dwoma wzgórzami. Przed nimi, w odległości kilkuminutowej jazdy w dół zbocza, rozciągała się dolina.

Kulgan cofnął się wzdłuż kolumny do miejsca, gdzie Pug stał przy swoim koniu. Potężny mag sprawiał wrażenie, jakby wspinaczka w ogóle go nie zmęczyła. Pug zastanawiał się przez moment, jakie to stalowe mięśnie muszą się kryć pod warstwami tłuszczu.

— Jak się czujesz, Pug?

— Jakoś przeżyję, ale następnym razem, jeżeli ci to nie zrobi różnicy, wolałbym jechać na grzbiecie konia.

Mówili ściszonymi głosami, ale mag i tak zachichotał pod nosem.

— Doskonale cię rozumiem. Zatrzymamy się tutaj aż do pierwszego brzasku, niecałe dwie godziny. Prześpij się. Czeka nas jeszcze długa i ciężka jazda.

Chłopiec przytaknął i bez słowa położył się na ziemi. Pod głowę, zamiast poduszki, podłożył tarczę i zanim mag zdążył zrobić dwa kroki, spał już twardym snem. Nawet nie drgnął, kiedy nadszedł Meecham i zdjął z kopyt jego konia skórzane „buty”.

* * *

Puga obudziło delikatne szarpanie za ramię. Czuł się tak, jakby zamknął oczy dopiero przed chwilą. Meecham przykucnął przed nim, trzymając coś w wyciągniętej ręce.

— Masz, chłopcze. Zjedz.

Pug przyjął zaofiarowane jedzenie — kawał miękkiego chleba o orzechowym zapachu. Po dwóch kęsach poczuł się znacznie lepiej.

— Wsuwaj szybko, za kilka minut ruszamy.

Meecham wstał i podszedł do maga i porucznika stojących przy koniach. Pug dokończył jeść i wsiadł na konia. Ból w nogach ustąpił i kiedy tylko znalazł się w siodle, już chciał jechać dalej.

Porucznik zwrócił konia przodem do reszty oddziału.

— Pojedziemy na zachód, potem, na moją komendę, skręcamy ostro na północ. Podejmować walkę tylko w razie ataku. Jedynym zadaniem naszego wypadu jest zdobycie informacji o Tsuranich. Jeżeli ktoś padnie, nie możemy się zatrzymywać. Jeżeli ktoś oddzieli się od reszty, niech sobie radzi, jak umie. Starajcie się zapamiętać jak najwięcej z tego, co zobaczycie, bo może się tak zdarzyć, że będziecie jedynymi, którzy dotrą z powrotem z wiadomościami do Książąt. Niech bogowie mają nas w swojej opiece.

Kilku żołnierzy wzniosło krótkie modlitwy do paru różnych bogów, głównie boga wojny, Titha. Po chwili ruszyli. Kolumna zjechała ze wzgórza. Znaleźli się na równinie. Wschodzące za plecami słońce obrysowało światłem zarys gór, zalewając krajobraz przed nimi różową poświatą. Przekroczyli niewielki strumień u podnóża wzgórz i wjechali w wysoką trawę doliny. Daleko przed nimi wznosiła się kępa drzew. Patrząc na północ, widzieli następną. Północny kraniec doliny zasnuty był dymami z ognisk obozowych. Zatem są tam, pomyślał Pug, i sądząc po ilości dymu, musi być ich całkiem sporo. Miał cichą nadzieję, że Meecham nie pomylił się i że wszyscy obozują na otwartej przestrzeni, gdzie żołnierze Królestwa mieli niezłe szanse, aby ich prześcignąć.

Po pewnym czasie porucznik podał wzdłuż kolumny rozkaz i skręcili na północ. Kłusowali spokojnie, oszczędzając siły koni do czasu, kiedy od wielkiej szybkości będzie zależało ich życie.

Pugowi wydało się przez moment, że ujrzał kolorowy błysk w kępie drzew przed nimi, kiedy zbliżali się do południowego pasa lasu w dolinie, lecz nie był do końca pewien. Wjechali w las i wtedy spomiędzy drzew rozległ się krzyk.

— Zobaczyli nas! — zawołał porucznik. — Ruszamy galopem. Trzymać się blisko siebie.

Spiął konia ostrogą i po chwili długi wąż jeźdźców mknął w grzmocie kopyt przez las. Pug zauważył, że konie na czele kolumny skręcają w lewo. Zobaczył przed nimi otwierającą się wolną przestrzeń. Skierował konia w tym samym kierunku. Mknęli pomiędzy drzewami. Głosy Tsuranich były coraz bliżej i bliżej. Starał się przebić wzrokiem panujący pod koronami drzew półmrok. Modlił się w duchu, żeby jego koń widział lepiej niż on, bo w przeciwnym razie wyląduje wprost na drzewie.

Szybki wierzchowiec, wyszkolony do działań wojennych, pomykał zwinnie między drzewami. To tu, to tam chłopiec dostrzegał kolorowe błyski. Żołnierze Tsuranich pędzili przez las, aby przeciąć drogę galopującej kolumnie, ale ponieważ musieli kluczyć w gęstym lesie, nie nadążali. Cwałowali szybciej niż Tsurani zdołali przekazywać wiadomość pomiędzy swoimi liniami i reagować na nią. Pug zdawał sobie sprawę, że przewaga uzyskana dzięki zaskoczeniu nie mogła trwać w nieskończoność. Czynili zbyt wiele hałasu, aby wróg nie mógł się zorientować, co się święci.

Po szalonym cwale na łeb, na szyję wypadli na następną łączkę, gdzie czekał na nich w pogotowiu szereg Tsuranich. Jeźdźcy zaatakowali i większość obrońców rozpierzchła się, by uniknąć stratowania. Nie wszyscy jednak. Jeden z żołnierzy wroga dotrzymał pola nacierającym i mimo malującego się na twarzy przerażenia zamachnął się niebieskim dwuręcznym mieczem. Koń kwiknął głośno, kiedy ostrze miecza obcięło mu prawą nogę. Jeździec wyleciał z siodła. Pug przemknął obok, tracąc z oczu potyczkę.

Ponad jego ramieniem śmignęła strzała, bzycząc jak rozwścieczona osa. Przywarł do grzbietu konia, chcąc stanowić dla łuczników Tsuranich jak najmniejszy cel. Kątem oka spostrzegł, jak jeden z jadących przed nim żołnierzy wali się w pędzie na ziemię. Między jego łopatkami sterczała czerwona strzała.

Po chwili wyjechali poza zasięg rażenia łuków. Cwałowali wprost na ziemny wał usypany w poprzek starej drogi wiodącej do kopalń na południu. Poza nim roiły się setki jaskrawo odzianych sylwetek. Porucznik dał im znak ręką, aby objechali okopy od zachodu.

Kiedy tylko żołnierze wroga zorientowali się, że jeźdźcy nie mają zamiaru atakować, lecz chcą ominąć ich stanowiska, na koronę wału wysypało się kilku łuczników, którzy pędzili, aby przeciąć im drogę. Kiedy jeźdźcy wjechali w zasięg rażenia, powietrze napełniło się czerwonymi i błękitnymi strzałami. Pug usłyszał kwik trafionego konia, lecz nie zobaczył ani wierzchowca, ani jeźdźca.

Cwałowali dalej i po chwili wypadli poza zasięg strzał. Wjechali w gęstą kępę drzew. Porucznik ściągnął na moment konia.

— Od tego miejsca prosto na północ! — wrzasnął. — Jesteśmy już prawie na łące, gdzie nie będzie żadnej osłony. Szybkość jest waszym jedynym sprzymierzeńcem. Kiedy dostaniecie się do lasów po północnej stronie, nie zatrzymujcie

się. Jedźcie dalej. Nasze siły powinny przełamać tam ich linie obrony i jeśli uda się przejechać przez las, jesteśmy uratowani.

Z opisu Meechama wynikało, że las w tamtym miejscu ma jakieś trzy, cztery kilometry szerokości. Za nim rozciągało się około pięciu kilometrów otwartej przestrzeni aż do wylotu Północnej Przełęczy.

Zwolnili tempo, aby dopóki było można, dać wypocząć koniom. Daleko z tyłu widzieli maleńkie figurki biegnących za nimi Tsuranich, którzy nie mieli jednak szans na ich doścignięcie. Pug patrzył na zbliżające się z każdą minutą drzewa. Nieomal czuł na sobie oczy ukrytych tam wrogów, obserwujących ich, czekających na nich.

— Gdy tylko znajdziemy się w zasięgu ich strzał, ruszamy pełnym galopem! — krzyknął porucznik.

Pug zobaczył, że żołnierze wyciągają miecze z pochew i wyjmują łuki. Chłopiec także miał w pogotowiu swój miecz i trzymając go trochę niezdarnie i kurczowo w prawej dłoni, jechał w stronę linii drzew.

Niespodziewanie powietrze wypełniło się strzałami. Pug poczuł, że jedna z nich musnęła mu hełm. Mimo że nie było to trafienie wprost, aż odrzuciło mu głowę do tyłu, a oczy wypełniły się łzami. Wbił ostrogi w boki konia i na oślep rzucił się do przodu, mrugając oczami, aby odzyskać ostrość widzenia. Lewą rękę miał zajętą tarczą, a prawą mieczem, więc zanim zaczął normalnie widzieć, wpadł już pomiędzy drzewa. Wytrenowany wierzchowiec reagował wspaniale na ucisk kolan i łydek i przemykał w labiryncie pni.

Spoza drzewa wyskoczył nagle ubrany na żółto żołnierz Tsuranich i zamachnął się na Puga. Chłopiec odparował cios tarczą, aż zdrętwiało mu lewe ramię. Ciął z góry, lecz tamten odskoczył w ostatniej chwili i Pug chybił. Zanim Tsurani zdołał wyprowadzić kolejny cios, Pug dał koniowi ostrogę i uciekł. Wszędzie dookoła niego las rozbrzmiewał odgłosami walki. Chłopiec z trudnością dostrzegał pomiędzy drzewami sylwetki innych jeźdźców.

Kilka razy stratował usiłujących zastąpić mu drogę Tsuranich. W pewnym momencie jakiś żołnierz usiłował schwycić konia za wodze. Pug z całej siły ciął mieczem w garnkowaty hełm i Tsurani zataczając się padł na ziemię. Chłopcu wydawało się, że wszyscy uczestniczą w jakiejś koszmarnej i wściekłej zabawie w chowanego z żołnierzami Tsuranich wyskakującymi co chwila zza drzew.

Poczuł ostry ból w prawym policzku. Gnając przez las, dotknął policzka wierzchem prawej dłoni, w której trzymał miecz. Poczuł wilgoć. Odsunął rękę i na palcach zobaczył krew. Przyjrzał się z ciekawością, jakby to go nie dotyczyło, w ogóle nie słyszał świstu strzały, która go zraniła.

Jeszcze dwukrotnie rozjechał zastępujących mu drogę Tsuranich. Jego przygotowany do bitwy wierzchowiec po prostu uderzał we wroga piersią, odrzucając go daleko w bok. Las niespodziewanie skończył się i Pug wypadł na otwartą przestrzeń. Na moment wstrzymał konia, aby dokładniej przyjrzeć się temu, co

ujrzał przed sobą. Niecałe sto metrów na zachód od miejsca, gdzie wypadł z lasu, wznosiła się ogromna konstrukcja. Miała około stu metrów długości. Na obu jej krańcach wznosiły się w niebo drewniane tyki o wysokości około sześciu, siedmiu metrów. Wokół stało kilku ludzi, pierwsi Tsurani bez zbroi, których Pug widział. Ci w czarnych szatach nie mieli przy sobie żadnej broni. W powietrzu pomiędzy tykami wisiała migotliwa mgiełka przesłaniająca krajobraz poza nią, taka sama, jaką widział w pokoju Kulgana. Z mgiełki wyłaniał się właśnie wóz ciągnięty przez dwa szare, przysadziste, sześcionożne stwory poganiane przez dwóch żołnierzy w czerwonych zbrojach. Za urządzeniem stało już kilka innych wozów, a poza nimi na trawie pasło się kilka dziwacznych stworów.

Tuż za dziwnym urządzeniem rozciągał się na łące ogromny obóz Tsuranich z niezliczoną liczbą namiotów. Na wysokich masztach powiewały na wietrze dziwne sztandary i proporce w jaskrawych kolorach. Unoszący się ponad licznymi ogniskami ostro pachnący dym, niesiony wiatrem, gryzł w oczy. Spomiędzy drzew wypadali kolejni jeźdźcy. Pug spiął konia i popędził, oddalając się skosem od dziwnego urządzenia. Sześcionożne bestie podniosły łby i leniwie odsunęły się na bok. Włożyły w to minimum energii, tylko tyle, ile było trzeba, aby zejść odrobinę z drogi nadciągającym jeźdźcom.

Jeden z mężczyzn odzianych w czarną szatę zaczął biec w stronę galopujących żołnierzy Królestwa. Zatrzymał się i kiedy nadbiegli, odsunął się lekko na bok. Pug zdążył zauważyć przez ułamek sekundy jego gładko ogoloną twarz. Usta poruszały się, a oczy wpatrzone były w coś poza Pugiem. Usłyszał krzyk i obejrzał się przez ramię. Na ziemi leżał rozciągnięty jeden z ich żołnierzy, a jego koń stał jak wmurowany w ziemię. Kilku żołnierzy Tsuranich rzuciło się na leżącego. Pug odwrócił głowę. Minął dziwną konstrukcję i jeszcze raz obejrzał się. Zobaczył kilka niewidocznych do tej pory jasnych namiotów rozbitych po lewej stronie. Droga przed nim była wolna.

Chłopiec spostrzegł cwałującego nieopodal Kulgana. Ściągnął wodze swego wierzchowca i podjechał bliżej maga. W odległości trzydziestu metrów po prawej jechali kolejni jeźdźcy. Kulgan krzyknął coś do Puga, ale — w pędzie — chłopiec nie zrozumiał. Mag wskazał na swój policzek, a potem na Puga. Pytał o samopoczucie chłopca. Pug pokiwał mieczem i uśmiechnął się. Mag także odpowiedział szerokim uśmiechem.

Niespodziewanie gdzieś od przodu usłyszeli głośny, brzęczący dźwięk wypełniający powietrze. Tuż przed nimi pojawiła się nagle, nie wiadomo skąd, czarno ubrana postać. Koń Kulgana ruszył prosto na obcego, ten jednak nie odskoczył, lecz wymierzył w stronę maga dziwnie wyglądające urządzenie.

Powietrze zasyczało, jak przy wyładowaniu pioruna. Koń maga kwiknął i padł jak sparaliżowany na ziemię. Gruby mag przeleciał przez łeb konia, lecz nim uderzył o ziemię, zdołał podwinąć pod siebie prawe przedramię. Z zadziwiają-

cą zręcznością przeturlał się po trawie, zerwał błyskawicznie na nogi i rzucił się na czarno odzianą postać.

Wbrew rozkazowi nieprzerywania galopu Pug ściągnął wodze wierzchowca i zawrócił. Kulgan siedział okrakiem na piersi wroga. Obaj trzymali się prawymi dłońmi za lewe nadgarstki. Pug przyjrzał się im uważnie i zrozumiał. Wbijając w siebie wzrok, prowadzili pojedynek siły woli. Kulgan wyjaśniał kiedyś chłopcu arkana sztuki posługiwania się tą dziwną mocą umysłu. W czasie takiego pojedynku jeden mag mógł przymusić wolę drugiego do uległości, wymagało to jednakże ogromnej koncentracji i było dla jego uczestników niezwykle niebezpieczne. Pug zeskoczył z konia i podbiegł do walczących. Płaską stroną klingi miecza uderzył w skroń czarnej postaci. Ciało maga Tsuranich zwiotczało i legł on bez czucia na ziemi.

Kulgan wstał, chwiejąc się na nogach.

— Dziękuję, Pug. Chyba bym go nie pokonał. Jeszcze nigdy nie zetknąłem się z tak wielką siłą woli. Spojrzał na leżącego w drgawkach konia.

— Nic z niego nie będzie. Słuchaj uważnie, chłopcze, bo będziesz musiał zanieść tę wiadomość księciu Borricowi. Z tempa, w jakim sprowadzili wóz przez śluzę, oceniam, że są w stanie sprowadzić do nas dziennie kilkuset ludzi, a być może znacznie więcej. Powiedz Księciu koniecznie, że próba zaatakowania i opanowania maszyny to czyste samobójstwo. Ich magowie są zbyt potężni. Nie będziemy w stanie zniszczyć urządzenia, które podtrzymuje otwarcie w przestrzeni. Gdybym miał trochę czasu, aby przyjrzeć się temu z bliska i zastanowić… Powiedz mu, że koniecznie musi wezwać posiłki z Krondoru, a być może nawet ze wschodu.

Pug chwycił Kulgana mocno za ramię.

— Nie zapamiętam wszystkiego. Pojedziemy razem na moim koniu.

Kulgan zaczął protestować, ale był zbyt wyczerpany i słaby, aby stawić chłopcu opór. Pug ciągnął go w stronę wierzchowca. Nie zważając na protesty maga, zmusił go do wdrapania się na siodło. Pug dostrzegł zmęczenie zwierzęcia i zawahał się przez ułamek sekundy. Podjął decyzję.

— Kulgan, koń jest zbyt wyczerpany, aby ponieść nas obu. Nie da rady! — krzyknął i uderzył zad konia otwartą dłonią.

— Znajdę sobie innego.

Jego wierzchowiec z Kulganem w siodle pogalopował przed siebie. Pug rozejrzał się dookoła. O kilka metrów od niego błądził bezpański koń. Pug podszedł do niego, lecz zdenerwowane zwierzę spłoszyło się i odskoczyło o parę kroków. Pug zaklął pod nosem. Odwrócił się i zauważył, że noszący czarną szatę Tsurani odzyskał przytomność i z trudem wstaje. Wodził dookoła błędnym wzrokiem i ledwo utrzymywał się na nogach. Pug skoczył na niego. Przyświecała mu tylko jedna myśl, aby pojmać jeńca, a do tego maga Tsuranich. Atak chłopca zaskoczył czarnego i zwalił go na ziemię.

Przerażony cofał się, półleżąc na plecach, przed Pugiem, który zbliżał się z groźnie wzniesionym mieczem. Wyciągnął przed siebie rękę jakby w geście poddania i Pug zawahał się przez chwilę. W tym momencie poczuł, że przez jego ciało przewaliła się fala potwornego bólu. Z trudem utrzymał się na nogach. Stał chwiejąc się. Jak przez mgłę dostrzegł zbliżającą się galopem znajomą postać i usłyszał swoje imię.

Chłopiec potrząsnął głową i ból ustąpił nagle. Zdał sobie sprawę, że cwałujący w jego stronę Meecham będzie w stanie dostarczyć czarnego maga do obozu Księcia, jeżeli uda mu się go zatrzymać. Zapomniał natychmiast o zmęczeniu i bólu. Odwrócił się na pięcie i skoczył na wciąż rozciągniętego na ziemi Tsuraniego. Dostrzegł na jego twarzy strach. Pug usłyszał, jak Meecham wykrzykuje jego imię, ale ani na sekundę nie oderwał wzroku od maga.

W oddali przez łąkę pędziło mu na ratunek kilku żołnierzy Tsuranich, lecz Pug stał tylko o kilka kroków od leżącego, a Meecham był tuż, tuż.

Mag skoczył na równe nogi i sięgnął pod czarną szatę. Wyciągnął jakieś małe urządzenie i włączył je. Rozległ się donośny wibrujący dźwięk. Pug, nie zważając na nic, rzucił się na czarnego, pragnąc wytrącić mu urządzenie z ręki. Dźwięk był coraz głośniejszy. Meecham znowu wykrzyknął jego imię. Pug rąbnął z całej siły barkiem w żołądek czarnego maga. W tej samej sekundzie świat eksplodował oślepiająco białym i błękitnym światłem i Pug poczuł, jak poprzez wszystkie kolory tęczy zapada się w czarną niczym noc czeluść.

* * *

Pug rozchylił powieki. Wszystko, na co spojrzał, migotało i fruwało mu przed oczami. Całym wysiłkiem woli skupił się, aby odzyskać ostrość widzenia. Otworzył szeroko oczy. Było jeszcze ciemno, a migotliwe światło pochodziło z płonących nieopodal obozowych ognisk. Spróbował usiąść, lecz odkrył, że miał związane ręce. Obok siebie usłyszał jęk. W przyćmionym świetle rzucanym przez ogień zobaczył leżącego obok kawalerzystę z LaMut. On też był związany. Twarz, przeciętą ciągnącą się od linii włosów do policzka raną, pokrytą zakrzepłą krwią, skurczył grymas bólu.

Uwagę Puga zwróciła rozmowa prowadzona za nim. Głosy, które słyszał, były przyciszone. Przeturlał się na bok i zobaczył dwóch pilnujących ich wartowników Tsuranich w niebieskich zbrojach. Pomiędzy nimi a Pugiem leżało na ziemi jeszcze kilku jeńców. Strażnicy rozmawiali w swoim dziwnym, melodyjnie brzmiącym języku. Jeden z nich zauważył, że Pug się poruszył i powiedział coś do drugiego wartownika, który skinął głową i szybko odszedł.

Po chwili wrócił w towarzystwie innego żołnierza. Ten miał na sobie czerwono-żółtą zbroję, a hełm zwieńczał ogromny grzebień. Nowo przybyły rozkazał dwom pozostałym, aby podnieśli Puga i postawili na nogi. Szarpnęli nim brutalnie i po sekundzie chłopiec stał. Dowódca podszedł do niego blisko i przyglądał mu się z uwagą. Miał ciemne włosy i szeroko rozstawione, skośnie podniesione do góry oczy, które Pug już przedtem zauważył u martwych żołnierzy Tsuranich. Ten miał płaskie kości policzkowe i szerokie łuki brwiowe z gęstymi, ciemnymi brwiami. W przyćmionym świetle ogniska jego skóra przybierała złocisty odcień.

Gdyby nie niski wzrost, większość Tsuranich mogłaby uchodzić za obywateli którejś z licznych nacji zamieszkujących Midkemię, lecz „złoci", jak ich nazywał Pug na własny użytek, przypominali bardzo wyglądem niektórych handlarzy z Keshu, z dalekiego handlowego miasta Shing Lai, których widział wiele lat temu w Crydee.

Oficer obejrzał dokładnie ubranie Puga. Ukląkł i przyglądał się długo jego butom. Wstał w końcu i szczeknął jakiś rozkaz do żołnierza. Ten zasalutował i odwrócił się do Puga. Złapał go mocno za ramię i poprowadził krętą ścieżką przez obóz.

Wokół wielkiego namiotu w samym środku obozu stały wysokie maszty, z których zwieszały się chorągwie i proporce. Na wszystkich przedstawiono w bardzo jaskrawych kolorach jakieś dziwaczne wzory i sylwetki zwierząt nie z tej ziemi, a na kilku wiły się dookoła hieroglify w nieznanym języku. Do tego właśnie namiotu na wpół wleczono Puga, prowadząc go pośród setek żołnierzy Tsuranich polerujących spokojnie skórzane zbroje i reperujących oręż. Co prawda kilku zerknęło na niego z zaciekawieniem, kiedy przechodził, jednak ogólnie ich obóz, w porównaniu z tym, do czego Pug był przyzwyczajony we własnej armii, był bardzo spokojny i cichy. Pug rozglądał się pilnie dookoła. Poza dziwnymi proporcami i sztandarami było sporo innych szczegółów, które wyraźnie mówiły o pozaziemskim pochodzeniu przybyszów. Na wypadek gdyby udało mu się uciec, chciał zapamiętać jak najwięcej istotnych szczegółów, żeby je potem przekazać księciu Borricowi. Niestety, natłok nieznanych widoków sprawił, że po chwili czuł się zupełnie oszołomiony i zagubiony i zupełnie stracił orientację w tym, co może być istotne, a co nie.

Przy wejściu do dużego namiotu zostali zatrzymani przez dwóch wartowników w czarno-pomarańczowych zbrojach. Po szybkiej wymianie słów jeden z nich odsunął na bok zasłonę przy wejściu, drugi pchnął mocno Puga do środka. Upadł na stos futer i plecionych mat. Spojrzał do góry. Bajecznie kolorowe proporce i chorągwie zwieszały się ze ścian bogato przyozdobionego namiotu. Podłogę wyścielały grube dywany i jedwabne poduszki.

Czyjeś szorstkie ręce postawiły go na nogi. Rozejrzał się. Stał przed kilkoma oficerami Tsuranich ubranymi we wspaniałe zbroje i hełmy z wysokimi grzebieniami na szczycie. Oprócz nich były jeszcze dwie postacie siedzące na podwyż-

szeniu pokrytym bogato zdobionymi poduszkami. Jedną z nich był mag Tsuranich, ubrany w prostą czarną szatę z odrzuconym na plecy kapturem. Miał szczupłą, bladą twarz i zupełnie łysą głowę. Druga postać ubrana była w bogatą, pomarańczową szatę z czarnymi wykończeniami. Dla wygody właściciela szata kończyła się na wysokości kolan, a rękawy tuż za łokciem. Mężczyzna był bardzo silny i miał ogorzałą, poznaczoną licznymi bliznami twarz. Pug wywnioskował, że był to jakiś wielki wojownik, który na ten wieczór zdjął zbroję.

Czarno ubrany Tsurani powiedział coś do pozostałych wysokim, melodyjnym głosem. Nikt nie odezwał się ani słowem, tylko mężczyzna w pomarańczowej szacie skinął głową. Ogromny namiot oświetlały tylko drwa płonące w przenośnym koszu, stojącym na podwyższeniu. Szczupły mag pochylił się do przodu w stronę Puga. Oświetlona ogniem od dołu twarz nabrała demonicznych rysów. Mówił, zacinając się co chwila, z ciężkim akcentem.

— Tylko… mało znam twoją… mowa. Rozumieć?

Pug kiwnął głową. Serce waliło mu jak młotem, a umysł pracował na najwyższych obrotach, jak oszalały. W tym momencie szkoła Kulgana dała znać o sobie. Po pierwsze chłopiec uspokoił się i wyciszył, odzyskując jednocześnie zdolność jasnego, logicznego myślenia. Wytężył wszystkie zmysły, a jego umysł zaczął automatycznie gromadzić wszelkie dostępne dla niego w tej chwili drobiny informacji, selekcjonując je i wybierając te, które mogły w jakiś sposób zwiększyć szanse ocalenia. Żołnierz leżący na poduszkach najbliżej wyjścia sprawiał wrażenie zrelaksowanego i spokojnego. Lewą rękę podłożył sobie dla wygody pod głowę. Pug spostrzegł jednak, że jego prawa dłoń ani na moment nie oddaliła się dalej niż kilka centymetrów od rękojeści groźnie wyglądającego sztyletu zatkniętego za pas. Pojedynczy błysk ognia na wypolerowanej powierzchni ujawnił obecność kolejnego sztyletu, wetkniętego pod poduszkę przy łokciu odzianego w pomarańczową szatę oficera. Czarny mag mówił do niego powoli.

— Słuchaj, bo mam powiedzieć ci coś. Potem zadawał pytania. Jeżeli kłamać, ty umrzeć. Powoli. Rozumieć?

Pug kiwnął głową. Ani przez moment nie wątpił, że tamten mówił serio.

— Ten człowiek — czarny wskazał w tym momencie na mężczyznę w krótkiej, pomarańczowej szacie — być… wielki człowiek. Wysoki człowiek. On być… — W tym miejscu mag użył słowa, którego Pug nie zrozumiał. Chłopiec potrząsnął przecząco głową. — Jego rodzina wielka… Minwanabi. On drugi do… — zająknął się, szukając właściwego określenia. Po chwili zatoczył ręką koło w powietrzu, obejmując gestem wszystkich oficerów w namiocie — człowiek, który prowadzi.

Pug skinął głową i powiedział cicho:

— Twój pan?

Oczy maga zwęziły się w wąskie szparki, jakby chciał zbesztać Puga za to, że odezwał się nie pytany. Po sekundzie opanował się.

— Tak. Pan. Wódz Wojny. To jego wola, że my tutaj być. On jest drugi do Wodza Wojny. — Wskazał znowu na Tsuraniego w pomarańczowej szacie, który patrzył na nich wzrokiem pozbawionym wyrazu. — Ty być nic do tego człowieka.

Mag najwyraźniej niecierpliwił się i denerwował, że nie potrafi wyrazić tego, co chce. Oczywiste było, że wśród Tsuranich ten pan był rzeczywiście kimś bardzo wybitnym i mag tłumacząc chciał to jak najdobitniej przekazać Pugowi.

Odziany na pomarańczowo wódz przerwał magowi ostro i powiedział parę zdań, a potem ruchem głowy wskazał na chłopca. Łysy mag skinął posłusznie głową i zwrócił się do Puga.

— Ty być panem?

Pytanie zaskoczyło Puga. Po chwili wyjąkał, że nie. Mag kiwnął głową, przetłumaczył jego odpowiedź i otrzymał następne pytanie od swego pana. Znowu zwrócił się do Puga.

— Ty nosić ubranie jak pan, prawda?

Pug skinął głową. Materiał jego ubrania był z pewnością świetniejszy niż proste płótno ubrań zwykłych żołnierzy. Usiłował wyjaśnić swoją pozycję członka dworu Księcia. Po kilku próbach zrezygnował, zadowalając się tym, że uznali go za jakiegoś wysoko postawionego sługę.

Mag wziął do ręki coś niewielkiego i podał Pugowi. Chłopiec wahał się przez moment, a potem przyjął przedmiot. Był to niewielki sześcian z materiału wyglądającego jak kryształ poprzecinany różowymi żyłkami. Po paru sekundach kostka rozjarzyła się delikatną różową poświatą. Wódz wydał rozkaz i mag przetłumaczył.

— Ten pan mówi, jak wielu ludzi wzdłuż przełęczy do… — Znowu zabrakło mu słowa i tylko wskazał palcem kierunek.

Pug nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i jaki kierunek mag wskazywał.

— Nie wiem, gdzie jestem. Kiedy zostałem tu przyniesiony, byłem nieprzytomny.

Mag zastanawiał się przez kilka chwil. Wstał.

— W ten kierunek — powiedział, wskazując pod kątem prostym do poprzednio wskazanego kierunku — być wielka góra, większa niż inne. W tamta strona — przesunął lekko ramię — w niebo jest pięć ogni, jakby. — Dłoń zakreśliła w powietrzu kształt. Po sekundzie Pug zrozumiał. Mag Tsuranich wskazywał w kierunku Kamiennej Góry, gdzie na niebie widać było konstelację nazywaną Pięć Klejnotów. Znajdował się więc w dolinie, przez którą galopowali. Wskazywana przełęcz była zaś tą, przez którą mieli się wydostać z doliny.

— Ja… naprawdę nie wiem jak wielu.

Mag przyjrzał się uważnie kryształowemu sześcianowi w dłoni, który nadal gorzał różowym światłem.

— Dobrze, ty mówić prawdę.

Pug zrozumiał, że trzyma w ręku urządzenie, które będzie sygnalizowało tym, którzy go schwytali, czy nie próbuje ich oszukiwać. Ogarnęła go rozpacz. Zrozumiał, że wszelkie nadzieje związane z przeżyciem zostały uzależnione od mniejszej czy większej zdrady ojczyzny.

Mag zadał kilka pytań na temat oddziałów Królestwa wokół doliny. Kiedy większość z nich pozostała bez odpowiedzi z uwagi na to, że Pug nie uczestniczył w strategicznych naradach wojennych, jego pytania skierowały się w stronę bardziej ogólnych zagadnień i dotyczyły bardzo prostych i przyziemnych na Midkemii rzeczy, które jednak najwyraźniej fascynowały Tsuranich.

Przesłuchanie trwało przez kilka godzin. Ogólne wyczerpanie i napięta sytuacja, w której się znalazł, zrobiły swoje i Pug kilka razy zasłabł. Za którymś razem dano mu do wypicia jakiś mocny napój, który przywrócił mu na pewien czas nadwątlone siły, ale od którego jednocześnie zaszumiało mu w głowie.

Odpowiadał na każde pytanie. Kilka razy oszukał urządzenie prawdy, wyjawiając tylko część informacji, o które pytano. Zauważył przy tej okazji rozdrażnienie zarówno wodza, jak i maga, że nie mogą się uporać z odpowiedziami, które nie były kompletne, lub odwrotnie, zbyt złożone. W końcu pan dał znak, że przesłuchanie dobiegło końca i wyciągnięto go na zewnątrz. Mag wyszedł za nim.

Stanął przed Pugiem.

— Mój pan mówi: „Myślę, że ten sługa” — wskazał palcem pierś Puga — „on jest…” — Znowu szukał właściwego słowa. — „On jest sprytny”. Mój pan nic nie mieć przeciw sprytny sługa, bo on dobrze pracować. On jednak myśli, że ty być za bardzo sprytny. On mówi, że ty teraz uważaj, bo ty teraz niewolnik. Sprytny niewolnik może żyć długo. Za bardzo sprytny niewolnik umierać szybko, jeżeli… — Znowu się zatrzymał. Po chwili rozciągnął usta w uśmiechu od ucha do ucha. — …Mieć szczę… szczęście. Tak, to dobre słowo. — Jeszcze raz przesylabizował słowo, jakby delektując się jego smakiem. — Szczęście.

Zaprowadzono Puga do reszty schwytanych i pozostawiono w spokoju z własnymi myślami. Po chwili rozejrzał się. Kilku jeńców ocknęło się. Byli przygnębieni i oszołomieni, a jeden otwarcie płakał. Pug spojrzał w niebo. Na wschodzie, nad zębatym łańcuchem gór ujrzał różową kreskę. Nadchodził świt.

# Rozdział 15

# Konflikty

Deszcz padał bez przerwy.

U wylotu jaskini siedziała zbita ciasno nad maleńkim ogniskiem grupka Krasnoludów. Mieli zatroskane i przygnębione twarze, których wyraz dobrze oddawał nastrój dnia. Dolgan jak zwykle kopcił swoją fajkę. Inni zajmowali się zbroją i orężem, naprawiając rozdarcia i pęknięcia skóry, czyszcząc i oliwiąc metalowe części. Na ogniu bulgotał gulasz.

Tomas siedział w głębi jaskini ze skrzyżowanymi nogami i mieczem opartym na kolanach. Patrzył przed siebie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

Już siedem razy Krasnoludy z Szarych Wież wyruszały przeciwko najeźdźcom i siedem razy wracały, poniósłszy ciężkie straty. Za każdym razem przekonywali się, że liczba Tsuranich nie malała. Wielu Krasnoludów nie było już pośród nich. Wróg drogo zapłacił za ich życie, lecz ich rodziny jeszcze drożej. Krasnoludy, które żyły o wiele dłużej niż ludzie, nie miały tylu dzieci i przychodziły one na świat w większych odstępach czasu. Każda strata przynosiła im zatem więcej szkód, niż ludzie mogli sobie wyobrazić.

Za każdym razem, kiedy Krasnoludy zbierały się w jeden oddział i poprzez kopalnie atakowały dolinę, Tomas biegł w pierwszym szeregu. Jego złocisty hełm płonął jak pochodnia i służył wszystkim Krasnoludom za proporzec bitewny. Złoty miecz wznosił się łukiem ponad kłębowiskiem walczących ciał i opadał, aby pobrać swoją daninę od wroga. Podczas bitwy prosty chłopak z zamku przemieniał się w pełnego potęgi i mocy, walczącego niezmordowanie bohatera, który budził podziw i strach w szeregach Tsuranich. Nawet gdyby miał jakiekolwiek wątpliwości co do magicznych cech swego oręża i zbroi, po tym, jak przegnał zjawę w kopalni, zostały one rozwiane za pierwszym razem, kiedy ruszył z nimi w bój.

Zebrali trzydziestu zdolnych walczyć Krasnoludów z Caldara i tunelami kopalni przedostali się do wyjścia w południowej części, okupowanej przez wroga doliny. Niedaleko kopalni zaskoczyli patrol Tsuranich i wycięli go do nogi. W cza-

sie walki Tomas został odcięty od reszty swoich przez trzech żołnierzy wroga. Kiedy rzucili się na niego z wysoko wzniesionymi nad głowami mieczami, Tomas poczuł, jak nagle coś w niego wstępuje. Niczym ogarnięty szałem akrobata przeskoczył pomiędzy pierwszą dwójką i jednym szerokim cięciem miecza zabił obu. Zanim trzeci zdołał ochłonąć po nagłym i niespodziewanym ruchu chłopaka, leżał już martwy na ziemi po otrzymanym z tyłu ciosie.

Po potyczce ogarnęła go wielka fala ulgi, uczucie zupełnie dla niego nowe i do tej pory nieznane. Przez całą powrotną drogę czuł, że ogarnia go nieznana energia.

Każda kolejna bitwa przynosiła mu tę samą moc i niezrównany kunszt walki. Uczucie ulgi i wyzwolenia, których doznał po pierwszej bitwie, przeradzało się stopniowo w coś bardziej naglącego i silnego. Zaczął doświadczać wizji. Teraz, po raz pierwszy wizje zaczęły przychodzić spontanicznie, niczym nie sprowokowane. Były przezroczyste jak nakładające się na siebie obrazy.

Widział w nich co prawda Krasnoludy, a w tle ścianę lasu, lecz na to nakładał się obraz ludzi dawno odeszłych z tego świata oraz miejsc, które dawno zniknęły już z pamięci żyjących. Ogromne sale przystrojone złotymi ozdobami, oświetlone zatkniętymi w ścianach pochodniami, z rozbłyskami ognia tańczącymi w kryształowych naczyniach na stołach. Złociste puchary nie tknięte ludzką ręką, wznoszone do ust wykrzywionych w przedziwnych uśmiechach. Wielcy władcy i panowie dawno wymarłego ludu biesiadowali przed jego oczami przy suto zastawionych stołach. Byli mu zupełnie obcy i nieznani, a jednak było w nich coś bliskiego. Ludzkie kształty, lecz oczy i uszy jak u Elfów. Wysocy jak mieszkańcy Elvandaru, lecz bardziej rozrośnięci w barach i mocniej zbudowani. Piękne kobiety, lecz ich uroda jakaś inna, dziwna.

Wizja, wyraźniejsza niż te, których doświadczył do tej pory, nabierała treści i kształtów. Tomas wytężał słuch, aby wyłowić dochodzący z oddali śmiech, delikatne dźwięki obco brzmiącej muzyki i słowa wypowiadane przez zgromadzonych za stołem ludzi.

Głos Dolgana wyrwał go brutalnie z marzeń.

— Zjesz coś, chłopcze?

Był w stanie zmobilizować tylko część swojej świadomości, aby zareagować i odpowiedzieć na pytanie. Wstał i przeszedł kilka dzielących ich kroków, by przyjąć zaofiarowaną miskę z mięsem. W chwili, gdy dotknął naczynia, wizja zniknęła. Potrząsnął kilka razy głową, wracając do rzeczywistości.

— Tomas, dobrze się czujesz?

Chłopak usiadł powoli, nie odrywając wzroku od przyjaciela.

— Nie jestem pewien — powiedział z wahaniem w głosie. — Jest coś… Nie… nie jestem pewien. Jestem chyba przemęczony.

Dolgan spojrzał na Tomasa. Na jego młodej twarzy widać było spustoszenia poczynione przez bitwy i potyczki. Już teraz wyglądał bardziej na mężczyznę niż chłopca. Jednak poza zwykłym zahartowaniem charakteru, wynikającym z walki,

w Tomasie zachodziły jeszcze jakieś inne zmiany. Dolgan nie był pewien, czy szły one w dobrym, czy złym kierunku, a nawet czy można je rozpatrywać w tych kategoriach. Sześć miesięcy, w ciągu których obserwował codziennie Tomasa, nie doprowadziło go jeszcze do żadnych jednoznacznych konkluzji.

Kiedy otrzymał i włożył na siebie zbroję od smoka, Tomas stał się wojownikiem o nadludzkich, legendarnych wręcz możliwościach. Chłopak… nie, nie chłopak, lecz młody mężczyzna przybierał na wadze i mężniał w oczach, chociaż z jedzeniem było często krucho. Tak jakby włączyła się jakaś moc, aby wspomóc jego wzrost i budowę ciała, by dopasować je jak najszybciej do rozmiarów złotej zbroi. Rysy twarzy także uległy dziwnej przemianie. Zarys nosa wyostrzył się i nabrał orlego kształtu. Łuki brwi podniosły się ku górze. Oczy były teraz głębiej osadzone. Był to oczywiście wciąż ten sam Tomas, ale jego wygląd uległ zmianie, jakby chłopiec przybrał wyraz twarzy kogoś zupełnie innego.

Dolgan zaciągnął się głęboko fajką, przyglądając się białemu kaftanowi Tomasa. Siedem razy w bitwie i ani jednej plamki. Jakby tkanina odmówiła przyjmowania wszelkiego brudu czy plam krwi. Złoty smok na piersi lśnił nieskażonym światłem jak w chwili, kiedy Tomas dostał podarunek smoka. Tak samo tarcza, z którą Tomas ruszał w bój. Cięta mieczem tyle razy — a jednak nie widać było ani rysy czy zadrapania. Krasnoludy podchodziły do tych spraw z wielką rozwagą i ostrożnością, ponieważ ich rasa już od wieków wykorzystywała magię do wyrobu potężnego oręża. W tym wypadku chodziło jednakże o coś innego. Poczekamy i zobaczymy, co ta przemiana przyniesie, zanim ją ocenimy, pomyślał Dolgan.

Kończyli skromny posiłek, kiedy jeden z wartowników patrolujących obrzeża obozu wkroczył na polankę przed wejściem do jaskini.

— Ktoś nadchodzi.

Krasnoludy błyskawicznie zerwały się na nogi, chwyciły za broń i stanęły w pogotowiu. Zamiast spodziewanych żołnierzy Tsuranich ubranych w dziwne zbroje ich oczom ukazał się po chwili samotny człowiek, w ciemnoszarej kurcie i bluzie Strażników z Natalu. Nie zatrzymując się podszedł prosto do ogniska na środku otwartej przestrzeni i głosem ochrypniętym z powodu kilkudniowej ucieczki przez mokre lasy powitał zebranych:

— Witaj, Dolganie z Szarych Wież.

Dolgan wystąpił do przodu.

— Witaj, Grimsworth z Natalu.

Od czasów, kiedy Tsurani zajęli Wolne Miasto Walinor, Strażnicy Natalscy działali jako zwiadowcy i posłańcy. Mężczyzna usiadł u wejścia do jaskini. Podano mu miskę mięsiwa.

— Jakie przynosisz wieści? — spytał Dolgan.

— Obawiam się, że niedobre. — odpowiedział Strażnik, nie przerywając jedzenia. — Najeźdźcy trzymają twardo linię frontu. Pierwsze pozycje znajdują się niedaleko doliny i ciągną na północny wschód w stronę LaMut. Walinor został

wzmocniony świeżymi oddziałami, przybyłymi niedawno z ich świata, i tkwi jak nóż wbity między Wolne Miasta a Królestwo. Już trzykrotnie przypuścili ataki na główny obóz Królestwa. Tak było, kiedy opuściłem go dwa tygodnie temu, od tego czasu ataków było pewnie więcej. Nękają patrole z Crydee. Mam wam przekazać, że według powszechnej opinii niedługo ruszą głębiej na wasze tereny.

Dolgan podniósł gwałtownie głowę.

— Dlaczego Książę tak uważa? Nasze wysunięte posterunki i zwiadowcy nie stwierdzili zwiększonej aktywności wroga na naszych ziemiach. Każdy patrol, który wysyłają w naszą stronę, jest atakowany. Odwrotnie, wydaje mi się, że raczej zostawili nas w spokoju.

— Nie byłbym taki pewien. Słyszałem, że mag Kulgan uważa, że potrzebne im są metale z waszych kopalń, chociaż nie mam pojęcia po co. Tak właśnie uważa Książę i to miałem wam przekazać. Kwatera główna twierdzi, że może nastąpić zmasowany atak na wejścia do kopalń w dolinie. Mam też przekazać, że nowe oddziały Tsuranich mogą się lokować w południowym krańcu doliny. Od pewnego czasu na północy nie było żadnego większego ataku, tylko pojedyncze i niewielkie wypady. Zrobicie, co uznacie za najlepsze.

Skończył i skupił całą uwagę na misce z jedzeniem.

Dolgan zastanawiał się przez jakiś czas.

— A co słychać u Elfów, Grimsworth?

— Niewiele. Jesteśmy prawie pozbawieni wiadomości, odkąd wróg zajął południową część puszcz Elfów. Ostami posłaniec od nich dotarł do naszego obozu na tydzień przed moim wyruszeniem w drogę. Elfy zatrzymały barbarzyńców przy brodach na rzece Crydee w miejscu, w którym przecina ona las. Docierają także do nas różne nie potwierdzone strzępy wiadomości o walkach obcych stworów z najeźdźcami. O ile wiem, widziało je tylko kilku wieśniaków ze spalonych osad. Nie przywiązywałbym do ich opowieści zbyt wielkiej wagi. Aha, jest jeszcze jedna, bardzo nas interesująca wiadomość. Patrol z Yabon zapuścił się daleko, aż na brzeg Niebiańskiego Jeziora. Tam natknęli się na szczątki oddziału Tsuranich i bandę goblinów maszerującą z Ziem Północy na południe. Nie musimy się przynajmniej martwić o granice na północy. Może udałoby się tak pokierować rozwojem wydarzeń, aby przynajmniej przez jakiś czas wzięli się nawzajem za łby, a nas zostawili w spokoju.

— Albo dogadali się z wrogiem przeciwko nam — powiedział Dolgan. — Chociaż z drugiej strony, to mało prawdopodobne. U goblinów dominuje raczej tendencja, żeby najpierw zabić, a potem ewentualnie negocjować.

Grimsworth zachichotał rubasznie.

— Tak się szczęśliwie złożyło, że szlaki dwóch krwiożerczych ras przecięły się.

Dolgan kiwnął głową. Miał nadzieję, że Grimsworth nie myli się, chociaż myśl o włączeniu się do konfliktu Narodów Północy — jak Krasnoludy zwykły nazywać Ziemie Północy — nie dawała mu spokoju.

Grimsworth otarł usta wierzchem dłoni.

— Zostanę u was tylko jedną noc. Jeżeli mam przedostać się bezpiecznie przez ich linie, muszę działać szybko. Nasilili patrole w kierunku wybrzeża. Bywa, że przez kilka dni Crydee jest odcięte od reszty kraju. Zostanę u nich trochę, a potem ruszam z powrotem w długą drogę do obozu obu Książąt.

— Wrócisz jeszcze? — spytał Dolgan.

Strażnik uśmiechnął się szeroko. Zęby błysnęły na tle ciemnej twarzy.

— Być może. Jak bogowie pozwolą. Jeżeli nie ja, to jeden z moich braci. Niewykluczone, że spotkacie się z Długim Leonem. Został wysłany do Elvandaru i jeżeli nic złego mu się nie przydarzy, być może trafi tutaj z pismami od królowej Aglaranny. Dobrze by było dowiedzieć się, jak sobie Elfy radzą.

Na dźwięk imienia królowej Elfów Tomas, wyrwany ze swoich snów na jawie, podniósł raptownie głowę.

Dolgan pykał fajkę i kiwał powoli głową.

Grimsworth zwrócił się bezpośrednio do Tomasa.

— Przynoszę ci wiadomość od księcia Borrica, Tomas. — To Grimsworth właśnie jakiś czas temu zaniósł pierwsze wieści od Krasnoludów oraz informację, że Tomas jest cały i zdrów. Tomas chciał powrócić do Armii Królestwa razem z nim, lecz Strażnik Natalski zdecydowanie odmówił tłumacząc, że przemieszcza się bardzo szybko i po cichu, a dodatkowa osoba zwiększa ryzyko wykrycia przez wroga. Grimsworth mówił dalej: — Książę cieszy się bardzo, że dobry los czuwał nad tobą i że pozostajesz w dobrym zdrowiu. Przesyła także smutne wiadomości. Twój przyjaciel Pug dostał się w ręce wroga w czasie pierwszego napadu na obóz Tsuranich. Książę prosił przekazać, że dzieli twój ból po stracie przyjaciela.

Tomas wstał bez słowa i wszedł do jaskini. Usiadł ciężko na samym końcu i pozostawał nieruchomy jak otaczające go skały. Po pewnym czasie ramiona zaczęły mu drżeć. Dygotanie nasilało się i po paru minutach Tomas trząsł się cały jak liść na wietrze. Zęby szczękały jak w ataku febry. Po policzkach spływały strumienie łez. Tomas poczuł, jak z wnętrza unosi się ku górze fala gorąca. Żelazna pięść dławiła go za gardło. Chwytał łapczywie powietrze ustami. Ciałem wstrząsało straszne, bezgłośne łkanie. Kiedy ból stawał się nie do zniesienia, poczuł nagle, jak gdzieś głęboko w jego wnętrzu rodzi się zalążek zimnej, nieopanowanej furii. Lodowaty, wyrachowany gniew narastał, piął się ku górze, wypychając gorący ból żalu i smutku.

Kiedy wyszedł z jaskini i wszedł w krąg światła z ogniska, Dolgan, Grimsworth i reszta Krasnoludów spojrzeli na niego. Tomas zwrócił się do Strażnika.

— Przekaż, proszę, Księciu, że jestem mu wdzięczny i dziękuję za pamięć o mnie.

Grimsworth skinął głową.

— Na pewno przekażę, chłopcze. Wydaje mi się, że Książę nie miałby nic przeciwko temu, żebyś udał się do Crydee, jeżeli oczywiście chciałbyś wrócić do domu. Jestem przekonany, że twój miecz przydałby się księciu Lyamowi.

Tomas zastanawiał się przez kilka chwil. Co prawda dobrze by było wrócić w rodzinne strony, lecz przecież po powrocie na zamek byłby tylko jeszcze jednym terminatorem, nawet jeżeli nosił broń. Zezwoliliby mu na uczestniczenie w walce tylko w razie napadu na zamek. Na pewno nie zgodziliby się jednak, by brał udział w wypadach na teren zajęty przez wroga.

— Dziękuję, Grimsworth, ale chyba zostanę tutaj. Sporo tu jeszcze roboty. Może się przydam. Mam do ciebie tylko prośbę, abyś przekazał mym rodzicom, że miewam się dobrze i że myślę o nich. — Usiadł i po chwili dodał: — Jeżeli przeznaczeniem moim jest, żebym powrócił do Crydee, powrócę.

Grimsworth spojrzał twardo na Tomasa i już chciał coś powiedzieć, gdy spostrzegł, że Dolgan lekko pokręcił głową. Strażnicy Natalscy, lepiej niż inni mieszkańcy zachodu, wyczuwali różne niuanse obecne w życiu Krasnoludów i Elfów. Działo się tutaj coś, co należało według Dolgana pozostawić na razie w spokoju. Grimsworth skłonił lekko głową, zdając się na doświadczenie i mądrość wodza Krasnoludów.

Po skończeniu posiłku wystawiono warty, a reszta przygotowała się do snu. Kiedy ogień przygasł, Tomas usłyszał znowu jakby z wielkiej oddali dochodzące dźwięki nieziemskiej muzyki i zobaczył tańczące cienie przeszłości. Zanim zapadł w głęboki sen, ujrzał wyraźnie jedną, oddaloną od reszty i stojącą w mroku postać. Był to wysoki, potężnie zbudowany wojownik z okrutnym grymasem malującym się na twarzy. Miał na sobie śnieżnobiały kaftan z wyhaftowanym na piersi złocistym smokiem.

* * *

Tomas stał przyciśnięty płasko plecami do ściany tunelu. Twarz rozjaśnił mu nagle straszny i okrutny uśmiech. Oczy miał szeroko otwarte. W mroku widać było białka otaczające bladoniebieskie źrenice. Stał bez ruchu sztywno wyprostowany. Palce prawej dłoni zamykały się i otwierały rytmicznie na rękojeści biało-złotego miecza.

Przed oczami przesuwały się drgające świetliście obrazy. Wysocy, poruszający się płynnie i z godnością ludzie dosiadający grzbietów smoków, zamieszkujący wysokie sale głęboko pod ziemią. Słyszał w uszach odległe tony przedziwnej mu-

zyki i nieznany mu język. Dawno wymarła rasa wołała do niego z otchłani: to ona wykonała jego zbroję i oręż, które nie były przeznaczone dla człowieka.

Napływały następne wizje. Zazwyczaj potrafił zapanować nad przychodzącymi do niego obrazami. W takich chwilach jak ta, kiedy rosło w nim napięcie i nieopanowane pragnienie walki, wizje przybierały realne wymiary, nabierały kolorów i słyszał różne dźwięki. Aż do bólu wytężał słuch, aby wyłapać poszczególne słowa. Napływały ledwo słyszalne i bywały chwile, że prawie je rozumiał.

Potrząsnął głową, zmuszając się do powrotu do teraźniejszości. Rozejrzał się po ciemnym chodniku. Już dawno przestał się dziwić, że widzi w mroku. Pomachał do Dolgana, który stał w milczeniu na pozycji kilkanaście metrów dalej, po drugiej stronie krzyżujących się tuneli, na czele swego oddziału. Krasnolud odpowiedział machnięciem ręki. Po obu stronach szerokiego chodnika czaiło się sześćdziesięciu Krasnoludów czekając, aby zatrzasnąć pułapkę. Czekano na kilkunastu ludzi Dolgana, którzy uciekając przed oddziałem Tsuranich, prowadzili wroga w potrzask.

Poderwali głowy. W oddali, w mroku chodnika usłyszeli narastający tupot nóg. Po chwili dobiegł ich także szczęk broni. Ciało Tomasa napięło się. Dojrzał kilku cofających się tyłem Krasnoludów, broniących się przed nacierającymi Tsuranimi. Kiedy mijali wylot bocznego chodnika, nawet drgnienie powieki nie zdradziło, że zauważyli czekających po obu stronach towarzyszy.

Gdy tylko pierwsi żołnierze wroga minęli tunel, Tomas wyskoczył do przodu.

— Teraz! — krzyknął i ruszył do ataku.

Tunel wypełnił się nagle kłębowiskiem wpadających na siebie i kręcących w kółko ciał. Tsurani byli przeważnie uzbrojeni w szerokie miecze, które nie nadawały się zbytnio do walki na bliski dystans. Krasnoludy posługiwały się z wielką wprawą krótkimi toporami i młotami. Tomas ciął szeroko mieczem i na ziemię padło kilka ciał. Niesione przez Tsuranich pochodnie to przygasały, to buchały pełnym płomieniem, rzucając na ściany i strop tunelu wściekle tańczące cienie, tak że trudno było się połapać, kto wróg, a kto swój.

Z tyłów oddziału wroga doszedł ich krzyk i Tsurani poczęli się wycofywać. Żołnierze z tarczami przedarli się do pierwszego szeregu, tworząc z nich ruchomą ścianę, ponad którą ich towarzysze razili nacierających ciosami miecza. Krasnoludy nie mogły podejść na tyle blisko, aby skutecznie uderzać w przeciwnika. Przy każdym ataku ściana tarcz zatrzymywała się w miejscu, a spoza niej na nacierającego spadały ciosy mieczów. Wróg wycofywał się ku wyjściu krótkimi skokami.

Tomas wysforował się do przodu. Mając miecz, sięgał dostatecznie daleko, aby razić tarczowników. Zwalił dwóch na ziemię, lecz ich miejsce zajęła błyskawicznie kolejna para. Parł do przodu, a Tsurani powoli się wycofywali.

Dotarli do ogromnej sali wyrobiska, wchodząc do niej w najniżej położonym punkcie. Oddział Tsuranich popędził do środka jaskini i błyskawicznie otoczył się ścianą tarcz. Krasnoludy zatrzymały się na chwilę, po czym przypuściły szturm.

Tomas zauważył kątem oka niewielki ruch na jednej z wyżej położonych półek skalnych. Chociaż w mrokach kopalni nie widział wyraźnie, jednak ogarnięty nagłym przeczuciem krzyknął na całe gardło:

— Uwaga z tyłu!

Większość Krasnoludów przedarła się już przez ścianę tarcz i była zbyt pochłonięta walką, aby zwracać na niego uwagę. Kilku z nich zatrzymało się i spojrzało w górę.

Stojący przy boku chłopca Krasnolud wrzasnął:

— Na górze!

Po ścianach jaskini spełzały, wlewając się do jej wnętrza, czarne kształty. Obok nich zbiegały po występach skalnych inne ludzkie postacie. Nad głowami rozbłysły światła. Żołnierze Tsuranich na wyższych poziomach jaskini otwierali zasłonięte latarnie i zapalali pochodnie.

Tomas zatrzymał się przerażony w pół kroku. Za plecami kilku ocalałych Tsuranich, na środku jaskini dostrzegł jakieś stwory wypełzające z każdego zakamarka jak mrówki opuszczające mrowisko. Były zresztą do nich podobne. Różniły się tym, że mniej więcej od pasa w górę ich tułów wznosił się pionowo w górę, a podobne do ludzkich ramiona dzierżyły oręż. W ich owadzich twarzach dominowały ogromne, wieloźrenicowe oczy. Usta stworów do złudzenia przypominały ludzkie. Bestie poruszały się z niewiarygodną szybkością, atakując błyskawicznymi wypadami. Zaskoczone ich widokiem Krasnoludy odpowiedziały, bez wahania ruszając do walki. Bitwa rozgorzała na nowo, przybierając na sile z minuty na minutę.

Kilka razy Tomas walczył jednocześnie z dwoma przeciwnikami, byli to Tsurani albo stwory. Bestie musiały być obdarzone inteligencją. Walczyły w zorganizowany sposób i porozumiewały się okrzykami w języku Tsuranich.

Tomas rozprawił się z kolejnym przeciwnikiem i przypadkiem rzucił okiem w górę. Do jaskini wlewało się następne mrowie wojowników wroga.

— Do mnie! Do mnie! — krzyknął i Krasnoludy, tnąc wściekle dookoła, zaczęły się przedzierać w jego stronę. Kiedy większość przedostała się do niego, komendę objął Dolgan.

— Wycofywać się! Do tyłu! Jest ich zbyt dużo.

Krasnoludy poczęły się wycofywać w stronę wylotu tunelu, którym nie tak dawno weszli do jaskini, aby schronić się w jego względnie bezpiecznym wnętrzu. W wąskim chodniku mieli przed sobą tylko kilku przeciwników i liczyli, że zgubią ich w labiryncie kopalni. Widząc, że Krasnoludy cofają się, żołnierze Tsuranich i ich sprzymierzeńcy przypuścili zmasowany atak. Tomas spostrzegł, że spora grupa stworów stanęła między nimi a drogą odwrotu. Rzucił się do przodu jak szalony, a z jego ust wydobył się przedziwny okrzyk wojenny, którego sam nie zrozumiał. Złoty miecz śmignął niczym błyskawica w mroku i jedna z bestii zwaliła się na kamienie z przeraźliwym skowytem. Druga zamierzyła się na niego

szerokim mieczem. Odparował cios tarczą. Po takim uderzeniu ktoś słabszy miałby złamaną rękę, lecz nie bestia. Zanim echo uderzenia białą tarczą przebrzmiało w jaskini, stwór cofnął się o krok i ciął znowu.

Tomas ponownie przyjął uderzenie na tarczę. Zamachnął się mieczem znad głowy i ciął straszliwie w kark bestii, pozbawiając ją głowy. Korpus zastygł na moment w bezruchu, po czym zwalił się ciężko na ziemię u jego stóp. Przeskoczył błyskawicznie nad ciałem i wylądował przed trzema nie spodziewającymi się ataku żołnierzami Tsuranich. Jeden z nich niósł dwie latarnie. Dwaj pozostali byli uzbrojeni. Zanim ten z latarniami zdążył rzucić je na ziemię, Tomas doskoczył do dwóch następnych i położył ich trupem dwoma cięciami miecza. Trzeci padł nieżywy w chwili, gdy usiłował wyciągnąć miecz z pochwy.

Tomas opuścił tarczę, schylił się i podniósł latarnię. Odwrócił się. Krasnoludy przeskakiwały ciała powalonych przez niego wrogów. Kilku z nich z mozołem niosło rannych towarzyszy. Inni pod wodzą Dolgana trzymali w szachu nacierających przeciwników, umożliwiając reszcie ucieczkę. Niosący rannych przebiegli koło Tomasa.

Krasnolud, który na czas walki został w głębi korytarza, zobaczywszy, że jego towarzysze wycofują się, pośpieszył do przodu. Zamiast broni niósł w obu rękach dwa pękate bukłaki wypełnione jakąś cieczą.

Tylna straż Krasnoludów cofała się pod naporem wroga w kierunku wylotu chodnika. Żołnierze Tsurani dwukrotnie usiłowali okrążyć ich i odciąć im drogę ucieczki. Za każdym razem Tomas ruszał w bój i kładł ich pokotem. Kiedy Dolgan i jego wojownicy stanęli na szczycie góry trupów bestii i Tsuranich, Tomas odwrócił się do nich.

— Przygotujcie się do skoku! — krzyknął.

Wziął od Krasnoluda dwa ciężkie skórzane wory.

— Teraz!

Dolgan i reszta skoczyła w dół, a Tsurani zostali po drugiej stronie wału ciał. Krasnoludy natychmiast rzuciły się do ucieczki w głąb tunelu. Tomas cisnął bukłaki na stos trupów. Do tej pory były one niesione z wielką ostrożnością, ponieważ uszyte były tak, że przy silniejszym uderzeniu pękały. Były wypełnione naftą, którą Krasnoludy otrzymywały z ropy zbieranej w głębokich czarnych jeziorkach w podziemiach gór. Nafta miała tę właściwość, że zapalała się od razu bez pomocy knota czy szmat.

Tomas podniósł wysoko latarnię i cisnął z rozmachem na ziemię w kałużę nafty. Tsurani, którzy zatrzymali się na moment, kiedy Krasnoludy zniknęły im po drugiej stronie ciał, ruszyli w tej chwili do przodu. Nafta buchnęła jasnym płomieniem i wnętrze tunelu wypełniła fala gorącego powietrza. Oślepione białym płomieniem Krasnoludy usłyszały przerażone okrzyki Tsuranich ogarniętych morzem ognia. Kiedy odzyskali zdolność widzenia, ujrzeli samotną, czarną na tle ognia, sylwetkę Tomasa idącego korytarzem w ich stronę.

Kiedy doszedł do nich, Dolgan powiedział:

— Kiedy płomienie przygasną, będziemy ich mieli znowu na karku.

Ruszyli szybko przed siebie labiryntem korytarzy ku wyjściu po zachodniej stronie gór. Po przejściu krótkiego odcinka drogi Dolgan zatrzymał oddział. Stali w milczeniu, nasłuchując ciszy w czarnych korytarzach. Jeden z nich przypadł do ziemi i przyłożył ucho do skały. Zerwał się natychmiast na równe nogi.

— Nadchodzą! Sądząc po odgłosach, całe setki. I stwory też. Chyba musieli rozpocząć wielką ofensywę.

Dolgan rozejrzał się po swoich ludziach. Ze stu pięćdziesięciu Krasnoludów, którzy wzięli udział w zorganizowaniu pułapki, teraz wokół niego zgromadziło się około siedemdziesięciu, z czego dwunastu było rannych. Miał cichą nadzieję, że przynajmniej części z pozostałych udało się uciec innymi korytarzami, w tej chwili jednak wszystkim zagrażało niebezpieczeństwo.

Szybko podjął decyzję.

— Musimy dotrzeć do lasu — powiedział i nie czekając ruszył przed siebie biegiem.

Reszta ruszyła za nim.

Tomas biegł swobodnym krokiem, lecz w jego umyśle znowu kłębiły się wizje. W szczytowych momentach bitwy atakowały go nieustannie z wielką wyrazistością szczegółów. Widział przed sobą ciała powalonych wrogów, jednak nie były to trupy Tsuranich. Czuł smak i zapach ich krwi i przypływ magicznej energii, kiedy pił ją z otwartych ran powalonych nieprzyjaciół, świętując w czasie ceremonii swoje nad nimi zwycięstwo. Potrząsnął głową, aby rozjaśnić umysł. Jakiej ceremonii?, zastanawiał się w duchu.

Dolgan coś mówił i Tomas przymusił się, aby skupić się na słowach Krasnoluda.

— Musimy sobie znaleźć jakieś inne warowne miejsce — mówił, nie przerywając biegu. — Może najlepiej spróbować w Kamiennej Górze. Nasze tutejsze osady są bezpieczne, lecz nie mamy bazy, z której moglibyśmy robić wypady, bo jak mi się wydaje, Tsurani wkrótce zdobędą kontrolę nad kopalniami. Te ich stwory dobrze walczą w ciemnościach i jeżeli mają ich sporo, mogą nas z łatwością wykurzyć nawet z najgłębszych chodników.

Tomas kiwnął głową. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. W środku płonął zimnym płomieniem nienawiści do Tsuranich. Złupili jego ziemię, zabrali najbliższego przyjaciela, który we wszystkim poza nazwiskiem był mu bratem, a teraz wielu jego przyjaciół z narodu Krasnoludów leżało martwych w ciemnych chodnikach pod górami. Wszystko przez nich. Jego twarz przybrała zacięty i ponury wyraz, kiedy w duchu poprzysiągł sobie, że zniszczy najeźdźców bez względu na to, jaką cenę miałby zapłacić.

* * *

Szli ostrożnie między drzewami, wypatrując oznak obecności Tsuranich. W ciągu ostatnich sześciu dni trzy razy toczyli z nimi potyczki i teraz pozostało ich już tylko pięćdziesięciu dwóch. Ciężej ranni zostali zaniesieni do wyżej położonych i względnie bezpiecznych wiosek, gdzie Tsurani raczej nie dotrą.

Zbliżali się do południowej granicy puszczy Elfów. Z początku starali się przebić na wschód, do przełęczy, aby dostać się do Kamiennej Góry, jednak ten szlak aż roił się od obozów i patroli wroga. Ciągle zawracano ich na północ. Zdecydowali w końcu, że warto spróbować przejść do Elvandaru, gdzie mogliby trochę odpocząć od ciągłej ucieczki.

Wysunięty o dwadzieścia metrów przed nich zwiadowca wrócił.

— Obóz przy brodzie — powiedział cicho.

Dolgan zastanowił się. Krasnoludy nie bardzo sobie radziły z pływaniem, więc będą musieli przekroczyć rzekę w bród. Było wysoce prawdopodobne, że Tsurani opanowali wszystkie dojścia do brodów po tej stronie rzeki. Będą więc musieli znaleźć wolne od wartowników miejsce, jeżeli takie istniało.

Tomas rozejrzał się dookoła. Zapadał zmierzch i jeżeli mieli się przekraść przez rzekę tak blisko linii Tsuranich, najlepiej będzie, jeżeli zrobią to po zapadnięciu zmroku. Tomas wyszeptał to do ucha Dolgana, który potwierdził zgodę ruchem głowy. Dał znak zwiadowcy, aby ten poszedł na zachód od wyśledzonego obozu i znalazł jakąś dziurę, gdzie mogliby się zaszyć na parę godzin.

Po krótkim oczekiwaniu zwiadowca powrócił z informacją, że niedaleko są gęste zarośla, a tuż za nimi wydrążona skała, gdzie mogą doczekać do nocy. Pośpieszyli szybko za nim i znaleźli wystający z ziemi ponad czterometrowej wysokości głaz granitowy rozszerzający się u podstawy do ponad dziesięciu metrów. Przedarli się przez krzaki. Po drugiej stronie było spore zagłębienie, w którym od biedy mogli się wszyscy pomieścić. Co prawda wolna przestrzeń miała tylko około siedmiu metrów szerokości, ale sięgała w głąb pod skałę na kilkanaście. Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca, Dolgan rozejrzał się dookoła.

— Ten głaz musiał się kiedyś znajdować pod wodą, widzicie, jak gładka jest spodnia część? Trochę tu ciasno, ale powinniśmy spokojnie i bezpiecznie doczekać nocy.

Tomas słyszał tylko piąte przez dziesiąte, ponieważ znowu toczył swoją walkę z wizjami, budzącymi się snami, jak je zaczął nazywać. Zamknął oczy i obrazy znowu powróciły, a z nimi odległa, cicha muzyka.

* * *

Zwycięstwo było szybkie i łatwe, lecz Ashen-Shugar długo zastanawiał się; coś niepokoiło Władcę Orlich Szczytów, czegoś mu brakowało. Czuł jeszcze w ustach słonawy smak krwi Algon-Kokoona, Tyrana Wietrznej Doliny. Jego wasale i towarzysze należeli teraz do niego. Jednak czegoś tu brakowało…

Przyjrzał się z uwagą tancerzom moredheli tańczącym ku jego uciesze w perfekcyjnej harmonii z muzyką. Tutaj wszystko było jak trzeba. Poczucie braku, niedosytu pochodziło z głębin jego wnętrza.

Alengwan, którą Elfy nazywały swoją Księżniczką, a która była ostatnio jego ulubienicą, siedziała u stóp tronu czekając, aby mu się przypodobać. Prawie nie zauważał teraz jej pięknej twarzy i gibkiego ciała, przyobleczonego w cienką jedwabną szatę, która raczej uwydatniała piękno, niż je okrywała.

— Czy coś cię niepokoi, panie? — spytała cichutko.

Starała się ukryć swoje przerażenie, które było równie widoczne, jak jej ciało pod cieniutką materią.

Spojrzał w drugą stronę. Dostrzegła jego niepewność, a to równało się jej śmierci; zabije ją później, postanowił. Nieopanowany apetyt ciała opuścił go ostatnio, zarówno apetyt na przyjemności łoża, jak i chęć zabijania. Rozmyślał nad bezimiennym i nieuchwytnym uczuciem, dziwnymi i obcymi mu do tej pory emocjami. Ashen-Shugar podniósł rękę do góry. Tancerze padli natychmiast na ziemię z czołami przyciśniętymi do kamiennej posadzki. Muzycy przerwali w pół tonu. W jaskini zapadła dźwięcząca w uszach cisza. Jednym niedbałym ruchem dłoni oddalił wszystkich. Wybiegli pośpiesznie z wielkiej sali, przemykając koło ogromnego złotego smoka, Shuruga, który spokojnie czekał na swego pana…

* * *

— Tomas. — Usłyszał czyjś głos.

Otworzył raptownie oczy. Dolgan położył mu rękę na ramieniu.

— Już czas, noc zapadła. Pospałeś sobie, chłopcze.

Tomas potrząsnął gwałtownie głową i plączące się na obrzeżach świadomości strzępy obrazów pierzchły. Zaburczało mu w brzuchu, kiedy uleciała ostatnia migotliwa wizja wojownika w bieli i złocie pochylonego nad skrwawionym ciałem księżniczki Elfów.

Wyczołgał się z innymi spod wiszącej nisko nad ziemią skały i podążyli ku rzece. W puszczy panowała martwa cisza. Nawet nocne ptaki przyczaiły się, nie chcąc zdradzić miejsca swego pobytu.

Bez większych przeszkód dotarli do brzegu rzeki. Tylko raz musieli raptownie przypaść do ziemi, aby przepuścić przechodzący w pobliżu patrol wroga. Szli wzdłuż brzegu ze zwiadowcą na przedzie. Po kilku minutach marszu zwiadowca wrócił do reszty oddziału.

— Łacha piasku przecina rzekę.

Dolgan dał im znak ruchem głowy i po cichu poszli dalej. Dotarli na miejsce i pojedynczo weszli do wody. Tomas i Dolgan czekali na brzegu, aż wszyscy przejdą na drugą stronę. W chwili, kiedy ostatni Krasnolud wchodził do wody, niedaleko na brzegu ktoś krzyknął. Krasnoludy zamarły w bezruchu. Tomas bezszelestnie ruszył w tamtym kierunku i zaskoczył wartownika Tsuranich, który wpatrywał się w nurt rzeki, usiłując dostrzec coś w mroku. Zanim padł martwy na ziemię, żołnierz zdołał krzyknąć. W tej sekundzie, tuż obok, za drzewami rozległy się krzyki.

Tomas ujrzał zbliżające się pośpiesznie w jego stronę światło latarni. Odwrócił się i pobiegł w stronę swoich. Dolgan czekał na niego na brzegu.

— Uciekaj! — krzyknął Tomas. — Są tuż za nami.

Kilku Krasnoludów zatrzymało się niezdecydowanie w wodzie. Tomas i Dolgan wskoczyli do rzeki. Woda była bardzo zimna, a prąd wartko opływał łachę. Tomas, brodząc po pas w wodzie, z trudem utrzymywał się na nogach. Krasnoludom woda sięgała prawie pod brodę. Nie będą w stanie w niej walczyć.

Kiedy pierwszy Tsurani rzucił się do wody, Tomas zatrzymał się i odwrócił, aby powstrzymać przeciwnika i umożliwić reszcie bezpieczną ucieczkę. Zaatakowało go jednocześnie dwóch żołnierzy. Po chwili obaj spłynęli z nurtem wody. Kilku następnych wskoczyło do rzeki i Tomas miał zaledwie krótką chwilę przerwy, aby odwrócić się i zobaczyć, jak sobie radzą Krasnoludy. Prawie cały oddział dotarł już na drugi brzeg. W świetle rzucanym przez latarnie Tsuranich dostrzegł na twarzy Dolgana rozpacz i gniew.

Rzucił się na żołnierzy wroga. Czterech czy pięciu usiłowało go otoczyć. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to trzymać ich w szachu na długość miecza. Ilekroć próbował któregoś zabić, angażując się bardziej w walkę, odsłaniał się z innej strony.

Nowe głosy, które dobiegły go z oddali, mówiły mu, że jego przegrana jest już tylko kwestią paru chwil. Powiedział sobie w duchu, że drogo za to zapłacą, i ciął niespodziewanie najbliższego żołnierza, rozbijając tarczę i łamiąc mu ramię. Tsurani, wyjąc z bólu, upadł w wodę.

Odparował tarczą cios następnego, kiedy świsnęło mu koło ucha i żołnierz wroga padł w tył. Z piersi sterczała długa strzała. W ułamku sekundy powietrze zrobiło się gęste od lecących strzał. W nurty rzeki wpadło kilku kolejnych wro-

gów. Reszta krzycząc wycofywała się na swój brzeg. Żaden jednak tam nie dotarł. Wszyscy zginęli w nurtach rzeki przeszyci strzałami. Tomas usłyszał naglący głos.

— Pośpiesz się, człowieku. Za moment odpowiedzą tym samym.

Jakby na potwierdzenie tych słów koło twarzy Tomasa przemknęła strzała wypuszczona w przeciwnym kierunku. Ruszył pędem w stronę bezpiecznego brzegu. Kolejna strzała trafiła go w hełm. Potknął się w wodzie. Złapał równowagę i w tym momencie następna trafiła w nogę. Rzucił się do przodu. Poczuł pod stopami piaszczysty brzeg. Zobaczył przed sobą czyjeś wyciągnięte ręce. Chwyciły go i szybko pociągnęły po piachu.

Zakręciło mu się w głowie. Obraz przed oczami zaczął falować na wszystkie strony i rozmywać się. Usłyszał jakiś głos.

— Zatruwają swoje strzały. Musimy… — Reszta rozpłynęła się w nieprzeniknionym mroku i ciszy.

* * *

Tomas otworzył oczy. Przez moment nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Kręciło mu się w głowie. W ustach czuł suchość. Zamajaczyła nad nim czyjaś twarz. Ktoś uniósł mu głowę do góry i przyłożył naczynie z wodą do ust. Pił długo i łapczywie. Poczuł się trochę lepiej. Odwrócił lekko głowę na bok. Obok siedziało dwóch ludzi. Przestraszył się, bo przez moment wydało mu się, że dostał się do niewoli. Po sekundzie zauważył, że tych dwóch ma na sobie szerokie bluzy z zielonej skóry.

— Byłeś bardzo chory — powiedział ten, który podał mu wodę.

Tomasowi ulżyło. Znajdował się wśród Elfów.

— Dolgan? — wychrypiał ciężko.

— Krasnoludy zostały zaproszone do wzięcia udziału w naradzie z naszą panią. Ze względu na zatrutą strzałę woleliśmy nie ryzykować i zostałeś. Obcy mają nieznaną nam truciznę, która bardzo szybko zabija. Robimy, co w naszej mocy, ale ranni bardzo często umierają.

Tomas poczuł, jak powoli wstępują w niego nowe siły.

— Jak długo?

— Trzy dni. Od chwili, kiedy wynieśliśmy cię z rzeki, przez cały czas byłeś na granicy życia i śmierci. Zanieśliśmy cię tylko tak daleko, jak było trzeba ze względu na bezpieczeństwo.

Tomas rozejrzał się. Zauważył, że go rozebrano. Leżał przykryty kocem pod osłoną zrobioną z gałęzi. Poczuł zapach gotującego się jedzenia i zobaczył na

ogniu garnek, z którego dochodziły smakowite zapachy. Gospodarze zauważyli to i dali znak, aby przyniesiono garnek.

Tomas usiadł na posłaniu. Zawirowało mu przez moment w głowie. Zamiast łyżki dostał do ręki kawał chleba. Jedzenie smakowało wspaniale. Z każdym kęsem czuł, jak wstępują w niego nowe siły. Zerknął na siedzących obok. Dwóch milczących Elfów patrzyło na niego wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu. Tylko ten, który z nim rozmawiał, okazywał pewne oznaki gościnności.

Tomas zwrócił się do niego.

— Co z wrogiem?

Elf uśmiechnął się.

— Obcy nadal obawiają się przekroczyć rzekę. Tutaj nasza magia jest o wiele silniejsza. Czują się zagubieni i nie wiedzą, co robić. Ani jeden z obcych, którzy dotarli na nasz brzeg, nie wrócił już do swoich.

Tomas pokiwał głową. Skończył jeść i poczuł się zadziwiająco dobrze. Spróbował wstać. Kolana ugięły się pod nim, ale nie upadł. Zrobił kilka kroków. Czuł się coraz pewniej. Zauważył, że rana na nodze zagoiła się. Kilka minut przeciągał się i ćwiczył zesztywniałe w czasie trzydniowego leżenia na ziemi członki. Ubrał się.

— Ty jesteś książę Calin. Pamiętam cię z dworu Księcia.

W odpowiedzi Calin uśmiechnął się.

— A ty jesteś Tomas z Crydee, chociaż bardzo się zmieniłeś w ciągu ostatniego roku. Ci dwaj to Galain i Algavins. Jeżeli czujesz się na siłach, możemy dołączyć do twoich przyjaciół na dworze Królowej.

— Chodźmy. — Tomas uśmiechnął się.

Zwinęli obóz i ruszyli w drogę. Z początku szli bardzo powoli, aby dać Tomasowi czas na dojście do siebie. Wkrótce okazało się jednak, że jak na swoje niedawne otarcie się o śmierć, był w doskonałej formie.

Po chwili cztery postacie biegły równym krokiem przez puszczę. Tomas, pomimo że miał na sobie zbroję, dotrzymywał im kroku. Elfy wymieniły między sobą pytające spojrzenia.

Biegli przez większą część popołudnia, zanim zatrzymali się na odpoczynek. Tomas rozejrzał się po otaczającym ich lesie.

— Jakie wspaniałe i piękne miejsce.

Galain popatrzył na niego.

— Większość przedstawicieli twej rasy nie zgodziłaby się z tobą, człowieku. Puszcza ich przeraża. Pełno tu według nich dziwacznych kształtów i strasznych odgłosów.

Tomas zaśmiał się.

— Większości ludzi brakuje wyobraźni albo mają jej za dużo. Las jest cichy i pełen spokoju. To najspokojniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem.

Elfy nie odezwały się ani słowem, ale na twarzy Calina pojawił się wyraz zdziwienia.

— Ruszajmy lepiej, jeżeli mamy dotrzeć do Elvandaru przed zmrokiem.

Kiedy zapadł zmierzch, dotarli do ogromnej polany. Tomas stanął jak wryty, chłonąc widok przed sobą. Po drugiej stronie pięło się ku niebu gigantyczne miasto drzew. Niebotyczne drzewa, przytłaczające swoim ogromem najwyższe dęby, stały jedno przy drugim. Połączone były łukowato wygiętymi pomostami gałęzi, których górna powierzchnia była płaska. Po konarach wędrowały tu i tam Elfy. Niewyobrażalnej wysokości pnie wznosiły się ku górze i ginęły w morzu listowia i gałęzi. Liście przeważnie były w kolorze ciemnej zieleni, ale tu i ówdzie Tomas dostrzegł drzewa z liśćmi w kolorze złota, srebra, a nawet bieli. Poruszane lekkim wiatrem migotały świetliście. Cała okolica skąpana była w delikatnej poświacie i Tomas zastanawiał się przez chwilę, czy zapadają tu kiedykolwiek prawdziwe ciemności.

Calin położył mu rękę na ramieniu.

— Elvandar — powiedział po prostu.

Ruszyli przez polanę i w miarę zbliżania się Tomas zauważył, że drzewa w rzeczywistości były jeszcze potężniejsze niż to się wydawało z oddalenia. Rozciągały się na wszystkie strony na prawie dwa kilometry. Wchodząc do magicznego miasta Elfów, Tomas poczuł dreszcz emocji i podniosły nastrój chwili.

Doszli do drzewa, wokół którego wiły się wycięte w pniu schody, ginące w labiryncie konarów i gałęzi. Ruszyli w górę. Tomasa zalała fala radości i szczęścia, jak gdyby wściekły szał ogarniający go w czasie walki posiadał drugą naturę, swą harmonijną i łagodną stronę.

Wchodzili po schodach. Mijali rozgałęziające się na boki ścieżki, biegnące po konarach. Wszędzie widać było Elfy, zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Wiele Elfów miało na sobie, podobnie jak jego przewodnicy, zielone, skórzane kaftany, w których ruszali do bitwy. Inne nosiły długie szaty lub luźne bluzy w bogatych, jasnych kolorach. Wszystkie napotkane kobiety były wysokie, pełne wdzięku i obdarzone niepospolitą urodą. Miały długie i rozpuszczone włosy, inaczej niż to było w zwyczaju na dworze Księcia. Wiele z nich wplotło we włosy iskrzące się tajemnym światłem drogocenne kamienie.

Doszli do ogromnego konaru i zeszli ze schodów. Calin wiedząc, że ludzie, gdy patrzą w dół z dużej wysokości, miewają kłopoty z utrzymaniem równowagi, chciał przestrzec Tomasa, lecz zauważył, że chłopak stoi swobodnie na samej krawędzi konaru i spogląda ze spokojem w dół.

— To cudowne miejsce — powiedział.

Trzy Elfy ponownie spojrzały na siebie pytająco, lecz żaden nie odezwał się ani słowem.

Ruszyli przed siebie. Kiedy doszli do krzyżującej się gałęzi, dwa Elfy skręciły, zostawiając Calina i Tomasa na głównej ścieżce. Ciągle szli przed siebie, zagłę-

biając się w napowietrzny labirynt. Tomas podążał równie pewnie jak Elf. Dotarli do dużej, otwartej przestrzeni. W tym miejscu krąg rosnących dookoła drzew tworzył centralny dziedziniec dworu Królowej. Sto konarów i gałęzi stykało się i przeplatało wzajemnie, przechodząc w ogromną platformę. Aglaranna siedziała na drewnianym tronie otoczona dworzanami. Pośród zebranych był tylko jeden człowiek, który stał w pobliżu Królowej. Ubrany był w szary strój Strażników Natalskich. Jego czarna skóra lśniła w poświacie nocy. Był najwyższym człowiekiem, jakiego Tomas widział w swoim życiu. Domyślił się, że to Długi Leon, Strażnik, o którym wspominał Grimsworth.

Calin zaprowadził Tomasa do środka i przedstawił królowej Aglarannie. Wszyscy zauważyli, że widok młodego człowieka w bieli i złocie zaskoczył władczynię Elfów. Opanowała się szybko i swoim charakterystycznym, głębokim głosem powitała Tomasa w Elvandarze i poprosiła, aby pozostał tu tak długo, jak sobie życzy.

Spotkanie na dworze dobiegło końca.

Dolgan podszedł do Tomasa.

— Co u ciebie, chłopcze? Cieszę się, że powróciłeś do zdrowia. Kiedy cię opuszczałem, nie było to takie pewne. Wierz mi, że ciężko mi było zostawić cię, ale chyba rozumiesz, prawda? Musiałem jak najszybciej zdobyć informacje o walkach w pobliżu Kamiennej Góry.

Tomas skinął głową.

— Rozumiem, Dolgan. Jakie wieści?

Krasnolud pokręcił powoli głową.

— Obawiam się, że złe. Zostaliśmy odcięci od naszych braci. Będziemy musieli przez jakiś czas pozostać wśród Elfów, chociaż, trzeba przyznać, te wysokości nie za bardzo mi służą…

Tomas wybuchnął gromkim śmiechem. Dolgan uśmiechnął się pod wąsem. Po raz pierwszy od chwili otrzymania zbroi od smoka słyszał śmiech Tomasa.

# Rozdział 16

# Napad

Obładowane wozy trzeszczały pod ciężarem.

Słychać było trzask biczy i skrzypienie kół. Woły ciągnęły swój ciężar w stronę plaży. Arutha, Fannon i Lyam jechali na czele oddziału strzegącego wozów, na odcinku między zamkiem a wybrzeżem. Za nimi podążał w przygnębieniu tłum mieszkańców miasta. Wielu niosło toboły albo pchało przed sobą niewielkie wózki z dobytkiem. Podążali za synami Księcia w stronę czekających statków.

Skręcili w boczną drogę odchodzącą od głównej miejskiej drogi. Arutha jeszcze raz obrzucił wzrokiem obraz ruiny i zniszczenia. Prosperujące kiedyś świetnie miasto Crydee zasnute teraz było niebieskawo-siwą, cuchnącą spalenizną mgiełką. W porannym powietrzu niósł się daleko dźwięk stukotu młotków i piłowania drewna. Pracujący w pocie czoła robotnicy usiłowali jakoś naprawić poczynione szkody.

Tsurani napadli na miasto dwa dni wcześniej o wschodzie słońca. Przebiegli ulicami miasta, likwidując po drodze kilku wartowników na posterunkach, zanim przerażone staruszki, starcy i dzieci podnieśli alarm. W szaleńczym amoku niszczyli wszystko, co napotykali, i nie zatrzymali się, nim nie dotarli do doków i portu, gdzie podłożyli ogień na trzech statkach, niszcząc w poważnym stopniu dwa z nich. Uszkodzone statki płynęły z trudem w stronę Carse, a te, które ocalały, odpłynęły z portu w dół wybrzeża, aby przycumować na północ od Boleści Żeglarza.

Tsurani podpalili większość zabudowań przy nabrzeżu, lecz chociaż zostały one poważnie uszkodzone, nadawały się jeszcze do remontu. Ogień rozprzestrzenił się do centrum miasta i tam też straty były największe. Budynek zgromadzenia cechów, dwie gospody i dziesiątki innych domów zamieniło się w dymiące zgliszcza. Nadpalone kikuty belek, strzaskane dachówki i osmalone kamienie znaczyły miejsca, w których kiedyś stały domy. Zanim zdołano opanować ogień, z dymem poszła jedna trzecia Crydee.

Arutha stał na szczycie murów, obserwując chmury nad miastem, oświetlone łuny rozszerzającego się pożaru. Z pierwszym brzaskiem wyprowadził swój garnizon z zamku, aby już tylko stwierdzić, że Tsurani zniknęli w lasach.

Na wspomnienie tamtych chwil gniew ciągle jeszcze ogarniał Aruthę. Fannon doradził Lyamowi, aby nie zezwolił garnizonowi na opuszczenie murów zamku przed nadejściem świtu. Obawiał się, że napad na miasto to podstęp. Miał spowodować otwarcie bram zamku albo zwabienie garnizonu do lasów, gdzie w zasadzce czekały na nich większe siły wroga. Lyam posłuchał rady starego Mistrza Miecza. Arutha był pewien, że zdołałby zapobiec większości zniszczeń, gdyby od razu pozwolono mu rozgromić Tsuranich.

Jechał drogą w kierunku wybrzeża zatopiony w myślach. Poprzedniego dnia nadeszły rozkazy, zgodnie z którymi Lyam powinien opuścić Crydee. Adiutant Księcia poległ i Borric, mając na karku wojnę, która tej wiosny weszła w trzeci rok, pragnął, by Lyam był przy nim w obozie w Yabon. Z powodów, których Arutha nie rozumiał, książę Borric nie przekazał mu, jak oczekiwał, dowództwa. Zamiast niego komendantem garnizonu został mianowany Mistrz Miecza. Teraz przynajmniej, myślał młodszy Książę, bez wsparcia Lyama Fannon nie będzie już taki skory do rozkazywania na każdym kroku. Pokręcił głową, próbując otrząsnąć się ze zdenerwowania. Kochał brata, lecz irytowało go, że Lyam nie był bardziej stanowczy. Od początku wojny dowodził Crydee, ale w rzeczywistości, wszystkie decyzje podejmował Fannon. No, a teraz ma oficjalny tytuł i wpływy.

— O czym tak dumasz, bracie?

Lyam ściągnął wodze konia i podjechał do boku Aruthy.

Młodszy brat uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

— Po prostu ci zazdroszczę.

Lyam uśmiechnął się ciepło.

— Wiem, że chciałbyś pojechać, ale rozkazy ojca były jednoznaczne. Jesteś potrzebny tutaj.

— Jak mogę być potrzebny, kiedy wszystkie moje uwagi i sugestie zostały zignorowane?

Twarz Lyama przybrała pojednawczy wyraz.

— Ciągle cię złości, że ojciec Fannona, a nie ciebie uczynił komendantem garnizonu?

Arutha spojrzał twardo na brata.

— Mam teraz dokładnie tyle lat, ile ty miałeś, kiedy ojciec mianował cię dowódcą zamku. Ojciec w moim wieku był samodzielnym komendantem i drugim Generałem Zachodu. Jeszcze cztery lata, a zostałby mianowany Królewskim Inspektorem Zachodu. Dziadek ufał mu do tego stopnia, że gotów był obdarzyć go pełnym dowództwem.

— Ojciec to nie dziadek, Arutha. Pamiętaj, że dziadek dorastał w czasach, kiedy jeszcze wojowaliśmy koło Crydee, pacyfikując nowo zdobyte tereny. Dorastał

w czasie wojny. Ojciec zaś wyuczył się rzemiosła wojennego w Dolinie Snów, walcząc przeciwko wojskom Keshu, a nie broniąc swego domu rodzinnego jak dziadek. Czasy się zmieniają.

— Rzeczywiście, zmieniają się — zauważył Arutha, uśmiechając się kwaśno. — Dziadek, jak i jego dziad, nie siedzieliby bezpiecznie za murami zamku. Od rozpoczęcia wojny, od dwóch lat nie przeprowadziliśmy żadnego poważnego ataku na Tsuranich. Nie możemy dłużej godzić się z tym, żeby oni dyktowali kierunek rozwoju wydarzeń w tej wojnie. Jeżeli na to pozwolimy, nie ma wątpliwości, kto w końcu zwycięży.

Lyam spojrzał na brata z troską w oczach.

— Arutha, wiem, że aż cię roznosi, aby pogonić wroga, lecz Fannon ma rację, nie wolno nam ryzykować utraty garnizonu. Musimy twardo się trzymać i bronić tego, co posiadamy.

Arutha rzucił okiem za siebie na przygnębiony tłum, idący za nimi.

— Wytłumacz tym za nami, pod jak dobrą są opieką — powiedział z goryczą.

— Wiem, bracie, że mnie obwiniasz. Gdybym posłuchał twojej rady, a nie Fannona…

Arutha spojrzał na niego cieplejszym wzrokiem.

— Wiem, że to nie twoja wina — przyznał. — Stary Fannon jest po prostu ostrożny. Wyznaje także zasadę, że wartość żołnierza mierzy się ilością siwych włosów w jego brodzie. Dla niego wciąż jestem chłopakiem Księcia. Obawiam się, że od tej chwili moje opinie w ogóle przestaną się liczyć.

— Weź w karby swą niecierpliwość, młodzieńcze — powiedział Lyam z udawaną powagą. — Być może historia potoczy się bezpiecznym, złotym środkiem, pomiędzy twoją zapalczywością a ostrożnością Fannona, kto wie? — Lyam roześmiał się.

Śmiech Lyama był dla brata zawsze zaraźliwy, i tym razem nie zdołał się opanować.

— Być może, Lyam — powiedział Arutha śmiejąc się.

Dotarli do plaży. U wybrzeża czekały długie łodzie, którymi uchodźcy mieli się dostać na pokład zakotwiczonych na morzu statków. Kapitanowie odmówili przybicia do nabrzeża, dopóki nie otrzymają dla swoich statków gwarancji bezpieczeństwa. Aby dostać się na łodzie, uciekinierzy z miasta musieli więc brnąć przez płytką przybrzeżną wodę, trzymając wysoko nad głowami dobytek i małe dzieci. Starsze dzieciaki płynęły radośnie, traktując to jak zabawę. Odjazdowi towarzyszyły liczne rozstania pełne łez i smutku. Większość mężczyzn z miasta zostawała na miejscu, aby odbudować spalone domy, a także by służyć pod rozkazami Księcia. Kobiety, dzieci i starsi mieli być odtransportowani na pokładach statków do Tulan, najbardziej na południe wysuniętego miasta w Księstwie. Tulan, przynajmniej do tej pory, nie było niepokojone ani przez Tsuranich, ani przez miotających się wściekle w Zielonym Sercu Mrocznych Braci…

Arutha i Lyam zsiedli z koni. Żołnierz zaopiekował się ich wierzchowcami. Obaj bracia przypatrywali się z uwagą, jak żołnierze ładują na jedną z wyciągniętych na plażę łodzi klatki z gołębiami pocztowymi. Ptaki miały dotrzeć poprzez Mroczne Cieśniny do obozu Księcia. Gołębie, które wyuczono, jak mają wrócić z obozu Księcia do Crydee, były właśnie w drodze. Po ich przybyciu obowiązek przekazywania wieści pomiędzy jednym a drugim miejscem miał przestać należeć do tropicieli Martina i Strażników Natalskich. W tym roku po raz pierwszy dysponowali gołębiami, które wychowały się na terenie obozu, co było konieczne, aby w ptakach mógł się rozwinąć instynkt powrotu do domu rodzinnego.

Wkrótce załadowano na łodzie wszystkich uciekinierów i ich dobytek. Dla Lyama nadszedł czas odjazdu. Fannon pożegnał się z nim sztywno i oficjalnie, lecz z twarzy starego wojaka można było wyczytać, że naprawdę niepokoi się losem starszego syna Księcia. Fannon nie miał własnej rodziny i był dla obu synów Księcia jakby wujem czuwającym nad ich dorastaniem. Osobiście uczył ich władać bronią, dbać o zbroję oraz wykładał im teorię sztuki wojennej. Chociaż w chwili pożegnania starał się trzymać fason, obaj bracia widzieli, że darzy ich prawdziwą miłością.

Kiedy odszedł, Arutha i Lyam padli sobie w objęcia.

— Opiekuj się Fannonem — powiedział Lyam.

Arutha spojrzał na niego zdziwiony.

— Nawet nie chcę myśleć, co by się tutaj działo, gdyby ojciec znowu cię pominął i mianował komendantem garnizonu Algona — powiedział Lyam, uśmiechając się filuternie.

Arutha jęknął i wybuchnął śmiechem razem z bratem. Z formalnego punktu widzenia Algon, jako koniuszy, był drugi w kolejności dowodzenia. Wszyscy w zamku szczerze go lubili i mieli głęboki szacunek dla jego ogromnej wiedzy na temat koni, lecz z drugiej strony, panowało ogólne przekonanie, że Algon nie zna się absolutnie na niczym poza końmi właśnie. Po dwóch latach ciężkich zmagań wojennych w dalszym ciągu nie przyjmował do wiadomości istnienia najeźdźców z innego świata, co było źródłem nie kończącej się irytacji Tully'ego.

Lyam ruszył przez wodę do trzymanej przez dwóch żołnierzy łodzi. Odwrócił się.

— Opiekuj się naszą siostrą, Arutha — krzyknął.

Arutha odkrzyknął, że nie zapomni o niej, i Lyam wskoczył do łodzi, usiadł koło klatek z cennymi gołębiami, po czym zepchnięto łódź na głębszą wodę. Arutha stał na plaży i patrzył, jak z każdą chwilą maleje, płynąc w stronę czekającego statku.

Wrócił powoli do swojego wierzchowca. Zatrzymał się i popatrzył wzdłuż plaży. Na południu piętrzyło się wysoko na tle porannego nieba skaliste wybrzeże. Nad linią horyzontu dominował strzelisty szczyt Boleści Żeglarza. Arutha przeklął w duchu dzień, w którym statek Tsuranich rozbił się o głazy u jego podnóża.

* * *

Carline stała na szczycie południowej wieży zamku, wpatrując się w horyzont. Na górze wiał silny wiatr od morza i dziewczyna szczelnie owinęła się peleryną. Nie chciała jechać na plażę i pożegnała się z Lyamem w zamku. Wolała, by jej obawy nie zmąciły radości brata, który cieszył się bardzo, że już wkrótce spotka się z ojcem w obozie. Już nieraz w ciągu ostatnich dwóch lat karciła się sama w duchu za swe odczucia. Wszyscy mężczyźni wokół niej byli żołnierzami od najwcześniejszych, chłopięcych lat przygotowywanymi do wojennego rzemiosła. Z chwilą, kiedy do Crydee dotarła wiadomość o pojmaniu Puga, zaczęła się o nich bać.

Ktoś delikatnie chrząknął za Carline. Odwróciła się. Lady Glynis, towarzyszka Księżniczki, nie odstępująca jej na krok przez ostatnie cztery lata, uśmiechnęła się lekko i ruchem głowy wskazała na nowo przybyłego, który właśnie pojawił się w czarnym otworze na szczycie schodów.

Po chwili stanął przy niej Roland. W ciągu ostatnich dwóch lat wyrósł bardzo, dorównując wzrostem Aruthcie. Nadal był chudy, lecz jego chłopięce rysy zmężniały.

Skłonił się przed Księżniczką.

— Wasza Wysokość.

Carline skinęła lekko głową i dała lady Glynis znak, aby zostawiła ich samych. Dama do towarzystwa zniknęła w kwadratowym otworze prowadzącym na dół.

— Nie pojechałeś na plażę z Lyamem? — spytała miękko.

— Nie, Wasza Wysokość.

— Rozmawiałeś z nim przed wyjazdem?

Roland spojrzał na daleki horyzont.

— Tak, Wasza Wysokość, chociaż muszę przyznać, że jego odjazd nie wprawił mnie w najlepszy humor.

Carline kiwnęła ze zrozumieniem głową.

— Ponieważ musiałeś zostać.

— Tak, Wasza Wysokość — odpowiedział z goryczą w głosie.

— Dlaczego jesteś taki oficjalny, Rolandzie? — spytała delikatnie.

Roland spojrzał na Księżniczkę, która w Dniu Przesilenia Letniego skończyła siedemnaście lat. Nie była już rozkapryszoną, małą dziewczynką, złoszczącą się z byle powodu. Przemieniała się w oczach w piękną kobietę, podchodzącą poważnie do siebie i świata. Tylko nieliczni na zamku nie wiedzieli o wielu nieprzespanych przez nią nocach, podczas których, po dotarciu wieści o Pugu, z jej komnaty dochodziło bolesne łkanie. Po prawie tygodniowej samotności Carline wyszła na świat przemieniona. Była bardziej wyciszona i nie tak uparta jak kie-

dyś. Nie okazywała na zewnątrz swoich uczuć, ale Roland dobrze wiedział, że w jej sercu została głęboka blizna.

Roland milczał przez dłuższy czas.

— Wasza Wysokość, kiedy… — przerwał w pół słowa. — Nieważne.

Carline położyła mu rękę na ramieniu.

— Rolandzie, cokolwiek się zdarzyło, zawsze byliśmy przyjaciółmi.

— Te słowa sprawiają mi wielką radość, pani.

— Powiedz mi więc, dlaczego pomiędzy nami wyrosła ściana?

Roland westchnął głęboko i spojrzał na nią poważnie. Nie było w nim ani śladu typowego dla niego, łobuzerskiego poczucia humoru.

— Jeśli tak rzeczywiście się stało, to nie ja ją wzniosłem.

Pojawiła się nagle przed nim dawna Carline. Oczy jej rozbłysły, a policzki poczerwieniały.

— Zatem to niby ja mam być architektem ochłodzenia stosunków? — spytała napastliwie ostrym głosem.

Roland zdenerwował się.

— A tak, Carline!

Gwałtownym ruchem przeczesał palcami długie, brązowe włosy.

— Czy pamiętasz ten dzień, kiedy pobiłem się z Pugiem? Tuż przed jego wyjazdem?

Zesztywniała na dźwięk imienia Puga.

— Tak, pamiętam — powiedziała chłodno i powoli.

— To była głupota, dziecinada. Powiedziałem mu wtedy, że jeżeli kiedykolwiek zrobi ci krzywdę, rozniosę go na strzępy. Mówił ci o tym?

Wbrew jej woli do oczu zaczęły napływać łzy.

— Nie, nigdy o tym nie wspomniał — powiedziała miękko.

Roland spojrzał na twarz dziewczyny, którą kochał od lat.

— Wtedy przynajmniej znałem swego rywala — powiedział ciszej.

Gniew powoli mijał.

— Chcę wierzyć, że wówczas, pod koniec, zostaliśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Mimo to poprzysiągłem sobie, że nigdy nie zaprzestanę próbować odmienić twe serce, Carline.

Choć dzień nie był wcale chłodny, opanowały ją dreszcze. Otuliła się ciaśniej peleryną. Jej sercem szarpały sprzeczne emocje, których nie potrafiła opanować i zrozumieć.

— Dlaczego nie mówisz dalej, Rolandzie? — spytała łamiącym się głosem.

W Rolandzie rozgorzał niepohamowany gniew. Po raz pierwszy w życiu w obecności Księżniczki opadła maska dobrego wychowania i sprytu.

— Ponieważ nie mogę rywalizować ze wspomnieniami, Carline.

Otworzyła szeroko oczy, a po policzkach popłynęły łzy.

— Mogę stanąć twarzą w twarz z kimś z krwi i kości, ale nie potrafię się zmagać z cieniem z przeszłości.

Rozpierająca go wściekłość eksplodowała słowami.

— Carline! On nie żyje! Bardzo mi żal, że tak się stało, wierz mi. Był moim przyjacielem i brak mi go, lecz wiem, że odszedł na zawsze. Pug jest martwy. Dopóki nie dopuścisz do siebie tej prawdy, będziesz żyła fałszywą nadzieją.

Zakryła gwałtownie usta dłonią. Oczy patrzyły na niego z bezgłośnym protestem. Odwróciła się raptownie i zbiegła pędem po schodach.

Roland został sam. Oparł się ciężko łokciami o zimne kamienie muru okalającego szczyt wieży. Ukrył twarz w dłoniach.

— Ale ze mnie głupiec! — wyszeptał do siebie.

* * *

— Patrol! — zakrzyknął wartownik ze szczytu murów.

Arutha i Roland obserwowali właśnie ćwiczących pod okiem żołnierzy rekrutów z okolicznych wiosek. Ruszyli w kierunku bramy.

Niewielki oddział, składający się z kilkunastu brudnych i zmęczonych jeźdźców, wjeżdżał na dziedziniec. Obok szedł Martin Długi Łuk i dwóch tropicieli.

Arutha przywitał się z łowczym.

— Co tam masz?

Wskazał na trzech mężczyzn odzianych w krótkie, szare ubrania, stojących między dwoma szeregami konnych.

— Jeńcy, Wasza Wysokość — odpowiedział Martin, wspierając się na łuku.

Arutha odesłał zmęczonych jeźdźców, a na ich miejsce zawołał innych żołnierzy, którzy objęli straż przy więźniach. Arutha podszedł bliżej. Kiedy stanął koło nich, cała trójka padła na kolana i dotknęła czołami ziemi.

Arutha podniósł brwi ze zdziwienia.

— Jeszcze nigdy takich nie widziałem.

Martin przytaknął ruchem głowy.

— Kiedy znaleźliśmy ich w lesie, nie nosili zbroi ani nie próbowali stawiać oporu czy choćby uciekać. Zrobili to, co przed chwilą, a do tego zaczęli gadać coś jak najęci.

Arutha zwrócił się do Rolanda.

— Zawołaj ojca Tully’ego. Może on ich zrozumie.

Roland pobiegł, aby poszukać kapłana. Martin zwolnił dwóch tropicieli, którzy pośpiesznie udali się w stronę kuchni. Wysłano także jednego z gwardzistów, by odnalazł Mistrza Fannona i powiadomił go o wzięciu jeńców.

Roland wrócił po kilku minutach z ojcem Tullym. Stary kapłan Astalona miał na sobie długą, ciemnogranatową, prawie czarną szatę. Ujrzawszy go, pojmani nachylili się ku sobie i zaczęli coś szeptać gwałtownie. Kiedy Tully spojrzał w ich stronę, zamilkli natychmiast. Arutha spojrzał zdziwiony na Martina.

— A to? — spytał Tully.

— Jeńcy — odpowiedział Arutha. — Ponieważ tylko ty miałeś do czynienia z ich językiem, pomyślałem, że może uda ci się coś od nich wydobyć.

— Niewiele co prawda pamiętam z kontaktu umysłowego z Xomichem, ale nie zawadzi spróbować.

Z ust kapłana wydobyło się kilka urywanych słów. Na ich dźwięk pośród więźniów zapanowało zamieszanie. Wszyscy trzej zaczęli mówić jednocześnie. W końcu stojący w środku, niski, lecz potężnie zbudowany, powiedział coś ostrym głosem do pozostałych i zamilkli. Miał brązowe włosy, ogorzałą cerę i zadziwiająco zielone oczy. Zaczął mówić do ojca Tully'ego powoli i bez takiego uniżenia jak u jego towarzyszy.

Tully pokręcił głową.

— Nie jestem pewien, ale chyba chce się dowiedzieć, czy jestem Wielkim z tego świata.

— Wielkim? — spytał Arutha.

— Umierający żołnierz Tsuranich wyrażał się z ogromnym szacunkiem o człowieku na pokładzie statku, którego wszyscy nazywali: „Wielki". Sądzę, że nie odnosi się to do konkretnej osoby, ale jest to raczej pewnego rodzaju tytuł. Być może Kulgan miał rację, że ci ludzie żywią ogromny szacunek dla swych kapłanów czy magów i obawiają się ich.

— Kim są ci ludzie? — zapytał Książę.

Zacinając się co chwila, Tully wypowiedział kilka słów. Człowiek w środku zaczął odpowiadać powoli, lecz Tully przerwał mu machnięciem ręki.

— To niewolnicy.

— Niewolnicy?

Aż do tej pory nie mieli kontaktu z żadnymi innymi Tsuranimi z wyjątkiem wojowników. Wiadomość, że obcy praktykowali niewolnictwo, przyjęli z wielkim zdziwieniem i zaskoczeniem. Chociaż zjawisko to nie było nieznane w Królestwie, jednakże nie było rozpowszechnione i w praktyce ograniczało się do skazanych przestępców. W ich stronach, wzdłuż Dalekiego Wybrzeża prawie nie występowało. Niewolnictwo wśród Tsuranich wydało się Księciu dziwne i odrażające. Ludzie przychodzili na świat w różnych warstwach społecznych, jednakże nawet ci najniżej urodzeni posiadali niezbywalne prawa, które szlachta miała obowiązek respektować. Niewolnicy nie byli czymś, co się posiadało jak rzecz.

— Na litość boską, Tully, powiedz im, żeby natychmiast się podnieśli.

Tully przemówił do jeńców, którzy wstali powoli. Dwaj stojący po bokach wyglądali jak przestraszone dzieci. Trzeci Tsurani stał spokojnie z lekko spusz-

czonymi powiekami. Tully coraz lepiej radził sobie z obcym językiem. Zadawał im kolejne pytania.

Stojący pośrodku jeniec mówił przez dłuższy czas. Kiedy skończył, Tully zwrócił się do Księcia i pozostałych.

— Zostali wyznaczeni do pracy na zajętych przez nich obszarach nad rzeką. Mówią, że obóz został zaatakowany przez leśnych ludzi, chodzi mu chyba o Elfy, oraz niskich.

— Bez wątpienia chodzi mu o Krasnoludy — podpowiedział Martin, uśmiechając się szeroko.

Tully spojrzał na niego ostro. Wolny duchem leśniczy nie przestał się uśmiechać szeroko. Martin był jednym z tych nielicznych młodych ludzi na zamku, który nigdy, nawet zanim sam został członkiem dworu książęcego, nie dał się onieśmielić czy zastraszyć staremu kapłanowi.

— No więc, jak mówiłem — ciągnął dalej Tully po krótkiej przerwie — Elfy i Krasnoludy napadły i zdobyły ich obóz. Ci trzej uciekli obawiając się, że zostaną zabici. Błąkali się przez kilka dni po lesie, aż natknął się na nich dziś rano nasz patrol i zabrał ze sobą.

— Ten w środku wydaje się inny od reszty — zauważył Arutha. — Zapytaj dlaczego.

Tully przemówił powoli do obcego, który odpowiedział spokojnym głosem. Kiedy skończył, Kapłan spojrzał na nich zdziwiony.

— Mówi, że nazywa się Tchakachakalla. Był kiedyś oficerem Tsuranich!

— Co za szczęśliwe zrządzenie losu. Jeżeli zgodzi się współpracować z nami, może w końcu dowiemy się czegoś o wrogach.

Pojawił się Fannon. Podszedł szybkim krokiem do Aruthy, który przesłuchiwał więźnia.

— O co tu chodzi? — zapytał komendant Crydee.

Arutha przedstawił w skrócie to wszystko, co usłyszał od pojmanego.

— Bardzo dobrze, proszę kontynuować przesłuchanie.

Arutha zwrócił się do Tully'ego.

— Zapytaj, jak to się stało, że został niewolnikiem.

Tsurani nie okazał żadnego zmieszania czy wstydu i opowiedział swoją historię. Kiedy skończył mówić, Tully stał przez dłuższy czas, kręcąc głową.

— Był dowódcą uderzenia. Nie wiem, jakiej odpowiada to randze w naszej armii, dokładne określenie może nam zająć trochę czasu, wydaje mi się jednak, że u nas byłby przynajmniej porucznikiem. Mówi, że jego ludzie załamali się w czasie jednej z wcześniejszych potyczek i jego „dom" utracił honor. Ktoś, kogo nazywa komendantem wojennym, nie zezwolił mu, by odebrał sobie życie. Został niewolnikiem, żeby odpokutować złe dowodzenie.

Roland gwizdnął przeciągle pod nosem.

— Jego ludzie uciekli z pola walki, a on został uczyniony odpowiedzialnym za to?

Martin rzekł:

— Niejeden pan zawiódł już u nas podczas dowodzenia, za co potem, na rozkaz Księcia, któremu podlegał, służył pod komendą jednego z baronów pogranicza gdzieś na Północnych Bagnach.

Tully obrzucił Rolanda i Martina złym spojrzeniem.

— Skończyliście już?

Odczekał chwilę i zwrócił się do Aruthy i Fannona.

— Z jego opowieści wynika, że pozbawiono go absolutnie wszystkiego. Niewykluczone, że może nam się przydać.

— A może to jakiś podstęp? — zauważył Fannon. — Nie podoba mi się jego wygląd.

Jeniec podniósł gwałtownie głowę i wpatrzył się w Fannona przymrużonymi oczami.

Martin otworzył szeroko usta.

— Na Kiliana! Chyba cię zrozumiał.

Fannon podszedł i stanął twarzą w twarz z pojmanym.

— Rozumiesz, co mówię?

— Trochę, panie. — Mówił powoli, z ciężkim, obcym akcentem i z lekkim zaśpiewem charakterystycznym dla języka Tsuranich. — Wielu niewolników z Królestwa na Kelewan. Mało znać język królewski.

— Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej?

Tsurani spojrzał na niego beznamiętnie.

— Nie było polecenia. Niewolnik posłuszny. Nie… — zwrócił się do Tully'ego i powiedział parę słów.

— Mówi, że niewolnikowi nie uchodzi okazywanie inicjatywy.

— Tully, jak myślisz, można mu zaufać? — zapytał Arutha.

— Nie wiem. Jego opowieść jest dziwna, ale oni wszyscy według naszej miary są trochę dziwni. W czasie trwania mego kontaktu umysłowego z umierającym żołnierzem dowiedziałem się wielu rzeczy, których nadal nie rozumiem — powiedział kapłan, zwracając się przy tym do obcego.

— Tchakachakalla powiedzieć — powiedział Tsurani do Aruthy, szukając z trudem właściwych słów. — Ja Wedewayo. Mój dom, rodzina. Mój klan Hunzan. Bardzo stary, wielki honor. Teraz niewolnik. Nie mieć dom, nie mieć klan, nie być Tsuranuanni. Nie mieć honor. Niewolnik być posłuszny.

— Chyba rozumiem. Gdybyś powrócił do Tsuranich, co by się z tobą stało?

— Być niewolnik, może. Być zabity, może. To samo.

— A jeżeli zostaniesz tutaj?

— Być niewolnik, być zabity? — Wzruszył ramionami, nie okazując większego zainteresowania tematem.

— U nas nie ma niewolników — powiedział powoli Arutha. — Co zrobisz, jeżeli cię uwolnimy?

Przez twarz obcego przebiegł dreszcz emocji. Spojrzał na Tully'ego i zaczął szybko mówić. Po chwili kapłan przetłumaczył.

— Powiedział, że to nie byłoby możliwe w jego świecie. Pyta, czy rzeczywiście możesz to uczynić.

Arutha kiwnął głową. Tsurani wskazał na swoich towarzyszy.

— Oni pracować. Oni zawsze niewolnicy.

— A ty?

Tchakachakalla spojrzał twardo na Aruthę i nie odrywając ani na sekundę wzroku, mówił coś do Tully'ego.

— Wylicza swoje pochodzenia. Mówi, że jest dowódcą uderzenia z rodziny Wedewayo, z klanu Hunzan. Jego ojciec był dowódcą armii, a jego pradziadek komendantem wojennym klanu Hunzan. Walczył z honorem i tylko raz nie spełnił w sposób właściwy swego obowiązku. Teraz jest tylko niewolnikiem pozbawionym rodziny, klanu, narodu i honoru. Pyta, czy rzeczywiście chcesz mu zwrócić honor.

— Co zrobisz, jeżeli nadejdą Tsurani?

Obcy wskazał na dwóch pozostałych jeńców.

— Ci ludzie niewolnicy. Tsurani przyjść, oni nie robić nic. Czekać. Pójść z... — zamienił parę słów z Tullym, który podsunął mu potrzebne słowo — zwycięzcy. Oni pójść ze zwycięzcami.

Spojrzał z ożywieniem na Aruthę.

— Ty zrobić Tchakachakalla wolny. On być twój człowiek, panie. Twój honor być honor Tchakachakalla. Dać życie, jeżeli ty tak powiedzieć. Walczyć z Tsurani, jeżeli ty powiedzieć.

— Niezła historyjka. Daję głowę, że to szpieg — powiedział Fannon.

Potężnie zbudowany Tsurani popatrzył hardo na Mistrza Miecza i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyciągnął mu nóż zza pasa.

Martin wyrwał swój w ułamek sekundy po nim. Jednocześnie Arutha sięgnął po miecz. W chwilę później w ich ślad poszedł Roland i pozostali żołnierze. Jednakże Tsurani nie wykonał żadnego niebezpiecznego ruchu. Zamiast tego odwrócił nóż ostrzem w swoją stronę i podał Fannonowi.

— Pan myśleć Tchakachakalla wróg? Mistrz zabić. Dać wojownikowi śmierć. Zwrócić honor.

Arutha wepchnął miecz do pochwy, wyjął nóż z ręki jeńca i oddał Fannonowi.

— Nie, nie zabijemy cię.

Spojrzał na Tully'ego.

— Wydaje mi się, że ten człowiek może nam się przydać. Na razie mu wierzę.

Fannon nie wyglądał na zbyt szczęśliwego.

— Być może to bardzo przebiegły szpieg, ale masz rację. Nic się nie stanie, jeżeli będzie dobrze pilnowany. Ojcze Tully, może byś zabrał pojmanych do koszar i spróbował coś więcej z nich wyciągnąć. Zaraz do was przyjdę.

Tully odwrócił się do jeńców i wskazał, aby poszli za nim. Dwaj cisi i pokorni natychmiast ruszyli. Tchakachakalla ukląkł na jedno kolano przed Aruthą. Mówił szybko w swoim języku, a Tully tłumaczył.

— Zażądał, abyś go od razu zabił albo uczynił swoim człowiekiem. Pyta, jak można być wolnym, nie mając domu, klanu ani honoru. W jego świecie tacy ludzie nazywani są Szarymi Wojownikami i pozbawieni są honoru.

— Zwyczaje panujące w twoim świecie nie są naszymi zwyczajami. Tutaj mężczyzna może nie mieć rodziny czy klanu, a mimo to ma swój honor.

Tsurani słuchał uważnie z lekko pochyloną głową. Kiedy Arutha skończył mówić, jeniec pokiwał głową i wstał.

— Tchakachakalla rozumieć. — Uśmiechnął się i po chwili dodał. — Wkrótce ja być twój człowiek. Dobry pan potrzebować dobry wojownik. Tchakachakalla dobry wojownik.

— Tully, zabierz ich i dowiedz się, jak wiele Tchak… Tchakal… — Arutha zaśmiał się. — Nie jestem w stanie tego wymówić. Język sobie połamię.

Zwrócił się do jeńca.

— Jeżeli masz nam tutaj służyć, musisz zmienić imię.

Jeniec rozejrzał się dookoła i skinął szybko głową.

— Nazwij go Charles. Prawie tak samo brzmi — powiedział Martin.

— Imię dobre jak każde inne. Od teraz będziemy cię nazywać Charles.

— Tcharles? — „Nowoochrzczony” jeniec powtórzył za nim. Wzruszył ramionami i kiwnął głową. Bez słowa ruszył za Tullym, który poprowadził ich w stronę koszar.

— Co o tym sądzicie? — zapytał Roland, kiedy cała czwórka zniknęła im z oczu za rogiem.

— Czas pokaże, czy nas oszukano — odpowiedział Fannon.

Martin zaśmiał się.

— Będę miał oko na Charlesa, Mistrzu Miecza. To mały twardziel. Kiedy prowadziliśmy ich do zamku, biegł cały czas w niezłym tempie. Może zrobię z niego tropiciela, kto wie?

Arutha przerwał mu.

— Musi minąć trochę czasu, zanim zaryzykuję wypuszczenie go poza mury zamku.

Fannon zmienił temat rozmowy.

— Gdzieście ich znaleźli?

— Na północy. W okolicach dopływu rzeki zwanego Czystym Strumieniem. Podążaliśmy śladami dużego oddziału, kierującego się w stronę wybrzeża.

Fannon zastanawiał się przez kilka chwil.

— Gardan dowodzi innym patrolem w tamtych stronach. Może natknie się na nich i dowiemy się, co te bękarty teraz zamierzają.

Odwrócił się bez słowa i odszedł w stronę zamku. Martin roześmiał się głośno. Arutha spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Co cię tak ubawiło, Martin?

Długi Łuk pokręcił głową.

— Nic wielkiego, Wasza Wysokość. Mistrz Miecza nie przyzna się za nic do tego, ale dam sobie rękę odciąć, że zrobiłby wszystko, aby twój ojciec, panie, wrócił i objął znowu komendę. Fannon to bardzo dobry żołnierz, ale nie lubi brać na siebie odpowiedzialności.

Arutha spojrzał za odchodzącym Mistrzem Miecza.

— Chyba masz rację, Martin — powiedział z namysłem. — Tak się ciągle spierałem z Fannonem, iż przeoczyłem fakt, że przecież nigdy nie prosił o to stanowisko.

Martin przysunął się bliżej Księcia.

— Mogę coś zasugerować, Arutha? — powiedział zniżonym głosem.

Arutha skinął głową. Martin wskazał na Fannona.

— Gdyby coś się mu przytrafiło, mianuj niezwłocznie nowego Mistrza Miecza. Nie czekaj na potwierdzenie i zgodę ojca. Jeżeli będziesz czekał, komendę obejmie Algon, a wszyscy wiemy, że z rozumem u niego nietęgo.

Słysząc przypuszczenie Martina, Arutha zesztywniał. Roland rzucił Martinowi ostrzegawcze spojrzenie, usiłując go uciszyć.

— Myślałem, że jesteś przyjacielem Koniuszego — powiedział zimno Książę.

Martin uśmiechnął się. W oczach igrały charakterystyczne dla niego ogniki.

— Zgadza się. Jestem jego przyjacielem, jak wszyscy w zamku, lecz spójrzmy na to uczciwie. Zapytaj któregokolwiek mieszkańca zamku, a powie ci to samo: zabierz konie, a po prawdziwym Algonie zostaje mierny myśliciel.

Zachowanie Martina rozdrażniło Aruthę.

— A kto powinien, twoim zdaniem, zająć jego miejsce? Wielki Łowczy?

Martin zareagował na tę sugestię tak gromkim i szczerym śmiechem, że rozbroił Aruthę.

— Ja? Niech bogowie bronią, Wasza Wysokość. Jestem prostym myśliwym i nikim więcej. Gdyby było trzeba, mianuj na jego miejsce Gardana. To najlepszy żołnierz w Crydee.

Arutha wiedział, że Martin miał rację, lecz zniecierpliwił się.

— Dosyć. Fannon ma się dobrze i mam nadzieję, że tak pozostanie.

Martin kiwnął głową.

— Niech bogowie mają go w swojej opiece… i nas wszystkich. Przepraszam, Wasza Wysokość, ale tak mi się jakoś skojarzyło. Za przyzwoleniem Waszej Wysokości, od tygodnia nie miałem nic ciepłego w ustach…

Arutha dał znak, że Martin może odejść, i Łowczy oddalił się pośpiesznie w kierunku kuchni.

— Martin w jednym nie ma racji — powiedział Roland.

Książę skrzyżował ręce na piersi i spoglądał za Martinem.

— W czym, Rolandzie?

— Odnoszę wrażenie, że Martin to ktoś znacznie więcej niż, jak mówi, prosty myśliwy.

Arutha milczał przez dłuższy czas.

— Tak, masz rację. Jest w nim coś takiego, że zawsze się czuję nieswojo w jego obecności, chociaż nigdy nie złapałem go na żadnym przewinieniu.

Roland roześmiał się.

— A co ciebie rozbawiło, Rolandzie?

Roland wzruszył ramionami.

— Niektórzy twierdzą, że jesteście do siebie bardzo podobni.

Arutha spojrzał na niego złym wzrokiem. Roland pokręcił głową.

— Mówi się często, że najbardziej dotyka nas i boli u innych to, co jest w nas samych. To prawda, Arutha. Obaj macie takie samo ostre, jakby drwiące poczucie humoru. Obaj nie znosicie głupoty. — Roland spoważniał nagle. — Moim zdaniem nie ma w tym wielkiej tajemnicy. Jesteś bardzo podobny do swego ojca, Arutha. Martin, nie mając swojej rodziny, jakby w naturalny sposób wzoruje się na Księciu.

Arutha zamyślił się.

— Może masz i rację. Ale jest w nim jeszcze coś, co nie daje mi spokoju… — Nie dokończył myśli, odwrócił się i poszedł w stronę zamku. Roland szedł przy jego boku, zastanawiając się w duchu, czy trochę nie przesadził.

* * *

W nocy rozpętała się burza. Z zachodu napłynęły ciężkie chmury, a czarne niebo rozświetlały co chwila poszarpane błyskawice, którym towarzyszył rozdzierający uszy trzask gromu. Roland stał na szczycie południowej wieży i przyglądał się widowisku. Od kolacji był w nastroju równie czarnym, jak nadciągające chmury. To był kiepski dzień. Po pierwsze, nie dawała mu spokoju rozmowa z Aruthą przy bramie. Potem Carline przywitała go przy kolacji tym samym lodowatym milczeniem, jakim raczyła go od czasu pamiętnej rozmowy na tej samej wieży dwa tygodnie temu. Była jeszcze bardziej wyciszona niż zazwyczaj. Ilekroć rzucił w jej stronę spojrzenie, przeszywała go wściekłość na samego siebie. W jej oczach niezmiennie dostrzegał głęboki ból.

— Ale ze mnie skończony idiota — powiedział na głos.

— Nie jesteś idiotą, Rolandzie.

Carline stała kilka kroków za nim, obserwując burzę. Chociaż było dosyć ciepło, na ramiona miała zarzucony szal. Trzask piorunów zagłuszył jej kroki i Roland nie zauważył jej przyjścia.

— To nie jest najlepsza noc, aby przebywać na szczycie wieży, pani.

Podeszła bliżej i stanęła obok.

— Będzie padało? Gorące noce często przynoszą burze, ale rzadko kiedy pada.

— Tym razem będzie padać. Gdzie są twoje damy do towarzystwa?

Pokazała na otwór w podłodze, prowadzący na dół.

— Na schodach. Boją się piorunów, a poza tym chciałam z tobą porozmawiać na osobności.

Roland nic nie odpowiedział. Carline milczała przez dłuższą chwilę. Mrok nocy dławił rozdzierający niebo pokaz energii i łoskot gromów.

— Kiedy byłam mała — odezwała się w końcu Carline — w czasie nocy takich, jak ta, ojciec mówił, że bogowie grają w niebie w kręgle.

Roland spojrzał na Carline. Jej twarz oświetlało światło jedynej latarni wiszącej na murze.

— A mój ojciec mówił, że się biją.

Uśmiechnęła się.

— Miałeś rację… wtedy, w dniu, kiedy Lyam wyjechał. Pogubiłam się we własnej rozpaczy i nie potrafiłam spojrzeć prawdzie w oczy. Pug byłby pierwszym, który by powiedział, że nic nie trwa wiecznie, że życie przeszłością jest głupie i pozbawia nas przyszłości. — Pochyliła głowę. — To chyba ma jakiś związek z ojcem. Po śmierci mamy już nigdy nie doszedł do siebie. Byłam wtedy bardzo mała, ale dobrze pamiętam, jaki był. Był wesoły i śmiał się często. Wtedy bardziej przypominał Lyama. A potem… no cóż, potem był taki, jak Arutha. Oczywiście śmiał się co jakiś czas, ale to już nigdy nie był czysty, radosny, szczery śmiech, zawsze była w nim szczypta goryczy…

— Jakby drwił z kogoś czy przedrzeźniał?

Zamyśliła się, kiwając powoli głową.

— Tak, kpił. Dlaczego to powiedziałeś?

— Chodzi o to, co dzisiaj zauważyłem… coś, na co zwróciłem uwagę dzisiaj twemu bratu u Martina Długi Łuk.

Westchnęła głęboko.

— Tak, masz rację. Rozumiem. Martin też jest taki sam.

Roland przerwał jej delikatnie.

— No, ale nie przyszłaś tu, aby rozmawiać o bracie i Martinie.

— Rzeczywiście, przyszłam, aby ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro, że zachowałam się w ten sposób. Byłam zła na ciebie przez ponad dwa tygodnie,

a przecież nie miałam prawa. Powiedziałeś tylko prawdę. Nie zachowałam się uczciwie wobec ciebie.

Roland spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie, Carline. Nie masz racji, to ja zachowałem się jak ostatni gbur.

— Nie, Rolandzie, nie masz racji. Nie zrobiłeś nic złego. Zachowałeś się po prostu jak prawdziwy przyjaciel. Powiedziałeś mi prawdę, a nie to, co chciałam usłyszeć. Chyba byłam okropna… biorąc pod uwagę… co czujesz. — Spojrzała w dal, w kierunku nadciągających nisko chmur. — Kiedy po raz pierwszy usłyszałam o dostaniu się Puga do niewoli, myślałam, że to koniec świata.

Roland chciał przyjść jej z pomocą.

— „Pierwsza miłość to trudna miłość” — zacytował stare przysłowie.

Carline uśmiechnęła się do niego.

— Tak mówią. A co ty sądzisz?

Roland zdobył się na obojętny ton.

— To samo, Wasza Wysokość.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Żadne z nas nie jest w stanie żywić innych uczuć niż te, które żywi się naprawdę, Rolandzie.

Uśmiechnął się do niej smutno.

— To prawda, Carline.

— Zawsze będziesz moim prawdziwym przyjacielem, prawda?

W jej głosie zabrzmiała prawdziwa troska i Rolanda ogarnęło wzruszenie. Usiłowała naprawić stosunki między nimi, ale tym razem nie uciekała się do podstępów z przeszłości. Uczciwa próba zwyciężyła jego frustrację, spowodowaną tym, że Carline nie odwzajemniała w pełni jego uczuć.

— Tak, Carline. Zawsze będę twoim prawdziwym przyjacielem.

Podeszła i przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na piersi.

— Ojciec Tully mówi, że niektóre miłości przychodzą bez zaproszenia jak wiatr od morza, a inne wyrastają z nasionka przyjaźni — powiedziała cicho.

— Mam nadzieję, że doczekam takich plonów, Carline. Jednak nawet gdyby marzenia się nie ziściły i tak nie przestanę być twym przyjacielem.

Stali dłuższy czas objęci, obdarzając się krótką chwilą czułości, której los im odmawiał od dwóch przeszło lat, i pocieszając się wzajemnie, chociaż każde z innego powodu. Zatopieni w przeżywaniu dodającej otuchy bliskości nie zauważyli obrazu, który błyskawice wydobywały z mroku na ułamki sekund. Na horyzoncie pojawił się zdążający do portu i walczący z falami statek.

* * *

Wichura szarpała proporcami wieńczącymi mury zamku. Zaczęła się ulewa. Światło latarń odbijające się w kałużach rzucało żółtawe refleksy, nadając dwóm mężczyznom stojącym na murach nieziemski wygląd.

Błyskawica rozdarła niebo, na pół oświetlając szeroką połać morza.

— Tam! — krzyknął żołnierz. — Czy Wasza Wysokość widział? Trzy rumby na południe od Skały Strażniczej. — Wyciągniętą ręką pokazywał kierunek.

Arutha z napięciem wpatrywał się w mrok.

— Nic nie widzę w tych ciemnościach. Ciemniej tu niż w duszy kapłana Guis-wan.

Słysząc imię boga śmierci, żołnierz mimowolnie wykonał magiczny gest.

— Był jakiś sygnał z wieży?

— Żadnego, Wasza Wysokość. Ani sygnału, ani posłańca.

Po niebie przemknęła kolejna błyskawica. Tym razem Arutha dostrzegł czarną sylwetkę statku na tle fioletowo-niebieskiego nieba. Zaklął pod nosem.

— Statek musi mieć naprowadzający sygnał przy Długim Cyplu, inaczej nie zdoła bezpiecznie wejść do portu.

Odwrócił się na pięcie i pędem zbiegł po schodach na dziedziniec. Krzyknął do stojącego przy bramie żołnierza, aby ten przyprowadził niezwłocznie jego konia i zawołał dwóch gwardzistów, by mu towarzyszyli. Deszcz ustał nagle. Nocne powietrze zrobiło się przejrzyste, ciepłe i wilgotne. Po paru minutach wyłonił się z ciemności Fannon.

— Co to? Przejażdżka?

— Do portu zbliża się statek. Długi Cypel nie nadaje żadnych sygnałów.

Stajenny podprowadził wierzchowca Aruthy. Za nim przyjechało dwóch gotowych do drogi gwardzistów.

— Zatem ruszajcie bez zwłoki. I powiedz tym śmierdzącym obibokom na wieży, że jak skończą służbę, to sobie z nimi porozmawiam!

Arutha spodziewał się sprzeciwu Fannona, lecz wszystko poszło gładko i Książę poczuł mimowolnie ulgę. Wskoczył na siodło. Otwarto bramę. Ruszyli galopem w dół, w stronę miasta.

Krótkotrwała ulewa napełniła noc cudownymi zapachami pełnymi świeżości. Aromat przydrożnych kwiatów i słony zapach morskiej bryzy przytłumił ostry odór spalonego drewna, unoszący się nad zwęglonymi szczątkami domów. Przemknęli drogą wzdłuż wybrzeża przez wymarłe o tej porze miasto. Dwóch wartowników na posterunku przy nabrzeżu portowym zasalutowało pośpiesznie, kiedy spostrzegli pędzącego Księcia. Domy w pobliżu doków z zabitymi deskami okna-

mi stały jak milczące świadectwo obecności i życia tych, którzy opuścili miasto po napadzie wroga.

Wyjechali poza granice miasta i galopowali dalej w stronę latarni morskiej i wieży sygnałowej. Wyjechali zza zakrętu i ich oczom ukazała się sylwetka latarni stojącej na naturalnej skalistej wysepce, do której wiodła kamienna grobla. Kopyta końskie dudniły głucho po nawierzchni z ubitej ziemi. Podjeżdżali do wieży. Błyskawica przecięła niebo i przez moment zobaczyli statek prujący fale pod pełnymi żaglami.

— Bez światła na wieży wpadną na skały — krzyknął Arutha.

— Niech Wasza Wysokość spojrzy! — odkrzyknął jeden z żołnierzy. — Ktoś tam nadaje sygnały!

Zatrzymali konie. U stóp wieży zobaczyli kilka postaci. Ubrany na czarno mężczyzna machał przysłoniętą latarnią. Jej światło można było dostrzec tylko z pokładu statku, ale nie ze szczytu murów zamku. W nikłym blasku latarni Książę ujrzał leżące nieruchomo na ziemi ciała żołnierzy z Crydee. Cztery ubrane na czarno postacie z kapturami zasłaniającymi twarze rzuciły się w ich stronę. Trzech z nich wyciągało w biegu miecze, a czwarty wymierzył z łuku. Żołnierz stojący koło Aruthy krzyknął, kiedy strzała ugodziła go w pierś. Książę pchnął w ich kierunku konia, zwalając z nóg dwóch napastników. Trzeci, cięty mieczem prosto w twarz, padł bez głosu na ziemię.

Książę zawrócił konia. Jego towarzysz także nie próżnował. Wzniósł się w strzemionach i ciął z góry łucznika. Arutha spojrzał w bok. Z wieży wybiegały bezgłośnie następne, ubrane na czarno postacie.

Wierzchowiec Księcia zarżał krótko. Z jego szyi sterczał koniec strzały. W chwili, kiedy zwierzę waliło się na ziemię, Arutha wyciągnął stopy ze strzemion, przerzucił lewą nogę ponad grzbietem konia i zeskoczył w momencie, kiedy wierzchowiec padł na ziemię. Arutha przekoziołkował, łagodząc siłę zeskoku, i stanął na nogi tuż przed niską, ubraną na czarno postacią, która trzymała oburącz wzniesiony wysoko ponad głową miecz. Długie ostrze śmignęło w dół. Arutha odskoczył w ostatniej chwili w lewo i pchnął mieczem, trafiając przeciwnika w pierś. Wyrwał miecz. Jak inni przed nim, trafiony przeciwnik padł na ziemię, nie wydawszy głosu.

Kolejna błyskawica przecięła niebo. W jej blasku dostrzegł pędzące z wieży w jego stronę postacie. Arutha odwrócił się, chcąc krzyknąć do żołnierza, żeby wracał do zamku i ostrzegł załogę. Krzyk zamarł mu w gardle, kiedy ujrzał, jak chmara czarno odzianych postaci opadła jego towarzysza i ściąga go z siodła. Arutha uchylił się przed ciosem kolejnego wroga, który zbliżył się do niego. Pędem przebiegł koło trzech następnych, którzy zatrzymali się na chwilę niezdecydowani. Rękojeścią miecza uderzył w twarz tego, który zastąpił mu drogę. W głowie Aruthy kołatała się tylko jedna myśl, aby utworzyć sobie drogę ucieczki i ostrzec mieszkańców zamku. Trafiony w twarz przeciwnik zatoczył się do tyłu. Arutha

chciał przebiec koło niego, on jednak padając chwycił go za nogę. Książę runął ciężko na ziemię. Poczuł, jak ręce przeciwnika usiłują chwycić go za prawą stopę. Kopnął z całej siły do tyłu lewą nogą, trafiając wroga w szyję. Coś chrupnęło pod stopą. Obejrzał się. Napastnik zwijał się w przedśmiertnych drgawkach.

Książę zerwał się na nogi, gdy podbiegł do niego kolejny napastnik. Inni byli o parę kroków za nim. Odskoczył, chcąc zyskać parę metrów przewagi. Obcas buta uwiązł między kamieniami. Świat zawirował szaleńczo. Przez ułamek sekundy jakby zawisł w przestrzeni, po czym uderzył plecami o kamienie i koziołkując stoczył się po stoku grobli. Znalazł się pod wodą.

Szok spowodowany zetknięciem z lodowatą wodą sprawił, że nie stracił przytomności. Chociaż oszołomiony, był na tyle przytomny, że w pierwszej chwili wstrzymał oddech, jednak powietrza nie starczyło na długo. Nie zważając na nic, odepchnął się mocno i wypłynął gwałtownie na powierzchnię, chwytając łapczywie powietrze. Mimo zamroczenia, błyskawicznie zorientował się w sytuacji i z powrotem zanurkował, w momencie kiedy tuż koło niego do wody wpadło z pluskiem kilka strzał. Wynurzył się o parę metrów dalej. Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności. Przywarł do głazów i bardziej podciągając się i odpychając, niż płynąc, posuwał się do przodu. Kierował się stronę wieży, mając nadzieję, iż napastnicy pomyślą, że zmierza w stronę brzegu.

Wynurzył się, mrugając oczami i starając się wycisnąć spod powiek słoną wodę. Przywarł do dużego głazu i wyjrzał zza niego. W pewnej odległości zobaczył kilka czarnych postaci wypatrujących go w ciemnej toni. Posuwając się powoli, wpełzł pomiędzy kamienie. Poobijane ciało i nadwerężone stawy bolały niemiłosiernie przy zetknięciu z ostrymi krawędziami. Całe szczęście, że nic nie złamałem, pomyślał.

Kolejna błyskawica rozświetliła port. Książę ujrzał statek bezpiecznie wpływający pełną szybkością do portu. Był to statek handlowy, lecz wyposażony w dodatkowe ożaglowanie w celu uzyskania większej szybkości i na wypadek działań wojennych. Ktokolwiek stał za sterem, musiał być szalonym geniuszem. Kadłub statku minął wystające skały dosłownie o centymetry. Kierował się wprost ku nabrzeżu za łukiem grobli. W olinowaniu statku uwijali się jak w ukropie refujący żagle majtkowie. Na pokładzie stał pod bronią oddział ubranych na czarno żołnierzy.

Arutha przyjrzał się napastnikom na grobli. Jeden z nich dawał ciche znaki. Po chwili wszyscy pobiegli w stronę miasta. Nie zważając na dojmujący ból w całym ciele, Arutha wciągał się po mokrych kamieniach ku górze, chcąc dotrzeć do drogi na grzbiecie grobli. Stanął, chwiejąc się na nogach. Spojrzał w kierunku miasta. Na razie nic się tam nie działo, ale dobrze wiedział, że za chwilę rozpęta się piekło.

Kuśtykając pobiegł do wieży. Z trudem wspiął się po schodach. Dwa razy omal nie stracił przytomności z wysiłku i wyczerpania, w końcu jednak dotarł na szczyt. Obok ogniska służącego do dawania sygnałów leżał martwy strażnik.

Nasycone olejem drewno chronił przed deszczem zawieszony nad nim metalowy okap. Przez otwarte okna wdzierał się do środka lodowaty wiatr.

Arutha obszukał zabitego i znalazł krzesiwo i hubkę. Otworzył maleńkie drzwiczki z boku okapu i zasłonił drewno ciałem przed podmuchami wiatru. Po drugim uderzeniu o krzemień olej na powierzchni drewna zajął się maleńkim płomieniem. Rozszerzał się szybko. Kiedy płonął pełnym blaskiem, Arutha pociągnął za łańcuch przechodzący przez bloczek podwieszony u sufitu i podniósł okap. Wiatr podsycił ogień i w okamgnieniu płomienie buchnęły z szumem pod sufit.

Pod ścianą stał słoik z proszkiem spreparowanym przez Kulgana na wypadek takiej sytuacji jak obecna. Arutha ogromnym wysiłkiem woli zwalczył narastającą w nim falę słabości. Schylił się i zza pasa zabitego wyciągnął nóż. Podważył ostrzem pokrywkę i wsypał całą zawartość słoja do ognia.

W sekundę płomienie nabrały koloru jasnego szkarłatu. Był to sygnał ostrzegawczy dla zamku i nikt nie mógł go pomylić z normalnym płomieniem. Arutha odsunął się na bok, aby nie zasłaniać sobą światła, i spojrzał w stronę zamku. Płomień stawał się coraz jaśniejszy. Zakręciło mu się w głowie. Patrzył przez dłuższą chwilę w cichą noc. Nagle z murów zamku doleciał go sygnał alarmowy. Odetchnął z ulgą. Czerwony płomień na wieży był sygnałem, że w porcie pojawili się piraci. Garnizon zamkowy był dobrze przygotowany, by stawić czoło wyzwaniu. Fannon mógł się wahać i zastanawiać, czy ścigać nocą napastników Tsuranich w lasach, lecz na piracki okręt w porcie z pewnością zareaguje.

Arutha z trudem zszedł na dół. Zatrzymał się przy drzwiach i wsparł o futrynę, żeby nie upaść. Bolało go potwornie całe ciało i znowu był na granicy utraty przytomności. Wziął głęboki oddech i ruszył w stronę miasta. Doszedł do martwego konia i zaczął się rozglądać za swoim mieczem. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że został przy wieży. Potykając się w ciemności, koło martwego łucznika znalazł jednego z zabitych żołnierzy. Schylił się, by podnieść miecz gwardzisty, i niewiele brakowało, a straciłby przytomność. Wyprostował się i zamknął oczy, bojąc się poruszyć. Czekał, aż ustanie w skroniach, pod czaszką szalony łomot krwi. Wyciągnął powoli rękę i dotknął głowy. Pomacał palcami. W miejscu, które najbardziej bolało, tworzył się ogromny guz. Musiał mocno uderzyć głową o kamień, gdy spadał po nasypie grobli. Palce kleiły się od krwi.

Ruszył w kierunku miasta. Łomotało mu w głowie. Z początku szedł zataczając się. Potem spróbował biec, ale po kilku niepewnych krokach zrezygnował i chwiejąc się stąpał tak szybko, jak tylko mógł. Minął zakręt drogi i na tle nieba zobaczył zarys miasta. Z oddali dochodziły słabe odgłosy bitwy. W niebo tryskały tu i ówdzie czerwone pochodnie ognia. Piraci podpalali zabudowania. Przerażone okrzyki mężczyzn i kobiet dochodziły do jego uszu dziwnie przytłumione.

Zmusił się do truchtu. Zbliżał się do granic miasta. Napięcie spowodowane zbliżającą się walką sprawiło, że mgła spowijająca umysł stopniowo ustępowała. Dotarł do drogi prowadzącej wzdłuż nabrzeża. Doki płonęły. Było jasno jak

w dzień, lecz nigdzie nie dostrzegł żywej duszy. Przy nabrzeżu cumował statek piratów. Z burty prowadziła opuszczona schodnia. Arutha podszedł cichutko, wypatrując wartowników, którzy mogli strzec statku. Był już przy burcie. Nic, cisza. Odgłosy bitwy były bardzo dalekie, jakby wszyscy napastnicy zapuścili się głęboko w miasto.

Już miał odejść od statku, kiedy z jego pokładu dobiegł go okrzyk.

— Bogowie miłosierdzia! Czy jest tam kto?

Był to głęboki, silny głos męski, lecz z wyczuwalną nutą strachu.

Arutha wbiegł na pokład z mieczem w dłoni. Zatrzymał się, nasłuchując i rozglądając czujnie dookoła. Spod klapy na dziobie przeświecał blask jasno płonącego pod pokładem ognia. Na pokładzie leżały porozrzucane, skąpane we własnej krwi ciała żeglarzy. Z rufy ktoś krzyknął w jego stronę.

— Hej, człowieku! Jeśliś bogobojnym obywatelem Królestwa, spiesz mi na pomoc!

Lawirując między zwłokami, dotarł na rufę. Przy relingu siedział ogromny, potężnie zbudowany mężczyzna. Trudno było określić jego wiek. Równie dobrze mógł mieć dwadzieścia, jak i czterdzieści lat. Prawą ręką podtrzymywał znacznych rozmiarów brzuch. Między palcami przeciekała krew. Czarne, kręcone włosy miał zaczesane do tyłu z wysokiego czoła. Policzki okalała czarna, krótko przycięta broda. Uśmiechnął się słabo i wskazał na czarno odzianą postać leżącą w pobliżu.

— Te potwory wyrżnęły załogę i podpaliły mój statek. Ten tutaj popełnił błąd, nie zabijając mnie pierwszym ciosem.

Wskazał na potężny kawał odłamanej rei, która przygniotła mu nogi.

— Nie jestem w stanie odsunąć tego draństwa i jednocześnie trzymać flaki w brzuchu. Gdybyś zdołał ją trochę unieść, chyba mógłbym się uwolnić.

Arutha szybko ocenił sytuację. Krótszy koniec rei tkwiący w plątaninie lin i drewnianych bloków przygniatał nogi żeglarza. Chwycił dłuższy koniec i uniósł tylko o parę centymetrów, ale to wystarczyło. Jęcząc i zrzędząc pod nosem, ranny wyczołgał się spod ciężaru i oswobodził nogi.

— Nogi całe, chłopcze. Pomóż mi wstać. Zobaczymy, jak pójdzie dalej…

Arutha chwycił go za rękę i pociągnął mocno. Omal nie stracił równowagi, dźwigając ciężkie ciało ku górze.

— No, udało się. Coś mi się wydaje, że ty chyba też nie jesteś w najlepszej formie do walki.

— Jakoś dam radę — odpowiedział Arutha, starając się utrzymać rannego w pozycji stojącej i walcząc jednocześnie z ogarniającą go falą mdłości.

Żeglarz wsparł się na nim.

— Lepiej zwijajmy żagle. Ogień rozprzestrzenia się szybko.

Zeszli razem na nabrzeże. Chwytali łapczywie powietrze ustami. Żar stawał się trudny do zniesienia.

— Idź cały czas. Nie zatrzymuj się! — wycharczał ranny.

Arutha skinął głową. Przerzucił rękę żeglarza przez ramię. Szli zataczając się, jak para pijanych żeglarzy.

Nagły podmuch, któremu towarzyszył huk eksplozji, zwalił ich na ziemię. Oszołomiony Arutha potrząsał głową, starając się dojść do siebie. Obejrzał się. Wysoki słup ognia strzelał w niebo. Czarne zarysy statku majaczyły niewyraźnie w sercu oślepiającej biało-żółtym blaskiem kolumny płomieni. Buchnęło żarem, jakby ktoś otworzył nagle gigantyczny piec.

— Co to było? — wykrztusił z siebie Arutha.

Jego towarzysz udzielił równie lakonicznej, co zwięzłej odpowiedzi.

— Dwieście beczek oleju palnego z Queg.

Książę popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Nie powiedziałeś nic o palnym oleju na pokładzie.

— Nie chciałem, byś się za bardzo denerwował. I tak byłeś półżywy. Pomyślałem sobie po prostu, że albo nam się uda, albo nie.

Arutha starał się podnieść, ale znowu upadł. Zdał sobie nagle sprawę, że na chłodnych kamieniach nabrzeża leży się całkiem wygodnie. Blask ognia przed oczami począł przygasać. Arutha zapadł w nieprzenikniony mrok.

* * *

Arutha otworzył oczy. Nad sobą ujrzał jakieś rozmazane kształty. Zamrugał oczami. Obraz wyostrzył się. Pochylała się nad nim zatroskana Carline. Ojciec Tully badał go uważnie. Za Carline stał Fannon, a obok niego nieznajomy mężczyzna. Przypomniał sobie nagle.

— Człowiek ze statku.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Amos Trask, ostatnio kapitan Sidonii, do chwili kiedy te sukin… upraszam o przebaczenie, Księżniczko… te przeklęte szczury ziemne podpaliły go. Stoję oto przed Waszą Wysokością i składam wielkie podziękowania…

Tully przerwał mu.

— Jak się czujesz?

Arutha usiadł. Wszystko go bolało. Carline ułożyła mu pod plecami poduszki.

— Strasznie jestem poobijany, ale jakoś przeżyję. Kręci mi się w głowie.

Tully przyjrzał się z uwagą jego głowie.

— Nie ma się co dziwić. Jest fatalnie rozbita. Przez kilka dni możesz jeszcze odczuwać zawroty, ale to chyba nic poważnego.

Książę spojrzał na Mistrza Miecza.

— Jak długo tu jestem?

— Patrol przywiózł cię wczoraj w nocy. Jest ranek.

— Napad?

Fannon pokręcił ze smutkiem głową.

— Miasto w ruinie. Wybiliśmy napastników do nogi, ale w Crydee nie został ani jeden cały budynek. Wioska rybacka na południe od portu jest nietknięta, ale wszystko inne poszło z dymem.

Carline krzątała się przy bracie, poprawiając poduszki i koce.

— Powinieneś odpocząć.

— Głodny jestem.

Po chwili przyniosła miskę gorącego rosołu. Z ociąganiem przystał na lekki posiłek zamiast czegoś solidniejszego, ale zdecydowanie odmówił, by go karmiła.

Między kolejnymi łyżkami zapytał:

— Opowiedzcie mi, co się stało?

— To byli Tsurani — odpowiedział poruszony do żywego Fannon.

Łyżka z rosołem zawisła w połowie drogi między miską a ustami.

— Tsurani? Myślałem, że to piraci z Wysp Zachodzącego Słońca.

— W pierwszej chwili myśmy też tak myśleli, ale po rozmowie z kapitanem Traskiem i jeńcami Tsuranich na zamku udało się poskładać w całość poszczególne elementy obrazu.

Tully wszedł mu w słowo.

— Według naszych jeńców to była grupa specjalna. Oddział samobójców czy coś takiego. Mieli za zadanie wejść do miasta, zniszczyć tak wiele jak się da, a potem umrzeć. Nie mieli prawa uciekać. Spalenie statku było zarówno symbolem ich całkowitego oddania się sprawie, jak i, przy okazji, możliwością pozbawienia go nas na zawsze. Z tego, co mówili, odniosłem wrażenie, że taki wybór jest uważany za wielki honor.

Arutha spojrzał na Amosa Traska.

— Jak opanowali twój statek, kapitanie?

— To historia pełna goryczy, Wasza Wysokość. — Kapitan stał lekko pochylony w prawo i Arutha przypomniał sobie jego ranę.

— Co z twoim bokiem?

Trask uśmiechnął się, a w oczach zamigotały mu wesołe iskierki.

— Brzydka rana, ale niegroźna. Dobry ojciec Tully opatrzył ją jak trzeba i teraz bok jest jak nowy, Wasza Wysokość.

Tully prychnął rozeźlony.

— Ten człowiek powinien leżeć kołkiem w łóżku. Jego rana jest znacznie poważniejsza od twoich obrażeń. Nie odstąpił cię ani na krok, dopóki się nie upewnił, że z tobą wszystko będzie w porządku, Arutha.

Trask zignorował zupełnie uwagę kapłana.

— Miewałem gorsze. Pamiętam, kiedyś mieliśmy potyczkę z wojenną galerą z Queg, której załoga zbuntowała się i zajęła pirackim rzemiosłem, i… no tak, ale to zupełnie inna historia. Pytałeś, panie, o statek. — Przykuśtykał bliżej do posłania Aruthy. — Wyszliśmy z portu Palanque z ładunkiem broni i oleju palnego. Zważywszy na sytuację w tym regionie, myślałem, że rynek powinien był chłonny na taki towar. Przeskoczyliśmy jakoś przez cieśniny tuż na początku sezonu, mając nadzieję, że uda nam się wyprzedzić inne statki. Chociaż udało się przejść przez cieśniny bardzo wcześnie, zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Ponad tydzień pchał nas przed sobą koszmarny huragan, który nadszedł z południa. Kiedy w końcu przestało wiać, ruszyliśmy na wschód, kierując się w stronę wybrzeża. Uważałem, że bez trudu będziemy mogli określić naszą pozycję za pomocą punktów orientacyjnych na brzegu. Kiedy na horyzoncie zobaczyliśmy linię wybrzeża, nikt na pokładzie nie potrafił rozpoznać ani jednego znajomego punktu. Ponieważ żaden z nas nigdy nie zapuścił się przedtem na północ od Crydee, uznaliśmy, że dotarliśmy dalej niż sądziliśmy. Za dnia posuwaliśmy się wzdłuż wybrzeża. Nocami, nie znając płycizn i raf, wolałem nie ryzykować i rzucaliśmy kotwicę. Trzeciej nocy od brzegu przypłynęli, jak stado delfinów, Tsurani. Część z nich przepłynęła pod statkiem i zaatakowali z obu burt. Kiedy obudził mnie ruch na pokładzie, opadło mnie już kilkunastu sukin… upraszam o przebaczenie, Księżniczko, Tsuranich. Opanowali statek w ciągu paru minut. — Przygarbił się nieznacznie. — Utrata własnego statku to bardzo ciężkie doświadczenie, Wasza Wysokość.

Skrzywił się boleśnie. Tully wstał i zmusił go, by usiadł na stołku koło posłania. Po chwili Trask kontynuował swoją opowieść.

— Nie mogliśmy zrozumieć ani słowa. Szwargoczą jak małpy, a nie ludzie. Ja sam opanowałem, nie chwaląc się, pięć cywilizowanych języków, a mogę się jakoś dogadać w kilkunastu innych. No tak, ale jak mówiłem, nie mogliśmy się w ogóle porozumieć. Mimo to ich intencje okazały się wkrótce jasne. Ślęczeli nad moimi mapami. — Na wspomnienie o nich skrzywił się boleśnie. — Kupiłem je legalnie i w pełni prawa od emerytowanego kapitana w Durbinie. W tych mapach było zawarte doświadczenie pięćdziesięciu lat żeglowania od Crydee do najdalszych wschodnich wybrzeży Konfederacji Keshu, a oni ciskali nimi po kabinie jak starymi szmatami, aż znaleźli te, które były im potrzebne. Między nimi było kilku żeglarzy, bo gdy tylko odszukali właściwe mapy, zaznajomili mnie ze swoimi planami. Niech mnie bogowie mórz skażą na wieczną tułaczkę z sieciami po śródlądowych wodach za to, że stanęliśmy wtedy na kotwicy tylko kilka mil na północ od przylądków powyżej waszej latarni morskiej. Gdybyśmy pożeglowali odrobinę dłużej, od dwóch dni bylibyśmy bezpieczni w porcie.

Ani Arutha, ani nikt z pozostałych nie odezwał się słowem. Po chwili milczenia Trask podjął opowieść.

— Zeszli do ładowni i zaczęli wszystko wyrzucać za burtę. Było im zupełnie obojętne, co wyrzucają. Wszystko poszło za burtę. Wszystko. Pięćset wspaniałych

mieczy z Queg o szerokiej klindze, piki, lance, włócznie, łuki bojowe, dosłownie wszystko. Robili to na wszelki wypadek, aby ta broń nie dotarła jakimś cudem do Crydee. Nie bardzo wiedzieli, co zrobić z beczkami z olejem palnym z Queg. Baryłki można było wydobyć z ładowni tylko przy użyciu dźwigu portowego, więc zostawili je w spokoju. Upewnili się ze sto razy, że na pokładzie nie ma żadnej innej broni poza tą, którą mieli przy sobie. Potem kilku z nich ubrało się w jakieś czarne szmaty i wpław przedostali się na ląd. Poszli wzdłuż wybrzeża w stronę latarni morskiej. Przez cały czas reszta z wyjątkiem kilku, którzy z łukami w rękach pilnowali mojej załogi, klęczała na pokładzie, kiwając się w przód i w tył, wznosząc modły do swoich bogów. Jakieś trzy godziny po zachodzie słońca zerwali się nagle, zaczęli kopać i bić moich ludzi, pokazując na mapie port. Postawiliśmy żagle i ruszyliśmy w dół wybrzeża. Resztę znacie. Myśleli, jak sądzę, że nie będziecie się spodziewać ataku od strony morza.

Fannon pokiwał głową.

— Dobrze myśleli. Od czasu ich ostatniego napadu patrolowane były często okoliczne lasy. Nie mogli się zbliżyć bez naszej wiedzy na odległość dnia marszu do Crydee. W ten sposób zaskoczyli nas nieprzygotowanych. — Stary Mistrz Miecza mówił zmęczonym i zgorzkniałym głosem. — Teraz zaś w mieście nie pozostał kamień na kamieniu, a dziedziniec zamkowy wypełniony jest po brzegi przerażonym ludem miejskim.

Trask był równie przybity.

— Po dotarciu do nabrzeża główna część oddziału szybko zeszła na ląd. Na pokładzie zostało kilkunastu, którzy wyrżnęli wszystkich moich ludzi. — Grymas bólu skrzywił jego twarz. — To była banda niezłych rozrabiaków, ale w sumie nie takich złych ludzi. Nie mieliśmy pojęcia, co się święci, dopóki pierwsi chłopcy nie zaczęli spadać za burtę naszpikowani strzałami. Kolorowe zakończenia strzał trzepotały w locie jak chorągiewki, zanim ciała nie uderzyły o wodę. Myśleliśmy cały czas, że będą chcieli, abyśmy odpłynęli z nimi z portu. Moi chłopcy stawili oczywiście opór, ale było już za późno. Kołki i rożki szkutnicze to trochę mało, jeżeli masz przeciwko sobie przeciwników uzbrojonych w miecze i łuki.

Trask westchnął ciężko. Skrzywił się z bólu spowodowanego zarówno opowieścią, jak i raną w boku.

— Trzydziestu pięciu ludzi. Zabijaki, typy spod ciemnej gwiazdy, portowe lumpy, nie ma co ukrywać, niezła zgraja, ale to była moja załoga. Tylko ja miałem prawo ich zabić, gdyby była taka konieczność. Roztrzaskałem czaszkę pierwszego Tsuraniego, który się do mnie zbliżył. Wyrwałem mu miecz i zatłukłem następnego. Trzeciemu udało się wytrącić mi miecz z ręki i przebił mnie na wylot. — Zaśmiał się krótkim, chrapliwym śmiechem. — Skręciłem mu kark. Potem straciłem na jakiś czas przytomność. Chyba myśleli, że umarłem. Kiedy się ocknąłem, pod pokładem szalał już ogień. Zacząłem krzyczeć o pomoc. No a potem już wiecie, zobaczyłem Księcia wchodzącego na pokład.

— Jesteś odważnym człowiekiem, Amosie Trask.

Na twarzy kapitana pojawił się wyraz głębokiego bólu.

— Chyba nie za bardzo, skoro nie potrafiłem obronić statku, Wasza Wysokość. Kim ja teraz jestem? Jeszcze jednym wyrzuconym na suchy ląd żeglarzem. . . .

Tully przerwał kapitanowi.

— Już dosyć. Arutha, potrzebny ci wypoczynek. — Położył rękę na ramieniu Traska. — Dobrze zrobisz, kapitanie, jeżeli pójdziesz w jego ślady. Twoja rana jest o wiele poważniejsza, niż ci się wydaje. Zaprowadzę cię do pokoju, gdzie będziesz mógł wypocząć.

Kapitan podniósł się.

— Kapitanie Trask — powiedział Arutha.

— Tak, Wasza Wysokość?

— Potrzeba nam w Crydee paru porządnych i przedsiębiorczych ludzi.

W oczach żeglarza zamigotały iskierki humoru.

— Dziękuję bardzo, Wasza Wysokość. Nie bardzo wiem, jak miałbym się przydać teraz, kiedy zostałem pozbawiony statku?

— Wydaje mi się, że do spółki z Fannonem będziemy chyba mogli zająć cię paroma rzeczami.

Kapitan skłonił się na tyle, na ile pozwalała mu rana, i wyszedł z pokoju w towarzystwie Tully'ego.

Carline pocałowała Aruthę w policzek.

— Odpoczywaj teraz.

Zabrała miskę z resztką rosołu i wyszła razem z Fannonem. Zanim drzwi zdążyły się za nimi zamknąć, Arutha zapadł w głęboki sen.

# Rozdział 17

# Atak

Carline zrobiła wypad w przód.

Mierzyła nisko końcem klingi w śmiertelnym pchnięciu w brzuch. Roland w ostatniej chwili odparował cios silnym uderzeniem miecza w bok. Odskoczył w tył, lecz zachwiał się. Carline wykorzystała moment wahania przeciwnika i ponowiła wypad do przodu.

Roland zaśmiał się i raptownie skoczył w bok, odbijając jeszcze raz ostrze jej miecza. Zrobił krok w lewo, przerzucił błyskawicznie miecz z prawej do lewej dłoni i pchnął, uderzając ją w prawy nadgarstek. Tym razem to ona straciła równowagę. Pchnął mocniej, obracając dziewczynę dookoła osi, i stanął za jej plecami. Objął ją lewą ręką w talii uważając, aby nie skaleczyć jej ostrzem miecza, i przycisnął mocno do siebie. Zwijała się i kręciła, usiłując wyrwać z uścisku, ale że był znacznie silniejszy i stał za nią, nie mogła wiele zdziałać poza gniewnymi okrzykami.

— To był podstęp. Tak nie można. Oszukujesz! — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Kopała w tył bezradnie, a on zanosił się śmiechem.

— Carline, nie wychodź tak daleko w przód. Zbyt się odsłaniasz. Nawet wtedy, kiedy wygląda to na łatwą zdobycz. Masz dobrą szybkość, ale za bardzo następujesz. Naucz się cierpliwości. Poczekaj, aż będzie czysta sytuacja, i wtedy do ataku. Nie wolno ci do tego stopnia tracić równowagi. Jeżeli zrobisz to w prawdziwej walce, już nie żyjesz.

Pocałował ją szybko w policzek i bezceremonialnie odepchnął od siebie.

Carline potknęła się, odzyskała z trudem równowagę i odwróciła do Rolanda.

— Łobuz! No, spróbuj teraz zadrzeć z królewską osobą.

Obchodziła go powoli z lewej strony, trzymając miecz w pogotowiu. Pod nieobecność ojca Carline wymusiła w końcu na bracie, aby zezwolił jej na pobieranie lekcji walki u Rolanda. Ostatni argument, którego użyła i który przechylił szalę zwycięstwa na jej stronę, brzmiał: „A co mam zrobić, jeżeli Tsurani wedrą się do

zamku? Mam ich zaatakować igłami do wyszywania?" Arutha poddał się jej namowom bardziej dlatego, że miał już dosyć jej ciągłego marudzenia nad uchem, niż z przekonania, że nauka walki może się jej kiedyś do czegoś przydać.

Carline przypuściła nagle gwałtowny atak, mierząc wysoko. Zmusiła Rolanda do wycofania się w przeciwny koniec niewielkiego placyku na tyłach głównego zamku. Oparł się plecami o niski murek i czekał spokojnie. Rzuciła się w przód, a on w tym samym momencie zgrabnie odskoczył w bok. Owinięty materiałem koniec miecza Carline uderzył w mur w miejscu, w którym stał przed chwilą. Przeskoczył koło niej i dla zabawy płaską stroną miecza klepnął w siedzenie.

Stanął za jej plecami.

— I nie trać panowania nad sobą, bo stracisz głowę.

— Och! — krzyknęła gniewnie.

Odwróciła się błyskawicznie. Stanęli naprzeciw siebie. Na jej twarzy malował się gniew pomieszany z rozbawieniem.

— Ty potworze!

Roland stał w pozycji gotowości z udawaną skruchą na twarzy. Zmierzyła krokiem dzielącą ich odległość i zaczęła powoli zbliżać się do niego. Miała na sobie, ku oburzeniu lady Marny, ciasno opinające ciało męskie spodnie i krótką bluzę, ściągniętą w talii pasem do miecza. W ostatnim roku jej ciało zaokrągliło się i obcisły strój mógł być uważany za skandaliczny. Carline miała już osiemnaście lat i w żadnym razie nie można jej było nazwać dziewczynką. Stopy obute w czarne, sięgające kostek i wykonane na jej specjalnie zamówienie trzewiki ostrożnie pokonywały dzielącą ich przestrzeń. Długie, błyszczące, kruczoczarne włosy, ściągnięte tasiemką w koński ogon, kołysały się rytmicznie na plecach w takt kroków.

Roland bardzo lubił lekcje z Księżniczką. W swoich spotkaniach odkrywali na nowo dobrą zabawę, a Roland dodatkowo żywił cichą nadzieję, że jej uczucia przyjaźni do niego rozwiną się w coś więcej. Regularnie spotykali się, ćwicząc walkę mieczem lub udając się, wtedy kiedy Fannon uznał to za bezpieczne, na konne przejażdżki w okolicach zamku. Czas spędzony wspólnie wpływał na powstanie między nimi silnej więzi braterstwa, uczucia, którego w przeszłości Roland nie umiał osiągnąć. Chociaż Carline spoważniała bardzo, odzyskała dawną żywość i poczucie humoru.

Roland stał zatopiony w myślach. Zniknęła mała Księżniczka, rozpieszczone i rozpaskudzone dziecko, które z nudów stało się kapryśne i żądało wszystkiego dla siebie. W jego miejsce pojawiła się młoda, rozsądna kobieta o silnej woli, utemperowanej trudnymi przejściami.

Roland ocknął się i zamrugał oczami. Spojrzał w dół. Ostrze jej miecza miał przytknięte do szyi. Teatralnym gestem cisnął miecz na ziemię.

— Pani, poddaję się!

Zaśmiała się.

— O czym tak marzyłeś, Rolandzie?

Delikatnie odsunął jej miecz.

— Wspominałem, w jaki szał wpadła lady Marna, kiedy po raz pierwszy pojechałaś konno w tym stroju i wróciłaś utytłana w błocie, nie wyglądając zupełnie na damę.

Carline uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego wydarzenia.

— Myślałam, że chyba przez tydzień nie ruszy się z łóżka. — Odłożyła miecz. — Bardzo bym chciała wynaleźć jakiś powód, dla którego mogłabym częściej w nim chodzić. Jest taki wygodny.

Roland kiwnął skwapliwie głową i uśmiechnął się szeroko.

— I bardzo ponętny.

Z teatralną przesadą odsunął się od niej o krok i przesunął powoli wzrok po okrągłościach kształtnego ciała.

— Chociaż to akurat należy chyba zawdzięczać osobie, która go nosi.

Zadarła nos do góry, patrząc na niego z dezaprobatą.

— Jesteś, panie, łobuz i pochlebca… i stary rozpustnik.

Zachichotał, schylił się i podniósł miecz.

— Chyba wystarczy na dzisiaj, Carline. Nie jestem w stanie pogodzić się z więcej niż jedną porażką dziennie. Jeszcze jedna i ze wstydem przyjdzie mi opuścić na zawsze mury tego zamku.

Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie. Złapała miecz. Spostrzegł, że jego uwaga trafiła w cel.

— Och! Ośmieszony przez dziewczynę? — Ruszyła na niego z wyciągniętym przed siebie mieczem.

Zaśmiał się wesoło, przyjął pozycję do walki i cofał się wolno.

— O pani, to wielce niestosowne.

Zniżyła miecz, wpatrując się w niego gniewnym wzrokiem.

— Od zajmowania się moim wychowaniem i manierami mam lady Marnę, Rolandzie. Nie pozwolę, żeby taki bufon jak ty mnie pouczał.

— Bufon! — krzyknął i skoczył w przód.

Przyjęła jego pchnięcie na klingę i zamachnęła się do uderzenia. Roland zatrzymał jej cios i pozwolił, aby jego ostrze ześlizgnęło się po jej broni. Stanęli tuż przy sobie, twarzą w twarz, w pozycji corps a corps. Roland chwycił wolną dłonią jej prawy nadgarstek i uśmiechnął się.

— Nie dopuść nigdy, byś się znalazła w tej pozycji.

Szarpała, usiłując się wyswobodzić, lecz on mocno trzymał.

— Dopóki Tsurani nie zaczną wysyłać swoich kobiet, aby z nami walczyły, większość, z którymi przyjdzie ci się ewentualnie potykać, będzie od ciebie znacznie silniejsza, a z tej odległości będą mogli zrobić wszystko, na co im przyjdzie ochota. — Powiedziawszy to, przyciągnął ją bliżej siebie i pocałował.

Odchyliła się do tyłu z wyrazem zdumienia na twarzy. Miecz nagle wypadł jej z dłoni. Z zadziwiającą siłą przyciągnęła Rolanda gwałtownie do siebie i pocałowała równie namiętnie.

Kiedy oderwał się od niej i odsunął trochę, w jej spojrzeniu malowało się zdumienie pomieszane z tęsknotą. Na ustach pojawił się ciepły uśmiech, oczy błyszczały.

— Rolandzie, ja… — zaczęła miękko.

W tym momencie po okolicy rozniosło się bicie w dzwon na alarm, a z murów, po drugiej stronie zamku dały się słyszeć krzyki: „Atak! Atak!”

Roland zaklął cicho pod nosem i odsunął się od Carline.

— A niech to szlag trafi, żeby w takim momencie!

Pośpiesznie ruszył w stronę przejścia wiodącego na główny dziedziniec. Obejrzał się przez ramię uśmiechając.

— Pani, proszę, nie zapomnij, co chciałaś powiedzieć.

Uśmiech znikł momentalnie z jego twarzy, kiedy spostrzegł, że dziewczyna podąża za nim z mieczem w dłoni.

— Carline, gdzie ty się wybierasz? — spytał śmiertelnie poważnym głosem.

Spojrzała na niego wyzywająco.

— Na mury. Nie mam zamiaru siedzieć dłużej w piwnicach.

— Nie — powiedział twardo. — Nigdy nie miałaś do czynienia z prawdziwą walką. Przyznaję, że w zabawie nieźle sobie radzisz z mieczem, ale nie pozwolę, żebyś ryzykowała, że staniesz skamieniała i bezbronna, gdy poczujesz zapach prawdziwej krwi. Pójdziesz do lochów razem z innymi damami i zamkniesz dobrze drzwi za sobą.

Jeszcze nigdy nie odzywał się do niej w ten sposób. Patrzyła na niego zdumiona. Do tej pory widziała go w roli drażniącego się z nią łobuziaka lub delikatnego przyjaciela. Teraz stanął nagle przed nią zupełnie inny człowiek. Zaczęła protestować, ale przerwał jej zdecydowanie w pół zdania. Chwycił mocno za ramię i na pół prowadząc, na pół ciągnąc za sobą, poprowadził w stronę wejścia do podziemi.

— Roland! — krzyknęła. — Puść mnie!

— Pójdziesz tam, gdzie ci kazano — powiedział cicho i spokojnie. — A ja pójdę tam, gdzie mnie kazano. Nie będziemy o tym więcej dyskutowali.

Szarpnęła się mocno, lecz Roland nie ustąpił.

— Roland! Zabieraj swoje łapy. Natychmiast! — rozkazała.

Nie zważał w ogóle na jej protesty, tylko ciągnął za sobą. Wartownik stojący przy drzwiach prowadzących do piwnic patrzył zaskoczony na zbliżającą się parę. Roland zatrzymał się przy nim i nie przejmując się specjalnie delikatnością czy dobrymi manierami, popchnął Carline mocno w stronę drzwi.

Spojrzała na niego z wściekłością. Zwróciła się do wartownika.

— Aresztować go! Natychmiast! On… — Rozpierająca ją wściekłość sprawiła, że krzyczała przenikliwym, piskliwym głosem w sposób zupełnie nie przystający wielkiej damie. — On, dobierał się do mnie!

Żołnierz patrzył to na jedno, to na drugie z nich, nie mogąc się zdecydować, co ma zrobić. Postąpił niepewnym krokiem w stronę Rolanda. Roland wzniósł ostrzegawczo palec i wyciągnął go w stronę wartownika, trzymając koniec o centymetr od jego nosa.

— Dopilnujesz, aby Jej Wysokość dotarła do wyznaczonego dla niej bezpiecznego miejsca. Zignorujesz jej obiekcje i protesty, a gdyby próbowała opuścić wskazane miejsce, powstrzymasz ją. Zrozumiano? — Ton jego głosu nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, że mówił ze śmiertelną powagą.

Wartownik skinął głową, lecz nadal wahał się przed dotknięciem Księżniczki. Nie odrywając wzroku od żołnierza, Roland popchnął delikatnie Carline w stronę zejścia.

— Jeżeli dowiem się, że opuściła lochy przed sygnałem odwołującym alarm, dopilnuję, aby Książę i Mistrz Miecza zostali poinformowani, że dopuściłeś do tego, by Księżniczka została narażona na niebezpieczeństwo.

To przesądziło sprawę. Mógł co prawda mieć wątpliwości, kto z nich dwojga stał wyżej w hierarchii w czasie ataku wroga, ale nie miał najmniejszych, co Mistrz Miecza z nim zrobi, gdyby Księżniczka popadła w tarapaty. Zwrócił się w stronę drzwi, zanim Carline zdążyła od nich odejść.

— Tędy, Wasza Wysokość — powiedział i zmusił ją, aby zeszła na dół.

Carline cofała się przed nim, trzęsąc się z wściekłości. Roland zamknął za nimi drzwi. Pokonała jeszcze jeden stopień, idąc tyłem, po czym odwróciła się i pokornie zeszła na dół. Znalazła się w pomieszczeniu przeznaczonym dla kobiet z zamku i miasta na czas ataku wroga. Siedziało już tam kilka przytulonych do siebie i przerażonych kobiet.

Wartownik zaryzykował, zasalutował przepraszająco.

— Upraszam o przebaczenie, Wasza Wysokość, lecz szlachcic Roland wydawał się być bardzo zdeterminowany.

Grymas gniewu znikł nagle z jej twarzy, a na jego miejsce pojawił się nikły uśmiech.

— Rzeczywiście, prawda?

* * *

Na dziedziniec wpadł oddział konnych. Masywna brama wjazdowa zamknęła się za nimi z hukiem. Arutha obserwował wszystko ze szczytu murów. Obok stał Fannon.

— Ale mamy pecha.

— Pech nie ma tu nic do rzeczy. Gdyby przewaga była po naszej stronie, bądź pewny, że Tsurani nie zaatakowaliby.

Poza wypalonymi kikutami domów, przypominającymi nieustannie o trwającej wojnie, okolica wydawała się spokojna. Nic się na razie nie działo. Arutha dobrze jednak wiedział, że za granicami miasta, w lasach na północy i północnym wschodzie zbierała się wielka armia. Ponadto, według ostatnio napływających raportów, w kierunku Crydee maszerował następny, dwutysięczny zastęp Tsuranich.

— Zjeżdżaj do środka, ty zawszony pokurczu. Nie plącz się pod nogami!

Arutha spojrzał w dół na dziedziniec. Amos Trask pędził przed sobą kopniakami niskiego, przerażonego śmiertelnie rybaka, który po chwili wskoczył do wnętrza jednej z byle jak skleconych bud, wypełniających przestrzeń wewnątrz murów. Zamieszkiwali ją ci, których domy zostały ostatnio zniszczone i którzy nie udali się, jak reszta, na południe kraju. Większość mieszkańców miasta i okolicznych osad zbiegła do Carse bezpośrednio po najeździe samobójców, lecz kilka rodzin przezimowało na miejscu. Poza kilkoma rybakami, którzy mieli zostać i zaopatrywać garnizon w żywność, reszta powinna być tej wiosny przetransportowana statkami do Tulan i Carse. Do nadpłynięcia pierwszych w tym sezonie statków było jeszcze dobrych parę tygodni. Rok temu, po spaleniu się jego statku, Amos Trask otrzymał zadanie zajęcia się tymi ludźmi i dopilnowania, żeby nie przeszkadzali i nie powodowali na zamku zbyt wielkiego zamieszania. Były kapitan mórz w ciągu pierwszych tygodni po spaleniu miasta wykazał się w tym zakresie niezwykłymi zdolnościami. Amos miał potrzebny talent i doświadczenie w dowodzeniu innymi, aby utrzymać w ryzach pewnych siebie, krnąbrnych i nie zawsze dobrze wychowanych, prostych rybaków. Arutha uważał Amosa za łgarza, bufona i, najprawdopodobniej, pirata, ale jednocześnie człowieka, który da się lubić.

Po schodach prowadzących z dziedzińca wszedł Gardan, a tuż za nim Roland. Gardan zasalutował przed Księciem i mistrzem Fannonem.

— To był ostatni patrol, panie.

— W takim razie czekamy już tylko na powrót Martina — powiedział Fannon.

Gardan pokręcił głową.

— Żaden patrol go nie widział, panie.

— Ponieważ bez wątpienia Długi Łuk jest znacznie bliżej wroga niż jakikolwiek inny żołnierz przy zdrowych zmysłach ośmieliłby się podejść — zasugerował Arutha. — Jak sądzisz, ile czasu trzeba, aby dotarła reszta Tsuranich?

Gardan wskazał na północny wschód.

— Niecałą godzinę, jeżeli pójdą bez popasów, prosto jak strzelił. — Popatrzył w niebo. — Zostały im niecałe cztery godziny dziennego światła. Możemy się spodziewać jednego ataku przed zapadnięciem nocy, ale najprawdopodobniej zajmą najpierw pozycje, dadzą odpocząć ludziom, a zaatakują z pierwszym świtem.

Arutha spojrzał na Rolanda.

— Czy kobiety są bezpieczne?

Roland uśmiechnął się szeroko.

— Wszystkie, chociaż twoja siostra może ci powiedzieć parę ostrych słów na mój temat, kiedy to się skończy.

W odpowiedzi Arutha także się uśmiechnął.

— Zajmę się tym, kiedy już będzie po wszystkim. — Rozejrzał się. — Na razie czekamy.

Fannon omiótł wzrokiem z pozoru spokojny krajobraz wokół zamku.

— Tak, na razie czekamy — powiedział z nutką obawy, a zarazem determinacji w głosie.

* * *

Martin podniósł rękę do góry. Trzech tropicieli zamarło w bezruchu. Według nich las był cichy i spokojny i nic nie zapowiadało kłopotów, lecz z drugiej strony wiedzieli dobrze, że Martin miał bardziej wyostrzone niż oni zmysły. Po chwili ruszył dalej, badając teren przed sobą.

Już od dziesięciu godzin, zanim zaczęło świtać, śledzili trasę marszu Tsuranich. Według oceny Martina Tsurani ponownie zostali odrzuceni z Elvandaru, od brodów przez rzekę Crydee i skierowali teraz swoją uwagę na zamek. W ciągu ostatnich trzech lat Tsurani byli zaangażowani na czterech frontach, na wschodzie przeciwko armiom Księcia, na północy walczyli przeciwko Elfom i Krasnoludom, na zachodzie zatrzymał ich zamek w Crydee, a na południu szarpały ich oddziały Bractwa Mrocznego Szlaku i gobliny.

Tropiciele trzymali się blisko straży przedniej Tsuranich, czasem zbyt blisko. Już dwa razy zostali zmuszeni do ucieczki przed wrogiem. Wojownicy Tsurani ścigali nieustępliwie przez wiele godzin Łowczego i jego tropicieli. Raz nawet zostali otoczeni i Martin stracił jednego ze swoich ludzi.

Martin zakrakał ochryple jak wrona i pozostali dołączyli do niego po kilku minutach. Jeden z nich, młody o końskiej twarzy, imieniem Garret zwrócił się do niego.

— Idą o wiele dalej na zachód od miejsca, gdzie, jak sądziłem, skręcą.

Martin zastanawiał się przez chwilę.

— Tak, masz rację. Może chcą okrążyć cały teren okalający zamek. A może po prostu chcą zaatakować z kierunku, z którego nie spodziewamy się napaści. — Uśmiechnął się krzywo. — Najbardziej prawdopodobne jest to, że po prostu przeczesują dokładnie cały teren przed atakiem upewniając się, że nie będą mieli za plecami nękających ich tyły oddziałów.

— Przecież muszą wiedzieć, że ich śledzimy — zauważył drugi tropiciel.

Krzywy uśmiech Martina poszerzył się.

— Bez wątpienia. Podejrzewam jednak, że zupełnie się nie przejmują naszymi poczynaniami. — Pokręcił powoli głową. — Tsurani to arogancka banda. — Wskazał ręką na jednego ze swoich. — Garret, pójdziesz ze mną. Wy dwaj idźcie prosto do zamku. Zameldujcie mistrzowi Fannonowi, że około dwóch tysięcy Tsuranich maszeruje na Crydee.

Bez słowa dwóch tropicieli ruszyło szybkim krokiem w stronę zamku.

Martin pochylił się do Garreta.

— A my sobie podejdziemy znowu bliżej do ich oddziałów. Trzeba się zorientować, co knują.

Garret pokręcił głową ze smutkiem.

— Twoje beztroskie podejście nie za bardzo koi moje nerwy, panie Łowczy.

Zawrócili po swoich śladach.

Martin obejrzał się przez ramię.

— Wszystko jedno, kiedy się umiera. Każdy czas jest dobry. Po co się jeszcze zadręczać, co?

— Tak, tak. — Po pociągłej twarzy Garreta było widać, że słowa Martina nie przekonały go specjalnie. — Rzeczywiście, po co? Nie obawiam się chwili, którą śmierć wybierze, by przyjść do mnie, ale ciarki mnie jednak przechodzą, kiedy słyszę, jak ją, panie, sam zapraszasz.

Martin roześmiał się cicho. Dał znak Garretowi, żeby podążał w jego ślady. Ruszyli swobodnym, wyciągniętym kłusem. Las był rozświetlony promieniami słońca, ale między grubymi drzewami, pod gałęziami było sporo zacienionych miejsc, gdzie mógł się czaić obserwujący teren wróg. Garret pozostawił ocenie i wyczuciu Martina, czy można było koło takich miejsc przejść bezpiecznie. Obaj zatrzymali się nagle w pół kroku. Przed sobą usłyszeli jakiś ruch. Bezgłośnie wtopili się w cieniste poszycie lasu. Minęła długa minuta. Żaden nie odezwał się. Po chwili usłyszeli cichy szept, ale nie mogli rozpoznać słów.

W polu ich widzenia pojawiły się dwie postacie, które posuwały się ostrożnie ścieżką prowadzącą z północy na południe, przecinającą trasę ich marszu. Nad-

chodzący mieli na sobie ciemnoszare kurty. W rękach trzymali gotowe do strzału łuki. Zatrzymali się. Jeden z nich ukląkł, aby zbadać ślady pozostawione przez Martina i jego tropicieli. Pokazał ręką kierunek ich marszu i powiedział coś do swego towarzysza. Ten kiwnął głową i wrócił w stronę, z której nadeszli.

Garret wciągnął powietrze z sykiem. Tropiciel Bractwa Mrocznego Szlaku rozglądał się uważnie wokół. Po paru chwilach powolnego badania terenu podążył za swoim towarzyszem.

Garret poruszył się, chcąc wstać. Martin chwycił go za ramię.

— Jeszcze nie — wyszeptał do ucha.

— Co oni robią tak daleko na północy? — spytał szeptem Garret.

Martin pokręcił głową.

— Wślizgnęli się na tyły naszych patroli wzdłuż linii wzgórz. Nie byliśmy zbyt czujni na południu, Garret. Nikomu nie przyszło do głowy, że zapuszczą się tak daleko na północ, na zachód od gór. — Zamilkł na chwilę, czekając w ciszy. — Może mają dosyć Zielonego Serca i próbują przedostać się na Ziemie Północy, aby połączyć się ze swoimi braćmi.

Garret już miał odpowiedzieć, ale zamarł nagle w bezruchu, bo oto w miejscu, w którym przed chwilą stała tamta dwójka, pojawił się następny Mroczny Brat. Rozejrzał się dookoła, a potem podniósł rękę, dając znak. Na ścieżce przecinającej ich trasę pojawiły się kolejne postacie. Idąc dwójkami, trójkami czy pojedynczo, oddział Mrocznego Bractwa przeciął ich ścieżkę i zniknął pomiędzy drzewami.

Garret siedział, wstrzymując oddech. Słyszał, jak Martin liczył kolejne sylwetki pojawiające się w ich polu widzenia:

„. . . dziesięć, dwanaście, piętnaście, szesnaście, osiemnaście. . . ”

Nie kończący się wąż ciemno odzianych postaci przesuwał się przed ich oczami, „. . . trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści cztery. . . ”

Ciągle szli i szli. Z głębi lasu wychodziły kolejne postacie. Martin liczył dalej.

— Ponad setka — szepnął po chwili.

A oni szli dalej. Niektórzy z przechodzących teraz nieśli na plecach i ramionach toboły. Wielu ubranych było w ciemnoszare górskie kurty, ale pojawiali się także odziani w zielone, brązowe czy czarne. Garret nachylił się tuż do ucha Martina.

— Miałeś rację — szepnął. — Wędrówka na północ. Doliczyłem się ponad dwustu.

Martin skinął głową.

— Ciągle idą następni.

Siedzieli przez długie minuty, przyglądając się z ukrycia setkom przecinających ich szlak Mrocznych Braci. Za kolumną wojowników ciągnęły tłumy obdartych kobiet i dzieci. Dwudziestoosobowy oddział wojowników stanowił straż tylną. Kiedy i oni przeszli, nastała głucha cisza.

Czekali w milczeniu przez jakiś czas. Garret pochylił się do ucha Martina.

— Trzeba rzeczywiście być spokrewnionym z Elfami, aby ciągnąć przez lasy w takiej masie i pozostać tak długo nie zauważonym.

Martin uśmiechnął się.

— Radzę ci szczerze, abyś nie wspominał tego pierwszemu Elfowi, którego spotkasz. — Wstał powoli, rozciągając mięśnie przykurczone długim siedzeniem w krzakach. Echo przyniosło od wschodu cichy dźwięk. Martin spoważniał i zamyślił się.

— Garret, jak sądzisz, jak daleko odeszli?

— Straż tylna jakieś sto metrów. Zwiadowcy jakieś pół kilometra. Dlaczego pytasz?

Martin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Garret poczuł się nieswojo, kiedy w jego oczach dostrzegł drwiące iskierki.

— Chodź, chyba wiem, gdzie możemy mieć niezłą rozrywkę.

Garret jęknął cicho.

— Panie Łowczy, kiedy słyszę, jak mówisz o rozrywce, dostaję gęsiej skórki.

Martin uderzył go przyjaźnie wierzchem dłoni w klatkę piersiową.

— No, rusz się, dzielny młodzieńcze.

Martin ruszył przodem, a Garret podążył w pewnej odległości za nim. Szli szybko przez las długim, swobodnym krokiem, z łatwością omijając przeszkody, które sprawiłyby wiele kłopotów ludziom mniej doświadczonym i obytym z lasem.

Dotarli do niewielkiej otwartej przestrzeni. Zatrzymali się ostrożnie. Daleko przed nimi, w mroku lasu dostrzegli nadciągających zwiadowców Tsuranich. Martin i Garret błyskawicznie skryli się między drzewa.

— Główna kolumna jest tuż za nimi. Kiedy dotrą do krzyżówki, przez którą przechodziło Mroczne Bractwo, jest szansa, że pójdą za nimi.

Garret pokręcił głową.

— Albo i nie. Ale my oczywiście dopilnujemy, żeby jednak poszli za nimi, mam rację? — Wziął głęboki oddech. — A co tam, niech się dzieje, co chce. — Pochylił się i odmówił krótką, cichą modlitwę do Kilian, Pieśniarki Zielonej Ciszy, Bogini Leśników.

Po chwili obaj zdjęli łuki z pleców.

Martin wyszedł z ukrycia na szlak i wycelował. Garret poszedł w jego ślady. Przecierający szlak Tsurani, zajęci wycinaniem gęstego poszycia, aby ułatwić przemarsz głównej kolumnie, pojawili się po chwili w polu widzenia. Martin wyczekał, aż żołnierze podeszli dostatecznie blisko i kiedy zwiadowca dostrzegł ich, wypuścił strzałę. Dwóch pierwszych padło martwych. Zanim ich ciała dotknęły ziemi, w powietrzu poszybowały już dwie następne strzały. Martin i Garret wyciągali strzały z kołczanów na plecach spokojnymi, płynnymi ruchami, zakładali na cięciwę i wypuszczali w stronę wroga z niespotykaną szybkością i celnością. Pięć lat temu Martin, wybierając Garreta, nie uczynił tego z litości czy uprzejmości.

Nawet w oku cyklonu Garret trwał spokojnie na posterunku, wykonywał rozkazy i robił to z wielką dokładnością i kunsztem.

Dziesięciu zaskoczonych Tsuranich padło nieżywych na ziemię, zanim zdołali podnieść alarm. Garret i Martin założyli łuki na plecy i spokojnie czekali. Po paru minutach wśród drzew pojawiło się coś, co przypominało kolorowego węża. Jaskrawe zbroje Tsuranich migotały pośród listowia. Oficerowie, idący na czele kolumny, zatrzymali się w pół kroku, zaszokowani widokiem martwych zwiadowców. Patrzyli oniemiali na ciała. Po chwili jeden z nich zauważył dwóch leśniczych, stojących spokojnie na ścieżce. Krzyknął coś i pierwszy szereg błyskawicznie dobył broni i biegiem ruszył do przodu.

Martin wskoczył w krzaki po północnej stronie szlaku. Garret tuż za nim. Przemykali między drzewami. Wojownicy Tsuranich deptali im dosłownie po piętach.

Dziki wojenny okrzyk Martina poniósł się echem przez puszczę. Garret wydzierał się z podniecenia i radości, a także ze strachu. Odgłosy pędzącej za nimi hordy wroga wciskały się w każdy zakątek lasu.

Martin prowadził ich na północ, trasą równoległą do szlaku Mrocznych Braci. Po paru minutach zatrzymał się. Z trudem łapał oddech.

— Powoli, przecież nie chcemy, żeby zgubili nasz ślad.

Garret obejrzał się. Tsurani nie pojawili się jeszcze w zasięgu wzroku. Wraz z Martinem oparli się o drzewo i czekali. Po chwili ujrzeli pierwszego ścigającego, który biegł w kierunku odbiegającym na północny wschód od trasy ich ucieczki. Martin popatrzył z niesmakiem i pogardą.

— Chyba wybiliśmy wszystkich nadających się do czegoś tropicieli z ich cholernego świata.

Wyjął zza pasa róg myśliwski i zadął tak przeraźliwie, że Tsurani stanął jak wryty. Nawet z tej odległości widzieli, że był całkowicie zaskoczony.

Żołnierz rozejrzał się szybko i po chwili dostrzegł ich. Martin pomachał mu ręką, dając znaki, aby biegł za nimi. Ruszyli dalej. Tsurani krzyknął do podążających za nim i ruszył w pościg. Pędzili jeszcze przez las około trzystu metrów, potem gwałtownie skręcili na zachód. Garret, nie przerywając biegu, wykrzykiwał urywki zdań.

— Mroczni Bracia… usłyszą… że nadchodzimy.

Martin odkrzyknął.

— Chyba że… nagle… wszyscy… ogłuchli. — Obrócił się przez ramię i rzucił Garretowi krótki uśmiech. — Tsurani mają… przewagę… sześć… do jednego… chyba wypada… dać Mrocznym… Braciom czas… aby… zdążyli… zorganizować… zasadzkę.

Garretowi pozostało w płucach tylko tyle powietrza, aby wydać przeciągły jęk rozpaczy. Biegł nadal za swym dowódcą. Wypadli z krzaków. Martin zatrzymał się gwałtownie. Chwycił Garreta za bluzę. Ruchem głowy wskazał przed siebie.

— Są tuż przed nami.

— Nie mam pojęcia, skąd to wiesz… ten cały harmider za nami… nie słyszę nawet własnych myśli, nie mówiąc już o tym, co się dzieje przed nami.

Wyglądało na to, że większość Tsuranich gna za nimi, chociaż echo w lesie potęgowało hałas i utrudniało orientację w sytuacji.

— Czy masz jeszcze pod spodem, pod bluzą tę idiotyczną cienką tunikę?

— Tak, a bo co?

— Oderwij kawałek.

Nie zadając zbędnych pytań, Garret wyjął nóż i uniósł zieloną bluzę leśniczego. Odciął od dołu długi pas materiału i szybko wsunął tunikę w spodnie. W czasie, kiedy Garret doprowadzał się do porządku, Martin przywiązał czerwoną szmatkę do strzały.

— To chyba przez te ich krótkie nóżki. Tsurani mogą biec bez wytchnienia całymi godzinami, ale w lesie, na gęstym poszyciu nie za bardzo im to idzie.

Podał strzałę Garretowi.

— Widzisz ten duży wiąz po drugiej stronie polanki?

Garret kiwnął głową.

— A tę niską brzozę za nim, po lewej?

Garret znowu kiwnął głową.

— Trafisz w jej pień tą szmatą przywiązaną do strzały?

Garret rozpromienił się. Zdjął łuk. Założył strzałę i wypuścił, trafiając w sam środek brzózki.

— Kiedy nasi krzywonodzy „przyjaciele” przybiegną w końcu w to miejsce, dostrzegą czerwoną plamkę i daję głowę, że polecą wprost na nią. Jeżeli nie popełniłem tragicznej dla nas pomyłki. Bracia usadowili się kilkanaście metrów za twoją strzałą.

Wyciągnął znowu róg, a Garret założył łuk na plecy.

— No, jeszcze raz i spadamy.

Zadął głośno i przeciągle.

Tsurani wpadli na polankę jak chmara szerszeni, lecz w tym czasie Martin i Garret byli już daleko. Echo niosło jeszcze przez puszczę jęk rogu, kiedy oni pomykali już między drzewami na południowy zachód. Nie chcieli, aby Tsurani znowu ich dojrzeli, bo mogliby nabrać podejrzeń i zniweczyć misterny plan Martina. Wpadli w gęste krzaki i znaleźli się nagle w środku sporej grupy kobiet i dzieci. Jedna z młodych kobiet Bractwa kładła właśnie na ziemi spory tobół. Zamarła w bezruchu, widząc dwóch mężczyzn. Garret, aby nie wpaść na nią, zatrzymał się raptownie i poślizgnął na mokrej glinie.

Jej duże brązowe oczy przypatrywały mu się uważnie, kiedy obchodził ją dookoła.

— Najmocniej przepraszam, proszę szanownej pani — powiedział nie zastanawiając się i odruchowo unosząc dłoń do czoła.

Odwrócił się na pięcie i pognał za Martinem. Za plecami usłyszał gwałtowne okrzyki zdumienia i gniewu.

Przebiegli kilkaset metrów i Martin podniósł rękę. Zatrzymali się. Od północnego wschodu dochodził bitewny zgiełk, krzyki i szczęk broni. Martin uśmiechnął się szeroko.

— No, to przez jakiś czas będą sobą zajęci.

Zmęczony Garret usiadł ciężko na ziemi.

— Następnym razem mnie wyślij do zamku, panie, dobrze?

Martin ukląkł przy tropicielu.

— To powinno powstrzymać Tsuranich. Nie dotrą do Crydee przed zachodem słońca. Może przyjdą nawet później, a to znaczy, że do jutra rana nie grozi nam atak. Tsurani nie mogą sobie pozwolić na zostawienie czterystu Mrocznych Braci na swoich tyłach, to zbyt wielkie zagrożenie dla nich. Odpoczniemy chwilę, a potem ruszamy prosto do Crydee.

Garret oparł się o drzewo.

— Miła wiadomość. — Westchnął głęboko z ulgą. — Niewiele brakowało, panie Łowczy.

Martin uśmiechnął się tajemniczo.

— Przez całe nasze życie niewiele brakuje, Garret.

Garret powoli pokręcił głową.

— Zauważyłeś tę dziewczynę?

Martin przytaknął ruchem głowy.

— Tak, a o co chodzi?

Garret wpatrywał się przed siebie szeroko otwartymi oczami.

— Ładna była… nie, nawet więcej. Właściwie piękna, chociaż… to znaczy, w jakiś inny, dziwny sposób. Miała długie, czarne włosy i oczy koloru futra wydry. Zadarty nos i piękne usta. Dam głowę, że wszyscy faceci się za nią oglądają. Nie sądziłem, że kogoś takiego spotkam pośród Bractwa Mrocznego Szlaku.

Martin pokiwał głową.

— W rzeczywistości moredhele to piękny lud, tak samo jak Elfy. Pamiętaj jednak, Garret — dodał z uśmiechem — jeżeli zdarzy ci się kiedyś wymieniać grzeczności z kobietą moredheli, wiedz, że prędzej wyrwie ci serce gołymi rękami, niż pozwoli się pocałować.

Siedzieli pod drzewem, odpoczywając i zbierając siły. Od północnego wschodu niosła się echem wrzawa bitewna. Po pewnym czasie podnieśli się powoli i ruszyli w powrotną drogę do Crydee.

* * *

Od początku trwania wojny Tsurani ograniczyli swoje działania do regionów bezpośrednio przyległych do doliny koło Szarych Wież. Od Krasnoludów i Elfów wciąż dochodziły raporty o tym, że w kopalniach pod górami wre praca. Z biegiem czasu Tsurani zdobyli pojedyncze przyczółki poza samą doliną i z nich atakowali pozycje wojsk Królestwa. Raz czy dwa razy w roku rozpoczynali działania ofensywne wymierzone przeciwko Armiom Zachodu pod dowództwem obu Książąt, Elfom w Elvandarze czy Crydee, lecz przez większość czasu zdawali się zadowalać utrzymaniem terenów, które zdobyli na początku inwazji.

Z każdym rokiem jednak powoli, lecz systematycznie powiększali stan swojego posiadania. Zdobywali nowe przyczółki, kontrolując stopniowo coraz większe obszary, umacniając swoje pozycje, z których rozpoczynali kampanię w następnym roku. Po upadku Walinoru oczekiwana z niepokojem ofensywa w kierunku wybrzeża Morza Gorzkiego nie doszła do skutku. Nie próbowali też powtórnie atakować fortec LaMut koło Kamiennej Góry. Miasta Walinor i Crydee zostały splądrowane i obrócone w gruzy po to raczej, żeby pozbawić Królestwo zaplecza, niż dla konkretnej korzyści Tsuranich. Kiedy przyszła wiosna w trzecim roku wojny, dowództwo sił Królestwa z niepokojem poczęło oczekiwać wielkiej ofensywy, która mogłaby przełamać zastój na frontach. I oto nadeszła. Co więcej, doszło do niej w strategicznym miejscu, w najsłabszym ogniwie frontu zjednoczonych sił Królestwa. Celem zmasowanego ataku stał się garnizon w Crydee.

Arutha patrzył z murów na armię Tsuranich. Stał w otoczeniu Gardana, Fannona i Martina.

— Ilu ich jest? — spytał, nie odwracając wzroku od rosnącego z każdą chwilą mrowia najeźdźców.

— Tysiąc pięćset. Może dwa tysiące — powiedział Martin. — Trudno ocenić. Wczoraj przyciągnęło tutaj następne dwa tysiące, no, może mniej. Mroczni Bracia z pewnością postarali się o to, aby część z nich została na zawsze w lesie.

Z odległej puszczy doszedł ich odgłos zwalanych na ziemię drzew. Fannon i Wielki Łowczy domyślili się, że Tsurani szykują materiał do budowy drabin do wspinania się na mury.

— Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek z mych własnych ust padną podobne słowa — powiedział Martin — ale przyznam szczerze: żałuję bardzo, że wczoraj w lesie nie było czterech tysięcy Mrocznych Braci.

Gardan splunął za mury.

— Trudno się mówi. Ale i tak wspaniale się wczoraj sprawiłeś, Martin. Był już najwyższy czas, żeby się na siebie nadziali.

Martin zaśmiał się sucho.

— Całe szczęście, że Mroczni Bracia zabijają bez litości, nie zastanawiając się długo. Chociaż dobrze wiem, że nie robią tego z miłości do nas, pozostaje faktem, że bronią naszej południowej flanki.

— Chyba że wczoraj ich banda nie znalazła się tam przypadkiem. Jeżeli Bractwo opuszcza Zielone Serce, wkrótce trzeba będzie myśleć o bezpieczeństwie Tulan, Jonril i Carse — zauważył Arutha.

— Całe szczęście, że się nie dogadali — powiedział Fannon. — Gdyby miało dojść między nimi do zawieszenia broni… nawet nie chcę o tym myśleć.

Martin pokręcił głową.

— Moredhele wchodzą w układy jedynie z handlarzami bronią i renegatami, którzy wysługują się im za złoto. A poza tym… do czego mielibyśmy się im przydać? Nie potrzebują tego. Co więcej, wygląda na to, że Tsurani dążą do podboju. Moredhele są praktycznie w takiej samej sytuacji jak my.

Fannon spojrzał na rosnące siły wroga. Jaskrawe sztandary i proporce z dziwnymi dla mieszkańców Królestwa symbolami i znakami powiewały w pierwszych szeregach armii wroga. Pod każdym z nich skupiły się kilkusetosobowe oddziały wojowników odzianych w różnokolorowe zbroje.

Rozległ się głos rogu i żołnierze zwrócili się twarzami do murów. Wszystkie sztandary wysunięto o kilkanaście kroków przed front i zatknięto w ziemię. Grupka żołnierzy w hełmach o kolorowych, wysokich pióropuszach, które w wojskach królewskich przyjęto uważać za oznakę stopnia oficerskiego, wyszła przed szeregi i zajęła miejsce między chorążymi a głównymi siłami. Jeden z oficerów w jasnoniebieskiej zbroi zawołał coś i wskazał ręką na zamek. Z szeregów podniósł się gromki okrzyk. Kolejny oficer, tym razem ubrany w jasnoczerwony pancerz, ruszył powoli w stronę murów.

Arutha i pozostali patrzyli w milczeniu na idącego równym krokiem Tsuraniego, który nie rozglądając się ani w prawo, ani w lewo, nie zwracając też uwagi na ludzi zgromadzonych na murach, maszerował prosto jak strzelił z oczami wbitymi w bramę. Kiedy doszedł do niej, wyjął zza pasa wielki topór i trzykrotnie uderzył rękojeścią.

— Co on wyprawia? — spytał Roland, który przed chwilą wszedł na górę.

Tsurani ponownie załomotał w bramę zamku.

— Chyba rozkazuje nam, abyśmy otworzyli bramę i opuścili zamek — powiedział Martin.

Po chwili oczekiwania Tsurani zamachnął się toporem i wbił go z całej siły w belki bramy. Broń drgała przez kilkanaście sekund. Oficer wroga odwrócił się i bez pośpiechu ruszył w stronę własnych szeregów. Żołnierze Tsuranich wznosili radosne okrzyki i wymachiwali bronią.

— Co teraz? — spytał Fannon.

— Chyba wiem — odpowiedział Martin, zdejmując łuk z pleców. Wyjął strzałę i założył na cięciwę. Napiął ją gwałtownie i posłał przed siebie. Wbiła się w ziemię między nogami oficera.

Tsurani zatrzymał się.

— Górale Hadati z Yabon mają podobny rytuał — wytłumaczył Martin. — Przywiązują wielką wagę do okazywania waleczności w obliczu wroga. Dotknięcie przeciwnika i przeżycie to o wiele większy honor niż zabicie go. — Wskazał na znieruchomiałego oficera. — Jeżeli go teraz zabiję, nie zyskam honoru i sławy, ponieważ on pokazuje nam wszystkim, jak jest odważny. My jednak możemy udowodnić, że wiemy, jak rozgrywać jego własną grę.

Oficer odwrócił się w ich stronę, wyrwał strzałę z ziemi i przełamał na pół. Stał zwrócony twarzą do zamku, wykrzykując obelgi w stronę obrońców na murach. Złamaną strzałę trzymał wysoko nad głową. Martin westchnął i wypuścił kolejną strzałę, która rozerwała kolorową kitę na jego hełmie. Tsurani zamilkł raptownie, a kolorowe pióra opadały, tańcząc w powietrzu koło jego twarzy.

Roland zawył radośnie. Zgromadzeni na murach zawtórowali mu radosnymi okrzykami. Tsurani powoli zdjął hełm.

— Teraz zachęca nas, żebyśmy go albo zabili, wykazując się przy okazji brakiem honoru, albo żeby któryś z nas wykazał się odwagą, wyszedł na zewnątrz i zmierzył się z nim w walce sam na sam.

— O nie! — krzyknął Fannon. — Nie pozwolę, żeby przez jakąś głupią dziecinadę otwarto bramy zamku!

Martin wyszczerzył zęby w uśmiechu od ucha do ucha.

— W takim razie zmienimy trochę reguły gry.

Wychylił się przez parapet muru.

— Garret! Tępą strzałę na ptactwo!

Garret, czekający u podnóża murów na dziedzińcu, sięgnął do kołczana, wyjął specjalną strzałę do polowania na dzikie ptactwo i cisnął w górę do Martina. Długi Łuk pokazał ciężką, żelazną kulę znajdującą się w miejscu ostrza. Strzał takich używano do polowania na małe ptaki. Ogłuszały one zdobycz, nie rozrywając jej na strzępy jak zwykła strzała. Martin napiął łuk, wymierzył dokładnie i strzelił.

Pocisk ugodził oficera prosto w żołądek, przewracając go na plecy. Łatwo można sobie było wyobrazić dźwięk, jaki musiał wydać, kiedy impet uderzenia wypchnął powietrze z płuc. Szeregi Tsuranich zawyły wściekle, po czym umilkły raptownie, kiedy oficer dźwignął się na nogi oszołomiony, ale najwyraźniej nie ranny. Po chwili Tsurani zgiął się nagle wpół, opierając dłonie na kolanach, i zwymiotował.

— No i tyle zostało z jego godności oficerskiej — skomentował zgryźliwie Arutha.

— Dosyć tej zabawy — powiedział Fannon. — Chyba najwyższy czas, aby otrzymali kolejną lekcję poglądową na temat oręża stosowanego w Królestwie.

Wzniósł rękę wysoko nad głowę.

— Katapulty! — krzyknął donośnym głosem.

Ze szczytu wież na murach i głównym zamku zamachano chorągiewkami, potwierdzając przyjęcie rozkazu. Fannon opuścił ramię. Zwolniono zabezpieczenia potężnych machin miotających. Euthytonony umieszczone na mniejszych wieżach raziły przeciwnika pociskami podobnymi do gigantycznych włóczni. Z murów głównego zamku uderzano na wroga koszami ogromnych kamieni, wystrzeliwanych przez palintonony i gigantyczne katapulty. Grad pocisków spadł w szeregi Tsuranich, łamiąc kości i roztrzaskując czaszki. Po pierwszej salwie w zwartych szeregach wroga zostało kilkanaście sporych wyrw. Przeraźliwe wycie ranionych wzbiło się pod niebiosa. Wszystkie obsady na murach zwijały się jak w ukropie, napinając i ładując swoje śmiercionośne machiny.

W szeregach wojsk Tsuranich powstało zamieszanie. Po chwili, kiedy druga salwa dotarła do celu, równe szeregi załamały się i żołnierze zaczęli uciekać w popłochu. Z murów wzniósł się radosny okrzyk zwycięstwa i zamarł raptownie, kiedy karne oddziały wroga przegrupowały się i stanęły poza zasięgiem rażenia.

Gardan zwrócił się do Mistrza Miecza.

— Zdaje się, że chcą nas wziąć na przeczekanie.

— Chyba się mylisz — powiedział Arutha, wskazując ręką.

Wszyscy zwrócili głowy w tamtą stronę. Spora część Tsuranich oderwała się od głównej masy wojska i stanęła w gotowości tuż poza zasięgiem machin miotających.

— Gotują się do ataku — powiedział Fannon. — Ale dlaczego tylko częścią sił?

Podbiegł do nich żołnierz.

— Wasza Wysokość, inne stanowiska nie stwierdziły obecności wroga.

Arutha spojrzał na Fannona pytająco.

— I dlaczego atakują tylko jedną stronę?

Po kilku minutach milczenia Arutha odwrócił się do pozostałych.

— Oceniam, że jest ich około tysiąca.

— Chyba więcej. Tysiąc dwieście — nie zgodził się Fannon. Daleko, poza tylnymi szeregami pojawiły się wysokie drabiny, które podawano nad głowami do przodu.

— Za chwilę się zacznie.

Tysiąc obrońców, czyli większość wojsk Księstwa, czekało w obrębie murów. Reszta sił obsadzała pomniejsze garnizony i warownie strażnicze w terenie.

Fannon spojrzał na stojących koło niego.

— Jeżeli mury wytrzymają, poradzimy sobie, nawet jeśli mają dziesięciokrotną przewagę.

Nadbiegali kolejni posłańcy z pozostałych stron murów.

— Mistrzu Miecza, na wschodzie, północy i południu nadal cisza. Nie stwierdzono obecności wroga.

— Wygląda na to, że wybrali frontalny atak, nie zważając na straty, jakie muszą ponieść. — Zamyślił się głęboko. — Coraz mniej z tego rozumiem. Samobójczy atak, beztroskie paradowanie w zasięgu naszych katapult, marnowanie czasu na honorowe pokazy… a przy tym wszystkim nie można im przecież odmówić, że znają się na sztuce wojennej. Ani przez moment nie wolno nam ich nie doceniać.

Zwrócił się do żołnierza.

— Zawiadom wszystkich na innych posterunkach, aby zachowali najwyższą czujność i byli gotowi szybko przegrupować się, gdyby okazało się, że to tylko manewr mylący.

Posłaniec odszedł, a oni nadal czekali. Słońce przesuwało się powoli po nieboskłonie. Do zachodu została godzina i promienie słońca świeciły w plecy wroga. Nagle rozległ się odgłos rogów i bębnów. Szeregi Tsuranich ruszyły biegiem w stronę murów. Napięte mechanizmy machin jęknęły przeciągle, w powietrzu zaszumiało i po chwili w pędzących szeregach pojawiły się spore wyrwy. Oni jednak, nie zważając na nic, biegli przed siebie i po chwili znaleźli się w zasięgu spokojnie czekających łuczników. Chmara strzał popędziła z furkotem ku nacierającym, wybijając co do jednego pierwszy szereg. Następni Tsurani przeskakiwali wał trupów i trzymając wysoko wzniesione nad głowami tarcze, pędzili w stronę murów. Kilkanaście razy wybijano obsady drabin. Dobiegali następni, chwytali drabiny i parli bez wytchnienia do przodu.

Łucznicy wroga przypuścili szturm i po chwili na blankach polała się krew obrońców Crydee. Arutha schylił się, chowając głowę za osłonę muru. Po chwili zaryzykował i wyjrzał przez otwór strzelniczy. U podnóża murów zobaczył ciżbę wrogów, a po chwili tuż przed jego oczami pojawił się szczyt drabiny. Jeden ze stojących obok żołnierzy chwycił jej koniec i za pomocą drugiego długą tyką odepchnął drabinę. Spadający Tsurani krzyknęli przeraźliwie, a po sekundzie zawtórował im pierwszy żołnierz z załogi zamku. Arutha obejrzał się i zobaczył, jak dzielny obrońca spada na dziedziniec, a z jego oka sterczy strzała.

Z dołu wzniosły się niespodziewanie gromkie okrzyki. Arutha zerwał się na równe nogi i ryzykując, że zostanie trafiony, spojrzał za mury. Wojownicy Tsuranich atakujący zamek wycofywali się na całej linii, biegnąc z powrotem.

— Co oni robią? — zastanawiał się Fannon.

Tsurani biegli, aż znaleźli się poza zasięgiem katapult z wież. Zatrzymali się, odwrócili ku zamkowi i sformowali szeregi. Kilku oficerów przechadzało się przed frontem, strofując żołnierzy i zachęcając ich do dalszej walki. Po chwili oddziały wroga wzniosły radosny okrzyk.

— A niech mnie kule biją! — Usłyszał Arutha po lewej stronie. Odwrócił się. Tuż za nim stał Amos Trask, wymachując ogromnym marynarskim kordem. — Ci szaleńcy gratulują sobie, że ich wyrżnięto jak świnie. Nie do wiary!

Rzeczywiście, widok rozciągający się u podnóża murów był straszny i przygnębiający. Martwi żołnierze Tsuranich leżeli wszędzie dookoła, jak zabawki porozrzucane przez jakieś monstrualne dziecko, nie dbające o porządek. Kilku ruszało się słabo, jęcząc z bólu, ale większość była martwa.

— Założę się, że stracili ponad setkę ludzi. To nie ma najmniejszego sensu — powiedział Fannon do Rolanda i Martina. — Sprawdźcie pozostałe strony zamku.

Obaj nie zwlekając, udali się na inspekcję.

— Co oni teraz wyprawiają? — spytał ponownie Fannon, patrząc na stojące w ordynku szeregi.

Kilku żołnierzy zapalało pochodnie i rozdawało pozostałym.

— Chyba nie mają zamiaru atakować po zachodzie słońca? Przecież w ciemności będą się sami o siebie potykać.

— Któż wie, co oni planują? — zastanawiał się na głos Arutha. — Jak żyję, nie słyszałem o tak fatalnie przeprowadzonym ataku.

Amos zwrócił się do Aruthy.

— Za pozwoleniem Waszej Wysokości. Poznałem się trochę na wojaczce w mych młodzieńczych latach. Ja też nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wyprawiał podobne rzeczy. Nawet w Keshu, gdzie szafują życiem lekkiej jazdy jak pijany żeglarz pieniędzmi, nie próbowaliby przeprowadzać podobnego frontalnego ataku. Wietrzę w tym jakiś podstęp. Musimy mieć oczy i uszy otwarte.

— Zgadzam się, lecz o jaki podstęp może chodzić?

* * *

Przez całą noc Tsurani rzucali się na oślep na mury, by ginąć jak muchy u ich podnóża. Za którymś razem kilku udało się wedrzeć na górę, lecz rozprawiano się z nimi błyskawicznie, a ich drabiny spychano z powrotem. Z nastaniem świtu Tsurani wycofali się.

Arutha, Fannon i Gardan patrzyli, jak żołnierze wroga docierają do własnych linii, gdzie byli już poza zasięgiem machin miotających i łuków. Wstało słońce i u podnóża zamku pojawiło się morze kolorowych namiotów. Tsurani udali się na spoczynek. Obrońcy patrzyli z niedowierzaniem na niesamowitą liczbę martwych ciał u ich stóp.

Po kilku godzinach odór unoszący się nad pobojowiskiem był nie do zniesienia. Fannon przyszedł złożyć meldunek szykującemu się do snu Księciu, który ze zmęczenia ledwo patrzył na oczy.

— Tsurani nawet nie próbowali zabrać ciał swych poległych towarzyszy.

— Fannon, nie potrafimy się z nimi dogadać. Nikt nie zna języka, chyba że chcesz wysłać jako emisariusza Tully'ego?

— Z pewnością zgodziłby się pójść do ich obozu, ale wolę nie ryzykować, że utracimy go na zawsze. Jednak za dzień czy dwa trupy pod zamkiem staną się problemem. Poza smrodem i muchami nie pogrzebane ciała mogą sprowadzić choroby. W ten sposób bogowie okazują swoje niezadowolenie z braku szacunku dla zmarłych.

— W takim razie — powiedział Arutha, wciągając but, który zdjął przed chwilą — lepiej chodźmy. Trzeba zobaczyć, czy nie da się czegoś zrobić.

Arutha poszedł w kierunku bramy, gdzie zastał Gardana, który organizował już usunięcie ciał. Wokół niego zgromadziło się kilkunastu ochotników gotowych wyjść na zewnątrz, aby zebrać poległych na ciałopalny stos.

Arutha i Fannon weszli na mury i obserwowali z góry. Długi szereg łuczników ustawił się na blankach, aby w razie potrzeby osłaniać odwrót towarzyszy. Wkrótce okazało się, że Tsurani nie mają najmniejszego zamiaru przeszkadzać. Co prawda na granicy ich linii pojawiło się kilku, ale usiedli i spokojnie przypatrywali się pracującym żołnierzom.

Po półgodzinie stało się jasne, że kilkunastu ochotników nie zdoła się uporać z zadaniem, nim całkiem opadną z sił. Arutha zastanawiał się, czy nie wysłać na zewnątrz więcej ludzi, lecz Fannon nie zgodził się podejrzewając, że właśnie o to chodziło wrogowi.

— Wpuszczanie z powrotem przez bramę dużego oddziału może się okazać fatalne w skutkach. Jeżeli zamkniemy bramę, stracimy ludzi. Jeżeli będzie otwarta zbyt długo, Tsurani wedrą się do zamku.

Arutha musiał przyznać, że jego argumenty były słuszne. Nie pozostało nic innego, jak tylko patrzeć na oddział Gardana pracujący w pocie czoła w upale poranka.

Około południa kilkunastu nieuzbrojonych wojowników Tsuranich przekroczyło spokojnym krokiem ich linie i zbliżyło się do pracujących. Łucznicy na murach założyli strzały na cięciwy i czekali w napięciu. Niepotrzebnie, ponieważ żołnierze wroga po dojściu do grupy z Crydee zaczęli zbierać ciała i układać na stos.

Przy pomocy żołnierzy wroga wszystkie ciała znalazły się wkrótce na wspólnym stosie. Podłożono ogień i po chwili morze płomieni objęło padłych w boju Tsuranich. Żołnierze z Crydee odsunęli się od rosnącego słupa ognia. Jeden z żołnierzy Tsuranich odwrócił się do swoich towarzyszy, powiedział coś i po chwili wszyscy skłonili się z szacunkiem przed zmarłymi leżącymi na stosie. Żołnierz, który dowodził oddziałkiem z zamku, podszedł do swoich ludzi.

— Oddać honory poległym!

Dwunastu żołnierzy stanęło na baczność i zasalutowało. W odpowiedzi żołnierze wroga zwrócili się w ich stronę i głęboko skłonili.

— Oddać honory! — krzyknął dowodzący z Crydee i dwunastka zasalutowała wrogom.

Arutha kręcił głową ze zdziwieniem, patrząc na ludzi, którzy kilka godzin temu zabijali się wzajemnie, a teraz pracowali ramię przy ramieniu, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, a na koniec oddali sobie jeszcze honory wojskowe.

— Ojciec mówił zawsze, że wśród różnych dziwnych poczynań człowieka wojna z pewnością jest najdziwniejszym.

* * *

O zachodzie słońca znowu zaatakowali. Szli fala za falą, pędząc w stronę murów, aby umrzeć u ich podnóża. Czterokrotnie w ciągu nocy ponawiali atak i czterokrotnie zostali odparci.

Nadciągali kolejny raz. Arutha otrząsnął się ze zmęczenia i ponownie ruszył do walki. W mroku nocy świeciły długie węże pochodni kierujących się w jeden punkt, w zamek. W sukurs nacierającym oddziałom nadciągały posiłki z lasów na północy. Po ostatnim ataku stało się jasne, że szala zwycięstwa przechyla się powoli na korzyść Tsuranich. Po dwóch nocach bitwy obrońcy byli śmiertelnie zmęczeni, a wróg rzucał do walki coraz to nowe i wypoczęte oddziały.

— Chcą nas zetrzeć na proch, nie zważając na straty — powiedział zmęczonym głosem Fannon. Chciał jeszcze coś dodać, lecz zmienił się raptownie na twarzy, zamknął oczy i upadł na ziemię. Arutha chwycił go w ostatniej chwili. W plecach Mistrza tkwiła strzała. Śmiertelnie przerażony żołnierz, z którym Fannon przed sekundą rozmawiał, klęczał przy leżącym, patrząc błagalnym wzrokiem na Księcia. W jego spojrzeniu wyraźnie było widać nieme pytanie: „Co mamy począć?”

— Zanieście go natychmiast do zamku, do ojca Tully’ego! — krzyknął Arutha.

Żołnierz zawołał swego kolegę i we dwóch znieśli nieprzytomnego na dziedziniec, a potem do kapłana.

— Jakie rozkazy, Wasza Wysokość? — spytał inny żołnierz.

Arutha obrócił się na pięcie i błyskawicznie rozejrzał dookoła. Otaczały go zaniepokojone twarze. Czekali w napięciu, co powie.

— Jak dotychczas. Bronić murów.

Walka przybierała na sile. Kilka razy Arutha stoczył pojedynek z żołnierzami wroga, którym udało się wedrzeć na mury. Po pewnym czasie, po walce, która wydawała się nie mieć końca, Tsurani wycofali się na swoje pozycje.

Arutha stał oparty o mur, dysząc ciężko. Ubranie pod pancerzem na piersi było przesiąknięte potem. Zawołał, żeby przynieść wodę. Po chwili pojawił się sługa z wiadrem. Książę pił długo i łapczywie, podobnie jak inni żołnierze. Kiedy ugasili pragnienie, odwrócili się, aby obserwować wroga.

Tsurani stali poza zasięgiem rażenia. Migotliwe mrowie pochodni nie zmniejszyło się.

— Książę Arutha — zawołał ktoś z tyłu.

Odwrócił się. Stał za nim Koniuszy Algon.

— Usłyszałem właśnie, że Fannon jest ranny.

— Jak się czuje?

— Niewiele brakowało. Rana jest poważna, chociaż nie śmiertelna… na razie. Tully uważa, że jeżeli Fannon przetrzyma następny dzień, to się z tego wyliże. Nie będzie jednak w stanie dowodzić przez kilka tygodni, albo i dłużej.

Arutha dobrze wiedział, że Algon czeka na jego decyzję. Książę był w randze kapitana Królewskiej Armii i pod nieobecność Fannona pełnił obowiązki dowódcy garnizonu. Ponieważ jednak do tej pory nie miał możliwości pełnienia tej funkcji, mógł przekazać komendę Koniuszemu. Arutha rozejrzał się.

— Gdzie jest Gardan?

— Tutaj, Wasza Wysokość. — Usłyszał w odpowiedzi okrzyk o kilkanaście metrów dalej.

Arutha spojrzał na niego ze zdumieniem. Jego czarna skóra, pokryta zlepionym kurzem i potem była prawie szara. Nie tylko bluza i kaftan, ale nawet rękawy po łokcie przesiąknięte były krwią.

Arutha spojrzał na własne ręce i ubranie, które wyglądały identycznie.

— Przynieście więcej wody! — krzyknął.

Spojrzał na Algona.

— Gardan jest teraz moim zastępcą. Jeżeli mi się coś przytrafi, obejmie komendę garnizonu. Od tej chwili pełni obowiązki Mistrza Miecza.

Algon zawahał się przez moment, jakby chciał coś powiedzieć. Po sekundzie przez jego twarz przemknął wyraz ulgi.

— Tak jest, Wasza Wysokość. Rozkazy?

Arutha spojrzał w kierunku pozycji wroga, a potem na wschód. Nad horyzontem pojawiła się jaśniejsza smuga; słońce wzejdzie nad górami za niecałe dwie godziny. Obmywając z krwi ręce i twarz, zastanawiał się nad czymś w skupieniu. Spojrzał w końcu na Algona.

— Sprowadź Martina.

Koniuszy wysłał żołnierza i po chwili pojawił się przy nich Długi Łuk w towarzystwie Amosa Traska. Kapitan uśmiechał się szeroko.

— Niech mnie kule biją! Ale te zuchy potrafią walczyć — powiedział, wskazując ręką obóz wroga.

Arutha zignorował komentarz i spojrzał na Martina.

— Chyba nie ma wątpliwości co do ich planu. Będą ponawiali atak za atakiem, a przy ich braku szacunku dla własnego życia oznacza to, że w ciągu paru tygodni padniemy z wyczerpania. W naszych rozważaniach nie uwzględniliśmy, że Tsurani z taką ochotą będą szli na pewną śmierć. Trzeba zmniejszyć obsadę na murach na północy, południu i wschodzie. Zostawić tylko niezbędne minimum, by skutecznie obserwować okolicę, i w razie ataku z tamtej strony powstrzymać wroga, aż nadejdą posiłki. Wymienić ludzi z tej strony zamku. Reszta niech odpoczywa. Dzienną wartę zmieniać co sześć godzin. Czy były jakieś wieści o kolejnych wędrówkach Mrocznych Braci?

Martin wzruszył ramionami.

— Byliśmy trochę zajęci, Wasza Wysokość. Przez ostatnie kilka tygodni wszyscy moi ludzie patrolowali północne lasy.

— Czy uda ci się przed świtem przerzucić kilku tropicieli na drugą stronę murów?

Długi Łuk zastanawiał się przez chwilę.

— Pod warunkiem że wyruszą natychmiast i że Tsurani nie pilnują za bardzo wschodniej strony.

— Do dzieła. Bractwo Mrocznego Szlaku nie jest głupie i nie porwie się na tak znaczne siły przeciwnika, ale gdyby udało ci się wytropić kilka niezależnych band, podobnych do tej sprzed trzech dni i powtórzyć podstęp…

Martin uśmiechnął się.

— Sam ich poprowadzę. Musimy ruszać natychmiast, zanim się rozjaśni.

Arutha pozwolił Łowczemu odejść i ten zbiegł po schodach.

— Garret! Rusz się, chłopcze. Idziemy się zabawić.

Do stojących wysoko na murach doszedł z dziedzińca głośny jęk i westchnienie Garreta. Po kilku minutach Martin skompletował oddział i wyruszył.

Arutha przywołał Gardana.

— Chcę przekazać wiadomość do Carse i Tulan. Wyślij po pięć gołębi z rozkazami dla baronów Bellamy’ego i Tolburta, aby opuścili swoje garnizony i natychmiast wyruszyli statkami do Crydee.

— Garnizony zostaną właściwie bez obrony.

Algon również zaprotestował.

— Jeżeli Mroczne Bractwo przeniesie się na Ziemie Północy, to w przyszłym roku Tsurani będą mieli otwartą drogę ku zamkom na południu.

— Masz rację, ale pod kilkoma warunkami: jeżeli Bractwo rzeczywiście emigruje całym narodem, a tak nie musi być; Tsurani odkryją, że moredhele opuścili Zielone Serce, a nigdzie nie jest powiedziane, że się muszą o tym dowiedzieć. W tej chwili staram się zapobiec zagrożeniom, które znamy, a nie ewentualnym, przyszłym niebezpieczeństwom w następnym roku. Jak długo się utrzymamy, jeśli Tsurani nie zwolnią tempa, co?

— Kilka tygodni, może miesiąc, ale nie dłużej — odpowiedział Gardan.

Arutha jeszcze raz przyjrzał się obozowi wroga.

— Tylko spójrzcie, rozbili bezczelnie namioty pod naszym nosem, na skraju naszego własnego miasta. Nie ma wątpliwości, że przez cały czas wyrąbują lasy, przygotowując drabiny i machiny oblężnicze. Dobrze wiedzą, że nie możemy zrobić większego wypadu. Gdyby jednak od plaży zaatakowało ich nagle prawie dwa tysiące wypoczętych żołnierzy z południowych warowni, z jednoczesnym naszym wypadem, mamy duże szanse, aby ich przegnać spod Crydee na zawsze. Kiedy oblężenie załamie się, będą zmuszeni wycofać się na przyczółki na wschodzie. Jazda może ich nękać nieustannymi atakami, nie pozwalając na solidne przegrupowanie sił. Przyjdzie wtedy pora, aby oddziały z południa wróciły do swoich zamków i miały wystarczająco dużo czasu, aby przygotować obronę na wypadek ich wiosennej ofensywy.

— Śmiały plan, Książę — powiedział Gardan.

Zasalutował i opuścił mury razem z Algonem.

Amos spojrzał spod oka na Księcia.

— Twoi dowódcy to ostrożni ludzie, Wasza Wysokość.

— Zgadzasz się z moim planem?

— Jeżeli Crydee padnie, czy ma większe znaczenie, że padną również Carse czy Tulan? Jeśli nie w tym roku, to z pewnością w przyszłym. Można cały problem załatwić równie dobrze jedną bitwą zamiast dwóch czy trzech. Ale sierżant słusznie zauważył, że to rzeczywiście bardzo śmiały plan. Jak mówią piraci, nie złupisz statku, jeżeli nie podpłyniesz do jego burty. Muszę przyznać, Książę, że masz zadatki na wspaniałego korsarza… gdyby ci się kiedyś znudziło bycie Księciem, no i w ogóle…

Arutha uśmiechnął się sceptycznie.

— Korsarz, mówisz? Wydawało mi się, że mówiłeś coś o uczciwym kupcu czy czymś w tym rodzaju. A może się mylę, co?

Amos pochylił głowę, przestępując z nogi na nogę, lecz nie trwało to długo. Wybuchnął nagle niepohamowanym, szczerym śmiechem.

— Mówiłem tylko, że miałem ładunek dla Crydee, Wasza Wysokość. Nigdy nie mówiłem, jak wszedłem w jego posiadanie.

— W tej chwili nie mamy czasu, aby rozpamiętywać twoją piracką przeszłość, Amos.

Kapitan spojrzał na niego z urażoną boleśnie dumą.

— Nie byłem piratem, panie. Na pokładzie Sidonii były listy kaperskie z Wielkiego Keshu, wystawione przez samego gubernatora Durbinu.

Tym razem Arutha ryknął śmiechem.

— Ależ oczywiście, Amos! Tak, tak. Jak powszechnie wiadomo, na wszystkich oceanach świata nie ma ludzi uczciwszych i bardziej miłujących prawo niż kapitanowie z wybrzeża Durbinu!

Amos Trask wzruszył ramionami.

— To prawda, że to nie szkółka niedzielna i że czasem dość swobodnie interpretują prawo swobodnej żeglugi na otwartych morzach, my jednak wolimy, aby nazywano nas kaprami.

Zagrzmiały rogi i głuchy łoskot bębnów. Wojenny krzyk Tsuranich wdarł się boleśnie w uszy. Znowu nadchodzili. Obrońcy czekali spokojnie na murach. Dopiero gdy szeregi wroga przekroczyły niewidzialną linię wyznaczającą zasięg rażenia machin wojennych zamku, na Tsuranich spadł deszcz śmierci. Napastnicy szli niestrudzenie do przodu.

Tsurani przekroczyli kolejną niewidzialną granicę zasięgu łuczników. Kolejne dziesiątki przeszyte strzałami padały na ziemię, lecz następni parli niestrudzenie do przodu.

Doszli do murów. Posypał się na nich grad kamieni. Odpychano drabiny, po których wspinali się na górę. Śmierć zbierała gęste żniwo, a oni wciąż szli i szli.

Arutha zarządził szybko przegrupowanie oddziałów rezerwowych. Miały stanąć w pogotowiu w miejscach, na które przypuszczano najcięższy atak. Posłańcy rozbiegli się po zamku, niosąc jego rozkazy.

Arutha znajdował się w samym sercu walki, na szczycie zachodniego muru, odpierając atak za atakiem, walcząc z dziesiątkami żołnierzy wroga wdzierającymi się na mury. Nawet w największym zapamiętaniu bitewnym Książę nie tracił spod kontroli tego, co się działo wokół, wydawał rozkazy, słuchał krótkich raportów, uważnie obserwował, co się dzieje na innych odcinkach walki. Kątem oka spostrzegł rozbrojonego chwilowo Amosa, który jednym ciosem potężnej pięści zwalił z muru nacierającego Tsuraniego. Były kapitan schylił się potem najspokojniej w świecie i podniósł kord, tak jakby wypadł mu zza pasa przypadkowo w czasie przechadzki po murach. Gardan biegał między żołnierzami, dodając ducha, gdzie trzeba strofując i popychając ich do wyczynów przekraczających, wydawać się mogło, ludzkie możliwości.

Arutha rzucił się do pomocy dwóm obrońcom usiłującym odepchnąć kolejną drabinę. We trzech udało im się. Książę odwrócił się i przez moment nie rozumiejąc patrzył, jak jeden z żołnierzy siada powoli na piętach, patrząc z nieopisanym zdumieniem na sterczącą z piersi strzałę. Oparł się plecami o mur i zamknął oczy, jakby miał zamiar zdrzemnąć się przez chwilę.

Ktoś krzyknął głośno imię Księcia. Stojący o kilka metrów dalej Gardan wskazywał w kierunku północnego odcinka zachodniego muru.

— Wdarli się na mury!

Arutha przebiegł koło Gardana krzycząc:

— Rezerwowe oddziały — za mną! — i popędził do poczynionego przez wroga wyłomu w obronie.

Kilkunastu Tsuranich walczyło zaciekle na zdobytym odcinku, spychając obrońców w tył, by zrobić więcej miejsca dla swych towarzyszy. Arutha przedarł się z impetem do pierwszego szeregu wyczerpanych i zdziwionych jego pojawie-

niem się żołnierzy. Książę pchnął gwałtownie mieczem ponad tarczą pierwszego z brzegu przeciwnika, rozdzierając mu gardło. Twarz Tsuraniego stężała z bólu, złapał się za szyję, przechylił i spadł na dziedziniec. Arutha, nie czekając ani sekundy, zaatakował następnego.

— Za Crydee! Za Królestwo! — krzyczał.

Po chwili pojawił się między nimi, jak wysoka czarna wieża, Gardan, który parł przed siebie, rażąc każdego, kto mu stanął na drodze. W żołnierzy Crydee jakby wstąpił nowy duch. Zebrali się w sobie i natarli na przeciwnika ławą ciał i stali. Tsurani nie chcieli oddać przyczółka okupionego ciężkimi stratami i stawili im hardo czoło. Zostali wybici co do jednego.

Arutha rąbnął w głowę osłoną rękojeści ostatniego przeciwnika, który spadł nieprzytomny na dziedziniec. Odwrócił się błyskawicznie, by stwierdzić, że mury ponownie znalazły się we władaniu obrońców. Od strony pozycji wroga rozległ się jękliwy ton rogu i atakujący poczęli się wycofywać.

Arutha spojrzał przytomniej dookoła. Zza gór na wschodzie wyszło słońce. Nadchodził w końcu poranek. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak potwornie zmęczony. Odwrócił się powoli. Wszyscy patrzyli na niego.

Jeden z żołnierzy zwrócił się do pozostałych.

— Niech żyje Arutha! Niech żyje książę Crydee!

Po chwili cały zamek grzmiał okrzykami. Żołnierze na wszystkich stanowiskach skandowali:

— Arutha! Arutha!

Książę spojrzał na Gardana.

— Dlaczego?

— Wielu z nich widziało, że osobiście wziąłeś udział w walce, Książę. Inni dowiedzieli się o tym od swoich kolegów. To żołnierze, Wasza Wysokość, i oczekują od swego dowódcy pewnych rzeczy. Wasza Wysokość, od tej chwili to naprawdę twoi żołnierze.

Arutha stał w milczeniu, przysłuchując się niemilknącym okrzykom uznania i uwielbienia. Podniósł rękę. Zapanowała cisza.

— Spisaliście się doskonale. Crydee ma wspaniałych żołnierzy, którzy służą mu całym sercem.

Zwrócił się do Gardana.

— Zmień warty na murach. Nie mamy dużo czasu, by cieszyć się zwycięstwem.

Jakby na potwierdzenie jego słów ze szczytu najbliższej wieży rozległ się okrzyk.

— Wasza Wysokość, uwaga na przedpole!

Arutha obejrzał się. Szeregi Tsuranich zostały przegrupowane.

— Czy oni nigdy nie mają dosyć? — spytał zmęczonym głosem.

Zamiast kolejnego ataku przed front wystąpił oficer w hełmie zwieńczonym kolorowymi piórami. Wskazał na zamek i cała armia wroga wybuchnęła gromkimi okrzykami. Oficer ruszył ku zamkowi, przekraczając linię zasięgu łuków. Błękitna zbroja mieniła się w promieniach porannego słońca. Zatrzymywał się kilka razy i wskazywał wyciągniętą ręką ku murom. Za każdym razem z szeregów przeciwnika wznosił się potężny okrzyk. Pierwsze szeregi wskazywały na zamek za jego przykładem.

— Kolejne wyzwanie? — zapytał Gardan.

Patrzył ze zdumieniem na niezwykłe przedstawienie. Oficer zatrzymał się, odwrócił i spokojnym krokiem, nie zważając na własne bezpieczeństwo, kierował się powoli z powrotem.

— Nie — odpowiedział Amos Trask, który stał nieopodal. — Chyba raczej pozdrawiają nas, oddając cześć bohaterstwu obrońców. — Pokręcił powoli głową w zamyśleniu. — Co za dziwny naród…

— Czy kiedykolwiek będziemy w stanie ich zrozumieć?

Gardan położył dłoń na ramieniu Księcia.

— Wątpię. Patrz, Książę, cofają się.

Tsurani maszerowali ku namiotom rozbitym na skraju ruin miasta Crydee. W okolicach zamku zostało co prawda kilku obserwatorów, lecz główne siły najwyraźniej otrzymały rozkaz wycofania się.

— Na ich miejscu zarządziłbym kolejny atak, właśnie teraz. Przecież doskonale wiedzą, że jesteśmy na skraju wyczerpania. Dlaczego zrezygnowali? — rozmyślał na głos Gardan.

— Któż to wie? Może oni też mają na razie dosyć? — powiedział Amos.

— Jestem pewien, że te nocne ataki mają jakieś znaczenie, którego nie potrafię zrozumieć… — powiedział powoli Arutha. Pokręcił głową. — Z czasem dowiemy się, co knują. Zostawcie wartowników na wieżach. Reszta niech zejdzie na dziedziniec. Nie wiem dlaczego, ale wolą nie atakować w dzień. Gardan, rozkaż, żeby przyniesiono z kuchni jedzenie i przygotowano wodę do mycia.

Sierżant wydał odpowiednie rozkazy i żołnierze zaczęli powoli opuszczać posterunki na murach. Niektórzy byli zbyt zmęczeni, aby schodzić po schodach na dziedziniec, i siadali, opierając się o mur. Reszta zeszła na dół. Rzucali broń na ziemię i siadali w cieniu blanków. Pojawiła się służba, roznosząca w wiadrach świeżą wodę do picia. Arutha także oparł się plecami o mur.

— Wrócą — powiedział po cichu do siebie.

Wrócili ponownie jeszcze tej samej nocy.

# Rozdział 18

# Oblężenie

Jęki rannych przywitały wschodzące słońce.

Tsurani atakowali zamek przez dwunastą noc z rzędu i o świcie wycofywali się na swoje pozycje. Gardan nie mógł znaleźć żadnego sensownego powodu, który by usprawiedliwiał niebezpieczne, nocne ataki na mury. Przypatrywał się z góry, jak Tsurani zbierają ciała poległych i wracają do namiotów.

— Dziwnie się zachowują. Nawet nie mogą wykorzystać własnych łuczników, bo ci wystrzelaliby ich własnych żołnierzy wspinających się na mury. My nie mamy takiego problemu. Sytuacja jest jasna — każdy w dole to wróg. Nie wiem… nie mam pojęcia, o co im chodzi.

Arutha siedział odrętwiały, zmywając mechanicznie z twarzy krew i kurz. Nie zwracał najmniejszej uwagi na unoszący się wszędzie smród. Był zbyt zmęczony, aby odpowiedzieć Gardanowi.

— Proszę. — Usłyszał głos obok.

Zdjął z twarzy mokry ręcznik. Ujrzał przed sobą kubek w wyciągniętej ręce. Nie podnosząc głowy, przyjął napój i wypił duszkiem, smakując mocne wino.

Spojrzał w górę. Stała przed nim Carline ubrana w bluzę i spodnie. U pasa wisiał miecz.

— Co tu robisz? — spytał ochrypniętym z wyczerpania głosem.

Carline podrzuciła głowę.

— Ktoś przecież musi roznosić jedzenie i wodę. Mężczyźni całe noce walczą na murach. Jak myślisz, kto rano ma siły, aby usłużyć innym? Z pewnością nie ci żałosni staruszkowie ze służby, zbyt słabi, by walczyć.

Arutha rozejrzał się dookoła. Pomiędzy siedzącymi na dziedzińcu żołnierzami krążyły damy ze dworu, służące i żony rybaków, roznosząc jedzenie i picie przyjmowane z wdzięcznością przez wygłodniałych wojaków.

Arutha uśmiechnął się po swojemu.

— Jak sobie radzisz?

— Nieźle. Pod pewnymi względami siedzenie w podziemiach jest równie ciężkie jak walka na murach. Każdy najmniejszy odgłos bitwy, który dociera do lochów, sprawia, że któraś z kobiet wybucha płaczem — powiedziała Carline z dezaprobatą. — Siedzą zbite w kupę jak króliki. Mam tego dosyć.

Przez chwilę stała w milczeniu.

— Widziałeś Rolanda?

Arutha rozejrzał się.

— Tak, dziś w nocy przez moment.

Przykrył na chwilę twarz wilgotnym, przyjemnie chłodnym ręcznikiem.

— A może było to poprzedniej nocy…? Zupełnie straciłem rachubę czasu. — Wskazał ręką odcinek muru znajdujący się najbliżej głównego zamku. — Powinien być gdzieś tam. Powierzyłem mu dowództwo nad odpoczywającą zmianą warty. Jest odpowiedzialny za obronę w razie ataku z flanki.

Carline uśmiechnęła się z ulgą. Dobrze wiedziała, że Roland rwał się do walki, lecz w sytuacji, kiedy był odpowiedzialny za inną stronę murów, było to mało prawdopodobne, chyba żeby Tsurani zaatakowali ze wszystkich stron.

— Dziękuję, Arutha.

Książę udał, że nie rozumie.

— Za co?

Uklękła przy nim i pocałowała go w mokry policzek.

— Za to, że znasz mnie lepiej niż ja sama. — Wstała i odeszła.

* * *

Roland przechadzał się po blankach, obserwując odległe lasy rozciągające się za łąkami po wschodniej stronie zamku. Zbliżył się do wartownika stojącego przy dzwonie alarmowym.

— Coś się dzieje?

— Nic. Cisza, panie.

Roland kiwnął głową.

— Miej oczy szeroko otwarte. Te łąki to najwęższy odcinek otwartej przestrzeni wokół zamku. Jeżeli zaatakują z flanki, to pewnie od tej strony.

— A tak po prawdzie, panie, to dlaczego atakują ciągle tylko jedną i to najsilniej obsadzoną stronę?

Roland wzruszył ramionami.

— Nie będę udawał, że wiem. Może chcą okazać swoje bohaterstwo i lekceważenie przeciwnika? Może mają jakiś powód „nie z tej ziemi”? Naprawdę nie mam pojęcia.

Wartownik stanął na baczność i zasalutował. Carline podeszła do nich po cichu. Roland chwycił ją za ramię i szybko ruszył przed siebie.

— Co ty znowu wyprawiasz? Co tu robisz? — rzucił szybko ostrym tonem.

Uczucie ulgi na widok, że Roland żyje i nic mu się nie stało, przeszło błyskawicznie w gniew.

— Przyszłam, żeby zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku — odpowiedziała wyzywającym tonem.

Poprowadził ją ku schodom. Zeszli na dziedziniec.

— Ta strona jest za blisko lasu, Carline. Każdy łucznik Tsuranich mógłby spokojnie zredukować skład domu książęcego o jedną osobę. Nie miałbym żadnego wytłumaczenia, gdyby twój ojciec czy brat dowiedzieli się o tym, że byłaś na górze.

— Naprawdę? To jedyny powód? Po prostu boisz się stanąć przed ojcem.

Przez jego twarz przemknął uśmiech. Spojrzał na nią łagodniejszym wzrokiem.

— Nie, oczywiście, że nie, Carline.

Uśmiechnęła się do niego.

— Martwiłam się o ciebie.

Roland usiadł na dolnym schodku i wyrywał chwasty, które zagnieździły się między kamieniami.

— Nie ma powodu. Arutha zatroszczył się o to, żebym nie był narażony na zbytnie niebezpieczeństwo.

— To też ważny posterunek — powiedziała Carline, chcąc go pocieszyć. — Jeżeli zaatakują z tej strony, będziesz musiał utrzymać swój odcinek bardzo małymi siłami, aż nadejdą posiłki.

— Jeżeli zaatakują. Gardan był tu wczoraj. Mówi, że jego zdaniem obecna taktyka wkrótce im się znudzi i zamiast tego rozpoczną systematyczne oblężenie, licząc na wykończenie nas głodem.

— No to mają pecha. Mamy zapasy na całą zimę, a oni po przyjściu śniegów nic nie znajdą w najbliższej okolicy.

Spojrzał na nią z udawaną powagą.

— No, no. Kogóż my tu mamy? Adepta taktyki wojennej?

Spojrzała na Rolanda wzrokiem nauczyciela, który przeliczył się z siłami — uczeń był bardziej tępy niż sądziła.

— Po prostu słucham i korzystam z szarych komórek. Czy ty sobie wyobrażasz, Rolandzie, że nic, tylko siedzę i czekam, aż któryś mężczyzna raczy mnie oświecić co do rozwoju wypadków? Gdyby tak było, do dzisiaj nic bym nie wiedziała.

Podniósł obie ręce w pojednawczym geście.

— Masz rację. Przepraszam, Carline. Kto jak kto, ale ty z pewnością nie jesteś słodką idiotką. — Wstał i wziął ją za rękę. — Ale ze mnie zrobiłaś idiotę.

Ścisnęła go mocno za rękę.

— Nie, Rolandzie, to ja byłam głupia. Zmarnowałam ponad trzy lata, aby w końcu zrozumieć, że jesteś dobry… i że jesteś prawdziwym przyjacielem… — Pochyliła się i delikatnie go pocałowała. Roland objął ją i odwzajemnił czule pocałunek. — Kimś znacznie więcej niż przyjacielem… — dodała cichutko.

— Kiedy to się skończy…

Położyła mu dłoń na ustach.

— Nie teraz, Rolandzie. Nie teraz.

Uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

— Będzie lepiej, jak wrócę już na mury, Carline.

Pocałowała go jeszcze raz i poszła w kierunku głównego dziedzińca, by znów zająć się pracą, on zaś wszedł na górę i dalej czuwał.

* * *

Było już późne popołudnie, kiedy wartownik zaalarmował go krzykiem.

— Panie! W lesie! Coś się dzieje…

Roland podbiegł do krawędzi murów i spojrzał we wskazanym kierunku. Przez łąkę pędziły dwie postacie. Z lasu buchnęły krzyki i wrzawa bitewna.

Łucznicy wycelowali broń.

Roland przyjrzał się bliżej biegnącym.

— Zatrzymajcie się! To Martin! Szybko, przynieście liny!

Długi Łuk i Garret dopadli do muru. Błyskawicznie zamocowano liny i zrzucono na dół. Obaj wspięli się szybko po murze i znalazłszy się poza osłoną murów, opadli wyczerpani na kamienie, dysząc ciężko. Podano im bukłaki z wodą. Pili długo i łapczywie.

— Co się stało?

Martin zerknął na Rolanda z ironicznym półuśmieszkiem.

— Nic takiego. Jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od zamku natknęliśmy się na kolejną bandę maszerującą na północ, a potem zaaranżowaliśmy ich odwiedziny u Tsuranich.

Garret spojrzał na Rolanda podkrążonymi ze zmęczenia oczami.

— Banda! On to nazywa bandą… Prawie pięciuset moredheli! Przez ostatnie dwa dni siedziała nam na ogonie chyba setka!

— Arutha się ucieszy. Od kiedy opuściliście zamek, Tsurani atakowali nas noc w noc. Delikatne odwrócenie ich uwagi, choćby na krótko, bardzo nam się przyda.

Martin kiwnął głową.

— Gdzie jest Książę?

— Na zachodnich murach. Tam miały miejsce wszystkie walki.

Martin wstał i podniósł skrajnie wyczerpanego Garreta na nogi.

— No, rusz się, chłopcze. Trzeba złożyć raport.

Roland rozkazał żołnierzom pilnie obserwować okolicę i poszedł z nimi. Zastali Aruthę przy nadzorowaniu wydawania nowej broni w miejsce zniszczonej czy stępionej. Kowal Gardell i jego terminatorzy zbierali tę, która nadawała się do naprawy, i ładowali na wózek. Po chwili ruszyli do kuźni, aby zabrać się do roboty.

Martin stanął przed Księciem.

— Zlokalizowałem kolejną bandę moredheli wędrującą na północ. Podprowadziłem ich tutaj i dzisiejszej nocy Tsurani mogą być zbyt zajęci, aby atakować zamek.

— Wspaniałe wiadomości, Martin. Chodź, napijemy się wina. Przy kielichu opowiesz mi wszystko.

Martin odesłał Garreta do kuchni i razem z Księciem i Rolandem poszli do głównego zamku. Arutha wysłał żołnierza z prośbą, aby Gardan dołączył do nich w sali obrad. Potem, kiedy byli już we czwórkę, poprosił Martina, aby zdał sprawozdanie ze swojej wyprawy.

Martin pociągnął tęgi łyk wina.

— Przez pewien czas to było na zasadzie doskoku i odskoku. W lasach aż się roi od Tsuranich i moredheli. Wiele wskazuje na to, że nie kochają się za bardzo. Naliczyliśmy przynajmniej po setce zabitych po obu stronach.

Arutha popatrzył na pozostałą trójkę.

— Nie wiemy co prawda o nich zbyt wiele, ale nie postępują chyba zbyt mądrze, przemieszczając się w tak bliskim sąsiedztwie Crydee.

Martin pokręcił przecząco głową.

— Nie mają praktycznie wyboru, Wasza Wysokość. Zielone Serce wyczyszczone do czysta. W góry też nie mogą powrócić, bo są tam Tsurani. Moredhele kierują się w stronę Ziem Północy, a nie będą przecież ryzykowali przejścia w pobliżu granic Elvandaru. Inne trasy są zablokowane przez Tsuranich. Pozostał im tylko jeden szlak — przez pobliskie lasy, a potem wzdłuż rzeki na zachód, aż do wybrzeża. Gdy dojdą do morza, mogą ponownie skierować się na północ. Jeżeli chcą bezpiecznie dotrzeć do swych braci na Ziemiach Północy, muszą znaleźć się w Wielkich Górach Północnych przed nastaniem zimy.

Wychylił do dna kielich i poczekał, aż sługa ponownie go napełni.

— Wiele wskazuje na to, że wszyscy moredhele z południa wędrują na północ. Oceniam, że już około tysiąca przeszło koło nas bezpiecznie. Ilu jeszcze będzie wędrowało przez lato i jesień, nie mam pojęcia.

Napił się znowu wina.

— Tsurani będą musieli obsadzić swoją wschodnią flankę, a na dobrą sprawę powinni także pilnować południowej. Moredhele są wygłodniali i mogą zaryzykować atak na obóz Tsuranich, gdy ich główne siły będą zajęte przy murach zamku. Może być niezłe zamieszanie, jak się rozpocznie walka na dwa fronty.

— Ale dla Tsuranich — zauważył Gardan.

Martin wzniósł toast.

— No to za Tsuranich!

— Doskonale się sprawiłeś, Wielki Łowczy — pogratulował Arutha.

— Dziękuję, Wasza Wysokość. — Roześmiał się. — Nigdy nie sądziłem, że z ulgą powitam dzień, kiedy pod murami Crydee zobaczę moredheli.

Arutha bębnił palcami po stole.

— Armie z Tulan i Carse nie dotrą wcześniej niż za jakieś dwa, trzy tygodnie. Jeżeli Mroczne Bractwo ponęka trochę Tsuranich, będziemy mieli chwilę oddechu. — Spojrzał na Martina. — Co słychać po wschodniej stronie zamku?

Martin rozłożył szeroko ręce na blacie.

— Ponieważ bardzo się śpieszyliśmy, nie mogliśmy podejść za blisko, ale z pewnością coś planują. Spore oddziały znajdują się w głębi lasu, kilkaset metrów od krawędzi łąk. Gdyby nie to, że na plecach czuliśmy gorący oddech ścigających moredheli, moglibyśmy nie dotrzeć do muru.

— Bardzo bym chciał wiedzieć, co oni tam robią… — powiedział Arutha. — Te nocne ataki… jestem pewien, że to tylko przykrywka. Co oni knują?

— Obawiam się, że wkrótce się dowiemy, Wasza Wysokość — powiedział Gardan.

Arutha powstał, a za nim uczynili to inni.

— Tak czy inaczej, przed nami wiele roboty. Jeżeli tej nocy nie zaatakują, powinniśmy to wykorzystać i dobrze wypocząć. Gardan, wystawisz wzmocnione warty, a resztę odeślesz do koszar. Jeżeli będę potrzebny, to jestem w swojej komnacie.

Wszyscy opuścili salę narad. Arutha szedł powoli do siebie. Usiłował zmusić zmęczony umysł do wysiłku, aby uchwycić coś, o czym podświadomie wiedział, że jest niezwykle istotne, lecz nie był w stanie tego uczynić. Zrzucił jedynie pancerz i zwalił się w ubraniu na posłanie. Po chwili zapadł w ciężki, niespokojny sen.

Przez cały tydzień nie nastąpił ani jeden atak. Tsurani pilnowali się bardzo przed wędrującymi Mrocznymi Braćmi. Tak jak przewidział Martin, wygłodniali i zdesperowani moredhele dwukrotnie wdarli się w sam środek obozu Tsuranich.

Po południu, osiem dni po pierwszym napadzie Mrocznego Bractwa, oddziały wroga, zasilone nowymi przybyszami ze wschodu, zaczęły się gromadzić przed zamkiem. Informacje wymieniane za pomocą gołębi pomiędzy Aruthą a jego ojcem mówiły o walkach nasilających się na wschodnim froncie. Książę Borric uważał, że Crydee było atakowane przez przybyszy z obcego świata, ponieważ

na jego froncie nie stwierdzono istotnych przemieszczeń oddziałów nieprzyjaciela. Z Tulan i Carse nadeszły wieści napawające otuchą i nadzieją. Żołnierze barona Tolburta wyruszyli z Tulan w dwa dni po otrzymaniu rozkazów od Aruthy. Ich flota miała się połączyć ze statkami barona Bellamy'ego w Carse. Obie floty miały dotrzeć do Crydee za tydzień lub dwa, w zależności od wiatrów.

Arutha stał na zachodnich murach w swoim zwykłym miejscu. U boku miał Martina Długi Łuk. Obserwowali, jak Tsurani zajmują pozycje na tle kryjącego się za horyzontem słońca. Czerwone promienie zalewały okolicę szkarłatną poświatą.

— Szykują się chyba do frontalnego ataku — powiedział Książę.

— Pewnie udało im się w końcu oczyścić sąsiedztwo z nieproszonych gości. Przynajmniej na razie. Dzięki moredhelom zyskaliśmy trochę na czasie, ale niewiele.

— Ciekaw jestem, ilu z nich uda się dotrzeć do Ziem Północnych?

Martin wzruszył ramionami.

— Jednemu na pięciu? Może, jeżeli będą mieli szczęście. W normalnych warunkach droga z Zielonego Serca na północ jest długa i ciężka. A teraz…

Gardan wszedł po schodach.

— Wasza Wysokość, obserwator z wieży donosi, że wszystkie oddziały wroga stoją już na pozycjach wyjściowych.

Jeszcze kiedy mówił, zagrzmiał róg Tsuranich i rozległy się okrzyki bojowe. Ruszyli. Arutha dobył miecza i rozkazał, aby katapulty zaczęły razić nacierających. Po chwili do walki włączyli się łucznicy, zasypując Tsuranich gradem strzał. Jak zwykle, wróg niewzruszenie parł do przodu.

Przez całą noc zakute w kolorowe pancerze oddziały przypuszczały na mury szturm za szturmem. Ogromna większość padła na polu przed zamkiem. Kolejni bezpośrednio pod murami. Kilku udało się wedrzeć na górę, lecz i oni zginęli. Nic nie pomagało, nadciągali wciąż następni.

Sześć razy fale atakujących załamywały się na obronie zamku. Teraz przygotowywali się do siódmego. Arutha oblepiony krwią i brudem kierował przemieszczaniem się bardziej wypoczętych oddziałów. Gardan spojrzał ku wchodowi.

— Jeżeli wytrzymamy i teraz, za chwilę będzie świt. Miejmy nadzieję, że potem trochę odpoczniemy — powiedział ochrypłym ze zmęczenia głosem Gardan.

— Wytrzymamy — odpowiedział równie zmęczonym głosem Arutha.

— Arutha?

Książę odwrócił się. Po schodach wchodzili Roland, Amos i jeszcze ktoś.

— Co tam?

— Na innych murach spokój, ale jest coś, co powinieneś zobaczyć, Książę.

Arutha rozpoznał towarzyszącego im mężczyznę. Był to Lewis, zamkowy Łowca Szczurów. Był odpowiedzialny za to, aby Crydee było wolne od wszelkich szkodników. W rękach trzymał coś ostrożnie.

Arutha nachylił się i przyjrzał bliżej. W dłoniach Lewisa leżała fretka. Przez drobne ciało przebiegały skurcze.

— Wasza Wysokość… — Głos Lewisa drżał z emocji — to…

— O co chodzi, człowieku? — ponaglił go Arutha niecierpliwie. Mając na karku atak na mury, nie miał czasu rozczulać się nad utraconym ulubieńcem.

Zrozpaczony Lewis nie mógł z siebie wydusić słowa.

Roland przemówił za niego.

— Dwa dni temu fretki nie powróciły do domu. Ta doczołgała się jakoś do spiżarni za kuchnią. Znalazł ją kilka minut temu.

Lewis spojrzał na Księcia.

— Były doskonale wytresowane, panie — powiedział drżącym głosem. — Jeżeli nie wróciły do domu, oznacza to, że coś je zatrzymało. Na tę biedaczkę ktoś wlazł butem. Ma złamany kręgosłup. Musiała się czołgać całymi godzinami, by powrócić.

— Nadal nie rozumiem, jakie to ma znaczenie?

Roland chwycił mocno Aruthę za ramię.

— Arutha, fretki polują na szczury w norach i tunelach pod zamkiem.

Książę nagle zrozumiał. Zwrócił się błyskawicznie do Gardana.

— Saperzy! Tsurani kopią pod wschodnim murem.

— To tłumaczy nieustające ataki na zachodnią stronę. Chcieli odwrócić naszą uwagę.

— Gardan, obejmujesz komendę nad murami. Amos, Roland, za mną!

Arutha zbiegł pędem po schodach i przebiegł przez dziedziniec. Po drodze krzyknął do paru żołnierzy, aby dołączyli i przynieśli łopaty. Znaleźli się na niewielkim dziedzińcu za głównym zamkiem.

— Musimy odnaleźć tunel i wysadzić go.

— Mury zamku u podstawy rozszerzają się. Tsurani dobrze wiedzą, że nie zdołają ich wysadzić przez podłożenie ognia w tunelu. Będą próbowali dostać się do wnętrza niższego zamku lub poza obręb murów głównego — powiedział Amos.

Na twarzy Rolanda pojawiło się nagle przerażenie.

— Carline! Carline i kobiety są w lochach.

— Weź kilku ludzi i pędź do piwnic — rozkazał Arutha i Roland puścił się biegiem.

Książę uklęknął i przyłożył ucho do ziemi, nasłuchując odgłosów kopania.

* * *

Carline siedziała koło lady Marny. Była zdenerwowana. Guwernantka udawała, że nie słyszy i nie widzi kręcących się nerwowo po piwnicy kobiet, i ze spokojem wyszywała jakiś wzór. Odgłosy bitwy, przytłumione przez grube mury zamku, dochodziły do nich stłumionym echem. Teraz panowała równie denerwująca cisza.

— A niech to! Siedzimy tutaj jak te kury w klatce — nie wytrzymała Carline.

— Mury nie są właściwym miejscem dla damy — odpowiedziała sucho lady Marna, nie podnosząc głowy znad robótki.

Carline zerwała się na równe nogi. Zaczęła chodzić po lochu nerwowym krokiem.

— Mogłabym wiązać bandaże i nosić wodę. Wy także mogłybyście to robić.

Pozostałe damy spojrzały po sobie, jakby Księżniczka postradała zmysły. Żadna z nich nie wyobrażała sobie, że mogłaby się poddać tak ciężkiej próbie.

— Wasza Wysokość, proszę — powiedziała Marna. — Powinnaś pani spokojnie czekać. Kiedy bitwa się skończy, będzie jeszcze wiele do roboty. Powinnaś odpocząć.

Carline chciała ostro zareagować, ale zawiesiła głos i podniosła rękę do góry.

— Słyszałyście?

Wszystkie kobiety znieruchomiały i zaczęły nasłuchiwać. Spod posadzki dotarło do nich ciche stukanie. Carline uklękła na kamieniach.

— Ależ, Wasza Wysokość, to nie przystoi… — zaczęła lady Marna.

Carline uciszyła ją niecierpliwym ruchem dłoni.

— Cicho! — Przyłożyła ucho do podłogi. — Tam coś się dzieje…

Lady Glynis wzdrygnęła się.

— Pewnie szczury harcują. Tam na dole są ich setki. — Wyraz jej twarzy świadczył, że było to równie nieprzyjemne, co prawdziwe.

— Cicho bądźcie! — krzyknęła Carline.

Pod podłogą rozległ się zgrzyt. Księżniczka zerwała się na równe nogi. Między kamieniami pojawiła się szpara. Carline wyciągnęła błyskawicznie miecz. W szczelinie pojawiła się końcówka przebijaka. Po chwili kamień uniósł się i przewrócił na bok. W posadzce pojawiła się ziejąca czernią dziura. Kobiety zaczęły krzyczeć wniebogłosy. W otworze ukazała się pokryta kurzem i ziemią głowa Tsuraniego. Rozejrzał się zdziwiony dookoła i zaczął wspinać się do środka. Carline cięła go z rozmachem w gardło.

— Uciekajcie! Zawołajcie straże!

Większość kobiet siedziała sparaliżowana strachem. Bały się poruszyć. Lady Marna podniosła swoje zwaliste ciało z ławki i z całej siły uderzyła otwartą dłonią

w policzek krzyczącej przeraźliwie mieszczki. Wrzask ucichł, jak nożem uciął. Kobieta spojrzała przerażonym wzrokiem na Marnę i rzuciła się pędem w stronę schodów. Jakby czekając na sygnał, reszta kobiet puściła się za nią, wołając o pomoc.

Carline patrzyła w napięciu, jak ciało napastnika osuwa się do tyłu, blokując otwór. Wokół dziury pojawiły się kolejne szczeliny, a po chwili ręce, które wciągały do dołu sąsiednie płyty posadzki. Lady Marna była w połowie drogi do schodów, kiedy zorientowała się, że Carline została samotnie na posterunku.

— Księżniczko! — krzyknęła rozdzierającym głosem.

W otworze pojawił się następny żołnierz. Carline powaliła go jednym ciosem w głowę. Odskoczyła gwałtownie do tyłu, kiedy kamienie pod stopami zaczęły się ruszać. Tsurani zakończyli kopanie tunelu i poszerzali szybko otwór wyjściowy, aby móc wypaść na powierzchnię w większej sile i zdławić opór obrońców.

Z dziury wyskoczył trzeci żołnierz. Odepchnął gwałtownie Carline, umożliwiając wyjście następnemu. Lady Marna rzuciła się w stronę swojej podopiecznej, złapała potężny odłamek kamiennej płyty i wyrżnęła w nie osłoniętą czaszkę drugiego żołnierza. Jego ciało spadło na głowy wspinających się za nim. Z otworu dobiegły podniesione głosy.

Carline szybkim ruchem przebiła stojącego przed nią wroga i z rozmachem kopnęła w twarz następnego, którego głowa pojawiła się nad podłogą.

— Księżniczko! Musimy uciekać!

Carline nie odpowiedziała. Odparowała cios wymierzony w jej stopy. Tsurani wyskoczył zwinnie z dołu. Carline pchnęła mieczem, lecz on uchylił się. Z otworu wyszedł następny. Marna wrzasnęła nieludzkim głosem.

Pierwszy żołnierz odwrócił się odruchowo w jej stronę i w tym momencie Carline przeszyła mu bok. Drugi zamachnął się, żeby uderzyć ząbkowanym mieczem na Marnę. Carline podskoczyła błyskawicznie i wbiła mu ostrze w kark. Miecz wypadł z jego ręki. Wstrząsane przedśmiertnymi drgawkami ciało osunęło się na posadzkę. Carline chwyciła Marnę za rękę i popchnęła w stronę schodów.

Z otworu wysypało się mrowie Tsuranich. U podnóża schodów Carline zatrzymała się i odwróciła. Lady Marna stała za plecami ukochanej Księżniczki, nie chcąc jej opuścić. Tsurani zbliżali się powoli, dziewczyna zabiła już wystarczająco dużo ich towarzyszy, aby nabrali do niej szacunku. Podchodzili ostrożnie.

Nagle ktoś przepchnął się gwałtownie obok Carline. Roland, na czele żołnierzy z Crydee, rzucił się na wroga z impetem. Oszalały z niepokoju o Księżniczkę wpadł na trzech stojących na przedzie. Zepchnął ich w tył na skraj otworu. Cała trójka wpadła do środka, a Roland za nimi.

Księżniczka ujrzała kątem oka, jak Roland znika pod podłogą.

— Rolandzie! — krzyknęła strasznym głosem. Obok niej zbiegali do lochu następni żołnierze i natychmiast zwarli się w walce z wrogiem. Kilku śmiałków

wskoczyło do dziury. Po chwili z czarnej czeluści dobiegły przeraźliwe okrzyki zabijanych i przekleństwa rozwścieczonych obrońców.

Jeden z żołnierzy wziął Carline za ramię i zaczął ciągnąć schodami na górę. Bezsilna wobec mocnej, męskiej ręki szła za nim bezwolnie, płacząc.

— Rolandzie! Rolandzie!

* * *

Z ciemnego tunelu dochodziły ciężkie oddechy. Żołnierze z Crydee kopali pod ziemią jak opętani. Arutha odnalazł tunel wroga i polecił wykopać przy krawędzi muru, wiodący do niego szyb i tunel doprowadzający. Chciał przechwycić nieprzyjaciela, zachodząc go z boku. Amos zgodził się z decyzją Księcia. Przed ostatecznym zawaleniem tunelu, które zamknie drogę do zamku, powinni najpierw zepchnąć przeciwnika poza obręb murów.

Łopata przebiła się przez ostatnią warstwę ziemi. Żołnierze zaczęli gorączkowo poszerzać otwór prowadzący do podkopu wroga. Naprędce umacniano ściany i strop deskami, aby zapobiec zawaleniu się ziemi.

Grupa obrońców wpadła do niskiego tunelu nieprzyjaciela i natychmiast znalazła się w oku cyklonu. Oddział Rolanda i nacierający Tsurani zwarli się w ciemnościach w śmiertelnych zmaganiach. Żołnierze walczyli bez wytchnienia i umierali w podziemnych mrokach. Wobec szczupłości miejsca nikt nie był w stanie zapanować nad porządkiem. Przewrócona pojedyncza latarnia oświetlała tunel mdłym, upiornym światłem.

Arutha odwrócił się do stojącego za nim żołnierza.

— Sprowadź więcej ludzi!

— Tak jest, Wasza Wysokość! — krzyknął żołnierz i popędził w stronę szybu.

Arutha dotarł do tunelu wroga. Szedł schylony. Podkop miał około półtora metra wysokości. Był na tyle szeroki, że trzech ludzi mogło swobodnie iść koło siebie. Arutha nadepnął na coś miękkiego. Pod nogami rozległ się jęk bólu. Szedł, mijając umierających i kierując się w stronę odgłosów walki.

Jego oczom ukazała się scena jak z upiornego snu. Umieszczone w dużych odstępach pochodnie ledwo, ledwo oświetlały wnętrze. Korytarz był wąski i tylko trzech pierwszych żołnierzy mogło zmagać się z przeciwnikiem.

— Noże! — krzyknął Arutha, rzucając miecz na ziemię. W bliskim starciu krótsza broń była o wiele skuteczniejsza. Wpadł na dwóch walczących ze sobą ludzi. Chwycił jednego. Poczuł pod palcami chitynową powłokę zbroi obcego. Pchnął nożem w odsłonięty kark i pomógł uwolnić się swojemu żołnierzowi od bezwładnego ciała. O kilka kroków przed sobą zobaczył zbity kłąb walczących.

Obie strony usiłowały zepchnąć przeciwnika. Przekleństwa mieszały się z krzykami umierających i rannych. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi, zaduch krwi i smród ekskrementów.

Arutha walczył jak oszalały, rażąc na oślep ledwo widocznych w mroku nieprzyjaciół. Czuł narastający w sobie atawistyczny strach, który podpowiadał mu, aby natychmiast uciekał z tunelu, od przeciwnika, od grożącej zawaleniem się ziemi. Zwalczył panikę i dalej prowadził natarcie na saperów nieprzyjaciela.

Obok siebie usłyszał ciężkie sapanie i przekleństwa wykrzykiwane znajomym głosem. Amos Trask był blisko.

— Jeszcze dziesięć metrów, chłopcze! — ryknął były kapitan.

Arutha musiał uwierzyć mu na słowo. On sam już dawno stracił poczucie wszelkiej odległości. Obrońcy z Crydee parli niepowstrzymanie do przodu. Wielu z nich padło. Czas rozmazał się w jedną niewyraźną wstęgę, a starcie przemieniło w ciąg ledwo oświetlonych, jakby zatrzymanych w ruchu obrazów.

Dał się słyszeć donośny głos Amosa.

— Słoma!

Podano do przodu wiązki suchej słomy.

— Pochodnie!

Kilka pochodni znalazło się momentalnie w pierwszym szeregu. Amos zwalił słomę na kupę u podstawy drewnianych stempli i desek podtrzymujących strop i rzucił pochodnie. Płomienie gwałtownie buchnęły ku górze.

— Opuścić tunel!

Przerwano walkę. Wszyscy, zarówno ludzie z Crydee, jak i Tsurani, uciekali przed ogniem. Saperzy nieprzyjaciela dobrze wiedzieli, że nie mając czym ugasić płomieni, stracili już tunel bezpowrotnie i teraz ratowali się ucieczką.

Duszący dym wypełniał powoli ciasną przestrzeń. Żołnierze zaczęli gwałtownie kaszleć. Z oczu ciekły strumienie łez. Arutha biegł za Amosem. Nie zauważyli wylotu bocznego korytarza i po chwili znaleźli się w piwnicy. Umorusani krwią i ziemią żołnierze leżeli na posadzce kaszląc i dysząc ciężko. Gdzieś pod ziemią rozległ się głuchy grzmot. Z otworu buchnął kłąb dymu i masy powietrza. Okopconą twarz Amosa rozjaśnił uśmiech.

— Stemple się zawaliły. Przejście zamknięte.

Arutha sztywno pokiwał głową. Ciągle nie mógł złapać tchu. W głowie kręciło mu się od dymu i niedostatku powietrza. Ktoś podał mu kubek wody. Wychylił jednym haustem. Piekący ból w gardle ustąpił nieco.

Carline stanęła przed nim.

— Nic ci nie jest? — spytała z troską.

Kiwnął głową.

Rozejrzała się dookoła.

— Gdzie Roland?

Arutha pokręcił głową.

— Tam w dole nic nie było widać. Czy był w tunelu?

Zagryzła mocno dolną wargę. Skinęła bez słowa głową. Ogromne, niebieskie oczy zaszkliły się łzami.

— Mógł wyjść z tunelu na dziedzińcu. Trzeba sprawdzić.

Wstał i w towarzystwie Amosa i Carline poszedł schodami na górę. Wyszli z zamku. Pierwszy napotkany żołnierz zameldował, że atak na mury został odparty. Arutha przyjął raport. Okrążyli zamek i znaleźli się przy szybie do tunelu. Na trawie leżeli żołnierze. Kasłali i pluli, usiłując pozbyć się z płuc gryzącego dymu. W powietrzu unosiła się śmierdząca mgiełka. Z otworu bił ciągle słup ciemnego dymu. Pod stopami poczuli kolejne tąpnięcie pod ziemią. W pobliżu muru ziemia lekko się zapadła.

— Roland! — krzyknął Arutha.

— Tutaj, Wasza Wysokość. — Usłyszeli w odpowiedzi okrzyk jednego z żołnierzy.

Carline wyskoczyła do przodu jak z procy. Dobiegła do leżącego na ziemi Rolanda przed bratem. Żołnierz, który zawołał ich, opatrywał Rolanda. Chłopak miał zamknięte oczy i był blady jak płótno. Z boku sączyła się krew.

— Kilka ostatnich metrów musiałem ciągnąć go po ziemi, Wasza Wysokość. Szedł i nagle upadł nieprzytomny. Z początku myślałem, że to przez dym, ale potem zobaczyłem ranę.

Carline objęła głowę leżącego. Arutha przeciął szybko skórzane paski pancerza na piersi i rozdarł bluzę. Po oględzinach usiadł na piętach.

— Nic mu nie będzie. To płytka rana.

— Och, Roland — szepnęła cicho Carline.

Powieki leżącego rozchyliły się, a na ustach pojawił się słaby uśmiech. Mówił z trudem, ale próbował nadać głosowi wesoły ton.

— A cóż to? Można by pomyśleć, że mnie zabili.

— Ty potworze bez serca — powiedziała dziewczyna.

Potrząsnęła nim delikatnie, lecz nadal trzymała jego głowę w ramionach i uśmiechała się miękko.

— Stroić żarty w takiej chwili!

Spróbował się poruszyć. Skrzywił się z bólu.

— Ale boli…

Powstrzymała go, kładąc rękę na ramieniu.

— Nie próbuj się ruszać. Musimy zabandażować ranę — powiedziała na pół gniewnie, a na pół z ulgą.

Ułożył głowę wygodniej na jej kolanach.

— Nie ruszę się, choćby mi dawali pół Księstwa.

Spojrzała na niego nagle poirytowana.

— Co ci przyszło do głowy, żeby tak bez opamiętania rzucać się na nieprzyjaciela?

Rolandowi zrobiło się głupio.

— Tak naprawdę, to potknąłem się na schodach i nie zdążyłem wyhamować.

Dotknęła policzkiem jego czoła. Stojący obok Amos zaśmiał się tubalnym głosem.

— Łżesz jak najęty, ale ja i tak cię kocham — powiedziała miękko.

Arutha wstał, wziął Amosa pod rękę i odszedł, zostawiając Rolanda i Carline samych. Za rogiem wpadli na byłego jeńca Tsuranich, Charlesa, który śpieszył z wodą dla rannych. Arutha zatrzymał go.

Na nosidłach wisiały dwa ogromne wiadra z wodą. Charles był cały ubłocony i krew płynęła mu z kilku niewielkich ran.

— Co ci się stało?

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Dobra walka. Skoczyć w dziura. Charles dobry wojownik.

Były żołnierz Tsuranich był blady i chwiał się lekko na nogach. Arutha stał oniemiały. Po chwili dał mu znak, że może odejść. Charles wesoło pobiegł przed siebie. Arutha zwrócił się do Amosa.

— Czy rozumiesz coś z tego?

Amos zachichotał.

— Wiele razy miałem do czynienia z łobuzami i kanaliami wszelkiej maści, Wasza Wysokość. Niewiele wiem o Tsuranich, ale opierając się na swoim doświadczeniu, jestem pewien, że możesz na niego liczyć.

Arutha przyglądał się z daleka, jak Charles, nie zważając na własne zmęczenie i rany, roznosi wodę wśród rannych.

— To nie byle co… Skoczył do tunelu, chociaż mu nikt nie kazał. Będę się musiał poważnie zastanowić nad sugestią Martina, aby włączyć Charlesa do służby.

Poszli dalej. Arutha chodził po dziedzińcu i doglądał, czy ranni mają właściwą opiekę, Amosowi zlecił zadanie zniszczenia tunelu do końca.

Nadszedł świt. Na dziedzińcu panowała niczym nie zmącona cisza i tylko kopiec świeżej ziemi w miejscu, gdzie zasypano szyb, oraz podłużne zapadlisko ciągnące się między zamkiem a murem świadczyły o tym, że w nocy miało tam miejsce coś niezwykłego.

* * *

Fannon kuśtykał przy murze, oszczędzając prawą stronę ciała. Rana na plecach zagoiła się prawie zupełnie, ale ciągle jeszcze nie mógł chodzić bez pod-

pierania się czy pomocy drugiej osoby. Ojciec Tully podtrzymywał go z drugiej strony. Podeszli do czekających.

Arutha uśmiechnął się do Mistrza Miecza i delikatnie ujął go pod drugie ramię, pomagając Tully'emu. Obok stali Gardan, Amos Trask, Martin i grupka żołnierzy.

— A cóż to ma znaczyć? — zapytał zrzędliwie Fannon, udając gniew.

Zebrani popatrzyli na siebie z uśmiechem. Ten sam stary, dobry Fannon.

— Co to, zabrakło wam oleju w głowie? Nie radzicie sobie? Po co wyciągacie mnie z łóżka? Żebym znowu objął komendę?

Arutha wskazał bez słowa na morze. Daleko na horyzoncie, na tle błękitu morza i nieba pojawiło się kilkanaście maleńkich punkcików. Poranne słońce odbijało się od bieli żagli.

— Flota z Carse i Tulan zbliża się ku plażom wybrzeża. Ponownie wskazał na obóz Tsuranich, w którym wrzało jak w ulu.

— Przegnamy ich dzisiaj, Fannon. Jutro o tej porze w najbliższej okolicy nie będzie śladu po obcych. Będziemy pędzili nieprzyjaciela na wschód, nie dając mu ani chwili wytchnienia. Minie dużo czasu, zanim ponownie zdołają zebrać znaczne siły.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz, Arutha — powiedział cicho Mistrz Miecza.

Stał przez dłuższy czas w milczeniu, wpatrując się w dal.

— Słyszałem raporty o twoim dowodzeniu, Arutha. Doskonale się sprawiłeś. Twój ojciec i Crydee mogą być z ciebie dumni.

Arutha był głęboko poruszony pochwałą Fannona, lecz chciał zbagatelizować swoje zasługi. Fannon nie dał mu dojść do słowa.

— Nie, Arutha. Wiem, co mówię. Uczyniłeś wszystko, co było trzeba i znacznie więcej. To ty miałeś rację, a nie ja. Z tymi ludźmi zbyt daleko posunięta ostrożność nie jest potrzebna. Trzeba z nimi walczyć aktywnie i wychodzić z inicjatywą. — Westchnął głęboko. — Stary już jestem, Arutha. Czas najwyższy, abym odszedł na spoczynek, a wojaczkę zostawił młodym.

Tully zaśmiał się ironicznie.

— Ty nie jesteś stary, Fannon. Byłeś jeszcze berbeciem w pieluchach, kiedy ja byłem już kapłanem.

Stwierdzenie Tully'ego tak bardzo odbiegało od prawdy, że wszyscy, na czele z Fannonem, wybuchli gromkim śmiechem.

Arutha spoważniał i spojrzał na starego Mistrza.

— Jeżeli nawet spisałem się dobrze, to tylko dzięki twoim naukom. Dobrze o tym wiesz.

Tully chwycił Fannona za łokieć.

— Może nie jesteś stary, ale na pewno chory i osłabiony. Zmiataj do zamku. Dość tej łazęgi na dzisiaj. Od jutra możesz zacząć regularne spacery. Za kilka

tygodni będziesz latał jak opętany, rozkazując wszystkim dookoła, jak za starych, dobrych czasów.

Fannon uśmiechnął się z wysiłkiem i pozwolił kapłanowi sprowadzić się po schodach. Kiedy poszli, Gardan zwrócił się do Księcia.

— Mistrz ma rację, Wasza Wysokość. Twój ojciec może być z ciebie dumny.

Arutha patrzył zamyślony na zbliżające się statki.

— Jeżeli nawet dobrze się sprawiłem, to także dzięki temu, że korzystałem z pomocy i rady dobrych ludzi, z których wielu nie ma już pośród nas. — Westchnął głęboko. — Gardan, odegrałeś wielką rolę w odparciu oblężenia. Martin, ty również.

Obaj uśmiechnęli się i podziękowali Księciu za wyrazy uznania.

— I ty także, piracie. — Arutha uśmiechnął się przyjaźnie. — Bardzo wiele dla nas zrobiłeś. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

Amos Trask usiłował przez chwilę wyglądać skromnie i pokornie, ale zupełnie mu to nie wyszło.

— No cóż, Wasza Wysokość. Ja po prostu broniłem zarówno własnej, jak i cudzej skóry. — Uśmiechnął się marzycielsko. — To była naprawdę wspaniała i porywająca bitwa.

Książę spojrzał na morze.

— Miejmy nadzieję, że już wkrótce zakończymy te „wspaniałe i porywające bitwy".

Odwrócił się i skierował ku schodom.

— Gardan, wydaj rozkaz przygotowania się do ataku.

* * *

Carline stała na szczycie południowej wieży zamku, obejmując w pasie Rolanda. Chłopak był blady po odniesionej ranie, ale we wspaniałym nastroju.

— Teraz, kiedy przybyła flota, to już chyba koniec oblężenia — powiedział i objął mocniej Księżniczkę.

— To było jak koszmar senny.

Uśmiechnął się, patrząc prosto w jej niebieskie oczy.

— Niezupełnie. Dostałem odszkodowanie.

— Łobuz jesteś — powiedziała miękko i pocałowała go. Po chwili odsunęła się trochę. — Zastanawiam się, czy ta twoja głupia brawura nie miała jedynie na celu zyskania mojego współczucia.

Roland udał, że go coś strasznie boli.

— Pani, jestem ranny…

Przywarła mocno do niego.

— Tak się o ciebie martwiłam… wtedy w tunelu. Nie wiedziałam, czy żyjesz… Ja… — Jej głos zamierał powoli.

Wzrok powędrował ku północnej wieży naprzeciwko. Na drugim piętrze było okno pokoju Puga. Śmieszny, mały blaszany komin sterczący ze ściany, z którego, kiedy Pug ślęczał nad księgami, dobywały się nieustannie kłęby dymu — był teraz niemym świadkiem przypominającym o tętniącej kiedyś życiem, a pustej teraz wieży.

Roland skierował wzrok w tę samą stronę.

— Wiem. Bardzo mi go brakuje. I Tomasa.

Westchnęła.

— Wydaje się, że to było tak dawno temu, Rolandzie. Byłam wtedy dziewczynką i miałam dziewczęce wyobrażenie o życiu i miłości. Są miłości, które przychodzą jak wiatr od morza. Są i inne, które wyrastają powoli z ziaren przyjaźni i uprzejmości. Pamiętam, że ktoś mi to kiedyś powiedział.

— Ojciec Tully. Miał rację. — Przytulił mocno Carline do siebie. — Wszystko jedno, czy tak, czy tak. Dopóki potrafisz wzbudzić w sobie uczucia, wiesz, że żyjesz.

Patrzyła na szykujących się do wypadu żołnierzy.

— Czy to koniec wojny?

— Nie, Carline. Tsurani znowu przyjdą. Niestety, wszystko wskazuje, że ta wojna potrwa jeszcze długo.

Stali koło siebie, czerpiąc radość z prostego faktu, że drugie istnieje i jest obok.

* * *

Kasumi z rodu Shinzawai, dowódca Armii Klanu Kanazawai, z Partii Błękitnego Koła, przypatrywał się nieprzyjacielowi na murach zamku.

Z tej odległości ledwo odróżniał sylwetki poruszające się po blankach, ale znał je dobrze. Nie potrafił oczywiście przypisać do żadnej konkretnego imienia, lecz były mu tak znajome, jak jego właśni żołnierze. Szczupły, wysoki młodzieniec, ich dowódca, który walczył jak demon i zawsze potrafił zaprowadzić porządek w największym rozgardiaszu bitewnym, też tam był. Czarny olbrzym nie odstępujący tamtego na krok, na którym, jak na samotnym bastionie, rozbijały się ich ataki na mury. I ten w zielonym stroju, który przemykał przez puszczę jak duch, znieważając żołnierzy Tsuranich łatwością, z jaką przekradał się przez ich linie, też tam był. Nie miał wątpliwości, że gdzieś w pobliżu był też wesołek o szero-

kich barach, z zakrzywionym mieczem i wariackim uśmiechem. Kasumi oddawał im wszystkim cichy żołnierski hołd jako mężnym przeciwnikom, nawet jeżeli byli tylko barbarzyńcami.

Chingari z rodu Omechkel, Starszy Dowódca Uderzenia, podszedł do Kasumiego.

— Wodzu, zbliża się flota barbarzyńców. Za godzinę wysadzą desant na plaży.

Kasumi popatrzył na pergaminowy zwój w dłoni. Od chwili, kiedy dostarczono mu go o świcie, przeczytał go kilkanaście razy. Jeszcze raz przebiegł dokument wzrokiem. Spojrzał na pieczęć na dole, znak jego ojca Kamatsu, Pana Shinzawai. W milczeniu przyjął własny los. Spojrzał na Chingariego.

— Zarządź wymarsz. Natychmiast zwijać obóz. Zbieraj oddziały. Mamy rozkaz powrotu do Kelewan. Wyślij zwiadowców.

Głos Chingariego zdradzał wyraźnie gorycz i żal.

— Chociaż podkop został zniszczony, mamy odejść tak potulnie?

— Nie ma w tym żadnej hańby, Chingari. Nasz klan wycofał się z Przymierza na rzecz Wojny, tak jak i inne klany z Partii Błękitnego Koła. Partia Wojny ponownie została osamotniona w kontynuowaniu tej inwazji.

Chingari westchnął ciężko.

— I znowu polityka przeszkadza podbojowi. Zdobycie tego wspaniałego zamku byłoby wielkim zwycięstwem.

Kasumi zaśmiał się.

— To prawda. — Patrzył na ruch na murach. — To był najlepszy przeciwnik, z jakim przyszło nam walczyć. Już sporo się od nich nauczyliśmy. Mury zamków u podstawy rozszerzają się. To nowy i sprytny pomysł. Saperzy nie byli w stanie zrobić wyłomu podkopem. A te bestie, na których jeżdżą. Ależ one pędzą, jak Thun przez tundrę na naszej ziemi. Trzeba zdobyć kilka zwierząt. Tak, ci ludzie to znacznie więcej niż zwykli barbarzyńcy.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

— Niech zwiadowcy i straż przednia uważają na wszelkie znaki obecności leśnych diabłów.

Chingari splunął siarczyście.

— Złe duchy znowu wędrują na północ w wielkiej liczbie. Są jak ci barbarzyńcy, jak sztylet wbity w bok.

— Kiedy w końcu podbijemy ten świat, zajmiemy się tymi stworami. Barbarzyńcy dostarczają nam dobrych i silnych niewolników. Niektórzy są nawet na tyle cenni, że można by ich uczynić wolnymi wasalami, jeżeli złożą przysięgę wierności naszym domom. Lecz nieczyści… muszą zniknąć z powierzchni ziemi.

Kasumi milczał przez chwilę.

— Niech barbarzyńcy myślą, że uciekamy w popłochu przed ich flotą. Niech teraz klany, które jeszcze pozostały w Partii Wojny, martwią się, jak się z tym upo-

rać. Jeżeli Tasio z rodu Minwanabi zechce ruszyć na wschód, będzie miał nielichy orzech do zgryzienia z powodu zagrożonych tyłów. Dopóki Kanazawai nie wejdą w inny sojusz w Wysokiej Radzie, kończymy z wojną. Zarządź wymarsz.

Chingari zasalutował i odszedł. Kasumi rozważał skutki wynikające z otrzymanej od ojca wiadomości. Zdawał sobie sprawę, że wycofanie się wszystkich sił spod znaku Partii Błękitnego Koła będzie znaczącą porażką dla Wodza Wojny i jego partii. Reperkusje tego posunięcia będą odczuwalne przez najbliższych kilka lat w całym Imperium. Skończyły się dla Wodza Wojny druzgoczące przeciwników zwycięstwa. Wraz z odejściem sił lojalnych wobec panów Kanazawai i innych klanów Błękitnego Koła, pozostałe klany dobrze się zastanowią, zanim przyłączą się do zmasowanego ataku. To był śmiały, a zarazem niebezpieczny krok ze strony ojca i innych panów, myślał Kasumi. W tej sytuacji wojna przedłuży się. Wódz został pozbawiony spektakularnego zwycięstwa. Znalazł się w trudnej sytuacji. Miał zbyt mało ludzi na zbyt dużym obszarze. Bez nowych sojuszników nie przybliży to zwycięstwa. Miał teraz do wyboru jedynie dwie opcje: wycofać się z Midkemii i zaryzykować ośmieszenie wobec Wysokiej Rady albo też siedzieć i czekać, mając nadzieję na kolejny zakręt w polityce w ich świecie.

Zadziwiające posunięcie ze strony Błękitnego Koła. Jednak ryzyko było ogromne. Jeszcze większe będzie wynikać z serii następnych posunięć w Grach Rady. W duchu powiedział: Och, mój ojcze, zaangażowaliśmy się bardzo w Wielką Grę. Dużo ryzykujemy, naszą rodzinę, nasz klan, nasz honor, a być może nawet całe imperium.

Zmiął pergamin i cisnął do najbliższego ogniska. Poczekał, aż cały zwój obrócił się w popiół, po czym odsunął na bok myśli o ryzyku i niebezpieczeństwie i ruszył do swego namiotu.